

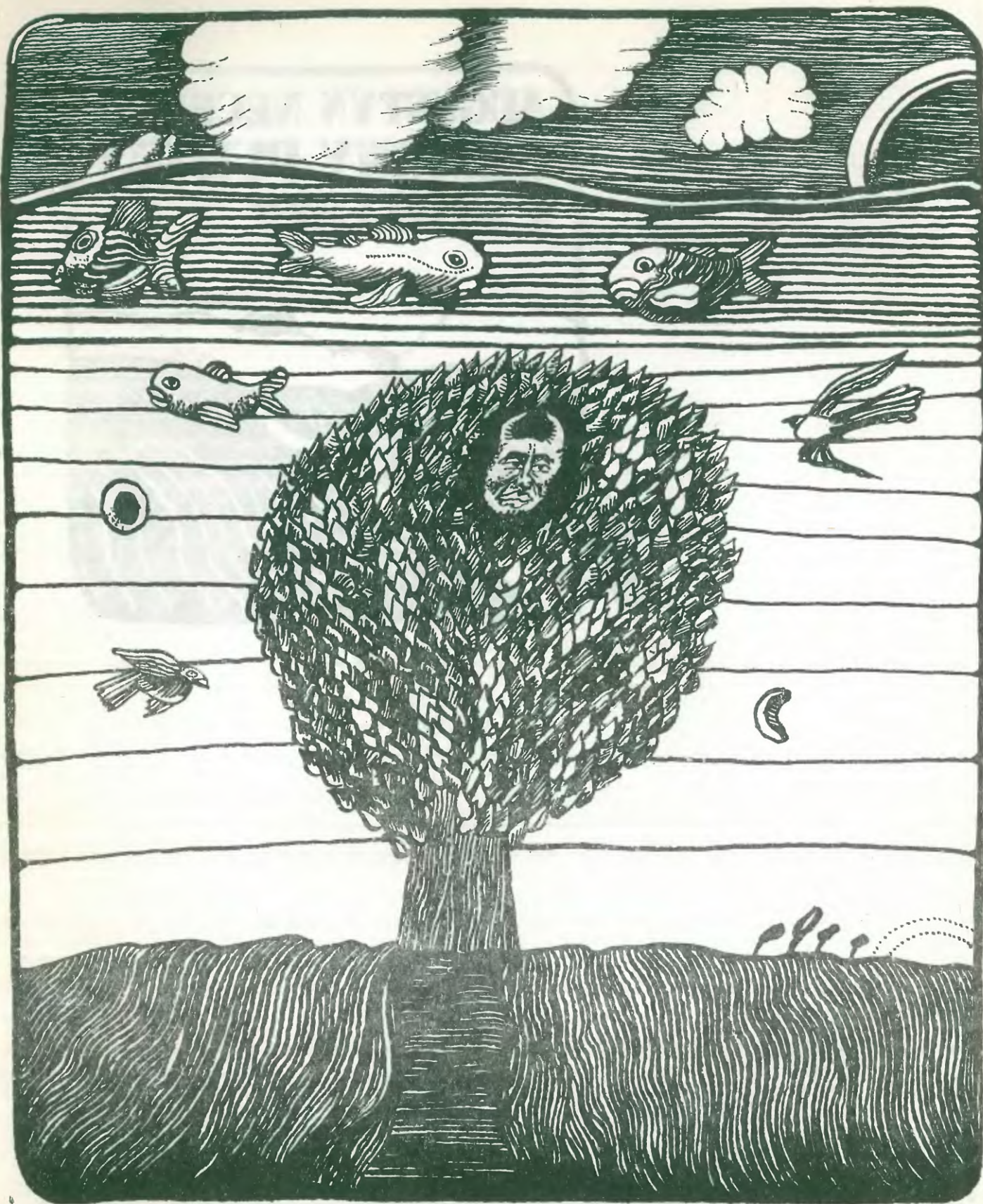
AUGUSTYN NECEL DEMONY, PURTKI I STOLEMY





**AUGUSTYN NECEL
DEMONY PURTKI
I STOLEMY**





AUGUSTYN NECEL DEMONY, PURTKI I STOLEMY

Baśnie kaszubskie

**ILUSTROWAŁ
JAN SAWKA**

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

DK
53904

Posłowie
Helena Kapelańska

Ilustrował
i przerywnikami ozdobił
Jan Sawka

Opracowanie redakcyjne
Jadwiga Bandrowska-Wróblewska

Redaktor techniczny
Joanna Zaleska

Korektorzy
Halina Mitrus
Lidia Wrzosek



821.162 1-93 : 398.2

214/6

Prac. Reg.	65	5445
------------	----	------

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
1975

Akc D 421 / 2007

Przedmowa

Kto na Kaszubach nie zna nadmorskich bajek. Tu, w krainie zamieszkałej przez Beloków, od zarania walczących z żywiołem morskim tak o własny byt, jak i swego narodu, niejedno bohaterstwo obrosło legendą, przekazywaną przyszłym pokoleniom. Długie wieczory, wiatr dzwoni o szyby rybackich checz, a wzburzone morze ryczy, jakby opowiada swe odwieczne dzieje. Przez ten ryk morza niesie się głos tych, którzy kiedyś nie wrócili z morza. Belki strzech rybackich skrzypią, zdaje się, jakby to duchy zaginionych szukały schronienia we wszystkich szparach. Starzy rybacy siedzą przy kominkach, wiążą wydzielone im części niewodu łososiowego, tak zwane laskorny, i snują wspomnienia.

— To przychodzą nasi przodkowie, to załogi karwiańskich i ostrowskich pomaranek, które zatoniły podczas szalejącej nordy. Pochłonęła ona całe załogi w październiku roku 1887. Są to dusze zaginionych w topielach morskich — ciągnął opowieść przy kominku szyper Józef Radka z Ostrowa, który się wymknął śmierci dzięki temu, że tego dnia nie wypłynął na morze. Pojechał wtedy na chłopski targ do Pucka, gdzie miał kupić dla całej załogi skórzane buty. Straszny to był dzień, zaginęła pomaranka karwiańska z całą załogą. Ten sam sztorm zaskoczył jastarnickie pomaranki, które płynęły z Pucka, pełne kobiet i mężczyzn wracających z chłopskiego targu.

Józef Radka z Ostrowa, szyper zaginionej w tym dniu pomaranki, który dożył dziewięćdziesięciu kilku lat, szczegóły tego przeżycia opowiedział u Jana Fabisza, zamieszkałego na skarpie Lisiego Jaru, tuż przy Rozewiu.

Smuga światła rozewskiej latarni raz po raz, w równych odstępach czasu padała w okno checzy Fabisza, w której jego ród mieszkał od przeszło trzystu lat. Jeden z jego przodków pamiętał, jak zawiął do brzegu król Zygmunt III Waza, wracając z niefortunnej wyprawy po koronę szwedzką. Fabisz opowiadał o barkach, o fregatach, szkunerach, które zaginęły w XIX stuleciu. Te ustne przekazy utrwalił między innymi w swojej książce Franciszek Fenikowski, którego w tym celu zaprowadziłem do Fabisza.

Robiąc sieć, snuł rybak następującą opowieść:

— Było to w roku 1809, gdy w Gdańsku były wojska francuskie, a latarnia rozewska od czasów fryderycjańskich się nie paliła, gdyż usunięto polskiego latarnika. Jednej ciemnej nocy trzynaście francuskich statków zostało rozbitych na głazach rozewskich. Załogi tych statków poginęły w kipieli morskiej. W wiele lat później zatonął przy Rozewiu bryg „Adela”. Na pokładzie miał dwunastu marynarzy. Widząc, że bryg przyjmuje coraz

więcej wody i śmierć ich staje się nieunikniona, marynarze zapisane kartki wkładali do flaszek, korkowali je i wrzucali do wody. Butelki dryfujące do brzegu wylapywali najbliżsi. Przez cały czas zmagani z żywiołem morskim donosili im tą drogą wiadomości z ostatnich chwil życia. Ostatni napisał kartkę Jan Orzech. Całą załogę, wyczerpaną pompowaniem, zmyła woda z pokładu. Wszystkie maszty brygu połamane, żagle w strzępach. „Do widzenia, moi najdrożsi, moja matko, mój ojcie, w imię Ojca i Syna, i Ducha św. Rufa już się zanurzyła, w tej chwili znajduję się przy szprytbomie, korkuję tę butelkę. — Jest to moje ostatnie pozdrowienie”. Te słowa napisał Jan Orzech w krytycznej chwili tonięcia brygu „Adela”.

Nie tylko o tym statku opowiadał Fabisz. Także o szkunerze „Kant”, który pochłonęło morze na wschód od Rozewia. Wówczas też cała załoga znalazła swój grób w odmętach morskich. Mówił również o statku „Archimedes”, który zginął w tym samym czasie u brzegów Półwyspu Helskiego. Opowiadał też o dwóch statkach parowych, które tego samego dnia podczas wzburzonego morza wjechały na kamienisty brzeg rozewski. Jeden z nich, tramp „Adler”, został rozbity przez fale morskie, drugim był statek pasażerski „Prinz Heinrich”, który zwykle uprawiał kabotażową żeglugę między Hamburgiem i Helgolandem. Opowiadania Fabisza, nawet te z ostatnich lat jego życia, nie były oparte na legendzie, jak opowiadania Jana Licowa, wspaniałego gawędziarza, którego ojciec nazywał się Licowski. Według niego na przykład w roku 1511 zniszczona została cała flota holenderska, licząca dwieście pięćdziesiąt statków, załadowanych towarami pochodzącymi z Wiednia, Belgradu i Budapesztu. W ładowniach było bardzo dużo miedzi, z przeznaczeniem do portów Holandii i Hiszpanii. Statki miały konwojować lubeckie okręty wojenne. Zajechały im drogę duńskie orłogi. Cała holenderska flota handlowa uległa zagładzie. Duńczycy najpierw pokonali konwój lubecki, a następnie zniszczyli flotę holenderską. Po bitwie wiele wraków wyrzuciło morze na brzeg, duża ich część pozostała jednak w morskiej toni. Przez czterysta lat rybacy wylawiali kotwice, klepki, żebra i maszty. Tę samą historię Jan Fabisz opowiadał ze szczegółami, potwierdzając jej autentyczność.

Przy końcu XIX stulecia historyk Franc Szulc w swojej książce pt. *Die Geschichte des kreises Putzig und Neustadt*, odnotowuje w rozdziale poświęconym Rozewiu wydarzenia, które zaszły w dniach między 8 i 12 sierpnia 1511 roku. W tejże książce opisuje tę samą historię, którą przez całe swoje długie życie opowiadał Jan Licow. Otóż siedmiu sołtysów z nadmorskich wsi wybrzeża rozewskiego udało się w 1552 roku do króla Zygmunta Augusta do Krakowa, by wysokiego urzędnika, kasztelana puckiego, Stanisława Kostkę, oskarżyć o to, że ściągą nieprawnie od rybaków czynsz. Owi rybacy musieli jednak długo obijać się po podwawelskim grodzie, zanim doczekali się powrotu króla z Litwy. Zygmunt August po przyjeździe przyjął rybaków i specjalnym aktem potwierdził przyznany wsiom nadmorskim przywilej zwalniający mieszkańców z obowiązku płacenia czynszu.

Po ukazaniu się książki Franca Szulca w roku 1904 opowiadaniom Jana Licowa dawano wiarę. Z wielką powagą przyjmowano również jego legendy ze średniowiecza, do których należy między innymi przekazana w tej książce pt. *Ostatni smok*. Od Jana Licowa przekazał mi tę legendę Józef Glembin, już w formie zniekształconej, bo mocno obrosniętej fabułą bajkową. W ostatnim bowiem okresie niewoli pruskiej rybacy Wybrzeża w wątek tej bajki wplatali zapowiedź nadchodzącej wolności.

Jan Licow przekazał mi również opowiadanie o Szwedach pod Puckiem, fakty w nim podane przedstawiłem historykowi prof. Wacławowi Odyńcowi z Gdańska, ponadto zweryfikowałem je, dzięki pomocy pisarza duńskiego, Hilarego Wulfa, z dokumentami Biblioteki Uniwersyteckiej w Upsali. Trzon tych opowiadań pokrywa się z historyczną prawdą.

Józef Glembin, stary rybak z Chłapowa, temat swych opowiadań zaczerpnął aż ze starożytności. Było ciepłe popołudnie na progu złotej jesieni. Z Franciszkiem Fenikowskim, moim opiekunem z okresu, kiedy podejmowałem pierwsze próby pisarskie, staliśmy przed rybacką checzą w Chłapowie. Tuż przy nas kołysały się w lekkim podmuchu sieci rozwieszone na płocie i żerdziach, a w głębi domku, za sionką, w mrocznej kuchni bulgotała w czarnym kociołku szwedzka smoła, zmieszana z sodą i przegotowaną wodą. Józef Glembin, który za młodu pływał na okrętach między Bremą a Ameryką, na starość zaś powrócił do rybackiego rzemiosła, podrzucił suchego chrustu do ognia i klekocąc drewniakami powrócił do nas, by podjąć przerwana rozmowę. Wysoki, przygarbiony ósmym krzyżykiem, otarł nozdrza przybrudzone tabaką — „wiadomo, knop, co nie tabaczy, nic nie znaczy” — i gadał o mieszance, którą gotował, aby nasaczyć nią sieci na flądry, tzw. nety. Skarżył się na ciężką pracę przybrzeżnych rybaków, wspominał dawne lata, owe czasy, jakie przeżył na transatlantyckich kolosach, odwiedzając zamorskie porty, kraje...

— Dawniej — mówił do nas — nie było okrętnikom lekko. Jeszcze kiedy byłem chłopcem, opowiadał mi o ich losie mój ojciec, Andrzej, który urodził się w roku 1840 i wiele historii znał od starych marynarzy. Najczęściej powtarzał to, co usłyszał od Józefa Detlaffa z Tupadeł, zwanego Korkowym, bo dla całej okolicy robił z drzewa korki (drewniaki). Pamiętam go dobrze, wielki był jak znana z legend kaszubskich postać stolema, wasy miał jak dwie miotły. W młodości pływał na niemieckiej dwumasztowej szlarze i trafił nawet na wyspę ludożerców. Nie umiał rzec, gdzie to było, bo wtedy nasi ludzie mało o świecie wiedzieli. Zapamiętał tylko, że pasło się tam stado baranów. Na okręcie brakowało im wówczas żywności i wody. Kapitan dał jednemu Niemcowi, Korkowemu i trzeciemu matrosowi, Kaszubie z Kuźnicy, butlę z kornusem, żeby za nią kupili na lądzie świeżego mięsa i przywieźli w baryłce wody do picia. Spuścili oni bot i popłynęli do strądu. Tam napotkali jednookiego chłopca, wielkiego jak góra, który pasł owce, ten zaraz chwycił Niemca i rozerwał go na pół, a jego drechów zamknął w szopie, do której na noc zapędził trzodę. Nietrudno się domyślić dalszego ciągu tej historii. Korkowy przeżył to samo, co

Odyseusz goszcząc u Polifema, z tą tylko różnicą, że na szlarze pływało zaledwie sześciu chłopów, nie mógł więc kaszubski Odys na tę wyprawę zabrać ze sobą, jak jego poprzednik, dwunastu żelgarzy. Kornus zamiast bukłaka wymarzonego wina czy szopa zamiast pieczary, wreszcie oślepienie pijanego czy śpiącego olbrzyma, czy ucieczka pod brzuchami baranów — wszystko to nie ma tu żadnego znaczenia. Ważne w tym wypadku było przejście się Józefa Glembina opowiadaną przygodą, który gestami wzbogacał słowa i przedstawiał po kolei to rozkrąconego we drzwiach pastucha, to wymykających się okrętników — przed naszymi oczyma rozgrywała się scena niemal jak wzięta z Homera.

— Stolem — zakończył bazarz — połapał się, że matrosi uciekli, rykiem przywołał swoich braci, którzy weszli do morza aż po szyję. W tym czasie Korkowy ze swoim drechem z Kuźnicy dobili już do szlary, kapitan rozkazał wyciągnąć czołno, podniósł kotwicę i odpłynął na taką głębię, gdzie wielkoludy nie zdołały ich dosięgnąć.

Tu urwała się rozmowa, bo smoła zaczęła kipieć i Glembin zabrał się do smarowania sieci. W prawdziwość tego, co mówił, wierzył święcie, w życiu nie słyszał o Homerze, Odyseuszu i Polifemie — synu Posejdona, nigdy też nie brał do ręki innych prócz do nabożeństwa ksiązek. Stary Andrzej i Korkowy-Detlaff nie umieli pisać ani czytać, więc jakimi drogami wieść o przygodzie antycznego żeglarza dotarła z dalekiej Grecji pod kaszubskie strzechy? W jaki sposób okrętnik z Tupadeł zdołał przyodziać w skórę chytrego syna Hitaki — pozostanie tajemnicą.

Należy domyślać się, że sporo takich legend przywieźli kaszubscy żeglarze z dalekich krajów i mórz, lecz zniekształcali ich treść, dorzucając wiele własnych pomysłów, popisując się przy tym swoim talentem narratorskim. Należał do nich m.in. Józef Lesnow, rolnik z Odargowa, który opowiadał anegdotki o starym Frycu, jak zbił go chłop Trella z Łubkowa. Były to anegdotki bardzo złośliwe, wymierzone w zaborczego króla Prus, który po zajęciu ziemi kaszubskiej miał — jak podają legendy — pojawić się w tych stronach i penetrować co najlepsze gospodarstwa, aby oddać je osadnikom. Pisze o tym Franc Szulc we wspomnianej już książce *Die Geschichte des kreises Putzig und Neustadt*.

Odnosił do niej słowa króla pruskiego, który wysyłając swoich huzarów, by przemierzyli ziemie Beloków, miał na odprawie powiedzieć: „Przed wszystkim musimy wytrzebić — *das Polnische Gesindel* (polskie plugastwo). Toteż Kaszubi na pocieszenie podawali sobie różne złośliwe anegdotki o tym bezwzględny polityku, a pokolenia następne przekazywały je z głęboką wiarą.

W roku 1962 pojawił się u mnie węgierski grafik i pisarz w poszukiwaniu źródłowych materiałów dotyczących wybrzeża kaszubskiego. Chętnie mu ich udzieliłem i opowiedziałem anegdotkę z Łubkowa o starym Frycu, która go mocno zainteresowała. Prosił więc, aby się z nim tam udać celem zasięgnięcia języka, co też na miejscu mówią o tym wydarzeniu. Gdy wjechaliśmy samochodem do tej malutkiej wioski, wszedłem do

pierwszej z brzegu zagrody i zapytałem może czterdziestopięcioletniej gospodyni:

— Czy słyszeliście coś, że stary Fryc, król pruski, jakoby otrzymał tu lanie od chłopów i czy ten dom jeszcze stoi, gdzie to się miało dziać?

— Tak, wiem wszystko — odpowiedziała z miejsca — zaprowadzę tam pana.

— Wie pani, kto ja jestem? — zapytałem się uprzejmie kobiety.

— Wiem, pan jest nasz pisarz — odpowiedziała.

Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do poszukiwanej zagrody. Skoro zbliżyliśmy się, informatorka wskazała nam starą chałupę, a raczej stodołę o glinianych ścianach. Skierowała naszą uwagę na przyotwarte dwierze i powiedziała:

— Tędy stary Fryc uciekał do Brandenburgii.

— A czy tu mieszkają jacyś gospodarze, żeby od nich coś się dowiedzieć?

— Gospodarzami są dwie dziewczyny, które tu mieszkają.

Po chwili informatorka przyprowadziła dwie stare kobiety i przedstawiła je jako właścicielki tego gospodarstwa.

Zwróciłem się do naszej przewodniczki:

— Mówiła pani o dwóch dziewczynach, a przyprowadziła pani dwie poważne osoby.

— To są dziewczynki, one nigdy mężów nie miały.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziałem. — Czy to gospodarstwo jest waszą własnością.

— Tak, tu mieszkamy od dziada pradziada i chyba od początku świata — wyjaśniła starsza z nich.

— To chyba panie słyszały, że w tym domu miał nocować stary Fryc...

— Tak, tak — przerwała z miejsca starsza. — On tu spał. Przebrał się w chłopskie łachy i łąził. Stark go nie poznał z początku. Ale Jakub Łyska, stark, przed wieczorem naszemu starkowi powiedział: „Ej, ostrożnie, to jest stary Fryc ze swoim adiutantem”.

Węgier Vincze Lajos z miejsca narysował dwie gawędziarki. Jego żona, stenografistka, wszystko notowała.

— A jak pani stark się nazywał? — zapytałem się.

— Jan Trella, a jego białka to była Jagienka. — Stark, gdy się dowiedział, że to król pruski, wszedł do izby, a była to ta sama izba, gdzie my siedzimy, ta checz była z gliny.

— Dobrze, dobrze, ale powiedzcie, jak to było.

— To było tak — stara gawędziarka zerwała się z krzesła i podeszła pod ścianę. — Tutaj stało łóżko, które było dość szerokie, na nim pierzyna powleczone samodziałową poszwą. Fryc leżał z brzegu. — Kobieta pokazała otwartymi dłońmi to miejsce. — Ten drugi łazik leżał koło ściany. Nasz stark powiedział Frycowi: „Za darmaka was nie przenocuję, musicie mi pomóc łąkę skosić”. Fryc chętnie się zgodził i rzekł: „Dobrze, dobrze, skosimy”.

Stark już nic do niego więcej nie mówił, bo sobie pomyślał, z kim tu rozmawiać, to jest prawdziwy wędrowczyk — łokcie w kaftanie wydarte, piersi stabaczone. Chwycił za klamkę i rzekł w drzwiach: „Śpijcie z Bogiem”. A stary Fryc ani słowa. Jak stark wyszedł, to się domyślił, że Fryc nie ma polskiej wiary. Tak się zdarzyło, że jak weszli do łóżka, to adiutant położył się koło ściany, a Fryc z brzegu. Następnego dnia rano stark poklepał kosa, a te dwa śpiochy jeszcze nie wstały. Tak stark poszukał sobie gibkiego dąbka, wpadł do checzy i lał pierwszego z brzegu, nawet nie zważał, kto to był, ale złożył go dobrze, a temu drugiemu udało się wymknąć. Nie wypuścił ich stark, powiedział:

„Spaliście u mnie całą noc, jeszcze dałem wam wieczerzę, musicie to odrobić”.

Padał deszcz, więc nie mogli iść kosić, ale zaprowadził ich do stodoły, gdzie przez cały dzień młócili. Zatrzymał ich jeszcze jedną noc, bo się rozpozodziło i musieli mu pomóc skosić łąkę.

„Tym razem — rzekł Fryc do adiutanta, zanim się położyli do łóżka — ty połóżysz się z brzegu, a ja przy ścianie. Przecież codziennie nie mogę dać tłuc swoich kości”.

Von Ziethen, bo takie było nazwisko adiutanta, musiał się zgodzić. Następnego dnia rano ta sama historia, tych dwóch łazików zasnęło. Więc stark znowu wpadł z kijem. Fryc, jak zobaczył starka, zaczął się kryć pod pierzynę. A stark mu na to:

„Hej, ty kontorze, wczoraj się wymknąłeś, ale dzisiaj dostaniesz podwójnie!”

Nie żałował go. Toteż gdy się ubrali, puścili się biegiem naokoło jeziora, aż do Nadola, a stamtąd — jak opowiadali — do Brandenburgii.

Vincze Lajos podsunął gawędziarkom ich podobizny, aby się podpisały, i spakował je wraz z zapisanymi notatkami jego żony. Podziękował serdecznie poczciwym Kaszubkom i odjechaliśmy.

Gawędziarkom się zdawało, że mówią szczerą prawdę, bo to wszystko zasłyszały od swego ojca.

Poznałem jeszcze wiele innych anegdotek o starym Frycu, między innymi od starego Jana Fabisza, do którego, póki żył, zachodziłem często z Franciszkiem Fenikowskim.

Z czasem powstawały bajki współczesne, z których wiele przekazała mi matka mojej matki, Franciszka Lesnow, z domu Tarnowska. Pochodziła z Warblini. Jej ojciec, a mój pradziadek, Tarnowski, wywodził się z Mazowsza, od Wyszogrodu, z tych stron, gdzie Bzura wpada do Wisły. Brał udział w powstaniu listopadowym, musiał piastować jakąś wyższą szarżę wojskową, bo go carska policja ściagała po obu stronach Wisły. Jednak udało mu się ująć przed zaborcą. Przyszedł na Kaszuby. Miał dobry trzosa złota i szukał gospodarstwa rolnego. Znalazł cztery włóki żywej ziemi w Warblini. Nabył je od Szornnaka, który wtenczas jako jeden z pierwszych emigrantów wybrał się do Stanów Zjednoczonych i zamieszkał w żywej okolicy nad Czerwoną Rzeką (Red River), gdzie zdobył 250

hektarów czarnej ziemi. Jan Tarnowski, brat babki, gdy powstały niesnaski w jego rodzinie, odsprzedał połowę dziedzicznego gospodarstwa swojemu bratu Józefowi i wyjechał do Ameryki. Dziadek mój, Józef Necel, był rybakiem, żywo interesował się miejscowymi duchami, tak zwanymi straszakami. I na ten temat opowiadał mi wiele legend, które mnie, szesnastoletniemu wówczas chłopcu, zapadły głęboko w pamięć. Związane one były z życiem i obyczajami wsi nadmorskiej.

Ojciec mój, Jan Necel, gdy miał iść jako poborowy do niemieckiego wojska, czmychnął ze swoim bratem Józefem za Ocean do Stanów Zjednoczonych. Tam spotkał się z przyrodnim bratem swej narzeczonej, a potem mojej matki, Józefem Bemką pochodzącym z Poczernina. Opowiedział on ojcu bajkę o tym, jak wyprowadził puckiego sztrandvogta w pole, zamieniając złoto w kamyczki strądowne.

Było to w roku 1874, kiedy statek angielski „Princ Peter”, rozbity przez fale, wpadł na mieliznę koło Cetniewa. Tam zebrała się liczna rzesza rybaków, polujących na łup. Załoga zatонуła, uchwalił się tylko kapitan, który obiecywał ludziom trzos złota za uratowanie statku. Chętnych nie było, wówczas schował on na piersi worek i zaraz potem został porwany przez wzburzone morze. Widział to niemiecki strażnik brzegowy, chciwy złota, czekał, kiedy fale wyrzucą zwłoki na brzeg. W tym czasie Bemka, udając trupa kapitana, położył się na zoloju z woreczkiem kamyczków na piersiach. Widząc go strażnik, zabrał mu worek i pomknął na wydmy. Wówczas Bemka wskoczył z tyłu na jego konia i udając ducha utopionego kapitana, zapowiedział strażnikowi, że złoto zamieni się w kamyczki, które musi połknąć w przeciągu trzech dni, jeżeli chce żyć. Pucki sztrandvogt Kloc, tak barbarzyński, jak zabobonny, uwierzył, że ma do czynienia z duchem utopionego kapitana. Będąc przekonany, że nic mu innego nie pozostaje, aby uratować życie, spełnił rozkaz ducha. Gruby brzuch Kłoca zaczął pęcznieć jak wilkowi, któremu koźleta napakowały do wnętrza pełno kamieni. Wielki służbista pruski po połknięciu kamyczków siadł na konia i wybrał się do Cetniewa, aby sprawdzić, czy nad brzegiem morza leży jakieś drzewo po rozbitym statku. Ale nie znalazł nawet śladu po wraku. Wszystkie belki zabrali rybacy z sąsiednich wsi i długi czas palili nimi w piecach, ogrzewając swoje mieszkania. Żaden rybak nie miał wątpliwości, że była to zwyczajna bajka, którą ułożył Bemka w Superiorze nad Jeziorem Górnym w Stanach Zjednoczonych. Matka moja historię знаła z opowiadań ojca i zapisała ją w roku 1895.

W roku 1911 babka moja ze strony ojca wróciła z Warblini, odwiedziła swego brata Józefa Tarnowskiego i przyniosła bardzo sensacyjną wiadomość. Brat jej opowiedział, że jechał przez las w okolicach Domatowa i raptem znalazł na swym wozie nagie dziecko. Było bardzo gorąco, dzieciak zapowiedział Józefowi, że lato tego roku jest upalne, ale w następnym przyjdzie jeszcze bardziej skwarne. Nastąpi to w setną rocznicę klęski armii polskiej pod Lipskiem. Wówczas ukażą się na wiśniowych liściach plamy w kształcie węży. Wybuchnie wtedy wojna, którą cesarz

niemiecki wypowie prawie całemu światu. Cesarz niemiecki, który ma suchą rękę, przegra tę wojnę. Z resztą swojej armii będzie mógł się schronić pod jednym dębem. Powstanie Polska i złączy się cały kraj, uciskany przez przemoc trzech zaborców. Babka, kiedy opowiadanie to przyniosła do Chłapowa, miała już blisko siedemdziesiąt lat. Matka moja, choć wiedziała, że jest to legenda, chętnie ją u nas w domu opowiadała ludziom. Ponieważ ojciec mój był szyprem maszoperii, często w domu naszym przebywało wielu rybaków, którzy z zaciekawieniem jej słuchali. Opowiadanie to matka, która czytała polską prasę i książki, spisała przy pomocy starego krawca, sąsiada, i pokazywała rybakom, mówiąc, że to jest pismo, które ów dzieciak zostawił na wozie Józefowi Tarnowskiemu. Legendę tę, stworzoną przez brata mej babki, matka wypuściła w świat poprawioną do tego stopnia, że rybacy na Wybrzeżu uwierzyli w autentyczność całej sprawy.

Zapowiedzianego roku rzeczywiście ukazały się na wiśniowych liściach wężyki wypalone przez słońce, potwierdzające ów cud z dzieckiem. Lud wyczekiwał więc w 1913 roku wielkiej wojny, która jednak nie wybuchła. Ale było wiele znaków na ziemi i na niebie, co ją zapowiadało. Na Bałkanach zaczęło już wrzeć, ale dopiero w 1914 roku sprawdziło się proroctwo zawarte w legendzie. Jeszcze kilka innych bajek ułożyła moja matka, Franciszka Necel, wszystkie związane są z nadzieją odrodzenia Polski. Krzepiła w ten sposób między ludem wiarę, że wkrótce wolna będzie Matka Polska, jak mówiła, Ojczyzna świętego Wojciecha, królowej Jadwigi, Andrzeja Boboli, Jana Kazimierza, bohatera wojny z najeźdźcą z północy, Jana Sobieskiego, pogromcy Turków, ojczyzna Tadeusza Kościuszki, Kochanowskiego i Mickiewicza.

Augustyn Necel

Jak wilk uratował psu życie

Żyła sobie rodzina na małym gospodarstwie. Posiadała olbrzymiego psa, imieniem Sułtan. Stary on był i wszystkie zęby stracił. Toteż złodzieje kradli temu drobnemu gospodarzowi, co tylko pozostało na podwórzu. Gospodarze przekonali się, że pies już do niczego się nie nadaje.

— Nie ma co, musimy go zabić i kupić sobie nowego psa — rzekła jednego dnia żona do gospodarza.

Sułtan usłyszał to leżąc przy drzwiach i bardzo posmutniał.

— Taka podzięką mi się szykuje — pomyślał sobie pies. — Tyle lat obganiałem ich gospodarstwo, narażałem się na nieliczną ilość biczów, a teraz mnie zabijają. To dopiero zapłata za moją wierną służbę.

Następnego dnia, w porze obiadowej Sułtan udał się do lasu, by pożalić się swojemu przyjacielowi wilkowi:

— Co ja teraz zrobię? — rzekł do swego kuzyna. — Przez tyle lat wiernie służyłem gospodarzom, a teraz oni chcą mnie zabić.

I lzy cisnęły mu się do oczu.

— Nie płacz, mój kochany — rzekł wilk do Sułtana. — Twój gospodarz z gospodynią pójdą w poniedziałek na łąkę grabić siano, wezmą ze sobą swego jedynego synka. Zawiniętego w pieluszkę położą za pierwszą kupą siana, tuż koło lasu, a ty położysz się obok dziecka i będziesz niby pilnować. Wtedy ja wymknę się z lasu, z cicha podejść do kupy siana, porwę dzieciaka i z nim w nogi do lasu. Ty się zerwiesz, zaczniesz gromko szczekać i puścisz się za mną w pogoń. Ja pozwolę się złapać, ty odbierzesz mi dziecko i zanieśiesz niemowlętko jego matce. Będzie ciebie ona głaskać i nawet całować. Gospodarz zaś z miejsca uda się do domu, by tobie smacznej leguminy nagotować, bo nie masz zębów.

Sułtan zrobił wszystko zgodnie ze wskazówkami wilka. Przeżył pod czułą opieką gospodarzy swoje starcze lata. Pił mleko i jadał bułki z pszennej mąki.



Ale wilkowi w lesie powodziło się coraz gorzej. W okolicy pojawiło się mnóstwo myśliwych, którzy płoszyli dzikie gęsi, zajęce i sarny, a dla wilka nie zostawiali nic. Zakłopotany udał się w nocy do Sułtana.

— Przyjacielu, uratowałem ci życie, gdy byłeś w opałach, teraz ty przyjdź mi z pomocą i pozwól mi zabrać barana z szopy twego pana. Uchroni mnie to na jakiś czas od śmierci głodowej.

— Kosztem zdrady swego pana nie mogę ci pozwolić, abys zabrał cokolwiek.

Toteż wilk wciągnął ogon między łapy i wrócił do lasu, gdzie po kilku dniach zdechł z głodu. A Sułtan, dumny, żył u swego gospodarza jeszcze kilka lat, bo go dobrze karmiono, dając mu miękkie potrawy, zrobiono mu wygodne posłanie w nowej budzie, a dzieciak, którego niby wyratował, bawił się z Sułtanem całymi godzinami.

Chytry lis i głupi wilk

Było to już dosyć dawno temu, gdy pewien chłop ze wsi odległej od Wybrzeża, przyjechał nad morze po ryby. Nakupił od rybaków łososi, dorszy, fląder i węgorzy. Załadował pełne sanie, smagnął kobyłę batem i ruszył w kierunku swojej wsi. Droga była górzysta i piaszczysta, zasypana kopnym śniegiem. Chłop jechał powoli, zaś obok sanek szedł rowem lis i oblizywał się czując woń smacznych ryb. Myślał, jak je tu dostać. W końcu wpadł na taki sposób: brzegiem lasu wybiegł chłopu naprzeciw, położył się na drodze i udawał zdechłego. Chłop, wypatrując drogi, zauważył, że leży puszysty lis z długim, puszystym ogonem. Przystanął, pochylił się i pomyślał:

— To będzie dla mojej białki na kołnierz do mentla.

Wziął lisa i wrzucił go na wierzch, na ryby. Bat położył na saniach, bo droga prowadziła z góry i na razie nie potrzebował konia podcinać. Tak ujechał kawał drogi, kiedy dróżka znów prowadziła pod górę. Chciał wziąć bat, by konia popędzić, ale bata

nie znalazł. Konia uwiązał do przydrożnego drzewa i poszedł szukać bata. Na to tylko czekał sprytny lis. Bo to on zrzucił bat, aby chłop odszedł od san. W tym czasie lis wszystkie ryby poznośił do lasu. Chłop wrócił z batem, ale nie zastał ani ryb ani lisa.

— To ten purtk mnie wystrychnął na dudka, zwał bat, bym odszedł od ryb, a wtedy swoje zrobił. A szukaj teraz lisa w lesie — rzekł chłop i ruszył w dalszą drogę.

Lis zmiarkował, że chłop się oddalił, bo głos dzwonka słyszał słabiej, wziął więc ryby i przeniósł je do swojej nory. Tam zaraz wypatroszył pięknego łososia i zaczął go smażyć. Zapach smażeniny poczuł jego sąsiad wilk. Zjawił się natychmiast w mieszkaniu lisa, pozdrowił go serdecznie i rzekł:

— Smaczną masz dziś kolację, aż się woń rozeszła po całym lesie. Może byś mi użyczył trochę ryb, bo jestem taki głodny, że mógłbym sobie własne uszy obgryźć.

— Nic z tego! Jesteś leń i niezdara. Mogłeś sobie złowić sam, jak ja.

— Ale nie wiem, jak, ani też nie mam sprzętu rybackiego.

— Masz ogon, czy nie masz ogona? — wrzasnął lis na wilka. — To idź na brzeg Małego Morza, tam włóż ogon do wody, a ryb nawłazi ci mnóstwo, bo masz kudłaty ogon. Jeszcze więcej złowisz niż ja, i będziesz wcinał smaczne łososie, węgorze, szczupaki i flądry. Choć to zima, utyjesz jak baron. Ja część swoich ryb zjem na kolację, trochę zostawię sobie jeszcze na jutro. Resztę wypatroszę, zasolę, bo mróz dobiera i zima będzie długa. A ty rób, co ci powiedziałem. Jak sobie złowisz, nie będziesz musiał łązić po owczarniach i kasować rżniętek.

— Może byś mnie zaprowadził tam, gdzie można ryby złowić?

— Patrzcie, ten niezdara nie wie, gdzie się ryby łowi — rzekł lis. — Ale już po sąsiedzku pójdę z tobą.

Lis drobnym kroczeniem biegł przed wilkiem, a wilk walił za nim ślad w ślad. Doszli nad brzeg Małego Morza, tuż u nasady Półwyspu Helskiego.

Lis wypatrzył przerębłę i kazał wilkowi, aby wsadził do niej ogon. Siarczysty wiatr wiał wprost z morza. Lis widział, że ogon wilkowi już zamarza, ale czekał. Wilk właśnie w tej chwili się go zapytał:

— Czy już mam wybierać, bo zaciąg chyba dosyć długi jest?

— Jeszcze trochę trzymaj, ty leniu, niech przynajmniej jutrzienka wszędzie.

Wilk zgodnie z zaleceniem lisa nadal siedział z ogonem w przerębli.

Lis, kiedy zauważył, że jutrzienka zajaśniała na wschodzie, rzekł do wilka:

— Teraz wybieraj, już czas.

Wilk chciał wyciągnąć ogon, ale nie dawał rady, ogon trzymał jak zacementowany. Zaparł się więc wszystkimi siłami i ciągnął, aż mu dusza chciała na ramię wyleźć, a ogon ani rusz.

— Tyle ryb złowiłeś! Masz szczęście — krzyknął lis. — Widzę, że będę musiał lecieć po rybaków, by ci pomogli.

Wilk chcąc nie chcąc musiał się na to zgodzić. Tymczasem sprytny lis pobiegł do sąsiednich wsi, zgromadził całą zgraję psów, były wśród nich bernardyny, wilczury i różne kundły. Wszystkie psy zabrał ze sobą i pognął do Małego Morza na przełaj przez pola. Kiedy psy spostrzegły unieruchomionego wilka, nie potrzebował ich szczuć. Całe psie bractwo rzuciło się na nieszczęśnika, zaczęło go szarpać i gryźć, gdzie popadło. Wilk ostatnim wysiłkiem szarpnął ogon tak mocno, że mu się urwał. Nie zwlekając dał drapakę do lasu, a lis udał się do swego domostwa, dobrze zaopatrzonego w smaczne ryby. Kiedy znalazł się w swojej norze, przystąpił do patroszenia ryb. Po chwili przyszedł zmęczony, zziębnięty wilk. Krew mu broczyła z karku, grzbiet miał cały w ranach. Usiadł na ławce i zaczął z lisem poważną rozmowę.

— Mógłbyś mi choć trochę ryb odstąpić, gdybyś ty nie miał, a ja bym miał, tobym się z tobą podzielił.

— Powiedz, sąsiedzie, jak ty możesz łowić, skoro ogon masz spróchniały, ledwie kilka ryb się jego uczepi, a zaraz się oderwie, natomiast innych narzędzi do połowu nie masz.

— Przyjdzie mi z głodu zdechnąć — uzalił się nad sobą wilk ze łzami w oczach.

— Tak źle nie jest. Po przeciwnej stronie lasu stoi zagroda bogatego chłopca. Wydaje on za męża swoją córkę. Wyprawia huczne weselisko, już podglądałem. Mają pełne piwnice smacznego jadła. Tam pójdziemy. Wykopiemy sobie pod domem dwie dziury, każdy swoją, wejdziemy do piwnicy i wyczyścimy ją do cna. Najesz się, jak na wilka przystało.

— To dopiero będzie zacha i uczta — rzekł wilk.

Ruszyli w drogę. Przyszli do zagrody, patrząc, cały dworek oświetlony. Kapela rżnie, a goście we frakach tańczą. Zaczęli więc wydrapywać ziemię pod fundamentami i łatwo weszli do środka piwnicy. Czego tam nie znaleźli. I groch z gęsiną, smaczną czerniną, kompoty, pachnące ciasta. Głodny wilk rozpoczął od grochu, który wtenczas był pierwszą potrawą na ucztach weselnych. A lis próbował wszystkich deserów i kompotów i od razu zaczął wyć, bo łososie się w nim odezwały. Wtedy wilk upomniał lisa:

— Czemu wyjesz? Weselnicy przyjdą i dopiero nam sprawią lanie.

— Nie bój się — uspokajał go lis. — Gdy ktoś się pojawi, uciekniesz moją dziurą, a ja twoją, jak wiesz, wszystko moje jest lepsze.

— Dobrze, dobrze — rzekł wilk i chleptał dalej.

Lis zanurzył łeb w czerninie, gdy wtem ukazał się w piwnicy gruby kucharz w białym fartuchu. Lis przez dziurę towarzysza czmychnął na dwór, a wilk wsadził łeb w szczelinę lisa i dalej ani rusz, tak była wąska. Tymczasem kucharz chwycił tasak i dalej rąbać nim po krzyżach wilka. Nadbiegli weselnicy, przerażeni, widząc, co się dzieje, zaczęli wrzeszczeć:

— Lijta go, lijta!

Wilk zmuszony był się wycofać. Odnalazł swoją dziurę i dopiero wydostał się z pułapki. Nie oglądając się, co sił w nogach zmiatał do lasu. Po chwili zjawił się lis.

— Widzisz, jak ja wyglądam, cały jestem porąbany — rzekł wilk do kolegi.

— Ale spójrz na mnie — próbował wzbudzić współczucie lis unurzany w czerninie i swój łeb podsunął pod ślepią wilka. — Miałeś szczęście,

że później wyszedłeś, bo mnie gospodyni tak dzieliła siekierą, że o mało co łba mi nie ucięła. Ach, do naszego wesela nam się wygoi — zapewnił wilka i namówił go: — Tu pod lasem leży piękne drzewo. Zabierzemy je sobie.

— Ale widzisz przecież, że jestem posiekany jak szczapa.

— To nic, ty poniesiesz ten cienki koniec, a ja ten gruby.

Lis podprowadził swego kolegę do wywróconej wysokiej sosny. Pomógł mu dźwignąć grupy pień, wmawiając w niego, że to wierzchołek drzewa, a sam wlaź na konar, tłumacząc wilkowi, że to jest gruby koniec. Wilk ciągnął drzewo wraz z lisem, który usiadł sobie na gałęzi i wesoło śpiewał:

— Chory zdrowego niesie... Zdrowego chory niesie...

Wilka to bardzo rozniewało, rzucił pień i podszedł do lisa.

— Ty tak nie śpiewaj, bo tutaj ciebie zostawię wraz z drzewem.

A lis mu na to:

— Cicho, cicho, przyjdziemy do mojej nory, to mnie zeżresz.

— Zgoda — przytaknął wilk.

Powoli zaszli do nory lisa. Wilk rzucił pień, podszedł do lisa i chwycił go zębami za ogon. Kiedy ściągnął go z konara i szedł z nim do pniaka sosnowego, lis krzyknął:

— Puść ogonek, a chwytaj korzonek, bo drzewo ucieka.

Wilk, aż do szczegółów dokładny w wykonywaniu rozkazów lisa, puścił jego ogon i chwycił korzeń. Lis tymczasem zwinnie się wykręcił i dał susa do swojej nory. Zasuwał u drzwi zasunął, stanął w oknie i śmiał się z wilka. Ten popatrzył na lisa, pokręcił głową i pomyślał sobie:

— Łobuz zostanie łobuzem. Przy nim tu nic nie zyskam.

Odwrócił się i poszedł w las, a lis sprzątnął mieszkanie, wziął siekierkę i porąbał drzewo. Teraz miał opału na całą zimę. Żył sobie jak graf aż do czasu, kiedy pojawiły się młode zajączki, a gospodyni zaczęła wypędzać swe gąsienice na pastwisko.

Miejskie muzykanty

Pewien chłop miał osła, którego nauczył chodzić w zaprzęgu i zimą jeździł nim do lasu po drzewo. Ale osioł się zestarzał i nie mógł już wiele uciągnąć, więc chłop postanowił go się pozbyć. Gdy był w chlewiku ze swoją żoną, rzekł do niej:

— Każę tego lenia zastrzelić, nie mam z niego żadnej pociechy, nawet okładanie go batem nie pomaga.

Posłyszał to osioł i pomyślał sobie ze smutkiem:

— Taki ma być mój koniec, trzeba się ratować.

Toteż gdy zapadł zmrok, wymknął się z chlewu i podjął myśl, aby iść do Gdańska i zostać muzykantem. Szedł, szedł i naraz na drodze spotkał wielkiego psa.

— Co tu robisz? — zapytał go osioł.

— Bieda, drechu — zaczął się tłumaczyć pies — zamiast domu pilnować, gonilem za sukami, i mój gospodarz postanowił mnie zastrzelić.

— To chodź ze mną — rzekł osioł — o ile potrafisz grać na jakimś instrumencie, możesz zostać muzykantem, idę do Gdańska.

Pies kilka razy tubalnie szczeknął, a osioł mu rzekł:

— Dobrze grasz na tubie basowej, możesz iść.

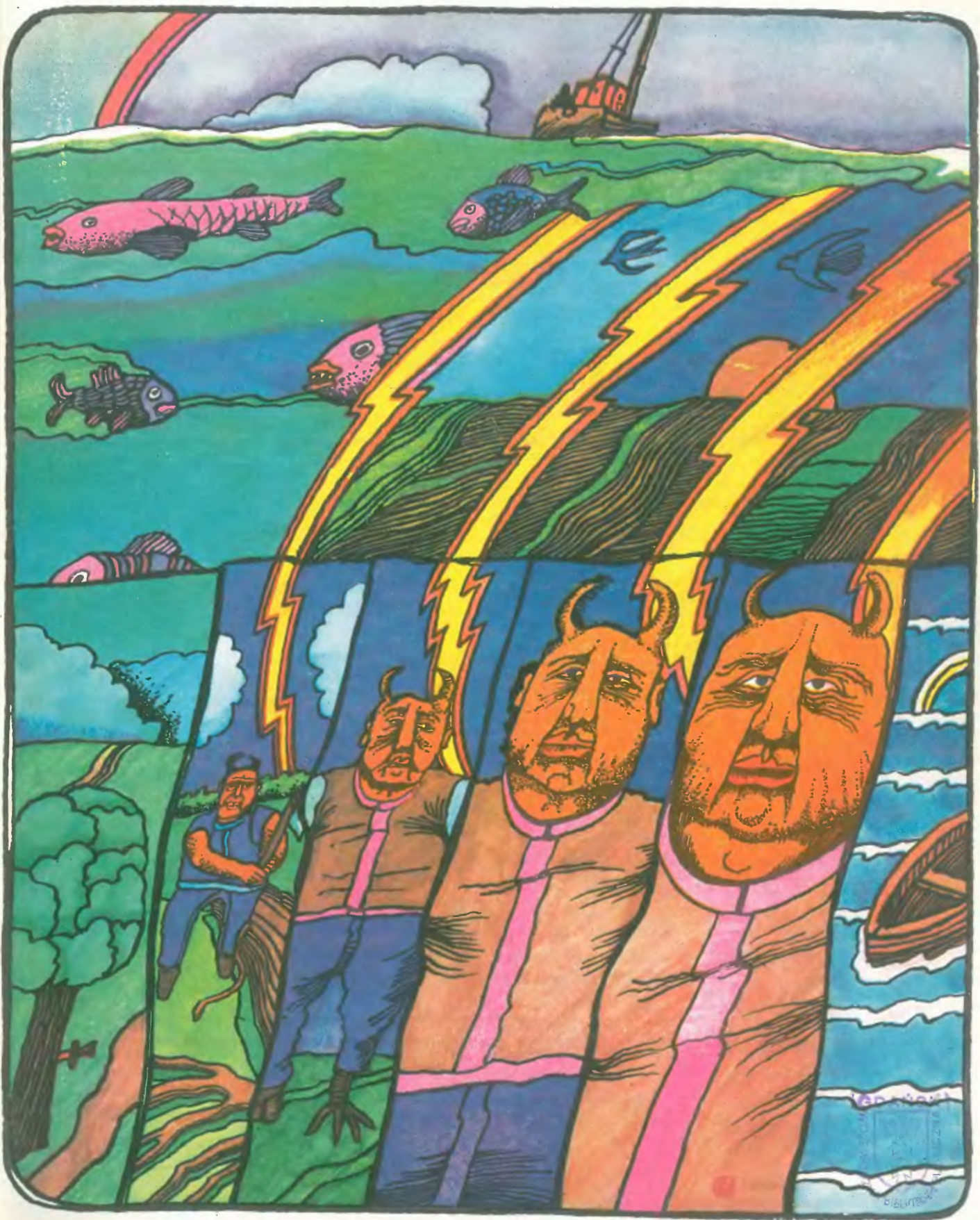
Ruszyli w drogę osioł i pies. Nie uszli daleko, kiedy napotkali kota.

— Co ty tu robisz?

— Paskudna sprawa — odezwał się kot. — Wylałem mojej gospodyni mleko, a ona sprząła mnie i zapowiedziała, że mnie zabije, więc umknąłem z domu. Nie mam po co tam wracać.

— Idziemy do Gdańska, wykierujemy się na muzykantów, jeżeli umiesz grać, możesz dołączyć do nas.

Kot zamiauczał przeciągłym głosem, osioł uznał, że gra całkiem dobrze i zezwolił mu iść z nimi. Teraz maszerowali we trójkę. Szedł osioł, szedł pies i szedł kot. Po godzinie drogi spotkali przy przydrożnym drzewie skulonego koguta.





— Co tu robisz? — spytał go osioł.

— Sprawa wygląda tak. Jutro mają do nas przyjechać goście, jak zwykle w niedzielę, a mają to być goście z Helu. Podśledzałem, jak gospodyni żaliła się do gospodarza: „Tamci z Helu jutro przyjadą, a ja nie mam mięsa”. Na to jej mąż odpowiedział: „Zarżnij koguta, i po kłopotach”. Wtedy pomyślałem sobie, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zmykać, gdzie mnie oczy poniosą, w przeciwnym razie znajdę się w garnku.

— Wszyscy podzielamy tę samą niedolę — powiedział osioł do koguta. — Idziemy teraz do Gdańska jako muzykanci. O ile umiesz grać, chodź z nami.

Toteż kogut wytarł sobie nos i ruszył wraz z towarzyszami. Droga wypadła im przez wysokie góry, wobec czego przez dłuższy czas nie natrafili na żadną wieś.

— Dresze, nie ma innej rady, musimy gdzieś przenocować — rzekł kogut i frunął na sam czubek wysokiej sosny.

Kot tymczasem wdrapał się na pierwszą gałąź i zaczął mruczeć jak kołowrót. Osioł zaś i pies ułożyli się pod pniem drzewa i wkrótce zaczęli chrapać. Noc była ciemna i dżdżysta. Nocleg był pod psem. Kogut, który wciąż tkwił na szczycie sosny, odezwał się nagle.

— Dresze, spostrzegłem wid, ale dosyć daleko.

— To złaź, a pójdziemy w tym kierunku — rozkazał z dołu osioł.

Pies się podniósł i otrząsnął z deszczu swą sierść. Kot ziewnął dwa razy i zeskoczył na dół. Gdy kogut stanął pod drzewem, omówili całą sprawę. Kogut, który miał wzięty zamiar na kierunek światła, ruszył pierwszy. Dłuższy czas wędrowali przebijając się przez gęstsze świerkowe, aż wreszcie wyszli na małą polankę, gdzie tuż pod lasem stała chata. W oknie paliło się światło.

— Firan nie mają, podejźmy pod okno, a zobaczymy, co tam się dzieje — rzekł kogut.

Zbliżyli się, ale okno było dosyć wysoko i żaden z nich nie mógł go dosięgnąć. Stanął więc pod oknem osioł, na osła wlaźł pies, a na psa kot, na kota

skoczył kogut. Przyjrzał się dobrze. Po chwili odwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł:

— Dresze, tam dwudziestu zbójców siedzi w pięknych fotelach. Na ścianach wiszą różne kilimy, a na nich bogate obrazy. A jakie śliczne mają żyrandole, coś apartnego.

Mówiąc to kogut raptem się podniósł, stanął na palcach, wyciągnął szyję i zapiał tak głośno, że wewnątrz pokoju prawie wszystkie świece pogasty. Wtedy zbójcy, kto tylko żył, zerwali się z foteli i hurmem cisnęli się ku drzwiom. W sionce paliła się jeszcze jedna świeca. Wypadli na dwór, puścili się w drogę i dali nura w gęsty las. Korzystając z tego kapela wsunęła się do środka chaty i zaczęła się biesiada od nowa. Muzykanci jedli do syta i pili na umór, każdy wybierał, co mu najbardziej do smaku przypadało. A wybór był wielki. Szampana i węgierskiego wina było, ile kto chciał. Zaczęli się rządzić jak u siebie, sprzątnęli ze stołu i pokładli się do snu. Kogut wyfrunął na dach, osioł położył się na kupie słomy, która leżała przed domem, a pies rozciągnął się przed drzwiami. Kot jak zwykle wszedł do kominka, tam sobie usiadł i jakiś czas mruczał, aż zasnął.

Zbójce zbiegli się tymczasem w lesie, w jakiejś dolinie, i czekali, co będzie dalej. Z czasem zaczęło im się nudzić. Starszy zbójca wyznaczył jednego, by poszedł na zwiady, okrążył cały dom dookoła, zajrzał też do środka i starał się zbadać, co to był za najazd.

Wysłannik podkraść się z wolna, po ciemku i tak cicho, że nawet wstrzymał oddech. Ostrożnie otworzył drzwi domu, wszedł jak duch do środka, przez chwilę stał i nasłuchiwał. W mieszkaniu panowała grobowa cisza. Więc zaszedł do kuchni, spodziewał się, że tam na kominku zastanie ogień. I rzeczywiście, ledwo przestąpił próg, od razu spostrzegł, że coś się iskrzy. Wyciągnął ostrożnie rękę i raptem dotknął dwóch roziskrzonych punktów. Naraz ktoś błyskawicznie skoczył mu na twarz, po chwili poczuł, jak krew strumieniami spływa mu z policzków. Krzyknął przeraźliwie i nie namyślając się wiele, wziął nogi za pas, ratując się ucieczką do lasu. Gdy wylatywał drzwiami, pies tak go strasznie zaczął szarpać w łydki, że ledwie mu się wymknął,



a gdy mijał kupę słomy, dostał od osła tak mocnego kopniaka, że się przewrócił. Zaraz jednak zerwał się na równe nogi i pognał przed siebie.

— Dajcie mnie go tu, ja się z nim rozprawię! — kapraleskim głosem zaczął krzyczeć kur z dachu.

Zwiadowca kończąc opowiadać swojemu naczelnikowi całe zajście, usprawiedliwił się:

— Musiałem ratować się ucieczką, nie było rady.

Starszy zbójca wysłuchał opowieści zwiadowcy i orzekł:

— Wracać nie możemy. Pozostaje nam tylko nocować w lesie.

Następnego dnia kapela na dobre objęła całe mieszkanie w posiadanie. Osioł, pies i kot spali odtąd w miękkiej pościeli. Tylko kogut w dalszym ciągu czuwał na dachu, bo zdawał sobie sprawę, że jego mięso jest najsmaczniejsze i na pewno pierwszy poszedłby pod nóż.

Pełen pysk kości, a baran jeszcze stoi

Pewnego razu spotkał wilk barana i rzekł do niego:

— Zjem ciebie!

Baran się przestraszył. Wprawdzie rogi miał silne, ale wiedział, że wilkowi nie da rady. Zaczął więc zagadywać:

— Jaśnie wielmożny panie wilku, wiem o tym, zjesz mnie, zjesz, bo inaczej być nie może, ale chciałbym ci uprzyjemnić tę smaczną biesiadę. Ty staniesz na dole, a ja wejdę na pagórek, pysk otworzysz jak najszerzej, a ja wtedy wskoczę ci wprost do gardła, aż moje kopyta zagrają. Gdy znajdę się u ciebie w brzuchu, będzie i tobie, i mnie dobrze. Ja bardzo nie lubię twoich zębów, a uciekając się do tego sposobu, to ich nie poczuję.

Wilka bardzo zachwycił pomysł barana, choć widział, że ma on bardzo silne rogi, a do tego zakrecone.

— Nareszcie znalazłem kogoś bardzo rozumnego — rzekł.

Ustawił barana na samym środku pagórka, a sam zszedł na dół, rozkraczył się, pysk otworzył możliwie najszerzej i wyszczerzył zęby. Baran wziął rozpęd i z szybkością błyskawicy gwizdnął w zęby wilkowi. Wilk zwiesił łeb, paszczę zamknął i rzekł:

— Pełen pysk krwi i kości, a baran stoi cały. Czy go zjadłem, czy nie zjadłem? Chyba tak, bom strasznie obciążał i w głowie mi się kręci. Skoro go zjadłem, to teraz pójde się przespać. Jestem tak nażarty, że ledwie się trzymam na nogach.

Jak pies wygrał wojnę z lisem

Lis spostrzegł zająca i puścił się za nim w pogoń.

— Będzie obiad — pomyślał sobie.

Już miał chwycić szaraka, gdy wtem zabiegł mu drogę pies. I on miał ochotę na zająca.

— Mój, mój — ostrzegł go lis.

- Taki twój, jak mój — odgrażał się pies.
- Nie twój, a mój.
- Mój, mój, a nie twój.
- Właśnie że mój.

Tak się kłócili, a zajączek tymczasem umykał co sił w skokach, kicał, stawał słupka, znów kicał i przepadł w lesie.

— Nie ma między nami zgody, wojna — krzyknął zawzięty w kłótni lis.

— Niech będzie wojna. Kto zwycięży, ten będzie miał prawo polować pod lasem. Spotkamy się jutro o wschodzie słońca tu. Tu! — tu!

— Poszukam sobie współnika — rozważał lis — bo jak będę sam, to ten chytrus mnie zadusi.

— Ani gadania, udusi — pomyślał pies. — Poszukam sobie współników.

Lis jako współników znalazł sobie wilka, niedźwiedziątka i małpę. A pies zebrał całą drużynę: kota, cielę, gęś, kaczkę i koguta. Na drugi dzień o wschodzie słońca lis, wilk, niedźwiedź i małpa stanęli na brzegu lasu, wypatrując przeciwnika.

— O, idą! Idą! Ależ ich dużo, policz, małpo.

— 1, 2, 3, 4, 5, 6, aż sześcioro ich!

Zbliża się, zbliża psia drużyna. Kotek nastawił ogon w górę. Kotek jest chudy, ogon ma cienki i długi. Zobaczyło to niedźwiedziątka i zawołało.

— Widzicie, jaką pikę niosą. Gruby jestem, a mnie przebiłaby na wylot ta pika.

— Ojej, skoro niedźwiedzia przebije, to co my mamy mówić — stęknęło wilczyisko.

A kotkowi ogonek drży i drży. Widzi to lisia drużyna i jak nie krzyknie:

— Patrzcie, bracia, patrzcie, jak tą piką potrząsa. Harde wojsko sobie zebrał ten wsiowy kudłacz.

Zbliża się, zbliża psia drużyna, już są niedaleko. Każdy po swojemu się odzywa. Kogut pieje, gęś gęga: kędy, kędy. Pies szczeka: tam, tam. Cielę muczy: w Betlejem, w Betlejem; a na końcu kaczka kwacze: tak, tak.

Lisia drużyna przeraziła się:

— Słyszycie, słyszycie, półtora sta ich jest.

— Ale jeszcze daleko, w Betlejem.

— A gdzie to Betlejem?

— Czy to wiadomo, może gdzieś hen daleko, a może wnet za tą olszyną.

— To tutaj zaraz mogą być, nie ma żartów, kryjmy się, póki czas.

— Kryjmy się, gdzie kto może.

Szmyrgnęli, lis i wilk dali nura w kupę suchych liści. Niedźwiedź i małpa wdrapali się na sękatą sosnę, a psia drużyna tuż, tuż. Lis i wilk wprowadzili się skryli wśród liści, ale wystawały im końce ogonów, którymi merdali z niepokojem. Kotek zobaczył, że coś się w liściach porusza, zaciekawiony skoczył i chwycił koniec wilczego ogona.

— W skok, w skok — wrzasnął wilk i zerwał się do ucieczki.

A lis za nim. Przeraził się kotek, bo myślał, że to tylko polna myszka, niezła przekąska, a tu jakieś dwa wielkusy przed nim. Kot ze strachu hycnął na sękatą sosnę, na tę samą, na której siedzieli niedźwiedź i małpa.

— Widzisz tego z piką — wrzasnął niedźwiedź — tamtych już przebił, a teraz tu na nas kroci. Uciekajmy, póki czas.

Niedźwiedziątka ryms na ziemię, a małpa w te pędy za nim. Poszli w las, aż się igliwie za nimi zaburzyło. Tak to bez bitwy pies wygrał wojnę.

Jak gęś przechytrzyła lisa

Pewnego poranku głodny lis wyszedł z buczką wielką niczym duża jego nora i wybrał się na połów. Tuż pod wsią Chłapowo, niedaleko morza zauważył piękną białą gęś. Podbiegł do niej skrycie i capnął ją. Gęś w śmiertelnym strachu zagadnęła go:

— Lisie, taki jesteś piękny i mądry, jakżeż więc możesz mnie zeżreć, patrz, jaka jestem brudna. Zaprowadź mnie do morza, umyję się porządnie, a wtedy zjesz potrawę godną ciebie.

Lis przystał na to, swoimi silnymi szczękami chwycił ogon gąski i podreptał za nią do morza, wlokąc za sobą swoją długą, puszystą kitę. Tak gęś podprowadziła lisa do samego zelu.

— Teraz wykąpię się — oświadczyła — a potem mnie zeżresz.

— Doskonale — rzekł lis.

Morze było spokojne. Gęś wlała do zelu i do połowy zanurzyła się w wodzie, a lis, trzymając ją za ogon, z zachwytem patrzył, jak się robiła coraz bielsza, coraz bielsza.

— Nawet śnieg nie jest taki biały — pomyślał sobie — oj, będzie to smaczny kąsek.

Gęś miazgała się po grzbiecie, lejąc na siebie przezroczystą wodę.

— Teraz już jesteś czysta jak szkło — rzekł lis. — Chodź na ucztę.

— Dobrze — rzekła gęś — tylko uwolnij mnie trochę, bo muszę się opłukać.

— To warto — rzekł lis i nieco popuścił ogon ślicznej gąski.

Ta skorzystała z tego, odepchnęła się swoimi szerokimi płetwami, dała nurka pod wodę, a lis tylko widział, jak się zabieliła w przezroczystej wodzie morskiej. Śliczna gąska wypłynęła dopiero jakieś dziesięć metrów od brzegu. Zrezygnowany lis, nie mając jej już w zasięgu, rzekł sobie:

— Może pójdę gdzieś w las i znajdę głupszą istotę od tej gęsi.

Ruszył między krzakami w kierunku lasu. Zauważyła go wrona, która fruując w powietrzu trzymała w dziobie pięknego kurczaka.

— Co za piękne zwierzę — pomyślała śledząc przedzierającego się przez kizaki lisa, który wsunął się do lasu, nie spuszczając z niej oczu. — Muszę mu się podobać.

Toteż z kurczakiem w dziobie siadła na gałązce sosny i spoglądała na piękne zwierzę. Lis tymczasem usiadł, stroił jak najpiękniejsze miny, przekrzywiając główkę to na jeden bok, to na drugi, aż nareszcie odezwał się do wrony:

— Jaka jesteś piękna, ślicznotko. Podobnej urody jeszcze nie widziałem, będę tu częściej przychodzić, aby się z tobą spotykać.

A wrona spoglądała po sobie myśląc:

— Naprawdę jestem piękna.

— Chętnie zatańczyłbym z tobą, lecz zdaje sobie sprawę, że na razie nie mogę od ciebie tego wymagać. Ale, że jesteś piękna, to na pewno też ładnie śpiewasz. Zanim odejdę, zaśpiewaj mi.

Wrona nie dała się długo prosić tak przystojnemu panu. Otworzyła dziób, zanuciła tylko.

— Krra.

A lis z jej kurczakiem już pomknął w las.

Nareszcie będą jajka

Rybak, mieszkając w nadmorskiej checzy, miał wielkie trudności z zaopatrzeniem licznej rodziny w żywność. Toteż nabył sobie pstrą kokoszkę, która zносиła mu pstre jajka.

Jednej nocy podkraść się lisek-wszędyszek i wypił jajka. Białka rybaka z żalu się rozplakała. Przyszedł rybak i pyta:

— Czemu, białko, beczysz?

— Jakże nie mam płakać. Lisek-wszędyszek wypił wszystkie jajka od naszej kokoszki.

— Kiedy tak, to i ja będę płakać.

Usiadł rybak i łzy leje.

Przydreptała do rybaka świnka i pyta:

— Czemu, rybaku, płaczecie?

— Miała białka kokoszkę, pstrą kokoszka zносиła pstre jajka, podkraść się lisek-wszędyszek i wypił jajka. Płacz białka, to i ja płaczę.

— Kiedy tak, to będę kwiczała.

Usiadła świnka pod płotem i kwiczy. A płot się pyta:

— Czemu, świnko, kwiczysz?

A świnka na to:

— Miała białka pstrą kokoszkę, pstrą kokoszka zносиła pstre jajka, podkraść się lisek-wszędyszek i wypił jajka. Płacz białka, płacz rybak i ja kwiczę.

— Jeśli tak, to ja będę się chwiać.

Płot się chwia, kiedy przyleciała sroka i pyta:

— Czemu się chwiejesz, płocie?

Płot wyjaśnił jej:

— Miała białka pstrą kokoszkę, która zносиła pstre jajka, podkraść się lisek-wszędyszek, wypił jajka, baba płacz, dziad płacz, świnka kwiczy, a ja się chwieję.

— Kiedy tak, to ja wyrwę sobie pióra z ogona.

Sroka wyrwała z ogona trzy pióra i poleciała do lasu. W lesie zahaczyła ją wiewiórka i pyta:

— Sroko, co się stało z twoim ogonem?

Sroka odrzekła:

— Miała rybaczka pstrą kokoszkę, pstra kokoszka zносиła pstre jajka, podkradł się lisek-wszędyszek i wypił jajka. Białka płacze, chłop płacze, świnka kwiczy, płot się chwieje, a ja sobie wyrwałam pióra z ogona.

— Kiedy tak, to ja będę tarła nosem o drzewo.

Siadła pod dębem i trze nos. Dąb się pyta:

— Czemu ty, wiewiórko, ciągle trzesz nos?

A wiewiórka na to:

— Miała rybaczka pstrą kokoszkę, pstra kokoszka zносиła pstre jajka, podkradł się lisek-wszędyszek i wypił jajka. Białka płacze, rybak płacze, świnka kwiczy, płot się chwieje, sroka pióra wydarła sobie z ogona, a ja pocieram nos.

— Kiedy tak, to ja zapuszczę korzenie w morze.

Przypłynęła wysoka fala i pyta.

— Czemu, dębie, zapuściłeś korzenie w morze?

Dąb rzekł:

— Miała rybaczka pstrą kokoszkę, pstra kokoszka zносиła pstre jajka, podkradł się lisek-wszędyszek i wypił jajka. Białka płacze, rybak płacze, świnka kwiczy, płot się chwieje, sroka pióra wyrwała sobie z ogona, wiewiórka trze nosek, a ja zapuściłem korzenie w morze.

— Kiedy tak, to ja wody przemienię w gorzałkę.

Przyszedł do morza lisek-wszędyszek, aby ugasić pragnienie.

— Brr, niedobrze, ogień pali mnie w środku, jakbym gorzał, ale strasznie mi się chce pić.

Chła, chła... gorzaliną upił się lisek. A gdy się upił, zaczął tańcować. Kręcił się, kręcił po strądzie, zatoczył się na gibki piach. Kręcił się po piachu, zatoczył się na strąd. Wirował, wirował, zatoczył się w zboże, zatoczył się na drogę, zatoczył się na podwórko rybaczki. Kołował, kołował po podwórku, potknął się, wpadł do cembrowiny i się utopił.

Poszedł rybak po wodę do studni, wyłowił nieżywego lisa, zaraz zdjął z niego futro, rozwiesił je na płocie, żeby wyschło.

— Widzisz, białko, będziesz miała czapkę na zimę.

Ucieszyła się białka i przestała płakać. Białka nie płacze, to i rybak nie płacze. Rybak nie płacze, to i świnka nie kwiczy. Świnka nie kwiczy, to płot się nie chwieje. Płot się nie chwieje, to i sroka więcej piór sobie nie wydiera z ogona. Sroka nie wydiera piór, to i wiewiórka nie trze nosa. Wiewiórka nie trze nosa, to i dąb nie zapuszcza korzeni w morze. Dąb nie zapuszcza korzeni w morze, to i morze zamiast gorzałki znów ma wodę, a rybaczka mówi do swojego męża:

— Jak to źle pić gorzałkę. Gdyby lisek jej się nie napił, to by się nie utopił.

— Aha — tyle tylko rybak powiedział, ale białki słowa dobrze sobie zapamiętał.

Stary rybak i foka

Tegoż roku był taki tęgi mróz, że przez dwa miesiące lód nie schodził z szyb. Już przed Bożym Narodzeniem morze było tak daleko zamrożone, że z wysokiego brzegu chłapowskiego nie można było dojrzeć wody. Toteż rybołówstwo całkowicie ustało.

Stary rybak Jan Żuk mieszkał w przygarbionej checzy w Chłapowie. Miał trzynastoro dzieci i każde z nich wołało jeść. Toteż wziął haczyk łososiowy, bekę do zabijania fok, jednoosobowe czółno, załadował wszystko na sanki i pociągnął je w stronę zwałów lodowych, tak zwanej grubi. Wiedział, że gdy pokona wysokie zwały usypane na mieliznach przybrzeżnych, wydostanie się na równinę lodową. Gdy już się do niej zbliżał, na ostatnim zwale coś błysnęło mu w porannym słońcu. Poszedł w tym kierunku. Błyszczącym przedmiotem okazał się dzwoneczek ze szczerzego złota. Z ciekawości zadzwonił, aż tu na głos dzwonka zleciała się wielka chmara mew i dzikich kaczek. Ptaki krążyły nad starym rybakim przez jakiś czas i potem rozleciały się, nie widząc żadnej przerębli ani kawałka wody, gdzie by mogły znaleźć coś do żarcia.

Jan dalej ciągnął sanki przez zamrożone morze, aż stanął tam, gdzie się spodziewał, że pod lodem mo-

gą być ławice łososia albo dorsza. Splunął w ręce, złapał za trzon beki i wyrąbał szeroką przerębłę. Po czym sięgnął do kieszeni po róg tabaki i wtedy całkiem przypadkowo trącił dzwonek, który odezwał się tak pięknym dźwiękiem, że ptaki znowu zaczęły się zlatywać. Ale nie tylko ptaszki. Woda od razu zaszumiała i z przerębli z wielkim rozpędem wyskoczyła na łód foka. Jan, jako że był dobrym myśliwym, natychmiast złapał za trzon beki i chciał fokę ciachnąć w łeb. Ale gdy do niej podszedł, ona swoimi dużymi oczami tak na niego patrzyła, jakby chciała z nim rozmawiać. Dał więc za wygraną. Żuk był wielkim wielbicielem zwierząt, przemówił więc do foki:

— Czego życzysz sobie ode mnie, może chcesz, abym coś przekazał Neptunowi.

Foka wtedy rzekła:

— Nie tylko Neptunowi, ale i tobie chcę coś powiedzieć. Wzdłuż brzegu zrobiła się wielka szczylina w lodzie. Już w żaden sposób nie możesz wrócić tą samą drogą do domu. Zginiesz, jeżeli mnie nie posłuchasz. Ciągnij swoje sanki w kierunku północno-wschodnim, tam trafisz na opuszczony przez załogę wrak i na nim przezimujesz do wiosny.

Jan z początku się przeraził, bo spojrzał w kierunku wschodnim, ale jak daleko okiem sięgnąć, żadnego wraku nie było widać. Zatrwożył się, co ma zrobić? W końcu wyciągnął dzwonek z kieszeni i zadzwonił. W tym momencie wyskoczyły z przerębli trzy łososie. Zebrał je i wraz z dorszami wpakował na sanki. Chciał ruszyć we wskazanym mu przez fokę kierunku, obejrzał się i zauważył, że pełźnie ona za nim. Więc zawrócił, bo wiedział, że foka nie jest stworzona do żadnych marszów. Podciągnął sanki, a wtedy foka wspięła się na nie, a następnie wpelzła. Stary rybak, ogromnie z tego rad, pogłaskał ją po jedwabistej sierści i do zachodu ciągnął sanki po pustynnym, zamrożonym morzu. Dopiero gdy słońce stanęło nad horyzontem, foka podniosła swój łeb, odwróciła się w kierunku północnym i zaczęła wciągać powietrze, żałośnie skomląc.

Jan, który na całym Wybrzeżu był chyba najlepiej obeznany ze zwyczajami zwierząt, zaczął się jej wypytywać:

— Co tam widzisz daleko od brzegu, co?

A foka wyraźnie odpowiedziała:

— Wrak.

Zanim się jeszcze nie ściemniło, Jan zauważył w północnej stronie dwumasztowiec z rozpiętymi żaglami. Nie namyślając się długo, udał się w tym kierunku. Gdy stanął pod burtą wraka, spostrzegł zwisającą bosmańską drabinę. Zaraz wspiał się po niej na statek, przemierzył wolnym krokiem cały pokład, od rufy do dziobu, i wszedł do kabiny kapitańskiej, gdzie było ciepło, bo piec jeszcze nie wystygł. Jan wywnioskował z tego, że załoga niedawno musiała opuścić statek. Zauważył także, że rozbitkowie spuścili na łód łódź ratunkową i pociągnęli ją z sobą na brzeg, aby w razie czego ratować na niej swoje życie.

Jan pomyślał, że właściwie też mógłby ze swą łódeczką ruszyć na brzeg, ale była ona za mała, miała tylko jeden sążen długości i nie zniosłaby ciężaru foki. A czyż mógł on zostawić to wierne zwierzę na lodzie w taki mróz. Foka groziłoby zamrożenie i niechybna śmierć.

— Na tym wraku jakiś czas przeżyję — rzekł sobie w duchu Jan. — Mróz popuści, lód się roztopi i wrak podpłynie pod brzeg. Zesadzę wtedy fokę, uwiążę ją na sznurze i razem podpłyniemy do brzegu. Zabiorę ją do wsi i wypuszczę na chłapowski staw, będę mieć to zwierzę blisko siebie.

Tak rozmyślając ruszył Jan w obchód po całym statku. Gdy zajął do ładowni, znów przypomniała mu się foka, którą zostawił na sankach.

— Jak tu wnieść ją na statek — dumał — sama w żaden sposób nie wejdzie, a ja przecie nie dam rady, bo jest za duża.

Toteż pomyślał trochę po rybacku. Ściągnął z masztu talie i przyciągnął ją do trapu. Zauważył wtedy, że foka, która spoglądała dotąd w górę, jak go spostrzegła, zaczęła żałośnie skomleć. Jan zabrał się szybko do roboty, wykonał sztrop, zszedł z nim na dół, liną opasał fokę i za pomocą talii wciągnął ciężkie zwierzę na pokład. W oczach foki było widać radość.

Jan zdjął sztrop, odhaczył talie i wpuścił fokę do ładowni. Następnie poszedł do kuchni, poszukał opału i rozniecił ogień w kambuzie. Poczłł głód,

więc wypatroszył łososia i ugotował go sobie na kolację. Dołożył jeszcze do pieca, bo opału sporo było na żaglowcu. Wreszcie ułożył się do snu w ciepłej kabinie, gdzie spokojnie przespał całą noc. Rano, gdy się ukazała na wschodnim niebie jutrzienka, był już na pokładzie. Zbadał każdy szczegół i się przekonał, że załoga w spokoju opuściła statek, zostawiła go bowiem w jak najlepszym stanie. Zeszli tylko dlatego, że gruby lód mógł zgnieść raptownie statek, co groziło utonięciem załogi.

Mijały mroźne dni. Słońce zaczęło się wzbijać coraz wyżej, ale ruszyły też i wiatry wschodnie. Jednego dnia, gdy Jan wstał rano, na pokładzie leżało dużo puszystego śniegu, a na nim siedziały trzy łabędzie. Podczas tegiej zimy zwykle o tym czasie przylatywały i siadały na chłapowskim stawie. Wtenczas Jan karmił je szprotkami i śledzikami, które łowił w przerębłach. Wyścielał im chlewik morską trawą, gdzie przesiadywały podczas najcieplejszych mrozów. Stąd łabędzie prawie że zadomowiły się w checzy Jana. Co roku zimowało u niego aż dziesięć łabędzi. Toteż ogromnie się martwił, jak bez jego pomocy przeżyją one tę zimę. Co roku Jan wycinał łabędom kilka piór, aby móc sprawdzić, czy te same powracają na zimę. I tu ku swemu zdziwieniu stary rybak zauważył ślady wyciętych piór u białych łabędzi siedzących na statku. Zdjął czapkę i pozdrowił je, łabędzie majestatycznie odkłoniły się staremu rybakowi.

Jan już od dłuższego czasu w przerębli, którą wyrębał tuż przy burcie wraku, łowił na haczyk łososie i dorsze. Musiał zapewnić żywność sobie i focę, często też mięsem dorszy karmił mewy i kaczki lodówki, zwane kamlite. Teraz, jako że nie był z niego głupi chłop, każdemu z łabędzi przywiązał dorsza do szyi. Ze zdobyczą rybacką pofrunęły one w kierunku południowego zachodu. Jan wziął za nimi namiar i po obliczeniach stwierdził, że poleciały w stronę jego checzy.

— Mogłem tym łabędom przyczepić kartkę do swoich najbliższych — pomyślał i puknął się w głowę. — Powiadomiłbym ich, że żyję i gdzie się znajduje. Ale ptaki chyba tu nie były ostatni raz, wiedzą, gdzie jestem i że mogą tu zdobyć coś do żarcia, to i powtórzą swoje odwiedziny.

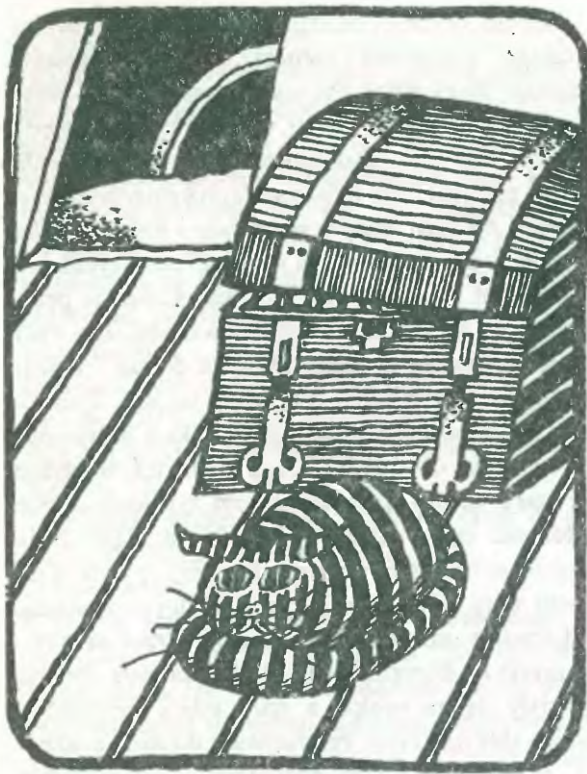
Tak też się stało. Następnego dnia, skoro słońce wzeszło, przyleciała chmara łabędzi, wszystkie dziesięć. Stary rybak był już na nogach. Miał przygotowaną przynętę, zaczął więc wyławiać z wody dorsze i łososie. A kiedy żadna ryba nie podpływała już do przerębli, Jan tylko zadzwonił złotym dzwonkiem, a od razu zjawily się dorsze i łososie. Foka wciniała jednego dorsza za drugim, stary rybak też nie gardził nimi, ale wołał łososia. Łabędzie przyglądały się tej uczcie z zainteresowaniem. Jan wnet przeciągnął sznurek przez oskrzela dorszy i mniejszych łososi i zawiesił je łabędom na szyi. Tym razem nie zapomniał przyczepić kartki z miłym pozdrowieniem dla rodziny. Zapowiadał też, że będzie się starał tą drogą dostarczać im żywność, dorsze i łososie, o ile łabędzie w dalszym ciągu będą krążyły między nim i checzą. Rychłego powrotu do domu stary rybak nie obiecywał, aż dopiero wiosną.

Łabędzie odfrunęły. Jan długo patrzył za nimi, aż znikły na horyzoncie. Później nadal całą chmarą zjawiały się na wraku, a stary rybak przyczepiał do ich skrzydeł ryby. Przylatywały do Jana z odzieżą, raz były to ciepłe rękawiczki, sweter, innym razem czysta bielizna. Jan żył sobie gracko na wraku. Szczególną dbałością otaczał fokę, jej to bowiem najwięcej zawdzięczał, że żyje. Tak nadeszło przedwiośnie. Wielkie kurzawy śnieżne ciągnęły z północy na nieco nagrany ląd. Zadyмки przesłoniły cały świat. Tumany śniegu kładły się na tafli lodowej. Po jakimś czasie lód zaczął pękać, a wiatr cały czas dął z północy w stronę brzegu. Jednego ranka Jan zauważył, że kra lodowa popycha wrak w kierunku brzegu.

Stary rybak wpatrywał się w ląd, ale nie mógł dobrze określić położenia wraku. Pewnego dnia zachodni wiatr przypchał go tak blisko brzegu, że Jan mógł już rozpoznać, iż się znajduje na wprost brzegu Sambii. Spostrzegł wysokie pagórki, niby skały grubii, fala waliła w nie z ogromną siłą, wrak zbliżał się coraz to bliżej grubii.

— Chyba tam będzie moja śmierć, pod tą grubią — rozmyślał stary rybak.

Gdy rankiem uciął wiatr i uspokoiło się morze, daleko, daleko były widoczne całe połacie kry lodowej. Wtedy stary Żuk spuścił na wodę fokę



i swoją łódeczkę. Sądził, że foka odpłynie w swoje strony, ale nie, trzymała się przy łódce, szeroko otworzyła oczy i patrzyła na swego chlebobawcę. Jan wiosłował cały dzień i czuł się już bardzo zmęczony. Wówczas przyszło mu na myśl, aby założyć foke na szyję sznur i uwiązać do niego łódkę, to zwierzę ją pociągnie. Próbował rozmawiać z foką, zadawał jej różne pytania, ale foka od owego dnia, kiedy przestrzegła go o grożącym niebezpieczeństwie oderwania się łodu od brzegu, już ani słówka nie przemówiła do Jana. Kiedy założył jej sznur na szyję, foka, nie szczędząc sił, zaczęła szybko holować łódeczkę, zmieniając nieco kurs. Po jakimś czasie Jan spostrzegł, że foka kieruje się wprost ku wysokiemu brzegowi Rozewia. W tym czasie nadleciały łabędzie całą chmarą. Usiadły na wodzie i otoczyły łódź Jana. Nietrudno mu było domyślić się, że łabędzie też chcą współuczestniczyć w holowaniu. Dzięki swym przyjaciółom stary rybak jeszcze tego samego dnia przed wieczorem wylądował naprzeciwko swej wsi.

Powitali go rybacy ze związku, zajmujący się wspólnym połowem ryb. Maszoperia już miała niewód zastawiony i żaliła się, że kilka dni temu zarzucili go, ale żadnych ryb nie mogą złowić. Wtedy Jan wyjął złoty dzwonek i zadzwonił, ławica łososia natychmiast podpłynęła pod brzeg. Skoro maszopi wybrali niewód, naładowali łososiem kilka łodzi. Sprzedali ryby i podzielili się pieniędzmi, ale Janowi nic nie dali, choć u niego w domu bieda aż pisała. Dzieciom brakowało odzieży. Synów swoich, choć najstarszy miał już 19 lat, nie mógł zatrudnić w rybołówstwie, gdyż nie mieli skorzni. Żuk chodził nad morze sam. Na zeloju wyciągał z kieszeni złoty dzwonek i dzwonił, wtedy od razu podpływało w tym miejscu kilka okazałych łososi, a stary rybak chwycił je kaszorem. Po chwili ugiął się pod ciężarem wspaniałych okazów. Sprzedawał ryby kupcowi, który kwalifikował je do pierwszej klasy, bo Żuk zawsze uważał przy połowie, żeby gdzieś nie zetrzeć z łososia łuski. Toteż Jan brał za ryby dobre pieniądze. Ubrał swoje córki, które wyrosły już na podlotków, a że były pełne uroku, wnet znalazły mężów.

Następnej zimy, która znów była tęgą, cała dzięsiątka łabędzi ponownie się zjawiała w checzy Janą, który wyrąbał im szeroką przerębłę w stawie, aby mogły całymi dniami baraszkować w wodzie. Na noc miał zawsze dla nich przygotowany ciepły chlew, wysłany słomą i trawą morską, żeby się nie pobrudziły ich śliczne białe pióra. Kiedy chwycił taki tegi mróz, że Jan nie zdołał już wyrąbać przerębli, nosił im z połowów morskich mniejsze dorsze i inne ryby, drobno posiekane. Skoro mróz zelżał, wyrąbał przerębłę na stawie i znów po staremu łabędzie baraszkowały. Całkowicie zapomniał o foke, która swego czasu uratowała go od śmierci. Złoty dzwoneczek był mu teraz bardzo pomocny, zwłaszcza że nikt nie chciał go przyjąć na maszopa ze względu na jego starość.

Znów zawitała wiosna, kry lodowe odpłynęły od brzegu, a Jan Żuk pociągnął swoją małą łódeczkę na morze. Wabiąc dzwonkiem łososie, łowił je i pakował do kaszora. W pewnej chwili zauważył, że na zeloju wypelzła olbrzymia foka.

— Czy to przypadkiem nie jest moja przyjaciółka — rzekł sam do siebie.

Dziesięć lat minęło, od kiedy Żuk pożegnał się z foką, która wtenczas odpłynęła w morską toń. Miał w łódce małego łosiosa, pomyślał więc:

— Poczęstuję ją po tylu latach niewidzenia.

Podszedł do foki i od razu poznał, że to jego przyjaciółka. Oczy miała zamknięte. Gdy podsunął jej łosiosa pod pysk, otworzyła oczy, ale natychmiast zamknęła je z powrotem.

— Musi być ciężko chora — stwierdził stary rybak. — Starość jej zagląda do oczu, mają mętne spojrzenie.

Nie zwlekając, Jan pośpieszył do domu, brnąć po piachu w górę. Poprosił swoich synów i córki, aby wzięli mocny koc i udali się z nim nad morze. Młodzież, silna i zdrowa, natychmiast włożyła fokę na koc i przeniosła ją do checzy. Jan kazał dzieciom położyć fokę nad małą zatoczką stawową, która wrzynała się do jego ogródka. Okolona była ona drzewami wiśni, których bujne kwiecie radowało na wiosnę serce. Tu, na brzegu zatoczki, obok wysokich drzew wiśni, gdzie najlepiej grzało słońce, foka znalazła odpoczynek i przytułek. Jan zdawał sobie sprawę, że foka, będąc w podeszłej starości, wyszła z morza, aby na lądzie szukać miejsca swej śmierci, bo z lądu pochodziła. Wiadomo przecie, że kiedyś było to zwierzę lądowe, ale z czasem przystosowało się do nowych warunków bytowania. Nastąpiło u niego daleko idące przekształcenie kończyn, wynikające ze sposobu ich używania w środowisku morskim.

Teraz stary rybak rzekł do swej białki:

— Może uda mi się przedłużyć jej życie na jakiś czas.

Jan wcale się nie pomylił, foka początkowo dłuższy czas leżała z zamkniętymi oczami. Gdy w ogródku nad stawem wygrzała się, a Jan ją dobrze karmił, znów wodziła za nim przyjacielskim spojrzeniem. Dzięki dzwonczkowi nigdy nie zabrakło mu dorszy. Choćby nawet sztorm dał i fale ryczały, skoro Jan zadzwonił na brzegu swoim złotym dzwonkiem, mała ławica podpływała aż do zeloju, a fale jedną rybę za drugą wyrzucały na strąd. Wśród dorszy było zawsze kilka łososi, tak potrzebnych

Żukowi, bo musiał on zarobić na utrzymanie kilkorga dzieci jeszcze nie dorosłych. Przy połowie jego starsi synowie i córki przychodzili z karzniąmi i zbierali ryby, potem jeden z synów jeździł do Pucka, aby sprzedać łosiosie.

Ostatniej, bardzo lekkiej zimy łabędzie nie odwiedziły Żuka. Ale za to następnej jesieni pojawiło się ich aż piętnaście. Dziesięć jak zwykle białych, które pływały majestatycznie po stawie. Zanurzając szyje głęboko, raz po raz wyciągały jakąś zdobycz z mulistego dna. Pięć łabędzi było szarego koloru. Jan z miejsca zaczął je karmić siekanymi bołkami. Obserwując zachowywanie się łabędzi, które same pchały się do chlewu, staruszek Żuk przepowiadał tegie mrozy. Wkrótce nadeszła ostra zima i teraz Jan całe stado łabędzi dokarmił w chlewie. Troszczył się też o fokę, która jednak coraz to mniej przyjmowała żywności, bezwolnie leżała na brzegu stawu, nieco zanurzona w wodzie. Wyraźnie zbliżał się jej koniec. W tym czasie zachorował też stary rybak, który nie opuszczał łóżka. W dzień Sylwestra przyszła do niego córka i powiadomiła go, że foka tej nocy zdechła. Stary rybak wyciągnął spod poduszki róg i zażył tabaki. Córka podała mu pantofle i Jan, wzmocniony tabaką, podniósł się, wdział na siebie kożuch i wyszedł na dwór. Dzień był pogodny i słoneczny, choć mróz doskwierał. Córka wzięła ojca pod rękę i zaprowadziła go do foki. Schorzały ojciec położył dłoń na jej nosku i wybuchł płaczem. Odejście foki silnie odużyło się na jego zdrowiu. Nawet nie mógł być obecny, gdy dzieci ze staruszką matką chowały w ogrodzie fokę, a nad jej mogiłą stanęły wszystkie łabędzie i wzniosły żałosny i przeciągły klangor.

Żuk nie wychodził już nad morze, by dzwonkiem zwabić ryby. Nastały dla niego ciężkie dni, nie było żywności ani opału. Gdy słońce zaczęło się znów wzbijać w górę, a z szyb zszedł lód, Żuk miał płonną nadzieję, że wkrótce podniesie się z łóżka. Nadszedł dzień zgonu, Jan pełen przytomności umysłu, poprosił swoją córkę, aby wypuściła łabędzie z chlewa i otworzyła drzwi izby. Łabędzie jak jeden weszły do checzy. Rybak popatrzył na wspaniałe ptaki, wyciągnął do nich rękę, a łabędzie zaczęły jeden za drugim podchodzić do łóżka. Każdego

po kolei pogłaskał, po czym podniósł głowę i powiedział tych kilka słów:

— Kochani towarzysze, gdy rybacy mną wzgardzili i z powodu mego ubóstwa nie przyjęli mnie do maszoperii, wyście się stali moimi opiekunami. Za to wam Bóg zapłać.

Łabędzie podniosły smutny klangor, a Żuk położył głowę na poduszce, dwa razy chrapnął i skończył... Ptaki wyszły na dwór, usiadły na taflach stawu, po czym wzniosły się w górę, utworzyły równy kluczek pięć na dziesięć i krążyły nad całym polskim wybrzeżem, wznosząc jęklivy i smutny klangor.

W dzień pogrzebu Jana, gdy spuszczano trumnę do grobu, nadleciało stado łabędzi. Krążyły nad cmentarzem i swoim żałosnym klangorem żegnały miłośnika morskich ptaków i wszystkich zwierząt.

Skórka za wyprawkę...

Była w pełni zima, drwal wziął sanki i pojechał do lasu po opał. Na drogę jego białka dała mu pączka, którego zostawił na sankach i poszedł w las. Gdy wrócił po skończonej pracy, spostrzegł, że pączek znikł. Rozgniewał się okropnie, bo był bardzo głodny. Ciastko purtk mu skibnął, który od razu wrócił do piekła i pochwalił się Lucyperowi, jakiego to figla spletał człowiekowi w lesie.

— Czy to był bogaty czy biedny? — zapytał go Lucyper.

— Biedny i bardzo chudy — rzekł purtk.

— Nie ma co — rzekł Lucyper. — Musisz w takim razie iść na ziemię i odpracować kradzież tego pączka. W przeciwnym razie dostaniesz na św. Marcina wypowiedzenie z pracy.

Purtk bardzo się zmartwił. Chcąc nie chcąc, musiał pójść z powrotem, bowiem obawiał się, że zostanie bezrobotnym. A wiadomo, wtenczas było bardzo trudno o pracę dla purtki. Rozpuścił nogi i szurał na ziemię. Stawił się przed drwalem, który nawet nie zauważył, że to był pieczelnik, i wpuścił go do izby. Purtk rozsiadł się na krześle na środku izby i się przedstawił:

— Jestem ten, który wam pączka w lesie zjadł. Przyszedłem go odrobić.

— Pączka zjadłeś, ale chyba też się zbyt nie posiliłeś, a że ja żyję, to wracaj do domu i między nami zgoda.

Purtk jednak się upierał i dowodził, że koniecznie musi swój dług odrobić, bo inaczej nie zazna nigdy spokoju.

— Cóż w takim razie będziemy robić? — zapytał chłop.

— Weźmiemy sanki i pociągniemy pod las, tam rosną wysokie żarnowce. Natniemy ich, powiązemy miotły, ułożymy je na sankach i pociągniemy do Gdańska.

Drwal przyjął propozycję purtki jako całkiem normalną. Wzięli sanki i wyruszyli do lasu. Na jego skraju rósł ogromny żarnowiec, zabrali się więc do roboty. Rąbali i wiązali. Zanim chłop zdążył związać jedną miotłę, purtk miał już ich dziesięć. Przed wieczorem, kiedy z miotel ułożyli na saniach przymę wielką jak okręt, purtk rzekł do chłopu:

— Siadaj na wierchu i pojedziemy do domu.

Drwal, ogromnie rad, obliczał, że z pracy tej może być niezły dochód.

Następnego dnia rano purtk polecił drwalowi, ażeby ten siadł na sanie, wtedy purtk co koń wyskoczy pognał z miotłami do miasta. W Gdańsku nie mogli znaleźć nabywców. Przemyślny purtk obleciał wszystkie domy i w każdym zanieczyścił mieszczańską sionkę. Teraz się okazało, że do wymięcenia takiego świństwa nie nadawały się włosiane szczotki, a gdańszczanom potrzebne były miotły z żarnowca. Toteż purtk z drwalem w krótkim czasie sprzedali za dobre pieniądze wszystkie miotły.

— Co teraz kupimy? — radził się drwal purtki.

— Kupimy belę grubego żaglowego płótna, uszyjemy z tego wielki worek, bo może nam się przydać.

Drwal przytaknął purtkowi, wiedział bowiem, że cokolwiek on zaleci, wszystko wychodzi mu na dobre. Dlatego też następnego dnia uszyli worek, olbrzymi worek! Wieczorem u drwala zjawił się dziedzic i zaproponował mu, żeby wymłócił zboże złożone w stodole. Drwal polecił dziedzicowi

purtką, na którego chętnie on przystał. Nie rozpoznał go bowiem, ale widział, że silny z niego chłop.

Na drugi dzień purtk, gdy zjawił się we dworze, zrzucił na klepisko wszystko razem: groch, jęczmień, rzepak, owies i żyto. Urosła olbrzymia sterta. Dziedzic zastanawiał się, jak też będzie on to młócił. Ale purtk przyniósł z lasu długi i ciężki pień dębowy i zaczął nim walić w zboże, a dziedzicowi aż się serce śmiało.

— Takiego robotnika to warto mieć, dużo robi i mało je. Będę go musiał wynająć do całorocznej pracy.

Po wymłóceniu wszystkiego purtk związał słomę w olbrzymie pęki. Na klepisku pozostała wielka kupa zboża, grochu, rzepaku, wszystko razem pomieszane. Wtedy purtk znalazł olbrzymią szufłę i zabrał się do czyszczenia. Rzucił mieszankę pod wiatr, który oddzielał plewy od ziarna, zaś każde padało na swoją kupę, i tak osobno groch, osobno pszenica, owies, rzepak, wszystko leżało na swoim miejscu. Dziedzic z przerażeniem patrzył na tę robotę.

— Ile mam ci zapłacić za twoją pracę?

— Tyle zboża, ile udźwignę — zażądał purtk.

Dziedzic ze strachu się zgodził. Poszedł po solewcę i przyniósł worek, który mógł zmieścić pięćdziesiąt kilo pszenicy lub żyta, a grochu nawet trochę mniej. To się purtkowi zdawało za mało. Więc wyciągnął z zanadru olbrzymi wór, który poprzedniego dnia uszyli wraz z drwałem. Dziedzic był jeszcze bardziej przerażony, gdy purtk, sypiąc zboże do worka, jedną ręką trzymał wielką szufłę, a drugą worek. W ciągu paru minut wysypał kilkanaście ton zboża do owego worka, a ten wciąż jeszcze nie był pełen. Gdy już zebrał ziarno, poprosił dziedzica, aby mu dał sznurek do zawiązania worka, na co dziedzic mu rzekł:

— Skręć sobie ze słomy sznurek.

Wówczas purtk wykręcił dziedzicowi wszystką słomę i długim sznurem zawiązał worek. Następnie zarzucił go sobie na plecy, przemierzył z nim cały dziedziniec i udał się w kierunku checzy drwała. Widząc to, dziedzic wpadł w złość, pobiegł do obory i wyprowadził bardzo groźnego byka, pewien, że zaatakuje on purtką i rogami podziurawi mu worek.

Tak się też stało. Byk spuścił łeb, poleciał za purtkiem, nacierając na niego rogami. Ale purtk w ostatniej chwili się odwrócił, złapał byka za ogon i przetrzymał sobie zwierzę przez ramię. Byka i worek z ziarnem zaniósł do checzy drwała. Zwalił to wszystko przed chałupą i rzekł chłopu:

— To dla ciebie w zamian za to, że zjadłem ci pączka w lesie.

Pożegnał się grzecznie z chłopem i odszedł. Wtedy drwał zauważył, że purtk miał jedną nogę końską, a druga była olbrzymią kurzą łapą. Drwał stracił wprawdzie pączek, ale opłaciła mu się skórka za wyprawkę.

Sankami po drzewo

W pewnej wsi, pod lasem mieszkał chłop, który, że zima była bardzo tęga, a zabrakło mu opału, wziął sanki i rankiem pociągnął do lasu po drzewo. Ponieważ z brzegu nie było już żadnej suchej gałązki, musiał zapuścić się dosyć daleko w las. Nazbierał sobie drzewa pełne sianie, aż wyżej klonic, i gdy już był gotów, ruszył w kierunku domu. Gdy znalazł się koło góry wysokiej jak kościół we wsi, zauważył nagle, że góra się rozstępuje. Ogarnął go lęk, więc schował się za grube pnie i obserwował. Z otworu wyszło dwudziestu zbójów, najstarszy z nich rzekł do swoich towarzyszy:

— Za cztery dni spotkamy się tu z powrotem.

Następnie rozkazał:

— Góra Zinaj, zamknij się.

I góra się zawarła. Chłop posłyszał, że ta góra nazywa się Zinaj. A jak herszt powiedział: „Góra Zinaj, zamknij się”, to posłusznie się stąpiła. Pomyślał wtedy:

— To jak ja podejść do góry i jej rozkażę: „Góra Zinaj, otwórz się”, to ona się otworzy.

Jak pomyślał, tak zrobił. Podszedł do góry i bardzo ją poprosił:

— Na moją serdeczną prośbę, Góra Zinaj, otwórz się.

Góra się rozstąpiła. Uradowany chłop obejrzał



się ostrożnie na wszystkie strony, czy ktoś go nie podpatruje, i wszedł do środka. We wnętrzu znalazł olbrzymią kupę złotych monet. Zwalił drzewo z dala od góry i podciągnął sanie do otworu. Natrafił na dwa mocne worki, nappełnił je złotymi monetami, ile tylko mógł, następnie poprosił pokornie:

— Góra Zinaj, zamknij się z powrotem.

Na prośbę biednego chłopca góra się zamknęła. Chłop pociągnął do wioski sanie załadowane workami złotych pieniędzy. Gdy dotarł do domu, był już spokojny, że pieniądze są jego. Uradowany, zawołał swoją białkę, która pomogła mu wnieść pieniądze do izby.

— Trzeba je policzyć, ile ich mamy?

Zabrali się do sprawdzania.

— Chłopie, ani przez tydzień ich nie policzymy — rzekła białka — lepiej je będzie zmierzyć. Twój brat bogacz ma miarę na pół korca, niech chłopak idzie i pożycz.

— Ale nic nie mów stryjowi — ostrzegła go — że złoto mamy ani co będziemy mierzyć.

— Dobrze, mamusiu, nie pisnę słówkiem — zapewnił ją i pomknął co koń wyskoczy.

— Strijk — zwrócił się chłopak — pożycz nam półkorzec.

— A co wy chcecie mierzyć, przecież nie macie ani zboża, ani nic.

Syn zaklinał się, że nic nie wie, co mają mierzyć. Sprytny bogacz tymczasem dno półbeczułki wysmarował lekko smołą, mając nadzieję, że coś tam się przyklei z towaru, który będzie jego biedny brat mierzyć. Toteż do odchodzącego chłopca powiedział.

— Jak będziecie z waszym pomiarem gotowi, to natychmiast przynieś mi ten półkorzec z powrotem.

Ojciec, urzeczony zdobytym bogactwem, odbierając od chłopca półkorzec nawet nie zauważył, jaką to pułapkę nastawił na niego sprytny brat. Po odmierzeniu złota polecił synowi, aby odniósł półkorzec. Bogacz zaraz zbadał dno i spostrzegł, że w miejscu, gdzie ono styka się z klepkami, błyszczą opiłki szlachetnego kruszcu. Bogacza wzięła rozpacz.

— Skąd ten biedak mógł tyle złota dostać, że musiał je mierzyć aż półkorcem.

Niezwłocznie wybrał się do swego brata.

— Bracinie, przyszedłem do ciebie zapytać, skąd masz tę rzecz... chyba powiesz prawdę, bo jesteś moim bracią, a ja twoim, musimy sobie nawzajem pomagać.

Biedak, który miał szczęście przywieźć do domu tyle złota, pomyślał sobie:

— Chce wiedzieć, skąd mam złoto, a czy on choć raz powiadomił mnie o czym, zrobił co dla mnie. Najwyżej, jak chciałem kupić chałupę, to spowodował, że nigdy tego domu nie nabyłem. Ale powiem mu prawdę, skąd mam to złoto.

— Ciągnąłem saniami do lasu po drzewo, nabierałem go sobie i puściłem się w drogę do domu. Gdy wracałem, raptem spostrzegłem, jak gromada zbójów wychodziła z wysokiego pagórka. Naradzali się, a kiedy odchodzili, herszt zbójów rzekł: „Góra Zinaj, zamknij się”. Wszystko to posłyszałem

z mego ukrycia. Gdy rozbójnicy zginęli w głębi lasu, podszedłem do góry i rzekłem: „Góra Zinaj, otwórz się”, i ona się rozsunęła. Wszedłem do środka i zauważyłem tyle złota, że w twojej stodole nie zmieściłoby się.

— Tyle złota — chwycił się za głowę bogacz. — Szkoda, że nie powiedziałeś mi wczoraj, że wybierzesz się po drzewo do lasu, to byśmy pojechali moim wozem w cztery moje duże konie i przywieźlibyśmy tyle drzewa, że paliłbyś do wiosny.

— Mnie starczy na razie to, com przywiózł na moich małych saniach, a potem jakoś Bóg da.

— Ale witro — rzekł bogacz — wezmę mój wielki wóz i zaprzęgnę cztery największe konie, a w przód dam dwa byki. Ty weźmiesz dwa wory i też przywieziesz sobie trochę tego złota. Miejsca w stodole mam dosyć, tam uwiążę dwa psy i złoto będzie zabezpieczone. Gdybyś ty miał tak dużo złota, sąsiedzi mogliby ciebie okraść, a do mnie nikt nie odważy się przyjść. Ale przyjedziesz rano!

— O której godzinie mam być — zapytał biedak.

— Jak pierwszy kur zapieje, masz stać przy wozie. Wyjdę i czym prędzej pojedziemy.

Następnego dnia rano biedak wziął worek i udał się do bogatego brata. Gdy z workiem pod pachą wszedł na podwórkę, zauważył ślady kół, co wskazywało, że bogaty brat już pojechał. Podszedł do okna, by się upewnić. Dowiedział się od bratowej, że jego skąpy brat ruszył zaraz z wieczora, powiedział, że musi już jechać, bo będzie mieć dużo do sypania, a do rana ma z tym zdążyć. Biedak pomyślał:

— Signie mnie to, co mam.

Stwierdziwszy, że mu wystarczy, dał za wygraną i wrócił do domu. Po dwóch dniach przybiegła bratowa z płaczem, lamentując:

— Ojej! Mąż mój jeszcze nie wrócił z wyprawy po złoto.

Błagała biednego szwagra, aby sprawdził, co z nim się mogło stać. Biedak, skoro stanął przed górą Zinaj, wprawdzie zauważył, że wóz stoi bez koni, potem z daleka poznał swego skąpego brata, który wisi na gałęzi dębu. Wtem wyszło z lasu dwóch zbójców z maczugami:

— Kogo szukasz? — zapytał jeden z nich biedaka.

— Szukam mego brata, poznałem go, wisi tutaj na gałęzi. Nie wiecie, co się stało.

— Wiemy, ten bogacz miał cztery konie, piękny wóz, do którego miał jeszcze cztery woły zaprzęgnięte. Zabrał nam prawie cały zapas złota i z tym chciał odjechać. Przyłapaliśmy go, jak prawie cały nasz zapas złota miał już załadowany na wóz. Gdyby nam zwrócił to złoto, herszt nasz darowałby mu życie, ale on nam się odgrażał, że przyprowadzi tu swoich robotników ze strzelbami i nas tu co do jednego wystrzelają. Więc nasz wódz skazał go na śmierć przez powieszenie.

— Skąpiec to nieszczęśliwy człowiek, bo prędzej czy później zawisnie na drzewie — pomyślał sobie biedak, gdy wracał do domu.

Jak głupi rybak stał się królem

Pewien rybak miał trzech synów. Dwóch z nich było mądrych, a trzeci głupi. Tak twierdzili starsi synowie. Nazywali się Francyk i Zygryd, a ten najmłodszy Rudek. Pewnego razu ojciec powiedział do swych trzech synów:

— Wiecie dobrze, jaka u mnie bieda, wiatry nieprzychylne, morze wzburzone i wyjazdów na połów nie ma. Idźcie więc w świat i szukajcie szczęścia, a gdy je znajdziecie, wracajcie do domu, do waszego starego ojca.

Synowie pożegnali się z ojcem i ruszyli przed siebie szukać szczęścia. Szli i szli, aż dotarli do ogromnego lasu. Gdy zapuścili się w głąb lasu, natrafili na rozstaje dróg, które rozchodziły się w cztery strony świata, a na skrzyżowaniu szumiła wielka lipa. Usiedli pod drzewem, by się naradzić, co dalej robić.

— Ja pójdę w lewo — rzekł Francyk.

— A ja w prawo — oświadczył Zygryd.

— A ja prosto — stwierdził Rudek i po chwili dodał. — A wiecie, co wam jeszcze powiem, mili bracia...

— Ciekawi jesteśmy, co mądrego powiesz nam, ty głupku.

— Oto niech każdy z nas swój nóż wbije w lipę aż po rękojeść — zaproponował Rudek — a gdy po kilku latach któryś z nas przyjdzie w to miejsce i znajdzie tylko jeden nóż w lipie, będzie to oznaczało, że pozostali bracia są w wielkim niebezpieczeństwie.

Starsi bracia przystali na to, wszyscy trzej wbili więc swoje noże po rękojeść, a potem się rozeszli. Rudek wędrował i wędrował, aż po długim czasie trafił do miasta, w którym panował ogromny smutek. Patrzy i widzi, że ludzie chodzą i płaczą, na wieżach wiszą czarne chorągwie, a słońce skryło się za czarne obłoki. Wszyscy królewscy dworzanie otulili się workami, a głowy posypali popiołem. Największe przygnębienie panowało na królewskim zamku. Rudek wstąpił do karczmy i zapytał:

— Dlaczego w tym mieście taki smutek, a największy na królewskim zamku?

— To wy nic nie wiecie, wędrowniczku?

— Ano nie.

— To posłuchaj. Za naszym miastem, w urwistych srogich skałach, w głębokiej, niedostępnej jaskini mieszka okropny smok. Co roku obowiązkiem naszym jest ofiarować mu jedną dziewczę na pożarcie. Król nasz i wszyscy rajcy miasta muszą ciągnąć losy. Tego roku padł los na młodziutką naszą królową, która jest piękna jak jutrenka. Za trzy dni wszyscy musimy odprowadzić ją do pieczary smoka.

— A czemu wy to robicie? — zapytał Rudek.

— Bo gdybyśmy mu nie dali co roku pożreć dziewczęcy, zniszczyłby całe miasto i królestwo razem z nami.

— A czy dotąd nie znalazł się śmiać, który by się porwał na tego smoka.

— Człowieku, ani nie wiecie, ilu tu już było znakomych rycerzy i wojowników, ale to wszystko na próżno. Ani jeden nie wyszedł z życiem. Bardzo źle z nami, wędrowniczku. Wiecie, co wam jeszcze powiem.

— No, co? — zagadnął Rudek.

— Gdy los padł na naszą królową, król ogłosił w całym kraju, że skoro się znajdzie jakiś odważny

rycerz i zabije smoka, a królową uratuje, odda śmiaćowi pół królestwa i rękę królowy.

— Zgłosił się ktoś?

— Nikt, bo każdy boi się smoka.

— To ja się zgłoszę — rzekł Rudek.

Gdy usłyszał to karczmarz, zaczął się śmiać, chociaż był smutny i smutek był w całym mieście, na królewskim dworze i w całym kraju.

— Wędrowniczku, co wy pleciecie, chucherko z was, a chcecie smoka zabić. Już tu byli rycerze okuci w zbroję, mieli potężne miecze, mocarze nad mocarzami zostali pokonani, a wy mielibyście dać radę tym waszym kijaszkiem.

— Śmiejcie się, jeżeli nie wierzycie. Powiedzcie mi tylko, karczmarzu, kiedy macie odprowadzić tę waszą królową na pożarcie.

— Za trzy dni — mówiłem już przecież.

— Moglibyście mi wskazać, gdzie tu zdobyć haczyk lub wędkę, jaką łowią nad morzem rekiny i foki, i olbrzymie wieloryby oraz inne żarłaczne morza.

— Gdzie tu morze i rekiny, i taki haczyk.

— A kowal jest tu w mieście?

— Naturalnie, że jest, przecież kuje konie rycerzy.

Rudek ruszył wskazaną przez karczmarza drogą i zaszedł do kuźni. Opisał kowalowi, jaki haczyk mu jest potrzebny, i kazał mu zrobić.

— Wykonałbym, czemu nie, ale nie mam takiej silnej stali — rzekł kowal. — Ale jeżeli potrzebujesz takiej wędki, radzę ci, chłopcze, idź pod smoczą jaskinię, a tam na pewno znajdziesz któryś z mieczy porzuconych przez wielu rycerzy. Walczyli oni ze smokiem ciężkimi stalowymi mieczami i zginęli.

Rudek, zawsze bardzo chętny, pobiegł w stronę pieczary i po pewnym czasie wrócił niosąc dwa ciężkie miecze, połamane na kawałki. Kowal zaraz zabrał się do roboty, wędrowniczek tymczasem przyznał się, że potrzebuje jeszcze trzysta metrów liny „trzydziestki”.

— Jak to „trzydziestki”, nie rozumiem — rzekł kowal.

— Musi się składać z trzydziestu skrętów.

Kowal zrozumiał, o jaką linę chodziło Rudkowi, i rzekł:

— Powroźnik jest o, tam — i wskazał mu drogę.

Rudek udał się do powroźnika, który szczęśliwie miał taką linę. Kupił u niego na rachunek króla zwój trzystumetrowy i wrócił do kuźni. Gdy kowal miał gotowy haczyk, Rudek przeciągnął linę z lasu aż do smoczej jamy. Tu rybackim sposobem uwiązał haczyk, tylko brakowało mu gęsi na przynętę. Nabył więc ją we wsi i o pierwszym brzasku dnia nadział gaskę na haczyk. Zauważył wtedy, że smok wysunął z jamy okropny łeb i oblizywał się.

— Ślinka mu leci na myśl o smacznym mięsku pięknej królowny — pomyślał Rudek.

Naraz usłyszał bicie dzwonów na wszystkich wieżach kościelnych, wiele set bażanów grało zapowiadając śmierć królowny. Niósł się daleko płacz i lament całej ludności miasta.

— Nadchodzi dla mnie godzina próby — pomyślał sobie.

Wziął miecz, który dobrze naostrzył mu kowal. Ukrył się pod samą smoczą jamą. Naraz spostrzegł, że smok wytknął olbrzymią paszczę z jamy i radośnie parsknął, bowiem rajcowie miasta śliczną jak anioł królewską córeczkę właśnie podprowadzili pod samą pieczarę. Dziewczyna płakała wniebogłosy. Kiedy rajcowie uciekli, Rudek nagle wyskoczył z ukrycia i cisnął smokowi ładną, tłustą, pięknie wymytą gaskę.

— To chyba dla mnie na deser — pomyślał smok.

Capnął ją pełną paszczą i zawył tak strasznie, że królowna zemdląca. Lina naprężyła się jak struna. Drugi jej koniec Rudek zawiązał wokół pni tysiącletnich dębów. Smok miotał się w pętach liny, która aż brzęczała, ale nie puszczała. Młody rybak podskoczył do omdlonej królowny, przeniósł ją na zbocze i w dwu garściach przyniósł jej wody ze strumyczka. Królowna się ocknęła i odzyskała przytomność. Teraz dopiero zobaczył, jaka jest śliczna. Toteż już nie namyślając się skoczył do smoka, który wył przeraźliwie. Rudek podniósł dwiema rękami miecz i z całą siłą rąbnął nim w szyję smoka. W olbrzymiej jego paszczy tkwił ostry haczyk, który wbił się mu głęboko w podniebienie. Podszedł teraz do królowny i pokazał jej rybacki przyrząd, którym zabił smoka. Twarz królowny

rozjaśniła się jak słońce, upojona wielkim szczęściem dziewczyna wyszeptwała:

— Ty będziesz moim ukochanym i królem całego państwa, tak zarządził ojciec.

— Jestem rybakiem i możesz zostać żoną tylko rybaka.

Chłopak nachylił się i uściśkał uratowaną królownę. Dziewczyna rzuciła mu się na szyję i długo całowała go, a smok chrapał okropnie, były to oznaki ostatniej chwili jego życia. Szczęśliwa królowna chwyciła rybaka za dłoń i rzekła.

— Odrąb mu do reszty głowę, a zglądzisz go na wieki.

Rudek jednak spojrzał wymownie na swoją ukochaną i rzekł:

— Mój śliczny aniele, umierających się nie dobija, litować się trzeba nawet nad smokiem, już nie jest groźny dla nikogo.

Rudek pochwycił uratowaną i poprowadził ją przez las do miasta. Ludzie, którzy się modlili za niewinną duszyczkę ślicznej królowny, zrywali się z kolan i wiwatowali na jej widok.

— Co za bohater — krzyczeli stojący rycerze. — Takiego nie ma na całym świecie, pokonał smoka!

Gdy się zbliżali do miasta, król z królową wyjechali na spotkanie ocalonej córki. Stanęli przed zakochaną parą, którą miłość złączyła na śmierć i życie. Ojciec jej kazał ogłosić heroldom, że nowy młody król, który pokonał smoka, zasiądzie na tronie. Rudek spojrzał litośnie na swoją panią serca i zawołał potężnym głosem rybaka.

— Nie mogę być królem, nie potrafię rządzić państwem, jestem rybakiem. Ciebie biorę sobie za żonę — zwrócił się do dziewczyny.

— Rudku, należę do ciebie ciałem i duszą — wyznała dziewczyna.

Rybak zwrócił się do króla z prośbą, aby zezwolił im pobrać się dopiero za rok, bowiem córka ma siedemnaście lat i jest za słaba, aby jak inne rybaczki udźwignąć pełną karznię ryb. Ale po roku zjawi się na zamku i wtedy odbędzie się wesele.

— Przyszły zięciu — zagadnął go król — czy to dobrze, że bierzesz moją córkę jako żonę na Półwysep Helski, by dźwigała ciężkie karznie ryb. Tu, w moim zamku, w pięknej komnacie żyje i ma

wszystkiego pod dostatkiem. Gdybyś zgodził się zostać królem, miałbyś wszelkie wygody.

— Ale także wszelkie kłopoty, zarówno z poddanymi, jak i z sąsiednimi królestwami, i wojny. Jako rybak jestem wolnym ptakiem, niczym ta mewa, która w słońcu się bieli jak wyratowana przeze mnie królewska córka. Nie praca niszczy człowieka, tylko nadmierny dostatek.

Musiał król ustąpić woli rybaka.

— Po roku wrócę odebrać moją nagrodę za pokonanie smoka, ale córka wasza już dziś do mnie należy. Muszę teraz iść i odszukać lipę na rozstajnych drogach, gdzie miałem się spotkać z moimi braćmi.

Po długiej wędrówce Rudek znalazł wysoką lipę, brakowało w niej dwóch noży. Po długim poszukiwaniu trafił na ślad swoich braci, dowiedział się, że każdy z nich zebrał sporą gromadę wojowników i ruszył podbić świat. Jeden brat poszedł na zachód, a drugi na wschód. Ale wojna nie była ich rzemiosłem, więc obaj przegrali i obaj zginęli. Najmłodszy syn, Rudek, wrócił w rodzinne strony i stawiał się u ojca.

— Synku, co zdobyłeś? — zapytał go ojciec.

— Zdobyłem śliczną i młodziutką narzeczoną.

— Ta ciebie nie weźmie na męża, bo jesteś za głupi. A twoich braci spotkałeś gdzie w świecie? — rzekł ze zniecierpliwieniem.

— Spotkałem, ale tylko ich ślady. Obaj wyprawili się na podbój świata i obaj zginęli w walkach z ludem, który lubi morze.

— A ty jak zdobyłeś narzeczoną? — zagadnął go ojciec.

— Smoka ubiłem, który chciał ją pożreć — wyjaśnił Rudek.

— I ta dziewczyna jest twoją narzeczoną? — zdziwił się.

— Tak, do mnie należy — oświadczył rybak. — Podrzucili ją smokowi, a ja chwyciłem go na wędkę i uciąłem mu łeb jak dorszowi, i w ten sposób złowiliśmy dziewczynę.

— Już widzę — kpił sobie ojciec — jaka jest ta twoja narzeczoną. Szczerbata, piegowata, z rozczochranymi włosami i krzywymi nogami, takiej ja tu nie chcę widzieć.

— Ojczulku, przedwcześnie osądzasz, najpierw ją zobacz, a potem powiedz, czy tak ją sobie wyobrażałeś.

W końcu Rudek wybrał się w świat i doszedł do owego miasteczka, gdzie jego narzeczoną wypatrywała go przez długie tygodnie, miesiące. Blisko rok minął, jak się pożegnał ze swoją najmilejszą. Ojciec jego ciągnął za nim trop w trop, bo bał się stracić ostatniego syna. Na piersi zawiesił sobie Rudek igłę do robienia sieci na znak, że jest rybakiem. Królowna z daleka zauważyła, że wraca jej narzeczoną. Uradowała się ogromnie, bo wciąż jej się zdawało, że mogą ją jeszcze raz podrzucić smokowi, choć jej obawy były niesłuszne. Wprawdzie na zamku pojawił się rycerz z Teutońskiego Lasu, herbu Mosebark, i dowodził, że to on zabił smoka i że do niego należy piękna królowna. Już gotów był król w to uwierzyć, a nawet był skłonny oddać swoją córkę Niemcowi. Jednakże stanął przed królem prawdziwy wybawca jego córki. Wtedy wraz z królem i królowną wybrali się do smoczej jamy, gdzie przed rokiem Rudek zabił smoka. Tu się okazało, że Mosebark nie umiał absolutnie nic powiedzieć, jak smok został uśmiercony. A leżała jeszcze wędka. Ojciec Rudka, który w tej chwili dopiero doszedł, oświadczył, że na linie zrobiony jest węzeł, którego wiązać kiedyś nauczył swego syna. Toteż król kazał swojej straży przybocznej pojmać oszukańca, który gnił w lochach zamczyska królewskiego aż do samej śmierci. Siedząc w podziemiach przysłuchiwał się hucznemu weselisku królewskiej córki z rybakiem.

Rudek otrzymał od króla tytuł królewski. Wielki orszak zjawił się wówczas na Półwyspie, przywożąc króla z królową. Jeszcze po dziś dzień mieszkają potomkowie króla na Półwyspie Helskim i są dumni ze swych pra-pra-ojców.

Pusta noc

Niedaleko parafialnej wsi rozciągała się dość obszerna posiadłość ziemska. Ziemia była tam dobra. Dziedzic posiadał wielkie stado krów



i olbrzymie trzody owiec. Jednak nie powodziło się mu. Pastuchowi co rusz ginęło kilkanaście owiec i sam nie wiedział, gdzie się podziały. Brakowało też codziennie wieczorem kilku krów, choć pastuch, gdy wracał z pola, przeliczał bydło dwa, trzy razy. Potem dziedzic sam sprawdzał, ale jak kilka krów znów ubyło, tak ubyło. Dziedzic sam teraz nie wiedział, co ma z ludźmi robić. Pewnego poranku zauważył, że mu zginął wierzchowiec. Dziedzica brała rozpacz, żalił się sąsiadowi:

— Nie wiem, co mam robić z czeladzią. Nie pomagają ani groźby, ani chłosty. Mam dwóch siepiaczy, którym dobrze płacę, by codziennie chłostali parobków i pastuchów. Nawet nie oszczędzają służących, oni też codziennie swoje porcje otrzymują, bo inaczej roznieśliby cały drób. Już nie wiem, co począć.

— Ja też nie wiem — odrzekł sąsiad i wznosząc ramiona w górę powiedział: — Pójdź do proboszcza, ksiądz wie wszystko, ten ci doradzi, co masz zrobić.

Dziedzic z miejsca siadł na konia i pojechał do proboszcza, lecz nie zastał go na plebanii. Dowiedział się, że jest w kościele, bo była to niedziela i pora nabożeństw. Kiedy wszedł do kościoła, proboszcz stał na ambonie i prawił kazanie:

— Bogaczu, chcesz być szczęśliwy, sprzedaj swój majątek, pieniądze rozdaj biednym i idź w świat szukać szczęścia.

— Już wiem, co mam zrobić — rzekł sam do siebie i opuścił kościół.

Zaczął wypytывать i szukać kupca na swój majątek. Wnet znalazł takiego, który mu dobrze zapłacił. Zaniósł potem pieniądze księdzu, żeby je sprawiedliwie podzielił między wszystkich biednych w całej parafii. A sam udał się na brzeg morza, trafił tam na starego, biednego rybaka i się go pytał:

— Czego ty szukasz?

— Szukam szczęścia.

— Ja też po to samo przyszedłem. Czy ty już coś znalazłeś?

— Owszem, znalazłem trochę proszku bursztynu.

— To przecież nie ma żadnej wartości.

— Dam to księdzu do kadzidła — odpowiedział biedak.

Tak szli wzdłuż brzegu morza, coraz to większa fala biła na brzeg i od czasu do czasu zabłysnął kawałek bursztynu, który miał już niezłą wartość. Ale wszystkie cenniejsze kawałki podnosił biedak. Zanim otyły dziedzic skoczył, fala zabrała bursztyn z powrotem w głąb morza. Biedak zwinnym ruchem co chwilę jakiś większy kawałek wyciągnął z pianistej wody. Rozzłościło to bogacza. Nieco twarz mu się rozjaśniła, gdy towarzysz całą swoją zdobycz podzielił na dwie równe części. Tyle otrzymał bogacz, co i biedak, który zebrał już pół korca bursztynu. Jednak bogacz nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. W głowie mu prało, że gdyby on znalazł tyle bursztynu, nie miałby żadnego obowiązku dać cokolwiek staremu obdarcuchowi. Ale zabrał swoją część i już po ciemku udali się do wsi rybackiej, która stała tuż na skarpie wysokiego wybrzeża. Z morza gwizdał wiatr, a morze złowieszczym głosem ryczało, bo był srogi presk. Tak szli obok siebie przez wieś. Naraz usłyszeli monotony pobożny śpiew.

— Pusta noc, pewno znów jakiś rybak utonął — rzekł biedak do bogacza. — Wstąpmy do tej checzy, słysząc płacz dzieci, pewnie są teraz sierotami. Może będziemy mogli coś im pomóc.

— Ja ze swego bursztynu nic im nie dam — odrzekł dziedzic — bo sam nie mam wiele.

Weszli do środka. W sionce stała trumna, a wokoło niej klęczał rój dzieci, opłakujących swego tatusia, który trzy dni temu utonął, a dzisiaj fala wyrzuciła go na brzeg.

— Co za nieszczęście! — łamała ręce kobieta — osierocił mnie i dziesięcioro dzieci.

— Aż serce się kraje — rzekł starzec. — W moim długim życiu też kilka razy tonałem, ale zawsze wymknąłem się śmierci. Wiem, jaka ciężka jest śmierć tonącego. Znam też niedolę pozostającej po nim rodziny. Toteż postanowiłem twego małżonka obudzić — zwrócił się do płaczącej żony i matki dziesięciorga sierot.

— Oj, to chyba byłby cud!

— Musicie mi tylko dostarczyć kropidło i święconą wodę.



Dzieciaki rozleciały się po całej wsi i przyniosły święconą wodę i kropidło.

— Teraz wyjdźcie. Zawolałam was, jak wasz tatko wstanie.

Wszyscy weszli do izby, gdzie się zebrał tłum rybaków i śpiewał pieśni za zmarłych. Bogacz nie poszedł do śpiewających rybaków, tylko stanął na dworze przy drzwiach i podglądał przez dziurkę od klucza, próbując dojrzeć, co też uczyni dziad, aby wskresić umarłego. Biedak najpierw pokropił święconą wodą leżącego w trumnie, a potem modlił się nad nim.

— Boże wszechmogący, królu mórz i całego świata, zwróć utopionemu życie.

Jeszcze raz go pokropił święconą wodą, a wtedy zmarły się podniósł i wstał. Zapanowała wielka radość, gdy staruszek wprowadził wskrzeszonego do izby pustej nocy. Dzieci obskoczyły ojca, całując go po spracowanych dłoniach, a jego żona podeszła do starca z zapytaniem:

— Ile mam wam zapłacić za to wielkie dzieło?

— Nic nie żądam. Dam wam bursztyny, które dzisiaj wyłowilem z morza, kupcie za nie dla dzieci chleba. Zanim wskrzeszony będzie mógł wypłynąć na morze, będziecie mieli co jeść.

Inni z pustej nocy podchodzili do staruszka i dawali mu przedziwne rzeczy. Wręczyli mu nawet większą gotówkę. Starzec za wszystko dziękował. Najmłodsza córeczka wskrzeszonego przyniosła małego baranka i ofiarowała starcowi. Biedak pochylił się nad dwuletnim dzieckiem i przyjął od niego baranka. Dziewczynka ucałowała ogorzałą od wichrów morskich i od starości zgrębolałą twarz starca, a ten pogłaskał małą po główce i rzekł do niej:

— Nie zginiesz, dziecko, bo twój ojciec żyje.

Starcowi lzy potoczyły się po ogorzałych policzkach. Wziął baranka i opuszczył uradowanych rybaków.

— Weź tego baranka i nieś — rzekł do bogacza. — Jestem stary i bardzo zmęczony.

— I bardzo głupi — dodał bogacz. — Tyle ci dawali pieniędzy za wskrzeszenie rybaka, a ty wzięłeś tylko tego głupiego baranka.

— Cóż warte pieniądze wobec tego, że uprosiłem u Boga wszechmogącego, by im zwrócił ojca.

— Wiadomo, radują się, sam widziałem. Ale żeby być takim głupcem i dać im jeszcze całą swoją część bursztynu — mamrotał dziedzic.

Tak gadając doszli do lasu. Staruszek rzekł do bogacza:

— Jestem zmęczony, położę się i prześpię, a ty oprav jagnię i usmaż je. Jak będzie gotowe, możesz zjeść mięso, mnie zostaw tylko serce, to mi wystarczy.

Starzec zaczął wnet chrapać, a bogacz zabrał się do przygotowania jagnięcia, śpieszył się, bo był bardzo głodny. Biedak, gdy się obudził, wstał głodny i spytał:

— A gdzie masz baranie serce?

— Jagnię nie miało serca — odpowiedział bogacz.

— Ruszamy w drogę — dał znak starzec.

— A dokąd pójdziemy?

— Na Półwysep Helski, bo po wczorajszym

sztormie znajdę tam dosyć iskiei bursztynu dla księdza do kadzidła. No, może trafi się większy kawał, bo potrzebuje cokolwiek grosza na chleb.

— Czy dojdiesz tam? Może sam pójde i pozbięram, a co znajdę, tym podzielę się z tobą.

Starzec pomyślał w duchu:

— Czy jeszcze kiedyś go zobaczę, zbierze bursztyn i sam sobie wszystko weźmie, a ja nawet nie wywiążę się ze swoich zobowiązań. Przecież mam dostarczyć bursztyn do okolicznych kościołów i dla klasztorów w Wejherowie i Żarnowcu.

Po namyśle starzec zdecydował:

— Pójdziemy obaj, bo nie masz wprawnego oka do zbierania bursztynu ani do wyciągania go z piany morskiej. Pójdziemy przez Małe Morze, to nie tak daleko.

— Utoniemy — przeląkł się bogacz.

— Nie bój się — rzekł biedak. — Będziesz szedł trop w trop za mną, stawiając nogi w ślady moich stóp.

Bogacz zmarkotniał, ale pomyślał:

— Muszę go słuchać, bo on coś wie, inaczej nie obudziłby zmarłego.

Starzec ruszył przez Małe Morze, a tuż za nim stał bogacz, pilnując, aby iść jego śladami. Woda niosła go doskonale, ale w pewnej chwili zaczął tonąć, zanurzał się coraz to głębiej, aż w końcu widać było tylko jego czuprynę. Starzec się odwrócił, chwycił bogacza za czuprynę i spytał:

— A gdzie masz baranie serce?

— Baran serca nie miał.

Starzec wyciągnął bogacza z wody i zaprowadził go z powrotem na ląd.

— Musimy się pożegnać — oświadczył — bo jesteś nieuczciwy. Ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją.

Ruszył starzec przez Małe Morze na Półwysep Helski, zbierał tam drobne i większe kawałki bursztynu, po czym roznosił je po kościołach, a wieczorem wracał na wieś. Kiedyś znów trafił na pustą noc, wszedł do środka. Koło trumny stał ów bogacz. Miał rękawy zakasane, w dłoniach trzymał łopatę, groził zmarłemu:

— Po raz ostatni ci mówię, jeśli się nie podniesiesz z trumny, łeb ci rozwalę.

— Nie tak, nie tak — rzekł starzec, wchodząc do izby. — W ten sposób zmarłego nie obudzisz.

Śpiewający tej pustej nocy maszopi wpadli do sionki, by obronić zmarłego. Ale starzec już odebrał rozwścieczonemu bogaczowi łopatę i wszystkim rozkazał przejść do izby. Tym razem również poprosił o święconą wodę i kropidło. Zamknął drzwi, by nikt się nie przyglądał temu, co czyni, a po chwili już wprowadził do izby wskrzeszonego rybaka, trzymając go za rękę.

— Macie waszego maszopa, którego z pomocą boską obudziłem.

Wśród zebranych zapanowała wielka radość i rybacy zaczęli znośić cudownemu starcowi cały ich zarobek. A on im odpowiedział:

— Zachowajcie wasze pieniądze dla siebie, na-dejdzie zimą, morze się wzburzy i ten ciężki zarobek zapewni wam kawałek chleba. O ile chcecie mi coś dać, to proszę o łopatę, którą mój biedny znajomy chciał rozłupać nieboszczykowi głowę. Gdyby to uczynił, nie wskrzesiłbym już zmarłego.

Żona wskrzeszonego rybaka doceniła powagę słów starca dobrodzieja i wręczyła mu łopatę, bardzo go przepraszając za ten skromny dar.

— Nie mam takiego majątku, którym mogłabym was wynagrodzić, tak wspaniale jest wasze dobrodziejstwo.

Ruszyli w kierunku lasu. Bogacz znów robił staremu człowiekowi wyrzuty, że dawali mu tyle pieniędzy, a on przyjął tylko tę nędzną łopatę. Najwyżej można się nią napracować. Tak doszli do lasu. Wówczas biedak rzekł do dziedzica:

— Ja się położę, a ty będziesz tutaj oto kopać — i wskazał mu miejsce. — Skoro coś znajdziesz, podzielisz to na trzy równe części.

Starzec zasnął i chrapał, a bogacz szparko zabrał się do roboty. Po jakimś czasie wykopał skrzynię, wydobyl ją na wierzch i otworzył. Była po brzegi załadowana złotymi monetami. Zaczął je dzielić. Przemyślał rozmaite sposoby, jak tu zrobić, aby kupa, która jemu miałaby przypaść, była większa.

— Ale czy ten starzec tego nie spostrzeże — zastanawiał się — bo głupi to on nie jest. Inaczej zmarłych nie potrafiłby obudzić.

Na wszelki wypadek pieniądze podzielił na trzy

równe kupy. Z miejsca obudził starca, bo kusily go pieniądze, które chciał jak najszybciej zabrać.

— A może od starego coś jeszcze utarguję — pomyślał.

— Znalazłem pełną skrzynię złota — zaczął mówić bogacz. — Podzieliłem je na trzy równe części.

Starzec spojrział na monety i rzekł:

— Jedna kupa będzie twoja, a druga moja.

— A trzecia? — spytał bogacz.

— Trzecia należy do tego, kto zjadł baranie serce.

— Serce jagnięcia to ja zjadłem — odezwał się bogacz.

— To bierz trzecią kupę pieniędzy.

— A jednak szczęście znalazłem — dodał bogacz.

— Pamiętaj jednak, że musisz go życzyć z całego serca i innym.

Rozeszli się, bogacz kupił sobie okazałą wieś, a biedak ofiarował pieniądze na wdowy po tych mężach, którzy nie wrócili z morza.

Wyprawa na koniec świata

W Pucku mieszkał stary rybak nazwiskiem Ręka. Nabył on duży szkuner, by móc przywozić towary z większych portów skandynawskich.

— Na szkunerze tym można płynąć na koniec świata, taki wielki, mocny, ożaglowanie ma dobre — twierdziła żona Ręki.

— Zobaczmy, jeżeli ta podróż uda nam się i szczęśliwie dobijemy do portu puckiego, wtedy wybierzemy się na taką wyprawę, popłyniemy hen daleko, tam, gdzie morze z niebem się styka, bo morze nie jest bezkresne.

Toteż nie marudzili długo na pierwszym rejsie i wnet przyłynęli z powrotem. Ręka natychmiast zaczął szykować się do nowego rejsu. Załadowali masę żywności, duży zapas wody do picia i ruszyli na Małe Morze. Przez przerwę Półwyspu Helskiego wypłynęli na Wielkie Morze. Sprzyjał im wiatr, bo wciąż wiał z południowego wschodu. Posuwali się więc szybko i zaledwie w ciągu trzech i pół tygodnia znaleźli się przed wysokim murem, zbudowa-

wanym z białych jak kryształ kamieni. Potem płynęli wzdłuż muru, spoza którego od czasu do czasu pokazywała się piękna niewiasta w śnieżno-białej sukience. Pomachała przybyszom chusteczką i znikła za murem, nie mówiąc do nich ani słowa. Od czasu do czasu natrafiali na drabinę zrobioną ze szczerzego złota, żeby nie zardzewiała od słonej wody morskiej. Doleciał ich wonny zapach jakichś smakowitych potraw lub miłych napojów.

Marynarze byli ciekawi, co się dzieje za murem. Pragnęli tam zajrzeć, ale nie było takiego odważnego, który by zaryzykował wdrapanie się na mur. Wreszcie jeden z nich zdecydował się wejść po złotych schodach na szczyt muru. Ale skoro się tylko wdrapał i zobaczył nowy świat, obejrzał się na swoich towarzyszy z załogi, wznosił obie ręce do góry i skoczył za mur. Kapitan kazał czekać dwa długie miesiące. W tym czasie prąd ich powoli zniósł i niespodziewanie wylądowali u brzegów zamieszkałej wyspy. Z ludźmi tymi pucanie mogli się całkiem dobrze dogadać. Dowiedzieli się od nich, że za murem jest raj!

— Tam mieszkają sami święci — wyjaśnili przybyszom z Zatoki Puckiej. — Kto raz ten mur przekroczy, już nie wraca.

Dwóch majtków zaryzykowało wspiąć się na mur i postanowiło za wszelką cenę wrócić, by donieść ludziom z Zatoki Gdańskiej, co tam się dzieje. Zabrali ze sobą linę, weszli na mur, a gdy pierwszy spojrział w dół, z miejsca skoczył na przeciwną stronę, a drugi też nie zważał na wołanie kapitana.

— Co tam może być? — dziwił się kapitan z resztą załogi.

Zaledwie odzaglowali w bok od muru, znów meldował się jeden ochotnik, że wejdzie sprawdzić. Tym razem kapitan wziął się na sposób i uwiązał ochotnika do długiej liny, która sięgała od statku aż na szczyt muru. Kapitan wraz z dwuosobową załogą stał na pokładzie, wszyscy trzymali jeden koniec liny. Chłopiec się obejrzał na statek, na puckiego kapitana, raptem twarz jego przybrała jakiś nadziemski wyraz i skoczył za mur. Lina wyrwała się z rąk kapitana i załogi i zginęła za murem.

— Tam musi być coś nadzwyczajnego, skoro

ludzie z własnej woli skaczą — stwierdził kapitan. — Jeśli wy, chłopcy, chcecie też zbadać, to proszę bardzo. Ja muszę wrócić i o tym zjawisku donieść naszym rodakom znad Zatoki Gdańskiej.

Dwaj ostatni również przeszli mur. Kapitan podniósł żagle i skrzył ster. Wziął kurs na południowy wschód. Dzięki pomyślnym wiatrom mijał bez przeszkód kraje i morza, aż wpłynął na Bałtyk. Skoro tylko przycumował w Pucku, stracił całkowicie pamięć i o swojej przygodzie nie mógł nikomu opowiedzieć. Ale legenda o tym zdarzeniu krąży po dziś dzień na Wybrzeżu.

Oto my trzej

Żył sobie rybak, który był już w podeszłym wieku. Miał trzech dorastających synów, ale nie mógł ich wyuczyć zawodu rybackiego. Nie miał ani łodzi, ani sieci.

— Jak ojciec nic nie może, to niech da nam purtk — rzekł najstarszy z nich.

Jak purtk posłyszał, że go wzywają, zaraz się stawiał.

— Chcecie pieniędzy? — rzekł do trzech młodych rybaków.

— Pewnie, bo chcemy nabyć kuter.

— Dobra, dam wam na kuter, ale zanim go sobie kupicie, pójdziecie w świat i żaden z was w drodze słówkiem nie odezwie się do drugiego ani do nikogo. Gdyby ktoś wam zadał pytanie, najstarszy odpowie:

— Oto my trzej.

Zaś średni:

— Za pieniądze.

Najmłodszy:

— Oto prosto.

Purtek niebawem poleciał do piekła, a następnego dnia zjawił się z workiem złota i stanął przed zmówionymi. Ci trzej dali ojcu pieniądze na przechowanie, część ich przekazali mu na życie, pewną kwotę zanieśli księdzu na mszę, na intencję powodzenia. Ruszyli w świat. Tak chodzili od wsi do

wsi, od miasteczka do miasteczka, aż zaszli do jednej większej osady. Stanęli w karczmie. Właściciel spytał przybyszów:

— Czego sobie życzycie?

Pierwszy odrzekł:

— Oto my trzej.

Drugi zaś:

— Za pieniądze.

A gdy zapytał się trzeciego, ten mu odpowiedział:

— Oto prosto.

Karczmarz dobrze się im przypatrzył i poszedł do żony.

— Przybyło do nas trzech wędrowców — rzekł — mówią wciąż te same słowa. Pierwszy: „oto my trzej”, drugi: „za pieniądze”, a trzeci: „oto prosto”. Na nocleg zatrzymał się bogaty kupiec, ma masę dytków przy sobie. Mam plan. W nocy zabijemy go, pieniądze będą nasze, a rano damy znać policji i powiemy, że to ci trzej go zabili.

— Mądrze mówisz, chłopie — rzekła żona karczmarza. — Zabijemy, a ci trzej przybysze niech się tłumaczą. Gadać nie umieją, tylko w kółko powtarzają słowa, które same ich obciążą.

I tak tej nocy w karczmie popełniono mord. Rano kobieta pobiegła na policję i zameldowała o dokonanym przez trzech wędrowców zabójstwie. Kiedy przyszedł żandarm w pikielhaubie, zapytał najstarszego z podróżnych:

— Czy zamordowaliście tutaj bogatego kupca?

— Oto my trzej — rzekł najstarszy z braci.

— Dlaczego zamordowaliście? — pytał żandarm dalej.

— Za pieniądze — usłyszał odpowiedź drugiego.

Żandarm ucieszył się, że tak łatwo przyznali się do winy. Ale zapytał jeszcze trzeciego:

— Jak to zrobiliście?

— Oto prosto.

Żandarm zakuł ich w kajdany i odprowadził na policję, a następnie do prokuratury. Tam jasno i dobitnie prokurator ich zapytał:

— Czy wyście to zrobili?

— Oto my trzej — odrzekł najstarszy.

— W jakim celu popełniliście ten mord?

— Za pieniądze — rzekł drugi.



A zaś gdy spytano trzeciego, ten odmrucnął:
— Oto prosto.

W sądzie zeznawali karczmarz i jego białka. Twierdzili, że ci trzej zamordowali tego człowieka, żadnego innego gościa bowiem nie było u nich na noc w karczmie.

Sąd po naradzie odczytał wyrok śmierci dla wszystkich trzech. Ale w tej chwili stanął na sali rozpraw purtk w całej swej okazałości; z rogami, skrzydłami jak nietoperz i do tego miał jeszcze ogon. Rzekł on:

— To są fałszywi świadkowie. Nie ci trzej zamordowali, ale karczmarz ze swoją żoną. Ci trzej byli związani ze mną przysięgą, dlatego nie mogli mówić.

Purtk trzech wędrowców zwolnił z przysięgi, teraz więc mogli zeznać zgodnie z prawdą. Wyrok został unieważniony, a karczmarz ze swoją babą zostali skazani na karę śmierci. Kat był na miejscu i wyrok został zaraz wykonany. Ścięto im głowy,

potem purtk przerzucił ich sobie przez plecy i mruknął, gdy opuszczał salę rozpraw:

— Udało mi się złowić tych krzywoprzysięzców. Będzie z nich pieczeń, aż pazury lizać.

Trzej bracia wrócili pod ojcowską strzechę. Nabyli sobie kuter, zaczęli łowić i zapowiadać tamtejszym ludziom, aby nikt w sądzie nie ważył się krzywoprzysięgać, bo to straszna rzecz.

Odważnym szczęście sprzyja

Pewien gospodarz miał dwóch synów. Jeden z nich był mądry, a drugi głupi. Razem nie mogli pracować na polu, bo nigdy nie żyli w zgodzie. Więc jeden pracował z rana, a drugi po obiedzie. Zdarzyło się tak, że na głupiego przypadła kolej na popołudniową zmianę. Pracował w żarze słońca, aż się ściemniło i ochłodziło. Ojciec zaniepokoił się, co też się stało z jego synem. Było już bardzo późno, a ten nie wracał. Wysłał więc mądrego syna, aby odszukał zagubionego głupca. Mądry syn udał się drogą w pole, wziął kaptur, grube cygaro i chciał głupiego nastraszyć. Gdy ten wracał z kijem w rękę, mądrala skrył się w wysokim życie, zapalił cygaro i schowawszy się pod kapturem zaczął warczeć. Głupiec nie namyślając się trzepnął go kijem w łeb, ale zmiarkował, że ma do czynienia z człowiekiem. Wszedł w żyto, ściągnął kaptur i poznał, że to jego brat.

— Po co mnie uderzyłeś? — mądry zapytał głupiego.

— Powinieneś zaraz powiedzieć, że to ty jesteś, to bym ciebie nie bił.

Mądry pobiegł do ojca i poskarżył się na brata. Ojciec na to skrzyczał głupiego syna, naubił mu, zwymyślał, że wszystkich pozabija, i wrzasnął:

— Wynos się z domu, nie chcę cię widzieć ani godziny dłużej.

Głupiec, nie zwlekając, wziął na drogę trochę kartofli i cebulę i opuścił ojcowski dom. Szedł, szedł, aż trafił do ruin starego zamku, gdzie przy świetle świecy odnalazł kuchnię. Obrął kartofle

i pokroił cebulę. Koło komina znalazł patelnię i kubek z tłuszczem. Rozpalił ogień pod trójnikiem, postawił na nim patelnię i zaczął smażyć kartofle. Wtem usłyszał stukot w kominie. Spojrzał w górę i zobaczył buty z dawniejszych czasów, jakie nosili mężczyźni przed kilkuset laty.

— Ja już leczę — odezwał się męski głos w kominie.

— Poczekaj, aż usmażę kartofle — odrzekł głupiec.

Raptem spadło coś wprost z komina. Głupiek złapał to coś za hajdawery i wyrzucił na środek kuchni, po czym dalej smażył swoje kartofle. Ale po chwili znów ktoś krzyknął:

— Ja już leczę!

— Dożdże trochę, nie mam jeszcze usmażonych bulw.

Wtem spadła druga połowa człowieka. Głupiek chwycił ją za brodę i wyrzucił na środek kuchni. Gdy skończył smażyć kartofle, zauważył stojącego człowieka z długą, siwą brodą.

— A czego ty tu chcesz? — głupi zapytał nieznajomego.

— Chcę iść z tobą w zapasy.

Głupiek nie namyślając się ściągnął kaftan, chwycił starca wpół i go powalił.

— Pokonałeś mnie — rzekł starzec. — Nie okazałeś lęku. Byłem kilkaset lat temu właścicielem tego zamku. Za mego życia byłem okrutny wobec swych robotników. Gdy któryś mi nie dogadzał, kazałem go przepiłować na pół. Po śmierci, przecięty na połowę, skazany zostałem na pokutowanie w zamku dopóty, dopóki nie pojawi się ktoś taki odważny, że wytrzyma tu całą noc. Ty jesteś tym odważnym, dlatego oddaję ci zamek i wszystkie przyległe do niego grunta.

Głupiek spokojnie przespał całą noc, a rano wyszedł obejrzeć swoją posiadłość. Zajrzał do okazałej stajni, gdzie leżało pełno śpiących koni, ale gdy stanął we wrotach, wszystkie konie zerwały się ze snu i zaczęły rzeć. To samo się stało, gdy odkrył oborę z bydłem.

Łatwo teraz mógł głupiek gospodarować, czemu sam ojciec nie mógł się nadziwić, jak do tego doszło, że stał się właścicielem zamku. Odważnym szczęście sprzyja.

Dobro nagrodzone, a zło ukarane

Żył sobie macocha, która miała ładną pasierbicę, ale za to bardzo brzydką córkę. Ładną pasierbicę wykorzystywała do wszystkich prac. Codziennie musiała ona sprzątać pokoje, umyć drzwi i okna. Brzydka przez ten czas stała w lustrze, czesała się i malowała, i wyczekiwała, kiedy będzie ładna.

Pewnego dnia, gdy pasierbica wszystko posprzątała, wydoiła krowę i przecedziła mleko, nakarmiła prosiaki, macocha kazała jej wziąć kołowrót i prząść wełnę. Przędła tak długo, że aż jej krew puściła się z palców, w końcu kołowrót i wełnę spryskała krwią. Wówczas macocha pogoniła ją do studni, aby umyła kołowrót i wełnę. Prała ją dotąd, dopóki się znów nie zabieliła. Przy pracy tej wpadła jej do wody kądziółka i wraz z wełną poszła na dno studni. Macocha skrzyczała pasierbicę i kazała jej skoczyć do studni i wyciągnąć kądziółkę. Pasierbica nie zwlekając spełniła jej rozkaz. Leciła na dno, leciała długo, bo studnia była bardzo głęboka. Aż nagle znalazła się w pięknym nieznanym świecie. Skowronki śpiewały, latały motyle, kukułka odzywała się w gaiku, a rechot żab rozlegał się po całej okolicy. Bociany brodziły po łąkach i mokradłach, łowiąc żaby. Pasierbica snuła się po zaczarowanej krainie, a ptasi śpiew wydawał jej się coraz to piękniejszy. Aż doszła do jabłoni, obsypanej pięknymi czerwonymi jabłuszkami. Nagle usłyszała słowa:

— Weź nas, dziewczynko, jesteśmy już dojrzałe.

Dziewczynka zerwała jabłuszką i w fartuszk zaniósła je do stojącej na skraju łąki białej chaty. Rozłożyła jabłuszką na bielutkiej desce. Raptem pojawiły się przy niej piękne, białe jagniątką, które odtąd nie odstępowały jej. Ruszyła dalej. Stał piec pełen chleba, z którego krzyk się rozchodził:

— Wyciągnij nas, dziewczynko, jesteśmy już upieczone.

Dziewczynka wyciągnęła łopatą jeden za drugim wszystkie bochenki. Rozłożyła je na zielonej łące. Ruszyła swoją drogą. Już słońce zachodziło. Martwiła się, gdzie spędzi noc. Wstąpiła do lasu

i tu natrafiła na mały leśny domek. W otwartym oknie stała bardzo stara kobieta, praprababcia, która zapytała dziewczynkę:

— Dokąd tak się spieszysz?

— Babuleńko, szukam zajęcia.

— Chcesz pracować?

— Tak, bardzo bym chciała.

— To chodź do mnie. Mam pracę, a zapłata będzie dobra.

Dziewczynka z radością weszła do domu babuleńki. Jeszcze tego wieczora umyła okna, wytarła progi, wyniosła śmieci, a stara babuleńka przygotowała dla dziewczynki piękne łóżko, śliczne poduszki i pierzynę i ułożyła ją na spoczynek. Długo nie mogła dziewczynka usnąć, bo słowik tuż przy oknie nucił cudowne piosenki przez całą noc. Następnego dnia dziewczynka wytrzeptała dywany, posprzątała pokoje, przy trzepaniu pierzyny aż puch leciał w powietrze. Potem ugotowała obiad, a wieczorem wyznała babuleńce, że bardzo tęskni za domem i chciałaby już wrócić. Babuleńka przystała na prośbę swojej pomocnicy i jeszcze przed wieczorem odprowadziła ją do bramy, która się przed nią roztworzyła. Wtedy babuleńka ucałowała dziewczynkę i kazała jej przejść przez bramę. Aż tu nagle deszcz pereł, diamentów i rozmaitych świecidełek spadł na dziewczynkę i przykleił się do jej sukienki i do bujnych włosów.

Z daleka ujrziała domek swej macochy i nie namyślając się poszła w tę stronę. Kogut, który stał na drażku przy chacie, widząc śliczniutko błyszczące od pereł i innych ozdób, zapiał:

— Kukuryku, nasza piękna pani jest tu!

Macocha wybiegła przed chatę i aż się za głowę złapała:

— Co za piękność! Jak się dorobiłaś takiego bogactwa?

Dziewczynka zaczęła opowiadać swoje przygody. O tym, jak wpadła do studni i jak daleko leciała, i jak pomagała babuni, i jak potem wyszła. Macocha słuchała, słuchała, aż w końcu wrzasnęła, wskazując na swoją córkę:

— Ty szmorze, leżysz, a tamta wygląda jak córka króla! Czas na ciebie, abyś się też czegoś dorobiła. Musisz tak jak ona zacząć prąść i tak jak ona

długo pracować, aż się krwią zboczy kądziel i wełna. Potem umyjesz kądziel, wypierzesz wełnę i wskoczysz do studni.

Rano, gdy tylko słońce zaczęło wschodzić, macocha obudziła swoją córkę i zapędziła ją do przędzenia, w końcu rzekła:

— Pamiętaj o klejnotach.

Brzydka córeczka usiadła koło kądzieli, ziewała, przeciągała się, ale ani jej się śniło prąść wełnę. Jak słońce zaczęło przygrzewać, skaleczyła sobie palce i pokrwawiła kądziel, po czym poszła do matki.

— Dalej teraz myć palce i kądziel, a potem do wody.

— Nie chce mi się, woda jest zimna — skrzywiła się córka.

— Dalej po klejnoty. Ta chodzi ubrana jak królowa, a ty będziesz wciąż brzydka niczym strach na wróble. To nie do pomyślenia, musisz być piękniejsza od niej. Ozdobią cię pod ziemią.

Chcąc nie chcąc brzydula poszła do studni, wrzuciła kądziolkę do wody i sama wskoczyła za nią. Znalazła się w owej pięknej krainie, o której opowiadała jej pasierbica. Szła przez łąkę, ale nie słyszała śpiewu ptaków ani rechotu żab, tylko gdzieś niedaleko skrzeczała ropucha, a bociany uciekały przed nią z łąk. Tak dotarła do owej jabłoni, o której jej mówiła dziewczynka.

Jabłka wołały:

— Zerwij nas z drzewa, jesteśmy już dojrzałe.

— Ani mi się śni was zrywać, a może jeszcze wspinać się mam na drzewo, ręce i nogi sobie podrapie i sukienkę zniszczy. Niech was robaki zjedzą!

Z kolei doszła do pieca. Bochenki wołały do niej:

— Wyciągnij nas z pieca, bo ogień nas pożre.

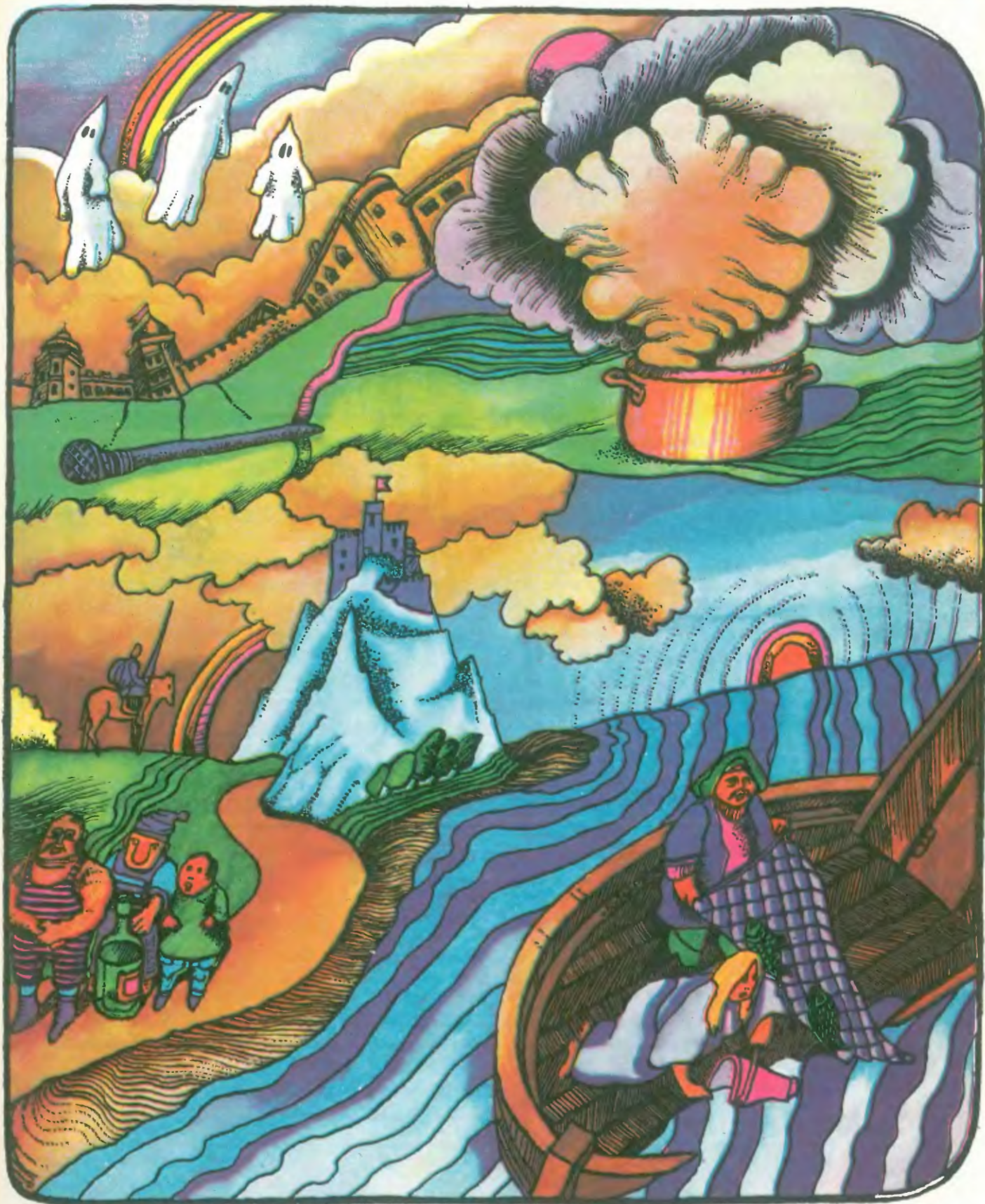
— Ani myślę, nie chcę tej brudnej łopaty brać do ręki. Może mam sobie przez was ręce poparzyć!

Brzydka szła dalej i natrafiła na domek babuleńki, która chętnie przyjęła ją do pracy. Zwróciła się do niej, aby wyszorowała podłogi oraz umyła drzwi i okna.

— Jestem zmęczona, muszę się położyć do łóżka.

W nocy brzydula nie słyszała słowika. Rano,





jak się obudziła, doszło ją rechotanie ropuchy i pohukiwanie sowy.

— Chcę wracać do domu, żądam zapłaty za mój tutaj pobyt.

Babuleńka na to jej odrzekła:

— Wyprowadzę ciebie i wrócisz do domu.

— A zapłata będzie? — spytała się dziewczucha o kruczocharnych włosach.

— Będzie, będzie — zapewniła ją babuleńka.

Kiedy brzydula minęła bramę tę samą co jej poprzedniczka, spadła na nią ulewa smoły. Dziewczyna zaczęła się ocierać, zdrapywać smołę, ale miała ją na ubraniu, we włosach, a przede wszystkim cała jej twarz była zalana smołą. Wyglądała jak białka purtka. Zawstydzona i przygarbiona, przemykała się do domu swojej matki.

— Kukuryku, nasza brzydula jest tu — zapiął kogut.

Po takim obrocie sprawy macocha z brzydulą jeszcze bardziej zaczęły prześladować pasierbicę. Nie były jednak w stanie zedrzeć z niej klejnotów. Wieść o tym wydarzeniu rozeszła się po całej okolicy. Wnet zjawił się na koniu piękny młodzieniec i zapytywał o pasierbicę.

— Nie ma tu takiej — odrzekła macocha. — Ale mam córkę, ją tobie dam. Będzie z niej dobra żona.

Jednakże śliczny młodzieniec nie dał się omamić przez złośliwą babę. Szukał pięknej pasierbicy dookoła domu, w końcu znalazł ją w nędznym baraku, do którego drzwi były zabite deskami. Siłą wyważył drzwi, zabrał dziewczynę, posadził ją na konia i odjechał w daleki świat. Później wzięli ślub i żyli bardzo szczęśliwie, i doczekali starych lat.

O szczęśliwym strzelcu

Żył sobie dwóch braci, jeden bogaty, a drugi biedny. Bogaty był złotnikiem, człowiekiem złego serca, przebiegłym, chytrym. Biedny trudnił się wiązaniem mioteł, był dobry i sprawiedliwy, miał dwoje dzieci, bliźniacy byli podobni do siebie jak

dwie krople wody. Synowie biedaka zachodzili do domu bogacza i od czasu do czasu otrzymywali odpadki z jedzenia. Tak się zdarzyło, że miotlarz, który udał się do lasu po chrust, spostrzegł pięknego ptaka, całego ze złota.

— Tak cudownego ptaka jeszcze w życiu nie widziałem, i chyba nikt w całej okolicy — pomyślał.

Biedak podniósł kamyczek i cisnął w ptaka, który uрониł jedno złote pióro i odleciał. Miotlarz podniósł je, zaniósł do domu i oddał swemu bratu. Ten spojrział na pióro i rzekł:

— To jest szlachetne złoto.

Dał za nie bratu wiele pieniędzy. Następnego dnia biedak poszedł do lasu, wlaź na wysoką brzozę, aby uciąć kilka gałęzi, wtem spośród konarów wyleciał ten sam piękny ptak. Wówczas odszukał jego gniazdo, w którym znalazł jedno jajko, też całe ze złota. Zabrał je do domu i zaniósł swojemu bratu, który stwierdził, że jest to szlachetne złoto, i dał biednemu tyle pieniędzy, ile warte było jajko. Po czym rzekł:

— Chciałbym mieć całego ptaka.

Miotlarz po raz trzeci poszedł do lasu i na brzozie zauważył złotego ptaka. Wymierzył do niego, ptak spadł, zaniósł go więc bratu, który w zamian dał mu woreczek złota. Biedak zadowolony wrócił do domu.

Tymczasem mądry i chytry złotnik zawołał swoją żonę i polecił jej:

— Usmaż tego ptaka, i to w całości, mam chęć zjeść go całego.

Cudowny ptak miał przynieść szczęście temu, kto zje jego serce i wątrobę. Wówczas ów co dzień rano miał znajdować pod poduszką złotą monetę. Żona natknęła ptaka na drewniany rożenek i smażyła go. Ze złotnikiem na zmianę stali nad ogniem. Ale zdarzyło się, że złotnik zmuszony był wyjść na chwilę. W tym właśnie czasie dwaj chłopcy miotlarza wpadli do kuchni, kilka razy obrócili rożenek i zjedli dwa kawałeczki, które wypadły z ptaka.

Wtem weszła kobieta i zapytała:

— Coście jedli?

— Dwa małe kawałeczki mięsa, które wypadły z tego ptaka.

— To było serce i wątroba — rzekła przestraszona kobieta. — Mój mąż tego najwięcej pilnował, co ja teraz zrobię.

Zmartwiona kobieta szybko zabiła kogutka, wyjęła z niego serce i wątrobę i włożyła do brzucha ptaka. Chłop zjadł usmażonego ptaka i pewien był, że rano znajdzie pod poduszką złotą monetę. Jakże się rozczarował, gdy jej nie znalazł.

Chłopcy miotlarza nie wiedzieli, co za szczęście ich spotkało. Rankiem, gdy wstali z łóżka, coś spadło na podłogę i głośno zadzwoniło, były to dwie monety po dwadzieścia marek w złocie. Zanieśli je ojcu, który się zadziwił:

— Jak to się stało?

W następne dni znów wyjęli spod poduszki złote monety. Wówczas biedak opowiedział całą historię złotnikowi, który od razu zrozumiał, że to tych dwóch niekarenców zjadło serce i wątrobę złotego ptaka. Z zazdrości rzekł bratu:

— Słuchaj, twoi chłopcy są opanowani przez złego ducha. Zabierz im złoto i wypędź ich z domu, bo i ciebie może on opętać.

Ojciec wyprowadził chłopców do lasu i zostawił ich pogrążonych w smutku. Bliźniacy próbowali odnaleźć drogę do domu i tak błądząc napotkali strzelca, który ich zapytał:

— Do kogo, chłopcy, należycie?

— My jesteśmy dziećmi biednego miotlarza — odpowiedzieli — ojciec wyrzucił nas z domu, dlatego że każdego ranka dwie złote monety znajdujemy pod poduszką.

Dobry człowiek, choć miał własne dzieci, przyprowadził chłopców do domu i rzekł:

— Wychowam was na porządnym ludzi.

Uczył chłopców polowania. Złote monety, które każdego ranka znajdowali, chował dla nich do skarbonki. Gdy chłopcy już dorośli, strzelec zabrał ich do lasu i rzekł im:

— Dzisiaj oddacie próbny strzał, chcę was pascować na strzelców.

Na strzelnicy długo czekali, zanim nadleciał klucz dzikich gęsi w kształcie trójkąta, strzelec rzekł do jednego.

— Zestrzel z każdego rogu jedną gęs.

Próbny strzał się udał. Gdy przyleciał drugi

klucz, tym razem w kształcie cyfry dwa, strzelec nakazał drugiemu chłopcu zestrzelić z każdego rogu po jednej gęsi.

Też mu się udał próbny strzał. Wtedy strzelec rzekł:

— Jesteście pasowani na myśliwych.

Obaj udali się w las i uradzili, że nie ruszą ani zupy ani żadnego innego kaska, póki strzelec nie spełni ich prośby.

— A cóż to za prośba? — zapytał strzelec.

— Zdobyliśmy już fach, pozwól nam odejść. Stary myśliwy odrzekł z radością:

— To było moim życzeniem. Idźcie, a na pewno wam się powiedzie.

Później pili i jedli wszyscy razem. Gdy nadszedł dzień rozstania, podarował chłopcom fuzję i po jednym psie. Dał też każdemu tyle zaoszczędzonych złotych monet, ile każdy z nich chciał, i towarzyszył im kawał drogi. Przy pożegnaniu wręczył im błyszczący sztylet nakazując:

— Gdy będziecie się rozchodzić, na rozstajnej drodze wetkniecie ten nóż w drzewo. Skoro któryś z was wróci, będzie wiedział, w którą stronę poszedł brat. Sztylet zardzewieje, gdy któryś z was umrze.

Dwaj bracia doszli do wielkiego lasu, przenocowali w nim i zjedli, co im strzelec włożył do myśliwskich kieszeni. Następnego dnia też nie udało im się wyjść z lasu. Nie mieli już nic do jedzenia, wtedy jeden z nich rzekł:

— Musimy coś upolować.

Nabił fuzję i rozglądał się. Zobaczył starego zająca, który biegł za nimi. Przyłożył strzelbę, ale zając zaczął prosić.

— Panie myśliwy, daruj mi życie, ja ci dam dwa młode zające.

Skoczył w krzaki i natychmiast je przyniósł.

Strzelcy, widząc igraszki zwierząt, z dobrego serca zatrzymali je przy sobie. Malutkie zwierzątka szły ich tropem.

Po chwili wyszedł lis, chcieli go ustrzelić, ale i ten skomlił:

— Panie myśliwy, daruj mi życie, ja też ci dam dwa młode.

Po niedługim czasie wyszedł z gęstwiny wilk. Przyłożyli strzelbę, ale wilk wrzeszczał:

— Kochany, pozwól mi żyć. Dam ci dwa małe. Młode wilki szły w ślad za strzelcami.

Potem znalazł się niedźwiedź, który też chciał jeszcze żyć i łązić po lesie, głośno więc krzyczał.

— Panie myśliwy, zostaw mnie przy życiu, ja też ci dam dwa młode.

Dwa małe niedźwiedzie zaprzyjaźniły się z innymi zwierzętami i patrzyły na nich z szacunkiem.

Przyszedł lew i nasrożył się, ale nieulękli strzelcy wymierzili na niego fuzję, wtedy lew zaczął ze strachem mówić:

— Kochany myśliwy, zostaw mnie przy życiu, też ci oddam dwa młode.

Myśliwi mieli teraz dwa zajęce, dwa lisy, dwa wilki, dwa niedźwiedzie i dwa lwy. Tymczasem głodowali coraz bardziej, w końcu rzekli do lisów:

— Słuchajcie, wy potraficie potajemnie podchodzić, musicie zdobyć coś do jedzenia.

— Niedaleko stąd jest wieś — rzekły lisy — złowiliśmy tam już niejedną kurę, pokażemy wam drogę.

Myśliwi kupili we wsi coś do jedzenia, dali też zwierzątkom i ruszyli dalej.

Szli przez lasy, góry, doliny, w końcu postanowili się rozłączyć. Podzielili się zwierzętami i przyrzekli sobie braterską miłość aż do śmierci. Wbili głęboko w drzewo sztylet, darowany im przez strzelca, i teraz ruszyli w dwie różne strony.

Jeden wraz ze zwierzętami zaszedł do miasta pograżonego w żalobie.

Właściciel gospody pozwolił im przenocować w chlewie. Przez niewielką dziurę wymknął się nocą zajęca i przyniósł sobie głowę kapusty, lis kurę i do tego jeszcze koguta. Gospodarz zaprowadził do obory lwa, niedźwiedzia i wilka, ułożyli się na słomie we trójkę i najedli do syta.

Myśliwy zapytał gospodarza:

— Dlaczego to miasto jest okryte kirem.

— Dlatego — wyjaśnił gospodarz — że ma umrzeć jedyna córka króla.

— Czy jest chora?

— Nie, ona jest zdrowa i wesola, ale musi umrzeć.

— Jak to może być — zdziwił się myśliwy.

— Za miastem w lesie pod górą mieszka smok, który co roku musi dostać dziewicę, bo inaczej zeżre wszystkich ludzi w kraju. Miasto już wydało wszystkie dziewice, pozostała tylko królewska córka, dla niej nie ma żadnej łaski. Ona musi być jutro wydana.

— Dlaczego wy go nie zabijecie — zapytał młody strzelec.

— Bracie kochany, tylu rycerzy już próbowało, ale wszyscy zginęli. Temu, który go zwycięży, król dałby swoją córkę za żonę, a po swej śmierci całe królestwo.

Strzelec nic nie odpowiedział, lecz następnego dnia wziął swoje zwierzęta i poszedł z nimi na smoczą górę. Na jej szczycie stał mały kościółek, a na ołtarzu trzy napełnione kielichy oraz napis: „Kto te kielichy wypije, będzie najsilniejszym człowiekiem na ziemi i będzie władał mieczem, który jest zakopany pod bramą”. Myśliwy odszukał miecz pod bramą, ale nie zdołał go wyciągnąć z ziemi. Wtedy udał się do kościółka i wypił trzy kielichy. Od razu zdobył tyle siły, że mógł wyciągnąć miecz i nim władać.

O oznaczonej godzinie król, marszałek, admirał całej floty i skarbnik bogatego państwa odprowadzili królową, która z daleka ujrzała strzelca na smoczej górze, lecz pewna była, że to smok na nią czeka. Król i dworzanie z wielkim smutkiem powrócili na zamek. Pozostał tylko marszałek, który miał z dala przyglądać się wszystkiemu. Gdy królewska córka weszła na górę, zamiast smoka zobaczyła młodego myśliwego, który jej rzekł:

— Chcę cię uratować!

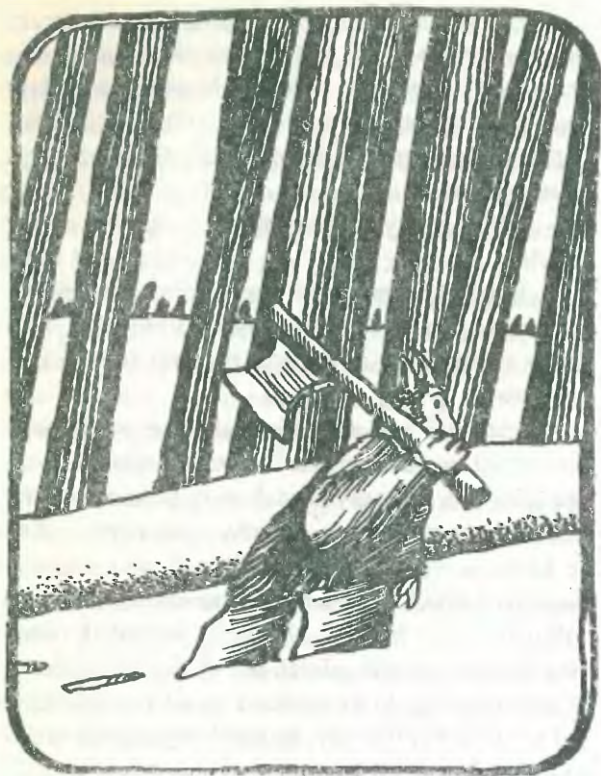
Zamknął ją w kościółku. Nie trwało długo, gdy z wielkim wraskiem wyszedł siedmiogłowy smok i zadziwił się bardzo:

— Co ty tu robisz na tej górze.

— Ja chcę z tobą walczyć o tę piękną niewiastę, którą masz dzisiaj zeżreć — odrzekł strzelec.

— Niejeden tu rycerz złożył swoje życie w ofierze. Z tobą też się załatwię — odrzekł i zionął ogniem z siedmiu paszczy.

Ogień zapalił suchą trawę, strzelec miał zginąć w płomieniach i dymie. Jednak jego zwierzęta przybiegły i zagaściły ogień. Teraz smok rzucił się na



strzelca, ale ten podniósł miecz, zamachnął się i jeden łeb smoka spadł. Natychmiast ściął następne dwa łby. Szalony smok, rozwścieczony, miotał ogniem, którego płomienie niosły się nad strzelcem. Ale ten z rozmachem, tego machnął mieczem i odrąbał mu jeszcze trzy głowy. Potwór strasznie zawył i zmęczony padł na ziemię, ale jednak podniósł się i chciał zaatakować strzelca. Wtedy ten resztkami sił ściął ostatni jego łeb. Gdy smok już leżał powalony, strzelec zawołał zwierzaki, które rozdarły cielsko na kawałki. Po zakończonej walce myśliwy otworzył kościół, gdzie znalazł przepiękną królową leżącą na podłodze, nieprzytomną ze strachu. Wyniósł ją z kościołka na świeże powietrze, a gdy odzyskała przytomność i otworzyła oczy, pokazał jej rozszarpanego przez jego zwierzaki smoka.

— Jesteś uratowana.

— Odtąd będziesz moim najmilszym małżonkiem — oświadczyła — mój ojciec przyrzekł mnie temu, kto zabije smoka.

Potem zdjęła naszyjnik z koralami i sypnęła je ma-

łym zwierzakom, by je w ten sposób wynagrodzić. Lew otrzymał śliczny zameczek od koralów, a chusteczkę z wyhaftowanymi pierwszymi literami imienia swego i nazwiska ofiarowała strzelcowi. Ten z siedmiu głów smoka wyciął siedem języków, zawinał je w chusteczkę i starannie schował.

Po czym, bardzo zmęczony walką, rzekł do dziewczyny:

— Musimy chwileczkę się przespać.

Gdy położyli się na ziemi, strzelec rzekł do lwa:

— Trzymaj wartę, żeby nas nikt nie napadł w czasie snu.

Oboje zasnęli, a lew położył się obok nich. Ale ten też był zmęczony walką, zawołał więc niedźwiedzia i rzekł:

— Połóż się obok nich, muszę się trochę przespać, gdyby ktoś nadszedł, obudź mnie.

Niedźwiedź położył się obok lwa, ale też był wyczerpany. Zawołał wilka.

I tak po kolei wszystkie zwierzęta ułożyły się obok córki królewskiej i myśliwego — lew, niedźwiedź, wilk, lis i zając, wszyscy spali kamiennym snem.

Marszałek królewski, który z daleka widział całą walkę, z wielką trudnością wdrapał się na górę. Zobaczył smoka poćwiartowanego, a nie opodal leżącą królewską córkę ze strzelcem i zwierzętami, wszyscy twardo spali. Bezwzględny i zły, chwycił miecz i uciął myśliwemu głowę. Wziął przerażoną królową na ręce i zapowiedział jej stanowczo:

— Mam cię w swoim ręku, musisz powiedzieć, że to ja zabiłem smoka.

— Nie mogę — odrzekła — przecież to przystojny strzelec z jego zwierzakami wykończył smoka.

Marszałek wyciągnął miecz i zagroził:

— Zabiję cię, jeśli nie będziesz mnie słuchać.

Wymusił na niej przyrzeczenie i poszedł z nią do króla, który nie posiadał się z radości, widząc swoje dziecko całe i zdrowe, uwolnione od bestii siedmiogłowej.

— Smoka to ja zabiłem — pochwalił się marszałek — żądam, byś mi swoją córkę dała za żonę.

— Czy to prawda, co on mówi? — król zapytał córkę.

— O, tak! — odrzekła. — Musi to być prawda, ale wstrzymam się, za rok i dzień odbędzie się wesele.

Wierzyła, że przez ten czas zdoła się coś dowiedzieć o swoim kochanym strzelcu.

Na smoczej górze leżały zwierzęta obok swego pana i spały. Nieznany bąk usiadł na nosie zająca, ale ten zgarnął go łapką i spał dalej. Bąk przyleciał po raz drugi, ale zając znów zgarnął go łapką i spał dalej. Wtedy bąk ugryzł go w nos. Zając się obudził i postawił na nogi lisa, wilka, niedźwiedzia i lwa. Lew, gdy się ocknął, zaczął przeraźliwie ryczeć i wołać:

— Kto zabił mego pana, dlaczego, niedźwiedziu, nie obudziłeś mnie?

Niedźwiedź zapytał wilka, a wilk lisa, a lis zająca, a biedny zając nie wiedział, co ma odpowiedzieć, i cała wina zawisła nad nim. Mieli go zasądzić, ale ten błagał:

— Nie zgładźcie mnie, ja ożywię naszego pana. Znam pewną górę, na której rośnie korzeń, kto go weźmie do ust, natychmiast będzie wyleczony ze wszystkich chorób i ran. Ale ta góra odległa jest o dwieście godzin człowieczego marszu.

— Po dwustu godzinach musisz tu być z korzeniem — rzekł lew.

Zając z miejsca ruszył w drogę. W dwadzieścia cztery godziny był z powrotem. Lew usiadł myśliwemu przy głowie, a zając wsadził mu korzeń do ust. Natychmiast głowa złączyła się z resztą ciała i serce zaczęło bić, wróciło życie. Myśliwy się obudził, ale nie widział dziewczicy, pomyślał więc:

— Odeszła, kiedy spałem, chciała się mnie pozbyć.

Lew w pośpiechu odwrotnie przyłożył głowę do szyi myśliwego, który zajęty myślami o dziewczicy początkowo nie zauważył tego. Dopiero przy obiedzie, gdy chciał jeść, spostrzegł, że ma twarz odwróconą w stronę pleców. Lew mu zaraz wytłumaczył:

— Ze zmęczenia zasnęliśmy, gdy obudziliśmy się, znaleźliśmy ciebie z odciętą głową. Zając przyniósł bardzo leczniczy korzeń, ale w pośpiechu odwrotnie złączyłem głowę z resztą ciała. Ten błąd naprawimy.

Lew oderwał strzelcowi głowę, odwrócił ją, a za-

jąc wyleczył za pomocą korzenia. Strzelec ciągnął przez świat bardzo smutny, dla zabicia bólu kazał swym zwierzętom tańczyć. Zdarzyło się, że w rocznicę zwycięstwa nad smokiem przybył do tego właśnie miasta, które tym razem strojne było szkarłatem. Strzelec zaszedł do gospody i zapytał właściciela:

— Przed rokiem miasto było okryte kirem, co dzisiaj znaczy ten czerwony kolor?

Gospodarz mu odrzekł:

— Jutro ma być wesele córki królewskiej z marszałkiem, który zabił smoka.

Nazajutrz w porze obiadowej myśliwy zagadnął gospodarza:

— Czy wierzysz, że dzisiaj będę tu spożywać chleb królewski.

— Jo — rzekł gospodarz. — Dołożyłbym jeszcze sto złotych monet, że to nieprawda.

Myśliwy przyjął zakład i wyłożył na stół swój mieszek ze złotymi monetami. Potem zawołał zająca i rzekł:

— Leć, kochany skoczku, na zamek i przynieś mi chleb, który jada król.

— Hej! — pomyślał zajączek — kiedy sam pobiegnę przez drogi, charty będą mnie gonić.

Tak się też stało. Psy już miały poszarpać jego piękną skórę, kiedy zajączek wpadł do wartowniczego domku. Żołnierz zbił kolbą psy, które z wyciem uciekły. Wtedy zajączek, widząc, że powietrze jest czyste, skoczył do zamku, wprost do komnaty królewskiej córki, usiadł pod jej krzesłem i zaczął drapać ją po pięknej nóżce. Dziewica wzięła go na kolana i zapytała.

— Kochany zajączku, czego sobie życzysz?

— Mój pan, który zabił smoka, przysłał mnie po chleb, który jada król.

Królowna bardzo się uradowała i rozkazała piekarzowi dać mu jeden chleb. Poleciała też, żeby zaniósł zajączka do gospody, aby go nie rozszarpały charty. Przed drzwiami gospody zając stanął na tylnych łapkach, zabrał chleb od piekarza i zaniósł swemu panu.

Gospodarz się zadziwił, na to myśliwy rzekł:

— Tak, sto złotych monet należy do mnie, chleb mam, teraz chciałbym jeść królewską pieczeń.

Gospodarz tym razem nie chciał się zakładać. Myśliwy wysłał lisa, który pomknął chyłkiem, wietrząc nieprzyjaciela. Usiadł koło krzesła królewskiej córki i drapał jej nogę.

— Kochany lisie, co chcesz?

Spojrzała na niego i zauważyła, że ma korał z jej naszyjnika, więc zabrała go do komórki i jeszcze raz zapytała.

— Kochany lisku, czego sobie życzysz?

— Mój pan, który zabił smoka, jest tutaj, w mieście, i przysłał mnie, bym mu przyniósł pieczeń, którą król jada.

Kazała kucharzowi zrobić pieczeń, jaką król jada, i odprowadzić lisa aż do drzwi. Lis merdał ogonem, by odgonić muchy, które siadały na pieczeni, i zaniósł ją swojemu panu.

Potem myśliwy wysłał wilka po ziemne orzechy, jakie król jada.

Wilk poszedł wprost do zamku, bo nikogo się nie bał. Zębami chwycił dziewczę za sukienkę. Od razu poznała go po paciorku z naszyjnika i zabrała do swojej komórki, pytając:

— Kochany wilku, czego ty żądasz?

— Mój pan, który zabił smoka, jest w tym mieście, prosi o ziemne orzechy, jakie jada król.

Na rozkaz królowej kucharz sporządził orzechy ziemne i odniósł wilkowi aż do drzwi, po czym zwierzę zaniósło miskę swojemu panu.

— Widzicie, gospodarzu — rzekł myśliwy — teraz mam mięso, chleb i orzechy ziemne. Ale chcę jeszcze cukierków takich, jakie król je.

Wysłał niedźwiedzia, przed którym każda istota uciekała z drogi. Gdy niedźwiedź przybył do zamku, stanął na tylnych łapach, sprzął strażaków po pysku z lewej i prawej strony i udał się do królewskiej córki, stanął za jej krzesłem i cicho warknął. Dziewica od razu poznała niedźwiedzia, potem wezwała cukiernika, który wydał mu smakołyki, jakie jada król, i zaniósł niedźwiedziowi pod drzwi gospody. Niedźwiedź wylizał cukiernicze wyroby, które spadły, i zaniósł miskę swojemu panu.

Na końcu wysłał lwa po wino, jakie król pije.

Lew szedł poważnym krokiem, a przechodnie uciekali, gdzie pieprz rośnie. Strażnicy chcieli mu zagrozić drogę, lecz tylko raz zaryczał, a uskoczyli

w bok. Poszedł pod królewski pokój i swoją ciężką łapą zapukał do drzwi. Wyszła królewska córka, która poznała złoty zameczek od jej naszyjnika i zabrała lwa do swojej komory.

Poleciła podczaszemu, aby podał wino, jakie pije król.

— Chcę iść zobaczyć, jakie wino on mnie da — rzekł lew.

Nalał sobie pół kwarty i połknął jednym haustem.

— Nie — zaprzeczył — to nie jest prawdziwe wino.

Podczaszy spojrzał z ukosa i chciał mu dać wino z beczki przeznaczonej dla marszałka.

— Poczekaj, wpierv muszę skosztować.

Wypił pół beczki i stwierdził:

— Lepsze, ale jeszcze nie to prawdziwe.

Wtedy podczaszy się rozgniewał i rzekł:

— Co za głupie zwierzę.

Lew trzepnął go w ucho, a ten padł nieprzytomny na ziemię. Gdy się ocknął, w milczeniu zaprowadził lwa do tajemnej piwnicy, gdzie znajdowało się królewskie wino. Lew nalał sobie pół kwarty, badał, smakował i rzekł:

— To może być prawdziwe wino — i kazał napełnić sześć butelek.

Gdy wyszedł z piwnicy, zaczął się chwiać z boku na bok. Podczaszy musiał zanieść butelki aż pod drzwi gospody, potem lew za pałąk wziął koszyk i zaniósł go swemu panu.

— Widzicie, gospodarzu — rzekł myśliwy — mam chleb, mięso i orzechy ziemne, słodczyce i wino takie, jakie król ma, teraz chcę z moimi zwierzętami ucztować.

To był bal! Jedli i pili same dobre rzeczy.

— Panie gospodarzu — rzekł po uczcie — teraz pójdę na zamek i zaślubię córkę królewską.

— Jak to — zdziwił się gospodarz — przecież ona ma już narzeczonego i dzisiaj ma odbyć się ślub.

Myśliwy wyciągnął z kieszeni chusteczkę, w którą zawinął siedem języków olbrzymiego smoka, i oświadczył:

— Pomoże mi w tym to, co trzymam w ręku.

— Nie wierzę — rzekł gospodarz — gotów jestem zastawić dom i obejście.

— A ja stawiam ten woreczek z tysiącem złotych monet.

Przy obiedzie król zapytał swoją córkę, czego chciały dzikie zwierzęta, które były na zamku.

— Nie mogę wyjawic — odpowiedziała — ale poślij po ich pana, ten wszystko wyjaśni.

Król posłał swego sługę, któremu myśliwy rzekł:

— Powiedzcie królowi, że czekam na odzież królewską i powóz zaprzężony w sześć koni, i na służbę.

Kiedy zajechał powóz, myśliwy ubrał się w królewską odzież, zabrał chusteczkę z monogramem królowny i udał się na zamek.

Król wyszedł na dziedziniec i przyprowadził myśliwego, a zwierzęta szły za nim. Wskazał gościowi miejsce obok siebie i córki. Przyniesiono łby smoka, aby każdy mógł je zobaczyć.

— Te siedem głów smoka ściął marszałek — rzekł król. — Dzisiaj w nagrodę dostaje moją córkę za żonę.

Myśliwy wstał, zajrzał do każdej paszczki smoka i zapytał:

— A gdzie są języki?

Marszałek się przeląkł, zbladł i nie wiedział, co odpowiedzieć, jednak w strachu wybełkotał:

— Smok nie miał żadnych języków.

Myśliwy mu odrzekł:

— Kłamczuchy nie powinni mieć żadnych języków. Oto dowód prawdy, kto jest zwycięzcą.

Rozwinął chusteczkę, w której leżały języki, i do każdej gardzieli włożył język, który świetnie przystawał. Potem podał córce królewskiej chusteczkę z jej monogramem i zapytał:

— Komu wręczyłaś tę chusteczkę?

— Temu młodzieńcowi, który zabił smoka.

Wtedy myśliwy zdjął naszyjnik swoim zwierzętom, a z szyi lwa złoty zamek.

— Czyje to były korale?

— Moje — odrzekła królowna — dałam je zwierzętom w nagrodę, że pomogły rozszarpać smoka.

— O oszukaństwie marszałka dowiedziałem się od właściciela gospody — wyjaśnił strzelec, który opowiedział przebieg całej sprawy.

Wtedy król zapytał się córki.

— Czy to prawda, że myśliwy zabił smoka?

— Tak, to prawda. Teraz mogę wyjawic, że mar-

szalek zmusił mnie do milczenia. Dlatego prosiłam, aby dopiero po roku odbyło się moje wesele.

Król oddał swoją córkę myśliwemu i mianował go swoim zastępcą.

Wesele obchodzono bardzo uroczyście, młody król sprowadził swojego ojca oraz swojego wychowawcę i obdarzył ich obficie.

Teraz młody król i królowa przebywali razem i żyli szczęśliwie. On często wyjeżdżał na polowania, bo sprawiał mu one wiele radości.

Pewnego razu młody król z dużą obstawą pokonał w las. Towarzyszyły mu zwierzęta. W umówionym miejscu pozostawił służbę dworską i rozkazał jej czekać, póki nie wróci.

Słudzy bezowocnie czekali aż do wieczora, w końcu wrócili do zamku i powiedzieli młodej królowej, że król znajduje się w zaczarowanym lesie, pojechał za białą samiczką jelenia. Młoda królowa bardzo się zatroskała. Młody król często jeździł za pięknym młodym zwierzęciem, ale nigdy nie mógł go dogonić. Gdy mu się zdawało, że już ma na odległość strzału samiczkę, nagle ginęła. Teraz zapuścił się bardzo głęboko w las, zatrąbił głośno w swój róg, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Jego ludzie widąc go nie usłyszeli, a że już zapadła noc, zdał sobie sprawę, że tego dnia nie wróci do zamku. Zsiadł z konia i rozpałił ognisko, wkrótce potem usłyszał, że ktoś stęka. Spojrzał w górę i zobaczył siedzącą na drzewie starą kobietę, która lamentowała jednym ciągiem.

— Zimno mi, zimno...

— Zejdź na dół i ogrzej się przy ognisku.

— Nie — odrzekła — bo twoje zwierzęta mnie zagryzą.

— Możesz, stara babuleńko, zejść, one ci nic nie zrobią.

Była to czarownica.

— Spuszczę ci różgę z tego drzewa, gdy te swoje zwierzęta uderzysz parę razy po plecach, to będą spokojne.

Młody król wziął różgę i lekko uderzył każde z nich po plecach, wtedy zwierzęta położyły się cicho i zamieniły się w kamienie. Roześmiała się czarownica, zaciągnęła jego i zwierzęta do rowu, gdzie leżało już więcej takich kamieni.



Im dłużej nie było młodego króla, tym bardziej królowna lękała się i troszczyła o niego.

Zdarzyło się tak, że w tym czasie brat młodego króla, który przy pożegnaniu wbił sztylet w drzewo, przybył do królestwa. Ciągnął ze swoim zespołem zwierzaków i szukał zajęcia, ale żadnego nie znalazł. Kazał więc swoim zwierzakom tańczyć po wsiach i miastach. Teraz przypomniał sobie o owym sztylcie i zapragnął przekonać się, co dzieje się z bratem. Gdy doszedł do drzewa i spojrzał na sztylet, zauważył, że do połowy zardzewiał. Przestraszyło go to i pomyślał sobie.

— Mój brat znajduje się w nieszczęściu, może będę mógł mu pomóc, bo druga połowa sztyletu jest jeszcze błyszcząca.

Gdy stanął pod zamkiem, straż zapytała go:

— Czy zameldować przybycie króla małżonce wielce zatroskanej? Myśleliśmy, że król z zaczarowanego lasu już nie wróci i że tam zginął.

Brat króla szybko zrozumiał, w czym rzecz, i pomyślał:

— Muszę się podać za mego brata, bo inaczej mnie odprawia.

— Gdzie tak długo byłeś — królowa zapytała — dlaczego wcześniej nie wróciłeś z polowania?

— Zbłądziłem w lesie.

Wieczorem w królewskim łożu położył obusieczny miecz między sobą a królową, która nie mogła pojąć, co to znaczy, ale nie śmiała zapytać. Pozostała na zamku kilka dni, by dowiedzieć się, co to za sprawa z tym zaczarowanym lasem. Po kilku dniach powiedział do królowej.

— Jeszcze raz pojedę do lasu, by tam zapolować.

Królowa i stary król odwozili go od tego zamiaru, ale on jednak pojechał, i to z wielu ludźmi. Gdy przybyli do zaczarowanego lasu, od razu ukazała się im biała samiczka jelenia. On powiedział do swoich ludzi:

— Zostańcie tutaj, ja zapoluję na tę łanię.

Ze swoimi zwierzakami udał się za nią w pogoń, ale zaprowadziła go ona tak daleko w głąb lasu, że nie mógł znaleźć powrotnej drogi. Zmuszony był nocować w lesie. Zszedł z konia, zrobiło mu się zimno, rozpałił więc ognisko, gdy wtém usłyszał zawodzenia kobiety. Spojrzał na drzewo, wysoko siedziała na nim kobieta, popłakując:

— Oj, jak mi zimno...

Myśliwy namawiał ją, aby zeszła do ogniska, ale czarownica, jak od jego brata, zażądała, aby przedtem uderzył zwierzaki zrzuconą mu witką.

Myśliwy nie uwierzył jej słowom i odrzekł:

— Jeżeli ty się boisz tych potulnych zwierzaków i nie chcesz zejść, to ja ich tą gałązką nie będę bił, bo one wcale nie gryzą. Zejdź.

Czarownica nadal się domagała:

— Poklep te zwierzaki, to zaraz zejdziesz.

— Nie będę ich bił, a jak nie zejdziesz, to cię zmuszę, bo zestrzelę cię z tego drzewa.

Wziął fuzję i wymierzył do czarownicy, ale czarownica odporna była na ołowianą kulę i tylko zarechotała potężnym głosem, aż cały las się zachwiał.

— Ty mnie nie zabijesz — odrzekła. — Nie boję się twojej kuli.



Myśliwy sprytnie wymiarkował sprawę, oderwał od swego munduru trzy srebrne guziki i załadował je w strzelbę. Gdy spuścił kurek, czarownica z wielkim wyciem i rykiem spadła na dół. Wtedy myśliwy nogę w ciężkim bucie postawił na niej i rzekł:

— Czarownico, jak nie powiesz mi, gdzie jest mój brat, wrzucę cię do tego ognia.

Czarownica w wielkim strachu syknęła przez zęby:

— On ze swoimi zwierzakami leży skamieniały w rowie.

Zmusił ją, by z nim podeszła, i rzekł:

— Stara morska kocico. Natychmiast mego brata i wszystko stworzenie, co tu leży, uczynisz żyjącym, jak nie, to wrzucę cię do ognia.

Czarownica wzięła swoją czarodziejską różgę i uderzyła każdy kamień. Po chwili jego brat, zwierzaki oraz wiele innych osób, jak kupcy, rzemieślnicy i pastuszkowie, wszyscy wstali. Radzi, że mogą wrócić do swych domów, podziękowali myśliwemu. Bracia bliźniacy uściskali się z całego serca, po czym chwycili czarownicę, związali ją i wrzucili do ognia. A gdy pozostał z niej tylko popiół, las się otworzył, a jasność zrobiła się tak wielka, że widać było zamek królewski, odległy o trzy godziny drogi. Teraz bracia wracali do domu, opowiadając swoje przygody. Gdy mąż królewskiej córki zwierzył się, że jest zastępcą króla, panującego w całym kraju, brat przyznał się:

— Wiem o tym. Gdy przyszedłem do miasta i wzięli mnie za ciebie, też doznawałem królewskiej godności. Musiałem jeść, a także spać u boku młodej królowej. Ale położyłem między nami obosieczny miecz, nie miała jednak śmiałości zapytać, co to znaczy.

Małżonek słysząc, jak nikczemnie postąpił brat, wyciągnął miecz i ściął mu głowę. Wtedy przybiegł zając i podjął się cudownym korzeniem wyleczyć brata prawdziwego króla.

Wkrótce wszyscy razem ruszyli w dalszą drogę, młodszy brat powiedział do starszego:

— Wyglądasz jak ja, masz też królewskie ubranie, twoje zwierzaki też biegają za tobą. Wejźmy do miasta z dwóch stron i stańmy jednocześnie u starego króla.

Dwaj bracia w tym samym czasie przyjechali na

dziedziniec zamkowy i obaj razem wstąpili na zamek. Wtedy król zwrócił się do swojej córki:

— Powiedz, który jest twoim małżonkiem, tak są do siebie podobni.

Królowa, nie mogąc rozpoznać, bardzo się przestraszyła. Ale w ostatniej chwili na szyi lwa zobaczyła złoty zameczek i krzyknęła z uradowaniem:

— Ten jest moim mężem, za którym idzie ten lew.

Młody król rozradowany podszedł do swojej żony i uściskał ją. Wszyscy poszli na zamek i wspólnie uctwowali. Wieczorem młody król położył się koło żony, a ta go zapytała:

— Dlaczego ostatniej nocy położyłeś między nami obosieczny miecz, przeraziłam się, że chcesz mnie zabić, więc o nic nie pytałam.

Król przekonał się o szczerości swego brata, a szczęście jego było jeszcze większe.

Wolny od grzechu

Pewnej niedzieli mieszkańcy nadmorskiej wsi udali się do pobliskiego kościoła na nabożeństwo. Przechodząc koło jeziora spostrzegli chłopca, który chodził i skakał po wodzie, doskonale utrzymując się na jej powierzchni.

— Szczęśliwy dzieciak — mówili między sobą ludzie. — A gdyby go tak zabrać do kościoła, to Pan Bóg bardzo by się z niego ucieszył.

Chłopak nie dał się długo namawiać i wraz z tłumem ludzi udał się do kościoła. Posadzono go w ławce blisko ołtarza, mógł więc wpatrywać się pilnie w wielki ołtarz. Naraz zauważył, że obok ołtarza stoi diabeł w dość podeszłym wieku. Trzymał rozciągniętą byczą skórę i coś na niej pisał. Gdy już całą skórę miał zapisaną i brakło mu miejsca, złapał zębami brzeg skóry i zaczął ją naciągać. Zaparł się przy tym nogami i ciągnął co sił. Po śliskiej skórze zsunęły się zęby purtkowi, który fikał kozła w tył i tak silnie uderzył w mur kościelny, że odleciały mu obydwie różki.

Obserwujący go chłopak roześmiał się, ubawiony nieszczęściem purtka. Widząc to purtek zerwał się na

równe nogi, groźnie spojrzał na chłopaka, chwycił swój olbrzymi ołówek i zaczął coś pisać. Chłopak się domyślił, że ten rogaty diabeł zapisywał każdego, kto się niewłaściwie zachowywał w kościele.

Skończyło się nabożeństwo, purtk zwinął byczą skórę i znikł. Chłopak wracając z ludźmi z kościoła nie mógł już chodzić po wodzie. Nawet w bajorkach po deszczu zapadał się po kolana, bo już nie był czysty, wolny od grzechu.

Nauka nie poszła w las...

Był pewien ojciec licznej rodziny, który strasznie pił. W niedzielę, jak rano wychodził do kościoła, to wracał do domu o północy zalany w pestkę.

— Tak to dalej nie pójdzie — rzekł najstarszy syn do młodszych braci. — Musimy tatka wystraszyć, by zaprzestał pić.

Toteż, gdy jednej niedzieli pijak udał się do kościoła i do późnego wieczora nie wracał do domu, trzech najstarszych synów przebrało się za purtków. Wymazali sobie na czarno twarze. Wdziali na siebie czarne dreluchy. Przyprawili sobie ogony i z łańcuchami wyszli naprzeciw ojcu. Znaleźli się na drodze, którą miał wracać. Zadekowali się niedaleko przydrożnego krzyża. Tu po jakimś czasie zauważyli, że ich ojciec toczy się pijany w stronę domu. Synowie, dzwoniąc łańcuchami, wyskoczyli zza krzyża.

— Jezu, miej miłosierdzie nade mną, grzesznikiem — westchnął ojciec na cały głos. — Więcej wódki pić nie będę, a zarobek oddawać będę żonie, która żywi rodzinę.

Synowie, przebrani za purtków, chwycili pijanego ojca, który się szarpał i darł, usiłując dostać się do krzyża. Gdy już udało mu się złapać za krzyż, trzymał go kurczowo, obejrzał się na purtków i wyjąkał:

— Już mnie, purtkowie, nie zabierzecie, bo krzyż mnie obroni.

Purtki natychmiast się oddaliły od pijanego ojca i poszły w stronę domu, a powiew południowego wiatru niósł za nimi głos pijanego ojca, który coraz to głośniejsze śpiewał: „Szczęśliwy, kto sobie patrona

Józefa ma za opiekuna, niech się niczego nie boi, gdy święty Józef przy nim stoi, nie zginie”.

Ojciec, gdy wrócił do domu, opowiedział o swojej przygodzie z purtkami. Cała rodzina powstała przeciw ojcu. Kobieta krzyczała na cały głos:

— Ty nam purtków sprowadzisz do naszej chęczy, nie tylko ciebie, ale i nas wszystkich zabiorą.

— Na ojca mieli już dawno w piekle przygotowany kocioł z gotowaną smołą — dorzucili synowie — aby ojca wykąpać i wsadzić do ognia wieczystego, gdzie ojciec będzie lamentował i zgrzytał zębami, i to bez końca.

— Tak mi się śniło — dodała żona. — Ogień piekielny jest wieczny. Niech Bóg rządzi i zrobi z tobą, co chce.

— Dzisiaj — stwierdził jeden z synów — jak ojciec mówił, było trzech purtków po ojca, ale następnym razem, gdy się ojciec upije, pomnoży się ich liczba do trzydziestu, ani się ojciec obejrzy, jak się znajdzie z nimi w piekle.

— Kochana białko i moje wszystkie dzieci — błagał pijak — módlcie się za mnie. Nie wypiję więcej ani kieliszka wódki. Cały zarobek będę przynosił do domu, ale musicie prosić dla mnie o łaskę. Nie chcę się męczyć przez całą wieczność w piekielnym ogniu, a tym bardziej nie chcę być smażony w smole.

Od tego czasu pijak nie przepuszczał swego zarobku przez gardło, żył w bojaźni bożej, by dobry Bóg mu odpuścił jego grzechy pijaństwa. I tak nauka, którą odebrał od swych synów, nie poszła w las.

Jak purtk przegrał z sołtysem

Pewnego razu, gdy purtkowie grasowali w lasach pod Krokowem, jak zresztą na całych Kaszubach, na sołectwo w Minkowicach stawiał się purtk we własnej osobie.

— Czego ty, purtku, żadasz? — zapytał odważny sołtys.

— Chciałem od władzy dowiedzieć się urzędowo, jak w waszej wsi żyją ludzie. Czy tu jest wielu grze-

szników? Czy pijaństwo się dobrze rozwija? Czy działają tu także złodzieje?

— Nic ci, pieczeniaku, nie powiem, co by mogło być we wsi. Aby komuś nie zaszkodzić, wolę milczeć.

— Jeżeli ty nie chcesz powiedzieć, co by mogło być, to powiedz, czego by być nie mogło, bo inaczej twoja dusza moją będzie.

— A jeżeli ci powiem, czego by nie mogło być, to jaką korzyść z tego będę miał?

— Wtedy ja całkowicie wycofam się z twojej wsi. Będziesz mógł z twoimi ludźmi żyć, jak ci się spodoba. Ale jak mnie nie powiesz, czego by nie mogło być, to ja wyciągnę każdego po kolei, wszystkich twoich mieszkańców wezmę do piekła. Mów szybko, bo już nie mam dużo czasu.

— Będąc na służbie u pana, który miał dwanaście uli pełnych pszczoł, codziennie rano musiałem je liczyć, jak wylatywały. A gdy wracały wieczorem, to znowu je liczyłem. Nie mogło żadnej brakować.

— To by mogło być — rzekł purtk.

— Ale pewnego wieczoru jednej brakowało. Pan się odgrażał, że pozbędzie mnie pracy i chleba. Wtedy wyszedłem na dwór i usłyszałem, jak wilki wyją pod lasem. Przypuszczałem, że to one mają tę brakującą pszczołę. Wziąłem więc furmankę i pojechałem w tym kierunku, skąd owo wycie dochodziło.

— No, i co dalej — przynaglał purtk.

— Trafiłem, jak wilki żarły pszczołę. Przepędziłem je, załadowałem mięso pszczele na wóz, prócz żądła, które musiałem zostawić, bo nie zmieściło się na wozie. Pojechałem drugi raz, ale tym razem zabrałem ze sobą dwanaście furmanek, by przywieźć do zagrody żądło. Porąbałem je i załadowaliśmy dwanaście furmanek, ale żądła pozostało jeszcze na cztery furmanki. Nocą przywieźliśmy resztę kawałków.

— To by mogło być — rzekł purtk.

Parobek był już mocno zakłopotany, bo nie mógł wymyśleć, żeby purtka zadowolili. Ale w tej chwili przypomniał mu się jego ojciec.

— Postanowiłem udać się do nieba, by odwiedzić mego ojca. Wlazłem na chmurę i z niej najbliższą drogą dostałem się do nieba. W niebie spotkałem

mego ojca, który wozził gnój wozem zaprzęgniętym w twego ojca. Podcinał go batem, bo musiał się śpieszyć, gdyż nadchodziła wiosna, a był czas kartofle sadzić.

— To nie może być — odparł stanowczo purtk.

— W takim razie, purtku, uciekaj, skąd przyszedłeś, i nigdy się już nie pokazuj w mojej wsi.

Złodzieje na rynku w Wejherowie

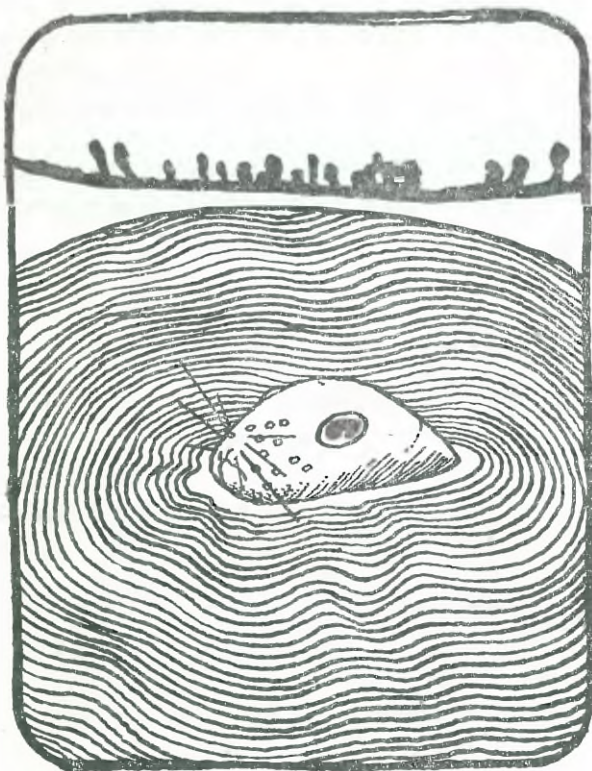
Pewien gospodarz pojechał do Wejherowa, aby sprzedać swoje wieprze. Wziął za nie trochę pieniędzy, więc wraz z żoną nakupował różnych materiałów na ubranie dla siebie i dla chłopaczków, a jego białka, też już w starszym wieku, kupiła sobie piękny materiał czerwony w zielone groszki, bo z takiego samego miała sukienkę księża gospodyni. Gdy już załadowali paczki na wóz, gospodarz zostawił białkę, by pilnowała towaru przed złodziejami, a sam poszedł do urzędu. Kobieta wnet zauważyła, że jakiś młody człowiek, ślicznej urody, ogolony, szpecił go jedynie trochę nos zadarty w górę, przechadzał się koło wozu i spoglądał na starą kobietę, jakby mu się wyrażnie podobała. Białka też zaczęła się nim interesować i tak na siebie popatrywali, że co chwilę wzrok ich się krzyżował. Młody człowiek w końcu podszedł do wozu, zaczął płakać, a przez łzy mówił:

— Jaka pani podobna do mojej nieboszczki nenki, która mnie osierociła prawie rok temu. Mam dwadzieścia lat, trafiła mi się bardzo pobożna dziewczucha i dzisiaj się żenię, nie ma mnie kto dać błogosławieństwa. Czy wy byście się tego podjęli i zastąpili moją matkę, aby dać nam błogosławieństwo. Ślub za chwilę ma się odbyć w farze, moja brutka stoi tu obok wozu.

Kobieta spojrzała na młodą kobietę, której toczyły się łzy po wargach, i rzekła:

— Chętnie wam zastąpię nenkę.

Zlazła powoli z wozu, a młoda para uklękła obok. Kobieta rozłożyła ręce nad głowami młodej pary, szepcząc pobożne słowa, pan młody z radości aż



się uśmiechnął. Po uroczystości młodzi szybko zginęli między wozami i poszli w kierunku fary. Starsza kobieta wgramoliła się na wóz i tu aż oczom nie wierzyła, paczek nie było. Z niepokojem zaczęła szukać pod siedzeniem i w głębi wozu, ale nigdzie ich nie znalazła. Tymczasem wrócił jej mąż, który, jak zapowiedział żonie, miał do załatwienia jakąś sprawę urzędową, ale wstąpił jeszcze do gospody i tam przewrócił trzy krótkie, w przeciwnym razie zjawiłby się znacznie wcześniej. Kobieta dopiero teraz przypomniała sobie, że gdy owa młoda para odgrywała komedię błogosławieństwa, obok woza stał również złodziej, to on z pewnością wybrał jej wszystkie zakupione materiały.

— Łazisz po kramach, pijesz wódkę, a tu okradli nas do reszty, i to z pozoru najpoczciwsi ludzie.

— Kto okradł?

— Człowiek bardzo pocziwy, z piękną twarzą, nawet płakał, że sierota. Chciał błogosławieństwo ode mnie, jak mu było nie dać.

— Białko, czy ty nie wiesz, że dzisiaj jest piątek,

a w piątek ksiądz nie daje nikomu ślubów, przecież on ciebie nabrał.

— Ale jak mógł mnie nabrać taki pocziwy człowiek.

— Mówisz, że pocziwy, ale ciebie oszukał.

— To nie on, to okradli złodzieje.

— Ale był współnikiem złodziei.

Chłop zdecydował się iść na policję i rzekł do kobiety:

— Uważaj teraz lepiej, aby ciebie z wozem nie skradli.

Brodaty policjant przyszedł, wszystko zbadał dokładnie i zapytał kobiety:

— Jak ten człowiek wyglądał, któremu daliście błogosławieństwo.

— Panie, miał taką pocziwą twarz, śliczny zadarty nosek, całkiem mały pluszowy wąsik.

— Kobieto, nie powiadaj głupstw, on był podstawiony jako przynęta, by tymczasem złodzieje mogli wyciągnąć towar. Zesłaś pani z wozu, to on wóz okradł.

Kobieta się rozplakała, machnęła ręką i rzekła.

— Chyba w tym mieście wszyscy kradną, nawet organista pędził gęś przez rynek.

— Stół gębę, babo — wrzasnął zły chłop, że jego kobieta dała się tak okraść.

Chłop włożył na wóz, przeżegnał konie świętym krzyżem i odjechali do swej wsi.

Pacjent w płomieniach

Był sobie rybak bardzo wysokiego wzrostu. Stopę miał długości pół metra. Bary jak u stolema, ręce do kolan jak u goryla. Grał często w karty, ale zawsze przegrywał. Podczas pustych nocy śpiewał pobożne pieśni przy trumnach. Potrafił też poskromić wieszcze, często się zdarzało, że taki zmarły wstawał z trumny i czynił wiele złego. Rybak ten wróżył też i trafnie przepowiadał, z czego był znany na całym Wybrzeżu. Jednym słowem, był na ustach całej okolicy. Do rybołówstwa nie palił się jednak, mimo to rybacy chętnie przyjmowali go

do swoich maszoperii, bo miał ogromną siłę. Wyciągał z głębokości pięćdziesięciu metrów zastawne sieci pełne flader. I to przez dwie godziny bez wytchnienia. Za to był leniem w domu. Odziedziczył po ojcu pięć hektarów ziemi i przestał uprawiać połowy, bo już z początkiem września dokuczał mu ziąb. Żonę miał dobrą i bardzo pracowitą. Gdy ona wykopała trzy rzędy kartofli, on zaledwie jeden, i to jeszcze miała obowiązek wysypywać za niego kartofle do kopca.

Pewnej nocy zbudził rybaka Gucio Joha, sąsiad olbrzyma, i prosił go, by przyszedł zażegnać różę, którą ma jego żona na grzesznym miejscu.

— A co jej jest? — zapytał się znachor.

— Ona ma, drechu, różę, jak mówiłem, i to na grzesznym miejscu.

— Tak, drechu — rzekł znachor, gdy uzyskał całkowitą przytomność. — W tym miejscu musi być zaraz zażegnana.

Znachor wyskoczył z łóżka. Wdział na jedną swoją olbrzymią stopę olbrzymi but, a na drugą drewniany pantofel, co Gucio Joha zaraz zauważył.

— Tak, drechu, musi być — rzekł znachor. — Nie może człowiek odziewać niczego parzystego, bo wtedy zażegnanie nie będzie skutkować.

Joha, świecąc takiej osobistości latarnią sztormową, prowadził ją do swej chorej, młodej małżonki. I wcale niegłupiej, tylko w cierpieniach chwytając się głupiego znachora. Wszedł do izby chorej. Olbrzym kazał pacjentowi odkryć pierzynę i zaczął odmawiać zaklęcia, przed którymi miała straszna róża ustąpić.

— Czy tobie lepiej? — spytał znachor po jakimś czasie.

— Nie — odpowiedziała pacjentka. — Boli, jak bolało.

— Jakiś zły czarownik zadał tobie tę różę.

— Ale ja nigdzie nie byłam i nikt mnie nie dotykał. Jak więc mógł mi tę różę zadać?

— Taki to przez odzież działa.

Na drugi dzień olbrzym przyszedł obejrzeć różę.

— Jak tam, drechu? — zwrócił się Joha do znachora po zabiegach.

— Drechu, nie je dobrze. Róża wlaźła twej kobiecie do środka. Pomimo że odmówiłem kilka

ciężkich boskich słów, po których zwykle każda róża ustępuje — wyjaśnił znachor mężowi chorej.

— A czy nie ma na to rady? — spytał się teraz mąż.

— Drechu, rada je na wszystko. U mnie nie ma nic niemożliwego. Muszę ją przeświecić.

— A masz ty, drechu, tę maszynę do przeświecania?

— Mam, ale to cię będzie drogo kosztowało.

— Wiele grosza nie mam, ale dam ci kopę węgorki. Mam w sadze. Węgorze jak drabiny. Pół kopy, czy to starczy?

— Jo, drechu, pół kopy starczy. Witro ją do mnie przyprowadzisz, a ja ją przeświecę. Ale ty przy tym nie możesz być.

Następnego dnia przed wieczorem Joha wziął pod ramię swoją uroczą żonę i oddał ją znachorowi. Ten wprowadził ją do małej stodoły. Tam na klepisku stała pięćsetlitrowa beczka, która z boku miała porobione otwory. Do tej beczki olbrzym wsadził nagą pacjentkę i zapalił gromnicę. Najpierw łąził na kolanach dookoła beczki, świecąc gromnicą do środka, a w pewnej chwili rzekł do pacjentki:

— Przystąp bliżej do tego otworu. Muszę sprawdzić, czy róża ustępuje.

Najpierw przytknął palącą się gromnicę do samego otworu, potem oparł ją o beczkę i postawił. Zamierzał dotknąć chorej, gdy raptem gromnica się przewróciła i od płomienia zapaliła się słoma, którą wyścielona była również beczka. Wybuchł pożar, znachor zauważył, że słoma pali się na klepisku. Nadał swoje olbrzymie policzki i dmuchnął, by zagaśnić pożar. Ale ogień przybierał na sile, paliło się klepisko, płonęła beczka. Pacjentka zaczęła krzyczeć wniebogłosy:

— Ratunku! Ratunku!

Znachor wybiegł na dwór, wrzeszcząc:

— Pacjent w płomieniach!

Joha podszedł do wrót, ale nie troszczył się już o żonę, bał się, że sam zginie w płomieniach. Całe szczęście, że przybiegł bliski sąsiad. Wpadł do środka i wyciągnął z beczki nie tyle zawstydzoną, co wystraszoną chorą. Potem blisko rok leczyła się w Gdańsku. A znachor, wierząc, że uzdrawiał chorych, prowadził swoje czary aż do osiemdziesiątego szóstego roku życia, kiedy zmarł.

Nocne przygody

Pewien rybak z Półwyspu Helskiego wybrał się nad Żarnowieckie Jezioro po płotki, zakładał je bowiem jako przynętę na łososi, które łowił przez zimę, używając narzędzi zwanych takłami. Zima dopiero nadchodziła i zatoka jeszcze nie zamarzła zupełnie, rybacy więc nie mogli pod lodem niewodem ciągnąć łososi. Rybak chcąc nie chcąc wybrał się w tak daleką drogę. Szczęście mu sprzyjało, bo właśnie tego dnia rybacy na Żarnowieckim Jeziorze łowili w przerębli płotki, jako że jezioro wcześniej zamarza niż zatoka. Kupił pełen plecak płotek i wieczorem wracał na Półwysep Helski, by rano wypłynąć na Wielkie Morze i nadziać na haczyki przynętę. Gdy dochodził do Krokowy, znacznie się ociepliło, a wkrótce potem zaczęło kropić. Zanim doszedł do Sławoszyna, deszcz już nie siąpił, ale zamienił się w istną ulewę. Rybak nie miał gdzie się schronić, bo we wszystkich checzach już panowała ciemność. Dobrze go zmoczyło, gdy zauważył w jednym oknie niewielkie światło. Wszedł więc do checzy. W izbie zastał starszą, ale strojną kobietę i zwrócił się do niej.

— Czybyście nie mogli mnie przenocować, bo jestem przemoknięty do suchej nitki, a deszcz w dalszym ciągu leje. Skoro tylko nastanie porynek, pójde swoją drogą.

Nieznajoma popatrzyła na rybaka i rzekła:

— Nie mogę was przyjąć, bo muszę za chwilę wyjść.

— Jak tylko minie ta straszna ulewa, pójde dalej. Jestem rybakiem z Półwyspu Helskiego. Chodziłem po płotki, wracam z Jeziora Żarnowieckiego, by jutro rano znów wypłynąć na morze.

— To we jeste rebokiem. Mój brat też był rybakiem, a gadał, że wy dobrze skaczecie po masztach, po rejach, na pokładzie, może pokazalibyście mi jaką sztuczkę.

— Jo, to jo — rzekł rybak. — Ta białka ma słabość do ludzi morza — pomyślał — pokazałbym jej taką sztuczkę, ale tu nie ma masztów ani rejów.

Kobieta postawiła ławkę naprzeciwko drzwi prowadzących do sionki i rzekła:

— Przeskoczycie przez tę ławkę?

Rybak zdjął plecak z płotkami, postawił go pod oknem, splunął w dłonie i pomyślał sobie:

— Może ją tym skokiem, przykielbaszę sobie, a ona mnie pozwoli usiąść przy piecu, z którego ciepło bucha na izbę, a jak deszcz przestanie padać, to pójde sobie.

Jeszcze raz splunął w ręce, dał susa i skoczył aż do sionki. Kobieta, która tylko na to czekała, złapała jego plecak i wyrzuciła za nim do sionki. Zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz.

— Przechytrzyła mnie ta baba — stwierdził przemoknięty rybak.

W ciemnej sionce wymacał plecak z płotkami i postawił go pod drabiną prowadzącą na strych, a sam usiadł na drugim szczeblu drabiny. Siedział jakiś czas cicho, aż naraz kobieta otworzyła drzwi do sionki, popatrzyła w ciemność i mruknęła do siebie:

— Poszedł ten wędrowczyk, to i ja pójde.

Gospodyni otworzyła drzwi checzy, wysunęła rękę i rzekła do siebie:

— Przestało nieco padać, mogę iść, nie mam daleko.

Wyszła na dwór, wyciągnęła klamkę z drzwi, do rybaka doszedł odgłos oddalających się jej kroków, który coraz bardziej zanikał. Rybak siedział na drabinie, dopóki nie zaczął odczuwać głodu. Podszedł wtedy do drzwi, wyciągnął rękę i rzekł:

— Jeszcze trochę pada.

Przypomniało mu się teraz, że w izbie jest dobrze nagrany piec. Nikogo w checzy nie ma, pójdzie więc i podsuszy sobie grzbiet. Jak pomyślał, tak zrobił. Plecak z przynętą postawił pod oknem, uważał bowiem, że tam będzie chłodniej dla jego płotek. Sam usiadł na ławce i zaparł grzbiet w gorący piec. Zauważył, że przy kominku, na piecu leży kupka równo ułożonych wiórów, więc postanowił złożyć na łuczywie głowę. Zdawało mu się, że nic lepszego nie może go spotkać. Toteż wyciągnął się na szerokim piecu i głowę położył na wiórach. Nagle usłyszał czyjeś kroki zbliżające się do checzy. Ktoś wsunął klamkę do zamku, pchnął drzwi i wszedł do izby.

— Zapal światło — padł głos kobiety.

Ktoś podszedł do pieca, spod głowy rybaka wyciągnął kawał łuczywa, przyłożył je do tłącego się na kominku ognia i dmuchnął kilka razy, łuczywo zaczęło się palić, wówczas wsadził je drugim końcem w przeznaczony do tego celu otwór w kominie. Zrobiło się jasno. Rybak, zaciekawiony, spojrział na izbę i zobaczył młodą niewiastę w stroju weselnym, z wiankiem mirtowym i welonem na głowie. Pomyślał sobie:

— To młoda para, której dzisiaj ślub, a tamta kobieta, która tak mnie na dudka wystrychnęła, poszła na wesele, bo przypuszczalnie jest matką tego młodego pana.

Młody nauzeni chwycił swoją bogdanę za rękę, podprowadził ją pod piec, na ławkę i rzekł:

— Ogrzejmy się trochę. Mój aniele z nieba... Teraz ty jesteś moja, a jam twój. — Zaczął ją ścisnąć, tulić, całować po oczach i ustach, ramionach, żarliwie, do utraty tchu niemal.

— Nie za daleko — odezwała się brutka, spojrziała na zegar wiszący na ścianie i dodała — jeszcze piętnaście minut i będą oczepiny. Wtedy będziesz mógł robić ze mną, co tylko zechcesz.

— Dobrze, Mariczko — zgodził się narzeczony. — Co moje, to twoje, a co twoje, to moje, ale mnie brakuje jeszcze talara na muzykantów. Masz ty jeszcze jakieś pieniądze, to daj, a zapłacę im.

— Dobrze — rzekła brutka. Wyciągnęła z zanadru zwinętą chusteczkę, z której wysupłała kilka monet i ułożyła je równo na stole.

Rybak zaciekawiony poruszył głową, chciał widzieć, co działo się na ławce, zwałił przy tym kilka wiórów. Młoda kobieta krzyknęła z przerażenia i pośpiesznie uciekła z izby, a nauzeni za brutką.

— To był twój nieboszyk tatk, miał też taką brodę jak on.

— Co teraz? — zapytał się narzeczony.

— Teraz wracamy na tańce — rzekła brutka. — A po weselu zaniesiesz za niego na mszę świętą. Trzeba było dać księdzu jeszcze przed weselem.

Rybak zszedł z pieca, wziął swój plecak, zarzucił na plecy, wyszedł na dwór, a tu cisza. Deszcz przestał padać. Szedł teraz przez wieś, aż dotarł do oświetlonej checzy, gdzie grała muzyka i było huczno.

— To wesele. Może bym tak wszedł do bena — pomyślał — dadzą chyba coś do zjedzenia, a choćby do wypicia.

Pchnął drzwi, wszedł do izby i spojrzął po zebranych. Na środku siedziała brutka, a koło niej weselnicy. Młodzież obstąpiła ją w krąg i śpiewała:

A ty, wianku lawendowy,
Nie spadnij z mojej głowy!
Jak ty więcej niż raz spadniesz,
Na głowie już nie siadniesz!

Panna młoda, słuchając tej pieśni, rumieniła się jak róża.

Na drodze rośnie rutka,
Lecz nikt nie rzeknie mi: brutka...
Na drodze rośnie bez,
Młody chłopie, swą Mariczkę bierz!

Jedna z kobiet zdjęła jej mirtowy wianek z głowy i rzuciła go między młodzież, wszystkie ręce wyciągnęły się po wianek, bo ta, która chwyci, jak przepowiadali, pierwsza wyjdzie za mąż. Po oczepinach młody pan przestał już być nauzenin, a został mężem młodej żony, która teraz poszła zmienić suknię ślubną na zwykłą. Odtąd nie puszczał już swojej nadobnej, tylko szedł z nią krok w krok. Rybak w tej chwili poznał między weselnikami ową starszą kobietę, która tak go przechytrzyła tej nocy. Właśnie pokazywała na niego palcem i z groźną miną coś opowiadała stojącemu obok mężczyźnie.

— To chodzi o mnie — domyślił się rybak i szybko czmychnął z domu weselnego.

Udał się w kierunku Bielawskich Błot, by najbliższą drogą dostać się na Półwysep Helski. Deszcz zaczął padać od nową.

— Przemoknę teraz do reszty — martwił się. Aż tu nagle zauważył przy drodze przewróconą beczkę.

— To będzie doskonałe schronienie przed deszczem — pomyślał.

Spojrzął naokoło i spostrzegł, że gdzieś nad bajorkami unoszą się i zapalają, a potem giną światełka.

— Purtki chcą mnie sprowadzić na bezdroża, kuszą, bym zboczył i wpadł w jakiś dół torfowy,

wtedy dopiero mogłyby się pastwić nad moją grzeszną duszą.

Przeżegnał się krzyżem świętym i wszedł do beczki wyścielonej słomą, po czym zaczął odmawiać różaniec, by się uchronić przed purtkami. Ledwie kilka zdrowasiek odmówił, a już do niego do beczki wlażył purtk.

— Ej, cechue, cechue — rzekł z cicha i znów się przeżegnał, by uchronić się przed złą mocą purtka. — Poczekaj, za chwilę ja ciebie stąd wyczadzę.

Widział wyraźnie łeb purtka, bo beczka leżała otworem ku wschodowi, gdzie przez chmury jakby się przebijała poranna zorza. Trzymał kurczowo w dwóch dłoniach różaniec, bowiem w pierwszym brzasku dnia ujrzał wyraźnie łeb purtka leżącego spokojnie przy beczce. Rybak niespodziewanie zarzucił mu przez łeb różaniec i zawiesił na karku. Purtk, nie przewidując takiego obrotu sprawy, zaskomlił, dał susa i tyle go rybak widział.

— Nawet purtka nie należy się bać — stwierdził i pewny siebie wylazł z beczki. Obejrzał się wokoło i pomyślał sobie:

— Wnet jasny dzień zepchnie straszną noc.

W tej chwili spostrzegł na wschodnim niebie jasną jutrzenkę, więc zaczął śpiewać:

Zawitaj, ranna jutrzenko,
Grzechów naszych lekarko!
Tyś Panią świata, księżną cię zowią,
Ty jesteś Anielską Królową!
Tyś Panią sama nazwana,
Naprzeciw strzałom szatana,
Obroń nas ręką niezwyciężoną,
prosim, stań się nam obroną.

Rybak śpiewał coraz to głośniejsze, już pocieszony na duchu, spojrzał na mokradła bielawskie i zauważył, że światła purtkowe rzędą i powoli stają się coraz bledsze. Toteż bardzo się ucieszył, że zaśpiewał pieśń, przed którą bladły całe Bielawskie Błota, mające w sobie moce szatańskie. Ciągnął dalej swoją ulubioną pieśń, którą zwykle nucił, gdy wypływał rano na połów. Już się rozjaśniło, przy świtanu wyłoniły się pierwsze przygarbione checze Kaczyńca, niedalekiego Mieroszyna. W pewnej chwili zauważył człowieka, stojącego w zaciszu

jednej z checz. Poznał, że to Fabisz z pobliskiego Rozewia.

— A co ty, Kuba, tak rano tu się kręcisz — rzekł rybak z Półwyspu Helskiego do rybaka z Rozewia.

— Wezeraje tu mego bernardyna. Zerwał się w nocy z łańcucha i zamiast pilnować mojej checzy, pewno tu goni niewinne zające i sarny, nie daje tym zwierzętom spokojnie spać.

Nagle jakiś olbrzymi pies z różańcem na szyi stanął przed Fabiszem.

— Komu porwałś ten różaniec! — rzekł Fabisz do swego bernardyna.

— To mój różaniec — odezwał się helski rybak i opowiedział całą przygodę, którą przeżył w Bielawskich Błotach.

— Ta beczka leży na owym miejscu już cały rok, mój burek nieraz przespał w niej noc, gdy wyrwał się na polowanie w Bielawskie Błota. Pastucha w niej nie było, bo nocował ze swoimi baranami w owczarni. A te ogniki, co widziałeś nad mokradłami, to świecą tak zgniłe rośliny, z których tworzy się torf. Mogły też być zwierzątka czy owady świetlne, które pokazują się z nadejściem pierwszej zimy. Byłeś pewien, że pokonałeś samego purtka, a to tylko przestraszyłeś mojego psa, który uciekł z beczki przed tobą.

— Ej, do diabła — rzekł rybak. — Ale różaniec swój zabiorę. Modlitwa nikomu nic nie zaszkodzi.

— Mówisz prawdę, drechu — rzekł Fabisz i pożegnał się z rybakim, który ze swoimi płotkami ruszył drogą do Kuźnicy, bo jeszcze rankiem musiał wypłynąć na połów łososia.

Wojna stołemów

Już od dawien dawna krócili się stołemy w wysokich lasach pod Zamkową Górą, niedaleko Kartoszyna. Mieli swych pobratymców nad rzeką Słupią, którzy wzrostem byli nieco więksi, ale liczbowo nie przewyższali tych spod Zamkowej Góry. Zresztą nie miało to większego znaczenia, gdyż oba rody olbrzymów żyły w przyjaźni. Aż pewnego razu

córka z rodu osiadłego pod Zamkową Górą wyszła sobie na spacer wbrew zakazom ojca. Nie było rady, owa olbrzymia panienka lubiła przechadzać się po świeżym powietrzu i pokonywać otwartą przestrzeń. Może też i wyszła w poszukiwaniu rozrywki, bo gdy znalazła się na ziemi słupskiej, natrafiła na piękną zabawkę. Chłop orał sochą, dziewczyna stanęła wpatrzona w niego, chłop wcale się jej nie przeląkł, bo często stykał się ze słupskimi stołemami. Ona natomiast zachwycona małą lalką, zrazu żadnej krzywdy chłopu nie wyrządziła, szła za nim powoli tak długo, aż zrobił zakręt, smagając przy tym woły batem. Córka stołema wówczas nachyliła się, swymi paluszkami, odpowiednio dużymi, jak na stołemkę, chwyciła delikatnie oracza wraz z wołami i sochą, wsadziła do fartuszka i z tą piękną zdobyczą wracała do Zamkowej Góry, gdzie w podziemnych grotach żyli owi olbrzymi. Stołemka weszła do owego pomieszczenia, wyjęła z fartuszka, jak sądziła, piękną zabawkę, i postawiła na stole, przy którym siedział jej ojciec. Pił on z olbrzymiego kubka wino, spożywając śniadanie. Córka strzepnęła z fartucha ziemię tak po wołach, jak i po chłopie.

— Zabrudziłaś izbę — wrzasnął ojciec na córkę. — Twoim zdaniem, przyniosłaś piękną zabawkę, ale wiedz, że zrobiłaś wielką krzywdę temu oraczowi, a jeszcze większą nam. Gdybyśmy zniszczyli wszystkich takich oraczy, to umarlibyśmy z głodu. Natychmiast musisz odnieść to wszystko tam, skąd zabrałaś. Ten oracz zasieje zboże, a my dzięki temu będziemy jedli chleb.

Córka stołema miała zaledwie dziesięć lat, ale była taka wysoka, że jak szła przez las, główka jej wystawała ponad modrzewie, które przewyższały wszystkie sosny, a w tych stronach rosło ich mnóstwo, istna knieja. Gdy dochodziła z oraczem do celu, zauważyła, że od strony zachodu zbliża się cała uzbrojona drużyna stołemów. Ich broń stanowiły głązy. Każdy z nich niósł na plecach tak olbrzymi kamień, że właściwie trzeba by było wieźć go na wozie zaprzęgniętym w cztery woły. Dziewczyna od razu się domyśliła, że gotują oni zemstę na jej rodzice za to, że niegodnie postąpiła z oraczem. Przerazona, podniosła sukienkę i za-

częła uciekać, skakała przez rzeki, pagórki, przez łąny zbóż, schroniła się aż za Żarnowieckim Jeziorem. Napastnicy, uzbrojeni w głązy, stanęli na zachodnim brzegu Żarnowieckiego Jeziora. Najstarszy z nich potężnym głosem zawołał:

— Oddajcie złoczyńcę, który porywa nam oraczy z pola.

Zebrała się cała grupa stołemów spod Zamkowej Góry. Ich wódz rozstrzygnięcie sprawy zostawił całemu zespołowi. Przy czym ojciec dziewczyny nie miał prawa głosu. Wszyscy spojrzeli na nieszczęśliwą, niewinną dziewczynę. Każdy z nich wiedział, że nie zabrała oracza ze złej woli, po prostu stanowił on dla niej ciekawą zabawkę, nigdy bowiem ojciec z nią nie wychodził na spacer, gdy oracze ziemię orali lub gdy falowały łąny zbóż, kołysane przez wiatr. Dlatego też obwinili ojca o to, że nie uświadamiał dziecka, że nie nauczył, co to jest oracz i że z pracy oracza mają co jeść. Zatem odmówili wydania dziewczyny, natomiast zasądziła, że wydadzą jej ojca. Córka stołema rzuciła się do kolan wodza, błagając, by darował życie jej ojcu.

— Najeźdźca z zachodu zamorduje go — wołała dziewczynka.

Kiedy grupa stołemów spod Zamkowej Góry odmówiła wydania winnego, pobratymcy rozpoczęli bombardować zamek olbrzymimi głązami. Po kilku kamiennych pociskach zamek zapadł się w podziemne komnaty stołemów. Jednak grupa stołemów spod Zamkowej Góry nie poprosiła o pokój, walczyła nadal. Na otwartym polu wszyscy zginęli pod gradem olbrzymich głązów.

Purtek w pogoni za rybakiem

Stary rybak z Kuźnicy przeprowadził się do Chłapowa, zamierzał na tym brzegu uprawiać połowy, bowiem tędy ciągnęły wtenczas obfite ławice węgorza, a równie bogate ławice fląder podchodziły pod sam brzeg. W Kuźnicy rybak należał do maszoperii i bardzo dobrze zarabiał, zapewne nigdy stamtąd by się nie wyprowadził, gdyby go nie



prześladował purtk. Stary rybak miał zwyczaj co noc obchodzić cały brzeg morski od Rozewia aż do nasady Półwyspu Helskiego, w czasie tych wędrówek od czasu do czasu znalazł kawałek bursztynu i to był latem piękny dodatek do jego zarobku. Pewnego dnia, gdy wyszedł z domu, zauważył, że krok w krok za nim idzie purtk i podzwania łańcuchem. Doszedł więc do wniosku, że purtk chce go spętać i zabrać do piekła. Dziwny to był purtk, mimo że rybak żegnał się świętym krzyżem, odmawiał różaniec, on wciąż deptał mu po piętach. Kuźniczanin skreślił do Starniowego Żłobu, a purtk za nim. Dochodził do wsi, gdy już świtało.

— W biały dzień chyba nie będzie mnie purtk gonił — pomyślał rybak.

Purtk jednak nie miał zamiaru porzucić swojej ofiary. Nie przestraszył się nawet kowala, który z ciężkim młotem wyszedł z kuźni. Rybak chciał się skryć za kaplicę świętego Jana, ale i tu znalazł go purtk, a nawet wyszczerzył na niego pysk. Tropiony rybak zaczął uciekać w kierunku swego domu.

— Do izby za mną nie pójdzie, bo na ścianach wiszą święte obrazy — pomyślał.

Gdy stanął w drzwiach, wyszedł z chlewu Czapa, właściciel checzy, w której mieszkał kuźniczanin.

— Gdzie ty tak gonisz z moją krową — krzyczał Jan Czapa.

— To nie krowa, to purtk, wlaź do Narlacha i stłukł mu w izbie lustro.

Dzwon dzwonił w kapliczce, ludzie się modlili, a purtk nie opuszczał wsi. Wszyscy drżeli ze strachu, że przez purtką grozi wsi zagłada. Rybacy wypłynęli w morze, nawet trzech największych śpiochów odbiło od brzegu. Księdza wieś nie miała, bo i kościół nie było. Żony rybaków wszystką święconą wodę wykropiły na purtką. Dopiero gdy Jan Czapa rozpoznał w purtku swoją krowę i wprowadził ją do obory, powoli ustał popłoch we wsi.

Stłuczone lustro

Trzej rybacy, którzy rybaczyli na jednej łodzi, umówili się, że nad ranem będą się kolejno budzić. Na Półwyspie Helskim zegarów wtenczas nie było, postanowili więc, że pobudką dla nich będzie pierwsze pianie koguta we wsi. Tego dnia przypadła kolej na Józefa Konkola. Usiadł on sobie na skrzyni, uchylił okno, żeby usłyszeć, kiedy zapieje pierwszy kur we wsi. Wdychał wonne powietrze z ogródka pełnego kwiatów, czuł się bardzo dobrze, młodo i świeżo. Jego białka, której na imię Justyna, lekkim chrapem piłowała w łóżku. Z dala dochodził monotonny szum morza, który wnet ukołysał go do snu. Nie wiedział sam, jak długo spał, kiedy usłyszał jakieś stukanie. Zerwał się, podszedł do drzwi, otworzył je i równie szybko zatrzasnął z powrotem, bo przy drzwiach stał sam purtk. Miał dwoje oczu, rogi, cztery nogi i ogon. Rybak jak stał w skorzniach i w kaftanie rybackim, tak wskoczył do łóżka swojej białki.

— Chłopie, co ci się stało? Czemu tak dychasz?

— Cicho, cicho, białko, przy drzwiach stoi purtk, ma dwa rogi, dwa wydęte ślepie, cztery nogi

i ogon, prawdziwy żywy purtk — i pchał się coraz głębiej pod pierzynę.

Rybak wraz ze swoją białką modlili się aż do samego rana. A gdy w izbie zrobiło się widno, podszedł do drzwi i otworzył je. Przed drzwiami stała krowa, która zaczęła się pchać do otwartych drzwi. Przerażony rybak uciekł na strych, a krowa tymczasem wepchnęła się do izby i spojrzała w lustro. Widząc w nim odbicie zwierzęcia, zaraz chciała je wziąć na rogi i stłukła lustro. Na brzęk szkła kobieta wyskoczyła z łóżka i w poczuciu zagrożenia zasłoniła się pierzyną. Na co krowa wzięła pierzynę na rogi i rozerwała ją. Przez otwarte okno i drzwi pióra wyleciały na dwór.

Rankiem Bruno Konkol wyszedł na brzeg morza, spostrzegł, że wszystkie łódki żaglowały daleko na łowiskach, tylko jedna łódź stała w przystani, a przy niej czekało dwóch rybaków gotowych do wypłynięcia w morze, trzeci siedł od wsi z sieciami na ramieniu.

— Miałeś nas obudzić, jak pierwszy kogut zapieje, a ty teraz przychodzisz.

— Cud się, dresze, stał. Krowa wlaźła do izby i stłukła szpygiel.

— Jak do tego doszło? Ty masz w izbie krowę?

— Ach, nie, krowy nie mam w izbie. Siedziałem na skrzyni i czekałem na pianie koguta, wtem coś na dworze zaczęło sztermować. Byłem pewien, że zaspąłem i wy mnie budzicie, otworzyłem drzwi, a tam stoi purtk, miał rogi, ślepią wydętą, cztery nogi i ogon. Przeraziłem się i skoczyłem do łóżka białki, a potem na strych. A purtk zeżarł wszystkie kwiaty w ogródku, wszedł przez otwarte drzwi i stłukł lustro.

Purtki się bawią

Było to za króla Sasa, gdy ludzie jedli, pili i popuszczali pasa. W każdej wsi, gdy ksiądz z ambony powiedział „amen”, orkiestra przy karczmie zaczynała grać od ucha do ucha, a lud wiejski, który przed chwilą modlił się w kościele, hurmem leciał

na zabawę. Pito piwo i kornus i bawiono się do upadłego. Zeszli się ludzie strojni i mniej strojni, i nawet w łachach. Zaczęli wywijać różne obertasy oraz tańce przywiezione z dalekiego oceanu. Przybyło również wielu rybaków z Półwyspu Helskiego i wybrzeża rozewskiego. Tuż przed wieczorem pojawiły się dwie damy w bardzo drogich, wydekoltowanych sukniach. Jednak nie miały one ochoty tańczyć z kawalerami godnymi ich stanu i dziękowały wszystkim młodym rybakom, którzy się liczyli do ludzi światowych. Natomiast nie było mowy, żeby któryś z parobków mógł do nich podejść, bo takiego wyśmigałyby różgami po twarzy. Huczna zabawa dobiegała końca, gdy dwóch panów, strojnych w cylindry i pasiaste spodnie, przyjechało pod karczmę landarą zaprzęgniętą w cztery gniade konie. Skoro weszli na salę, lud ze zdziwieniem patrzył na przybyszów, szepcząc między sobą:

— Muszą być z Ameryki, świadczy o tym ich ubiór, kieszenie mają wypchane dolarami.

Dwie strojne damy od razu znalazły partnerów do tańca. Obydwaj jak psy na szpyrkę wytrzeszczali swoje ślepiska na ich prawie że gołe biusty i wyciągali ku nim swoje spiczaste i czerwone języki.

— Ci muszą mieć niejedną mieszek z dolarami, chyba u Krokowa lub Grada w Małym Starzynie.

Grajek siedział w ciasnym kącie dusznej sali i grał walca „Wiedeńska krew”. Przy grajku stał jego sześćioletni synek, który przyglądał się, jak przybysze wyprawiali różne nieczyste rzeczy. W pewnej chwili zaczął pchać się na plecy ojca.

— Tatku — szeptał chłopaczek — ten jeden pan w cylindrze ma zamiast stopy i buta końskie kopyto, a drugi kurzy pazur.

Grajek z miejsca pojął, kim są przybysze, i zaczął grać pieśń do św. Józefa. Znikły cylindry z głów przybyłych, a pojawiły się zwyczajne rogi, znikły też wytworne ubrania, a ukazała się ich zwierzęca sierść, z nozdrzy wybuchał im ogień, a z pysków wily się węzowe języki. Na odsłonięte biusty dam z ust niedawnych bogaczy, a teraz purtków, pryskała smoła. Zadufane w sobie damy spostrzegły naraz, że to nie piękni młodzieńcy, lecz purtkowie trzymają je w objęciach. Grajek coraz głośniejsze grał pobożną pieśń, nieznani przybysze w końcu prysnęli jeden

za drugim przez okno. Purtk z końską nogą wrócił się jeszcze, wetknął w okno piekielny łeb z rogami i rzekł:

— Gdyby nam było dane przetańczyć ten ostatni taniec z owymi pysznymi damami, byłibyśmy już z nimi w piekle.

Grajek grał tak długo, aż ustał popłoch na sali. Wziął wtedy swego synka za rękę i zaprowadził do domu. Matka chłopaka się cieszyła, że jej synek jest szczęśliwym dzieckiem, obdarzonym szczególnym przywilejem, skoro purtkowie nie potrafili się przed nim ukryć. Od tego czasu dziewczęta na zabawie nie przebierały wśród kawalerów, lecz tańczyły z każdym, kto je poprosił do tańca.

Jak chłop przechytrzył purtką

Był sobie biedny chłop, który miał jednego konia. Tak jak wielu takich biedaków na wsi, dorabiał sobie furmankowaniem. Raz otrzymał zamówienie od młynarza na przywiezienie z lasu grubego pnia na wał do wiatraka. Toteż chłop wziął konia i wybrał się do pobliskiego lasu. Odnalazł gruby pień, podjechał wozem i próbował najpierw za jeden koniec, potem za drugi włożyć pień na wóz, jednak nie mógł go ruszyć ani na jotę. Zmartwiony i strapiiony, a jeszcze bardziej zły, rzekł:

— Niech go purtk włoży.

Ledwie wyrzekł te słowa, spostrzegł, że ktoś stoi obok pnia. Poznał od razu, że to purtk.

— A czego, pieczelniku, tu chcesz? — spytał chłop.

— Wzywałeś mnie — odpowiedział purtk — żeby ci pomóc włożyć ten pień.

— Pień włożyć, dobra rzecz — rzekł chłop — ale czego żądasz za to? — zapytał rogatego purtką, który miał jedną nogę końską, a drugą kurzą. — Pieniądzy nie mam. Jestem biedny.

— Zrobimy zakład, do trzech razy sztuka, jeżeli wygram, to z duszą i ciałem zabiorę cię do piekła, a jeżeli ty wygrasz, pójde swoją drogą i dam ci spokój.

— Od czego zaczniemy?

— Od tego pnia — odrzekł purtk — bo do niego mnie wzywałeś. Pomogę ci go włożyć na wóz i zawieźć do wiatraka, u młynarza zrobimy pierwszy zakład.

— No, dalej! do roboty! — ryknął chłop, pewien zwycięstwa.

Chwycił pień, a ten ani drgnął. Jak diabeł podparł go ramieniem i dźwignął, chłop krzyknął:

— Cho, cinop! — ale nie dał rady.

Purtk sam włożył ciężki pień na wóz. Podjechali pod wiatrak, wówczas chłop rzekł:

— Wniesiesz pień do góry, na wiatrak, a tam młynarz z cieślą sami sobie poradzą z obróbką.

Purtk dźwignął pień i zaniósł go na górę. W tym czasie podszedł do chłopca młynarz.

— Co to za mocarz? — spytał.

— Drechu, to jest purtk. Przyjrzyj mu się dobrze, z jego czupryny sterczą czubki rogów, ma jedną nogę końską. Poszliśmy o zakład, jeżeli on zwycięży, chce mnie i mą duszę zabrać do piekła.

— No, grunt, że ten pień wniósł do góry — rzekł młynarz. — A teraz uważaj, przy zapłacie na stole położę pieniądze, a na wierzch kawał czerwonego sukna. Zawołam was obu na wypłatę. Ty się zapytasz, co on chce, to na wierzchu, czy to od spódka. Niech wybiera. Ty wiesz, że purtk lubi czerwony kolor. Na pewno wybierze z wierzchu.

Po chwili młynarz zawołał purtką i chłopca. Gdy tylko weszli do izby, purtk spostrzegł czerwone sukno i aż ognisty język wytknął z pyska. A chłop zrobił smutną minę i zapytał:

— Czy chcesz to, co leży na wierzchu, czy to od spódka.

— Pewno, że z wierzchu, bo czerwone — rzekł purtk i zerwał czerwoną szmatę, a chłop zgarnął kilkanaście złotych monet za ciężką pracę i furmanekę.

— No i co, purtku — stwierdził chłop — przegrałeś.

— Ale to ostatni raz — odgrażał się purtk i parsknął, aż mu iskry z pyska poleciały.

Chłop pożegnał się z młynarzem i rzekł do purtki:

— Teraz chodź, bo ja nie mam czasu, muszę bulwy sadzić.

— Bulwy sadzić, a od czego zaczniemy — zapytał purtk.

— Najprzód musimy zaorać kawałek odłogu. Na tej nowinie dobre będą bulwy.

— Co chcesz teraz, orać czy bronować?

— Ty będziesz ciągnął pług, a ja bronę.

— Dobrze — rzekł purtk, który się zgadzał na wszystko, bo nic nie wiedział.

Chłop przyciągnął pług, któremu na takim odłogu nie poradziłyby cztery konie. Zaprzągnął do niego purtkę. Znalazł dobry bat. Purtk szedł z pługiem, odwalając ogromne skiby ziemi. Chłop zaś co chwilę smagał go po udach, na co purtk żałośliwie się oglądał, a szukając u chłopca miłosierdzia, zapytał:

— Czy tak musi być?

— A spójrz na sąsiada, jak on konie podcina.

Purtk zamilkł, bo rzeczywiście obok orał chłop w dwa konie i bił je batem od czasu do czasu. Wprawdzie, nie tak zacięcie jak chłop purtkę, a bardziej po ludzku. W godzinę zorali pół hektara ziemi, a gdy skończyli, chłop rzekł do purtki:

— A gdzie masz bronę, ja muszę bronować.

Purtkowi się przypomniało, że to on miał dostarczyć bronę. Rozglądnął się po polach, ale nigdzie brony nie zauważył. Więc położył się na skibach, chłop spętał mu giry, a purtk zarył swe pazury w ziemię, i tak chłop ciągnąc go bronował pole. Ziemia zrobiła się pulchna. Teraz chłop przyniósł kilka worków kartofli, a że sadzonki były duże, więc je przekroił na pół i takie zasadził w rzędy, zaś purtk zagarniał je ogonem.

— Jak urośnie, co chcesz brać, to na wierzchu, czy to, co na dole.

— Chcesz mnie nabrać, ale się nie dam. Tym razem też będę brał z wierzchu.

Chłop niby z troską podrapał się po głowie i rzekł:

— Jak już, to już, może i dla mnie co urośnie.

Od kiedy zasadzili bulwy, purtk codziennie latał na pole, by się przekonać, co też tam urośnie. Aż pewnego poniedziałku, a było to na tydzień przed Zielonymi Świątkami, diabeł po nocnym deszczu przybiegł na pole i zauważył piękne krzaczki kartoflanych liści. Lizał je, oglądał i macał.

— Tak, to są kartofle. Ciekaw jestem, czy jemu też coś rośnie.

Odrzebał jeden krzak, drugi. Kartofli świeżych nie ma. A te, które były zasadzone, już szerniały.

— Nic dla niego nie będzie — pomyślał — wpakuję go z ciałem i duszą do piekła.

Purtk całe lato chodził na pole i przyglądał się, jak jego kartofle rosły. Były coraz to większe, ślicznie zakwitły fioletowo, a niektóre krzaki na białe. Latały po nich motyle, ptaszki w nich świergotały. Zające też miały w nich swoją kryjówkę.

— Wartość przedstawiają — pomyślał sobie purtk.

A jaką radość miał, gdy pojawiły się na krzakach drobne jabłuszka, obliżywał się, choć trochę były kwaśne.

— Chyba takie muszą być — myślał purtk.

Tymczasem nadeszła jesień. Łodygi i liście kartofli zaczęły usychać. Chłop pewnego poniedziałku rzekł diabłu:

— Zbieraj swoje z wierzchu.

Przybiegł więc na pole, przyprowadzając ze sobą cały oddział młodych purtków, którzy skrzętnie zebrali z kartofliska uschnięte zielsko do worków. Potem przyszedł chłop ze swoją żoną i wykopał furę kartofli pięknych jak jabłuszka, ładne, czyste i jeden w jeden duże. Zaprzągnął konia do wozu i pojechał z nimi do Gdańska. Purtk załadował swoje worki na wóz, który zabrał komuś z podwórka, i też pociągnął do Gdańska. Chłop szybko sprzedał swoje kartofle, a od purtki nikt nie chciał nabyć takiego towaru. Chociaż purtk wytrzymał październik z worków i zachęcał do kupna, nie było nabywców. Jeszcze musiał zapłacić karę za zaśmieszenie rynku.

Chłop pojechał do domu, a purtk przydrybolił za nim i spytał chłopca:

— Co teraz?

— Teraz czas siać żyto.

— Ale słuchaj — zastrzegł się purtk — tym razem ja będę brać z dołu. Dwa razy dałem się nabrać, ale trzeci raz to już nie będę taki głupi.

Chłop podrapał się w głowę i wyjąkał:

— Jestem zgubiony.

Znów zaprzągnął purtkę do pługa, złożył go porząd-



nie batem, zorał ziemię i zabronował po staremu. Zasiał żyto. Jesienią pięknie wzeszło, zaczęło ładnie i bujnie rosnąć. Diabeł znów latał na pole i sprawdzał. Był spokojny, bo jemu też kiedyś rosło pięknie zielono.

— A co ja z tego miałem. Jeszcze w Gdańsku zapłaciłem sztraf i dostałem pałką po głowie za zanieczyszczenie rynku.

Nadeszła wiosna, żyto rosło i chłop nie mógł się nachwalić, a diabeł nacieszyć, bowiem był pewien, że w ziemi rosną dla niego owoce. Przyszło lato. Żyto zakwitło. Purtk był rad, jak zaczęło kopcić, bo myślał, że na dniu się spali, co dzień bowiem stawało się jaśniejsze. Pewnego dnia chłop wziął kosę i swoje skosił. Żona pomagała mu wiązać snopki. Pogoda była dobra, to i żniwa były udane. Ustawił stóg, sprowadził młockarnię, wymłócił żyto, słomę złożył w stertę, a ziarno do worków. Załadował na wóz i zawiózł do Gdańska. A purtk zaczął drzeć ściernisko, pakował je do worków i dalejże za chłopem. Stanęli prawie razem przed

spichlerzem pod Motławą. Chłopu zaklasyfikowali ziarno do pierwszej klasy, wziął za nie dobry grosz, a diabeł ze swoim ścierniskiem stał dwa dni, aż go wypędzili spod spichrza, bo uniemożliwiał dojazd innym furmankom załadowanym zbożem. Wobec tego purtk udał się na rynek, tu jednak ludzie zaczęli się śmiać z niego, zakręcił więc ogonem i w nogi. Bo pokazało się szupo z bakłami gumowymi. Gdy zjawił się u chłopu, ryczał jak stary byk, a łzy mu z oczu leciały niczym ukrop z kranu.

— To hańba — żalił się purtk — żebym dał się tak sromotnie nabrać. Przegrałem duszę chłopu, co na to powie Lucyper. Musimy koniecznie jeszcze jeden zakład zrobić, już ostatni. Spróbujemy walki na pazury, jak dwa koty. Jeżeli zwyciężę, twoja dusza będzie moja.

— Jak stała nasza umowa? — zapytał chłop. — Ale jeżeli koniecznie chcesz, to tchórzem nie jestem.

Purtk poleciał do piekła, na piekielnym kamieniu naostrzył sobie pazury niczym brzytwę. Chłop posmutniał, bo dzień walki się zbliżał, a zdawał sobie sprawę, że oznaczała ona koniec jego życia. Ale żona chłopu wnet zauważyła, że chodzi on jakiś mocno zakłopotany. Spostrzegła też, że purtk wałęsa się koło domu i szpieguje jej męża. A że miała swoje pomysły, kazała chłopu zabić wychodowanego przez nich olbrzymiego wieprza. Po czym on go ładnie umył, oczyścił z sierści i wieprz leżał na desce w chlewiku bielusiętki niczym dziewczica. Kobieta wiedząc, że diabeł wnet przyjdzie pod okienko chlewu, łeb wieprza owinęła w szal, przyłożyła policzek do jego ryja i z płaczem rzekła:

— Mój synku, mój synku — i zapaliła przy nim świecę.

Diabeł, który pojawił się pod oknem, nie mógł pojąć, czemu baba płacze. Wszedł do środka.

— Co tu się dzieje? — zapytał kobiety.

— Mój stary się wybiera na jakiś pojedynek, naostrzył sobie paznokcie, na próbę dziobnął małym palcem naszego syna, siłacza wielkiego. Trochę go zadrapał, a ten na miejscu padł trupem.

Purtk zaglądał do rany po nożu rzeźnickim, przymierzał swoje pazury, ale gdzie je mógł porównać z paznokciem swego przeciwnika, pomknął więc najprostsza drogą tam, gdzie pieprz rośnie.

Szwedzi pod Puckiem

Kiedy Szwedzi pustoszyli nasz kraj, podeszli również do Pucka, który chcieli zająć za wszelką cenę, jako że był to klucz do Gdańska, a gdyby port dostał się w ich ręce, już by w Polsce panowali. Toteż oblegając Puck wszystko wokół palili, chłopów i dzieci mordowali, kobiety i dziewczuchy zabierali ze sobą, a rybaków wieszali na rejach orłogów. Zrabowali pucki zamek, a wszystkich wycieli w pień. Polscy żołnierze walczyli zawzięcie z najeźdźcą, nie dając mu chwili spokoju. Gdy wreszcie udało im się przepędzić Szwedów, mieszkańcy tej okolicy byli szczęśliwi.

Jednakże jedną urodziwą dziewczynę z tych okolic, która wysłała swego kochanka na wojnę, porwali Szwedzi i pędzili przed sobą półnagą i bosą. Biedaczkę gnali tak wiele mil polami i lasami. Skoro nadeszła noc, starszy oficer kazał ją przywieść do siebie. Dziewczyna nie opierała się, ale kiedy Szwed zbliżył się i dotknął jej, od razu padła nieżywa. Wszyscy żołnierze przestraszyli się i uciekli. Tymczasem nieszczęsna dziewczyna wstała i wśród ciemnej nocy ruszyła przed siebie. Doszła do gęstego lasu, gdzie spotkała człowieka całutkiego obrośniętego siwymi włosami. Opowiedziała mu kolejno swoje przygody, a on wysłuchawszy jej rzekł:

— Weź ten czerwony kijeczek, który przyda ci się w każdym niebezpieczeństwie.

Dziewczyna pięknie pożegnała starego i ruszyła w dalszą drogę. Uszła ledwie kilka stajen, kiedy dopadli ją Szwedzi, byli za nią tuż, tuż, ale ona wtedy fajt majt, pomachała czerwonym kijaszkiem i zaraz wyrosła za nią wielka góra, która oddzieliła ją od żołdaków. Spokojnie poszła dalej, aż tu jakieś dziwaczne wojsko zaczęło do niej strzelać. Ona wówczas znowu fajt majt, poruszyła czerwonym kijaszkiem, a wszystkim wojakom rusznice wyleciały z garści. Ledwie przebyła kawałek drogi, kiedy napadli na nią pruscy husarzy i pikami chcieli ją przebić. Ona i tym razem fajt majt, pokiwała czerwonym kijaszkiem i oto rzeka załała Prusaków. Spojrzała przed siebie, aby iść dalej, raptem zoba-

czyła jakiegoś żołnierza płynącego w poprzek rzeki. Już chciała wyciągnąć kijaszek, gdy tymczasem spostrzegła żołnierzyka w rogatywce, tej samej, którą niegdyś nałożyła swemu kochankowi. Poznała go z daleka. Tym razem w odwrotną stronę pomachała czerwonym kijaszkiem i rzeka zniknęła, a chłopiec chwycił swą lubą w pół, ścisnął, całował i raz po raz się pytał:

— Jak się tutaj dostałaś w tym burzliwym czasie?

— Wiesz, ocalałam prawie cudem. Znęcali się nade mną nieprzyjaciele, gnali mnie, rozebrali, chcieli zgwałcić, ale w ostatniej chwili udało mi się wymknąć. Gdy się ulotniłam, szłam lasami, borami i natrafiłam na starego człowieka, całego obrośniętego siwymi włosami. Od niego dostałam piękną odzież, a gdy ubrałam się, podziękowałam mu i chciałam odejść, a ten dał mi czerwony kij. Powiedział, że przyda mi się w każdym niebezpieczeństwie. Toteż kiedy pojawił się na mej drodze olbrzymi Szwed, rechotał i się zbliżał do mnie, machnęłam w jego stronę kijeczkiem, a on przewrócił się jak trafiony zając.

Udała się ze swoim narzeczonym w stronę Pucka. Po drodze spotykali ludzi, od których dowiedzieli się, że pod Puckiem stoczono okropną bitwę. Huk działa zlewał się w jeden wielki grzmot. Na Małym Morzu sterczy las masztów olbrzymich orłogów.

— Jutro ma być ostateczny szturm. Całe hordy Szwedów okrążyły Puck, ich okręty najeżone są lufami armatnimi.

— Straszne chwile czekają bohaterski Puck — zapowiadali przerażeni ludzie.

— Jedyńm ratunkiem możesz być ty, Helenko — rzekł chłopiec do swej narzeczonej. — Patrz, jakie nieprzeliczone szeregi wojska stoją na polach Zeli-strzewa, Polczyna i na łąkach puckich.

Dziewczyna wyciągnęła swój kijeczek, czach, mach, przeżegnała nieprzyjacielskie wojska, które padły pokotem, jakby rażone olbrzymią błyskawicą. A kto żyw ze Szwedów pędził na zachód, bo z południa walił Stefan Czarnecki.

Narzeczony bohaterskiej dziewczyny przyrzekł jej, że wkrótce się pobiorą, ale zanim odbędzie się ich ślub, musi pokonać wroga. Dołączył więc do

wojsk Czarneckiego i ruszył z nimi przez lasy i bory, łąki i rzeki, tropiąc nieprzyjaciela, tak wypłynęli aż na morze, by ostatecznie rozgromić najeżdżcę.

Bożk z Kuźnicy w noc księżycową na brzegu morza

Józef Bożk, jak zwykle, wyszedł w nocy nad morze, by przejść brzegiem w kierunku Jastarni. Wypatrywał, czy nie leżą kawałki bursztynu wyrzucone przez wodę na zoloju. Bardzo często ulegał złudzeniu, aby rozróżnić bursztyn od kamyków, trzeba było go ugryźć zębami. Zrozumiałe, że kamyczek inaczej zachrzączi niż bursztyn. Raz po raz podnosił bursztynek, brał go do ust, aż nagle zauważył, że tuż przy nim stoi jakaś postać, również zgięta ku ziemi, podnosi bursztyn.

— Nie ma co — pomyślał Bożk — na jednym miejscu dwóch nie może zbierać bursztynu, to nic nie daje. Widzę, że zanim się zegnę, on już się podnosi, wkłada kamyczek do ust i ciska go z powrotem na piach. Pójdę swoją drogą, a niech sam zbiera tutaj.

Bożk przyspieszył kroku i przez grząski piach brnął brzegiem w kierunku Jastarni. Był podenerwowany, chciał rozpoznać tego złośliwca, ale nie udało mu się.

— Ej, do diabła — zaklął i kopnął owego złoczyńcę.

Jednakże nie poczuł żadnego oporu, nic nie wskazywało na to, że to żywy człowiek. Doszedł do przekonania, że to może być duch.

— W żadnym wypadku nie jest to dobry duch. Ten nie wybierałby mi bursztynu. Więc to zły duch. Nie ma rady, muszę iść do Jastarni i zejść wprost do kościoła. Tam już purtk nie będzie miał żadnej siły.

Tak też zrobił. Jak tylko podszedł do kościoła od strony Wielkiego Morza, purtk znikł jakby na zawsze. Gdy Bożk obszedł kościół, księżyc znów mu zaświecił w oczy. Obejrzał się, patrzy, a purtk stoi za nim. Przy kościele Bożk czuł się pewny, ponadto

miał różaniec, na którym już odmówił dwa dziesiątki. Zaczął nim purtką dzielić, bił go różańcem bez miłosierdzia. Purtk zwinął się z bólu, ale nie odstąpił. Znikł dopiero wtedy, gdy Bożk wszedł do kruchty, aby podziękować Panu Bogu za udzieloną mu pomoc w zmaganiach z piekielną siłą. W kościele było dosyć jasno.

— Z pewnością Pan Bóg widzi, jak się tu modłę — pomyślał stary rybak.

Trochę odpoczął i wyszedł z kościoła. Księżyc tymczasem potoczył się na zachód. Bożk obejrzał się, purtk nie było. Obszedł kościół od strony południa, a tu znów mu się ukazał ten pieczelnik tuż pod nogami.

— Co począć? Nie ma rady, pójdę do Bernadzika, on człowiek mądry, znajdzie jakąś radę.

— Może spałeś i przysniło ci się, że kogoś widziałeś?

— Nie spałem, nigdzie nie siedziałem ani też nie leżałem. Natomiast złoilem go różańcem na potęgę, a on mimo to wciąż chodził mi po piętach, nie dał się odstraszyć, śpiewałem pieśń do św. Józefa, też nic nie pomogło.

— Ślechole, Bożku, słuchaj, dam ci dwa kornusy, wypijesz, to się przebudzisz, bo mnie się wydaje, że ty wciąż śpisz.

— Ależ człowieku, ja nie śpię, widzę, jak się to leczewo pali i ciebie widzę, mógłbym przy tobie dziesiątek różańca zmówić.

— Przede mną nie mów, módl się do Pana Boga, żeby ci twój rozum oświecił, to purtk nie będzie miał do ciebie żadnego dostępu.

Bernadzik wlał kubek kornusu, a Bożk, ochlapus, jednym haustem go wypił.

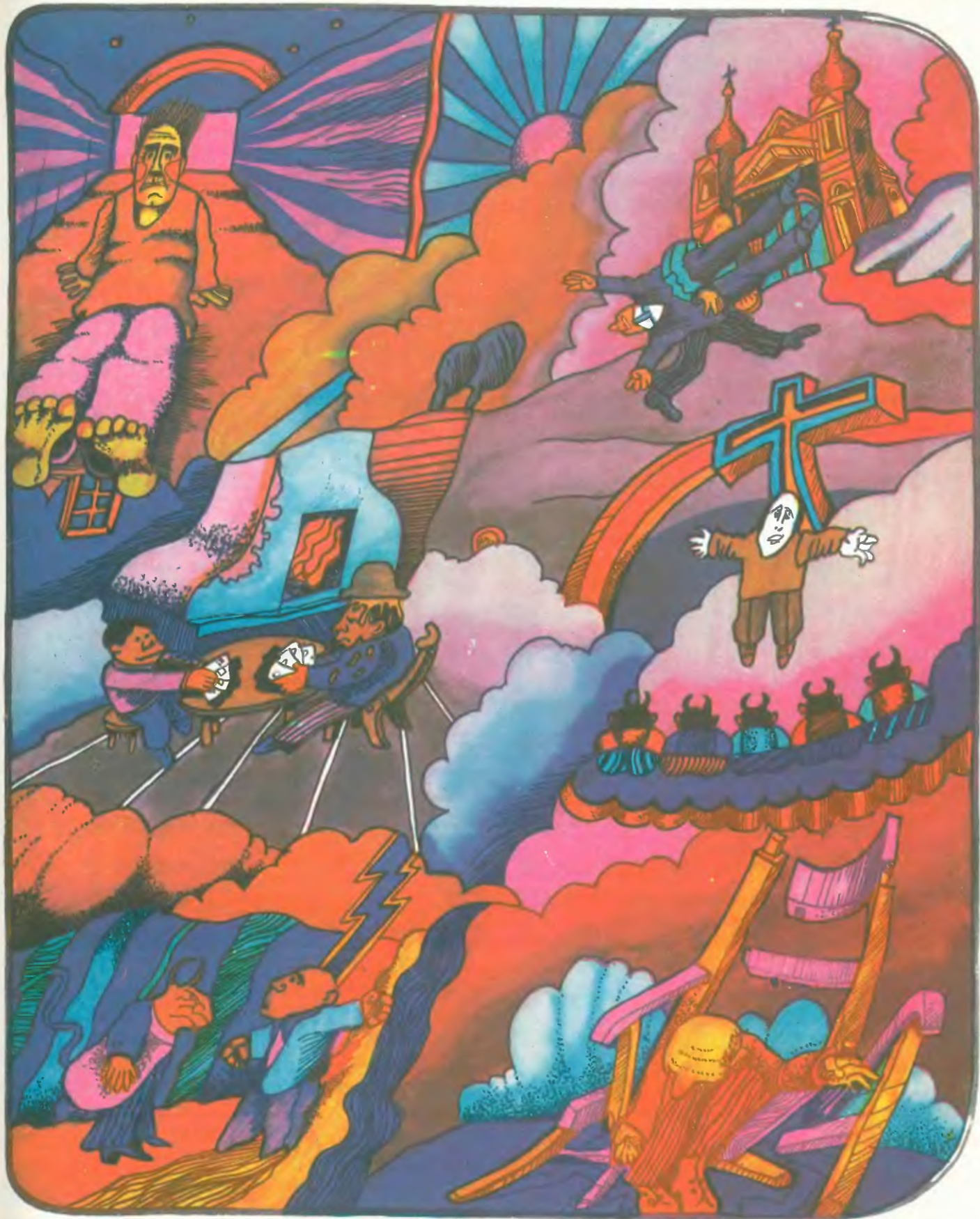
— Teraz się purtk nie boje.

Bożk wyszedł na dwór, by iść z powrotem do Kuźnicy, ale po chwili spłoszony przybiegł do Bernadzika.

— Wstań, drechu, i odprowadź mnie do Kuźnicy, bo znów ten purtek przy mnie. Wspinał się nawet na twoją sieczkarnię.

— Żeby tylko jakiś czart nie podpalił mi sieci — pomyślał sobie Bernadzik.

Ubrał się prędko, wyszedł z Bożkiem, który raptem krzyknął:





— Spójrz, drechu, teraz tu są dwa purtki.

— Hej, ty głupi Bożku — roześmiał się Bernadzik. — To, co ty mi pokazujesz, to jest cień. Księżyc świeci.

— Nie wierzę, bo purtka też nigdy dobrze nie widzisz. On się często pokazuje jako cień.

— No, to chodź bliżej i zobacz.

— Ale urósł, na początku był mniejszy ode mnie, a teraz jest o wiele wyższy.

— Bo księżyc stał wysoko, a teraz księżyc obniża się ku zachodowi.

— Ej, do diabła — rzekł Bożk. — Dlaczego ten purtk zawsze pokazywał mi się nie z tej strony, co księżyc świecił.

Jednak na wszelki wypadek wziął krzyżyk różańca i zaczął drapać na desce swój cień.

— Bożku, idź do domu strądem, może jakiś kawałek bursztynu znajdziesz, przecież sam widzisz, że to nie jest purtk.

— Ja się boję.

— To chodź ze mną do mego mieszkania. Obudzę moją białkę, ona nam zrobi śniadanie, zjesz sobie i wtedy wrócisz. Jak księżyc zachodzi, wszystkie purtki wracają do piekła.

Po godzinie Bożk wracał przez Jastarnię, ale już nie zauważył purtka.

— Miał Bernadzik rację, jak księżyc zajdzie, purtki wracają do piekła.

Idąc wzdłuż brzegu morza Bożk mógł już rozeznaczyć, co bursztyn, a co kamyczek, i przekonał się nareszcie, że każde światło, nawet księżycowe, daje w nocy cień. Przestał się bać, ale całe swoje długie życie opowiadał o tej nocnej przygodzie.

Purtk w pudełeczku od zapalek

Kuter stał w nowo wybudowanym w owym czasie porcie władysławowskim, skąd każdego ranka wypływał na połów łososia. Tego dnia o świcie pojechałem pociągiem z Helu do Władysławowa, wioząc świeże śledzie, które miały służyć jako przynęta na łososie. Gdy wysiadłem z pociągu, spotkałem

mego brata, Józefa Necla, i Teodora Gojkę. Obaj byli zadyszani, jakby ich ktoś gonił.

— Co jesteście tacy przestraszeni? — zapytałem młodych rybaków.

— Purtk świetlnego goniliśmy.

— Dobrze, że wyście gonili purtką, a nie on was. To jakieś złudzenie.

— Jeżeli nie wierzysz, to spójrz — rzekł mój brat maszop. — Chwyciliśmy tego purtką, mamy go w pudełeczku od zapalek. Zabierz go i pokaż profesorowi Denelowi. On zna każdą rybę, każde stworzenie morskie. Purtk wprowadzie w morzu nie żyje, ale gonił nas nad samym brzegiem. Profesor Denel na pewno będzie wiedział wszystko o tych stworzeniach, a więc także i o świetlnym purtku.

— Mądrze mówisz — rzekł drugi maszop, Teodor Gojka. — Ale mnie się zdaje, że ten purtk nie chciał nas puścić do portu, bo wie, że uda nam się połów łososia.

— To najprawdopodobniejsze — rzekłem.

— A czy ten twój profesor będzie wiedział, co to za purtk?

— Na pewno, i będzie znał jego imię, pochodzenie, czym się odżywia i po co tu przyszedł.

— Ciekawe — dziwił się Teodor Gojka — nie przypuszczałem, że profesor Denel może być tak zaprzyjaźniony z purtkiem.

Kuter wypłynął na morze, a ja pociągiem wróciłem na Hel, by wziąć udział w wyprawie badawczo-naukowej statkiem „Ewa”. Cały dzień nosiłem przy sobie pudełeczko z purtkiem. Wieczorem, po powrocie z naukowego połowu, udałem się do profesora Denela, aby złożyć sprawozdanie. Przypomniałem sobie, że mam purtką w kieszeni. Otworzyłem pudełeczko i postawiłem je przed profesorem, który pincetką wziął purtką pod mikroskop, pokręcił trochę nakrętką i stwierdził:

— To świetlny owad, który zawsze pojawia się na Wybrzeżu nad krzakami i mokradłami w porze styku jesieni z zimą, z nadejściem pierwszych mrozów.

Dwom rybakom, których straszył purtk, przekazałem odpowiedź profesora.

— To nie może być — oburzyli się. — Ten purtk

był ogromny jak świetlny lampion, a gdy Józef miał go już prawie w garści, zmałał do tak mizernej wielkości.

Purtk na ulicy Jastarni

Pewnego razu Jan Konkol, młodzieniec w dorosłych latach, bo ukończył już marynarkę wojenną, odwiedził swoich kuzynów Onufrów, którym dano taki przydomek, gdyż ich ojciec miał na imię Onufry. Grał z nimi w karty, wypił pół litra kornusu za pomyślnę połowę węgorza i późnym wieczorem wracał do siebie. W pewnej chwili, aż oczom nie chciał wierzyć, zza węgła jednego domku wyszedł purtk w całej swej okazałości.

Konkol cofnął się za przydrożny domek i zaczął obserwować purtką.

— Chyba czyha na jakąś grzeszną duszę — pomyślał. — Dziewuchy co noc latają za kawalerami, a tu jeszcze purtk się zabiera do nich.

Nagle doszedł go groźny głos i rozpoznał, że to Leon krzyczał:

— A gdzieś ty, diable rozprzaty, wylazł, uciekłeś z obory i znowu chcesz pobóść kogoś na śmierć, jak Bernadzika.

Zaczął świstać batem, a purtk ruszył z miejsca. Jan Konkol zauważył, że Leon ma przewagę nad purtkiem, a że sam nie był zaudważny, podszedł do sąsiada, który wyjaśnił mu:

— Z obory wylazł purtk i teraz wałęsa się.

— A jednak to jest purtk — stwierdził Jan Konkol, trzymając w dwóch rękach bukowy kołek, którego używano do zastawiania żaków.

— Czemu bijesz byka, to mój — odezwał się Leon Lizakowski.

Jan Konkol pomógł mu wpędzić potężne zwierzę do obory. Nie przestał jednak wierzyć, że to był purtk, tylko jego zdaniem Leon nie rozpoznał go po ciemku. Opowiadał o tym zdarzeniu po całym Półwyspie Helskim, dlatego powstała ta bajka, którą przekazywano sobie po checzach w wieczory zimowe.

Jak purtk zagroził drogę pielgrzymom

Był to dzień sobotni, szesnastego lipca, gdy z Półwyspu Helskiego liczne pielgrzymki ciągnęły na odpust do Swarzewa, gdzie w miejscowym kościele była statua Cudownej Matki Boskiej. Jan Koziróg tegoż dnia dłużej się zatrzymał w restauracji Józefa Białki, stroił tam milwieta, inaczej mówiąc figle, śpiewał, tańczył, rozweselał młodych rybaków, a oni mu za to stawiali wódkę, której nigdy nie odmawiał. Gdy wracał do domu tuż koło kaplicy św. Józefa, w której z okazji swarzewskiego odpustu płonęły świece, zauważył jakieś leżące wzdłuż drogi zwierzę. Był chłopem odważnym, podszedł więc do owego domniemanego purtką, a gdy ten wstał i ryknął byczym głosem, Koziróg z trwogi krzyknął przeraźliwie:

— Ratunku! Purtk jest we wsi. Nie chce przepuścić ludzi idących do Swarzewa na odpust.

Szukał schronienia przy drugiej kapliczce, gdzie wisiał wiejski dzwon. Staął i spojrzał w stronę kapliczki św. Józefa, gdzie leżał purtk. Teraz posuwał się on ku niemu i groźnie pomrukiwał. Koziróg w panicznym lęku chwycił za sznur i zaczął dzwonić. Kiedy rozległo się bicie dzwonu, purtk stanął. Koziróg widział go teraz wyraźnie, miał rogi, nóg aż cztery i ogon. Straszny to był purtk. Toteż Koziróg ogarnięty trwogą szarpał sznur dzwonu i krzyczał:

— Kto w Boga wierzy, na ratunek, bo purtk mnie na rogach uniesie do piekła.

Zbiegli się ludzie niosąc kropidła i święconą wodę, wzięli też z sobą ziele, które chowali od zeszłego święta Matki Boskiej Zielnej. Zaczęli okadzać kapliczkę, lecz tego purtk już nie wytrzymał. Wyciągnął łeb, jakby wąchał kadzidło, zawrócił i poszedł w kierunku domku zamożnego gospodarza, Józefa Kortasa.

Okazało się, że purtkiem był nie kto inny, lecz sam byk Kortasa. W opowiadaniach rybaków pozostał jako purtk straszący niewinnych ludzi.

Ostatni smok

Pewien ojciec, który posiadał gospodarstwo rolne, miał trzech synów. Wszyscy pracowali na ojcowskiej ziemi. Dwaj starsi synowie byli bardzo pracowici, zaś najmłodszy stronił od każdej roboty. Rosły jak dąb, nikogo się nie bał, nawet własnego ojca. Od wczesnej młodości grał na flecie. Otrzymał go od Cygana, który wędrował z niedźwiedziem od wsi, do wsi, przygrywając przed każdą chatą. A ponieważ niedźwiedź doskonale wyczuwał rytm melodii, świetnie tańczył w jej takt. Kiedy zatracony leń otrzymał flet od Cygana, zaczął przygrywać krowom, koniom i wszystkim napotkanym zwierzętom. Okazało się, że one też zrozumiały jego muzykę. Najmłodszy syn nabrał takiej wprawy w przygrywanie zwierzętom, że już w ogóle nie chciał pracować. Nie pomagały groźby ani prośby ojca, ani nawet jego zaklęcia.

— Nie strasz mnie, ojcie — rzekł osiłek. — Nie boję się, chociażbyś mnie z domu wypędził, bo nie wiem, co to lęk.

— A chciałbyś, aby cię spotkał strach? — ojciec spytał syna.

— Pewnie, że chciałbym.

— W takim razie jestem bezsilny wobec ciebie — rzekł ojciec. — Idź, jak poznasz, co to strach, może wrócisz posłuszny.

— Tylko nie wiem, gdzie iść — odpowiedział syn.

— Zaprowadzę ciebie do podziemnej krainy strachów.

Ojciec zapuścił się z synem w głębinę lasu, doszedł z nim aż do pewnej groty, skąd było wejście do podziemia. Nikt z okolicznych ludzi jeszcze nie był w tym podziemiu, bo od dawna krążyły po okolicy wieści, że w grocie za bramą czatuje olbrzymi smok o dwunastu głowach. Ktokolwiek tam przed laty wstąpił, ginął z przemocy smoka. Dotychczas nie znalazł się żaden śmiałek, który by się odważył wejść do owego podziemia. Najmłodszy syn, osiłek i leń, przekroczył bramę groty. Jarzyło się w niej słabe światło, w którego blasku siłacz dostrzegł smoka sunącego wprost na niego. Wtedy szybko

przytknął do ust flet i zaczął grać melodię przeznaczoną dla zwierząt. Smok podniósł się na nogi i zaczął tańczyć, a grajek grał coraz to szybciej, a smok wirował, aż wiatr świstał, ledwo go było widać. W takt fletu tańczył tak aż do samego rana. W końcu smok zatrzymał się i zaczął zmykać w głąb podziemnego chodnika. A grajek szedł w ślad za nim, aż dotarł do miejsca, gdzie chodnik rozdzielał się na dwa boczne ganki. W jednym z nich skrył się smok. Siłacz nie znający strachu wsunął się w głąb podziemnego ganku. Szedł bardzo długo, aż natrafił na drzwi. Pchnął je i wszedł do komnaty. Stały w niej śliczne meble. Usiadł sobie na fotelu. Spozstrzegł butelkę szampana. Nikt nie potrzebował go namawiać, aby się poczęstował. Zrobiło mu się rzewnie. Naraz zastukało coś w kominku. Siłacz się odwrócił i zauważył wiszącą półnągą kobietę. Zerwał się na równe nogi i zbliżył się do kominka, wówczas kobieta rzekła:

— Jak nie znasz strachu, to ratuj mnie. Pokutuję tu już przeszło tysiąc lat. Gdy z ciekawości weszłam do podziemia, straszny smok porwał mnie i rzekł: „Jesteś za ładna, bym cię połknął, ale schowam ciebie w niedostępnym miejscu”.

— Strachu nie znam — odrzekł siłacz.

Wsunął się do kominka, uciął linę, którą pod ramionami opasana była naga kobieta, delikatnie ją zdjął i zakrył jej nagość. Wtem z rykiem wyskoczyła z kominka pantera. Chciała się rzucić na siłacza, ale ten z błyskawiczną szybkością wyciągnął swój flet i zaczął grać zwierzęcy taniec. Za chwilę wyskoczyła druga pantera, ale obie puściły się w tany. W końcu, zmęczone, położyły się dysząc na podłodze.

— Jeśli moich stróżów pokonałeś, jestem uratowana — rzekła ślicznotka i ucałowała próżniaka, który był za leniwy, nawet, aby się do niej schylić.

Wziął dziewczynę pod rękę i wyprowadził ją z komnaty. Skierował się w stronę wyjściowej bramy, ale nagle stanął im na drodze smok. Siłacz znów wyciągnął swój flet i zaczął grać. W takt jego muzyki smok tańczył i tańczył, aż w podziemiach zerwał się wicher, a smok wirował, wirował, w końcu z wyczerpania zwałił się na ziemię.

Dziewczyna, która się skryła za grajkiem, nagle krzyknęła z przerażenia. Na to grajek obejrzał się



i spostrzegł, że w jego kierunku pędzi gankiem całe stado czarnych byków, jakby się wyrwały z areny hiszpańskiej korridy. Nastawiły rogi wprost na kobietę i grajka, ale ten w ostatniej chwili zdążył chwycić swój flet i zaczął grać. Wówczas byki zawróciły i gankiem popędziły z powrotem, dla takiego stada nie było bowiem miejsca do tańca. Smok tymczasem ocknął się i zaczął poruszać niektórymi głowami. Wobec tego grajek znów dmuchnął w swój flet i grał tak długo, dopóki nie opadły smokowi wszystkie łby. Wówczas skoczył do niego i ukreślił mu jeden łeb za drugim. Smok ostatni raz chrapnął i rozciągnął się jak długi pod ścianą.

Teraz grajek pośpieszył z dziewczyną do głównej bramy. Jednak okazało się, że smok zamknął ich na jakiś dziwny zamek, którego żadną siłą nie można było otworzyć. Grajek grzebał przy zamku prawie tydzień, a zaniepokojona niewiasta płakała z trwogi, co to ich teraz czeka. Aż naraz pojawiło się kłębowisko węzów, które zaczęły opłacać dziewczy-

nę. Choć grajka zostawiły w spokoju, on im oświadczył:

— Znam waszą robotę, najpierw porwiecie kobietę, a potem zabierzecie się do mnie.

Wyjął flet i zagrał tak smętnie, że wszystkie węże po chwili usnęły. Podjął więc dalsze próby otwarcia zamku. Teraz, kiedy uspił węże, bez trudu rozwarł bramę. Chwycił uratowaną niewiastę i wyprowadził ją na boski świat. Usiadł z nią na przewróconym pniu drzewa. Dziewczyna, urzeczona pięknem tego świata, wsłuchiwała się w śpiew ptaków, brzęczenie owadów, a gdy dzień chylił się ku zachodowi, zabrał ją do ojcowskiego domu, otulając w płaszcz.

— Co zdobyłeś, synku? — spytał ojciec, gdy syn zbliżał się do jego chaty.

— Wyratowałem niewiastę z niewoli smoka.

— I nie bałeś się?

— Ojczy, bałem się, ale mój flet pomógł mi go pokonać. Więził dziewczynę już tysiąc lat, uwiązał ją na linie w swoim kominku, a pilnowali jej grabieżcy z dalekich krajów.

— Skoro wybawiłeś ją, i to tak potężnie strzeżoną, należy ona do ciebie. Dam wam błogosławieństwo. Udamy się razem do kościoła, a proboszcz da wam ślub.

Po ślubie dziewczyna ocknęła się, wróciła jej pamięć i mogła opowiedzieć wszystko, co przeżyła:

— Minęło już prawie dwa tysiące lat, jak mój ród wybrał się z dalekiej krainy, zwanej Indie, na poszukiwanie żyznej ziemi. Dziadek mój, o imieniu Lech, przywódca całego rodu, usłyszał bowiem, że daleko na zachodzie jest kraj płynący mlekiem i miodem, a owoce tam rosną jak w raju, a ptaki śpiewają dzień i noc, chwając Boga za tę piękną krainę. Za nami wyruszył pokrewny ród. Przywódcą jego był Czech. Szedł on trop w trop za nami. Dziadek znalazł w lesie pięknego, białego ptaka i nazwał go orłem. Kraj przez nas zajęty był bezludny i żyzny. Ciężarem dla naszego rodu były zwierzęta, które od rzeki Ganges, przez Wisłę dotarły za nami aż do jeziora Gopło. Najwięcej kłopotu przysparzał dziadkowi smok, który żądał wielkiej daniny w postaci zwierząt domowych i ryb. Ojciec mój sprzeciwił się jego żądaniom. Wobec

czego powstała wojna między smokiem a moim dziadkiem i ojcem, który miał być następcą przywódcy naszego rodu. Miał nim rządzić i kierować. Dziadek stanął ze swymi wojami przeciw smokowi i pokonał go, ale smok nie padł w strasznym boju. Zdążył mnie porwać i ustąpił na północ, gdzie się ukrył w pieczarze, do której szło się przez grootę, a dalej długie chodniki i ganki prowadziły. Smok zgromadził różne żarłoczne zwierzęta, aby na ich czele uderzyć na mego ojca, który był już następcą mego dziadka. Do walnej bitwy nie doszło, bo mój ojciec miał za wielu wojów.

Smok z dzikimi zwierzętami siedział dotychczas w ukryciu, mnie zaś trzymał w niewoli. Cekał, aż zmaleje liczba potomków Lecha i wtedy łatwo będzie mógł opanować jego kraj. Teraz, skoro smok jest pokonany, kraj rzuci pęta niewoli i naród nasz będzie żyć w rozkwicie i szczęściu.

*

Opowiadanie to było znane pod koniec dziewiętnastego wieku, w Darżlubskich Borach, a owa grotka miała być pod Mechowem. Snując to opowiadanie lud kaszubski przepowiadał bliską wolność, a owym smokiem mieli być kolejno: pruski król, Fryderyk II, Bismarck i Wilhelm II.

Synowie młynarza

Był jeden młynarz, który miał trzech synów, młyn, osła i kota. Synowie musieli mąkę mieć, osioł zboże przywozić i odwozić mąkę, a kot chwycić myszy, które dziurawiły worki. Młynarz podzielił swój majątek na trzech synów, najstarszy otrzymał w spadku młyn, średni osła, a ten trzeci, najmłodszy, musiał się zadowolić kotem. Po niedługim czasie młynarz umarł. Synowie podzielili się spadkiem zgodnie z wolą ojca.

— Otrzymałem najgorszy spadek — żalił się najmłodszy. — Mój najstarszy brat może mleć zboże na mąkę, drugi wozi osłem zboże, a ja na mojego

grubego kota mogę tylko popatrzeć. Jedyne z niego pożytki, że łapie myszy, które robią dziury w workach z żytem. Gdy go zabiję, to z jego skóry dam sobie uszyć najwyżej dwie pary rękawiczek, to wszystko, żadnej więcej korzyści.

— Posłuchaj — odezwał się nagle kot, który wszystko zrozumiał, co jego nowy właściciel mówił — nie potrzebujesz mnie zabijać, aby zdobyć parę nędznych rękawiczek. Każ zrobić dla mnie parę błyszczących butów, żebym mógł wyjść i pokazać się między ludźmi, wtenczas ci szybko pomogę.

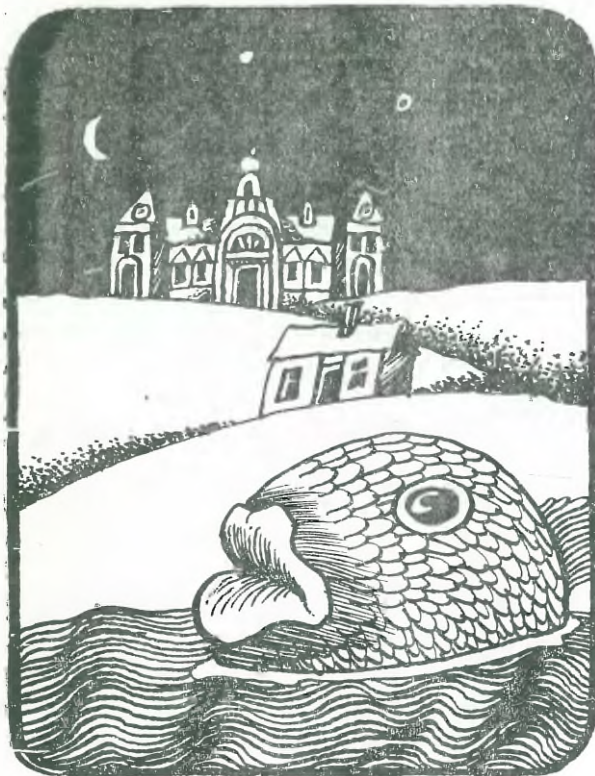
W tej właśnie chwili koło okna przechodził szewc. Najmłodszy syn zaprosił go do mieszkania i zamówił piękną parę butów dla kota. Gdy buty już były gotowe, kot włożył je na nogi, wziął worek, do którego nasypał trochę ziarna, po czym przykleił je do dna pszczelim miodem. Worek u góry ściągnął sznurkiem, do którego przywiązał długi sznur, i poszedł do lasu. Gdy przybył na miejsce, otworzył worek, chwycił koniec sznura i nie opodal ukrył się za drzewem. Po niedługim czasie przybiegło wielkie stado kuropatw.

W tym czasie w kraju rządził król, który jadał tylko kuropatwy, a tych był wielki niedostatek na zamku, choć cały las był ich pełen. Płochliwe ptaki tak się kryły w gęszczu, że żaden myśliwy nie mógł ich złapać. O tym wiedział mądry kot i wpadł na pomysł, żeby sprawę ulepszyć. Bacznie wypatrywał, co dzieje się przy jego worku, naraz zauważył, że jedna kuropatwa za drugą wchodzi do worka i skubią ziarno, aż miło patrzeć. Teraz z całej siły pociągnął za sznurek i kilkanaście kuropatw, które ledwie zdołały skosztować smacznej pszenicy, było już zamkniętych w worku. Kot nieco popuścił sznurka, wsadził rękę do worka i wszystkim kuropatwom ukręcił łby. Zarzucił sobie worek na plecy i udał się wprost do królewskiego zamku. Wartownik w pikethaubie na głowie krzyczał na wystrojonego w buty kota:

— Stój! Dokąd idziesz?

— Do króla — odpowiedział wyraźnie kot.

— Pozwól mu iść — rzekł drugi strażnik, wyglądając z budki wartowniczej. — Królowi często się czas dłuży i siedzi znudzony, może ten strojny kot



potrafi go rozweselić, będzie prządl i mruczał, a to królowi się bardzo podoba.

Gdy kot stanął przed królem, pięknie mu się pokłonił i rzekł:

— Mój pan i hrabia... — tu wymienił bardzo długie i dobrze brzęczące nazwisko — przesyła królowi ukłon, jak również kazał doręczyć królowi kuropatwy, które złapał w lesie.

Król na widok pięknych, dużych i tłustych kuropatw nie posiadał się z radości. Wstał i kazał z komory-skarbca nasypać kotowi do worka tyle złota, ile będzie mógł udźwignąć.

— Zanieś to swemu panu i pozdrów go, i podziękuj wiele razy za tak dobry podarunek.

Najmłodszy syn młynarza, właściciel kota, siedział w domu przy oknie, oparł głowę na rękach i myślał:

— Wydałem resztę majątku na buty dla kota, co on za to będzie mógł mnie przynieść wielkiego?

Wtem ukazał się kot, zrzucił z pleców worek, otworzył i wysypał złoto przed młodym młynarzem.

— Panie, przyniosłem ci to za piękne buty. Król kazał ciebie pozdrowić i podziękować ci za twój podarunek.

Młynarz był bardzo zadowolony, ale nie mógł pojąć, jak ten zwierzak zdobył złoto. Kot, zanim ściągnął buty, opowiedział, jak do tego doszło, po czym rzekł do młodego młynarza.

— Pieniądzy masz dosyć, ale na tym nie pozostaniemy. Jutro znów wciągnę moje buty na nogi. Musisz zostać bogaczem, ani wiatrak najstarszego brata, ani głupi osioł drugiego brata nie dadzą się porównać do twego bogactwa. Królowi powiedziałem, że jesteś hrabią.

Następnego dnia kot, tak jak powiedział, w swych pięknych, wiązanych, długich butach poszedł na polowanie i znów przyniósł królowi większą ilość kuropatw, i tak dzień w dzień. Każdego dnia przynosił swemu panu worek złota. Był tak miłowany przez króla, że mógł wchodzić do zamku o każdej porze i przemierzać wszystkie komnaty, sale, wszędzie miał wolny dostęp, nikt nie mógł mu robić żadnych trudności. Jeździł na spacer z woźnicą.

Pewnego razu właściciel kota wszedł do kuchni królewskiej, aby się ogrzać. Usłyszał wtedy, jak woźnica wykrzykiwał:

— Niechby sobie król z królową wyjechali na wieś. Chciałbym choć raz pójść do gospody i popić sobie czy zagrać w karty. A tu muszę jeszcze z kotem jechać nad brzeg morza.

Najmłodszy syn młynarza nie wiedział, co odpowiedzieć, ale jednak stanął po stronie kota i udał się z nim nad brzeg morza, rozebrał się i wskoczył do wody. Kot wziął odzież swego pana i zaniósł ją w krzaki. Ledwie zdążył ją schować, kiedy przyjechał król. Kot z miejsca zaczął się miłosiernie żalić:

— Wielce łaskawy królu, gdy mój pan kąpał się w morzu, przyszedł złodziej i skradł mu ubranie, które zostawił na brzegu. Teraz pan hrabia nie może wyjść z wody. Obawiam się, że gdy zbyt długo posiedzi w morzu, przeziębii się i umrze.

Król, gdy to usłyszał, rozkazał jednemu ze swych sług przynieść królewską odzież. Hrabia szybko przyodziął się we wspaniałe szaty. Król, który wciąż spodziewał się, że kot nadal dostarczać mu

będzie smacznych kuropatw, wsiadł do powozu i posadził obok hrabiego. Królowna też się nie gniewała, bo hrabia był młody i piękny i bardzo jej się spodobał. Kot natomiast pobiegł naprzód i doszedł do pięknej dużej łąki, gdzie sto ludzi kosiło siano.

— Czyja to łąka? — zapytał kot.

— Wielkiego czarownika — odrzekli mu ludzie.

— Słuchajcie, za chwilę będzie tędy przejeżdżał król, jeżeli się zapyta, czyja to łąka, powiedzcie, że należy do hrabiego. A gdy tego nie powiecie, będziecie wszyscy zabici.

Potem kot pomknął dalej i doszedł do wielkiego łąnu pszenicy, którą kosili żniwiarze.

— Słuchajcie, gdy król będzie tędy przejeżdżał i was się zapyta, do kogo należy to zboże, powiedzcie jednogłośnie, że do hrabiego. W przeciwnym razie będziecie straceni.

W końcu kot dotarł do pięknego lasu, tam trzy tysiące ludzi ścinało olbrzymie dęby.

— Hej, ludzie, czyj jest ten las — zapytał się kot. — Jak będzie przejeżdżał król, powiedzcie, że las jest hrabiego, bo inaczej będziecie straceni.

Kot ruszył dalej, ludzie oglądali się za nim, tak cudacznie wyglądał, istny człowiek w butach obudził w nich lęk.

Wnet przybył do zamku czarownika. Trochę zachmurzony wszedł do zamku i stanął przed czarownikiem, który spojrzał na niego podejrzliwie i zapytał:

— Czego chcesz?

Kot należycie ułożył sobie mowę:

— Słyszałem, że potrafisz zamieniać się w każde zwierzę, w psa, lisa czy wilka. Chcę w to wierzyć, ale w słońca? To wydaje mi się niemożliwe. Dlatego tu przyszedłem, aby samemu się o tym przekonać.

Pyszny czarownik odpowiedział:

— Dla mnie to drobnostka.

Stanął przed kotem jako lew. W tej samej chwili też stał się słońcem. Kot się przestraszył i ryknął:

— To niesłychane i nie do uwierzenia, podobne rzeczy nawet mi się nie śniły, ale jeszcze bardziej

nieprawdopodobne byłoby, gdybyś się zamienił w małą myszkę. Ty na pewno możesz zrobić więcej niż każdy inny czarownik na świecie, ale jednak to będzie dla ciebie zadanie nieosiągalne.

Czarownik był nadzwyczaj miły, gdy usłyszał te słodkie słowa:

— No, kochany kotku — rzekł — to też mogę zrobić.

Wtem skoczył jak mała myszka i zaczął biegać po komnacie. Kot za nim dał susa i zjadł małą myszkę. Tymczasem król z hrabią i królowną jechali trop w trop za kotem i dotarli do owej wielkiej łąki.

— Do kogo ta łąka należy?

— Do pana hrabiego — odpowiedzieli żniwiarze chórem.

— To macie piękny kawał żyznego pola — stwierdził król.

Dojechali do owego łąnu pszenicy.

— Czyje to ziarno?

— Pana hrabiego — była odpowiedź.

— Panie grafie, to wielkie i piękne łąny, jesteście bogaci.

Potem przybyli do lasu.

— Do kogo należy ten las i ci ludzie — król zapytał drwali.

— To wszystko pana hrabiego — padła odpowiedź.

Król zadziwił się jeszcze bardziej i rzekł:

— Musicie być bardzo bogatym człowiekiem?

— Jegomość królu, nie wierzę w to, żebym miał taki piękny las — odparł rzekomy hrabia.

Nareszcie przyjechali do zamku. Gdy zatrzymał się powóz królewski, kot stał na schodach u góry i rzekł:

— Łaskawy królu, przybyliście do zamku mego pana hrabiego, czuje się on wielce zaszczyconym i szczęśliwym z waszego przybycia.

Król wysiadł z powozu. Zadziwił go przepiękny zamek, który był większy i lepszy od królewskiego. Hrabia zaprowadził królowną do sali, która była błyszcząca od złota i diamentów. Królowna zmówiła się z hrabią, a gdy król zmarł, wyszła za mąż za młodego hrabiego, który został królem, a kot w butach pierwszym ministrem królestwa.

Kobieca zachłanność

Było to bardzo dawno temu, kiedy pewien rybak ze swoją małżonką mieszkał w beczce. Pewnego dnia złowił okazałego dorsza, gdy już miał wracać do domu, dorsz nagle przemówił:

— Nie jestem zwyczajną rybą, muszę żyć, potrafię spełnić każde życzenie rybaków, który z nich tylko o coś poprosi.

Rybak czym prędzej wpuścił dorsza do morza, ten wystawił z wody swój duży łeb i zapytał:

— O co prosisz, drogi przyjacielu, który darowałeś mi życie?

— Mieszkam, drechu, z moją białką w beczce, a ponieważ leży ona przewrócona na bok, boję się, że jednego dnia oboje stoczymy się ze skarpy do morza.

— Rozumiem cię, dobrodziej — odrzekł dorsz. — Dla ciebie i twojej białki checz stanie na brzegu skarpy. Wracaj, bo już ją tam znajdziesz.

Rybak nie zwlekając puścił się w stronę skarpy, a gdy dochodził, ujrzał białkę stojącą przed drzwiami checzy i usłyszał, jak wołała:

— To nasza checz! Przed chwilą wyrosła w miejscu, gdzie leżała nasza beczka. Chłopie, ależ będziemy mieszkać, ile przestrzeni. W tej beczce ledwo mieściliśmy się.

Białka wprowadziła rybaka do środka, pobiegła do kuchni i zabrała się do smażenia jajecznicy z jajek od dzikich kaczek. Chłop umył się, podumał, popatrzył przez okno na morze, zjadł smaczne śniadanie i opowiedział białce całą historię, jak to dorsz za uwolnienie go spełnił ich życzenie. Białka wysłuchiwała uważnie i rzekła do chłopca:

— Życzyłeś sobie za mało. Przecież dłużej mieszkać w takiej małej chacie to żadna przyjemność, powinienś być wieszować sobie wspaniałego zamku. Na pewno dorsz, któremu darowałeś życie, spełniłby twoje życzenie. Idź jeszcze raz do morza i powiedz mu, niech sprawi, abyśmy otrzymali wspaniałe umeblowany zamek, otoczony pięknym ogrodem, a w nim piękną fontannę, piękne owoce, cytryny, pomarańcze, morele, czereśnie i wszystkie

smakołyki. Wtedy będziemy mieszkać po ludzku.

— Białko, czy on zechce nam to wszystko sprawić, poprosiłem o checz rybacką i ją mamy. A czy zamek z ogrodem nie będzie ponad nasz rybacki stan.

— Nie bój się, nie bądź tchórzem, idź do morza i powiedz dorszowi, że życzymy sobie mieć wspaniały pałac i wspaniały ogród. W takiej checzy nie chcę mieszkać. Idź, i to prędko.

Rybak po długim namyśle udał się nad zatoczkę, w której spodziewał się spotkać dorsza. Nie miał śmiałości, długo więc mu zeszło, zanim zaczął błagalnie wołać:

— Dorszyku, dorszyku mój kochany, moja białka nie chce mieszkać w checzy, ona chce mieć pałac, a przy nim piękny ogród z pomarańczami, cytrynami, jabłuszkami, wiśniami i z wszystkim, co tylko dobrze smakuje. Co mam z tą kobietą robić, ona cały czas suszy mi o to głowę.

— Idź w spokoju do domu — odrzekł dorsz.

Rybak udał się w powrotną drogę do checzy. Z daleka ujrzał piękny pałac z kolorowymi wieżyczkami i ślicznymi oknami, jarzącymi się od światła. Spostrzegł też, że otacza go precudny ogród, śliczny dziedziniec, a dwa ogromne psy pilnują wejścia do pałacu. Pod piękną stajnią stał zaprząg, wspaniała landara zaprzęgnięta w cztery kare konie, a obok nich woźnica w wysokim cylindrze i pasiastych spodniach.

— Czy ja dam sobie tutaj radę — pomyślał rybak.

Wokół pałacu kręciło się wielu służących, a między nimi brodaty ogrodnik, chłopak stajenny, który trzymał za uzdę pięknego gniadego wierzchowca. Zatrzymał się przy okazałych psach, które patrzyły na niego z wielką ufnością. Ale wtem poczuł, że ktoś go złapał za dłoń, i usłyszał głos swojej białki.

— Gdzie tak długo łazisz? Obiad już podał służący, a izbowa ma nam przygotować śliczną sypialnię.

Wprowadziła męża do pełnej przepychu jadalni, w której stół był zastawiony smakołykami. Kazała chłopu usiąść i rzekła:

— Posilaj się.

Chłop, przemęczony, wyjął z kieszeni róg, nasypany sobie na dłoń dobry niuch tabaki i zażył, wytarł nos ciemną chusteczką. Tymczasem żona jego wróciła z łazienki i napomniała go:

— Idź umyć ręce. Teraz musimy się zachować czysto jak wielcy panowie.

— Żeby tylko tak chciało zostać — westchnął rybak.

— Obmyślę to sobie jeszcze — odpowiedziała białka.

Po kolacji weszli do bogato zaślanych łóżek i wnet zasnęli. O północy kobieta szturchnęła go łokciem w bok i rzekła:

— Chłopie, ja tak nie chcę, musisz zaraz rano iść do morza i wywołać dorsza. Niech sprawi, abyś miał potężne królestwo.

— Ależ, małżonko, zażyczyłem sobie checz, dał nam, mieszkalibyśmy w niej swobodnie, dziś jesteśmy w pałacu i człowiek nie wie, kiedy i jak ma sobie nos wytrzeć i jak się w głowę podrapać. Starczyłaby nam ta checz, teraz czuję się coraz to gorzej.

— Nic się nie wymawiaj, mówię ci, idź do morza i poproś ślicznie dorsza, żeby nam dał wspaniałe i potężne królestwo, przynajmniej dwa pułki gwardii, jeden na twoje rozkazy, a drugi dla mnie, będziemy sobie żyć po wielkopańsku. Nie może dorsz też zapomnieć o wielkim wojsku, które będzie miażdżyć wszystkich wrogów, o potężnej flocie, która zapanuje na wszystkich morzach świata.

— Już wszystko ci powiedziałam, idźże więc i nie zwlekaj.

Rybak szlochając udał się wzdłuż skarpy do owej zatoczki i zaczął płaczącym i śpiewnym głosem wołać:

Dorszyku, dorszyku mój kochany,
jestem ja znów do ciebie przysłany,
moją białkę nowa chętka bierze
chce królestwo wspaniałe potężne
flotę ogromną i wojsko orężne.

— Wracaj, wracaj, mój kochany dobrodzieju, już jest królestwo — odrzekł dorsz.

Zmartwiony rybak udał się do pałacu. Gdy się zbliżał do miejsca, gdzie dawniej stała checz, a póź-

niej pałac, zauważył potężny zamek z okrągłymi i grubymi basztami, otoczony wysokim murem, a w nim liczne bramy, do których prowadziły mosty przerzucone przez fosę i wały obronne. Na blankach wieńczących mury stali puszkarze z lontami w rękach. Stamtąd pociskami mogli razić każdego nieprzyjaciela, który by się tylko zbliżył do zamku. Gdy podchodził do bramy, jego białka zawołała potężnym głosem.

— Jest królestwo, a ja królem!

Na co jej mąż uklonił się nisko. Wówczas zawiodła go na dziedziniec i wskazała mu rotę gwardistów w barwnych mundurach. Potem oprowadziła go po wieżach, murach, blankach, a on podziwiał wspaniałe uzbrojoną armię, która teraz właściwie podlegała jego białce. W czasie kolacji odezwał się:

— Tak, kobieto, musi być, nic lepszego nie możemy sobie życzyć.

Na co białka odrzekła:

— Jeszcze pomyślę nad tym.

Gdy jej chłop zasnął, uderzyła go pięścią w czoło i zawołała:

— Obudź się, mężu królowej! Ja tak nie chcę, musisz iść do morza i poprosić dorsza, aby w zamian za królestwo dał nam potężne cesarstwo.

— Kobieto — rzekł śpiący chłop. — Prosiłem wprawdzie dorsza o checz rybacką, dał ją nam, potem prosiłem go o pałac, otrzymaliśmy. Za mało było dla ciebie, więc jeszcze raz musiałem się poświęcić i prosić go o królestwo, dał je nam, i uprosiłem dla ciebie o tytuł króla.

— Jestem królem! — wrzasnęła baba — daję tobie rozkaz, idź i poproś w moim imieniu.

Rybak wciągnął na nogi długie buty rybackie, wziął kasztor na ramię, kawał chleba do kieszeni, bo nie wiedział, jak długo ta sprawa może potrwać, i nad zatoczką zaczął przeraźliwym głosem śpiewać:

Dorszyku, dorszyku mój kochany
Znów jam do ciebie jest przysłany.
Moją białkę nowa chętka chwyta
Za królestwo chce cesarstwo, i kwita!

Daj jej, proszę, cesarza siłę,
póki nie wtrąci mnie w mogiłę.

Czy jej starczy ta władza aby?
Cóż zadowoli tę moją babę,
Diabło zachłanna z niej niewiasta.
Źle, gdy ktoś głupi w potęgę urasta!

— Na twoją prośbę, dobry rybaku, zamieniam jej królestwo na cesarstwo, idź, bo już się stało.

Rybak udał się do swojej siedziby, gdzie dawniej była beczka, potem checz, wreszcie pałac, a ostatnio królewski zamek. Teraz, gdy się zbliżał, zauważył, że stoi olbrzymi cesarski dwór, otoczony wielkimi zastępami piechoty i gwardii cesarskiej. Kiedy rybak przechodził, gwardziści prezentowali broń, a wojsko strzelało na wiat salwę za salwą. Na końcu szpalery stała jego białka.

— Gdzie tak długo łąziłeś — wrzasnęła kobieta na chłopca.

Mąż rybaczek się kajał:

— Omawiałem z dorszem poruczoną mi przez ciebie sprawę. Oto masz cesarstwo.

— Jestem cesarzowa, a ty mój sługa. Nos masz prawo wetknąć tylko w swoją zabrudzoną chusteczkę. Wszystko inne do mnie należy, musisz być posłuszny na każde moje skiniecie.

Wzięła chłopca na kolację, zjedli to, co mieli, a rybak rzekł:

— Niech tak zostanie, niczego więcej nie żądam.

— Zobaczmy — rzekła cesarzowa, która przywdziała taki strój, że nawet rybak musiał od niej oczy odwracać.

Udali się na spoczynek, łożo cesarzowej stało w jednym końcu sypialni, a rybaka w drugim. Zasympiając rybak posłyszał, jak cesarzowa mruknęła:

— Twoje dni będą policzone, gdy stanę na najwyższym szczyble, a aniołowie będą mnie się kłaniać i śpiewać cudne arie.

— Tego już jej dorsz nie zechce dać — mruknął sobie mąż cesarzowej.

O północy cienką żerdzią szturchnęła go lekko w głowę.

— Co chrapiesz, ty smrodzie, wstawaj i idź do twego dorsza, niech mnie da papieżstwo, chcę być papieżem, bo on ma pieniędzy pełny trzos.

Rybak wprost odmówił, że się wstydzi.

— Daję ci rozkaz — rzekła baba — jestem ce-

sarzem, w przeciwnym razie jutro rano będziesz spalony na stosie.

Rybak wciągnął długie buty, wziął kaszor na ramię, kawał prostego chleba do kieszeni i udał się nad zatoczkę. Zaczął błagać ze łzami, a łzy toczyły mu się po wargach:

Kobietę moją chętką znów bierz
By zostać samym papieżem,
Papieżstwo chciałaby mieć rada
i całą ludzkością władać.

Dorszyku, dorszyku kochany
chce rządzić po śmierci duszami!

— Udać się z powrotem, wszystko to się stanie.

Rybak wrócił. Wszedł do gmachu watykańskiego, który stał na skarpie, w miejscu, gdzie dawniej leżała jego beczka. Żona siedziała na diamentowym tronie, na głowie miała koronę wysadzaną bardzo drogimi i błyszczącymi kamieniami, jakich świat ani przedtem, ani potem nie widział, i pisała swoje życzenia skierowane do wszystkich narodów świata. Groziła przy tym, że jeżeli ich nie spełnią, sprowadzi na ziemię potop, jak Bóg Eja w starożytności. Jej chłop będzie Noem i ona odnowi świat według swej woli.

To już rozgniewało chłopca, rzekł mruklwym głosem:

— Jesteś na szczycie, zawróć czym prędzej i zejdź do beczki.

Pani papież spojrzała groźnie na męża i syknęła przez zęby:

— Za mego papieżstwa pierwszy będziesz w piekle.

— I ty, małżonko, ze mną.

Z miejsca rozkazała go ściąć, ale widziała jeszcze jeden szczybel nad sobą, na którym był Bóg.

Rano rzekła do męża:

— Chłopie, idź do swego dorsza nad zatokę i poproś go, by sprawił, abym zajęła tron boży. Ja muszę rządzić świętymi i prostymi, muszę kierować burzami, wiatrami, wzburzonymi morzami, tajfunami, cyklonami i wszystkimi kataklizmami.

— Kobieto, tego nie mogę się podjąć, przecież dorsza doprowadzę do utraty zmysłów.

— Jestem papieżem, daję ci rozkaz, masz natychmiast iść.

— Przecież to się jeszcze na świecie nie zdarzyło.

Pani papież zwoływała już radę przyboczną, gdy naraz na sali tronowej pokazała się postać wąsatego gbura. Rybakowi przypomniał się książę wojujący z kościołem katolickim i narodem polskim, i z miejsca udał się, gdzie kazała mu jego baba papież. Szedł z płaczem, niebo wkoło się zaczerniło niczym mury piekielne, tylko na samym jego środku nieco błękitniało.

— Tam panuje Bóg — pomyślał sobie rybak.

Gdy spojrział na morze, zauważył, że jest ono czarne. Wody jego cuchnęły. Ledwo nosem pociągnął, usłyszał głos dorsza dochodzący z mętów morskich:

— Wracaj, wracaj, twoja kobieta za wiele żąda, nad światem panuje Bóg.

Kaszuba z wojska starego Fryca

Było to niedaleko od morza, w wielkim majątku Krokowo. Właścicielem jego był hrabia Krokow, największy feudal na Kaszubach. W okresie rozbioru Polski przyjechał stary Fryc i pierwszy zaczął zakładać państwo Prusaków, którego był królem. Wówczas zaczęło się bardzo źle dziać ludności. Stary Fryc, jako człowiek skory do wojen, potrzebował dużo wojska. Złożył mu hołd hrabia Krokow, choć jego przodkowie byli pochodzenia polskiego. Z czasem, chcąc ochronić swoją wielką majątność, oddali się całkowicie Prusakom. Toteż stary Fryc zwrócił się do hrabiego Krokowa, by ten ze swego hrabstwa dostarczył mu rekrutów. Między innymi ze swoich licznych majątków dał też staremu Frycowi młodego człowieka, chłopca jak szkwał, Nartola, na którego wiele narzekał ekonom z Jeldzina. Był złym pracownikiem, nie umiał nawet poklepać kosy. Nie potrafił paść krów, zamiast chronić koniczynę, która była przeznaczona na paszę, puszczał krowy, by się dobrze nażarły, bo taką miał życzliwość dla zwierząt. Toteż graf doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, gdy odda go do wojska.

— Tam go nauczą posłuszeństwa, a jak nie, to do zabicia będzie dobry. — Takiego zdania był graf.

Nartola, ponieważ był prosty jak świeca, został skierowany do pierwszego pułku gwardii królewskiej w Berlinie. Ale i tu Prusacy mieli z nim kłopot. Gdy mu kazali skręcać w lewo, to on szedł w prawo. Nawet nie potrafił naładować karabinu. W końcu kapral pożalił się rotmistrzowi, na co ten wziął nabity pistolet i chciał mu strzelić w ucho. Na szczęście Nartola nie wypalił pistolet rotmistrza. Kaszuba robił się coraz bardziej niecznośny. Walił pięścią po głowie tych, którzy mówili na niego: „ty, głupi Kaszubie”. Uciekł z koszar i szwendał się po lesie. W nocy wychodził z lasu i zapuszczał się do wsi. Jak wilk podczas zimy, kradł kury z kurników albo gęsiarkom zabierał gęsi z pola. A że było już po owsianych żniwach i gęsi były dosyć tłuste, smażył je i gotował na zbudowanym odręcznie palenisku. Gdy jesień nadchodziła, Nartola po trzech miesiącach włóczęgi, podczas której zbił kilka pruskich chłopów, wrócił do koszar. Tam został ujęty i skazany na powieszenie. Nie zwlekając podprowadzono go pod szubienicę i założono mu pętlę, a gdy na niej zawisł, natychmiast zerwał ją i spadł, śmiejąc się, że Prusakom nie udało się sztuka. Był wtedy taki zwyczaj, że jeżeli wisielec zerwał się z szubienicy, darowano mu życie. Zwolniono go więc z kary śmierci, nie było wyjścia. Nartola dalej kradł żywność, jadł i tyle z niego było.

W końcu został zwolniony z wojska. Przyjechał do majątku Krokowo, ale nie przyjęto go do żadnej pracy. Ojciec jego też chciał się go szybko pozbyć z domu, bał się stracić łaskę u grafa. Wtedy wychudzony pruski żołnierz, wyrzucony z wojska, udał się do diabelskiego kamienia. Ledwie przy nim stanął, zjawił się obok niego mały człowieczek. Nartola początkowo był pewien, że to jakiś karzelek, ale w końcu poznał, że to purtk z piekła, skoro ma jedną nogę jak krowie kopyto, a z rozczochranych włosów wyglądają mu bycze rogi.

— Czego szukasz — zapytał mały purtk dużego Kaszuby.

— Jestem głodny i szukam pracy, żeby coś zarobić.



— Jeżeli chcesz, to możesz być moim parobkiem. U mnie zarobisz na życie pełne dostatku. Będziesz mi służył siedem lat, a potem ciebie zwolnię. Ale o jednym pamiętaj, przez cały czas nie będziesz mógł się myć ani czesać, obcinać paznokci ani włosów, żadną wodą oczu obmywać.

Żołnierz na to westchnął w duchu:

— Wesoło, nie ma co gadać, ale jak nie ma czego innego...

Mały purtk wprowadził go wprost do piekła i powiedział mu, co będzie miał do roboty.

— Rano musisz ogień rozruszać pod kotłami, gdzie smaży się piekielne pieczone. Musisz w czystości utrzymać piekło, wynosić odbytek za drzwi, pilnować, żeby nie było tu żadnego bałaganu, a patrzeć, żeby wszędzie panował porządek.

Tak Nartola został przyjęty do pracy.

— Musisz pilnować, żeby ogień nigdy nie wygaś, żeby w kotłach wciąż się gotowało, żeby te istoty ziemskie dobrze cierpiały za krzywdę wyrządzoną innym.

Żołnierz właśnie wynosił odbytek za drzwi, zgodnie z rozkazem, gdy w podziemia piekielne przyszedł szef, by sprawdzić, jak pracuje najemnik purtki. Chciał się przekonać, czy były pruski żołnierz dogląda wszystkiego i czy trzyma porządek. Pod kotłami palił się olbrzymi ogień, w kotłach się gotowało i burczało. Stary diabeł rozejrzał się dokoła i stwierdził, że wszystko było dobrze zrobione, z zadowoleniem więc odszedł.

Żołnierz obejrzał się naokoło i wzięła go chętka zobaczyć, kto w tamtych kotłach pod ścianami się gotuje, ale wiedział, że miał zakaz zaglądania do tych kotłów. Nie mógł jednak się powstrzymać z ciekawości i podniósł przykrywą pierwszego kotła. Zajrzał do środka i zauważył swego byłego unteroficera siedzącego w gotującym się oleju.

— Mam cię, ptaszku — rzekł — trafiłeś tutaj. Tyś był kiedyś moim szefem, ale teraz się zmieniło, mam ciebie.

Szybko zakrył przykrywą, przegarnął ogień i dołożył świeżych szczap. Wtedy udał się do drugiego kotła, tam siedział w kąciuku pruski generał.

— Mam cię, będę ciebie gotował, ani jęki, ani płacze twoje nic nie pomogą.

Zamknął wieko, przyniósł jeszcze kilka szczap, bo zdaniem jego, ten musiał mieć szczególnie ciepło. Teraz był ciekaw, kto w następnym kotle się smaży. Z bijącym sercem podszedł, odkrył pokrywę i zauważył, że tam siedzi przymocowany do dna kotła stary Fryc i wyciąga nos ku górze.

— Mam cię, ptaszku, byłem w twojej armii, to tyś kazał mnie prześladować. Teraz dołożę tyle drzewa, że będziesz się tak gotować, jak tłuszcz z foki na tran. Przypomni ci się krzywdą ludu polskiego, zwłaszcza krzywdą Kaszubów. Jak kiedyś stąd wyleziesz, nie będziesz ich ścinał ani pędził do roboty, ani prześladował. Na razie będę pilnować kotła, żeby ci było bardzo gorąco.

Znów przyszedł stary diabeł sprawdzić, jak się sprawuje były pruski żołnierz, czy wszystko jest w porządku. Był zadowolony, pieczelnicy się gotowali, aż bulgotało w kotłach, odbytek był wyniesiony, tak jak było nakazane. Stary diabeł dodał jeszcze kilka czynności do obowiązków byłego żołnierza i przypomniał mu zalecenie, żeby się nie

mył, nie obcinał paznokci ani włosów. Zobaczył, że spełnia on zalecenia i swoje obowiązki, więc rad odszedł. Pod wszystkimi kotłami paliło się, aż w kominach grzmiało.

Były pruski żołnierz wysłużył siedem lat w piekle. Nie mył się, nie czesał się, nie obcinał paznokci ani włosów, nie obmywał oczu wodą. Te siedem lat zleciało tak szybko, że mu się zdawało, iż służył tylko pół roku. Jak ten czas minął, przyszedł stary diabeł i zapytał go:

— No, chciałbyś stąd wyjść, co dobrego zrobiłeś?

— Doglądałem ognia, żeby się dobrze palił.

— Ale zaglądałeś do kotłów i przynosiłeś więcej drzewa, niż trzeba było, i dokładałeś, aby stary Fryc się jeszcze lepiej gotował.

— On na to sobie zasłużył.

Były żołnierz z zadowoleniem popatrzył na starego diabła i zaczął dalej mówić:

— Nie obcinałem sobie paznokci, nie myłem wodą twarzy i przestrzegałem wszystkich przepisów, a teraz chciałbym odwiedzić mego ojca.

Diabeł mu odpowiedział:

— Musisz otrzymać swój zarobek, idź więc i do swego dużego tobołka wsyp do pełna odbytków. Musisz stąd wyjść nie umyty, nie uczesany, z długimi włosami i brodą, i ze smutnymi oczami. Gdy ciebie ktoś zapyta, skąd idziesz, musisz powiedzieć, że wracasz z piekła. A kto ty jesteś. Na to pytanie odpowiedz im, że jesteś żołnierzem brata króla niemieckiego.

Były żołnierz milczał i robił to, co mu diabeł nakazał. Ze swego zarobku nie był zadowolony. Skoro opuścił piekło, poszedł w las, zdjął z pleców swój tobołek i go opróżnił. Gdy spojrzął na odbytki, zamieniły się one w czyste złoto.

— Tego nie przypuszczałem — rzekł z zadowoleniem i ruszył do miasta.

Przed gospodą stał właściciel, który spostrzegł nadchodzącego żołnierza i przestraszył się, bo wyglądał on okropnie, jak złość i ludzka choroba. Zaczął więc krzyczeć:

— Skąd ty przychodzisz?

— Z samego piekła — rzekł były pruski żołnierz, którego długa broda ciągnęła się po ziemi.

— Kto ty jesteś?

— Byłem żołnierzem brata diabła.

Gospodarz nie chciał go wpuścić do gospody, ale gdy ten pokazał mu złoto, sam podszedł do drzwi. Były pieczelnik kazał sobie przygotować najlepszą izbę, kazał sobie postawić najlepszy obiad i najlepsze napoje, jadł i pił do sytości. Nie umył się, nie uczesał, robił tak, jak kazał mu diabeł. Nareszcie położył się i zasnął. Gospodarzowi stał przed oczami tobołek pełen złota, który nie dawał mu spokoju. W nocy wsunął się do gościa i skradł mu jego węzelek ze złotem. Rano Nartola chciał gospodarzowi zapłacić, ale nie znalazł pieniędzy, zginął jego tobołek. Wziął się w garść i pomyślał:

— Ty jesteś bez winy, boś nieszczęśliwy.

Zawrócił i poszedł z powrotem do piekła. Tam poskarżył się staremu diabłu ze swego niedostatku i poprosił o pomoc. Diabeł rzekł:

— Usiądź sobie, uczeszę twoje włosy, obetnę paznokcie i obmyję oczy.

Gdy były żołnierz był umyty i uczesany, diabeł dał mu pełen worek czystego złota.

— Wracaj teraz i niech ów gospodarz wyda ci twoje złoto, bo inaczej przyjdę do niego i zabiorę go do piekła. Zamiast ciebie będzie doglądać kotłów.

Nartola udał się do gospodarza i rzekł mu:

— Ty skradłeś moje złoto. Gdy mi go nie oddasz, pójdziesz do piekła i będziesz tak wyglądać, jak ja wyglądałem.

Gospodarz zwrócił mu jego złoto i jeszcze raz tyle mu dodał.

— Bądź cicho i nie mów o tym nikomu — błagał gospodarz byłego pieczelnika.

Były pruski żołnierz wybrał się do swego ojca. Kupił sobie lnianą sukmanę, chodził i grał, bo tego nauczył się w piekle u diabłów. Ale był w kraju stary król, przed którym też musiał grać. Jego muzyka tak rozweseliła króla, że przyrzekł pieczelnikowi swoją ładną córkę za małżonkę. Gdy ta usłyszała, że ma prostego dziada w białej sukmanie pojąć za męża, oparła się woli ojca i rzekła:

— Nie chcę mieć takiego męża.

Wówczas król przyrzekł mu swoją młodszą córkę. Ta z miłości do ojca chętnie spełniła jego życzenie.

Tak żołnierz brata diabła dostał uroczą królewską córkę za żonę, a jak król zmarł, dziedziczył po

nim całe potężne królestwo, gdzie żył ze swoją młodziutką żoną szczęśliwie i sprawiedliwie rządził.

Łatwe szczęście

W pewnej wsi było trzech braci, którzy popadali w coraz to większą biedę, w końcu cierpieli taki niedostatek, że nie mieli co jeść ani w co się ubrać. Jednego dnia oświadczyli:

— Tak dalej być nie może, lepiej będzie, jak w poszukiwaniu szczęścia pójdziemy w świat.

Ruszyli w drogę, szli przez pola, łąki, góry i lasy, zrobili już dobry kawał drogi, gdy pewnego dnia w środku lasu natrafili na górę całą ze srebra. Wtedy najstarszy powiedział:

— Teraz znalazłem wymarzone szczęście, większego nie żądam.

Zabrał tyle srebra, ile tylko mógł unieść, i zawrócił do domu. Dwaj pozostali poszli dalej.

— My życzymy sobie czegoś cenniejszego niż srebro — rzekli.

Nawet nie tknęli go i znów powędrowali przez lasy i góry. Szli tak kilkanaście dni, aż dotarli do góry, która była pełna złota. Średni brat stanął i zaczął się namyślać.

— Co tu robić — wahał się. — Mam wziąć tyle złota, żeby mi starczyło na całe życie, czy też iść dalej?

W końcu zdecydował się, napchał pełne kieszenie złota, ile tylko mógł zmieścić, i rzekł do brata:

— Żyj sobie, ja wracam do domu.

Trzeci brat oświadczył:

— Srebro i złoto mnie nie zadowolą, nie wyrzekam się swego szczęścia, może coś lepszego jest mi przeznaczone.

Ruszył w dalszą drogę. Po trzech dniach wędrowki zaszedł do jeszcze większego lasu, była to bezkresna puszcza. W końcu zabrakło mu żywności, nie miał już co jeść ani pić. Był już bliski omdlenia, zdołał jednak wejść na wysokie drzewo, by stamtąd zobaczyć kraniec lasu. Wdrapał się na sam szczyt

sosny i rozglądał się na wszystkie strony, ale jak okiem sięgnąć, widział same czubki drzew. Głód mu dokuczał coraz bardziej, próbował więc znaleźć coś do jedzenia. Raptem pod jakimś drzewem zauważył stół bogato zastawiony. Tym razem powiedział w duchu:

— Czy już nadszedł czas i moje życzenie się spełni? Któż to jedzenie przyniósł, kto je zgotował? Nie namyślając się wiele, zaczął jeść. Kiedy zaspokoił pierwszy głód, pomyślał.

— Szkoda byłoby ten stół zostawić w lesie.

Zebrał resztki, złożył stół i wziął go na plecy. Ruszył dalej w drogę. Wieczorem, gdy głód zaczął mu doskwierać, z powrotem rozstawił stół, nakrył go obrusem i rzekł:

— Życzę sobie, żebyś znów był zastawiony smacznymi potrawami.

Ledwie wyrzekł swe życzenie, już pojawiły się miski z najlepszym jadem, i to tyle, ile tylko zmieściło się na stole.

— Teraz domyślam się, w jakiej kuchni wszystko to jest gotowane. Obrusie, tyś zapewne miłszy, niż góra srebra czy złota.

Obrus był bardzo bogaty. Zapakował go do swego tłumoczek i ruszył w drogę powrotną do domu. Nie uszedł daleko, a tu spotkał uzbrojonego po zęby rycerza, który obrzucił go groźnym spojrzeniem i zapytał:

— Co ty masz do jedzenia w swoim węzélku?

Podróżny odpowiedział:

— Jesteście głodni, na miłość boską, podzielę się z wami.

Wyciągnął z zawiniątka obrus, rozłożył go na ziemi i rzekł:

— Obrusie, nakryj się.

Natychmiast na obrusie znalazły się smażone kaczki, gąski i gołąbki, co tylko dusza zapragnęła. Wszystko było bardzo gorące, jakby przed chwilą przyniesione z kuchni. Wojak zrobił wielkie oczy, nie dał się długo prosić. Zsiadł z konia i podszedł do stołu, na który magicznym sposobem przeniósł się obrus. Rycerz wsuwał coraz to większe porcje, a gdy się najadł, rzekł:

— Słuchaj, twój obrus przydałby mi się w moich wyprawach wojennych. Zamieńmy się, dam ci w za-

mian przytroczony do siodła pęczek rzodkiewek, choć jest on stary i niepozorny, zawiera w sobie cudowną siłę. Gdy człowiek zapuka z jednej strony, wyjdzie z niego sto tysięcy wojska, piechota i konnica, a gdy zapuka z drugiej strony, wyjdzie doborowa orkiestra. Dasz mi swój obrus, to pęczek rzodkiewek będzie twój.

— Skoro inaczej być nie może, zrobimy zamiannę — odrzekł młodzieniec.

Dał rycerzowi obrus, zabrał z siodła pęczek rzodkiewek, pożegnał się i zawrócił. Odszedł już kawał drogi, gdy zapragnął wypróbować, jakąż to siłę posiada ów pęczek. Zapukał, natychmiast stanęło przed nim sto tysięcy wojska, a wódz zapytał:

— Czego sobie życzysz, mój panie?

— Jedźmy szybko za owym rycerzem — rzekł młodzieniec — niech natychmiast odda mój życzeniowy obrus.

Nie zwlekając wojsko w szyku pomaszzerowało do lasu i po niedługim czasie wróciło z obrusem, po czym za zezwoleniem młodzieńca odjechało, a on ruszył dalej. W drodze spotkał drugiego rycerza uzbrojonego po zęby, który żądał od niego, aby mu dał obrus oraz coś do zjedzenia. Po uczcie rzekł:

— W mojej torbie przytroczonej do siodła mam stary kapelusz, posiada on bardzo rzadkie przymioty, gdy go ktoś włoży i pokręci głową, wtedy wychodzą z niego żmije polne. Tyle ich, jakby wylazły przynajmniej z dwunastu kapeluszy. One będą cię bronić, przed nimi nikt się nie ostoï.

— Dobra rzecz — odrzekł młodzieniec, zabrał kapelusz, wsadził go na głowę, a obrus zostawił wojakowi.

Skoro odszedł kawał drogi, znów zapukał w pęczek rzodkiewek. Stała przed nim kupa żołnierzy, którzy przynieśli obrus.

— Tak wygląda, jakby moje szczęście było coraz pełniejsze.

Przecucie go nie oszukało. Po jakimś czasie spotkał trzeciego rycerza, który też prosił tylko o jedzenie. Zatem nakarmił go. Za życzeniowy obrus rycerz ofiarował mu róg, gdy się do niego dmuchnęło, rozpadały się wszystkie mury i okna. Młodzieniec miał teraz pęczek rzodkiewek, cudowny kapelusz i rżek, a także obrus.

— Jestem zamożnym człowiekiem — rzekł do wojaka — teraz jest czas, abym wrócił do domu i zobaczył się z braćmi.

Jak przybył do rodzinnej wsi, dowiedział się, że jego bracia pobudowali piękne domy i byli bogatymi kupcami. On przyszedł do nich w podartym kaftanie i starym kapeluszu, raptem z byle jakim pęczkiem rzodkiewek. Bracia ulitowali się nad jego ubóstwem i podzielili się swym bogactwem, żeby miał z czego żyć.

— Kochani bracia — zawołał — nie jesteście pyszni, nie zlekceważyliście mnie, to ja was zapraszam dzisiaj na ucztę, musimy uczcić nasz powrót.

— Ty chcesz od razu wszystko roztrwonić, cośmy ci dali! — zawołali z oburzeniem.

Na jego nalegania w końcu się zgodzili. Kazał im wtedy usiąść do stołu, rozciągnął obrus i wyrzekł magiczne słowa. W mgnieniu oka na stole znalazły się najrozmaitsze potrawy, pieczenie, gęsi i kaczki, ciastka i różne gatunki win.

— Ha hoj? Ty nie jesteś taki kulawy, jak ty kulejesz — krzyczeli bracia.

Młodzieniec puknął w pęczek rzodkiewek i stała doborowa orkiestra. Grali, aż się rozchodziło po całej okolicy. Puknął z drugiej strony i zjawili się stutysięczne wojsko, które podczas biesiady strzelało na wiwat ze wszystkich strzelb. Salwy usłyszał król w swym zamku, położonym o siedem mil stąd. Zaniepokojony wysłał trębacza, który niebawem wrócił na szybkim koniu i zameldował królowi, że to trzech bracia uczują. Zdziwiony król rozkazał natychmiast zaprzęgać konie. Nie mógł zrozumieć, skąd zwykli żołnierze mogli przybyć z wojskiem.

Bracia przyjęli króla bardzo uroczyście. Zdziwiło go, że miski stale były pełne, a wino wcale się nie kończyło. Tak mu się to spodobało, że za obrus ofiarowywał część swego królestwa i kilka prowincji nad morzem. Ale właściciel obrusa nie zgadzał się. Król na to odrzekł:

— Nie chcesz dać dobrowolnie, to zabiorę siłą.

Ściągnął obrus ze stołu i czym prędzej udał się do swojego powozu. Poleciał woźnicy jechać tak szybko, żeby koniom pryskał ogień spod podkówek. Rozkazał zamknąć wszystkie bramy zamku, zaś gdyby



młodzieniec przyszedł po obrus, dać mu pół kopy biczów. Tak się też stało.

Młodzieniec, kiedy wracał z posiniaczonymi plecami, rozzłoszczony zapukał w pęczek rzodkiewek, po czym stutysięcznym wojskiem otoczył zamek królewski. Z miejsca rozprawił się z oddziałem muszkieterów.

Król następnego dnia wysłał przeciw niemu kilka dywizji. Młodzieniec włożył swój zaczarowany kapelusz i pokręcił kilka razy głową, wtedy ciężkie działa zaczęły grać i królewscy ludzie zostali pobici.

— Nie zawrę pokoju, póki król nie odda mi swej córki za żonę, teraz ja będę rządził jego królestwem.

— To twardy orzech do zgryzienia — rzekł król do córki. — Skoro chcę mieć spokój, muszę ciebie jemu oddać.

Odbył się wesele, młodzieniec miał już nie tylko swój obrus, ale i królewską córkę, która nie mogła się z tym pogodzić, że jej mąż jest zwykłym prostakiem, w pokrzywionym kapeluszu i ze starym

pęczkiem rzodkiewek, wiszącym u jego boku. Dzień i noc przemyśliwała, jak się jego pozbyć. Udając wielką miłość, jednego dnia rzekła:

— Odrzuć ten szpetny pęczek rzodkiewek, tylko muszę się za ciebie wstydzić.

— Moje dziecko — odpowiedział z czułością — ta rzodkiewka ma ogromną moc, póki ją mam, nic mi nie grozi.

Wyjawił żonie, jakie posiada talizmany, które chronią go przed przeciwnościami losu. Wtedy ona rzuciła się mu na szyję, a udając, że go całuje, zabrała mu rzodkiewki i uciekła. W samotności zapukała w pęczek, po czym rozkazała rycerzom, aby skuli jej pana w kajdany i wyprowadzili z królewskiego pałacu. Potem wysłała ludzi, aby wypędzili go z kraju. Pozbawiony rzodkiewek, czuł się zgubiony. Ale skoro znalazł się na wolności, pomachał kapeluszem i od razu pojawiły się ciężkie działa, które zaczęły okropnie grzmieć. Królewska córka zmuszona była prosić o łaskę. Odtąd okazywała mu dużo czułości, w końcu tak go omamiła, że zwierzył się jej, jaką moc posiada jego kapelusz. Wykorzystała to królewska córka, i kiedy mąż zasnął, wyrzuciła kapelusz na drogę.

Pozostał mu jeszcze różek. W wielkiej złości dmuchnął z całej siły i wtedy rozsypały się wszystkie zabudowania forteczne, zamek rozpadł się w gruzy, pod którym zginął król i jego córka. Teraz nikt mu nie zagrażał, osiadł na królewskim tronie i panował nad całym krajem.

Złoty ptak

Przed wielu laty żył pewien król, który posiadał piękny ogród, w którym wesoło świergotało ptactwo. W ogrodzie tym rosło jedno drzewo, które miało złote owoce. Gdy zaczynały one dojrzewać, król kazał je wszystkie policzyć. Tymczasem nazajutrz rano brakowało jednego jabłka. Kiedy powiadomiono o tym króla, rozkazał on, aby całą noc stała pod jabłonią straż.

Król miał trzech synów, przed zapadnięciem nocy





wysłał do ogrodu najstarszego z nich. Ale jak to się zawsze dzieje, w środku nocy królewicza zmógł sen. Gdy obudził się o poranku, znów brakowało jednego jabłka. Następnej nocy średni syn musiał pod drzewem trzymać straż, ale i jemu nie udało się opanować senności. Gdy zegar wybił dwunastą, pogrążył się we śnie, a kiedy o świcie otworzył oczy, spostrzegł, że znów brakuje jednego złotego jabłuszka. Teraz nadeszła kolej na trzeciego syna. Był już gotowy stanąć na straży, ale król zawahał się. Nie bardzo mu wierzył, uważając, że na niego jeszcze mniej może liczyć niż na jego braci. W końcu jednak zgodził się i powierzył pieczę nad jabłkami trzeciemu synowi.

Młodzieniec położył się pod drzewem i pilnował owoców, walcząc ze snem. Gdy zegar wybił dwunastą, posłyszał, że coś warczy w powietrzu. Najmłodszy królewicz wyteżył wzrok i w świetle księżyca spostrzegł, że coś fruwa mu nad głową. Zauważył błyszczącego ptaka, zdawało mu się, że jest z czystego złota. W pewnej chwili złoty ptak obniżył swój lot, zatoczył łuk nad jabłonią i uszczypnął jedno jabłko. Królewicz błyskawicznie wymierzył z łuku, ptak odleciał, ale strzała trafiła jego skrzydło, a jedno złote pióro upadło. Młodzieniec podniósł je, a o poranku zaniósł królowi i opowiedział, co się zdarzyło w nocy. Król zwołał swoją radę i każdy z radców oświadczył, że jedno pióro, jakie przyniósł ów młodzieniec, jest więcej warte niż całe wielkie królestwo.

— Cieszy mnie to, że pióro ma tak olbrzymią wartość — rzekł król — ale ono mnie nie zadowala, ja chcę i muszę mieć całego ptaka.

Słyszając to najstarszy syn wybrał się w drogę, ufając swej mądrości podjął się odnaleźć złotego ptaka. Przeszedł już kawałek drogi, gdy na skraju lasu zauważył lisa — chwycił swoją fuzję i wziął go na oko, a lis zaczął krzyczeć:

— Nie strzelaj, ja ci za to dam dobrą radę. Jesteś na dobrej drodze, aby znaleźć złotego ptaka. Dzisiaj wieczorem wejdiesz do pewnej wsi, stoją tam dwie gospody, jedna naprzeciw drugiej. Jedna jest jasno oświetlona, a w niej wesółą zabawą, tam nie wchodzi, druga zaś, choć wyda ci się nędzna, przyniesie ci szczęście, do niej wejdiesz.

— Jak taki parszywy lis może mi udzielać rady — pomyślał sobie królewski syn i ruszył w swoją drogę.

Młody książę zauważył tylko, że lis był bez ogona i że chyłkiem wbiegł do lasu. Wieczorem najstarszy syn doszedł do wsi, gdzie stały owe gospody. W jednej grała orkiestra bigbitowa, a strojny lud czynił wygibasy przy dźwiękach pięknego tanga. Królewicz w kącie wyjął lusterko, uczesał się, splunął w ręce, uklonił się dziewczynce i poszedł z nią za tańczyć. Całkowicie zapomniał o ptaku.

Minął spory kawał czasu, a najstarszy syn nie wracał do domu, wtedy drugi wybrał się w podróż, aby odszukać złotego ptaka. Tak jak starszego, tak i młodszego spotkał lis i dał mu dobrą radę. Królewicz udał się do wsi, a gdy doszedł do miejsca, gdzie stały dwie gospody, w oknie jednej z nich ujrzał brata i zawołał go, starając się przekrzyczeć wesołe głosy. Jednak nie mógł się oprzeć i wszedł do środka, by się zabawić. Minęło znów trochę czasu, kiedy najmłodszy królewicz zaczął przygotowywać się do drogi, ale ojciec nie chciał go puścić.

— Nie zgadzam się — rzekł król — z was trzech ty masz najmniej sprytu, gdzie ci do znalezienia złotego ptaka. To przerasta twoje możliwości, w razie nieszczęścia nie potrafisz sobie dać rady.

Król jednak nie mógł wyzwolić się z żądzy posiadania złotego ptaka. Nie miał innego wyjścia i musiał zezwolić najmłodszemu synowi, aby udał się na poszukiwanie. Gdy królewicz ruszył w drogę, znów pod lasem siedział ów wesóły lisek, który i tym razem poprosił o darowanie mu życia i przekazał dobrą radę. Młodzieniec odrzekł:

— Bądź spokojny, lisku, nie sprawię ci żadnego cierpienia.

— Nie przejmuj się niczym — powiedział lis. — Trzeba, abyś szybko stąd odszedł, pomocny ci będzie w tym mój ogon.

Królewicz usiadł na ogon lisa, który zaraz puścił się w drogę, leciał, mknął przez górki i pagórki tak szybko, że jego włosy gwizdały na wietrze. Jak dobiegł do wioski, gdzie były owe dwie gospody, młodzieniec w dalszą drogę ruszył sam i, kierując się dobrą radą lisa, wcale się nie obejrzał. Wszedł do nędznej gospody, gdzie spokojnie przenocował.

A na drugi dzień, gdy o świcie wyszedł na pole, siedział tam już lis, który mu nakazał:

— Idź zawsze wprost, naprzód. W końcu dojdiesz do zamku, którego pilnuje cała gromada żołnierzy, ale nie troszcz się o to, bo wszyscy będą spać i chrapać. Przejdź obok nich i udaj się wprost do zamku. Wtedy miniesz wszystkie izby, a w końcu znajdziesz się w komorze, gdzie siedzi złoty ptak na drewnianym kredensie, stojącym obok złotego kredensu.

Lis jednak nie kazał mu zabrać cudownego ptaka, lecz po tych słowach wyciągnął swój puszysty ogon, na którym usiadł syn królewski. Wówczas lis znów puścił się biegiem przez góry i doliny, a jego sierść na wietrze tylko gwizdała. Gdy dotarli do zamku, królewicz zastał wszystko tak, jak powiedział mu lis. Gdy w komorze znalazł złotego ptaka, pomyślał sobie:

— To śmieszne, żeby ten złoty ptak tam siedział.

Złapał go i wsadził do złotego kredensu. Ptak przeraźliwie krzyknął, wszyscy żołnierze się obudzili, wpadli do zamku i wsadzili królewicza do więzienia. Na drugi dzień rano został on postawiony pod sąd i otrzymał wyrok śmierci. Król jednak oświadczył, że go ułaskawi, o ile przyprowadzi mu złotego konia, który ściga się z wiatrami. Oprócz tego w nagrodę da mu złotego ptaka. Królewicz ruszył w drogę i zaczął płakać, szedł z ciężkim sercem, bardzo smutny, bo gdzież mógłby znaleźć złotego konia. Lecz od razu zjawił się jego przyjaciel lis, który usiadł na drodze.

— Widzisz — rzekł lis — spotkało cię takie nieszczęście, bo mnie nie słuchałeś. Jednak bądź dobrej myśli, chcę ci nadal służyć i wskażę ci drogę do złotego konia. Musisz iść prosto naprzód, wtedy dojdiesz do pewnego zamku, gdzie w stajni stoi ów koń. Przed stajnią będą leżeć chłopcy stajenni, ale oni, tak samo jak straż zamkowa, będą spać i chrapać. Możesz wtedy spokojnie wyprowadzić złotego konia, ale o jednym musisz pamiętać, wrzucisz na niego siodło zrobione z drzewa i ze skóry, broń boże złote, które wisi koło śpiących, bo wówczas nie uda ci się wyprawa.

Lis wyciągnął swoją kity, a kiedy syn królewski wsiadł na nią, pognął przez góry, doliny, aż jego

włosy na wietrze gwizdały. Królewicz zastał wszystko tak, jak lis zapowiedział. Wszedł do stajni, gdzie stał złoty koń, i chciał mu założyć poharatane siodło, ale w ostatniej chwili pomyślał, że to nie będzie w graj złotemu koniowi.

— Takie piękne zwierzę będzie się wstydzić, włożę mu złote siodło.

Ale skoro tylko dotknął wspaniałego siodła, koń głośno zarżał, a chłopcy stajenni zerwali się na równe nogi, złapali królewicza i wtrącili go do więzienia. Rano został skazany na śmierć. Król go jednak ułaskawił, ale królewicz musiał mu przyrzec, że wyprowadzi jego uroczą córkę z potężnego zamku. Ciężko strapiiony królewicz wybrał się w drogę. Na swoje szczęście odnalazł wiernego lisa.

— Chciałem już ciebie zostawić z twoim nieszczęściem — rzekł lis — ale mam dla ciebie uczucie litości i chcę ci jeszcze raz pomóc w niedoli. Twoja droga prowadzi wprost do złotego zamku, gdzie znajduje się przepiękna królewna. Wieczorem tam będziesz, a w nocy, gdy zapadnie głęboka cisza i spokój, królewska córka pójdzie się wykąpać. Gdy ona wejdzie do pokoju kąpielowego, wskocz tam i daj jej słodkiego całusa, wtedy ona pójdzie za tobą i będziesz mógł ją bez trudu uprowadzić. Tylko nie dopuść do tego, żeby ona się pożegnała ze swoimi rodzicami, bo wtedy nie powiesz ci się.

Lis wyciągnął swoją kity, a królewicz wsiadł na nią, tak pędzili przez góry, doliny, że aż gwizdało.

Królewicz, gdy przyszedł do złotego zamku, znalazł wszystko tak, jak lis zapowiedział. Cekał aż do północy, a gdy zamek pogrążył się w głębokim śnie, a piękna dziewczyna poszła do kąpielowego pokoju, wtedy on wpadł do niej i dał jej całusa. Na to ona rzekła:

— Chętnie pójde z tobą — i zaczęła prosić go serdecznie i ze łzami w oczach, aby zezwolił jej przedtem pożegnać rodziców.

Królewicz jednak stanowczo przeciwstawił się temu. Ona zaś coraz to głośniej płakała i rzuciła się mu do nóg, wtedy zmiękł. Skoro dziewczyna podeszła do łóżka swego ojca, on się obudził, a razem z nim wszyscy, którzy znajdowali się w zamku. Młodzieniec został schwytany i wrzucony do więzienia. Następnego poranku rzekł król do młodzieńca:

— Twoje życie wisi na włosku, teraz tylko ty sam możesz prosić dla siebie o łaskę. Powiadam ci, jeżeli w ciągu ośmiu dni przewrócisz górę, która stoi przed moim oknem i zasłania mi piękny widok, wtedy dam ci moją córkę w nagrodę.

Królewicz chwycił silną łopatę i odrzucał ziemię, aż huczało. Ale gdy po siedmiu dniach zobaczył, jak mało wykopał, wpadł w wielką rozpacz i stracił wszelką nadzieję, że zdobędzie piękną królewnę. Siódmego dnia wieczorem królewiczowi ukazał się lis i rzekł:

— Nie jesteś godzien tego, abym się do ciebie przyznawał, ale idź i połóż się spać, zrobisz za siebie tę robotę.

Następnego poranku, jak królewicz się obudził i spojrzał przez okno, góra już znikła. Młodzieniec pobiegł do króla i doniósł mu, że życzenie jego się spełniło. Wówczas król chcąc nie chcąc musiał młodzieńcowi oddać swoją córkę. Teraz szczęśliwi jak gwiazdy na niebie, odeszli razem, ale nie trwało to długo, gdyż zastąpił im drogę wierny lis i rzekł:

— To najlepsze już masz. Ale dziewczycy ze złotego zamku należy się złoty koń.

— Jak mam go dostać? — zapytał młodzieniec.

— To chcę ci powiedzieć — oznajmił lis. — Najpierw udaj się do króla, który ciebie posłał do złotego zamku, i odprowadź piękną dziewczycę. Tam nastąpi ogromna radość i w zamian chętnie ci dadzą złotego konia. Natychmiast wsiądź na niego i na pożegnanie podaj wszystkim rękę, zaś na ostatku swojej przepięknej panience. A gdy uchwycisz ją, niezwłocznie wciągnij ją zwinnym ruchem na konia i pędź przed siebie. Nikt nie będzie w stanie ciebie doścignąć, bo ten koń gna prędzej niż wiatr.

Królewicz wszystko pięknie i składnie wykonał, a gdy wciągnął królewnę na konia, lis, który nie został w tyle, rzekł do młodzieńca:

— Teraz chcę ci pomóc w zdobyciu złotego ptaka. Gdy już będziesz blisko zamku, w którym znajduje się ptak, pozwól dziewczycy zsiąść z konia. Będę na nią uważał i strzegł jej, a ty na złotym koniu wjedziesz na dziedziniec zamkowy. Natychmiast zapanuje tam ogromna radość i wydadzą ci złotego ptaka, a gdy będziesz mieć go w ręku, to pędź do nas z powrotem, aby zabrać piękną księżniczkę.

Królewicz wszystko zgodnie z poleceniem lisa spełnił i chciał ze swoimi skarbami wsiąść na konia, wtedy lis rzekł:

— Teraz musisz mnie zapłacić za moje trudy.

— A czego żądasz? — zapytał młodzieniec.

— Zastrzel mnie, potem utnij mi głowę i łapy.

— To by dopiero była nagroda — zdziwił się królewski syn.

— Z trudem walczę z moim nieszczęściem — rzekł lis. — Ale skoro nie chcesz tego zrobić, muszę ciebie zostawić. Zanim jednak odejdę, chcę ci dać piękną radę. Nie siadaj nigdy na skraju studni — i z tym uciekł w las.

Wtedy młodzieniec pomyślał sobie:

— To jest cudowne zwierzę, które ma bardzo dziwny sposób bycia. Kto może mieć ochotę usiąść na skraju studni, mnie to się jeszcze nigdy nie przytrafiło.

Jechał z piękną dziewczicą dalej, a droga prowadziła przez wieś, gdzie zostali jego dwaj bracia. Panowało tam wielkie zamieszanie i hałas. Gdy zapytał, o co chodzi, dowiedział się, że dwóch ludzi ma być powieszonych. Zbliżył się do nich i poznał, że są to jego dwaj bracia. Mieli oni na sumieniu rozmaite złośliwe sprawki i za to zostali skazani na śmierć. Królewicz zapytał wówczas sędziów, za jaką cenę ci dwaj mogą być uwolnieni.

— Czy chcecie ich wykupić? — zapytali się sędziowie. — Dlaczegóż to jesteście gotowi wydać pieniądze na tych złych ludzi?

Królewicz nic nie odpowiedział, lecz nie namyślając się wyliczył im pieniądze, aby swych braci uwolnić. Teraz jechali razem w ojcowskie strony. W pewnej chwili weszli w las, w którym po raz pierwszy ukazał się im lis. A że w głębi lasu znaleźli schronienie przed upalnym słońcem, było miło i chłodno, dwaj bracia rzekli:

— Pozwól nam odpocząć na skraju tej studni, coś zjeść i wypić.

Szczęśliwy brat od razu się zgodził, lecz w miłej rozmowie zapomniał się i usiadł na skraju cembrowiny. Wówczas dwaj bracia wpełnęli go do studni, porwali dziewczycę, złotego konia i ptaka i pośpieszyli do domu swego ojca.

— Nic nie przywieźliśmy — oznajmili królowi —

tylko złotego konia, złotego ptaka i tę śliczną królewne.

Najmłodszy brat jednak nie utonął, bo studnia była sucha, upadł więc na miękki mech. W tym nawet nieszczęściu nie opuścił go wierny lis, który wskoczył do studni i rzekł mu:

— Zapomniałeś o mojej radzie. Ale mimo to nie zostawię ciebie tutaj, chcę ci pomóc. Wydostanę cię na światło dzienne, tylko chwyć się mojego ogona i mocno się trzymaj — i wyciągnął go ze studni, po czym dodał — jeszcze nie wyszedłeś ze wszystkich niebezpieczeństw, twoi bracia nie są pewni twojej śmierci i dlatego cały las obstawili strażakami, którzy mają ciebie zabić, gdy tylko się pokażesz.

Królewicz spotkał na drodze starego i obdartego człowieka i zamienił się z nim odzieżą. W przebraniu dostał się na królewski dziedziniec. Wtedy złoty ptak zaczął wesoło gwizdać, koń rzeć, a piękna królowna, która zalewała się łzami, przestała płakać.

— Co to wszystko znaczy — zdziwiony król zapytał pięknej dziewczycy.

— Wydaje mi się, że mój prawdziwy narzeczony zjawił się w zamku.

Pomimo grózb braci jej narzeczonego, którzy zapowiedzieli, że zgładzą ją, gdy ich zdradzi, opowiedziała królowi, co dotychczas zaszło.

Król zebrał wszystkich ludzi, którzy byli w zamku. Sprowadził też młodzieńca przebranego w łachmany. Ale królowna od razu go rozpoznała i rzuciła mu się na szyję. Niewierni bracia zostali uwięzieni i osądzeni. Młodzieniec wziął ślub z piękną dziewczicą i odziedziczył królestwo.

Długo potem młody król udał się do lasu, gdzie spotkał wiernego lisa, który mu rzekł:

— Ty masz wszystko, co tylko sobie życzyłeś, ale mojemu nieszczęściu nie ma końca. Jednak jest to w twojej mocy, byś mnie wyzwolił.

I znów prosił lisa, żeby go zastrzelił, a potem obciął mu łeb i łapy. Młodzieniec zadośćuczynił jego prośbie, a wtedy lis zamienił się w człowieka. Nie był to nikt inny, jak tylko brat pięknej królowny, którego młody król wybawił z mocy czarownika. Teraz już niczego nie brakowało młodej parze królewskiej w ich szczęściu i radości.

Biedny rybak i jego urocza córka

Żył sobie kiedyś rybak, który mieszkał nad morzem i był bardzo biedny. Miał chęć z dwiema izbami i kuchnią. Zdarzyło się raz, że nad morze przyjechał król i zamierzał gdzieś się zatrzymać, ale w czasie lata, jak zwykle, trudno było w tych stronach o mieszkanie. Ktoś skierował króla do owego rybaka.

Król wdał się z nim w rozmowę. Był jeszcze młody, więc rybak, żeby mu się przypodobać i mieć u niego jaki taki szacunek, zwierzył się królowi, że ma młodą śliczną córkę, która potrafi uprząć siano na złoto. Król zagadnął rybaka:

— Jeżeli to prawda, że masz taką córkę i że ona potrafi uprząć siano na złoto, chciałbym ją zobaczyć. Przecież to nie byle jaka sztuka. Bardzo mi się to podoba. Sprowadź ją do mego zamku, tam ją wystawię na próbę, zobaczymy, czy rzeczywiście taka umiejętna.

Ojciec zawiódł dziewczynę do króla, który zamknął ją w izbie pełnej siana. Dał jej kołowrót i rzekł:

— Teraz weź się do roboty. Jeżeli przez całą noc, do jutra rana nie zdołasz uprząć tego siana na złoto, będziesz musiała umrzeć.

Kiedy została sama w izbie, zaczęła drzeć ze strachu i rozpaczy, nie widziała bowiem żadnego ratunku dla siebie. Biedna córka rybaka nic nie zrozumiała z tego, co jej król powiedział. Myślała tylko, jak można siano uprząć na złoto. Ogarniał ją coraz to większy lęk, w końcu zaczęła płakać. W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły. Była pewna, że król idzie z mieczem i zaraz zetnie jej głowę.

— Dobry wieczór, kochana rybaczko — usłyszała miły głos.

W drzwiach ukazał się mały mężczyzna, pięknie ubrany, z podkreśnionym wąsem, i zapytał się:

— Czemu ty tak głośno szlochasz?

— Płacę — odpowiedziała rybaczka — bo mam uprząć to siano na złoto, a ja tego nie potrafię.

— A co mi dasz, gdy zrobię to za ciebie?

— Mój naszyjnik, kochany młodzieńcze — rzekła dziewczyna.

Mały człowieczek wziął naszyjnik, usiadł przy kołowrocie, rozruszył tę starą maszynę i zaczął prząść. Na motowidło zaczęły zwijać się jakieś dziwne nitki. Kołowrotek wciąż warczał i jedno motowidło za drugim pełne było pięknych pasemek. On sam nie wiedział, skąd się one brały. Rano wszystko siano było sprzedane na czyste złoto. Gdy wschodziło słońce, sam król zjawił się w drzwiach. Zobaczył motowidła pełne złota i bardzo się ucieszył. Ale jego chciwość nie została zaspokojona. Następnego wieczoru wprowadził córkę rybaka do innej komnaty, która była o wiele większa od poprzedniej i też pełna siana. Nakazał jej, żeby do rana wszystko uprzedła, o ile życie jej miłe.

Dziewczynka popadła w straszną rozpacz i tylko płakała. Wtedy znowu drzwi się otworzyły i wszedł ów mały mężczyzna.

— Co mi dasz, gdy ja ci i to siano sprzedę na złoto?

— Dam ci, człowieczku, mój pierścień z palca.

Chłopaczek wziął pierścień i zabrał się do roboty. Do rana całe siano uprzął na złote nici. Król bardzo się uradował, gdy zobaczył taką masę złotych nici, ale i tym razem jego żądza złota nie była zaspokojona. Wziął córkę rybaka i zaprowadził do jeszcze większego pokoju, pełnego siana.

— Jeżeli zdzierzysz i tę pracę, będziesz moją małżonką — rzekł król. — Jesteś wprawdzie córką rybaka, ale można cię uważać za bardzo bogatą pannę. Taka druga nie znajdzie się na tym świecie.

Skoro dziewczyna już pozostała sama, po raz trzeci przyszedł do niej ów chłopaczek i znów rzekł:

— Co ty mi dasz, gdy to siano znowu na złoto sprzedę.

— Nie mam już nic ci do dania — odpowiedziała dziewczyna.

— To przyrzeknij mi, że gdy zostaniesz królową, twoje pierwsze dziecko będzie należało do mnie.

Dziewczyna nie miała odwagi przyrzec, cóż bowiem mogła wiedzieć, jak jej się losy potoczą, ale pod jego naciskiem obiecała chłopcu spełnić jego żądanie.

On uprzął jeszcze raz siano na złoto, była tego pełna izba. Rankiem pojawił się król i gdy ujrzał, że dziewczyna zgodnie z jego życzeniem wykonała

pracę, urządził wesele i córka rybaka została królową. Po roku porodziła piękne dziecko, wtedy chłopaczek zjawił się w sypialni królowej i rzekł:

— Teraz daj mi to, coś przyrzekła.

Królowa się zlekła. Gotowa była dać chłopakowi całe królestwo, aby tylko zostawił jej dziecko, ale ten odpowiedział.

— Ponad wszystkie skarby świata cenię wyżej żywe stworzenie.

Wtedy królowa zaczęła tak płakać, że chłopaczek zlitował się nad nią.

— Daję ci trzy dni czasu. Jeżeli w tym okresie dowiesz się, jak mi na imię, będziesz mogła zatrzymać dziecko.

Królowa całą noc rozmyślała nad tym, jakież to imiona słyszała w całym kraju. Rozkazała posłańcowi przemierzyć kraj wzdłuż i wszerz, aby się dowiedział, jakie są jeszcze imiona. Przy pierwszej rozmowie z chłopaczkiem zaczęła od imion Kasper, Melchior i Baltazar, powiedziała je wszystkie po kolei, ale za każdym razem chłopczyk mówił:

— Tak się nie nazywam.

Następnego dnia poleciła służbie zapytać w sąsiedztwie, jak się nazywają ci ludzie.

Tego dnia powiedziała chłopczkowi najrzadsze i najprostsze imiona.

— Może ty się nazywasz Krzywydrag.

Ale usłyszała odpowiedź:

— Tak się nie nazywam.

Trzeciego dnia wrócił poseł i rzekł:

— Nowych imion nie znalazłem. Gdy przechodziłem przez wielką górę, gdzie lis i wilk mówią sobie dobranoc, widziałem mały domek, przed którym paliło się ognisko, a naokoło ognia skakał chłopak i krzyczał:

— Dzisiaj skaczę, jutro przyniosę królowej dziecko. Jak to dobrze, że nikt nie wie, że się zwę Krzywystół.

Królowa nie posiadała się z radości, gdy usłyszała to imię.

Gdy chłopaczek spytał się:

— No, łaskawa królowo, jak ja się nazywam?

— Czy ty się nazywasz Krótki albo Długi — zapytała się na niby.

— Nie — odrzekł.



— Może nazywasz się Krzywystół.

— To ci powiedział diabeł — krzychał chłopczyk i ze złości z taką siłą stuknął prawą nogą w ziemię, że wpadł aż do pasa.

Teraz złapał drugą swą nogę i rozerwał się na połowę. Królowa szczęśliwie panowała z królem, wychowali swoje piękne dziecko w sprawiedliwości i uczciwości.

Rybacka córka

W starych czasach, gdy każde życzenie spełniał dobry duszek, na Wybrzeżu Rozewskim żył stary rybak, który miał pięć córek. Wszystkie były bardzo ładne, tak śliczne, że słońce, które szmat świata obwędrowało, takich nie widziało. Najładniejsza była najmłodsza, istne śliczniątko.

Blisko checzy rybaka rozciągał się długi las,

w którym pod olbrzymią lipą znajdowała się głęboka i szeroka studnia zbudowana z kamieni. Jak trafił się ładny i ciepły dzień, owe śliczniątko siadało sobie na kamiennej cembrowinie i wpatrywało się w jej głębie. Gdy znudziło się jej wypatrywanie lustra wody, spacerowała pod bukami, upajała się miłym powietrzem i rzucała sobie w górę piłkę, która była jej najmiłszą zabawką. Pewnego razu tak się zdarzyło, że piłka wypadła dziewczynce z rąk i potoczyła się w głąb studni. Córka rybaka śledziła ją oczami, zajrzała do cembrowiny, lecz piłka zniknęła jej z oczu. Studnia była bardzo głęboka, i to tak głęboka, że nikt nie widział jej dna. Dziewczyna teraz chodziła wśród potężnych, starych drzew, szlochała i rozpaczała. Ktoś do niej odezwał się zza pnia drzewa.

— Co ci się stało, ślicznotko?

Dziewczyna, której było na imię Zdzisława, obejrzała się z zaciekawieniem, skąd dochodzi miły głos. Pochyliła się nad studnią i zauważyła w niej zieloną żabkę, a gdy się odwróciła, stał za nią śliczny młodzieniec. Dziewczyna miała osiemnaście lat, była bardzo rosła, ów młodzieniec spojrzał na nią i rzekł:

— Wołasz tak żałośnie, żeby ulitowała się nad tobą żabka.

— Patrzę w głąb studni, bo wpadła mi do niej piłka — odpowiedziała.

Śliczny młodzieniec znikł jej z oczu.

— Cicho bądź i nie płacz — rzekła do niej żaba z głębi studni. — Mogę ci służyć radą, ale co w zamian dostanę.

Dziewczynka poznała, że żabka mówiła głosem młodzieńca, który przed chwilą ją zagadnął.

— Odszukam twoją ulubioną zabawkę, moja kochana dziewczynko.

— Co ty byś chciała za to, moja milutka żabko. Wszystko, co posiadam, nie jest tyle warte, co ta piłka.

— Złotej piłki, ślicznotko, nie chcę — odpowiedziała żabka. — Jeżeli się zgodzisz, abym była twoim towarzyszem zabaw, abym wspólnie z tobą siadała przy twoim stole, razem z tobą jadła z jednego talerza, to w nagrodę wyciągnę ci twoją złotą piłkę.

Żabka zniknęła i po chwiliniosła złotą piłkę w łapkach. Wypełzła razem z nią na murek, doszła do

ślicznotki, położyła przy niej okrągłą złotą piłkę.

Dziewczynka pogłaskała żabkę i rzekła:

— Moje kochane serduszko.

Żabka jednak nie zadowolila się takimi wyrazami wdzięczności, przybliżyła się do córki rybaka i przytknęła do jej twarzy pyszczek, jakby chciała ją ucałować. Nagle, aż wierzyć w to nie chciała, żabka zamieniła się w przepięknego młodzieńca. Ślicznotka zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować po oczach, po twarzy, a on też ją objął i rzekł miękkiem głosem.

— Biedronko, ty będziesz moją — uchwycił jej dłoń i sprowadził ją z murku.

Dziewczynka podniosła swoją piłkę i drobnym kroczkiem podreptała do lasu za ślicznym młodzieńcem.

— Byłem zaklęty, utopiłem niewinnego młodzieńca w tej studni. Jego matka zaklęła mnie i przemieniłem się w żabę. Powiedziała, że dotąd będę siedział w studni, póki nie odnajdzie mnie najpiękniejsza dziewczyna z całego Wybrzeża i nie zakocha się we mnie. A gdy oświadczy się mnie, będzie musiała też ponieść ofiarę, bowiem co dziesięć lat zamieni się w biedronkę, a potem znów wróci do swego poprzedniego stanu i będzie piękną niewiastą.

— Jak długo to wszystko potrwa — zapytała ślicznotka młodzieńca.

— Dwieście czterdzieści tego wszystkiego.

— Ale czego dwieście czterdzieści — pomyślała dziewczyna — lat to nie może być, a godzin też nie.

— Dobrze liczyć, aż zgadniesz.

— Ja, biedna biedronka — pożałowała się.

W tej właśnie chwili dziewczynka zamieniła się w biedronkę i usiadła na liściu, na którym przepływała strumień. Zerwała się do lotu, jej narzeczonny znikł. Poczuli się bardzo samotni, przeraziła się, co też z nią będzie. Leciwała, leciwała, ale nie wiedziała dokąd, aż naraz wpadła przez otwarte drzwi do ślicznego zamku. Obleciała wszystkie komnaty, sale, które były śliczne, bogato umeblowane, i szukała swego narzeczonego, aż nareszcie znalazła go, gdy wszedł schodami na korytarz. W tej właśnie chwili zamieniła się znów w piękną dziewczynkę. Tuż przed progiem zauważyła ogromną złotą kulę, większą od dyni.

— Do ciebie należą te dobra, w które przemieniła się twoja piłka — rzekł jej narzeczonny. — A dom ten był kiedyś moją własnością, a także ziemia, której jest tyle, że sześciu ludzi w ciągu tygodnia ją uprawia, mając dwa konie w zaprzęgu.

— Jak długo ta moja przemiana trwała — zapytała się dziewczynka.

— Dziesięć sekund — odpowiedział jej narzeczonny, gdy sprawdził godzinę na zegarze. — Ta złota kula to twój majątek, gdy będziemy w potrzebie.

— Sprzedamy ją, a pieniądze rozdamy biednym.

— Oj, ty serce moje wielkie, przy tobie nie zginię — westchnął narzeczonny.

Po obejrzeniu domu i całego obejścia oboje udali się do domu jej rodziców. Tu przedstawiła im narzeczonego, opowiedziała matce o swoich przygodach, wyjawiała też zamiar swego zamążpójścia. Matka załżała się łzami i rzekła:

— Taką ładną córeczkę mam stracić, i do tego jeszcze taką młodą.

Jednakże, gdy przyrzekła, że będzie często odwiedzać rodzinę, matka wyraziła zgodę. Jej siostry również z tym się pogodziły, że najmłodsza z nich, która ma dopiero osiemnaście lat, pierwsza wychodzi za męża. Wówczas ślicznotka wzięła pod rękę swego narzeczonego i zaprowadziła go nad morze, bo nie wrócił jeszcze z połowu jej ojciec. Usiedli na piasku i oczekiwali rybaków. Narzeczonny namawiał ją, by się wspólnie wykąпали.

— Wstyd mi — rzekło niewiniątko runieniac się.

— Serduszko, jak okiem sięgnąć, nie widać człowieka.

— Ale nasze oczy nas ujrzą — odpowiedziała dziewczyna. — Najpierw nam ksiądz w Swarzewie stułą ręce zwiąże, da nam błogosławieństwo, weselnicy zaśpiewają i dopiero wtedy będziemy mogli na siebie patrzeć.

Zauważyła płynącą z daleka łódź z białym żaglem, która miała przechył na prawą burzę.

— Płyną do brzegu — zawołała — za dwie godziny będą tutaj.

Przez ten czas narzeczonny trzymał swoją ślicznotkę w objęciach i opowiadał jej, jak to będzie po

ślubie, jak będą czcić matkę i ojca i żyć w zgodzie z jej siostrami.

— Ale najpierw zawieziesz złotą kulę do złotnika i ją sprzedasz. Pieniądze rozdamy rybakom na sprzęt rybacki i chłopom nie mającym ziemi. Obdzielimy całą Kępę Swarzewską, prócz panów, którzy mają z czego żyć.

— Serduszek moje — rzekł narzeczony i objął swoją kochaną — z tobą zajdę do nieba.

Tymczasem łódź zbliżała się do brzegu. Córeczka przedstawiła swemu ojcu narzeczonego, opowiedziała, jak był przemieniony w żabę, a za jej sprawą zmienił się znowu w przystojnego młodzieńca.

— Chcemy żyć ku chwale bożej i ludu okolicznego — rzekła na koniec — ksiądz nam zwiąże stulą ręce, przyrzekniemy sobie dożgonną miłość i wierność.

— A ja wam wyprawię wesele — dodał ojciec. — Dzisiaj złowiliśmy masę łososi, będzie z czego wyprawić ucztę.

Wszyscy podeszli do łodzi, bo naprawdę tegoż dnia złowili tyle łososi, że można by wyprawić pięć wesel, a nie jedno.

Bajka Słowieńców

Pewien rybak miał dwanaścioro dzieci i musiał dniem i nocą wyjeżdżać na połów, aby dać im chleba. Gdy urodziło się trzynaste, nie wiedział, co ma począć z takim dostatkiem. Wyszedł na wielką drogę krajową, aby pierwszego napotkanego mężczyznę poprosić na chrzestnego. Tym pierwszym był sam Pan Bóg, z góry wiedział on, co miał na sercu ojciec tak licznej rodziny. Odpowiedział mu:

— Biedny człowieku, chcesz mnie poprosić na ojca chrzestnego twego syna. Pragnąłbyś, żeby był szczęśliwy na naszej ziemi.

— Nie miałem tego na myśli — odpowiedział biedny rybak i zapytał nieznajomego. — kto ty jesteś?

— Jestem sam Pan Bóg.

— Odstępuję od zamiaru, nie chcę ciebie za ojca

chrzestnego — odrzekł biedak. — Ty dajesz bogatym za wiele, a biedni muszą cierpieć głód.

Biedak odwrócił się i poszedł dalej.

Przystąpił do niego diabeł i zagadnął go:

— Kogo szukasz? Godzisz się, żebym został chrzestnym ojcem twego syna, to ja mu złożę w darze stóg złotych monet, całe szczęście świata mu dam, będzie przystojny, mądry i bardzo gospodarny.

Rybak zapytał się diabła.

— Kim ty jesteś?

— Jestem diabłem z piekła.

— To ja muszę rzec się takiego chrzestnego dla mojego syna, bo ty wszystkich okłamujesz, oszukujesz i kusisz do złego.

Diabeł parsknął, aż mu płomienie ognia z nozdrzy wyszły, i zawrócił.

Z kolei zastąpiła chłopu drogę śmierć na chudych nogach, z kosą w rękę. Zapytał ją:

— Kto ty jesteś.

— Bierz mnie jako chrzestnego ojca dla twego syna. Ja jestem śmierć, która wszystkie narody zrówna.

— Nareszcie kogoś uczciwego spotkałem — odrzekł rybak. — Ty jesteś sprawiedliwa, zabierasz tak bogatych, jak i biednych, żadnego przekupstwa nie uznajesz. Możesz zostać matką chrzestną mojego syna.

— Chcę twoje dziecko zrobić bogaczem, bo kto mnie zaprosi do swego serca, temu nie może niczego zabraknąć.

Rybak jej na to odpowiedział:

— Na drugą niedzielę odbędą się chrzciny, postaraj się przybyć na czas.

Śmierć stawiała się w świątyni o oznaczonej godzinie w całej swej okazałości. Gdy chłopak doszedł do swoich lat dorosłych, spotkał się ze swoją matką chrzestną, która rozkazała mu, aby poszedł za nią. Kroczyła na swych suchych nogach, z kosą w rękę, prosto do lasu, pokazała młodzieńcowi pewne zielsko, które tam rośło, i rzekła:

— Daję ci prawo korzystania z mojego wyłącznego przywileju. Będziesz lekarzem, kiedy więc będą ciebie wzywać do chorego, za każdym razem tobie się ukaże. Uważaj, musisz o tym pamiętać, gdy stanę przy głowie chorego, wtedy możesz po-

wiedzieć, że on wyzdrowieje, i dać mu do wypicia jeden kieliszek napoju zrobionego z tego zielska, a będzie zdrow. Ale gdy stanę przy nogach chorego, to on będzie mój, a ty powiesz, że próżny wysiłek, bo nawet lekarz o największej sławie go nie wyleczy. Wtedy nie będziesz używał tego zielska wbrew mojej woli, bo obróci się to przeciwko mnie.

Po niedługim czasie młodzieniec został najśłynniejszym w całym świecie lekarzem. Tylko spozryzał na chorego, a już wiedział, czy wyzdrowieje, czy umrze. Wkrótce zdobył sławę cudownego lekarza. Zaczęli do niego zachodzić ludzie bogaci i biedni, zajeżdżali po niego różnymi pojazdami, bryczkami i wieźli go do cierpiących, za uratowanie chorego od śmierci dawali mu dużo pieniędzy.

Pewnego dnia zaniemógł sam król. Wezwano słynnego lekarza, który miał orzec, czy to możliwe, żeby króla wyleczyć. Ale gdy przystanął przy chorym, śmierć ukazała mu się przy nogach chorego. Słynny lekarz nie miał wtenczas przy sobie cudownego zielska.

— Gdybym ja mógł śmierć przechytrzyć — pomyślał — to ona by mnie tego nie wzięła za złe, bo przecież jestem jej chrześniakiem.

Gdy śmierć odwróciła wzrok i spozryzała na lud zebrany wokół umierającego króla, lekarz przymknął oczy i wziął na odwagę. Chwycił na ręce chorego króla i położył go w łóżku odwrotnie, tam gdzie przedtem miał głowę, położył mu nogi, a nogi tam, gdzie była głowa. Znalazł jednak trochę zielska w jednej z kieszeni i wygotował z niego napój, dał go choiemu do wypicia i tym sposobem wyleczył króla.

Śmierć podeszła do lekarza ze złą i ciemną twarzą, pogroziła mu palcem i rzekła:

— Tyś mnie wyprowadził w pole, dzisiaj ci przebaczam, dlatego że jesteś moim chrześniakiem, ale nie waż się więcej mnie oszukiwać, bo będę musiała cię zabrać ze sobą.

Wkrótce potem ciężko zachorowała córka króla, była ona jedynym jego dzieckiem, toteż król płakał dzień i noc, aż mu się oczy zaczerwieniły. Wyrwany ze szponów śmierci, chciał, żeby ktoś uratował i jego córkę. Nie znał owego cudownego lekarza, ani nie wiedział, gdzie mieszka. Rozesłał więc gońców na

wszystkie strony świata. Z rozkazu króla zaczęli oni głosić, że odda on swoją córkę za żonę temu człowiekowi, który wybawi ją od śmierci.

Monarcha tego kraju nie wiedział o udziale śmierci w leczeniu chorego, gdyż była ona wtedy niewidoczna.

Cudowny lekarz stawiał się u króla i oświadczył, że postara się wyleczyć jego córkę. W zamian otrzymał przyrzeczenie na piśmie, że po wyleczeniu córki odda mu ją za małżonkę, jak również całe królestwo, a jej przyszły mąż zasiądzie na tronie.

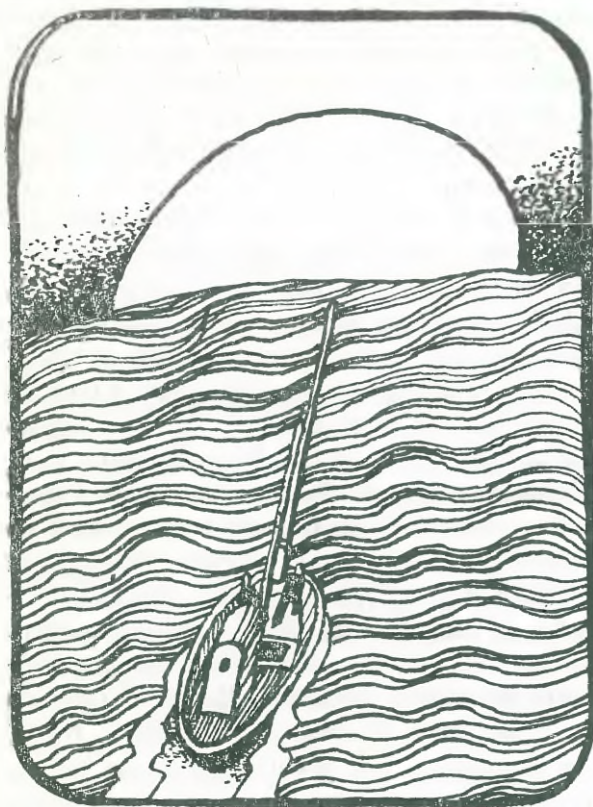
Wziął cudowny lekarz swoje napoje i udał się do zamku, ale wtem zauważył, że przy nogach chorej stoi śmierć, co świadczyło, że córka króla nie będzie wyleczona. Zbadał zatem wszelkie możliwości. Obejrzał komnaty królewskie i zaszedł do sypialni, w której chora królowna leżała głową na wschód, a nogami na zachód. Śmierć dobrze sobie to zapamiętała. Wtedy cudowny lekarz podszedł do króla i zalecił, żeby słudzy przenieśli córkę do innego pomieszczenia, bo w tym jest mało powietrza. Kocem nakrył królownę, by się nie przeziębiła. Tak przeniesiono ją do innego pomieszczenia i postawiono pod inną ścianą. Śmierć nawet nie zauważyła, gdzie są nogi królowny, i stanęła przy głowie chorej. Cudowny lekarz wyjmował buteleczki jedną po drugiej i odliczał krople zwyczajnej wody, po czym podał chorej do wypicia. Królowna połykała, a śmierć się czerwieniła, patrząc, jak ta szybko wraca do zdrowia.

Jeszcze tego popołudnia chora poczuła się dobrze i wstała z łóżka. Wtedy król oświadczył swojej córce, że przyrzekł ją za żonę temu, który ją wyleczy.

Po pewnym czasie odbyło się bardzo huczne wesele i cudowny lekarz zasiadł na tronie. Śmierć przekonała się, że po raz drugi została oszukana. Podeszła długimi krokami do lekarza i rzekła mu:

— Koniec z tobą. Teraz przyszła kolej na ciebie.

Swoją długą, zimną ręką chwyciła go tak mocno, że nie mógł się wyzwolić. Wprowadziła go do ciemności piekielnych pod ziemię. Tam zobaczył palących się tysiące światła różnej wielkości, jedno wielkie, drugie mniejsze, trzecie jeszcze mniejsze, a czwarte zupełnie małe. Niektóre z nich gasły, a inne się zapalały, i tak na zmianę.



— Widzisz — rzekła śmierć do młodego króla — całkiem małe światła należą do noworodków, małe do dzieci, średnie do tych, co są w najlepszych latach, a te duże należą do starców.

— Pokaż mi moje światło życia — rzekł młody król do śmierci, myśląc, że jego światło będzie jeszcze wysoko.

— Kochany chrześniaku, oto — i pokazała mu mały knocik.

— Moja kochana chrzestno — zaczął prosić — zapalcie mnie inne światło, żebym mógł jeszcze długo żyć dla mojej miłości, pięknej żony, jestem teraz królem.

— Nie mogę — odpowiedziała śmierć — muszę najpierw jedno zgasić, aby drugie zapalić.

Odwróciła się i dała kilka kroków naprzód, uważając, że jego los jest przesądzony.

Król, dobrze wyćwiczony, wyciągnął szablę, płasko nakrył swoje światło i krzyknął królewskim głosem:

— Według rozkazu mojego musisz zapalić dla mnie nowe światło w miejsce tego, które w tej chwili zgasło. Jako król daję ci rozkaz!

Śmierć zauważyła, że król nie żartuje, przyniosła świeżą świecę, zapaliła ją, wstawiła w świecznik i rzekła:

— Póki ta świeca będzie się palić, będziesz żyć.

Król spostrzegł, że owa świeca jest bardzo długa i gruba, a knot jej cienki jak nić, pomyślał więc sobie:

— Chyba przeżyję tę śmierć, ludzie przestaną umierać, a ja dopiero teraz będę sławnym, tak jak kiedyś zapowiedziała chrzestna.

Po tym wydarzeniu wszystkie światła znikły, tylko świeczka króla się paliła, ale śmierć zapowiedziała mu:

— Teraz na ziemi nikt nie będzie umierać, aż twoja świeca zgaśnie, a nastąpi to za sto lat. Wtenczas wszystkie świece teraz zgaszone zapalą się od nowa.

Odtąd ludzie przestali umierać. Młody król wyjawiał powód tego zajścia. Cudowny lekarz był uwielbiany od wschodu do zachodu, a ludzie żyli beztrudnie, tak jak przysłało na Słowińskim Pobrzeżu, za mokradłami, torfowiskami, morzem i jeziorem. A król panował ze swoją śliczną królową całe sto lat.

Mały człowieczek

Dawno temu, przy ujściu rzeki Piaśnicy dwadzieścia już lat mieszkał ze swoją żoną rybak wąsaty i brodaty. Czuli się szczęśliwi, gdyby miał dzieci. Jego uroczą żonę była bardzo pobożna i żadnego dnia nie opuszczała modlitwy, w której prosiła Boga, aby obdarzył ich dzieckiem. Mogło być bardzo małe, wielkości palca u ręki męża.

Jednego dnia zasłabła i chorowała prawie trzy czwarte roku. W czasie choroby poczuła, jak coś się w niej poruszyło, aż nareszcie porodziła chłopaczka, który nie był większy, niż palec u ręki jej męża. Rodzice nie tracili nadziei, że chłopaczek

urośnie. Otaczali go czułą opieką, dobrze karmili, a na chrzcie dali mu imię Lutek. Wychodzili z nim nad morze w nadziei, że dzięki świeżemu powietrzu wyrośnie na dzielnego rybaka. Ale mijały tygodnie i miesiące, a Lutek niewiele urosł. Matka robiła wszystko, co doradzali okoliczni ludzie. Nawet Cyganka, która przechodziła wzdłuż wybrzeża i podeszła do ich mieszkania, ofiarowała się przyjść z pomocą. Zażądała zapłaty z góry. Ojciec, serdecznie miłujący syna, wysupłał ostatnie grosze, jakie posiadał z urobku łososa. Cyganka, uradowana, opuściła mieszkanie i przez wysoki żarnowiec poszła w stronę drogi. Naraz zmija ukąsiła ją w nogę, jakiś czas potem w tę samą nogę ugryzła ją jaszczurka. Noga zaczęła puchnąć, trzeciego dnia Cyganka zmarła.

Lutek nadal pozostał małym człowieczkiem. Wczuwał się w ciężką pracę rybacką ojca i chciał mu trochę pomóc, ale ojciec nie zabierał go do łodzi, lecz pędził z powrotem do domu. Chłopak jednak nie czuł się pokonany. Jednego dnia, gdy słońce zaczęło świecić nad morzem i zaległa piękna cisza, pobiegł do łodzi ojca, wspiął się do niej po linie i schował się pod stąpnicą. Po krótkim czasie przybył ojciec, zepchnął łódź do wody i załadował do niej sieci łososiowe. Odpłynął nieco od brzegu i zaczął zastawiać sieci, raptem jakieś oczko o coś zahaczyło, skoczył więc z rufy, aby odczepić sieć. W tym czasie Lutek wybiegł spod stąpnicy i zaczął umiejętnie wydawać linę z pływakami. Ojciec się zdziwił, że tak łatwo wychodzi ona za burtę, zajrzał do rufy i tu zobaczył swego małego Lutka, który się dwoił i troił przy wydawaniu sieci łososiowych. Chwycił ojciec wiosło i popłynął, aby zastawić ostatnią sieć. Wtedy zdarzyło się wielkie nieszczęście, Lutek, porwany przez linę, wpadł do morza. Ojciec natychmiast zaczął wciągać sieć do łodzi, tymczasem biedny Lutek wymknął się z pętli i spadł na dno morza. Ojciec w dwójnasób się zasmucił, zrozumiał bowiem, jak wielką pomoc miałby w Lutku.

Rybak po powrocie z morza podzielił się swym bólem z żoną, która wpadła w rozpacz. Ani jednemu, ani drugiemu nie chciało się więcej żyć.

Po owej tragedii niespodziewanie dobrze udawał się rybakowi połów łososi. Oboje nie wiedzieli, że

Lutek miał szczególne przywileje, niedostępne zwykłym ludziom. Na przykład mógł śmiało podpłynąć do gęby morskiego olbrzyma, a ten nie robił mu krzywdy. Chłopak zauważył też, że w wodzie doskonale wychwytuje najmniejszy nawet szmer i rozumie łososiową mowę, która niczym się nie różni od kaszubskiej. Zagadywał też flądry i inne ryby, ale te nie wydawały żadnego głosu, nie mógł więc się porozumieć z nimi w żaden sposób. Za to łososiom, które zbierały się wokół niego, opowiadał o ziemskich sprawach. Wnet łososie przekonali się, że ludzie nie mają większego wpływu na ich życie w morzu, bowiem białka łososa rodzi setki małych w rzece. Żyły zatem w przyjaźni z ziemskim przyjacielem, choć podstępnie prowadził on wielkie ławice wprost w sieci ojca. Lutek zdał sobie sprawę, że wobec takiej ilości łososi jego rodzice muszą żyć w dobrobycie. Postanowił więc jak najdłużej pozostać w toni morza, by ojcu przysporzyć dobrych połowów. Łososie codziennie podpływały do Lutka, a ten wykladał im o ich życiu, jak również o swoim ojcu, który dzień w dzień odławiał ich braci.

Zdecydował się pozostać w morzu do końca sezonu połowu łososa.

— Z głupim dorszem w żadną przyjaźń nie będę wchodził — rzekł w duchu — bo ma on duży łeb, ale rzadki mózg, olbrzymią przepaścistą gardziel, wcale niepociągającą. Najwyżej mógłby taki dorsz powiesić się za oczka pławnicy ojca i wpaść do łodzi.

Maluch wiedział, że bardzo go miłował ojciec, obawiał się więc, że nie weźmie go więcej na morze, a on tu musi spełniać swoje zadanie. Toteż postanowił dłużej pozostać w wodzie.

Jak to zwykle bywa, piękna pogoda się skończyła. Nadszedł silny wiatr i prąd darł kamienie z dna. Lutek nie wiedział teraz, w którą stronę się udać, czy na wschód, czy na zachód. Czułości morskie pogrążyły się w ciemności, bo fale piętrzyły wodę, wobec czego prawie nic nie widział. Gdy słońce zaświeciło, miał wielką chęć wyjść na brzeg. Aż tu nagle podpłynął do niego olbrzymi dorsz i połknął go. Leciał w jego przepaściste gardło, aż wpadł do samego żołądka. Nie dotknął nawet jego ostrych zębów, domyślał się jednak, że ten żarłok połyka śledzie tak duże jak on, a także swoich młodszych

braci, jak okonie, szczupaki i wszystko, co się trafia przy brzegu. Lutek siedział w żołądku dorsza i mიაတၢ်း na wszystkie strony, ale nie znalazł żadnego wyjścia. Zdawał sobie sprawę, że dorsz pruć z nim w niewiadomym kierunku. W żołądku dorsza panowała całkowita ciemność.

Po kilku dniach Lutek znalazł się na lądzie. Kobieta rozpruła dorszowi brzuch i wypatroszyła z niego bebechy, ale Lutek nadal siedział we wnętrznościach dorsza. Dopiero gdy wrzucono je do morza, Lutek spostrzegł, że patroszarka przez nieostrożność nacięła żołądek dorsza, mógł więc się wydostać. Gdy był już w morzu, zauważył wiele fok, które przyplnęły po wyrzucone odpadki dorszy. Olbrzymia foka całkiem przypadkowo połknęła Lutka, który znów znalazł się w opałach. Stracił rachubę czasu. W pewnej chwili wyczuł, że złapaną w sieci fokę rybacy wciągnęli do łodzi. Gdy dobili do brzegu, jeden z rybaków zabił fokę, wyciął tłuszcz, wypatroszył zwierzę i wtedy raptem dostrzegł w żołądku foki małego człowieczka.

— Zguba się znalazła! — krzyknął na całe gardło.

Rybak zdjął z człowieczka zabrudzone łachy i obmył go do czystości. Chłopaczek usiadł w łodzi, a jego ojciec wyprał odzież, wysuszył w ciepłych promieniach słońca i wrócił z nią do łodzi. Wówczas zauważył, że Lutek wyrósł, zmężniał i był duży, wysoki, jak przystało na dwunastoletniego chłopca. Nie chciał go prowadzić nagiego do wsi, toteż kazał mu usiąść na zapasowych sieciach i okrył go żaglem. Sam poszedł do domu po odzież. Żona jego pobiegła do sąsiada pożyczyć ubranie, gadała przy tym szybko i nieskładnie o strasznych przejściach Lutka. Niebawem zbiegła się cała wieś i podziwiała zaginionego chłopaka, który dzięki łasce bożej osiągnął wzrost dwunastoletniego dzieciaka. Niektórzy mówili, że w tym muszą być jakieś gusa.

— Wasz Lutek chyba jest purtkiem — padały przypuszczenia.

Kobieta, mimo próśb, nie otrzymała odzieży. Udała się do następnego sąsiada. Też jej odmówił, więc wróciła z płaczem. W tej chwili pojawiła się jedenastoletnia córka krawca, niosąc śliczne ubranie i bieliznę. Matka nie zwlekając zaniósła je

synkowi. Gdy się ubrał, uczesała go i zaprowadziła do checzy. Wyszła im na spotkanie córka krawca, która ze łzami w oczach powitała chłopca. Lutek, uradowany, czule całował swoją matkę, wdzięczny, że go porodziła takim malutkim. W izbie zastał młodą dziewczynę imieniem Róża, której opowiedział swoje przygody i cudowny powrót po sześciu latach. Jak to zapewne dzięki temu, że przebywał we wnętrznościach foki, wyrósł i zmężniał. Dziewczyna słuchając załamywała ręce i wpatrywała się w anielską twarz chłopca, okoloną kędziorami złotych włosów.

Ojciec Lutka był soltysem strądownym, posiadał też włókę żywej ziemi. Wy pływał teraz z synem na morze, ryba szła im do sieci dobrze. Lutek bardzo zmężniał, spotykał się często z Różą, a gdy oboje dorośli, ojciec jej wyprawił huczne wesele, a ojciec Lutka wybudował młodej parze piękny dom nad morzem.

W dzień ślubu Lutkowi przypomniały się jego niedole, gdy był malutkim karzełkiem i mieszkał w morzu, jeździł w brzuchu żarłocznej ryby czy foki. Były to straszne wspomnienia. Teraz wyróżniał się spośród innych rybaków. Nabył kuter rybacki, jesienią wypływał aż na sam środek morza, łowił obfitość łososi, zarabiał dobrze. Sąsiedzi w zacieklej zazdrości wytykali mu, że z niego stwór, który był malutki jak karzełek, bo jego matkę nie stać było na większego dzieciaka.

Pewnego letniego dnia nadszedł potężny sztorm i porwał łodzie rybackie, na których rybaczyli sąsiedzi rodziców Lutka. Gdy uratował im on życie, przypomnieli sobie, jak to kiedyś skąpili mu ubrania. Teraz, gdy bezinteresownie ich wyratował, pokajali się i serdecznie go przeprosili. Nie stać ich było na kupno porządnego kutra rybackiego, wówczas ów kiedyś mały karzełek, a teraz zdolny, zwinny rybak, który wypływał daleko na morze i szukał coraz to lepszej toni, nabył dla niegodziwych sąsiadów nowe kutry. Potem założył maszoperię i wspólnie z nimi zarabiał, sprzedając skarby wód. Jego białka była przy nim szczęśliwa, porodziła mu kilku chłopaków, których wychowała na silnych, dzielnych rybaków. Wzmocnili oni i zwiększyli flotyllę kutrów owej wsi.

Straszny potwór

Pewien bogaty kupiec wybierał się za morze, aby zawieźć polską pszenicę do dalekich krajów, gdzie ziemia jej nie rodzi. Przy wsiadaniu, żegnając się z dwiema swymi córkami, żeby pocieszyć je pogrążone w smutku i w łzach, zapytał, jakiego gościńca pragnęłyby z za morza.

— Ach, ojcze drogi — wykrzyknęła starsza córka, pyszna i krasna jak róża w pełnym rozkwicie. — Przywieź mi piękny sznur koralu, żebym mogła go wpleść w warkocz.

— Dobrze córko, będziesz miała — rzekł ojciec. — A ty, biała moja lilijo, czego pragniesz z za morza?

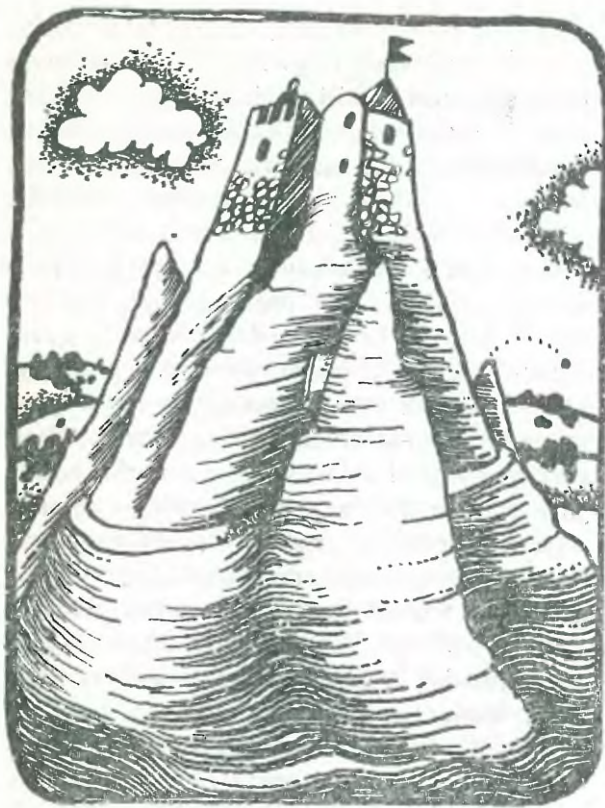
— Ja, mój ojcze — odpowiedziała młodsza — nie mam nic takiego na myśli, czego bym osobiście pożądała. A jeżeli koniecznie mam o coś prosić, to nieraz słyszałam od ludzi, że za morzem rosną niebieskie róże, które nigdy nie więdną. — Jeśli znajdziesz taką jedną różyczkę, przywieź mi ją, będę miała co wpleść we włosy.

— Dobrze, kochany kwiateczku, jeśli gdzieś tylko znajdę taką różę, zerwę ją własną ręką.

Ucałowawszy raz jeszcze czoła córek, ojciec wsiadł w Gdańsku do wielkiej łodzi, która go wnet poniosła przez zatokę. Córki wpatrywały się w morze, jak statek walczył z wysokimi falami. To ocierały chusteczkami łzy, to znów wywijają nimi w powietrzu, a gdy statek zupełnie zniknął im z oczu, zapłakane odeszły do domu, modląc się do Matki Boskiej o szczęśliwą podróż ojca. Kupiec pomyślnie przepłynął Zatokę Gdańską, a na otwartym Bałtyku ruszył dalej na zachód. Po kilkudniowych zmaganiach z morzem, z wysokimi falami, dopłynął do Holandii. Tutaj chciał poszukać upominków dla córek, bo przed szauką rosły na dnie morza koralu, jak u nas kartofle na polu. Zgarnął je kaszorem raz i drugi i wnet miał pełen kosz. Ale o niebieską różę na próżno się dopytywał, nigdzie nie mógł jej dostać. Od ludzi dowiedział się, że takie róże rosną na jednej pustej holenderskiej wyspie wśród morza, gdzie jednak z powodu skał i częstych mielizn nie przepłynie żaden statek.

Zrobiło mu się przykro, że nie może zadość uczynić prośbie ulubionego dziecka. Cóż, skoro nie było rady, kazał dla niej zrobić różyczkę wysadzaną samymi niebieskimi turkusikami, o złotych liściach i gałązkach, żeby, zamiast prawdziwej, mogła wetknąć we włosy chociaż sztuczną różyczkę. Niebawem kupiec wsiadł na szkuner i odpłynął z powrotem ku Gdańskowi. Już był szczęśliwie w połowie drogi, gdy nagle jednego wieczoru zerwała się sroga burza i wicher. Szkuner, pomimo ciężaru, całą noc miał wielki przechył. Wysoka fala rzucała nim jak piłką, wznosząc go raz w górę, to znów pogrążając głęboko w morzu. Wiatr poszarpał żagle i zniósł szkuner z kursu, pędząc go w zupełnie nieznane strony. Dopiero o poranku uspokoiła się burza, uradowani podróżni znaleźli się w cichym ustroniu, przy jakimś obcym brzegu, na którym wznosił się ogromny zamek otoczony czarnym jodłowym borem. Podczas kiedy majtkowie naprawiali żagle, uszkodzone nocnym sztormem, kupiec na maleńkim czółenku popłynął do lądu. Uwiązał czółno do nadbrzeżnego drzewa i poszedł wprost ku zamkowi. Gdy był już blisko, zdziwił się niemało, że z wjazdowego mostu nie wiodła żadna droga ani nawet ścieżka pośród bujnie rosnących drzew i krzewów. Jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że gdy minął most i wszedł do otwartej na oścież warownej bramy, nie znalazł koło niej żadnej straży i żadnego żywego człowieka. W rozległym dziedzińcu, otoczonym ze wszystkich stron okazałymi gmachami, przeraziła go głucha pustka i panująca śmiertelna wprost cisza. Choć już dawno wstał dzień, z żadnego komina nie unosił się dym, żadnego znikąd nie było słychać głosu ani najmniejszego stuknięcia, żeby choć gdzieś koń zarżał czy pies zaszczekał, kot zamiauczał lub kur zapiała!... Nic! Jakby wszystko wymarło. Kamienny bruk podwórza zarosła trawa, dzikie krzewy i wysoko pnące się bluszcze czy powoje zasnuły ściany budynku. Drzwi i okna zasłonięte były powiewnymi zasłonami. Co najdziwniejsze, nigdzie nie było widać żadnej ruiny ani najmniejszego uszkodzenia. Cały zamek zdawał się stać tak silny i zdrowy, jakby go wczoraj wzniesiono.

Wśród tego pustkowia i milczenia kupcowi aż



ciarki przeszły po ciele, sam nie wiedział, co począć, zostać czy uchodzić. Jednak miał przed sobą cały dzień, a nie wiedząc, co zrobić z czasem, choć mokry z uczucia zgrozy, postanowił obejrzeć opuszczony zamek. Zobaczył, że potężne drzwi głównego gmachu są nieco uchylone, udał się więc w tę stronę. Kiedy przestąpił próg, ujrzał niezmiernie obszerne wnętrze, wysokie niby kościół. W przestronnej sali, o wysokim sklepieniu, oświetlonej długimi rzędami wysmukłych, różnobarwnych okien, podłoga była z czerwonego kamienia, a ściany z żywego ciosu. Przy jednej ścianie wystawał komin szeroki jak wjezdne wrota, otoczony ciężkimi dębowymi ławami. W pośrodku ciągnął się długi stół okryty bogatym kobiercem. Przy stole, w jednym jego końcu stał złoty tron pod czerwonym baldachimem, a wkoło krzesła, rzeźbione misternie, różnobarwną skórą nakryte. Ściany całe, od dołu do góry, świeciły się od hełmów, pancerzy i tarcz, między którymi gdzieniegdzie

wisiały staliste miecze, oszczepy i maczugi, straszliwymi kośćmi nabijane. Sklepienie jarzyło się od mnóstwa jelenich rogów, kłowy dzikich niedźwiedzi, wilczych łbów i wielorybich szczęk. Stare, zniszczone chorągwie i bandery zwisały szeregiem. Obejrawszy to wszystko kupiec ruszył do dalszych komnat, wszędzie w nich napotykał królewski przepych i tysiące drogich, a rzadkich przedmiotów. Nieraz korciło go już wziąć to lub owo, bezużytecznie tu leżące. Ale ile razy chciał wyciągnąć rękę, tyle razy coś mu do ucha szeptało: daj spokój. Kilka godzin strawił na oglądaniu licznych pokoi i znów znalazł się w wielkiej sali.

Z kolei udał się do niemałych podziemi, zstępując tam zobaczył komin z płonącym jasnym ogniem oraz stół zastawiony srebrnymi czarami z winem. Na półmiskach dymiły się przepyszne ryby i raki morskie. Nie wiedząc, co to znaczy, rozglądał się ciekawie, czy tu kto nie wyjdzie. Wtem jego wzrok padł na wielki napis nad stołem: „Używaj, miły gościu, i nie lękaj się niczego”. Wyglodzony kupiec, ośmielony tymi słowami, pomimo całego zadziwienia zasiadł za stołem, by skorzystać z uprzejmego zaproszenia. Gdy się posilił, niewidocznemu gospodarzowi głośno podziękował: Bóg zapłać, i przywarł za sobą podwoje, tak jak je zastał. Wróciwszy na podwórze spostrzegł po jednej jego stronie żelazną kratę, oddzielającą śliczny ogród, a w nim, ku swej radości, tuż prawie przy kracie wspaniały krzak niebieskich róż w pełnym kwiecie. Przypomniał sobie wówczas obietnicę daną córce i czym prędzej pośpieszył do ogrodzenia, a ponieważ nie znalazł w nim furtki, przelał przez nie zwinnie i począł pilnie ścinać kwiaty, aż zebrał precudny ich bukiet. Jakie było jego przerażenie, gdy w tej właśnie chwili poczuł na ramieniu ciężkie uderzenie, a odwróciwszy głowę, zobaczył za sobą straszną poczwarę, cała była kosmata jak niedźwiedź, z krzywymi rogami na łbie i kłami dzika w pysku. Patrzyła na niego strasznymi ognistymi oczyma, trzymając łapę na jego karku.

— Ha, niegodziwcze! — zawołało straszdyło. — Tak mnie się odplacasz za gościnne przyjęcie, wdzierasz się do mego ogrodu i niszczysz to, co mi najmilsze. Czekał, nie ujdzie to ci bezkarnie.

Struchlały kupiec poczał na swe uniewinnienie opowiadać o obietnicy danej ukochanej córce. Pokornie przeproszał i błagał o przebaczenie. Straszny potwór, wysłuchawszy go, rzekł:

— Dobrze, daruję ci wyrządzoną mi szkodę i wypuszczę ciebie stąd żywego. Ale przysięgnij na zbawienie swej duszy, że po powrocie do domu zabierzesz swoją córkę i przywieziesz ją tu zaraz, a potem zostawisz na zamku przez cały rok. Nie bój się o nią. Ja ci z kolei przysięgam, że najmniejsza krzywda jej się nie stanie, a jeżeli Bóg pozwoli, to ona i ja doznamy wielkiego szczęścia! Cóż! — przysięgniesz mi? W przeciwnym razie zaraz rozerwę cię na sztuki.

Na takie groźby biedny kupiec, choć niechętnie, przysięgał wypełnić żądania potwora.

Uwolniony nareszcie, śpieszył się do swego szkunera, klnąc zamek i nieszczęśliwą godzinę, która go tu przyniosła.

*

W kilka tygodni później łódź kupca stanęła przy zielonym brzegu martwej Wisły pod Gdańskiem, niedaleko kapitańskiego dworku, w którym dwie stęsknione córki wyglądały powrotu ojca. Kiedy na ich zapytanie ojciec pokazał przyrzeczone gościńce, nie tyle starsza ucieszyła się sznurem koralu, ile młodsza cudownym bukietem róż niespotykanej barwy. Zaraz jedną z nich wplotła w warkocz.

— Moje kochane dziecko — rzekł kupiec, widząc jej radość — nie ciesz się tak bardzo, zapewne nie życzyłybyś ich sobie, a ja obym ich nie znalazł, bo...

Opowiedział o wszystkim, co go spotkało w pustym zameczysku oraz o strasznym potworze, o jego żądaniach i swojej przysiędze. Jednak, spostrzegłszy błądność swej córki Anny, dodał.

— Nie obawiaj się, przecież nie namawiam cię do spełnienia mej nierozważnej przysięgi. Nie! wolę sam ponieść karę za mój grzech, niż żebyś ty, aniołku, dostała się w takie straszne szpony i cały rok życia zmarnowała na tym pustkowiu.

Ale dziewczyna, która już w głębi serca podjęła postanowienie, rzuciła się ojcu na szyję, wołając:

— Nie mów tak, nie mów, drogi ojcze, cóż bym

ja była za córką, gdybym nie mogła wypełnić twojej przysięgi. Bóg sprawiedliwy, któremu cała się oddaję w opiekę, nie dopuści, aby mnie, niewinną, skrzywdzono. A że rok posiedzę w pięknym, ale pustym zamku, cóż to za pokuta!

— Nie będziesz tam mieć tyle prześlicznych rzeczy do oglądania. Tyle miejsca do biegania.

— Będę sadzić kwiaty, grać na lutni, śpiewać piosnki, a jak mnie to znudzi, straszny potwór przez trzy dni będzie musiał skakać.

Śmiejąc się i gwarząc dla rozweselenia swej duszy, choć Bóg wie, co się w niej działo, sama zaczęła nalegać o rychły wyjazd i czynić przygotowania. Za kilka dni szkunier był gotów i poniósł tym razem kupca z jego córką w stronę opustoszałego zamku. Straszny potwór, jak tylko zobaczył przybijających do brzegu gości, wyszedł im naprzeciw aż do samej bramy. Córka kupca, ujrawszy go, tak się niesłychanie przeraziła, że drżała jak liść olszyny. Jednak aby oszczędzić ojcu zmartwienia jeszcze większego, zdobywała się na odwagę. Potwór podziękował kupcowi za dotrzymanie słowa, a pannie za łaskawe przybycie. Przyrzekł solennie, że nic złego jej nie spotka. Tak mówiąc zaprowadził ich do wspaniałej sali, gdzie czekała prawdziwie królewska wieczerza.

Podczas gdy kupiec z córką posilali się po podróży, gospodarz, stojąc z daleka, prowadził z nimi tak rozsądną i ciekawą rozmowę, że słuchając go zapomnieli o straszej jego postaci. Tydzień gościł kupiec w zamku, odpoczywając. Przez cały czas potwór był tak uprzejmy i łagodny, że kiedy przyszło do odjazdu, ojciec bez wielkiej obawy pożegnał się z córką, po którą za rok miał wrócić. Dziewczyna, o ile w obecności ojca w miarę swych sił panowała nad sobą, o tyle po jego odjeździe rozplakała się rzewnie. Kiedy tak siedziała w oknie otwartym na morze, wtedy zbliżył się do niej straszny potwór i rzekł:

— Nie płacz tak, śliczna panienko, i nie gniewaj się na mnie, że z mej przyczyny przebędziesz rok na tej pustyni. Nie moja to wina, ale zrządzenie Boże!... Rok nie wieczność, prędko minie, w tym czasie cały ten zamek i ja będziemy na twoje rozkazy. Oto masz ten złoty dzwoneczek, skoro bę-

dziesz mieć jakieś życzenie, zadzwoń i powiedz je głośno, a stanie się, co każesz. Tu zaś masz srebrną piszczałkę, w którą zagwiżdżesz, jak zechcesz, żebym ja sam przyszedł do ciebie. Bez twojej woli nie będę cię nigdy przerażał moim widokiem.

— Chwała Bogu — pomyślała sobie dziewczyna, która bez grozy nie mogła patrzeć na niego — nieprędko usłyszysz piszczałkę.

Po odjeździe ojca Anka wyplakała się do woli i w końcu zaczęła szukać rozrywki w swej samotności. Wyszywała wzorzyste chusteczki, grała na lutni, przyspiewując śliczne mazowieckie piosenki, zrywała kwiaty i plotła z nich duże wieńce, biegając po borze rozmawiała ze swiergotliwymi ptaszkami. Mimo to po czternastu dniach zateśniła za ludzką mową, straszny potwór wprawdzie nie był nic a nic podobny do ludzi, ale mówił jak istny człowiek. Znudzone dziewczę pół chętnie, pół niechętnie odważyło się nareszcie dmuchnąć w piszczałkę. Umyślnie jednak wybrała godzinę zmierzchu, bowiem nie widząc go, mogła bez zgrozy słuchać jego opowiadań. Potwór zaś tak doskonale potrafił ją zająć opowieściami, że odtąd każdego dnia wołała go do siebie. Z czasem odważyła się wreszcie rozmawiać z nim w dzień, tylko odwracała przy tym głowę. Po miesiącu mogła już patrzeć na niego bez trwogi, a nawet siadała z nim przy stole.

Przyszła sroga zima, trzeba było siedzieć w murach całe tygodnie, coż miała począć. Rano, jak tylko ubrała się, wołała straszego potwora do siebie, spędzała z nim całe dnie, a kiedy miała iść spać, kazała mu opowiadać historie, których znał bez liku. Swarzyła się z nim i godziła, grała z nim w rozmaite gry. Nieraz przychodziła jej myśl pusta, aby kazać mu skakać przez kij, ale nie śmiała tego powiedzieć, nie żeby się jego bała, ale nie chciała mu sprawić przykrości. Minęła zima i nadeszła ciepła wiosna, dziewczyna tak nawykła dnie spędzać z potworem, że któregoś poranku, gdy nie przyszedł, musiała go wołać. Jakkolwiek bądź w towarzystwie milej jej biegł czas. Pilnie znaczyła nad swym łóżkiem każdy miniony dzień, licząc, ile jeszcze do końca zbywa.

Rok nie wieczność, pobyt Anki miał się ku końcowi, im bliższy był kres, tym smutniejszy stawał

się potwór, ale Anka w radości swojej tego nie widziała. Już tylko trzy dni pozostawało do końca roku, kiedy wstawszy raniutko goła wybiegła do ogrodu po kwiatki i zastała tam straszego potwora siedzącego pod krzewem niebieskiej róży, a jego kudłaty pysk zalany był łzami niczym rosą.

— Co ci jest, mój straszny potworze! — zawołała litością zdjęta. — Co się stało, że płaczesz tak rzewnie. Powiedz, może ci pomogę.

On podniósł ku niej łeb i patrzył smutno w jej oczy, wreszcie wzdychając powiedział:

— Niedługo na zawsze mnie porzucisz, a ja ciebie kocham, Anko.

Płocha dziewczynka tak parsknęła głośnym śmiechem, że o mało nie upadła na ziemię. Potwór, słysząc to, jęknął boleśnie i uciekł chyłkiem w gęste zarośla. Próżno go potem wołała i dmuchała w srebrną piszczałkę. Nie przyszedł tego dnia ani w następne. Dopiero kiedy szkuner kupca pojawił się u brzegu, straszny potwór wyszedł ze swego ukrycia, by powitać gościa.

Ze smutkiem w oczach pożegnał śliczną dziewczynę, której na drogę dał rumiane jabłuszko i rzekł:

— Kochana Anko, pamiętaj, jabłuszko to powie ci, kiedy będę umierał. Wówczas straci ono swój piękny połysk i będzie stawało się coraz bledsze, bledsze, aż zrobi się całkiem białe. Wiedz, że wtedy rozstanę się z tym światem. Gdybyś zechciała zamknąć mi oczy i przyjść z pomocą w ostatniej godzinie, zadzwoń złotym dzwoneczkiem. On mocą swej magicznej siły przeniesie cię na tę odludną wyspę. Pamiętaj też, że choć mię opuścisz niebawem, kochać cię będę zawsze swoją wierną miłością.

Po czym straszny potwór powrócił pod krzak niebieskich róż i zaszył się w zaroślach. Kupiec objął troskliwie ulubione swe dziecko i zaprowadził je na brzeg morza. Tu oboje wsiedli do szkunera i odплыли w stronę Gdańska.

Jak wielka była radość, gdy kupiec z młodszą córką przybyli do domu, matka ze szczęścia zalała się łzami. Nawet starsza córka, zawsze pyszna i zazdrosna, z miłością powitała swą siostrę.

Kupiec znów podejmował wyprawy za morze, wożąc pszenicę, a córki wybiegały na brzeg witać ojca powracającego z morza.



Jednego dnia Anka spostrzegła, że jabłuszko nieco zbladło, po czym z dnia na dzień stawało się bledsze, a Ance coraz to ciężej było na sercu. Pewnego poranku stwierdziła, że stało się całkiem białe.

— Umiera dla mnie, umiera — krzyknęła żałośnie — o, ja nieszczęśliwa!

Wtem wzrok jej padł na złoty dzwoneczek wiszący na sznurku pysznych bursztynów, które miała na szyi. Jednym szarpnięciem zerwała sznurek, paciorki posypały się dookoła, dzwoneczek włożyła na palec i zadzwoniła. W tej chwili oczy zasnuły jej się mgłą, zapadła w odrętwienie i wtedy poczuła, że coś ją unosi w powietrzu. Sama nie wiedziała, jak to długo trwało. Gdy się ocknęła na zielonej murawie, tuż pod murami znanego sobie zamczyska, zerwała się i wbiegła do środka, z całych sił wołając strasznego potwora, lecz nikt jej nie odpowiedział, tylko w pustce echo podawało sobie jej wołanie. Na próżno obiegała wszystkie zamkowe komnaty, pośpieszyła więc szukać go w ogrodzie. Tutaj pod tą samą niebieską różą, gdzie jej wyznał swoją miłość, leżał biedny potwór, strudzony, wynędzniały, z zamkniętymi oczami, zimny, bez tchu. Anuszką załamała ręce i zaczęła wzywać go:

— Zbudź się, zbudź, mój straszny potworze, jestem tutaj, przy tobie, zbudź się, a będę cię kochać. Będę twoją całe życie — i nachyliła się nad nim.

Przytuliwszy białe lica do kudłatego pyska, złożyła na nim gorące ucałowanie. Wtem, o dziwo, potwór zerwał się z ziemi. Jednak nie był to już straszny potwór, lecz piękny, choć trochę wynędzniały młodzieniec. Anuszką przeraziła się tą nagłą zmianą i odskoczyła od niego, ale on chwycił ją za rękę i rzekł:

— Nie bój się, śliczna Anusko, to ja jestem tym strasznym potworem, teraz miłość twoja mnie, króla, wybawiła z zaklęcia, kiedyś mnie mogła kochać w tej brzydkiej skórze, kochaj mnie teraz, jakim w rzeczy samej jestem. Objąwszy ją w pół, przycisnął jej rękę do ust i ucałował. A tymczasem w całym zamku zaroilo się od życia i gwaru, kury piałły po kurnikach, psy szczekały w budach, konie po stajniach rżały, zbudzeni z zaklęcia dworzanie krzatali się na wszystkie strony.

— Patrz, ileś dobrego uczyniła poświęceniem swoim — rzekł król, prowadząc dziewczynę z ogrodu. — Ale to jeszcze nie wszystko.

Z tymi słowy wywiódł ją przez bramę, a tam, gdzie jeszcze przed godziną rósł dziki las, teraz na tym miejscu wznosiło się wspaniałe miasto, którego ulicami, weseląc się, przeciągały tłumy. Za niedługo cała ludność miasta, z chorągwiami, wieńcami, bębnami, trąbami, przyszła na zamkowe podwórze dziękować Anuszcze za jej wybawienie. Rzucili się ku niej i padli pokotem do jej nóg, pieśń na cześć jej śpiewając. Anuszką, uniesioną niebiańską radością, zalała się łzami i padłszy na kolana dziękowała Bogu, że łaskawie tyle ludzi jej pozwolił wybawić spod złej mocy.

Nazajutrz złocisty okręt królewski wypłynął na morze po kupca i jego starszą córkę z zaprosinami na wesele. A kiedy szczęśliwie przybyli, co to było za wesele! Cztery tygodnie trwały gonitwy i łowy na ziemi i na morzu, na koniach i na łodziach dziwnie do smoków podobnych. A co to była za uczta, wam, sytym, mówić nie warto, a mnie, głodnemu, byłby próżny żal. Młody król i królowa żyli ze sobą długo, a jeśli nie pomarli, to jeszcze żyją.

Bursztynowa geś

Przed latami mieszkał sobie rybak koło ujścia Piaśnicy, która wypływała z Żarnowieckiego Jeziora do morza. Ów rybak miał trzech synów, najmłodszego z nich nazywano wprost głupkiem. Był przez starszych braci pogardzany, a przy każdej sposobności szturchali go i odpychali. Pewnego dnia tak się zdarzyło, że gdy najstarszy z synów zamierzał udać się do lasu, aby narąbać drzewa, matka dała mu dobrego ciasta i butelkę wina, aby nie cierpiał głodu i pragnienia. Ale gdy wszedł do lasu, spotkał całkiem siwego chłopiczka, malutkiego jak karzełek, ów siwy karzełek zwrócił się do syna rybaka:

— Jestem bardzo głodny i mam pragnienie. Mądry syn rybaka odrzekł mu:

— Jak dam ci cośkolwiek z moich zapasów ciasta



i wina, to dla mnie nic nie zostanie. Pchaj się dalej swoją drogą.

Chłopczyk stanął jak wryty, a mądry rybak ruszył dalej. Przedzierając się między krzewami, odszedł kawał drogi, zaczął rąbać drzewo i zaciął się siekierą w rękę tak mocno, że musiał wrócić do domu i opatrzyć ranę. Domyślał się mądry syn rybaka, że stało się to za sprawą tego małego siwego chłopczka. Potem drugi mądry syn udał się do lasu, a matka dała mu na drogę ciasta i butelkę wina, tak jak pierwszemu. Drugiego syna spotkało to samo. Stary chłopczek poprosił go o kawałek ciasta i łyk wina, a ten mu też odpowiedział:

— Jak ja ci cokolwiek dam, to mnie co pozostanie. Idź i pchaj się swoją drogą.

Zostawił chłopczka na drodze i poszedł między pniami leśnymi. Ale i jego również spotkała kara za krzywdę wyrządzoną chłopczkowi. Młodzieniec zaledwie kilka razy rąbnął siekierą w pień, kiedy ugodziła go ona w nogę tak mocno, że musiano go zanieść do domu.

Wtedy ów najmłodszy syn, zwany głupkiem, rzekł:

— Ojczy, daj mnie nareszcie wyjść do lasu i narąbać drzewa.

Stary rybak odpowiedział:

— Dostyc szkody ponieśli twoi bracia, nie bierz się do tej roboty, bo i tak nic nie umiesz.

Ale głupek tak długo prosił ojca, aż mu w końcu odburknął:

— Idź do lasu, poniesiesz stratę, to zmądrzejesz.

Matka dała mu kawałek ciasta upieczonego w rozżarzonych zgliszczach i butelkę gorzkiego piwa. Gdy przyszedł do lasu, również spotkał go ów mały chłopczek, pozdrowił go i rzekł:

— Daj mi kawałek twojego ciasta i łyk wina z butelki, taki jestem głodny i spragniony, że ledwie włóczę nogami.

Na to głupek odpowiedział mu:

— Mam tylko ciasto upieczone w popiele i gorzkie piwo, jeżeli ci to będzie smakowało, możemy usiąść i zjeść.

Rozsiedli się, a gdy głupek wyciągnął swoje ciasto, okazał się to piękny jajecznik, a gorzkie piwo smacznym winem. Teraz obaj najedli się i napili, a potem karzelek rzekł:

— Za to, że masz bardzo dobre serce i chętnie podzieliłeś się tym, co ci matka dała, w zamian obdarzę cię szczęściem. Patrz, tam w głębi, w lesie, stoi stare grube drzewo, zrąb je, a w jego korzeniach coś znajdziesz.

Potem chłopczek pożegnał się z głupkiem, który za radą małego, siwego człowieczka udał się we wskazanym kierunku i zrąbał drzewo. Gdy ono upadło, zauważył w jego korzeniach świecącą się, bursztynową gęś. Zabrał ją i poszedł do gospody, gdzie zamierzał przenocować. Właściciel gospody miał trzy córki, które od razu zauważyły bursztynową gęś i porwała je ciekawość obejrzeć, co to za cudowny ptak. Każda z nich zapragnęła mieć jedno z jego bursztynowych piór. Uradziły, że znajdzie się okazja, aby je wyciągnąć.

Zdarzyło się, że głupek wyszedł na chwilę, wówczas najstarsza chwyciła gęś za skrzydło, ale natychmiast jej ręka na dobre przywarła do gęsi.

Wkrótce przyszła druga córka, która nie miała żadnych innych myśli, tylko aby zabrać jedno bursztynowe pióro. Zaledwie dotknęła ramienia siostry, mocno się przylepiła do niej. W końcu nadeszła trzecia córka i już miała zamiar sięgnąć po pióro, kiedy siostry zaczęły wrzeszczeć:

— Zostaw, nie dotykaj, idź precz, na miłość boską.

Ale ona nie mogła pojąć, dlaczego nie wolno jej się zbliżyć do gęsi.

— Nie życzą sobie, żebym ja też dostała swoją część — pomyślała. — Gdy one mają gęś, to i ja też mam prawo.

Ledwie trąciła swe siostry, przywarła do nich. Wszystkie trzy córki musiały całą noc pozostać przy gęsi. Następnego dnia rano głupek zabrał gęś na ramię, wcale nie troszcząc się o to, że dziewczyny, przyczepione do ptaka, musiały iść za nim, biegając to w prawo, to w lewo. Prowadził tę całą czeredę miedzą pośród zbóż. Na środku pola spotkał ich pewien proboszcz, gdy zobaczył aż trzy dziewczyny, rzekł:

— Wstyďte się, bezwstydnice, co wy tak wszystkie trzy lecicie za tym młodym człowiekiem.

Proboszcz był dobrego serca, skoro spostrzegł, że są one wszystkie sklezione, chciał najmłodszą uwolnić i dotknął jej ręki. Zaledwie ją trącił, przywarł do niej tak mocno, że musiał wraz z nimi iść za gęsią. Gdy podeszli pod kościół, kantor zauważył, że proboszcz idzie ślad w ślad za dziewczętami, zdziwił się okropnie i zaczął wrzeszczeć.

— Proszę księdza, dokąd tak szybko. Niech proboszcz nie zapomina, że mamy jeszcze dzisiaj ochrzcić dziecko.

Sądząc, że nie słyszy, podbiegł do idącej gromady i chciał proboszcza zatrzymać. Chwycił go lekko za ramię i też się przylepił. Razem z głupkiem i z gęsią siedmioro ich tworzyło pochód.

Tak weszli do miasta, gdzie rządził pewien król, który miał piękną córkę, ale zawsze bardzo poważną. Jeszcze nigdy na jej twarzy nie pokazał się uśmiech. Dlatego też król wydał dekret zapowiadający, że kto jego córkę potrafi rozśmieszyć, ten będzie mógł pojąć ją za żonę. Jak to usłyszał głupek, stanął się przed obliczem królewskim, ze

swoją gęsią i całą przyklejoną do niej gromadą. Królowna na ten widok parsknęła głośnym śmiechem i żadną siłą nie mogła go powstrzymać. Wtedy głupek zażądał, aby piękna królowna została jego narzeczoną. Ale królowi nie spodobał się przyszły zięć, postawił więc różne inne warunki i rzekł:

— Zezwolę, o ile ów młodzieniec sprowadzi człowieka, który wypije całą piwnicę wina.

Głupek pomyślał o siwym chłopczku i w poszukiwaniu pomocy udał się do lasu. Na miejscu, gdzie zrąbał drzewo ukrywające cudowną gęś, zauważył człowieka siedzącego z bardzo ponurą miną.

Zapytał go:

— Jakaż to ciężką sprawę masz na sercu.

Strapiony człowiek odrzekł mu:

— Mam ogromne pragnienie i nie mogę go niczym ugasić, nie znoszę bowiem zimnej wody. Wypiłem już niejedną stągiew wina, ale cóż, to tyle znaczy, co jedna kropelka na gorący kamień.

— Mogę ci powiedzieć, gdzie możesz napić się wina — rzekł głupek — pójdziesz ze mną do miasta, na zamek królewski. Tam ugasisz pragnienie.

Wprowadził do królewskiej piwnicy spragnionego człowieka, który wypróżniał po kolei stągwie i kwarty, pił i pił, aż go zaczęło boleć w boku. Skoro dzień minął, w piwnicy stały wypróżnione naczynia.

Wówczas głupek po raz drugi zażądał królewskiej córki. Król okropnie się rozgniewał, że taki nikczemny młodzieniec, którego każdy nazywa głupkiem, chce zabrać mu jego córkę. Postawił więc nowe warunki. Tym razem zażądał, aby znalazł on człowieka, który by potrafił zjeść całą górę chleba. Głupek pomyślał i znów udał się do lasu, gdzie na tym samym miejscu zastał człowieka, który ścisnął sobie brzuch silnym rzemieniem, mając przy tym niezwykle strapioną minę.

— Zjadłem cały piec suszonych gruszek i cały piec rumianego chleba, a mimo to wciąż jestem głodny jak wilk.

— Nie ociągaj się więc i chodź ze mną, zaprowadzę cię tam, gdzie najesz się do syta.

Zawiódł go na dziedziniec zamkowy. Król kazał zwieźć wszystką mąkę z całego państwa i napięć

chleba wysoką górę. Chłop z lasu pokłonił się królowi i rozpoczął zajadać. W ciągu jednego dnia cała góra chleba znikła w brzuchu głodomora. Teraz głupek po raz trzeci zażądał ręki pięknej królewny, ale król i tym razem uciekł się do wybiegu. Zażądał od głupka, aby dostarczył mu taki statek, w którym mógłby wypływać na morze i jeździć po lądzie. Głupek ruszył wprost do lasu, z daleka poznał go siwy karzelek, który rzekł mu:

— Dla ciebie piłem, dla ciebie jadłem, a teraz dostarczę ów dziwny statek też tylko ze względu na ciebie, bo okazałeś mi miłosierdzie.

Chłopiec dał głupkowi statek, który jeździł po lądzie i pływał po morzu. Jak król go otrzymał, nie mógł już więcej odmawiać ręki swojej córki. Odkonczyło się bardzo uroczyste wesele, a po śmierci króla głupek odziedziczył bogate królestwo i żył bardzo długo z królewską córką jako swoją małżonką.

Jak chłop przechrzył diabła

Jeka urodził się w Chłapowie, był małego wzrostu, a miał brata bardzo wysokiego, dlatego nazywano ich Maluśki Jeka i Wielki Jeka. Maluśki Jeka na starość pasał gęsi, których nawet nie mógł dogonić. Zbierało się przy nim wielu pastuszków, którzy razem pilnowali swoje stadka i gęsi starego Maluśkiego Jeki, a ten opowiadał dzieciom baśnie i legendy.

W latach młodości Maluśki Jeka przedstawiał nie byle jaką wartość. Został porwany przez Prusaków do wojska, brał udział — jak opowiadał — w słynnej bitwie pod Saint-Privat, walczył na bagnety i szedł na oślep na francuskie okopy na wzgórzach pod Metz, gdy generał Karl von Steinmetz kazał rżnąć Polakom w niemieckim wojsku *Mazurka Dąbrowskiego*: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Maluśki się wówczas ucieszył i pomyślał sobie, już nadeszła chwila! Ale nic w tym roku się nie zmieniło, nawet deszcz padał dalej. Teraz siedział otoczony pastuchami i opowiadał swe przeżycia oraz zasłyszane historie.

Było to kilka tysięcy lat temu, gdy Michał Archanioł stracił nieposłusznych i głupich diabłów do piekła. Teraz diabły postanowiły się zemścić i robiły wszystko, żeby ludzkość nie mogła wrócić do nieba, lecz by smażyła się w otchłaniach piekielnych. Ludziom na ziemi zaczęło się coraz gorzej powodzić, nachodziły klęski gradobicia, nawałnice grzmotowe, tajfuny i trąby morskie ciągnęły nad całymi połaciami kraju, nie omijając gór ani dolin, miast czy wsi. Stąd też dotykały ludzi wielkie nieszczęścia, plagi głodu, morowe zarazy i wojny, szerzyły się nędza i rozpacz, płacz i narzekanie w krainach leżących od nas na zachód oraz za głębokimi i wzburzonymi morzami.

Nasz kraj zamieszkiwali sami kmiotkowie i rybacy, toteż omijały go wszystkie klęski i plagi. Był niegdyś bardzo szczęśliwy, każdy zajmował się uprawą roli i pracował na kawałek chleba, a wdzięczna ziemia tak rodziła, że zbiór jednoroczny wykarmiał swoich obywateli i jeszcze zamorszych ków żywił. Jak często nasze morze bieleło się, wzdłuż brzegu toczyły się ogromne bałwany. Potem trąby morskie ustawały i gdzie się podziały, nikt nawet nie wiedział. Robiła się głada, rybacy wychodzili na swoje tonie z dużymi laskorniami i zaciągami wyławiali ogromne ławice łososia.

Diabły, które zamieszkiwały strony cieplejsze, zasłyszawszy od kupców o naszym kraju. Lud strzegł go od najazdu pieczelników, oddając Bogu cześć i chwałę. Ale zdarzyło się, że w okresie świąt Bożego Narodzenia, gdy lud polski oddawał cześć Nowonarodzonemu, naszła na kraj okropna zadyмка śnieżna, a morze ryczało, jakby świat się walił. Kilku potomków diabłów, których święty Michał z Archaniołami wyrzucił z nieba, zdołało się wdrzeć dolinami, lasami na ziemię zamieszkałe przez rybaków. Jednak wobec ich cnót, prawości, dobroci, męznego ducha, diabły były głupie, bezradne, a nieraz prostackie i pocziwie naiwne. Rybak czasem diabła oszukał, schwycił go za rogi i ogon i z całej siły grzmotnął nim o ziemię lub o kamień. Już dużo później, kiedy ludzie zaczęli pisać książki, diabły rzuciły się do ich czytania i z czasem tak zmadrzały, że biedny nasz lud już ledwie mógł im podołać. Zapanowała chytrność i zdrada.

Otóż przed owym to jeszcze czasem, kiedy diabeł mądry był po zamorsku, a po naszymu głupi, jeden rybak znalazł sposób na diabła. Mógł go dzięki temu zawsze i wszędzie widzieć i bardzo mu doku-
czać. Sposób to taki: jeżeli diabeł jest w postaci ludzkiej, spójrz mu w oczy, w oczach ludzkich ujrzysz samego siebie, a w diabelskich bezdenną przepaść. Jeżeli zaś diabeł ukrywa się pod postacią niewidzialną, weź kurzy nosek i w Wigilię Bożego Narodzenia noś go przy sobie. Pójdź do karczmy i spójrz przez dziurkę od klucza lub przez dziurkę po sęczku. Jeśli jest tam diabeł, ukaże ci się w całej okazałości. Rybak, który znał ten sposób, wchodził do karczmy, chwycił diabła za rogi, siadał na nim okrakiem i hasał po karczmie, a wszystkim się zdawało, jakoby on na kiju jak dziecko jeździł. Nieraz nawet, gdy chciał wypłynąć na morze, ująwszy diabła za rogi, zaprowadził go do swojej ciężkiej łodzi i kazał mu ją ściągnąć. Dokuczyły diabłu te figle rybaka, zabolał go kark od twardego jarzma, poszedł więc do rybaka i poprosił, by za jaką bądź cenę zawarł z nim umowę i przestał go prześladować.

Gdzie tam! Rybak ani myślał, wziął zatem diabeł na rozum i powiada:

— Kiedy już chcesz koniecznie, bym ci służył, niech przynajmniej pracuję dobrowolnie, a nie z przymusu. A za każdym razem dzielimy się po połowie tym, co złowimy.

— Zgoda — odrzekł rybak — ale zrobimy umowę z góry, jak mamy dzielić zdobycz, żeby później nie było kłótni.

Diabeł rad, że go do pługa rybak zaprzęgać nie będzie i jeździć na nim w karczmie, przystał na wszystko.

— Co będziemy robili? — zapytał diabeł.

— A cóż, nawarzymy piwa i leżąc będziemy sobie popijać.

— A jak będziemy dzielić.

— O tak, my, rybacy, mieszkamy na wierzchu ziemi, a wy, diabły, skwarzycie się w piekle pod ziemią. Piwo zatem z wierzchu dla mnie, a z dołu dla ciebie. Uwijaj się, przynieś kocioł, chmiel i słód.

Wszystko, co było potrzebne, diabeł przyniósł i wkrótce piwo było gotowe. Rybak zlał dla siebie

piwo, a diabłu dał ze spodu drożdży. Rybak zaczął popijać musujące piwo, a diabeł ciągnie męty drożdżowe.

— E, coś piwo gorzkawe — odzywa się diabeł.

— To nic — odrzekł rybak — cokolwiek zanadto chmielu, ale za to na żołądek zdrowe.

— Aj, człowiecze, bieda.

— Co za bieda? — zapytał rybak.

— Brzuch boli — odrzekł diabeł.

— E, głupstwo, poboli i przestanie — stwierdził rybak.

— A tak, przestanie, łatwiej ci to mówić, jak mnie cierpieć.

— Widać, żeś przebrał miarkę, trzeba było być cokolwiek wstrzemięźliwszym, a teraz nie ma nad czym biedować, zacznij biegać i przejdzie.

Diabeł skurczył się w pałak, chwycił się oburącz za żołądek i wybiegł. Za kilka dni przychodzi do rybaka i użala się, że choć w nim diabelska siła, nie mógł znieść skutków piwa, tak go wydeło i inne dziwa z nim wyprawiało.

— Rozumiesz, człowiecze — mówił diabeł dalej — sobie wzięłeś z wierzchu, a mnie dałeś ze spodu.

— Głupiś, diable, kiedy tak mówisz — odrzekł rybak. — Wszakże powiedziałeś, że nie lubisz piany. Dlatego sam wzięłem piwo z musu, a tobie oddałem z mętami, drugi raz wszystko, co będzie z wierzchu, oddam tobie. Będziemy łowić ryby.

Pobiegł diabeł nad morze, oglądnął sieci, ale podrapał się kopytem po zbolałym brzuchu i rzekł sam do siebie:

— Tu się diabeł nie wyzna, co może wpaść do sieci, a co może być w dole.

Rybak przywiązał lejce z pływakami do sieci, by zapuścić ją na dwa metry pod powierzchnię wody, gdyż był tęgi mróz. Wiedział bowiem, że łoś będzie się znajdować nieco głębiej, w ciepłej wodzie, ale wiedział też, że diabeł nie jest tak mądry i nie zna życia ryb. Wsiadł do łodzi, naturalnie, że diabeł do wiosła. Odbili od brzegu, diabeł wiostował z taką siłą, że przed dziobem szumiały dwa białe wąsy wody. Rybak zapuszczał liny pierwszego skrzydła, ledwie mógł nadążyć, gdy nagle coś huknęło i diabeł złamał oba wiosła, waląc się do łodzi.

— Teraz co?

— Nic nie wiem — odpowiedział diabeł.

— Zrobiliśmy zakład, jeżeli chcesz coś wygrać, musisz teraz jak ropucha posłużyć się łapami, w przeciwnym razie łódź nie będzie się posuwać.

Diabeł, który nie widział wyjścia, z radości aż podskoczył, trącił przy tym ławkę i złamał ją. Rybak chwycił stonogę i diabła w kark, ten aż się skulił.

— Dalej, dalej — krzyknął rybak — bo nas prąd zniesie.

Diabeł nie miał wyjścia, klęknął w łodzi, wyciągnął swoje pazury i zaczął nimi rozgarniać wodę. Kręcił łodzią na komendę rybaka. Tak objechali całą linię i dobili do brzegu.

— Ty będziesz tamtą linię ciągnąć — rzekł rybak — a ja tę tutaj.

Diabeł ciągnął, ile miał sił. Nie spodziewał się, że to będzie taka ciężka robota, szczególnie że lina rybaka także się naprężała. Ale chłop też nie był słaby i umiejętnie manewrował, znał się bowiem na tym. Diabeł stękał i ciągnął, aż naraz na swoim skrzydle wyłowił przedpotopowy wrak.

— Mamy coś dobrego — krzyknął do rybaka.

Tak dociągnęli sieć do samego brzegu. Wpierw wybierali pływaki na linkach, a potem diabeł szybko chwycił sieć.

— Nie ma nic — zarechotał diabeł.

Rybak udawał posmutniałego, diabeł zaś podszedł do wraku, obejrzał go, upewnił się, że chłop nic nie ma w sieci, i krzyknął:

— Cała zdobycz, którą linią uchwyciliśmy, należy do mnie, bo to, co na wierzchu, jest moje. — Moja wygrana, bo tak stoi umowa.

Rybak otarł ręką pot z czoła i ciągnął sieć, a raczej kutel sieci z dna morza. A diabeł uradowany już zadźwignął na plecy cały wrak i chciał z nim wracać do domu. Wtem ujrzał, że rybak dociągał sieć i w niej wypłynęło na powierzchnię masę łososi. Diabłowi zaraz wrak z pleców spadł.

— Czyja wygrana? — drwiąc rybak zapytał się diabła.

— Nie rozumiem tej całej sprawy — odmruknął diabeł — nie miałeś nic, a tu nagle takie okazałe łososie.

Na to rybak odezwał się:

— Ty swoje wzięłeś z wierzchu, a ja łososie wyciągnąłem z dna.

— Dałem się nabrać, ale już więcej nie ma mowy.

Słońce wytoczyło się z morza i jak na tę porę roku, zaczęło niesamowicie dopiekać, z morza aż się kopało.

— Łosoś wypłynie na powierzchnię — domyślał się rybak.

Na drugi dzień zawołał diabła i rzekł:

— W myśl umowy będziemy dalej łowić. Jak tym razem wygrasz, to już mnie zabierzesz na wszystkie czasy do piekła, a jeżeli ja wygram — rzekł chłop — to przepędzę cię też na wieczne czasy.

— Ty nie możesz wygrać — odezwał się diabeł. — Jutro, jak skończymy połów, to polecę z tobą do piekła. Tam ciebie będę smażyć na patelni, podlewać tłuszczem z grubych pasibrzuchów.

Rybak wiedział, że sieć trzeba uszykować tak, żeby pływała po samym wierzchu, bo woda jest nagrzana.

Diabeł radośnie rechotał, gdy widział, jak chłop zastawia sieć, która pływa na powierzchni.

— A co dla mnie będzie — zapytał się przezorny diabeł.

— Wszystkie ryby, które się będą od dna trzymać zębami jadra, by cokolwiek dostać ciepła.

Diabeł się ucieszył, bo widział, że podczas poprzednich połowów na powierzchni nie było ani rybki. Kiedy znów ciągnęli do brzegu, tuż przy samym zolozu woda zabłysła od srebrnych łososi. Wszystkie pływały pod powierzchnią. Gdy wyciągnęli sieć na brzeg, diabeł zauważył, że w samym jadrze, pod spodem, było aż gęsto od diabłów morskich. Miały one również rogi, jak te z piekła, ale mimo to diabeł okropnie się cieszył.

— Zabieraj teraz swój połów, masz tego pod dostatkiem — rzekł rybak.

Diabeł zaczął chwycać jednego rogowca morskiego za drugim, kłutł sobie przy tym paluchy, dmuchał w dłoń, wycierał ją w piekielne spodnie. Zanim niewinne rybki wybrał, już prawie wyciekła z niego krew. Rybak w tym czasie ułożył łososie do skrzyń, po czym kazał diabłu, aby też i swoją zdobycz poskładał. Postawili żagiel i pruli do Gdańska, bo

była zima i rybny rynek był całkiem pusty. Rybak wystawił łososie na feshmarku, a diabeł swój złowiony towar również postawił na stoisku, by go sprzedać. Do rybaka przybyli kupcy strojni, brodac i bez bród, ofiarowali mu przyzwoitą cenę, bo towar był piękny, miał pojechać w obce kraje, aby były dewizy. A diabła towaru nawet głodny pies by nie żarł. Gdy rybak już pieniądze zakasował, a diablówi na jego towar jeszcze się pysk krzywił, podeszła straż feshmarku i zmusiła diabła, żeby usunął swój nic niewarty towar. Za zanieczyszczenie rynku wystawili mu mandat stuzłotowy. Tymczasem rybak już wsiadł do swojej łodzi i krzyczał do rogatego diabła.

— Siadaj, będziemy wracać, bo słońce nad zachodem.

Przybyła w tym czasie gdańska straż portowa i zauważyła, że ten chudy rybak ma zamiast butów rybackich końskie kopyta. Toteż wyciągnęli pałki gumowe i tak go złali po rogach i wszędzie, gdzie popadło, że diabeł nie mógł trafić do łodzi. Rybak zaś porwał bekę, rąbnął go w kark, że ten nawet nie charknął. Wciągnął diabła do łodzi z myślą, że jak tylko wypłynie z portu, wyrzuci go za burtę. Skoro minęli latarnię Wisłoujście, rybak wyciągnął różaniec i zaczął paciorki przebierać, dziękując cudownej Matce swarzewskiej za udany połów i sprzyjającą pogodę. Diabeł, który leżał jak nieżywy, zaczął się naprężyć i nagle wyprostował swój ogon, wyskoczył z łodzi i pomknął, gdzie pieprz rośnie. Od tego czasu już diabły zaprzestały nACHODZIĆ rybaków — zakończył swoje opowiadanie Maluśki Jeka.

Rybacy w opałach

Trzech było rybaków, dwóch z Kuźnicy, a jeden z Tupadeł, który nazywał się Dettlaff, a miał przydomek Korkowy. Kiedy nastała bieda, bo ryb, mimo ich obfitości, nie było gdzie sprzedać, wszyscy trzech wybrali się do Gdańska i podjęli pracę na statku kupieckim. Była to szlara, która gotowała

się do drogi. Pod żaglem wypłynęła w daleki świat. Kiedy znaleźli się w pasie tropikalnym, zabrakło załozde wody. Zdawało się, że przyjdzie jej umrzeć z pragnienia. Składała się ona z sześciu członków i kapitana. Na szczęście zauważyli jakąś wyspę. Kapitan postanowił wówczas spuścić szalupę. Trzej rybacy z beczką zjechali na ląd w poszukiwaniu wody do picia, o którą niezmiernie trudno było w tej tropikalnej strefie.

Długo chodzili po wyspie, szukając źródła. Wędrując tak, natrafili na jednookiego pastucha, pasącego stado owiec. Podeszli do niego w przekonaniu, że musi wiedzieć, gdzie tu jest woda, skoro strzeże owiec i przecież na pewno poi je. Kuźniczanie byli tęgimi chłopami — wysocy, prości i silni jak dęby — mieli szerokie bary. Jeden z nich dla żartu chwycił jednookiego pastucha i zaczął go drażnić. Jednooki znosił to cierpliwie, ale w końcu przebrała się miarka, tych żartów było mu za wiele. Podniósł się, nastąpił drągalowi na nogę, drugą chwycił rękoma i rozerwał go na połowę. Marynarze zdrtwili, opętani strachem. Jednooki złapał ich za karki i powłókł do stojącej nie opodal szopy. Na jego rozkaz owce szły powoli za nim. Najpierw wrzucił marynarzy do szopy, a potem wpędził przez próg jedna za drugą wszystkie owce i zamknął wrota na dziwny zamek. Położył się i zasnął. Chrapał, aż się belki trzęsły.

Tymczasem dwaj towarzysze zaczęli zastanawiać się, w jaki tu sposób wydostać się z pułapki. Dziwnego zamku w żaden sposób nie mogli otworzyć. Ale w rogu szopy tlił się ogień. Postanowili więc wziąć leżący pod ścianą żelazny bolec, rozgrzać go do czerwoności i wypalić nim pastuchowi jego jedyne oko. Nie zwlekali ani chwili. Zabrali się do roboty. Kiedy rozpalili bolec do czerwoności, wrzucili go dzikusowi w oko i odskoczyli jak oparzeni. Pastuch ryknął, zerwał się z ziemi i zaczął ich gonić między owcami. Nie była to jednak łatwa sprawa złapać dwóch młodych marynarzy. Zadyszał się i usiadł. Rano otworzył drzwi. Na dany znak owce zaczęły wychodzić. Ustawił się w drzwiach i wypuszczał je między rozstawionymi nogami.

— Teraz ten purtk nas złapie — rzekł kuźniczanin do Korkowego.



Dzikus obmacał każdą owcę, sprawdzając, czy to aby nie wychodzi jeden z nich.

Marynarze stali w kącie szopy, postanowili jednak nie czekać, co będzie dalej, i uknuli plan ucieczki. Korkowy wziął jedną owcę na plecy i na czworakach zaczął się posuwać ku wrotom. Pastuch obmacał grzbiet owcy i przepuścił ją. Dettlaff odetchnął z ulgą i stanął z boku, koło szopy. Obejrzał się, a drugi marynarz właśnie przesuwiał się między nogami pastucha, ukryty pod ostatnią owcą. Nim ślepiec zauważył podstęp zbiegów, zerwali się oni do ucieczki i pognali do łodzi. Pastuch stał przy szopie i z wściekłości wył jak lew. Marynarze skoczyli do czółna i odpłynęli. Na brzegu tymczasem pojawiła się cała zgraja dzikusów, mieszkańców tej wyspy, ale nie mogli już ich dośledzić.

— Szczęście, że nam się udało zbiec, bo mieliby z nas jadło.

— Ale diubła miał zażarty ten jednooki, że on

mojego drecha z tej samej wsi na połowę rozerwał. Przecież był z niego silny chłop.

— A wody jak nie ma, tak nie ma — rzekł Korkowy, gdy już podpływali pod szlarę.

Kapitan natychmiast kazał podnieść kotwicę i szlara odpłynęła w północnym kierunku, gdzie dobiła do lądu.

Garnku, gotuj!

Pewna wdowa mieszkała z trojgiem dzieci, którym nie miała co dać jeść. A tu przyszedł biedny wędrowiec żebząc o kawałek chleba. Był już stary i niedołężny, nie mógł więc nic zarobić.

— Mam tylko ten kawałek chleba, weźcie, a dla moich dzieci jakoś Pan Bóg da.

Wędrowiec chwycił swą torbę i wyciągnął z niej piękny błyszczący garnek.

— Dam wam, dobra kobieto, ten garnek. Mając go w domu nigdy nie zaznasz głodu, nie zabraknie żywności dla twoich dzieci. Należy tylko powiedzieć: „Garnku, gotuj”, to garnek nagotuje, co tylko zechcecie, kaszę, jarzyny, owoce. Nawet i kurczaka w nim nie zabraknie. I wy, niewiasto, i dzieci będziecie mogli najeść się do syta. Gdy wam starczy jedzenia, powiecie: „Garnku, dość”.

Niebawem kobieta postawiła garnek na stole i w myśl zalecenia owego proszącego dziada rzekła:

— Garnku, gotuj kaszę.

W garnku zaczęło wrzeć, aż się serce radowało. Biała zupa rosła w oczach, biała, bo oczywiście kasza była na mleku. A gdy już prawie cały garnek był pełen, wdowa rzekła:

— Garnku, dość.

Potem postawiła na stole talerze, nalala każdemu kaszy, i dzieci zaczęły jeść.

— Jaka słodka — chwaliły — jak pięknie pachnie, są w niej jakieś malutkie ziarenka i listki, wspaniałe to jadło.

Następnego dnia kobieta zaciekawiona, co też garnek potrafi ugotować, rzekła:

— Garnku, ugotuj nam kurczaka.





Postawiła pół garnka wody i naraz zauważyła w niej tłuste, żółte kurczaki, aż ślinka leciała. Nie trwało długo, a mięso już było miękkie. Niewiasta podzieliła kurczaki między wszystkie dzieci i jeszcze dla niej pozostał jeden.

— Będzie teraz u nas życie lepsze niż u bogatych gburów.

Garnek codziennie gotował na przemian to wieprzowinę, to cielęcinę, to baraninę, co tylko kobieta potrafiła wymyślić. Pewnego dnia musiała pojechać do miasta, a dzieci zostawiła same w domu. Odchodząc rzekła im:

— Słuchajcie, dzieciaki, gdy będziecie głodne, wystawcie garnek i powiedzcie: „Garnku, gotuj”. Najlepiej to poproście o kaszę.

Zgodnie z poleceniem matki najstarsza z dziewczynek wystawiła garnek i rzekła:

— Garnku, gotuj kaszę.

Garnek zaczął po dawnemu gotować, aż w nim bulgotało. Strawy było w nim już prawie po brzegi, a dzieci nie wiedziały, jak go zatrzymać, bo matka zapomniała im o tym powiedzieć. Przemawiały do garnka różnymi słowami, ale ten nie rozumiał ich mowy, więc nadal gotował. Potrawa wykpiwała na stół, ze stołu na podłogę, w końcu przelewała się, niczym wodospad. Dzieci uciekły przed powodzią kaszy i wypadły na dwór. Kasza przez drzwi strugami płynęła na podwórze. Dzieci zaczęły krzyczeć, przybiegli na ratunek sąsiedzi, ale żaden z nich nie znał sposobu na zatrzymanie tajemniczego garnka. Różnie gadali: „garnku, zaprzestań, jest kaszy dosyć”, „garnku, nie gotuj”. A trzeba było powiedzieć: „garnku, dość”. Tego nikt nie wiedział. W końcu cała droga była zalana. Wszyscy mieszkańcy wyszli z domów i uciekali przed powodzią kaszy.

Nareszcie przyjechała matka dzieci, chwyciła się za głowę, widząc wylew kaszy, i szybko zatrzymała garnek. Konie, które miały poparzone nogi, rżały z bólu, psy obżarte kaszą wyły z przejedzenia. Mieszkańcy z dalszych okolic nosili wiadrami kaszę i lali ją do beczek, ale wnet i do nich powódź dotarła. Garnek swoje nagotował. Kasza gęstniała. Straże pożarne zjechały z całej okolicy i wypompuwały kaszę z zalanych domów.

Kasza na drodze leżała, każdy, kto jechał do miasta, musiał wpiąć ją zjeść, aby oczyścić sobie drogę. A garnek, zmęczony nadmierną pracą, zaprzestał gotować.

Ponownie nędza zapanowała u wdowy, jej dzieci znów głodowały, ale przyszedł po prośbie dziad i uruchomił garnek. Teraz wdowa dobrze wyuczyła dzieci, jak mają się z garnkiem obchodzić. Odtąd mogła dom zostawić na dwa, trzy dni i iść, dokąd chciała, a dzieci same sobie radziły.

Sprawiedliwości zawsze stanie się zadość

Był sobie pewien myśliwy, który miał syna. Uczył go swojego zawodu. Gdy czas nauki minął, syn postanowił iść w obce strony, aby się czegoś więcej nauczyć i zwiedzić kawał świata. Ojciec zgodził się na to, kupił mu nową odzież i dał na drogę nieco grosza. Syn wyruszył w świat i wędrując dotarł pewnego wieczoru do gospody, gdzie w izbie siedział tylko jeden obcy gość. Przysiadł się do niego i zaczęli opowiadać sobie różne nowinki i przygody. Wreszcie zeszli na temat prawa i sprawiedliwości. Gość był zdania, że sprawiedliwość nie istnieje i że za pieniądze największe nawet bezprawie może ująć bezkarnie. Myśliwy wręcz przeciwnego był zdania, uważał, że sprawiedliwości zawsze musi się stać zadość. Nie mogli dojść do porozumienia. Wreszcie obcy poddał myśl, aby poszli o zakład, postawił trzysta talarów. Myśliwy, nie mając pieniędzy, założył się o własną głowę, obcy przystał na to. Uzgodnili, że o zdanie zapytają trzech adwokatów. Następnego dnia poszli do miasta i zapytali adwokata:

— Kto ma słuszość?

— Ten odparł, że za pieniądze da się odwrócić wyroki sprawiedliwości.

Potem odszukali następnego prawnika, który też był tego samego zdania. Wreszcie znaleźli trzeciego. Także i ten powiedział im:

— Za pieniądze można odwrócić wyrok sprawiedliwości.

Gdy wieczorem znów spotkali się w gospodzie, obcy zapytał:

— No i co? Teraz już chyba wierzysz, że za pieniądze nawet największe bezprawie może ująć bezkarnie.

— Ponieważ tak mówi trzech adwokatów, muszę w to uwierzyć, pomimo że nie mieści się to w mojej głowie.

Tak myśliwy przegrał zakład. Obcy był skłonny darować mu głowę w zamian za trzysta talarów, lecz ten ich nie posiadał. Gdy tak rozmawiali, przysiadł się nowy gość. Kiedy dowiedział się, o co chodzi, zaczął ich namawiać, żeby nie zmieniali warunków zakładu i zostali przy tym, co postanowili. Myśliwy przegrał głowę i musiał ją oddać. Obcy wcale tego nie chciał, ale nowy gość w dalszym ciągu tak go podjudzał, że w końcu myśliwego pozbawili wzroku.

— Jeżeli znowu przejrzyś na oczy, to uwierzę, że na świecie zawsze sprawiedliwości staje się załość — powiedział obcy.

Tak więc myśliwy został ślepcem, a chociaż zapadł już wieczór, nie chciał ani chwili dłużej pozostać w gospodzie, gdzie tak nikczemnie z nim postąpiono. Poprosił gospodarza, aby wyprowadził go z domu na drogę wiodącą do miasta. Jednak ten również był szelmą i wskazał mu drogę, która prowadziła do szubienicy. Z trudem myśliwy szedł po omacku wskazaną drogą, niebawem znalazł się na łysym wzgórzu i nie wiedział, jak dalej iść. A że był bardzo umęczony i smutny, położył się gdzie bądź. Miał nadzieję, że następnego dnia będzie tędy ktoś przechodził i pomoże mu. Posłyszał, jak z oddali zegar wybija jedenastą. Po chwili w pobliżu coś cichutko zatrzeszczało. Wkrótce doszedł go tupot lekkich kroków, a potem drugi i trzeci. Były to duchy, które tutaj się spotykały. Teraz usiadły blisko niego, tak że słyszał każde ich słowo.

— Właśnie mija rok, jak tutaj spotkaliliśmy się ostatni raz i opowiadaliśmy o naszych sprawach. Dziś nadszedł czas, aby każdy z nas opowiedział, jaką najlepszą sztuczkę wyprawił w tym roku. Duchy zaczęły sobie opowiadać:

— Ja — mówił pierwszy — pozbawiłem wody mieszkańców miasta Ramula. Jeszcze do dziś nie

wiedzą, w czym rzecz i dlaczego źródła wyschły.

— Jak to było? — zapytał się drugi.

— Posadziłem na źródle ropuchę. Gdy się ją usunie, woda znów popłynie.

Z kolei drugi duch opowiadał:

— Rzuciłem czary na księżniczkę w Sarachowinie, straci swą urodę i wyschnie, że zostaną z niej same kości. Można by ją przed tym uchronić, ale wpieryw trzeba wyciągnąć srebrny gwóźdź ze ściany nad jej łóżkiem.

— Ja dziś — rzekł trzeci duch — podjudziłem człowieka, żeby pozbawił wzroku jakiegoś wędrownego myśliwego, który przegrał zakład. Mógłby go odzyskać, gdyby przemył oczy wodą ze źródła, które płynie tu blisko szubienicy.

Wkrótce wybiła północ i duchy znikły. Myśliwy dobrze wszystko zapamiętał, co mówiły. Najbardziej ucieszyło go to, że może odzyskać wzrok. Ledwie nastał ranek, rozległ się turkot przejeżdżającego wozu. Myśliwy przywołał furmana i zapytał go o źródło. Woźnica jednak nic o nim nie wiedział i pojechał dalej. Myśliwy pytał o źródło wszystkich ludzi, którzy tędy przejeżdżali, żaden z nich nie słyszał nigdy o źródle w pobliżu szubienicy. Tak biedny ślepiec przesiedział na skraju drogi aż do południa. Był już bliski zwątpienia, gdy nadeszła jakaś staruszka, która знаła źródło i zgodziła się tam zaprowadzić myśliwego. Kiedy przetarł oczy wodą, odzyskał wzrok.

Natychmiast rozpytał u ludzi, gdzie leży miasto Ramula, i nie zwlekając wyruszył w drogę. Kiedy przybył na miejsce, od razu zaofiarował miastu pomoc w odzyskaniu wody. Burmistrz tylko pokiwiał głową i rzekł:

— W ciągu ostatnich miesięcy było tu już wielu, którzy nam to obiecywali. Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy i nikt niczego nie dokonał. Nie chcemy więcej próbować.

Myśliwy odparł, że nie żąda pieniędzy. Prosi tylko o kilku mocnych pachołków do pomocy, to mu wystarczy. Burmistrz zgodził się na to. Myśliwy poszedł z nimi do miejsca, gdzie woda ze źródła wpływa do drewnianych rynien, i kazał im ryć w ziemi. Gdy już prawie dokopali się do źródła, odesłał pachołków i sam zaczął odrzucać ziemię. I oto na

źródle siedziała ropucha i była wielka i gruba jak kocioł, a gdy ją odepchnął, trysnęła woda do rynien, wkrótce wszystkie studnie w mieście napęliły się po brzegi. Na cześć myśliwego burmistrz wydał ucztę i wynagrodził go po królewsku.

W kilka dni później myśliwy udał się w drogę do Sarachowiny. Usłyszał tam, jak ludzie opowiadali sobie na uliczkach i w gospodach, że księżniczka jeszcze jest bardzo chora i żaden lekarz nie potrafi jej pomóc. Król już dawno ogłosił, że ten, kto uwolni od choroby jego córkę, otrzyma ją za żonę. Myśliwy ubrał się w wytworne szaty i poszedł na zamek, tam oznajmił, że przybył z daleka, aby pomóc księżniczce. Na to król odparł:

— Prawie straciłem już wszelką nadzieję, ale jeszcze tym razem zgadzam się na próbę.

Myśliwy zapowiedział, że musi jeszcze wrócić do miasta po swoje leki. Nakupił wszelkiego rodzaju słodyczy, potem kazał zapowiedzieć księżniczce swoje przybycie. Podał jej trochę smakołyków, które niby miały być lekarstwem, a jednocześnie szukał belki, w której mógłby tkwić srebrny gwóźdź. Wreszcie go spostrzegł, ale nie mógł go wyjąć. Na drugi dzień zdołał uchwycić srebrny gwóźdź, szarpał nim tak długo, aż go trochę obluźował. Już tego dnia księżniczka poczuła się trochę lepiej. Trzeciego dnia znów ją odwiedził. A gdy ona zażywała jego leki, chwycił za gwóźdź i tym razem wyciągnął go, i ukradkiem włożył do kieszeni. W południe księżniczka była już zupełnie zdrowa i zażądała jedzenia.

Król wydał ucztę na cześć swej córki i myśliwego, który ją uzdrowił. Podczas biesiadowania ustalono, że wkrótce odbędzie się ich ślub. Myśliwy jednak poprosił o zwłokę, ponieważ chciał przedtem odwiedzić swój dom. W drodze powrotnej wstąpił do owej przydrożnej gospody, gdzie swego czasu pozbawiono go wzroku. Znów zastał tam gościa, z którym kiedyś przegrał zakład. Również i tym razem opowiadali sobie różne nowinki. Myśliwy o swoich dziwnych przygodach. Na koniec zapytał owego człowieka, czy teraz już wierzy w sprawiedliwość. Gość zaś z zadziwieniem wysłuchał opowieści, po czym rzekł:

— Tak, wierzę.

Konkury

Pewien zamożny gospodarz miał trzech synów. Dwóch z nich było bardzo sprytnych, którzy przynosili ojcu pożytek w gospodarstwie, a najmłodszy z nich był nie tylko leni, ale jeszcze do tego głupkowaty. Jan, bo tak było na imię najstarszemu synowi, wykonywał wszelkie roboty domowe, zaś drugi syn, który miał na imię Roman, załatwiał wszelkie sprawy poza domem.

Pewnego razu wrócił Roman z miasta i opowiedział o pięknej Hance, niezwykle urody księżniczce, która mieszka w szklanym zamku, a ojciec chce ją wydać za męża. Zapowiedział, że ten dostanie ją za żonę, który pierwszy zjawi się u bram szklanego zamku. Zamek stał na wysokiej i stromej górze, dojście do niego było niezwykle uciążliwe.

Jan i Roman postanowili wziąć udział w wyścigu do szklanego zamku, gdzie książę zaprosił wszystkich młodzieńców z całych Kaszub. Bracia, zamierzając stanąć do zawodów, kupili najlepszą uprzęż dla koni, dla siebie wspaniałe szaty. Konie bardzo starannie wyczyścili zgrzebłem, oporządzili je i nakarmili obficie owsem, po czym założyli im bogatą uprzęż. Piotr podsłyszał, jak bracia starannie przygotowywali się na wyprawę do szklanego zamku, i sam nabrał chętki, by wziąć udział w konkurach, ale bał się, że bracia go wyśmieją. Trzy dni przed wyjazdem braci polecono mu zgrażyć siano na łące. Gdy już się zmęczył, położył się w cieniu brzoź, bo był straszny upał, i mocno zasnął. W nocy pojawił się na łące jakiś koń i zaczął się paść niedaleko Piotra. Najmłodszy syn gospodarza zerwał się ze snu i złapał rumaka za uzdę. Koń spłoszył się i zaczął uciekać, ale młodzieniec trzymał go mocno.

— Nie puszczę ciebie, mój bracie, za trzy dni pocwałuję na szklaną górę, też chciałbym wziąć udział w wyścigu.

— Jeżeli mnie puścisz, to za trzy dni wrócę pięknie osiodłany, a wtedy przyniosę ci wspaniałe strój — odpowiedziało zwierzę ludzką mową.

Piotr zastanowił się przez chwilę i puścił konia. Gdy nadszedł dzień wielkiego wyścigu, obaj bracia

wystroili się pięknie, jak tylko mogli. Także Piotrowi podobały się ich wytworne szaty. Wieczorem pobiegł smutny na łąkę, lecz konia nie było. Ledwie zasnął, usłyszał mocne rżenie. Przetarł szybko oczy i ujrzał pięknie osiodłanego rumaka, a do siodła miał przytroczonego wspaniałego strój. Złapał konia i wziął szaty, ale były one tak bogate, że nie umiał sobie z nimi poradzić. Minęła noc. O świcie wraz z innymi młodzieńcami przycwałował pod szklaną górę. Prześcignął braci, jak wichur pokonywał pagórki, doliny i wreszcie wspinał się na szklaną górę. Stał przed szklaną bramą, która sama otworzyła się przed nim z łoskotem. Tam oczekiwała go piękna księżniczka ze swym ojcem i służbą. Wszyscy się mile do niego uśmiechali.

Ojciec zapytał uprzejmie o jego pochodzenie.

— Pochodzę z Rudnicy — odparł Piotr.

Jednak o takim zamku książe nigdy nie słyszał. Chciał wprawdzie dowiedzieć się o młodzieńcu coś bliższego, zanim odda mu swoją córkę. Książe podarował mu złoty zegarek, a jego córka włożyła na jego palec złoty pierścień. Młodzieniec wrócił do domu. Koń zawiózł go na łąkę i przyrzekł znowu, że zjawi się za trzy tygodnie.

Jan i Roman opowiadali rodzicom o wyścigu i mówili:

— Jakiś na złotym koniu cwałował tak szybko, że aż kamienie fruwały. Nasz kasztanek był cały czas pierwszy, ale pod koniec nie zdołał przeskoczyć parowu. Szkoda, bo bardzo się wszystkim podobał. Chwalili jego nogi i lśniący zad.

— Piotrze, nie patrzyłeś na wyścigi? — zapytał Roman.

— Oczywiście, że patrzyłem. Pierwszy jeździec miał cudnego konia i pyszny strój — odparł Piotr.

Po trzech dniach zawitała do nich wytworna pani i zapytała:

— Szukam zamku w Rudnicy, wskażcie mi drogę.

Lecz ani ojciec, ani Jan, ani Roman nie słyszeli o takim zamku. Wreszcie zawołali Piotra. Wytworzona pani rozpoznała go, mimo jego brudnych spodni i usmolonego ubrania, i wskazując na palec zapytała:

— Co tam masz?

— Ach — burknął Piotr — skaleczyłem się pilnikiem i przyłożyłem trochę tłuszczu.

O nic więcej nie pytając odeszła. Gdy minęły zapowiedziane trzy tygodnie, Piotr znowu o północy położył się do snu na łące. Zbudził go mały człowieczek. przyniósł mu nowe złote szaty, kazał mu wsiąść do powozu zaprzęgniętego w cztery konie i rzekł:

— Udać się teraz do szklanego zamku, ale każdego napotkanego żebraka musisz zabrać ze sobą.

Po chwili Piotr spotkał kulawego wędrowca, którego zapytał:

— Kto ty?

— Taki, co potrafi dużo wypić.

— Wsiadaj — rozkazał — możesz mi się przydać.

Potem ujrzał żebraka z wielką gębą.

— A ty kto? — zagadnął go.

— Taki, co potrafi wiele zjeść.

— Wsiadaj — rzekł — możesz mi się przydać.

Później spotkał jeszcze biegacza, siłacza i krzykacza. Wszystkich zabrał ze sobą. Przed wschodem słońca znaleźli się o jakąś milę przed zamkiem. Powóz Piotra musiał się jeszcze przedrzeć przez gęsty las. Na drodze leżały powalone pnie drzew i powóz utknął. Wtedy siłacz rzekł:

— Jeżeli chcesz, droga będzie wolna.

Wyskoczył z powozu i porzucił pnie na obie strony drogi. Jeszcze przed wieczorem dotarli do bram szklanego zamku. Piotr uśmiechnął się znacząco, gdy młoda dama ujęła go za rękę, ale ojciec wtrącił:

— Ponieważ nie wiem, kim jesteś, musisz wykonać trzy zadania, zanim wyprawimy zaręczyny. Oto pierwsze: kazałem upiec dwanaście chlebów po dwanaście funtów każdy. Ty i twoi ludzie musicie je zjeść w ciągu trzech dni.

Nie zastanawiając się długo, Piotr dał jedenaście chlebów żartokowi, a dwunasty zjadł wspólnie z resztą swoich ludzi.

Następnie książe kazał dostarczyć dwanaście olbrzymich beczek piwa. Piotr miał je wypić w przeciągu sześciu dni. Młoda dama obawiała się, że

Piotr nie zdoła spełnić tych trudnych zadań, i ze zmartwienia zachorowała. Nadworny lekarz był zdania, że tylko woda ze studni zdrowia, która znajdowała się w dalekiej krainie, może jej pomóc. Dlatego pan rozkazał, aby Piotr przyniósł stamtąd kubek wody. Miało to być trzecie i ostatnie zadanie.

Biegacz udał się do odległej krainy, ponieważ jednak zmęczył się drogą, doszedłszy do studni usiadł i zasnął. Minęło już jedenaście godzin, a Piotr wciąż daremnie czekał na wodę. Ale przypomniał sobie o krzykaczu. Rozkazał mu, by ponaglił biegacza do powrotu. Ten krzyknął tak, że aż ziemia zadrżała, a panienska spadła z łóżka, biegaczowi zaś popękały bębenki w uszach. Jednak się obudził. Szybko udał się w powrotną drogę i w ostatniej chwili zdążył na szklaną górę. Gdy już trzecie zadanie wykonano, dziewczyna natychmiast wyzdrowiała, zapragnęła niezwłocznie pójść do kościoła i wziąć ślub. Tak też się stało. Na weselu chyba nikt nie był tak wesół, jak panna młoda, żarłok i pijak.

Tymczasem gdy Piotr wykonywał swe zadania, w domu bardzo się o niego zaniepokoił rodzice i bracia. Po trzech tygodniach Piotr postanowił wraz ze swoją młodą małżonką odwiedzić Dolinę Rudnicę. Od teścia otrzymał w prezencie ślubnym cztery siwki i duży dwór. Woźnica zawiózł ich na ową łąkę, na której Piotr po raz pierwszy ujrzał cudownego konia. Stał tam teraz piękny zamek, przed którym czekał jakiś człowieczek.

— Zbudowałem go z myślą o tobie — rzekł do Piotra.

— Serdecznie ci dziękuję — odrzekł Piotr i odtąd zaczęło się jego szczęśliwe życie.

Stary ojciec i bracia dziwili się, skąd się wziął zamek na ich łące, lecz nie mieli odwagi o to pytać. Aż tu pewnego wiosennego dnia, gdy siedzieli przed domem, zajechał powóz zaprzężony w sześć koni. Ojcu aż dech zaparło w piersi, gdy z powozu wysiadł Piotr. Jan i Roman powitali go ze zdziwieniem i zazdrością. Gdy im wszystko opowiedział, wrócił na zamek, gdzie zabrał ze sobą rodziców i braci. I tak żyli szczęśliwie i w radości, a jeśli nie pomarli, to żyją jeszcze do dnia dzisiejszego.

Sto kijów

Tuż obok wsi mieszkał sobie gospodarz, który pewnego dnia rzekł do swojej żony:

— Białko, ja te nasze cztery krowy sprzedam. Przyjdzie po nie dzisiaj kupiec.

— Sprzedasz, ale nie taniej, niż każda po sto talarów.

— Dobrze, dobrze, białko — odpowiedział chłop. — Jadę dzisiaj do Wejherowa i dopiero jutro wrócę. Jeżeli taniej byś sprzedała, dostaniesz sto kijów.

— Ani grosza taniej nie dam.

Ledwo chłop odjechał, zjawił się kupiec.

— Macie cztery krowy na sprzedaż — rzekł kupiec do kobiety.

— Mam. Sprzedam je, ale nie taniej, niż każda po sto talarów.

— Dobrze — odrzekł kupiec — jeżeli będą tyle warte, to zapłacę.

Kobieta wzięła kupca do obory i pokazała mu krowy.

— Dobre są — pochwalił kupiec — warte sto talarów. Zaczął za rogi wiązać krowy, jedna za drugą i wyprowadził je z obory.

— A pieniądze! — krzyknęła kobieta.

— Zapłacić, to za nie zapłacę.

Wyciągnął portfel z kieszeni i rzekł:

— Pieniądzy przy sobie nie noszę. Zostawię wam jedną krowę w zastaw, a dacie mi ją wtedy dopiero, gdy przyniosę pieniądze. W ten sposób macie pewność, że pieniądze dostaniecie. Wybierzcie sobie jedną.

— Zabiorę sobie tę najmniejszą, bo ona najmniej żarta.

— Jaka wam się podoba.

Kobieta zabrała krowę i wprowadziła z powrotem do obory, a kupiec poszedł z trzema. Tego dnia wieczorem wrócił jej mąż.

— Krowy sprzedane, białko?

— Sprzedałam wszystkie, dał po sto talarów. Zgodził się, mówił, że są tyle warte.

— A pieniądze masz?



— Nie, pieniędzy nie mam. Ale zatrzymałam mu krowę w zastaw i tej krowy mu prędej nie dam, aż przyniesie pieniądze. Nie byłam taka głupia, zatrzymałam tę mniejszą krowę, bo ta najmniej zeżre.

— Ej, biało — gospodarz wzniosł kij w górę, ale po chwili go opuścił i rzekł. — Pójdę do sąsiedniej wsi, jeżeli znajdę jeszcze jedną taką głupią jak ty, to ci daruję sto kijów, a jak nie, wyliczę wszystkie.

Następnego dnia rano chłop wybrał się do sąsiedniej wsi i zauważył, że z pola jedzie kobieta wozem zaprzęgniętym we dwa woły. Wszedł między woły i zaczął się obijać raz o jednego, raz o drugiego. Kobieta zapytała nieznajomego:

— Nie znam ciebie, człowieku? Skąd ty jesteś?

— Nie możesz mnie znać, bo spadłem przed chwilą z nieba.

— Z nieba! Jak tam byłeś, to musisz znać mego męża. Już od dawna tam siedzi i słówkiem nie daje znać o sobie.

— Męża twojego poznałem, jak tylko przyszedł z tego ziemskiego padolu, ma tam bardzo małą izdebkę, i to bez okna. Święty Piotr go pociesza, że skoro jego biało przyjdzie do nieba, otrzyma on kabinę, i to większą, z oknem na świat.

— Toby było dobrze — rzekła kobieta. — Ale chcę jeszcze żyć. Na razie mogę dla niego zrobić tylko tyle, że mu pošlę dobrą paczkę z ubraniami, bo chyba jest już obdarty.

— Jeszcze jak! bo pasie krowy u gospodarza, psa nie ma, pastwisko liche. Ale tam można kupić i psa, i odzież, cóż, kiedy nie ma on pieniędzy, bo nic nie włożyliście mu do trumny.

— Niedawno sprzedałam pszenicę, za którą wzięłam pięćset talarów. Mogę mu posłać te pieniądze, dam je wam, człowieku, a wy będziecie tacy uprzejmi i jemu je oddacie.

— O tym, że sprzedaliście pszenicę, chłop wasz już mi mówił, bo on z nieba spogląda, co wy tu na ziemi robicie.

Kobieta jechała stojąc, choć na wozie miała snop słomy do siedzenia. Rzekła do nieznajomego:

— Nie siadam, żeby bydlętom było lżej — i popędziła woły w kierunku swojej zagrody.

— Jeżeli ona przyniesie pieniądze, to zaoszczędzi mojej biało sto kijów — rzekł chłop do siebie.

Naiwna kobieta bardzo dziękowała nieznajomemu za przysługę. Chłop uszedł kawał drogi, usiadł na kamieniu i zabierał się do liczenia pieniędzy, czy aby kobieta przyniosła całe pięćset talarów. Naraz przyjechał na koniu jakiś młody człowiek.

— Ej, panie — czy spotkaliście gdzie człowieka, który spadł z nieba?

— Widziałem, przechodził tędy i skierował się do tamtego wzgórza, bo stamtąd będzie miał bliżej do nieba.

— A znasz go?

— Znam, przed chwilą z nim rozmawiałem.

— To weź mego konia, poleć do niego i poproś, żeby się trochę zatrzymał, zaraz tam będę. Moja matka, gdy wróciłem z miasta, opowiadała mi, że ktoś zabrał dla ojca pieniądze, ale matka zapomniała temu dobroczyńcy podziękować. Zatrzymaj go do mego przyjaciela, a resztę sam załatwię. Chcę

przekazać ojcu pozdrowek i jemu podziękować za fatygę.

Uradowany młodzieniec, że sprawę uda mu się załatwić, czekał aż do wieczora. Chłop więcej się nie pokazał, więc syn owej naiwnej kobiety, do której był podobny jak dwie krople wody, wrócił do domu.

— Czy załatwiłeś sprawę? — spytała matka.

— Tego człowieka z nieba już nie zastałem. Dałem konia komuś, kto go znał, i ten pogalopował, żeby mu przekazać pozdrowienia dla ojca i słowa podziękowania. Ale ten już nie wrócił, bo chyba spieszyło się mu i poszedł do nieba.

— Są jeszcze głupszy od ciebie — rzekł chłop do białki — więc daruję ci owych sto kijów.

Skóra mora pleszcze

Było dwóch gospodarzy, jeden miał cztery konie i wielkie pole ziemi uprawnej, a drugi tylko jednego konia, bo i ziemi niewiele. Bogaty zmuszał biednego, aby mu pomagał pracować na roli. W końcu biedak wziął swojego konia i zaprowadził go do bogacza. Wszystkie jego konie wraz ze swoim zaprzął do dużego pługa i orał, a gdy przejeżdżał koło drogi, krzyczał:

— Wio, wszystkie moje konie.

Na to bogacz srodze rozniewał się i ze złości zabił jego konia. Biedakowi nic już nie pozostało, jak tylko ściągnąć skórę ze swego konia i sprzedać ją. Wpakował skórę do worka i ruszył z nią w daleką drogę, by dojść do miasta. Zmęczony, poprosił o nocleg w pewnym gospodarstwie. Kiedy siedział w izbie, niespodziewanie dla niego wszedł pastor. Chłop zwrócił się wówczas do gospodyni, by go umieściła gdzieś w chlewie, bo nie ma tu dla niego miejsca, skoro jest tylko ta jedna izba. Zaprowadziła go więc do chlewu. Po powrocie do izby kobieta wyjęła z kredensu butelkę wina i postawiła ją przed pastorem. Następnie wyciągnęła z łóżka okazyłe ciasto i oboje śmiejąc się zjadali je, popijając winem. Naraz gospodyni spostrzegła, że do checzy

zbliża się jej mąż. Zaniepokojona chciała, by pastor koniecznie się schował. Zgodził się, że wejdzie do szafy. Biedak to wszystko obserwował przez szparę w chlewie. Kobieta najpierw dobrze ukryła pastora, potem sprzątnęła wszystko ze stołu, butelkę wina wstawiła do kredensu, a ciastka do łóżka. Chłop wszedł do izby i zapytał:

— Co tu nowego?

— Mam gościa w chlewie — odpowiedziała kobieta. — W dłuższą podróż gdzieś idzie z workiem, w którym, jak powiedział, ma końską skórę na sprzedaż.

— Zacny człowiek — rzekł gospodarz — skoro miał konia. Zawołaj go. Zjem razem z nim polewkę.

Kobieta wnet przyprowadziła z chlewu chłopą, który rzucił worek pod stół i jął żywo rozmawiać z gospodarzem. Po chwili ów biedak pochylił się do swojej skóry i rzekł:

— Skóra, mora pleszcze, w szafie jest diabeł.

Gospodarz widocznie dobrze nie zrozumiał, bo zapytał:

— Co ty mówisz?

— W szafie jest purtk.

Gospodarz podszedł do szafy, otworzył drzwi, a tu ukazał się purtk. Biedak, który znów wrzucił swoją skórę pod stół, pochylił się po raz drugi i rzekł:

— Skóra, mora pleszcze.

— Co znów pleszcze?

— W łóżku jest ciasto.

Gospodarz odkrył pierzynę, a pod pierzyną wylegiwał się wspaniały tort. Po chwili podróżnik jeszcze coś szeptał pochylony nad skórą.

— Skóra, mora pleszcze.

— Co pleszcze? — zapytał się gospodarz.

— W kredensie jest butelka wina.

Skoro chłop zajrzał, znalazł tam butelkę wina.

— Masz, chłopie, dobrą skórę — czy sprzedałbyś ją?

— Czemu nie, sprzedałbym ją, bo mam ten zamiar, ale będzie droga.

— No, to ile chcesz za tę skórę?

— Dwieście talarów nie będzie chyba za wiele — rzekł biedny chłop.

— Dam za nią tyle, bo to cudowna skóra, będzie mnie oddawać wielkie usługi.

Za pieniądze, które otrzymał za skórę, biedak kupił aż dwa konie. Przybył z nimi do swoich zabudowań i wprowadził je do stajni, a wtem był już przy nim ów bogacz:

— Skąd, człowieku, masz takie ładne dwa konie?

— Kupiłem je za skórę z mego konia, którego ty zabiłeś.

Toteż bogacz z miejsca wszystkie swoje cztery konie zabił, ściągnął z nich skórę i poszedł do wskazanej przez biedaka wsi, jakoby tam był wielki zbyt na końskie skóry. Ale zauważył, że został okłamany. Kazał biedaka związać, wsadzić do worka i utopić. Ludzie bogacza zanieśli biedaka aż nad rzekę, ale że stała tam obok karczma, zdecydowali:

— Wstąpimy na jednego głębszego, to raźniej będzie nam go utopić.

Położyli worek przy drodze i weszli do karczmy. W tym czasie właśnie pędził owczarz z pastwiska stado owiec, kiedy ów biedak śpiewał sobie w worku.

— Mam być sołtysem i nie umiem czytać ani pisać.

Pasterz posłyszał to, przystąpił do worka i rzekł głośno, aby tamten we worku mógł słyszeć:

— Człowieku, ja umiem czytać i pisać, i pasę przy tym owce.

— To się zmieńmy, ty wejdź do worka, a ja będę pasł owce.

Tak się też stało. Pasterz wszedł do worka, a ów biedny chłop wziął owce i popędził je do swojej zagrody. Widział to jego bogaty sąsiad.

— Jak to się stało, że masz tyle owiec.

— Twoi ludzie wrzucili mnie do rzeki i tam leciałem, leciałem wodą, aż stanąłem na lądzie. Owce nie miały żadnego pastucha, więc poprosiły mnie, żebym je zabrał. Dlatego też przypędziłem je do swojego domu.

— W rzece były te owce?

— Nie przepadłem w wodzie i stąd te owce mam — wyjaśnił biedak.

Bogacz już się nie oglądał, tylko pruł w stronę rzeki i tam, wiadomo, co się z nim stało, gdy wskoczył do wody.

Dziwny testament

Żył sobie w powiatowym mieście bogaty Żyd. Leżał już na śmiertelnym łożu i pewnej nocy zmarł. Pozostawił syna, który ostatni czas pielęgnował go i żywił. Pewnego dnia sąsiad syna zmarłego ojca przyszedł jak zwykle w odwiedzin, ale zastał syna płaczącego łzami jak wiśniowe pestki. Ten zdziwiony spytał:

— Co tak płaczesz?

— Mój ojciec zmarł.

— A stary był.

— Miał 88 lat.

— To nie ma co rozpaczać, my wszyscy kiedyś umrzemy — rzekł Drówka, ów sąsiad zmarłego.

— Jak umrzemy, to umrzemy, ale nie o to chodzi — rzekł syn. — Otóż ojciec miał w mieście trzy kamienice, a pod miastem folwark i żadnego testamentu nie zrobił. To ten cały majątek pójdzie na trzy części, bo jest nas trzech braci.

— To będzie sprawiedliwie — rzekł Drówka.

— Tak nie może być. Jak ojciec leżał, to cały czas ja go pielęgnowałem i żywiłem, wobec czego mnie się wszystko należy. Ale ty, sąsiad, będziesz mógł mnie pomóc w tym, że uzyskam cały majątek.

— Jak mogę ci pomóc?

— Przyjdiesz do mnie, wysmaruję ciebie mąką, włosy też obiele, położysz się do łóżka ojca, którego schowam do komory. Zawezwę notariusza, a ty niby umierający ojciec mnie zapiszesz cały majątek. To wtedy będzie interes dobry.

Syn przebrał Drówkę za ciężko chorego, obieleł mu twarz, a włosy także poproszył mąką i zawezwał notariusza do umierającego ojca. Kiedy ten wszedł, zbadał, czy umierający ma dobrą świadomość. Jak się okazało, że starzec wszystko dobrze pamięta, przejrzał notarialne akta:

— Zgadza się — rzekł — trzy kamienice w mieście, a majątek pod miastem. No, to komu to dajeć w spadku. Macie, zdaje się, trzech synów.

— Wyjdę z izby, żeby ojciec miał wolną rękę — powiedział syn.

— Jeden syn to nic niewart, bo pijak, a drugi





nie dostanie nic, bo zrobił wielkie manko w swoim interesie. A trzeci, prawdaż, był ostatni okres przy mnie, ale nie dawał mi jeść, dokarmił mnie sąsiad Drówka, temu daję w spadku cały mój majątek.

Notariusz skończył i odjechał. Sąsiad wylazł z łóżka i udał się do swego mieszkania. Zaraz potem syn zrobił alarm, że jego ojciec zmarł. Za kilka dni otwarto testament w sądzie. Powstał wielki hałas, gdy się okazało, że majątek zmarłego Żyda odziedziczył ten, którego jeden ze synów podstawił, knując podstęp. Synowie rozpoczęli między sobą proces i przeprosowali cały majątek, i nikt nic nie dostał.

Student ze szkoły złodziejskiej

W pewnej wsi miał chłop kozła. Nastaly ciężkie czasy i trudno było biednemu chłopu zapłacić podatek. Przyszedł poborca podatkowy i żona rybaka udawała mu, że są bardzo biedni i nie mają z czego zapłacić podatku. Poborca widząc, że obok chcey kozioł skubie trawę, stwierdził:

— Muszę wam coś zająć.

— A co poborca zajmie, nie mamy krzesła ani stołu.

— Czyj ten kozioł, co trawę skubie?

— To nasz. Ale jego nie może pan nam zająć, bo kryje kozy, a przez to pomaga nam zarobić na suchy chleb.

Ale poborca okazał się bez miłosierdzia i przykleił do rogu kozła papierek z czarnym orłem.

— Pokryje on wasz podatek — rzekł poborca i odszedł.

Po jakimś czasie przyszedł znowu, by ściągnąć od kobiety podatek za dochód, jaki przynosił jej kozioł. Ale sprytna gospodyni odpowiedziała:

— Panie, od czasu jak pan czarnego orła przykleił kozłowi do rogu, ten czuje się urzędnikiem czy policjantem, bodzie ludzi bez miłosierdzia, niech pan uważa, co by panu jakiejś krzywdy nie zrobił.

W tej chwili kozioł podskoczył i potężnymi rogami wsadził egzekutorowi byka pod brodę. Kobieta

ledwie zdołała odciągnąć kozła od poborca podatkowego. Gdy mąż kobiety wrócił do domu, rzekł:

— Poborca i tak tego kozła zabierze, tym razem kozioł jemu wsadził byka pod brodę, ale drugim razem już poborca nie dopuści do tego, może nawet kozła zastrzelić.

— Nie dam go zastrzelić — zawołała kobieta — wezmę kozła, szyszcę mu z rogu orzelek, poprowadzę go na Półwysep Helski i sprzedam. Rybacy tam nie mają trzody chlewnej, nie znają wieprzowiny, więc zadowolą się mięsem od kozła.

Uwiązała zwierzę na sznurze i poprowadziła je na Półwysep. W tym czasie jakiś młody człowiek, przyzwoicie ubrany, szedł w kierunku Chałup, a naprzeciwko niego rybak z Jastarni. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś z lądu pojawił się na Półwyspie Helskim, toteż rybak wesoło pozdrowił nieznajomego i zaraz się zapytał.

— Dokąd idziesz i kim jesteś?

— Jestem studentem — rzekł przybysz — uczę się w Gdańsku złodziejstwa.

— Złodziejstwa! — roześmiał się rybak. — Czy tego trzeba się uczyć. Nie chodziłem do żadnej szkoły i umiem dobrze kraść.

— Ciekaw jestem — zapytał się student — czy skradłbyś tej kobiecie kozła, którego prowadzi, ale w ten sposób, aby wcale tego nie zauważyła?

— Nie tylko kozła — rzekł rybak — ale skradnę z niej sukienki, a ona się nawet nie spostrzeże.

— Pokaż swoje sztuczki, jak to potrafisz?

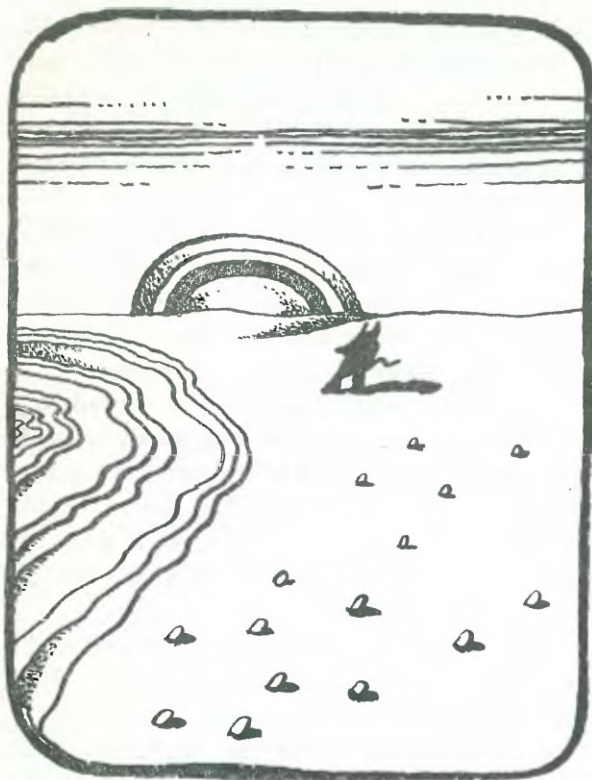
— Tak, ale pan musi tej kobiecie za tego kozła zapłacić, a zabrać sobie mięso od niego.

— Dobrze. Za kozła zapłacę, a mięso ty sobie zabierzesz, bo mnie chodzi tylko o poznanie twojej sztuczki złodziejskiej.

Kobieta z kozłem minęła już rozmawiających, wtedy rybak wziął piękną pochwę od sztyletu fińskiego, wybiegł wprzód i w lesie rzucił ją na drogę.

— Uwe — rzekła kobieta, gdy zauważyła pochwę na drodze. — Piękna, ale nie ma sztyletu, to niech sobie leży.

Zostawiła pochwę na ziemi i dalej poprowadziła kozła. Rybak znowu wybiegł przed nią i rzucił sztylet na drogę.



— Zdrzetale! piękny sztylet, ale tam była pochwa.

Kobieta wróciła po pochwę, a rybak tylko na to czekał. Wyciągnął nóż z kieszeni i uciął kozłowi łeb, potem wziął patyk i wszedł do wody. W miękkie dno morza wsadził patyk, a na niego nadział kozi łeb z rogami i bródką. Kobieta wróciła z pochwą i zaczęła szukać zwierzęcia, które zniknęło z miejsca, gdzie je uwiązała. Kozła nie było. Zaczęła nawoływać:

— Mać, mać...

Ale kozioł nie dawał żadnego znaku życia. Naraz usłyszała głos:

— Meee...

— To głos mego kozła — pomyślała sobie.

Nagle kobieta zaczęła krzyczeć:

— Ratunku, ratunku, mój kozioł tonie.

Obejrzała się na wszystkie strony, ale nikt z ratunkiem nie spieszył. Więc z szybkością błyskawicy zdarła z siebie łachy i wskoczyła do morza naga jak Ewa. Stwierdziła ze smutkiem, że jakiś złoczyńca zrobił jej krzywdę. Wróciła do lasu, aby się ubrać.

Ale że rybak tylko na to czekał, żeby się rozebrała, teraz chwycił jej ubranie i kozła bez głowy i pobiegł z tym do studenta.

— Ta sztuczka pieniędzy warta — rzekł młody człowiek i dał rybakowi dziesięć marek z podobizną Wilhelma, niemieckiego cesarza.

Student wziął sukienkę kobiety i oddał jej, i dobrze zapłacił za kozła. Okazało się, że rybak mógł być specjalistą złodziejem i wcale się tego nie uczył. Student szedł swoją drogą, pilnując swoich kieszeni.

Kornus zawsze dopomaga

Pewien rybak w czasie tegiej zimy kupił pełen worek mąki, zarzucił go sobie na plecy i przygarbiony ciężarem wracał do domu. Przechodząc koło karczmy, postawił worek na sztachecie płotu, czekał przez chwilę z opartym workiem, aż wyszedł karczmarz.

— Dzień dobry, Bartoszu, ciężki ten worek — rzekł karczmarz.

— Przynieś pół litra kornusu, to się wzmocnię, bo inaczej nie doniosę go do domu.

Karczmarz nie zwlekając podał zmęczonemu rybakowi pół litra wódki, ten przytknął butelkę do ust, zapłacił karczmarzowi, bo tyle mu jeszcze pieniędzy zostało po zakupie mąki, i poszedł dalej. Po kilku krokach zauważył, że worek rzeczywiście robi się lżejszy, mówił więc do przechodniów:

— Kornus zawsze pomaga.

Wcale nie zwracał uwagi na to, że przechodnie wskazują mu, aby obejrzał się do tyłu. Gdy już prawie nie czuł worka na plecach, pomyślał sobie.

— Kto pomaga mi dźwigać ten worek?

Obejrzał się. Teraz zauważył, że od zaostrej sztachety miał w worku dziurę, którą stopniowo wysypała się wszystka mąka. Gdy zdjął z pleców worek, stwierdził, że zostało mu mąki tylko na dwa placki, a resztę mroźny wiatr zwiął z drogi.

— To jednak największym złodziejem czasu

i dorobku jest kornus, którego więcej pić nie będę — wykrzykiwał.

Jeden poczciwy starzec zwrócił mu uwagę:

— Każdy wyrzeka się wódki, gdy pozna jej skutki. Ale zwykle to już jest poniewczasie.

W piekle białych purtków

W Wejherowie, obok klasztoru mieszkał w nędznym domku robotnik, który lubił często zaglądać do kieliszka. Prawie codziennie przychodził podchmielony. Urządzał żonie awantury i bił dzieci. Potem kładł się w butach i łachach roboczych na łóżko i chrapał, aż się chałupa trzęsała. Żona pijaka już nie mogła dłużej z nim wytrzymać. Udała się do klasztoru po poradę do zakonników. Żaliła się z płaczem, jakie piekło przeżywa z mężem, a zakonnicy jej doradzili, że gdyby znów przyszedł pijany i zasnął, ma ich o tym powiadomić.

Po kilku dniach robotnik znów wrócił pijany i urządził rodzinie nową awanturę. Tym razem potłukł naczynia obiadowe, zniszczył wszystko to, co żona wniosła w posagu, położył się na łóżko i zasnął.

Biedna kobieta pobiegła do klasztoru i powiadomiła zakonników o stanie męża. Zakonnicy z miejscy udali się w odwiedziny do pijanego. Postanowili go przenieść do klasztoru. Ściągnęli z niego robocze łachy, zgolili mu brodę, doprowadzili do porządku paznokcie, ładnie go wykapali, ubrali w biały zakonny habit i położyli go na łóżko. Spał tak długo, aż z wieży klasztornej odezwał się dzwon, który o poranku zbudził pijaka. Zerwał się z łóżka i zauważył, że jest odziany w białe szaty. Spostrzegł, że nie ma swojej długiej brody, a włosy ma krótko ostrzyżone. Ta przemiana bardzo go zdziwiła.

— Czy to ja jestem, czy nie ja? — spytał sam siebie.

Dzwon tymczasem bił coraz głośniejsze. Sam gwardian wpadł do celi zakonnika:

— Czy nie słyszysz dzwonu? Czas na modlitwę.

— Pan Bóg chyba uwolni mnie z tego kłopotu, bo nie wiem, co się ze mną dzieje — pomyślał.

Na śniadanie nikt go nie prosił, musiał bez przerwy kopać w ogrodzie, aż dzwon znów się odezwał, tym razem na południowe modlitwy. Rzucił się przed ołtarzem na kolana i po cichu błagał Pana Boga, żeby mu wyjaśnił, co się z nim dzieje. Wieczorem dali mu nieco strawy, lecz była to świeża marchew, całkiem bez mięsa, bo gwardian tego dnia obchodził post. Nazajutrz powtórzyła się ta sama historia. Modlił się, ciężko pracował, a dopiero wieczorem otrzymywał trochę posiłku. Kapał się w łazience i mył dokładnie. Dopiero czwartego dnia, gdy się nic nie zmieniało w jego położeniu, kopiąc ziemię w ogrodzie tuż przy murze klasztornym usłyszał głos swojej żony:

— Od trzech dni mam spokój — opowiadała żona Macieja sąsiadce. — Schlał się, natłukł garnków, dzieci wybił, a od trzech dni leży i chrapie, aż się chałupa trzęsie.

— Czy to ja, czy nie ja? — znów się zatroskał pijak. Ale postanowił, że sam zapyta żony, co się z nim właściwie dzieje. Więc zaczął wołać zza muru:

— Kasiu, Kasiu!

Kobieta odezwała się.

— Jestem tutaj.

— Czy Maciej jest w domu?

— Jest, już czwarty dzień leży, tak się spił. Chrapie na łóżku tak głośno, że aż się chałupa trzęsie. Nie wiem, czy on się jeszcze kiedyś obudzi.

— Czy to ja, czy nie ja? — znów powtarzał sobie w duchu.

Ale podszedł jakiś zakonnik i krzyknął na pijanicę.

— O czym dumasz, że nie pracujesz?

— Czy to ja, czy nie ja? — zwierzył się zakonnikowi.

— To jesteś ty we własnej osobie, tylko twój duch się z ciebie wyprowadził i wcielił się w innego człowieka.

Maciej znów siebie pomacał, gryzł zębami, szarpał się za ucho, chciał potargać się za włosy. Może by się jakoś obudził, ale zauważył, że włosów nie ma.

— Sprawa nie jest łatwa — pomyślał sobie.

Pracował w ogrodzie od rana, a w południe ka-

zono mu się modlić. Dopiero wieczorem zwolnili go od modlitw i mógł się położyć do łóżka. Zasnął z miejsca po czterech dniach ciężkiej pracy i bez jedzenia. Zakonnicy rozebrali go, znów włożyli mu jego łachy i zanieśli go do jego domu. Spał długo, zanim się obudził i usłyszał głos swej żony. Obejrzał się jeszcze po ścianach, spostrzegł dziury w tynku świadczące o jego robocie i zaczął wołać:

— Kasiu, Kasiu!

Żona natychmiast przybiegła.

— Dzięki Bogu, że nareszcie się obudziłeś. Myślałam, że już byłeś w niebie, bo nie dawałeś znaku życia.

— Kasiu, nie byłem w niebie, lecz w piekle, ale nie były tam czarne diabły, tylko białe.

— A wódki nie dali?

— Gdzie tam! Ani kropki kornusu nie wezmę więcej do ust, bo mnie znów to samo nieszczęście spotka, a wtedy już na dobre umrę.

Teraz Maciej żył w zgodzie z żoną. Cały zarobek przynosił do domu, a żona uszykowała nareszcie mieszkanie. Maciej był wzorowym ojcem. Jednak piekło z białymi purtkami zadziało na Macieja.

Uczony złodziej

Rybak miał trzech synów, a jak to w głębinach morza, nadszedł czas, że było w nich coraz mniej ryb. Toteż pewnego dnia ojciec rzekł:

— Musicie iść w świat i wyuczyć się jakiegoś fachu. A gdy go zdobędziecie, to wróćcie do domu. Ryby zawsze będziecie mogli łowić, choćbyście mieli inne zawody.

Stąd też pewnego dnia wszyscy trzej synowie poszli w świat. Długo ojciec wyczekiwał, zanim wrócili do domu. Gdy wreszcie się zjawili, spytał najstarszego:

— Czego się nauczyłeś?

— Ojcze, jestem strzelcem. A jeżeli tatku chce się przekonać, czy mam do tego zdolności, niech tatku rzuci jajko wysoko w powietrze, a ja to jajko zestrzelę.

Kiedy skorupki posypały się na ziemię, ojciec stwierdził:

— Dobry z ciebie fachowiec, twój zawód może być dochodowy. A ty, synu — spytał drugiego — czego się nauczyłeś?

— Ja, tatku, jestem bednarzem. A jeżeli ojciec chce się przekonać, na ile zdobyłem ten fach, to okruszyny skorupki jajka tak zestawię, że nikt nie pozna, że było ono przez strzał roztrzaskane.

Po chwili bednarz zebrał wszystkie co do jednej cząsteczki skorupki i tak je złożył, że nie sposób było dostrzec jakiegokolwiek uszkodzenia.

— A ty, synku — zwrócił się do najmłodszego — czegoś się wyuczyłeś?

— Jestem złodziejem. A jeżeli tatuś chce sprawdzić mój fach, to pójde na wydme i spod mewy skradnę jajko.

— Oj, synku, czy to ci się uda? — powątpiewał ojciec. — Przecież mewa bardzo czule siedzi na jajkach.

— Przypuszczam, że tak — odrzekł najmłodszy syn.

Zaraz poszedł nad morze, pochodził po wydmach i natrafił na siedzącą na jajkach mewę. Wyciągnął jedno i wrócił do ojca.

— Nie spodziewałem się tego — rzekł ojciec. — Dla takiego fachowca złodziejstwo to popłatny zawód.

— Ale jeżeli ciebie złapią, to mogą cię skrócić o głowę. Miej się na baczności — ojciec ostrzegł syna.

W krótkim czasie zaczęły ginąć nie tylko kury z kurników, ale nikomu nie udawało się dostatecznie ukryć pieniędzy w domu. Nawet potrafił w biały dzień na kościelnej drodze ściągnąć z wytwornej damy futro i inne ubrania. Oblupił kobietę do naga, a gdy poczuła, że ją chłód ogarnia, nie było już ani odzieży, ani złodzieja. Sołtys postanowił skończyć z nim raz na zawsze. Kazał mu stawić się w urzędzie gminnym i rzekł do niego:

— Słyszałem, że trudnisz się kradzieżą wyśmienie. Mam na podwórzu dwa bardzo groźne psy. Jeżeli mi je ukradniesz, dam ci sto talarów. A jeżeli nie, to dostaniesz sto batów.

Złodziej wyszedł niezwykle uradowany.

— Sto batów — powtórzył sołtys, gdy ten był jeszcze we drzwiach.

Złodziej postarał się o mocny worek, skradł rzeźnikowi kawał cielęciny, którą włożył do worka, i udał się do gospodarstwa sołtysa. Jego zagroda otoczona była kamienistym murem. W dole przechodził ściek odprowadzający zanieczyszczenia z podwórza. Tam, do tej dziury, podszedł złodziej. Otwarty worek z cielęciną przyłożył do wylotu w murze. Psy, gdy poczuły zapach cielęciny, jeden za drugim wsunęły się do worka. Fachmistrz złodziejski tylko na to czekał. Zawiązał worek i zabrał psy tymczasem do siebie. Rano przytaszczył na taczce dwa psy i udał się na sołectwo. Sołtys, zdziwiony swoim niepowodzeniem, musiał w myśl umowy wypłacić złodziejowi sto talarów. Ale pomyślał sobie.

— Ja ci te chętki do złodziejstwa wypędzę z głowy — i rzekł do złodziejaszka:

— Słuchaj, ja mam w stajni siwka, jeżeli mi go skradniesz, dostaniesz drugie sto talarów.

Złodziej udając, że niechętnie podejmie się tego zadania, w końcu wyraził zgodę. Sołtys był pewien wygranej, więc i tym razem powiedział:

— Jeżeli to ci się nie uda, dostaniesz sto batów.

Sołtys jednak na wszelki wypadek obwarował się stróżami. Tuż za sołectwem mieścił się wiejski krom. Właśnie do tej knajpy udał się złodziej, pociągnął kilka kornusów i kupił sobie litrówkę. Kiedy tak wracał, musiał przechodzić koło zagrody sołtysa. Po drugiej jej stronie, naprzeciwko, był wiejski staw. Złodziej, przechodząc tamtędy, pomieszał kijem w stawie i rzekł kobiecym głosem:

— Pijanica pije i nie zważa na to, że z dziećmi głoduje, a teraz w ogóle nigdzie go nie ma. Ciekawe, gdzie się mógł podziać.

Stróż usłyszał narzekania w bramie sołtysa i podszedł do niej. Zobaczył kobietę, bo złodziej miał na sobie babskie odzienie, baba lamentowała. Spytał się jej:

— Co się stało?

— Ten mój gruchot od rana siedział w karczmie i pił. Poszłam za nim. Pół litra mu zabrałam, boby się na śmierć zapił i by mnie obgdowiął z tym drobnym makiem.

— Kłopoty macie z waszym mężem.

— Ależ, człowieku, żebym lepiej nie żyła na tym świecie.

Stróż wziął kij i sam przegarniał wodę, czy aby tam go gdzie nie znajdzie. Szukał wzdłuż drogi tak daleko jak staw, ale nigdzie chłopą tej kobiety nie było.

— Napracowałeś się, chłopie, i to na nic — rzekła niby kobieta. — Mam tu pół litra. Dam ci za to, że stoisz na tym zimnie, przyda ci się.

Stróż pociągnął kilka dobrych łyków i rzekł do kobiety:

— Pójdę do moich kolegów, im też zimno. Niech się rozgrzeją.

— Zaraz z miejsca wiedziałam, że masz dobre serce i o kolegów dbasz.

Z przydrożnej bramy stróż udał się do stajni z butelką kornusu, do którego złodziej wsypał proszek nasenny. Przy drzwiach stało tam dwóch rośłych parobków z widłami. Dał im stróż kornusu, który chętnie pili, bo noc była chłodna. Gdy wszedł do stajni, spostrzegł siwka, na którym siedział jeden chłop, a drugi trzymał go za ogon, a jeszcze inny za grzywę. Stróż poczęstował wszystkich kornusem i wrócił na swoje stanowisko do bramy. Złodziej tymczasem ściągnął z siebie kobiece lachy i spodziewając się, że proszek nasenny już skutkuje, udał się do stajni. Tak jak przypuszczał, tak też się stało. W stajni i dokoła rozlegało się tylko chrapanie. Wziął więc ostrożnie wszystkich parobków, wyciągnął ich przed stajnię i rzędem ułożył na kupie gnoju. Zabrał swobodnie siwka i zaprowadził go do swego domu. A gdy rano stanął z nim przed drzwiami sołtysa, ten spurpurowiał z wściekłości.

— Znowu sto talarów wyleci mi z rąk — mruknął pod nosem.

Zgodnie z umową wypłacił złodziejowi jego należność. Teraz sołtys chwycił się ostateczności.

— Słuchaj, jeśli mojej białce skradniesz z palca pierścień, dostaniesz znowu sto talarów, a jeżeli nie, to sto batów murowane.

Złodziej aż podskoczył z radości.

— Zarobek jest — pomyślał sobie.

Za dnia zrobił dużą kukłę ze słomy, a w nocy,



po ciemku udał się pod okno sypialni sołtysa. Ten siedział z nabitą strzelbą i czekał, aż przyjdzie złodziej. Kiedy wpatrywał się w okno, zauważył na tle szyby czyjąś głowę. Strzelił do domniemanego złodzieja, ale się przeląkł:

— Człowieka zabiłem. Wyjdę na dwór, poszukam rydla i ciało zakopię. Nikt się nie dowie, co zaszło.

Cały w nerwach, sołtys wyszedł na dwór, odnalazł rydel, a gdy wrócił pod okno, zastał tylko kukłę zamiast trupa. Złodziej przez ten czas wszedł do sypialni i białce sołtysa powiedział na ucho:

— Daj ten pierścień, wytłumaczę, że to ten złoczyńca ci go zabrał i uciekł.

Sołtysowa nie namyślając się oddała pierścień, pewna, że daje swemu mężowi, a złodziej tymczasem schował pierścień do kieszeni i wymknął się z sypialni. Po chwili sołtys wpadł do izby i zaniepokojonym głosem spytał żony:

— Masz jeszcze ten pierścień?

— Przed chwilą ci go dałam.

— No, i ten bandyta znów wygrał — rzekł rozwścieczony sołtys.

— Przestań grać z tym złodziejem, bo w końcu i mnie przegrasz.

Mieszkańcy tej wsi śmieli się głośno z niepowodzenia sołtysa, a najwięcej z tego śmiał się organista.

Toteż sołtys zawołał złodzieja i rzekł mu:

— Słuchaj, gdy skradniesz tego groła z naszej parafii i mi go przyniesiesz, znowu dam ci sto talarów, a na dodatek dam ci za żonę moją młodą i piękną córkę.

Złodziej bardzo się ucieszył ze swego zarobku. Uszył wpierw duży worek, następnie ubrał się w białe szaty i nocą udał się na cmentarz, niedaleko organistówki. Miał ze sobą kosz raków. Zaopatrzył się również w świece choinkowe. Pozapalał je, nakapał trochę wosku na grzbiet każdego raka i postawił zapalone świece. Raki rozeszły się po całym cmentarzu. Złodziej, odziany w białe szaty, stanął naprzeciwko okna organistówki. Zawiesił sobie worek na plecy i teraz zaczął głośno śpiewać:

Jestem Anioł z nieba
Zabiorę z sobą każdego
Kto bez wstydu najmniejszego
Wejdzie do worka tego.

Organista podeszedł do okna i zauważył jakieś nadziemskie zjawisko. Pełen cmentarz światełek, które sunęły z nagrobka na nagrobek, a anioł stał z workiem i śpiewnym głosem zapraszał wszystkich do nieba.

— Też mam dosyć tego ziemskiego padolu. Teraz jest najlepsza okazja, by dostać się do nieba.

Toteż wyszedł na cmentarz, stanął tuż za aniołem, który wciąż śpiewał, i zaczął najpierw z cicha, a potem coraz głośniejsze mówić:

— Panie aniele, ja, sługa boży, czy mógłbym dostać się do nieba? Już czterdzieści lat służę Panu Bogu i za to chyba należałoby mi się niebo.

Anioł z początku udawał, że nie słyszy tego, co mówi organista, ale gdy ten już zaczął prawie wrzeszczeć, odwrócił się i rzekł:

— Jeśli się nie wstydzisz wejść do tego worka, to zabiorę ciebie. Jeszcze dziś będziesz w niebie.

Organista rzekł z cicha:

— Nic mi więcej nie trzeba.

Wszedł do worka. Wtedy złodziej zawiązał worek. Wyniósł organistę za cmentarny mur, gdzie przedtem pozostawił taczkę. Położył na nie łup i zapchał je przed sobą do domu. Następnie worek z organistą postawił w rogu izby, a sam się położył do łóżka i śnił o pięknej sołtysównie. Rano złodziej zameldował sołtysowi, że ma organistę w worku, że go przyniesie na sołectwo. Sołtys zaraz ogłosił zebranie z ważnego powodu. Kto żyw miał przyjść na sołectwo. Gdy cała wieś się stawiała, złodziej przytaszczył na taczkach organistę, wysypał go z worka i rzekł:

— Nie śmiej się nigdy z cudzego nieszczęścia, bo sam możesz w nie popaść.

Uradowany sołtys wypłacił złodziejowi sto talarów i, jak przyrzekł, dał mu uroczą córkę za żonę. W trzy tygodnie później na ślubie groła grał w kościele na organach złodziejowi i sołtysównie. Młoda żona nakłoniła złodziejaską, żeby więcej nie trudnił się tym fachem i nie kradł, zwłaszcza biednym. Złodziej chętnie słuchał swojej żony. Pobudował sobie śliczny domek nad samym morzem. Tam też młode małżeństwo zamieszkało, a złodziej stał się rybakiem i łowił ryby.

*

Daleko na morzu, jak tylko okiem sięgnąć, było widać wyspę piratów. Jej jedynym władcą był herszt piratów. Wieść o słynnym złodzieju na lądzie dotarła aż na tę wyspę. Herszt miał dwóch podwładnych. Natomiast na wyspie nie było ani jednej niewiasty. Pewnego dnia piraci przyżeglowali na niewielkiej łodzi i stanęli w pięknym domku złodzieja. Chcieli go wziąć do siebie na służbę. Ale złodziej miał już tej nieczystej roboty dosyć, za żadne, nawet wysokie wynagrodzenie nie chciał się zgodzić. Tymczasem hersztowi piratów wpadła w oko piękna żona złodzieja. Toteż ukrył się w małej zatoczce i tak długo w niej czatował, aż zauważył, że złodziej wyszedł z domu, udając się w jakąś dłuższą podróż. Więc podpłynął swoją żagłówką pod willę złodzieja. Porwał jego żonę, córkę sołtysa, i odpłynął z nią na wyspę. Od bardzo, bardzo dawna mieli na niej piraci potężny zamek. W tym zamku herszt umie-

ścił piękną niewiastę. Pilnował tego zamku dzień i noc ogromny ptak, podobny do olbrzymiego orła.

Gdy złodziej zauważył, że jego żony nie ma w domu, domyślił się, gdzie może być. Poprosił swoich starszych braci, wzięli łódź i popłynęli w stronę wyspy. Ledwie się pokazali na horyzoncie, groźny ptak zaraz sfrunął z dachu zamku, gdzie wciąż trzymał straż. Nadleciał nad łódź. Najstarszy brat złodzieja, strzelec, porwał strzelbę i pierwszym strzałem wycelował wprost w ptaka oko, a za drugim strzałem wypalił mu drugie. Pirat na skalnej wyspie nie miał palnej broni. Bez ptaka stał się bezbronny. Trzej bracia bez przeszkód weszli na wyspę. Najstarszy z nich, strzelec, zabił dwóch pomocników pirata, a herszta zmusili, by wszedł do beczki zbudowanej w formie olbrzymiego jaja. Za cenę darowania mu życia pirat musiał tam wejść. Strzelec i bednarz stoczyli beczkę na dół, na plażę, a złodziej tymczasem odszukał swoją małżonkę. Po czym załadowali beczkę z piratem do łodzi. Wsiadła jeszcze żona złodzieja i pożeglowali do brzegu. Wieść o tym rozeszła się po całym wybrzeżu. Zebrali się rybacy z najdalszych wsi nadmorskich, by zobaczyć okrutnego dla nich pirata, który wysłał do nieba już niejedną duszę z tych ziem czy mórz. Teraz nastąpił spór o to, co zrobić z piratem.

— Tyle statków napadał przy pomocy tego ptaka. Załogi obezwładniał, statki obrabował. Więc godny jest kary śmierci! — krzyczał tłum.

Sołtys, który rządził wybrzeżem z woli ludzi i rybaków, zasądził pirata na spalenie. Tegoż dnia zabłysnął stos chrustu, na którym leżało drewniane jajo z piratem, wnet stanęło w płomieniach.

Morze od tego czasu się uspokoiło, nawet sztormy ustały, a rybackie szalupy zaczęły swobodnie wypływać, przywożąc z wypraw obfite połowy łososia i śledzia. Toteż bednarz zbudował okazałą łódź z żaglem i trzej synowie biednego gospodarza stali się rybakami dalekich połowów.

— Warto było się uczyć — orzekł najmłodszy brat, zwracając się do dwóch starszych. — Gdybym nie zasłynął, nie zaciekałaby pirata moja osoba, a przecież dzięki temu myśmy go poskromili i teraz uprawiamy połowy na nowej łodzi, i będziemy wzorem rybaków łososiowych i śledziowych.

Kradzione nie tuczy

W pewnej wsi mieszkało dwóch sąsiadów, obaj mieli nieduże gospodarstwa. Jeden z nich zmiarkował, że ktoś go okrada, i to przeważnie wynosi ze spiżarni. Jednego dnia, a był wtedy bardzo tęgi mróz, zauważył, że z niej wychodzi sąsiad z wypchanymi kieszeniami i jeszcze mucę na głowie ma podniesioną w górę, tak jakby coś pod nią niósł. Więc ów pocziwy sąsiad, widząc przechodzącego drugiego sąsiada, zawołał:

— Przyjacielu, chodź do mnie do izby. Na dworze jest mroźno, a u mnie ciepło, piec jest gorący.

Ten jednak się opierał, nie miał chęci odwiedzić swego sąsiada. Lecz pocziwiec nalegał coraz bardziej, aż w końcu skusił sąsiada i ten wszedł do środka. Choć piec w izbie był bardzo gorący, gospodarz kazał żonie jeszcze dorzucić. Sąsiada posadził w kącie koło pieca i jął z nim grać w karty. Przybysz po pewnym czasie zaczął się okropnie pocić.

— Widzisz, sąsiedzie — rzekł pocziwiec — coś jest nie w porządku. Na dworze mróz, że wszystkie koty blecą, a ty się pocisz jak nieboskie stworzenie — i zdjął sąsiadowi czapkę, zobaczył bowiem, że mu pod czapką masło się topi.

— Masło tobie skradłem — przyznał się ze wstydem złodziej.

Odtąd więcej się nie pokazał u sąsiada ani na granie w karty, ani w złodziejskich zamiarach, i oświadczył:

— Człowiek niczego się nie dokradnie, bo wszędzie go przyłapią. Kradzione nie tuczy.

Jak zając dał drapaką, a węgorz zawinił

Rybak szedł od Rozewia na Półwysep Helski zakupić łódź. Wziął ze sobą sto talarów, bo tyle miała owa łódź kosztować. By nie zgubić pieniędzy, zawinął je dobrze w chusteczkę. Na cetniewskim

haku, niedaleko Władysławowa, maszoperia rybaków miała na wydmach żaki rozstawione do suszenia. Zdarzył się przypadek, że do jednego z żaków wskoczył zając.

— Trzeba to niewinne stworzenie uwolnić — pomyślał sobie rybak.

Wyciągnął zająca z żaka, ale spostrzegł, że zajączek cały drży.

— To chyba z zimna, bo ze strachu nie — pomyślał sobie rybak — przecież nic mu złego nie robię.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, aby go otulić, ale całkiem zapomniał, że ma w niej zawinięte sto talarów w banknotach. Wziął delikatnie zająca pod pachę i zawrócił z nim w kierunku swego domu.

— Odżywię to biedne zwierzątko kapustą, nabierze znów siły, bo przecie po długiej szamotaninie w żaku jest przemęczone, a potem wypuszczę je na wolność.

Uszedł już kawał drogi, kiedy niespodziewanie wpadł mu pod nogi jakiś kundel, gdy zaczął ujadać, zając się zerwał, wyskoczył rybakowi spod pachy i w nogi. A kundel za nim. W tym momencie rybak przypomniał sobie, że w rogu chusteczki, z którą uciekł zając, miał zawiązaną poważną gotówkę, owe sto talarów, a to była wartość łodzi! No, więc rybak też puścił się w pogoń za zającem, ale zając zginał w krzakach. Cóż było robić, rybak bardzo zmęczony zawrócił i obszedł wszystkie okoliczne wsie, ogłaszając:

— Wzywam każdego, kto zobaczy zająca owiniętego kolorową chusteczką, aby mnie ją oddał, bo w rogu chusteczki zawiniętych jest sto moich talarów.

Sprawa zrobiła się głośna, doszła także do Hanemannna, pruskiego wójta na Półwyspie Helkim. Ponieważ miał on też polowanie w dzierżawie, jego zdaniem, wszystka zwierzyna z tego okręgu należała do niego. Wobec tego podał owego rybaka do sądu. Rybak otrzymał wezwanie i udał się na wyznaczoną mu godzinę do Pucka. Doszedł do Gnieźdźewa, gdzie tuż pod wsią spotkał wielkiego łgarza, żartując sobie z niego rzekł:

— Dzisiaj, Myślisz — takie bowiem miał nazwisko — możesz łąć, tylko bez namyślania.

A Myślisz, jak to Myślisz, nic nie myślał, tylko z miejsca odpowiedział:

— Nie masz co iść do Pucka, bo most rozebrany.

— Most rozebrany, to jak ja przejdę przez Plutnicę.

— Musisz iść dokoła na Łebcz, Małe Starzyno i Połczyn. Za godzinę nie będziesz w sądzie. To czternaście kilometrów drogi, nie zdążysz.

— Ale gorzej będzie, jak tam się w ogóle nie pokaże, zapłacę sztraf — rzekł rybak.

— To nic innego już ci nie mogę doradzić.

Rybak jednak postanowił udać się okrężną drogą. Zdyszany stanął w sądzie o pół godziny za późno. Zameldował się prezesowi sądu, a ten wymierzył spóźnionemu dziesięć marek kary. Rybak zły, zaczął się tłumaczyć szeroko, że na Plutnicy most zerwany, że musiał iść okrężną drogą i dlatego się spóźnił.

— Jestem ukarany niewinnie!

Prezes sądu posłał woźnego do bliskiego magistratu:

— Czy to prawda, że most na Plutnicy jest rozebrany?

— Nic o tym nie wiem — odpowiedział pucki burmistrz.

Rozwścieczony prezes sądu wlepił rybakowi jeszcze dwadzieścia marek kary za to, że go okłamał. Mimo to odbyła się rozprawa. Rybak tłumaczył się prosto, że nie polował z żakami na zające, żaki stały rozciągnięte do suszenia, i to wcale nie jego żaki, tylko innej maszoperii. Ale Hanemann, który występował jako powód w tej sprawie, na tłumaczenia rybaka głuchy był. Sąd w Pucku skazał rybaka na sto marek grzywny i czternaście dni aresztu.

Drogo kosztował go dobry uczynek wobec uwięzionego stworzenia. Ze stu talarami czmychnął zając, sto dwadzieścia marek grzywny wziął sąd pucki i jeszcze musi odsiedzieć czternaście dni kozy. Postanowił jednak wracać przez most na Plutnicy, Gnieźdźewo i udać się wprost do latarni rozewskiej. Do Gnieźdźewa przybył w godzinie popołudniowej i tu zastał jakieś wielkie ożywienie wśród mieszkańców.

— Co tu się dzieje? — spytał rybak pewnego gnieźdźewianina.

— Odbywają się wybory sołtysa.

— A kogo będziecie wybierać? — zapytał rybak.

— My, mieszkańcy, nikogo nie będziemy wybierać, to się okaże, kto będzie sołtysem. Wszyscy brodaci gburzy zejdą się do karczmy, usiądą dokoła okrągłego stołu, każdy położy na nim brodę, a ten stróż nocny, który był dotychczas, przyniesie w pudełeczku uchwyconą przez niego wesz i posadzi ją na środku stołu. Komu ta wesz wejdzie do brody, ten będzie sołtysem.

Rybak chwycił się za swoją brodę, prawdaż, długiej nie miał, ale pomyślał sobie:

— Gdybym ja tak zasiadł za stołem wyborczym, może miałbym szczęście zostać sołtysem.

Napotkana gromadka ludzi zabrała go ze sobą do karczmy. Postawili mu gorzałkę, a on dał się wytypować na sołtysa całkiem prawnie, jako że był w tej wsi rodzony. Zresztą wszyscy ubiegający się o to stanowisko byli w tym zgodni, że może się starać o ten urząd. Toteż usiadł do stołu i na równi z wszystkimi brodatymi położył brodę na stole. Stróż nocny zaraz posadził wesz na samym środku stołu. Rybak starał się wysunąć brodę jak najdalej. Zresztą inni to samo czynili. Wesz pomaszerowała wprost w brodę rybaka, który natychmiast pogmerał w brodzie, a to był dowód, że u niego siedzi wesz. Był nawet zadowolony z takiego obrotu sprawy, bo nadchodziła zima, a to, co zarobił w lecie z połowu fląder i węgorzy, stracił przez głupiego zająca.

Rada gminna uformowała się z miejsca. Do prezydium wszedł rybak jako sołtys, krawiec i kowal jako ławnicy. Zaraz zrobili pierwsze posiedzenie zarządu. Krawiec postawił wniosek, żeby gnieźdźewianie wykopali sobie studnię, bo pucanie zabronili im brać wodę z Plutnicy. Dzięki temu uniezależnił się od pucanów. Studnia miała być wykopana w czynnie społecznym. Postanowiono, że rybacy postawią do pracy po jednym człowieku, a gburzy zależnie od wielkości gospodarstwa, od trzech do sześciu pracowników, a do tego jeszcze przyślą furmanki, by odwoziły wykopaną ziemię i przywoziły kamienie do wymurowania cembrowiny. Krawiec przy

tym zauważył, że należałoby postawić przy studni stróża, bo mogą przyjść pucanie i wykraść im wodę. Od razu też zarządził wybory, wszyscy gnieźdźwianie będą przez podniesienie ręki głosować, kto ma zostać stróżem. Wybór padł na krawca. Przyniósł on sobie kozuch i stanął przy studni. Pełny księżyc już z wieczora wytoczył się na nieboskłonie i tak przemierzał jasny firmament, tocząc się najkrótszą drogą na zachód. Stał już prawie na środku kopuły niebieskiej. Znajdował się tuż nad Gnieźdźwem. Było cicho, od wiatru tylko z lekka liście szemrały o świetnych czasach dla gnieźdźwian. Nagle krawiec usłyszał jakieś plusknięcie w studni.

— Może to zaprawa, która, jeszcze świeża, mogła odpaść — pomyślał — a może rzeczywiście jakiś pucan przylazł po wodę.

Zajrzał do studni, a tu widzi okrągłą, ślepiatą twarz pucana, który siedzi w studni i kradnie wodę. Krawiec skoczył i w wiejski dzwon zaczął bić na alarm, że jest najazd pucanów na ich studnię. W krótkiej chwili gnieźdźwianie, kto żyw, stanęli pod studnią. Każdy po kolei zaglądał do cembrowiny. Gburzy się oburzali, że nie będą mieć wody do pojenia koni, zaczęli narzekać na rządy rybaka. Krawiec, który należał do rady gminnej, a na jego to wniosek wybudowano studnię, orzekł, że trzeba wejść do studni i bezczelnego pucana wyciągnąć. Ale nie mieli liny. Więc postanowiono, że kowal jako najsilniejszy chwyci się rękami za wał od studni, jego zaś uczepli się murarz, trzecim będzie szewc, jako czwarty przemądrzały krawiec.

— Starczy tej ludzkiej liny — rzekł sołtys.

Po chwili z głębi studni krzyknął krawiec:

— Trochę brakuje, popuść kowalu.

— Poczekaj chwilkę, tylko splunę sobie w dłoń! — huknął kowal w głębinę studni.

Jak kowal puścił wał, wszyscy czterej wpadli do wody.

— Chwytajcie pucana! — wrzasnął kowal.

— Nie ma go! — ryknął murarz. — Gdzieś nawiał.

Sołtys rybak tymczasem przyniósł linę i wyciągnął tonących jak łososie z laskorni. A pucana już nie widzieli w studni, bo księżyc potoczył się ku zachodowi, zabierając swoje odbicie w wodzie. Murarz zaś rzekł:

— Miał szczęście złodziej, że udało mu się nawiać, boby gnieźdźwian popamiętał.

Sołtys z dwoma ławnikami rządził wciąż dalej. Na zebraniach wiejskich gburzy na niejedno narzekali, między innymi, że zbyt drogo płacą za śledzie. Wówczas padł wniosek z ust pierwszego ławnika, krawca:

— Sami wyhodujemy sobie śledzie w stawie.

Kupili w Pucku dwie beczki śledzi i wsypali je do stawu.

— Rośnijcie i rozmnażajcie się — rzekł kowal, skoro śledzie wrzucono. — A gdy na przyszły rok spuścimy wodę, to wyłowimy was do ostatniego.

— Żebyśmy chociaż jednego na drugi rok zobaczyli — odezwał się sołtys, który był rybakiem i coś niecoś znał się na rybach.

Gnieźdźwianie odczekali do następnej jesieni i po spuszczeniu wody zastali dno stawu zaścienione ościami od śledzi.

— Kto mógł je zjeść? — zastanawiali się.

Krawiec rozkazał przeszukać dobrze cały staw. Wieś jak jeden mąż stawiała się z łopatami, przepano całe dno i znaleziono olbrzymiego węgorza.

— To on — stwierdził krawiec. — A winę ponosi sołtys, bo nie dał dobrze przeszukać dna stawu, zanim wsypaliśmy śledzie.

— Ty głupi kainie. Jak solony i martwy śledź mógłby odżyć w stawie.

Po tych słowach doszło do starcia między sołtysem i pierwszym ławnikiem. Krawiec wciąż twierdził, że jego wniosek był słuszny, że znalazł uznanie u przygniatającej większości, że węgorza należy ukarać za wyrządzoną szkodę i utopić go. Podjęto taką uchwałę i gnieźdźwiescy gburzy związali węgorza i pojechali z nim na most w Plutnicy. Tam wrzucili go z wozu do rzeki. Węgorz zrobił kilka zakrętów, uwolnił się z więzów i popłynął do morza. A gburzy usiedli na brzegu Plutnicy, by sobie umyć nogi. Ale skoro je zanurzyli w wodzie, pomieszały się im nogi i doszło do ostrego starcia.

Jeden mówił do sąsiada:

— Ty masz moje nogi.

A inny:

— Nie, to ty masz moje nogi.

Aż nadjechał z Pucka wóz.

— O co wam chodzi? — pucanin zapytał się gnieźdźwian.

— Ten ma moje nogi i nie chce ich oddać, a on ma moje i też nie chce mi oddać. Ja muszę mieć swoje nogi z powrotem.

Podczas tej paplaniny pucanin spojrział do wody, przyniósł z woza bat i zaczął nim trząść, gdzie się dało. Gnieźdźwianie wyskoczyli na suchy ląd i każdy stanął na swoich nogach. Natychmiast odjechali do domu, ale już spokoju między nimi nie było. Doszło do tego, że na wniosek krawca obalono sołtysa, a ten dostojny urząd objął krawiec, który nadal podjął walkę z marnotrawstwem.

Na płaskich dachach checz gnieźdźwskich gburów rosła trawa. Krawiec postawił wniosek, żeby przed nadejściem zimy wypaść nią krowy i woły. Z Półwyspu Helskiego sprowadzono rybaków, którzy sporządzili każdemu gburowi talie, wyciągnięto nią bydło na dachy. Powstał wielki ryk zwierząt, a krawiec rzekł:

— Są głodne. Teraz my je nakarmimy.

Bydło, zmordowane do cna, ułożyło się na dachach na trawie, nawet nie pomrukując. Pod krawcem rozsypał się jego tron sołecki.

Wieszczcy

Pewnego dnia zmarł jeden z rybaków z Wielkiej Wsi, był to upalny dzień lipca. Toteż włożono trupa do zimnej komory, a po trzech dniach wyciągnięto go stamtąd, ubrano i włożono do trumny. Po czym zapalono święcone gromnice i inne liczne świece, którymi obstawiono trumnę naokoło. W sąsiedniej izbie zebrało się grono ludzi z basowymi głosami, którzy zaczęli śpiewać pobożne pieśni za zmarłych. Żona nieboszczyka klęczała przy trumnie i wpatrzona w męża gorliwie się modliła. Naraz weszła do izby i zawołała Leona Karcza, szepcząc mu:

— Wydaje mi się, że nieboszczyk jest wieszcz. On w każdej chwili może się podnieść i dostać się do wiejskiego dzwonu. A gdy zadzwoni — jak od lat mówią tu w całej okolicy — wymrą wszyscy ludzie, do których dojdzie głos dzwonu.

Wprawdzie tego nikt nigdy nie widział, ale

przecież zwykle opowiadają o tym starzy ludzie, a im należy wierzyć.

Karcz uważnie przypatrywał się trupowi, a w końcu rzekł:

— Rzeczywiście zakwitły mu rumieńce na policzkach.

Szybko zawołał Jana Koziroga, człowieka odważnego, do tego komendanta, który nie powinien wierzyć w żadne głupstwo, tak przynajmniej o sobie mówił. Ale tym razem, gdy złożone jak do modlitwy ręce nieboszczyka nagle osunęły się, a nawet Koziróg zauważył, że trup zaczął nimi szamotać, do tychczas tak odważny rybak przeskoczył stół i przez otwarte okno prysnął na dwór.

— Dresze, dresze, wieszcy, wieszcy — wrzeszczał wniebogłosy. — Bijcie w dzwon, bo zaraz nadejdzie koniec wszystkich mieszkańców Wielkiej Wsi.

Toteż po chwili z kaplicy rozszedł się na całą wieś głos dzwonu, który ciągnął za linę Józef Gola.

Po jakimś czasie zebrani zauważyli Józefa Bolde, zwanego powszechnie Koszarowym, a to dlatego, że mieszkał w domu długim jak koszary. Wszedł on do izby, gdzie leżał zmarły, pod pachą niósł przełupaną cegłę, jak również bardzo gęstą sieć. Najpierw pod głowę nieboszczyka podłożył cegłę, aby na niej twardo leżał i aby odebrało mu to wszelką ochotę do wstania. Równie ważne znaczenie miała sieć. Zmarły nie mógł podjąć żadnej wyprawy wieszczej bez uprzedniego rozwiązania wszystkich oczek w sieci, a to mogło trwać nawet kilka tygodni. Do tego czasu najbliższa rodzina miała czas zawiadomić wszystkich krewnych i powinowatych oraz przedsięwziąć kroki ostrożności aż do czasu ścięcia głowy zmarłemu.

Opowiadanie to, chociaż jest zwykłą bajką, żyje wśród ludzi i uważane jest za prawdziwe. Ciało zmarłego, leżąc w komorze, zeszytywniało na lodzie, skoro wniesiono je do cieplej izby i obstawiono wokół gromnicami, odtajało, a złożone jak do modlitwy ręce rozluźniły się i obsunęły. Popłochu narobił Jan Koziróg, który ma dziś osiemdziesiąt pięć lat, był wtedy po kilku głębszych, a nie gardził nimi przez całe życie, i z zapalem opowiada legendę o wieszczym.



Przygody chłopca

Pewien niesforny chłopak nie chciał się uczyć, choć nie był głupi. Chodził tylko nad morze i żeglował od wysepki do wysepki, szukał owoców, gniazd mew i różnego ptactwa. Pewnego gorącego lata odpłynął rankiem od brzegu i pożeglował w stronę skalistej wyspy, na której gnieździło się niezliczone ptactwo. Gdy dobijał do wyspy, runął silny sztorm. Chłopiec zerwał żagle i chciał powoli wiosłować, ale nie miał siły walczyć z żywiołem. Wywiesił z powrotem żagielek, bo wiatr się nieco odwrócił i łódka pruła do brzegu. Naraz pod ciężką ołowianą chmurą zaczęła się kotłować jakaś mgła. Nadszedł szkwał z przeciwnej strony i chłopiec nie zdążył do brzegu. Nad morze wybiegła jego matka z córeczką i młodszym synem. Nadszedł również ojciec. W tej właśnie chwili wiatr zaczął wyć i łamać najtęższe drzewa. Ojciec zauważył, że chłopiec zerwał

żagiel, jeszcze próbował wiosłować, ale już szkwał doszedł do niego i wiatr wyrwał mu z rąk wiosła. Wyciągnął ręce do rodziców, ale na brzegu już nikt nie słyszał jego wołania. Łódź zaczęła skakać po drobnej fali, wkrótce zakryły ją tumany wody. Grzmoty waliły, jakby świat miał zagać, a błyskawice zygzakowały i krzyżowały się, huczało, aż ziemia drżała. Po chwili tumany pyłu wodnego zrzędy i rodzice znów zauważyli chłopca.

Choć się przejaśniło i nawet zaświeciło słońce, nie było żadnej możliwości iść z pomocą, huragan dał dalej. Powstały dwa łuki tęczy, jeden nad drugim. Coraz bardziej oddalała się łódź od brzegu. Czasem widzieli, jak wskoczyła na wysokie fale i zabłysły białe rękawy koszuli chłopca. Zaczęło się robić mroczno, wiatr dał wciąż ten sam, a łódź ustępowała coraz to dalej i dalej od brzegu. W końcu zapanował na morzu wieczorny mrok i chłopiec zginął im z oczu. Silni rybacy ścignęli dużą łódź na morze, przygotowali żagle, usiłovali je podnieść, ale sztorm je zrywał. Starsi szyprowie zrezygnowali z wyprawy.

— Przecież ten knop nie może żodnęte wida. Jak my go znajdziemy. Nasze żagle są w strzępach.

Obok wsi było wysokie wzgórze. Wójt postanowił rozpaść ogień, żeby ginący na morzu chłopiec nie stracił nadziei.

— Będziemy kolejno trzymać straż przy ogniu.

Z początku wiatr przydusił płomień, ale nad ranem ogień strzelił w górę, bo wiatr zaczął się uspokajać. Chłopak siedział w łodzi, wylewał wodę i co chwilę spoglądał na daleki płomień. Wiedział, że myśli o nim. Byleby wiatr się uspokoił, to na większej żaglówce przypłyną do niego. Wiatr odpędził go już na kilkanaście mil od brzegu. Ogień znikł mu z oczu. Pojawiły się na niebie gwiazdy, a po jakimś czasie na wschodzie zaróżowiła się zorza. Raptem jakaś fala zaszumiała mu pod dziobem łodzi. Wziął prędko wiosła i zaczął wiosłować z falą. Naraz ogromny grzywacz przewalił się z boku łodzi, a za rufą zabieiliło się kilka fal, po krótkiej chwili łódź szturchnęła o jakiś przedmiot.

— To chyba kamieniste dno?

Ledwie zdążył to pomyśleć, łódź z całą siłą uderzyła o jakiś głaz, deski zatrzęszczały, a woda za-

częła się wlewać do łodzi, która stuknęła o brzeg. Chłopiec wyskoczył na ląd, spostrzegł las i skrył się w jego zaciszu. Teraz, gdy już stał na suchym gruncie, nie martwił się, był przekonany, że ktoś naprawi mu łódź i będzie mógł popłynąć z powrotem do swej rodzinnej wsi. Był poranek i słońce miło grzało. Poczuł głód. Rozejrzał się dokoła, na brzegu widział same skały, nawet z morza mnóstwo skał wytykało swoje czubki.

— Miałem szczęście, że nie wpadłem na nie. Rozbiłbym łódkę i utopił się. Mój Boże — rzekł — opatrność boska jednak czuwa nade mną.

Podszedł do łodzi, zajrzał do niej i zauważył, że całe jej dno jest poharatane, klepki rozczepione. Szczęśliwie ocalała między dwiema ławkami obszer-na skrzynia naładowana czerwonymi jabłkami, usiłował nimi zaspokoić głód.

— A może ta wyspa jest bezludna? — zastanawiał się. — Na brzegu nie widać ani rozwieszonych sieci, ani nawet śladów stóp ludzkich.

Wszedł na wzgórze i wypatrywał jakiegoś statku. Przywiązał do patyka chustkę, by w razie czego móc dawać sygnały. Patrzył raz w morską dal, raz na słońce, aby zorientować się, w której stronie jest jego wieś. Nad wyspą stale krążyły mewy, raz po raz wylatując nad morze. Opuszczały się na wodę i wylądowały ryby, ich przysmak. Postanowił obejść wyspę. Ruszył brzegiem morza, pokonując skały. Słońce było już całkiem na zachodzie, a on jeszcze nie osiągnął łodzi. Po nie przespanej nocy był bardzo zmęczony, a teraz ten kilkugodzinny marsz, to było trochę za wiele. Wszedł więc do lasu, wyciągnął z kieszeni zabrane ze sobą jabłka, gdy zjadł ostatnie, położył się w zacisznym gąszczu i zasnął.

Obudził się, gdy już było zupełnie jasno. Wyszedł na brzeg morza. Gdy słońce wytoczyło się wysoko na niebo, doszedł do łodzi. Zjadł trzy jabłuszka, jedno po drugim, by zaspokoić głód.

— Co to będzie, jak po mnie nikt nie przyjedzie, gdy zabraknie jabłek, umrę z głodu.

Przy pięknej pogodzie dwa dni błądził po bezludnej wyspie, trzeciego zaczął lać deszcz.

— Gdzie tu się skryć? Drzewa już nie dają schronienia, bo z ich konarów kapią duże krople dżdżu — zastanawiał się chłopiec.

Przemoczony do nitki przedzierał się między skałami w głąb lasu i tu przypadkiem trafił na grotę. Deszcz padał kilka dni. Od czasu do czasu opuszczał chłopiec jaskinię, aby przynieść świeży zapas jabłek. Zaraz wracał, nie tyle ze względu na deszcz, ile że na morzu było szaro i mglisto.

Nareszcie się rozpogodziło, rozjaśniło i teraz znów mógł ze wzgórza wypatrywać statku. Pewnego dnia ogarnęła go niezmierna radość, zauważył aż trzy żaglowce płynące w kierunku jego wyspy. Ale gdy zbliżyły się do niej na dwie mile, wzięły kurs w bok, nie zauważając rozpaczliwych znaków, jakie dawał chłopiec flagą. Wpadł w rozpacz. Płakał do samego wieczora. Położył się w jaskini na posłaniu z trawy, którą zniósł z lasu. Tego wieczoru nie zjadł ani jednego jabłuszka. Ale rano, gdy się obudził, kiszki w nim skrzeczały. Pobiegł do łodzi, która stała nie dalej niż trzysta metrów. Jednego słonecznego dnia znów wyprawił się wokół wyspy i znalazł przypadkiem dwa pływaki oraz sznur z haczykami. Były one takie same jak te, których jego ojciec używał do łowienia dorszy. Gdy był w domu, nieraz natykał na takie haczyki przynętę. Chłopak ogromnie się ucieszył, gdyż przesiadując na głazie widział w przezroczystej wodzie mnóstwo większych i mniejszych ryb, rozpoznał wśród nich nawet łososie. Toteż zabrał sprzęt do jaskini, chciał rozplatać haczyki, ale pomyślał:

— Wystarczy mi jeden.

Była już jesień, drugi tydzień listopada. Przypomnił sobie, że o tej porze roku jego ojciec wykopywał tuż przy brzegu dziurę, bo tam wchodziły dobijaki, rybki, które można było użyć na przynętę. Następnego dnia złapał pośród skał dobijaka i nadział go na haczyk, puścił do wody, a po chwili zaczęła ryba szarpać. Wyciągnął okazałego dorsza.

— Łatwo tu rybę złowić — uradował się chłopak — ale jak ją ugotować?...

Po kilku minutach zastanowienia rzekł sam do siebie:

— Są kamienie i glina, zbuduję w jaskini kuchnię. Widziałem na brzegu morza szeroki, płaski kamień. Ustawię go nad paleniskiem, a na kamieniu będę smażył ryby. Scyzoryk do patroszenia mam.

Zamknął otwór jaskini chrustem i suchą trawą,

a wejście zatykał na noc pękiem trzciny. Posłanie sobie wymościł morską trawą, którą fale przyniosły do brzegu wyspy. Ogień udało mu się wzniecić krzemieniami. Na noc przykrywał się żagielkiem. Jaskinia nagrzewała się od rozpalonych kamieni. W lesie znalazł strumyczek, gdzie miał pod dostatkiem słodkiej wody, którą przynosił w olbrzymiej muszli.

— Na pewno nie tutejsza — pomyślał chłopiec. — Jakiś statek przywiózł ją z dalekich ciepłych mórz. Zapewne rozbił się na skałach, a muszlę fale wyrzuciły na brzeg.

— Ale co moja nenka myśli o mnie — zastanawiał się.

W tegie mrozy topił śnieg, ponieważ jego źródło w lesie zamarzło. Raz w tygodniu łapał większego dorsza, to mu starczało. Tłuszcz wytapiał z wątróbek rybich. Tak przeżył zimę. Nadeszły wiosenne sztormy. Pewnego dnia rano zauważył między skałami rozbity niewielki żaglowiec. Gdy fala się uspokoiła, podszedł do niego, ale zastał tylko cztery trupy. Zrozumiał, że załoga zmarła już kilka miesięcy temu i że jest to statek widmo, który pływał po morzu jako latający holender. Znalazł na nim trochę sprzętu, jak siekiere, piłę, młot, obcęgi, a nawet kilka gwoździ. Niezmiernie się ucieszył. W kajucie była pościel, bielizna i ubrania. Przeląkł się:

— Czy aby ci ludzie nie zmarli na cholerę lub jakąś inną zaraźliwą chorobę?

Pochował ich na piaszczystej plaży. Odmówił za każdego z osobna modlitwę, z kołków zbił krzyże i postawił na nagrobkach. Po czym zniósł sprzęt ze statku, znalazł nawet lornetkę. Toteż patrzył przez nią w kierunku południa, czy nie widać wsi, gdzie mieszkają jego rodzice. Gdy się dobrze rozjaśniło, dostrzegł wzgórze, ale nic więcej. Teraz zagroził jaskinię, zrobił pryzę. Całe lato łowił beztrudno ryby, mógł je teraz smacznie przyprawiać. W małej kotlinie między pagórkami znalazł białą warstwę soli. Gdy poziom morza był wysoki, piana woda dostawała się do tej kotliny. Latem, jak słońce przygrzało, woda wyparowała, a sól pozostała na dnie kotliny.

Skoro znów nadeszła zima, żył znacznie lepiej,

miał zapas drzewa na opał, sprowadził z rozbitego żaglowca okrycie, jadł z talerza, łyżką. Tylko wciąż dręczyła go samotność, miał czternaście lat. Żałował, że na szkunerze nie znalazł łodzi ratunkowej. Mógłby wtedy przy pięknej pogodzie, gdyby wiatr wiał w kierunku lądu, powiosłować do rodzinnej wioski. Ale były to tylko marzenia.

Minęły trzy lata, pewnego dnia najmłodszy jego braciszek wszedł na sam szczyt wzgórza obok wsi i po chwili biegiem udał się do checzy. Zdyszany wpadł krzycząc:

— Nenko! Nenko, widziałem, jak nasz brat północy warzył!

— Gdzie, synku?

— Daleko, za morzem.

— Co ty, knopie, gadasz. Jak mogłeś widzieć, że obiad gotował.

— Widać dym, który wysoko unosi się w powietrzu.

Cała rodzina pobiegła na wzgórze.

— Tam, daleko widać dym — powiedział do siostry.

Wtem doszedł do nich ojciec.

— To na pewno jakiś pożar na wyspie, widziałem ją w tamtych stronach, jak wypływałem na dalsze łowiska.

— Weźmiemy naszą łódkę i popłyniemy. Jak to będzie nasz brat, przywieziemy go do domu — cieszyła się siostra.

— Naszą małą łódkę tam nie dopłyniemy. Gdyby nadszedł niespodziewanie silny sztorm, to by nas zatopił. Poproszę naszych maszopów i weźmiemy maszoperyjny duży bot o czterech żaglach.

Jeszcze tego wieczoru ojciec chłopca wszystko przygotował, przypiął nowe żagle do masztu, zaopatrył łódź w żywność i rano odbiło od brzegu trzech maszopów. Matka z dziećmi weszła na wzgórze. Łódź pomału zginęła im z oczu, choć wypatrywali jej jeszcze całe popołudnie. W tym czasie rybacy, płynąc ostrożnie, powoli okrążali skały i dobili do piaszczystego brzegu.

— To są ślady stóp młodego człowieka — zauważył jeden z maszopów.

— Tylko jedne ślady — stwierdził ojciec.

Ruszyli w głąb wyspy. Naraz zauważyli, że pod

drewnianym krzyżem modli się strapiony chłopak. Wszystko, co miał, strawił pożar. Szukał ratunku w Bogu. Naraz usłyszał głos:

— Hej, chłopcze, czy to ciebie kiedyś porwały fale morza?

Chłopak odwrócił się i poznał swojego ojca. Zerwał się i biegł do niego wołając:

— Mój tata kochany!

Chłopiec całą noc opowiadał przybyszom z łądu, jak przeżył na wyspie trzy lata. Jak straszły go diabły w jaskini, jak się potem przekonał, że to nietoperze, a nie purtki.

Rano rybacy podnieśli żagle i ostrożnie odpłynęli wszyscy od wyspy. W ciągu dnia nadszedł piękny wiatr, pokazał się łąd. Dostrzegli rodzinną wieś i wzgórze, na którym stało kilka osób wymachując chusteczkami. Była to matka chłopca, jego brat-ciszek i siostra.

Cały wieczór opowiadał rodzinie o swoich przygodach. Z czasem zaczął jeździć z ojcem na połowy, a potem został rybakiem, który już dobrze poznał niebezpieczeństwa, jakie przynosi morze, zaprawiony był do walki z żywiołem.

Motyl w bursztynie

Na łęgu Jastrzębiej Góry mieszkała czarownica. Widywały ją czasem kobiety z Tupadeł, zbierające grzyby. Miała miedzianą twarz, długie kruczoczarne włosy. Kiedy czasem zaplatały się jej one w rogowcu, rosnącym obficie na zboczach wysokiego brzegu, rozplątywała je przez trzy dni. Morze burzyło się wtedy, a chichot czarownicy słychać było aż w rozewskich bukach. Wówczas stary Fabisz, rybak z Rozewia, mówił:

-- Czarownica myje na zoloju włosy.

Tego dnia rybacy nie wypływali na połów.

Kiedy jednemu z rybaków z Ostrowa urodziła się dwunasta córka, najpiękniejsza z wszystkich dzieci, wszyscy już byli kumotrami. Więc ojciec wyszedł na drogę, aby zaprosić pierwszych spotkanych dwoje ludzi. Pierwszym mężczyzną, którego

spotkał, był Gabriel Fabisz z Rozewia. Na ścieżce wijącej się do morza spotkał czarownicę. Poznał ją po długich włosach. Siedziała na kamieniu i liczyła paciorki. Ominął ją z daleka, by nie prosić jej na kumę. Czarownica rozzłościła się okropnie, potrząsnęła koralami i zawołała.

— Miałam już dla twojej córki podarunek, ale dlatego, że mnie nie zaprosiłeś na kumę, nie zazna ona szczęścia w życiu.

Czarownica dotrzymała słowa. Basia, bo takie imię dali rodzice córeczce, wyrosła na bardzo brzydką dziewczynę. Była ona najszeptniejsza w całym Ostrowie. Dokuczano jej i wyśmiewano się z niej. Nikt nie chciał przebywać w jej towarzystwie. Żadna z dziewcząt nie chciała się z nią przyjaźnić. Zaczęła więc unikać swych rówieśnic. Uciekała do łęgu, gdzie na zboczach ukrywała się w kolczastych sedwinach. Przesiadywała nad strumykiem Czarnej i długo wpatrywała się w odbicie swojej szkaradnej twarzy. Powtarzała za innymi:

— Jestem córką czarownicy, gdzie się podziewa moja matka.

Pewnego razu, gdy siedziała na wydmach i wpatrywała się w strumyczek, który przedzierał się przez wydmy do morza, gorzko zapłakała nad swoją dolą. Raptem obok odbicia swojej twarzy ujrziała w wodzie twarz czarownicy.

— To prawda, że jesteś bardzo brzydka — usłyszała głos czarownicy. — Kto spojrzy na ciebie, odwraca się ze wstrętem. Przypominasz im mnie. A przecież na mój widok kobiety bledną, a mężczyźni spluwają. Krowom odbieram mleko, rybakom skręcam sieci, pijanych prowadzę na manowce. Nocą przemieniam się w puchacza i krążę koło wsi. Ale tobie nie uczynię nic złego, nazywają cię córką czarownicy. Więc dam ci wiano jak córce. Weź te korale, przeznaczyłam je dla ciebie, kiedy byłaś dzieckiem. Włóż je na szyję i spójrz do strumienia.

Basia założyła korale na szyję i spojrzała do strumienia.

— Widzę piękną dziewczynę, patrzy na mnie. Jak cudnie błyszczą jej korale.

— Dotknij tylko koralu, a przekonasz się, kim jest ta dziewczyna.

Basia wzięła je w rękę i zapytała:



— Czy to ja?

— Tak, to ty jesteś, moja córko. Kto teraz spojrzy na ciebie, z miejsca zakocha się w tobie. Tylko pamiętaj, nie wolno ci zdjąć tych koralików. Kiedy je zdejmiesz, staniesz się tak szkaradna, jak byłaś dotąd, a wszyscy odwrócą się od ciebie. Wracaj do Ostrowia i zażywaj szczęścia.

Kiedy Basia odeszła, czarownica mruknęła do siebie:

— Nie zaznasz ty długo szczęścia, ani nie przyniesiesz go nikomu.

Wraca Basia brzegiem morza i zatrzymuje się co krok, patrząc w zwierciadło wody.

— Morze, morze, powiedz mi, czy ja naprawdę jestem piękna?

Zobaczyły ją siostry i otoczyły kołem.

— Jakie cudne masz włosy. Jakie piękne oczy. Z zazdrością dotykały koralików na jej szyi.

— Skąd je masz, siostry? — pytały. — Gdzie byłaś? Czy to ciebie nenka tak obdarowała.

Basia uśmiecha się, nie czuje do nich urazy.

Ale pomna przestrogi czarownicy, nie chce zdjąć koralików ze swojej szyi.

— Byłam w łęgu nad strumykiem, tam, gdzie rośnie sedwina. Sedwinie się pokłoniłam, o koraliki poprosiłam.

Biegną dziewczęta do łęgu, szukają sedwiny i strumyka.

— Jest strumyk i jest sedwina.

Zrywają czerwone jagody, naciągają je na nitkę. Sedwinowe koraliki wieszają na szyję.

Piękna jest sedwina, piękne są paciorki sedwinowe, ale koraliki na szyi Basi są o wiele piękniejsze. Piękne są dziewczęta w Ostrowie, splatają długie warkoczki, ale najpiękniejsza z nich jest Basia. Jej włosy błyszczą jak złoto, jej oczy są głębokie jak morze. Jej usta jak koraliki sedwiny. Siedzi Basia na ławce przed domem, dziewczęta otaczają ją kołem.

— Basia to, czy nie Basia?

Schodzą się chłopcy, patrzą na Basię i wdychają. Odchodzą smutni, śnią o niej i budzą się radośni, że ją znowu zobaczą. W czasie połowów na morzu nagle zapadają w zadumę spoglądając z tęsknotą w stronę wsi. Na brzegu siedzi Basia, rozplata długie włosy, uśmiecha się i długo tonie w zamyśleniu. W południe przychodzi czarownica, siada obok Basi na brzegu morza.

— Nie wolno ci się zakochać, moja córko, żal mi ciebie, ale inaczej być nie może.

— A jeżeli się zakocham? — pyta Basia i myśli o pięknym Jakubie Bizewskim z Karwi, który kiedyś, jeszcze jak była brzydka, poprosił ją do tańca. On jeden nie dokuczał jej wtedy, wpatrując się w jej smutne oczy.

Chodził teraz Kuba Bizewski, zaglądał jej w oczy i prosił, by została jego żoną.

— Basiu, uczynię wszystko, co zechcesz.

Biegnie Basia do czarownicy i pyta:

— Co mam uczynić? Żal mi go, był zawsze dla mnie dobry. Zlituj się nad nim i nade mną. Poradź, co robić.

Zamyśliła się czarownica, zajrzała do czarodziejskiego zwierciadła.

— Jeżeli przyniesie ci najpiękniejszy kawał bursztynu z dna morza, zostań jego żoną.



Wraca Basia przez las, zrywa leśne jagody i wpina je we włosy. Nadziała się na mikołajek modro kwitnący, a mikołajek odezwał się do niej:

— Ej, ty piękny aniele, zerwij mnie i ozdób mną swego najukochańszego.

Dziewczynka usłuchała mikołajka, chociaż przy zrywaniu ukuła się w paluszek. Świat stał się dla niej teraz wesół. Białe mewy zaczęły nad nią krążyć. Ptaki śpiewały, wiewiórki skakały z drzewa na drzewo, a Basi było wesoło. Jednak gdy pomyślała, że jej ukochany musi zdobyć najpiękniejszy kawał bursztynu, ogarnął ją smutek. Spojrzała na kwiat mikołajka i w tej chwili radość napęłniła jej serce. Zrodziło się w niej głębokie przekonanie, że ten kwiat brzegowy zasadził sam król Neptun. Skoro jej ukochany stanie przed nim w morzu ozdobiony jego kwiatuszką, ułatwi on mu zdobyć najpiękniejszy kawał bursztynu.

Wysokie brzegi były strzeżone przez wysokie sosny. O zmroku, gdy gwiazdy pojawiają się na niebie, w zatoczkach wśród trzciny i szuwarów cichnie wiatr. Wygląda się powierzchnia wody. O takiej porze król Neptun spoczywa w swoim przybrzeżnym zamku, którego strzegą straszne rekiny. O takim czasie narzeczony Basi mógł zdobyć ów kawał drogiego bursztynu. Basia zaprowadziła swego ukochanego nad zatoczkę. Całowała go długo. Złowrogie mury charczały strasznie, by odstraszyć odważnego Kubę, miłującego nad życie swą dziewczynę. Basia przed jego odejściem jeszcze sprawdziła, czy też lubego ozdabia kwiat mikołajka. Pocałowała go ostatni raz, a on wszedł do wody. Wnet się w niej zanurzył i zniknął z oczu Basi. Usiadła na brzegu morza i choć żał jej było Kubę, zapłakać nie mogła. Co spojrzeć na korale, weźmie je w ręce, zaraz nawiedzają ją wesele myśli.

— Czy to mało chłopców na świecie?

A gdy tylko zdejmie korale, ogromny smutek wypełnia jej serce.

— Biedny Kuba, nie wypuści go król Neptun z głębiny. Nie wróci do wioski, nie ucieszy się moje serce. A gdyby nawet wrócił, jak go wtedy wynagrodzę.

— Okrutna jesteś, Basiu — lamentuje matka

Kuby. — Syna mi odebrałaś. Na jego opiekę liczyłam na starość. A oto teraz przychodzę na brzeg morza i daremnie wypatruję jego powrotu.

Mija dzień, drugi, trzeci tydzień przeszedł. Król Neptun zazdrosny jest o swoje tajemnice. Kto wie, jak postąpił z synem. Mija pełnia księżyca, nocą w zatokach, wśród trzciny i szuwarów ścichł wiatr. Wyglądała się powierzchnia wody. Biegne Basia nad morze króla Neptuna.

— Wróć mi mego narzeczonego, a zrobię wszystko, co rozkażesz.

W taką noc Neptun słucha wszystkich próśb i zaklęć. Posłyszała Basia jego głos:

— Jesteś piękniejsza od królowej Saby. Wszystkie pieśni, jakimi szemrzą fale w dzień pogodny, i wszystkie pieśni, jakimi huczą fale w dzień burzliwy, są dla ciebie. Bądź moją, Basiu.

— Będę twoją, jeżeli wrócisz mi Kubę.

Król Neptun zwrócił urodziwego młodzieńca, który stanął przed Basią z pięknym, okrągłym jak pszenny chleb, bursztynem. Jaśniał on w słońcu, a przeźroczysty był jak szkło, w środku widniał prześliczny kolorowy motyl. Był tak cudny, że nie można było od niego oczu oderwać.

— Basiu, ten motyl uwięziony jest miliony lat w tym bursztynie, a setki tysięcy lat był w posiadaniu króla morza, Neptuna. Gdy stanąłem przed nim ozdobiony w piękny modry kwiat, wręczył mi ów cenny i piękny kawał bursztynu mówiąc: „Daję ci go dla uroczej dziewczyny, dzięki której ów kwiat mikołajka jeszcze raz mogłem zobaczyć w moim długim życiu. Jej to zawdzięczam, że i inne kwiaty mikołajka będę mógł przywoływać do siebie, a wracając dadzą mi szczęście. Zaś kawał bursztynu z motylkiem przynosić będzie wieczne szczęście twojej dziewczynie. Nawet czarownica i jej czary przed nią się nie ostoją.

— Oddaję ci moje serce na wieczne czasy — wyznała Basia Kubemu.

— Chodźmy nad czarny strumyczek. Siłą tego bursztynu, w którym uwięziony jest motyl, wywołam czarownicę — rzekł Kuba.

Powędrowali nad strumyczek. Tutaj Kuba wręczył umiłowanej bursztyn, którym wywołała czarownicę. Stała kruczoczarna brzydula przy Basi,

wówczas wyjęła ona kawał bursztynu z motylem, pokazała go czarownicy, ta zbladła. Ręce jej omdlały, nogi odmówiły posłuszeństwa i opadła na tyłek.

— Odbierz ode mnie te czary — rzekła Basia do czarownicy.

Czarownica pokręciła długim nosem.

— Ani mi się śni — rzekła. — Oddaj korale.

Posłuszna dziewczyna dygnęła i podała jej paciorki. Twarz jej nie uległa zmianie. Pozostała piękną, bo miała w torbie ów śliczny kawał bursztynu. Wzięli ślub w parafialnym kościele. Kto żył z całej okolicy uczestniczył w tej uroczystości. W zatoce szemały drobne fale o szczęściu Basi. Morze burzyło się i pieniało, a czarownica chichotała w sedwinach. Basia zamieszkała z Kubą w białym domku nad morzem. Młody mąż łowił łososie i węgorze, a piękna dziewczyna wyglądała rankiem przez okno, oczekując męża wracającego z okazałym łososiem. Piękna bryła bursztynu leżała na komodzie. Za sto tysięcy lat ów cudowny motyl ma się odwrócić, wtedy straci czarodziejską moc, ale zła czarownica na szczęście już przepadła i więcej nie będzie nikogo prześladować.

Rybacka sierota

Aleksander Ciskowski był rybakim i łowił śledzie wraz ze swymi maszopami na wybrzeżu rozewskim, połowy były kiedyś bardzo obfite, jednak z biegiem czasu zmalały. Rybacy potracili swój sprzęt, tylko Ciskowski ze swoim bratem wiernie wciąż trudnili się połowami śledzia. Miał on urodziwą córkę, Helenę, która była bardzo pracowita, toteż swojemu ojcu naprawiała wszystkie śledziowe sieci. Łowili oni mancami, były to sieci wiązane z konopnych nici, długie na 20 sążni, rozpiętość oczek 26 milimetrów, głębokość dwieście oczek. Helena musiała co roku zimą związać kleszką trzy takie sieci. Łowili na łodzi dosyć wysokiej, dwadzieścia stóp długiej, a sześć stóp szerokiej. Jak rybak stanął przy niej na brzegu, to na samym środku sięgała mu po pas, a w przodzie i w tyle

prawie po ramiona. Była to łódź wiosłowo-żaglowa. Śledzie łowili blisko brzegu, zapuszczając się w morze najwyżej na trzy mile. Gdy panowała cisza, wiosłowali, jeżeli zaś był wiatr, podnosili żagle. Prócz łodzi Ciskowski miał też skutę, był to niewielki szkuner, na trzynaście metrów długi i pięć szeroki. Wypływali nim jedynie na dalsze połowy, gdy ławice śledziowe odpłynęły od brzegu. Jednak rzadko to się zdarzało i często szkuner stał bezczynnie w Łebskim Żłobie, gdzie Aleksander Ciskowski wraz ze swoim bratem pobudowali sobie domy. Prawie dwieście lat stała wieś na brzegu morza, między Łebskim Żłobem a Bursztynową Górą, na szerokim piaszczystym strądzie.

Był to okres wojen polsko-krzyżackich za naszego króla Kazimierza Jagiellończyka. Pucki starosta w owych latach na podstawie pisma królewskiego zezwolił rybakom zrzeszonym w maszoperii napadać na krzyżackie statki, jak również na flotę tych krajów, które zbrojnie wspomagały Krzyżaków. Po zawarciu pokoju w Toruniu, w 1466 roku, kaperstwo to ustało. W XVI wieku, w okresie wojen o Inflanty, znów wystąpiło i trwało aż do połowy XVII wieku.

Z biegiem czasu we wsi Rozewie strąd się zaczął zwężać, doszło do tego, że uległy zniszczeniu pierwsze chaty przy zoloju. Aby uchronić je przed zagładą, rybacy ogradzali swoje checze wysokimi murami z kamieni. Nic to nie pomogło, drewniane domki rozniosły fale, a ogrodzenia można oglądać jeszcze dziś przy przezroczystej wodzie. Wieś znikła z powierzchni ziemi. Dłużej przetrwały w pamięci ludzkiej checze Aleksandra Ciskowskiego i jego brata, Michała, w Łebskim Żłobie, jak również szkuta Aleksandra czy uprawiane przez niego połowy śledzia. Sto lat temu rybacy łowili na tym odcinku wybrzeża już w zupełnie inny sposób. Ale Ciskowski ze swoim bratem mimo to nie zaniechali dawnego systemu połowów. Były wprawdzie lata, kiedy udało mu się zasolic zaledwie pięć do dziesięciu beczek śledzia. Sprzedawał je zwykle w Pucku, dokąd był dobry dojazd łodzią. Tuż przy Wielkiej Wsi wiodła rowem droga bliska i bezpieczna.

Po potopie szwedzkim połowy od nowa jakby się zaczęły wzmacniać. Maszoperia Ciskowskiego

łowiła do pięćdziesięciu beczek śledzi. Z każdym rokiem mieli obfitszy plon, mogli tego lata zasolić nawet kilkaset beczek, ale nie byli do tego przygotowani. Chcąc się zabezpieczyć, maszoperia Ciskowskiego uszczelniła dobrze szkutę, obtaklowała, ożaglowała i popłynęła do Gdańska, aby przywieźć sześćset beczek i odpowiednią ilość soli. Nadzieje ich się ziściły. Gdy w połowie sierpnia przy lekkim wietrze wschodnim zapuścili mance, w każdym oczku siedział jeden śledź. Tego dnia zasolili piętnaście beczek śledzia. Natychmiast rybacy z Chłapowa, z Tupadeł, kto tylko miał jakąś sieć, wychodził na morze.

— Ciskowski ma toń św. Piotra — mówiono.

Rybacy codziennie przed wieczorem zastawiali sieci, a rano wybierali z mancy śledzie i je solili. Maszoperia Ciskowskiego od połowy sierpnia do piętnastego września złowiła tyle śledzia, że mogła napęłnić czterysta beczek. Zaraz załadowali na szkutę sto pięćdziesiąt beczek i popłynęli do Gdańska, gdzie łatwo znaleźli kupców, jako że były to pierwsze tego roku śledzie. Szybko wrócili do Rozewia po nowy ładunek, a tym razem wzięli aż dwieście dwadzieścia beczek. Byli już prawie gotowi do drogi, gdy zaczął dąć silny wiatr, mimo to podnieśli żagle i wypłynęli rowem na Małe Morze. W ten rejs Aleksander Ciskowski popłynął do Gdańska ze swoją najstarszą córką, Heleną. Gdy wiatr się uspokoił, podnieśli żagle i niebawem dotarli do Gdańska. Jednak okazało się, że przybyło tam wielu rybaków z Zalewu Wiślanego i z mierzei, śledź zatem staniał. Niewiele się namyślając, Ciskowski postanowił wyruszyć w górę Wisły, do Płocka, Włocławka lub Torunia. Wiatr dmuchał z północy, dobrze wyżaglowana szkuta szybko posuwała się pod prąd Wisły, toteż wnet stanęli w Toruniu. Tu jeszcze nikt nie dostarczył tegorocznego śledzia, wobec czego w krótkim czasie znaleźli nabywców, wyładowali swój towar, otrzymali pieniądze i udali się w drogę powrotną do Gdańska. Teraz z prądem płynęli szybko.

Helena nabrała takiej wprawy w żeglowanie, że Ciskowski postanowił podjąć natychmiast jeszcze jedną wyprawę, dopóki rynek nie jest przepełniony śledziami. Tymczasem po przybyciu do checzy

dowiedział się, że zmarły dwie jego młodsze córki, które już pochowano. Wpadł w rozpacz, Helena lamentowała dzień i noc. Niezym nie mogli sobie wytłumaczyć ich śmierci. Niektórzy sądzili, że zmarły na cholere, Ciskowski obstawał przy tym, że zabrała je wielka choroba gardłowa (dyfteryt).

Ból po stracie najbliższych nie powstrzymał ich przed podjęciem następnej wyprawy. Pozostałe beczki przenieśli do ładowni oraz na pokład i z takim ogromnym ładunkiem wypłynęli do Włocławka, by tam swój towar sprzedać miejscowym kupcom. Odbili od Rozewia przy bezwietrznej pogodzie. Dwadzieścia godzin żeglowali przez Małe Morze. Dopiero jak minęli Oksywie, ruszył północno-wschodni silny wiatr. Do Gdańska nie było daleko, toteż Aleksander Ciskowski miał nadzieję, że przemkną się szybko do portu. Jednak fala zaczęła raptownie wzrastać, woda przelewała się przez pokład i lukiem dostawała się do ładowni. Naraz rybak zauważył, że przeładowany szkuner zanurza się coraz to więcej. Postanowił więc wyrzucić za burtę beczki ze śledziami, myśląc, że w ten sposób uda mu się uratować statek. Jednakże w chwili, gdy na pokładzie nie było już ani jednej beczki, statek gwałtownie się przechylił. Helena wypadła za burtę, a Ciskowskiego beczki przycisnęły do nadburcia. Statek przewrócił się na bok. Helena za wszelką cenę chciała uratować ojca, pływała dookoła wraku, w nadziei, że go odnajdzie, lecz wszystkie jej wysiłki poszły na marne. Ku jej zdziwieniu statek nie szedł na dno, weszła więc na wyższą burtę i chwyciła się liny. Wypadek zdarzył się wieczorem, w okresie ostatniej dekady października. Przesiedziała na wraku całą noc, zmarznięta do szpiku kości. Helena przeżyła bardzo ciężką noc. Zarzekała się, że już więcej nie popłynie na morze. Dopiero nad ranem, gdy słońce się wytoczyło z morza, czterech rybaków podплыło do wraku. Zdjęli oni Helenę i zabrali na ląd. Nie odeszła jednak tak długo, dopóki fala nie dopchała wraku do brzegu. Wówczas dopiero zawiadomiła swego dziadka, a ojca maszopów, którzy natychmiast się udali na miejsce katastrofy i zabezpieczyli wrak. Po wyładowaniu pozostałych beczek, sprzedali śledzie w Gdańsku, a stary dziadek rozdzielił



pieniądze między maszopów. Helena nie dostała ani grosza, gdyż zdaniem dziadka z jej winy nastąpiła katastrofa. Ona przyczyniła się do śmierci ojca, bowiem jako kobieta nie powinna była pływać po morzu. Niezmiernie przygnębiło ją oświadczenie dziadka, któremu zapowiedziała, że więcej nie wróci do Rozewia, pożegnała się z nim, ze stryjami i z morzem i udała się na Kociewie w poszukiwaniu służby. Trudno jej było znaleźć pracę, chodziła od dworu do dworu, aż natrafiła na jeden, gdzie klucznica jej oznajmiła:

— Możesz u nas lestać za popieluszkę, będziesz palić w piecach i popiół wynosić. Idzie na zimę i trzeba ogrzewać komnaty.

Helenka zgodziła się i odtąd wszyscy wołali na nią Popieluszka. Drwalnia pełna była suchych szczap brzozowych i sosnowych, buczyny i dębiny. Popieluszka musiała palić w dwudziestu kominach i z dwudziestu kominków wynosić popiół. W większych izbach wisiały kilimy, obrazy, makatki wyszywane jedwabiem, na ławach leżały skóry

wilcze i baranie a kominki były zrobione z ciosanych głazów. A w mniejszych izbach, tak zwanych bokówkach, należących do panien dworskich, i w służebnych alkierzach pachniały żywicą modrzewiowe bale, stołki niczym nie były obite, a kominki ulepione z polnych kamieni i gliny. Ale palić trzeba było we wszystkich jednakowo. A im nastawała zima bardziej sroga, tym większe musiała dźwigać naręcza drzewa, tym więcej wynosić wiader popiołu. Od tej roboty Popieluszka chodziła wciąż osmolona, pokryta popiołem, umorusana węglem, że ani rozeznac nie można było, czy jest młoda, czy stara, brzydka czy ładna.

W wielkim dworze mieszkała tylko wdowa, pani Joanna, ze swym synem dwudziestotrzyletnim, który był piękny i nad podziw silny. Nic dla niego nie znaczyło chwycić wielkiego byka za rogi i do ziemi go przygnieść, a zwierzę ze złości biło się ogonem po bokach. Nic dla niego nie znaczyło w pojedynkę iść na niedźwiedzia czy ubitego łosia wziąć na bary i przydźwigać go z kniei do domu. Panek dumny był ze swej urody i siły oraz bogactwa, pycha go rozsadzała. Gdy chciał przywołać człowieka, gwizdał na niego jak na psa. A gdy niebacznie jakiś parobek dotknął go, zaraz zrzucił z siebie żupan i więcej już go nie wkładał. Na Popieluszkę nawet nie spojrzał, omijał ją z daleka.

Dla Popieluszki jedyną radością były ptaszki. Gdy nastawała zima, zgarniała ze stołu wszystkie okruszyny, ziarenka rozsypała na klepisku i wynosiła je zgłodniałym ptaszętom. Zlatywało się całe bractwo, wróble, sikorki, szczygiełki, rudziki, gołębie, z radością przyjmując ofiarowane im pożywienie. Okazywała im wiele serca, a one w zamian obdarzały ją miłością.

Pewnego wiosennego dnia zdarzyło się, że panek mył ręce w basenie koło domu, a ręcznik zawiesił na drzewie. Wtem wiatr ze świstem szarpnął nim i poniósł ręcznik na ogród. Zobaczyła to Popieluszka, skoczyła, złapała ręcznik i pragnęła podać go paniczowi, a ten jak nie wrzasnął:

— Nie zbliżaj się — zwinął ręcznik i wrzucił do obory, wprost w gnój leżący pod krową. — Nie wytrę się ręcznikiem, który trzymała Popieluszka.

Dziewczynę zabolęła ta uwaga, ale cóż mogła na to odpowiedzieć. Odwróciła się i odeszła do swej smoluchowej roboty. Minęło kilka dni, a tu rozeszła się wieść, że w sobotę będą na wsi tańce i muzyka. Rada by się Popieluszka zabawić. Poszła do klucznicy i poprosiła o pozwolenie.

— Oho, zabawy ci się zachciewa, a tu huk roboty we dworze, trzeba przebrać mak, bo zmieszany z popiołem.

I wskazała na wielki wór stojący pod ścianą.

— Zawlecż miech do swojej izby i bierz się do roboty. Jeżeli do jutra po południu wszystko przebierzesz, będziesz mogła pójść na tańce.

Wór był tak duży, że Popieluszka z trudem przy pomocy pastucha wciągnęła go do izdebki. Zabrała się do roboty, co weźmie z worka garsteczkę, szuka w popiele ziarenka maku i je odkłada. Praca tak żmudna, że i przez miesiąc nie sposób jej wykonać.

— Nie dla mnie zabawa, nie dla mnie tańce — pomyślała Popieluszka.

A tu naraz za oknem zagruchotały gołębie. Wleciały do izby i zaczęły tak szybko młócić dzióbkami, przebierać pazurkami, a pomagać sobie skrzydłami. W oczach wyrosła górką maku, a popiół unosił się przez okno, niczym obłok. Jeszcze do wieczoru słońce nie dobieżało, a robota już była skończona. Następnego dnia Popieluszka zwróciła się do klucznicy:

— Mak jest przebrany, jakżeście kazali, to i na zabawę pójde, jakżeście mówili.

— Nie może być — rzekła klucznica — słowo swoje odmieniam. Jakże to smolucha na zabawę pójdzie, przecież ją z tanecznej izby wygonią.

Zaśmiała się szyderczo i zadrwiła sobie:

— Idźże, idź i tańcz tam do białego dnia. Tylko żebyś o wschodzie słońca napaliła w kuchennych piecach.

Uradowana Popieluszka wyskoczyła zaraz do swojej izdebki. Umyła się czysto, gładko przecesała włosy i wtedy dopiero się opamiętała.

— Co mi z tego. Jakżem ja głupia, w czym polecę na tę zabawę. W zasmoluchanej sukience, w obszarpanym kaftaniku. Narażę się na śmiech i na drwiny! Już mnie po mojej radości.

Wtem nadleciał gołąbek i zawołał.

— Za mną, sieroteczko, do Dąbrowy niedaleczko.

Gołąbek swój lot do ziemi zniżył i na Popieluszkę spoglądał. Dziewczyna pobiegła za nim. W Dąbrowie gołąbek kilkakrotnie dookoła obleciał stary dąb, za każdym razem dzióbkiem stuknął:

— Dębie stary, dębie stary, Popieluszcze daje swe dary.

Gdy po raz trzeci poprosił, dąb się otworzył, Popieluszka patrzy, a tam przestronna komora, a w niej rzędem stoją skrzynie, a w skrzyniach pełno, pełniuszko świątecznego przyodziewku. Tu koszula cieniutka, w drobne kwiaty haftowana, tu kolorowe kaszubskie chabry, złotem, srebrem dziergane, tu spódniczka kwiecista, tu zapaski z naszywanymi wstążeczkami, tu sznury koralu i bursztynu, przy nich wstęgi aż do ziemi.

Hej! jakież tu bogactwo, sama uroda. Przyodziwała się Popieluszka w kaszubskie stroje, a gdy przejrzała się w wodzie, nie mogła siebie samej poznać, tak nad podziw była odmieniona. Pokłoniła się dębowi i zaraz ku gościńcowi pobiegła. Tu muzyka już grała, niósł się śpiew, skrzypce przewodziły, popiskiwał flet i huczał bęben, dziewczęta i chłopcy ze wszystkich checz wsiowych ku tej zabawie dążyli.

— Skąd ta dziewczynka najpiękniejsza ze wszystkich, a jaka smukła i zgrabna, jakie ma butki na obcasach, czerwoną wstążką sznurowane aż po kolana.

Chłopcy zaczęli się do niej cisnąć. Ale panicz, który przybieżył na tańce, rozgarnął ciżbę, obcasami trzasnął przed Popieluszką, rękę jej podał i poprosił do tańca... krzyknął wesoło:

— Chodzonego!

Zaraz też chłopcy do dziewcząt podskoczyli i para za parą ruszyli z wolna dookoła izby. A Popieluszka z paniczem im przodkowała. Jak to słonko, co zanim się rozgrzeje i po niebie chybko potoczy, podnosi się wolniusieńko, ni to sennieścią jeszcze ociężałe, ni to nieśmiałością powściągnięte, tak i oni szli nieśpiesznie, z dostojnością i uwagą, jakby poznając, jakby udeptując to koło, po którym potem wirem się poniosą. Obeszli tak izbę trzy razy, aż panicz przed muzyką stanął i złotego dukata do skrzypiec wrzucił. Wesoluch oderwał smyczek

od strun i baczył, jaką mu nutę przodkujący poda,
a panicz zaśpiewał.

A dajże mi bicza, matko,
To pojedę do Kartuz.
Bo tam grają, przyśpiewują,
Same nóżki podrygują.

Dopiero smyczek na struny spadł i poszedł po nich drobno, coraz śmielej, coraz chybniej, coraz ochotniej. Teraz tanecznicy puścili się na izdebkę, miarkując obroty, aby nie wypaść z kolei, zamasyścić, ale spokojnie, właśnie jak te konie, co wystaje w stajni rwą się w zaprzęgu do kłusa, ale cugle je wstrzymują. Tak i ich wstrzymywała ochota jeszcze nie rozkręcona, umiarkowaniem jeszcze hamowana. Dopiero gdy przodkujący muzyce ogłosił:

Kto wyrwał, kto wyrwał
Kogutowi piórka?
Ani ja, ani ty,
Sołtysowa córka.

Wesoluch chybką obertasa podwoił, potroił, bębenista jeszcze mocniej zahuczał, a flecista drobne nutki potoczył, że te jakby koraliki po pochyłości puszczone śpieszliwie skakały, bryzgały, tłoczyły się do kupy i roztrącały. Poszła wartka odsiebka, wciąż jeszcze w porządku, ale zawrotna i chybka, że każda para zdawała się kółkiem w kołowrotku migającym, ledwoś ją okiem chytał. Z tłumu wyrwały się piosenki to chłopczyńskie, to dziewczęńskie:

Płynie kaczka, płynie,
Ale nie czubata,
Wziąłbym cię, dziewczyno,
Aleś niebogata.

Oj, żebym ja, żebym
Talareczki miała,
Tobym ciebie, leniu,
Na pewno nie chciała.

Wesoluch ciał po strunach coraz prędzej, bęben jeszcze go poganiał, a flet nadażał, jak mógł.

Hej, tańcowałibyśma,
Hej, ale mała izba.
Hej, wynieść piec do sieni,
Hej, będzie nam przestrzenniej!
Hu — ha!

Teraz odsiebka przeszła w wiatrak. Dziewczęta trzymały parobków za ramiona, a ci obchwycili w pasie swoje taneczniczki i wirowali bez ładu, ci w prawo, tamci w lewo, bliżej, bliżej środka, gdzie kto miejsca dopadł. Szybko, szybko, szybciej, aż zdawały się ściany wirować, powała lecieć w dół, a klepisko toczyć się nad głowami, aż obłok czy to z kurzu, czy to z pary otwartych ust owionął taneczników. Kotłowali się w tej mgle, to się ukazując, to znikając, jak te ziarenka grochu w garnku na buzującym ogniu. Nikt nie baczył porządku, nie zważał, czy aby nie potrąci się drugiej pary, czy utrzyma się na nogach. Tu i tam huknął okrzyk, tu i tam urwała się nie dokończona jeszcze piosenka, to gwizd przeciął powietrze jak ostrze szabli. Tu i tam niepowstrzymany śmiech zaniósł się nad pułapem i jak ptak skrzydłami zatrzepotał. Hej, szedł po izbie pęd i tupot, i ochota, i wesola siła. Panicz wciąż tańczył z Popieluszką, aż zmęczeni do cna stanęli i oparli się o ścianę.

Z wolna, z wolna uciszały się rozpedzone serca.

— Dziewczyno, dziewczyno, skądś ty, nigdy ciebie tutaj na tańcach nie widziałem. Z jakiejś ty wsi, powiedz mi.

A Popieluszka na to:

— Z Rzuconego Ręcznika.

A że świt zaczął zazierać do izby wyglądkiem, dziewczyna zakręciła się po izbie, zmieszała z tłumem dziewcząt, ciszką wymknęła się do sieni i pognęła do dworu. Nim się panicz spostrzegł, już dziewczyny nie znalazł.

Minął dzień jeden, drugi i trzeci, Popieluszka po kuchni się krząta — do dworskiej, do czeladnej drwa przynosi, a że to latem przy piecach roboty niewiele, Popieluszkę dano świniarce jako pomoc do oprzątania trzody. Teraz wozi na taczkach cebry z jadłem do chlewu, gnój wyrzuca, tuczniki szoruje.

Jednakże panicza we dworze nie ma. Panicz swej pięknej tancerki zapomnieć nie może. Wsiadł na konia i szuka jej po całej krainie. Wypytuje o wioskę, która nazywa się Rzucony Ręcznik, do gościńców wstępuje, do dworów, do zamków kasztelańskich, po chatach przystaje, ludzi przy robotach w polu i ludzi drogą idących zaczepia i o Rzucony

Ręcznik pyta. Ale nikt nigdy, jak żywy, o takiej wiosce nie słyszał. Koń zbiedniał, panicz schudł, szcerniał, obaj zmordowani wrócili z niczym do domu. Panicz chmurny po ogrodzie, po dziedzińcu chodzi, na ludzi krzyczy, Popieluszką jeszcze bardziej się brzydzi, bo ona nie tylko brudna po dawnemu, ale już z daleka gnojem cuchnie.

*

Raz się zdarzyło, że szedł panicz i biczykiem popędzał konie. Wywijał, wywijał, aż wypadł mu on z ręki. Zobaczyła to Popieluszka, podskoczyła, biczyk podniosła i grzecznie mu podaje. A panicz wrzasnął:

— Precz, śmierdziuchu.

Wyrwał jej z ręki biczyk, złamał na pół i wsadził do sadzawki. Minęło dwa tygodnie, w karczmie znów była zabawa, Popieluszka rada by tam pobiec i potać się jeszcze raz.

— Hej, znów ci się zachciewa zabawy — krzyknęła klucznica — a tu mamy nowe miody sycić na jarzębinie. Musisz wszystkie drzewka, jakie są w ogrodzie, obrać z jagód, a to żwawo, jak zrobisz do zachodu słońca, możesz sobie lecieć na zabawę.

— Oj rety, ile tych jarzębin w ogrodzie, cała alejka, to robota na tydzień. A słońce przetoczyło się już na drugą stronę nieba — wysiła główkę Popieluszka — o zabawie muszę zapomnieć.

Wzięła wiklinowy koszyk i ruszyła do ogrodu. Patrzy, a na jarzębinowych drzewach od ptactwa aż się roi, gałęzie się uginają, a wśród nich świergocą ptaszyny:

Nie smuć się, sieroto.
Zdążysz z robotą,
Jest nas tu tysiące,
Dziobeczki w mąg rące.

Ptaszki zaczęły się uwijać, rwać jagody i rzucać je w dół. Popieluszka ledwie nadszała nosić koszyki, co z jednym pobiegła do dworu, drugi już był pełen. Dwadzieścia razy obróciła i wszystką jarzębinę zebrała, ani jedna jagódka na drzewie nie została. A słońko do zachodu ma jeszcze kawałek

drogi. Klucznica kręci głową, oczom własnym nie wierzy i zła, ale jej nijako własne słowa odmienić.

— No, to już leć na tę zabawę, jeno żebyś o świątaniu była z powrotem.

Skoczyła Popieluszka do swej izdebki, umyła się i uczesała, a tu gołąbek do okienka puka.

— Za mną, sieroteczko, do Dąbrowy niedaleczko.

Znów gołąbek trzy razy dąb obleciał, trzy razy zapukał, trzy razy zakłęcie powtórzył, roztworzył się dąb i ukazała się komora, a w niej skrzynia przy skrzyni, a w tych skrzyniach przyodziewek kaszubski i wszystko tak piękne, że ani wybierać nie potrzeba. Każda kiecka, każda zapaska śliczna, istne чудо. Pospieszyła się Popieluszka, chwyciła koszulę z cieniutkiego płótna, drobno wyszywaną i spódnice z wełny, tkaną w paseczki, suto fałdowaną, by wyglądać pięknie, dorodnie. Włożyła gorsecik sukienny, w kwiaty haftowany, przy rękawach paciorkami ozdobiony i jedwabną chusteczkę na głowę. Buciki wciągnęła wysokie, a do bursztynów i koralu przywiązała wstążki sięgające kolan. W leśnym jezioru się przejrzała i aż w rączki zaklaskała z uciechy. Znów w gościńcu grała muzyka i wirowały pary. Znów Popieluszka z paniczem przodkowała, a on nadziwić się nie mógł, cóż za piękna dziewczyna, jaka strojna i szumna, a jak leciutko tańczy. Wszystkie dziewczyny jej zazdroszczą, wszyscy chłopcy oczami za nią gonią. Panicz znów ją prosi, by mu powiedziała, skąd jest, z jakiej wsi, czy może do niej swatów ślać, bo chociaż jest panem z bogatego dworu, ona jeno wiejską dziewczyną, to przecież życie mu bez niej niemiłe. Popieluszka śmiechem go zbywa, o czym innym zagaduje i dopiero gdy ujrzała, że już wschodnia zorza na niebie czerwienią gorzeje, że już jej czas do domu lecieć, wtedy wyznała:

— To już wam powiem, skądem, ze Złamanego Biczyka.

Po czym, jak rybka w głąb wody, między dziewczyny dała nurka i paniczowi przepadła z oczu.

Znów Popieluszka przy piecach, przy cebrach się krząta, znów panicz konia dosiada, po całej

okolicy szuka wioski o nazwie Złamany Biczek, jedni ludzie mu się dziwią, inni z niego drwią, a jeszcze inni z pożałowaniem kiwają głowami.

— Chudziaczek, jak widać, rozum mu odjęło. Kiedyś szukał Rzuconego Ręcznika, a teraz Złamanego Biczka, szkoda go, to chłopak młody i pełen urody.

Wrócił panicz zdrożony, smutno i ponuro patrzy na ludzi, z nikim nie gada. Pani Joanna, ogromnie zatroskana, wzywa doktora do syna. Leczą go, jak umieją. To krew mu puszczają, to apteczne proszki zapisują, nic nie pomaga. Smętnica go nie odchodzi.

— Nie pomogli doktorzy, może pomogą znachorzy — myśli matka.

Przychodzą owczarze, przychodzą stare babki mądruchy i szeptuchy. Panicza okadzają ziołami, palą węgielki z trzech drzew — polnego, łąkowego i leśnego, szepczą tajemnicze słowa nad garnkiem, a potem dają mu pić tę wodę. Wszystko nadaremnie. Smętnica go nie opuszcza. Do ludzi nie gada, jeno na koniu po polach się włóczy albo zamyka się w komnacie i tam na łóżku swym, wilczymi skórąmi zasłanym, leży godzinami.

Nadeszła sobota i we wsi znów zabawa. I za trzecim razem pomogły ptaszki Popieluszcze wykonać poleconą jej pracę. Klucznica kazała jej chodzić po polu i szukać zgubionych przez ptaszki piórek. Ma ich zebrać tyle, aby starczyło na pierzynę.

— Jak to zrobisz, możesz pójść na zabawę — rzekła klucznica.

Przyleciały ptaszki, wyskubały z siebie pióreczek, całą Popieluszkę nimi zarzuciły, po czubek głowy. Jeno się z chmary puchu wydostała i otrzepała ramiona, zaraz pióra włożyła do poszwy. Po czym pobiegła za gołąbkami do dębu, wybrała sobie teraz strój kasztelański, sukienka biała, leciuchna jak obłoczek, wianek ze złotych liści na głowę, a bućki czerwone.

Pobiegła na gościniec i znów tańczyła z paniczem. Lecz tym razem wziął się on na sposób, by mu nie uciekła, kazał smolarzowi o północy przyjechać pod gościniec i gdy wszyscy będą tańczyć, rozlać pod karczmą całą beczkę smoły.

— Przez maź szybko nie przemknę — myślał, sobie — upilnuję ją i złapię.

Panicz muzyce dukaty sypie, piosenki śpiewa, nowe nuty podaje, skrzypek wesoło rzępoli, bębni-sta wali, a fletnik popiskuje. Idą tańce rozmaite. Z początku powolne, chodzone, a to klaskaniec, a to wiruje walc, a to polka okrętka, to guligitka i trzęsionka. Wtem świt w oknie staje. Już i zaranek go luzuje, wreszcie wschód z kapelą ptaszcą blas-kiem i szczebiotem pcha się do gościnnej izby. Złękła się Popieluszka:

— Późno już, uciekam.

W pół obrotu pana swego porzuciła i do sieni pomknęła, a panicz za nią. Dziewczyna stąpnęła w maź, która ciżemkę jej chwyciła i nie puszcza. Popieluszka wyrwała nóżkę i o jednej ciżemce pobiegła do dębu. Prędiutko się rozebrała, oddała piękne stroje, a włożyła swoje łachmanki. Dąb nie chciał przyjąć tylko jednej ciżemki, więc Popieluszka zawinęła ją w liść paproci i ukryła na piersiach pod kaftanikiem.

Głębokie uczucie, jakim przepełnione jest serce panicza, odmienia również jego charakter i usposobienie. Na drugi dzień wdział odzież ze skóry łosiowej, przepasał się długim rzemieniem, włożył kołpak, a ciżemkę ukrył za pazuchą.

— Niczego dotąd w życiu nie dokonałem — pomyślał — skoro więc pragnę zdobyć piękną dziewczynę za żonę, muszę się czymś wykazać. Pojadę w świat, będę walczyć ze złem, kiedy zwyciężę w boju, zasłużę na nagrodę.

Dosiadł pięknego araba i ruszył przed siebie. Jechał, jechał... Przebył trzy wysokie góry, trzy głębokie dunaje przepłynął, aż dotarł pod miasto opasane kamiennym murem. Zdziwiło go, że wszystkie bramy, wszystkie przejścia pozamykane, a za murami słychać płacz i szloch, i narzekanie.

— Co się tu stało?

Ludzie powłazili na mury i przez łyżki powiadają:

— Och, och, nasze miasto nawiedziło nieszczęście, w pieczarze zamieszkał smok i żąda od nas okupu. Co dzień w południe wzywa na bój rycerzy, a którego pokona, tego pożera. Miasto nawiedziła klęska głodu. Och, biada nam, biada.

Zadumał się panicz. Potem chwycił oburącz swój

miecz, zamachnął się kilka razy, jakby próbował swych sił, i rzekł:

— Nie płaczcie, ludzie, dziś ja pójdę walczyć ze smokiem, może uda mi się go pokonać, może miasto uwolnię.

Poszedł junak ku górze, ludzie wylegli na mury, obsiedli je jak muchy miskę z miodem, w milczeniu i w trwodze czekali na walkę. Zaciśnęli pięści, jakby pragnęli dodać mocy jego ramionom i jego mieczowi. Modlili się żarliwie o zwycięstwo — siłą swego pragnienia chcieli dodać mocy jego sercu.

— Przynieś nam, przynieś zratowisko!

A panicz idzie wciąż naprzód i jednocześnie wspomina bajkę ze swego dzieciństwa, bajkę piastunki, bajkę o smoku, który miał trzy głowy. Zwycięzcą mógł zostać tylko ten, kto za jednym zamachem ściąłby trzy głowy, i jeśli nie dla złota i srebra poszedł w ten bój.

Słońce zbliżało się ku szczytowi swej drogi, smok wyskoczył z pieczary, rozwarł trzy paszcze i rycząc uderzył na śmiałka. Pazurami darł ziemię, a ogonem zamiatał, aż kurzawa leciała.

Junak stanął, mocno rozparł się na nogach. Miecz nad prawe ramię wzniosł i czekał. Smok od ziemi się odbił i jak czarna chmura spadł na swą ofiarę. W ostatniej chwili junak odskoczył w tył, a gdy smok tuż przed nim upadł na piasek, śmiałek zamachnął się i ze wszystkich sił mieczem uderzył. Trzy smocze łby zleciały na ziemię i po zboczu potoczyły się do rzeki, a za nimi martwy kadłub gada. Powszechna radość ogarnęła miasto. Otworzono bramy, tłum jak woda wypłynął na pole walki, porwali junaka i zanieśli go do ratusza. We wszystkie dzwony bito, wszystkie cechy wyszły ze swymi sztandarami, muzyka grała, tłum wiwatował i śpiewał. Do miejskiej stajni wprowadzono araba, do koryta wyśpano mu owsa i przyniesiono wody. Gdy już nastał jaki taki spokój, rada miejska zwróciła się z zapytaniem:

— Jakiej nagrody chce śmiałek za swój czyn bohaterski?

— Może złota? — Mieszkańcy na pewno przyniosą. Może zrobimy go burmistrzem? Stary burmistrz z godnością odda mu klucze miasta.

A na to junak:

— Nagrody jeno tylko takiej pragnę, by wszystkie panny i wdowy przyniosły na rynek swe obuwie do obejrzenia.

Rada miejska zgłupiała, jeden drugiego trąca.

— Co to? Jak? Obuwie panien i wdów?

Każdemu się zdaje, że właśnie na tę chwilę ogłuchł i źle dosłyszał.

Na rynek wyszli woźni z bębнами. Ciżba zebrała się wokół nich. Gdy ogłosili ludowi żądanie ich wybawcy, ludzie oniemieli ze zdumienia, a otrzeźwili dopiero wówczas, gdy ktoś zawołał:

— Rynek przygotować!

Ruch się zaczął i rumor! Jedni uprzętały budy, kramy, stragany, inni złapali miotły, aby wymieść śmieci, a jeszcze inni wynieśli z domów ławy i ustawili je rzędem, aby było na czym kłaść obuwie. Panny i wdowy pomknęły do swych mieszkań, wyciągnęły buciki z szafek, ze skrzyń, spod łóżek, przeszukały strychy. A były i takie, co popędziły do szewców i zdarły z kopyta buty dane im do naprawy.

Nie koniec na tym. Butki sadzami i czernią czyszczą lub łojem smarują, do jednych przyszywają guziki, do innych tasiemki, przybijają szerokie obcasiki, a śpieszą się, aż im wszystko z rąk leci. Każda chciałaby być pierwsza. Małgosia łązebnika pędzi już ze swoim obuwem, cały koszyk tego nazgarniała, a jej prababka, stara Onufrzyna, której się obróciło już na osiemdziesiąt piątą wiosnę, depcze za nią ze swymi buciorami i woła, ale że zębów nie ma, to inaczej wychodzi:

— Poklekaj, poklekaj i moje węź! I moje.

Ano, jako wdowa też miała prawo.

Nie minęła jeszcze godzina, kiedy wszystkie ławy były zastawione bucikami. Jak rynek długi, jak rynek szeroki, stoją rządkiem — niby wojsko — białogłowskie kierpce, łapcie, chodaki, ciżmy, długie butki juchtowe i leciutkie z atlasu czy safianu. Jedne są z obcasikami, inne bez. Z podkówkami żelaznymi i srebrem podkute, niskie, z cholewkami, sukienne zdobne, wyszywane paciorkami, w kwiaty haftowane. Przeróżne. Między rządками butów chodził junak tam i z powrotem i wypatrywał. Szukał pary do złotej ciżemki, którą przywiózł za pazuchą.



To ten, to tamten widzi mu się podobniutki, biegnie, porównuje, cóż, nie pasuje do żadnego.

Lud przerażony pyta, co się dzieje? Buty będzie nosić albo szlery?

*

Junak wsiadł na konia i ruszył w dalszą drogę. Przebył puszcę zieloną, pełną głosów dzikiego zwierza i szumu drzew wieloletnich.

A gdy wyjechał z puszczy, rozłożył się przed nim step, po czym natrafił na osiedle. Dziwne mu się wydało. Krom małych dzieci i starców, nikogo nie spotkał, a starzy jacyś zgarbieni, o kijach. Na wydzwigniętej pośrodku osiedla wieży leniwie kołysał się dzwon i bił nierówno, bezładnie, raz zaciął, to znów rażno brzęknął, a zaraz potem dawał znać o sobie cichutkim głosem.

— Ej, hej, staruszek, powiedzcie mi, co się u was stało? Albo małe dzieci, albo starzy tylko tu łażą. A ten dzwon? Chory i sił nie ma, czy zagniewał się na was? Jak on dzwoni?

Popatrzył stary na junaka i głową pokiwał.

— Ech, panie, musicie być z daleka. Spójrzcie na niebo. Co widzicie?

Podniósł junak głowę.

— Widzę groźne chmury, kotłują się i niespokojnie krążą. Słyszę, jak warczą głuchym grzmotem.

— Spójrzcie pod las, co widzicie?

— Widzę wielką gromadę ludzi. Uwijają się wartko po ogromnym polu.

— Ano, żyto dojrzało, trzeba je sprzątnąć. Pospólne mamy żyto rodowe. Razem przy nim pracujemy. Na równi się potem ziarnem dzielimy. Od zaranka już wszyscy na pole pobieżeli, chłopcy i baby różną sierpami. Tylko, tylko, a zacznie się z kłósów sypać. Trza się spieszyć. Jak do trzech dni nie zbiorą, to przepadnie.

— Rozumiem — mruknął junak — czemu w osiedlu pusto, ale ten dzwon.

— A, widzicie, chmurniki chcą przeszkadzać, napędzają chmury deszczowe, gradowe, burzowe. Wszelenniejakie. Dzwonu one się boją. Póki dzwon bije, chmurniki sił nie mają ni deszczem chlustać, ni gradem sypać. No, to dzwonimy, ale kto? Te małe dzieci, te starochy ledwochy... Takie i to dzwonienie, a niech staremu ręce omdleją i ustanie, gotowe nieszczęście. Chmurnik nadleci ulewą, chlustnie, to wtedy głód, panie, dla całego osiedla głód.

Junak chyżo z konia zeskoczył i do dzwonnicy pobiegł. Choć dwa wielkie łuki tęczy przecięły niebo, pojawił się północny lis, a chmura ta zapowiada długotrwałą ulewę ze sztormem.

— Hej, starzy ludzie, dajcie mi sznur — krzyknął junak — będę dzwonić, będę dzwonić...

Uchwycił sznur, zakołysał dzwonem raz, drugi i trzeci. Rozbijał się dzwon, rozhuczał. Aż wieża chwiała się i skrzypiała, aż powietrze zadrżało, gałęzie lip unosiły się w górę, to opadały w dół, jakby spieszliwymi westchnieniami dyszały. Wszystkie kubiki przestały gwizdać.

Leci głos dzwonu w cztery strony świata.

Leci aż po puszczy zielonej, aż do gór omgłonych, aż do Morza Bałtyckiego, aż po kraniec chlebnego pola. A głos to równy w swej sile, spokojny w swej woli.

Bim — bom!
Bim — bom!
Nie spoczne,
aż zrobię,
co zrobić
mam.
Bim — bom!

Bum — bum!
bum — bam!
Chmurników
przegonię,
radę im
dam.
Bum — bam!

Między chmurnikami zawrzało, zakotłowało się, jeszcze takiego dzwonienia nie słyszeli. Takiego dzwonienia znieść nie mogą.

— Uchodźmy, uchodźmy, póki czas! Pókiśmy nie osłabli do cna! Łańcuchy zarzucili na chmury i zawlekli je za góry, za lasy. Na czystym niebie rozjarzyło się słońko złote, gorące, robotom polnym przychętne. Trzy dni i trzy noce junak dzwonił bez ustanku. Podstawiano mu pod usta dzbany z mlekiem, dzbany z miodem. Tak się posilał i dzwonił, dzwonił... Ludzie nie wracali do osiedla. Przez trzy doby pracowali do północy, przy snopkach padali na ziemię, przespali się niedługo i o świcie znów zrywali się do żęcia i wiązania. Przez trzy doby całą robotę ukończyli. Suche snopy ułożyli w stogi. Już im teraz deszcz niestraszny.

Wracając do osiedla z radością i ze śpiewem, jeden drugiego pytał:

— Kto tak mocno dzwonił przez cały czas? Kto chmurników przegnał? Kto nam miłościwie uratował zboże?

I tym razem junaka porwano na ramiona, przyniesiono co najlepsze jadlo, w nagrodę szczerze obiecano mu wszystko, na co ich stać.

Ale junak żądał tylko jednego.

— Niechaj wszystkie dziewczęta i wszystkie wdowy zniosą na pole swe obuwie, bym je mógł obejrzeć.

I tu pary do swej ciżemki nie znalazł.

I stąd pełen smutności odjechał.

Niejedno jeszcze junak w świecie zrobił. Tu koryto rzeki odwrócił, aby ludziom na wiosnę woda

pól nie zalewała, tam z płonącego domu wyniósł omdlałych od dymu ludzi, ówdzie złego czarownika zamknął w beczce i wywiózł na bezludną wyspę.

A wszędzie chciał w nagrodę obejrzeć niewieście trzewiczki. Wszędzie daremnie szukał pary do złotej ciżemki.

Smutny i zmęczony powrócił do domu.

I oto się zdarzyło dnia jednego, że Popieluszka zraniła sobie w chlewie nogę. Jakże pójdzie po ziemi boso, każde stąpienie boli i uraża. Wtem przypomniała sobie, że w zanadrzu ma złotą ciżemkę. Nałożyła ją więc i pokuśtykała, kuśtyk, kuśtyk. Aby się jeno do kuchni dowlec, tam sobie nogę owinie szmatą.

W tym czasie panicz siedział na ganku.

— Co to? Laboga! To, za czym gonił taki kawał świata, jest tuż tuż. To, czemu oddał całą zapaliłość swego serca! Popielucha?

Aż mu się w oczach zaćmiło. Chwycił swoją ciżemkę, pobiegł do dziewczyny. Taka samiutka jej ciżemka! Taka samiutka!

— Skąd ją masz? Skąd? Powiadaj!

Złękła się Popieluszka.

— Nie gniewajcie się, panie... nie ukradłam, na zabawie byłam... Ale za pozwoleniem jejmość klucznicy... I tam, w mazi... przed gościńcem...

Junak pilnie patrzy, po raz pierwszy spojrzał na liczkę usmolonej Popieluszki... Toż te same oczy zielone i tajemne jak woda na morskiej głębinie i te same usta, raz uśmiechliwe, raz z nieśmiałości drżące. Ten sam głos pokorny.

— Tyżes to, dziewczyno? Prawdziwie ty? I czy mi przebaczysz? Czy mi darujesz winy?

Popieluszka się roześmiała:

— Jeżeli wam jutro śniadanie do jadalnej izby sama przyniosę, to będzie znak, że się nie gniewam.

Na drugi dzień od rana Popieluszka umyła się, przczesała gładko włosy, gołąbka zawołała i pobiegła do dąbrowy.

I znów się ustroiła jak na pierwszą zabawę: w koszulę cieniutką, w drobne kwiaty haftowaną, w aksamitny gorsecik złotem i srebrem dziergany, w spódniczkę kwiecistą, w zapaskę z naszytymi wstążeczkami, na szyję włożyła korale ozdobione sercem bursztynu z Wielkiego Morza.

Ani w kuchni nie poznano, co to za taka szumna panna weszła! Nalała na srebrną miskę piwnej polewki, śmietaną ją okrasila, sera wkrajała i zanosila paniczowi do jadalni.

— A tera poznajecie? Ja to jestem.

W tydzień potem pani Joanna rozesłała do wszystkich sąsiadów pytaczy, by sprosili gości na wesele z Popieluszką.

Na niedźwiedzie pieczenie
I na udźca jelenie,
A na słodkie kołaczki,
Co do gęby same skaczą,
Na miody sycone,
Na piwo warzone,
Na uciechy wiele
I na cztery kapele!

Hej, wesele to było, wesele!

Cały tydzień we dworze tańczono, cały rok to wesele wspominano. I ja tam byłem, miód i wino piłem, a com usłyszał, a com widział, tom w gadulce opowiedział.

Trud wdowy

Była maleńka chatka, na skraju wsi stojąca, zapadła w ziemię. Krzywa, pochylona, na dachu mchem porośla. W chatce mieszkała uboga wdowa z córką Marysią. Miała pstrą krówkę, dwa zagonki pola i ogródek chwastem zarośnięty. Póki Marysia dzieckiem maleńkim tuż przy ziemi drepiała, źle się działo w chacie za wsią. Wdowa słaba, chorowita, jakoś nie mogła sobie poradzić. Dopiero kiedy Marysia podrosła i do roboty się wzięła, odmieniło się wszystko. Uwijała się po zagrodzie od świtu do nocy, a czego się dotknęła, rośło jej w rękach. Wypielila w ogródku chwasty, zasadziła grządki warzyw, a nawet dzięki pomocy sąsiadów dała radę zebrać pszenicę i wykopać ziemniaki.

— Już się nie boję, nenko moja, na jesień będziemy miały w bród wszetczego.

Ale nie dzieje się tak na świecie, jak człowiek sobie obmyśli. Przeszła jesień i nenka rozchorowała

się na dobre. Leżała całkiem bez sił, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogła. Trzeba ją było ratować. Ale jak? Kiedy w chacie nie ma ani dytka. Poszła Maryśka do sąsiadki.

Jednakże ta też zachorowała, ale, co się rzadko zdarzało, była bogata. Miała gospodarstwo i nie-małą chudobę, sporo grosza w malowanej skrzyni. Za darmo nikomu jeszcze nie pomogła. Spojrzała surowo na Marysię i rzekła:

— Nie sprzyjam dawaniu jałmużny, chyba i ty byś się wstydziła brać. Pomogę chętnie, czemu nie, ale w zastaw dasz mi wasze dwa zagonki pola i chatkę z ogódkiem. Wyzdrowieje twoja nenka, to sobie kupisz, bo pracowita jesteś jak mrówka.

Przystała Marysia na warunki, bo cóż miała począć. Za pieniądze pożyczzone od sąsiadki sprowadziła uczonego lekarza. Wykupiła lekarstwa, postarała się też o posilne i smaczne rzeczy do jedzenia, jak również o ciepłą odzież. Niestety, nic to nie pomogło. Nenka Marysi umarła. Nastąpiła pusta noc, zeszli się wieśniacy, śpiewali do rana, by dobry Bóg przyjął duszę zmarłej. Po czym pochowano matkę Marysieńki. Przez trzy dni jeszcze dźwięczało jej w uszach bicie dzwonów kościelnych. Dziewczyna została samotna na świecie, jedynym żywym stworzeniem, które jej nie opuściło, była pstra krówka.

— Checz teraz moja, a nie twoja, jak i zagonki pola — przypomniła jej sąsiadka. — Wpuszczę tu obcych ludzi, zagospodarują się i będą mi płacić czynsz, a ty chodź do mnie na służbę. Pomocnicy potrzebuję, by moje córeczki sobie rączek nie urobiły.

A miała ta gospodyni dwie córki, poza którymi świata nie widziała. Ładne nawet były, ale okrutnie leniwe, skore do kłótni, a wrzaskliwe jak sroki. Chłopcy we wsi pogardzali nimi. Kto by tam takie brał za białki. Obie dziewczuchy nie lubiły Marysi. Obie sierotkę wykorzystywały i zwały na nią co najcięższą robotę. Toteż wieczorem Marysia bez ducha padała na swój barłóg. A gospodyni i jej córki wciąż były z niej niezadowolone, wciąż im było mało. Biedna Marysia pobladła, schudła, straciła ochotę do śpiewu. Przyszłość jej zniszczył się, potargał, a gospodyni nic nowego nie za-

mierzała jej sprawić. Dziewczyna obdarta, choć czysta, siniała z zimna i drżała. Tej zimy nikt nie poznawał dawnej wesołej Marysi. Jedyłą dla niej pociechą była jej pstrocčka. Gospodyni wprawdzie i krówkę uważała za swoją własność i wspólnie ze swoimi krowami doila, ale przynajmniej nie broniła do niej dostępu Marysi. O każdej porze sierotka mogła widywać swoją krówkę. Kiedy więc objęła Marysię tak wielką tęsknota, że jej serce ścisnęło się z bólu, biegła do obórki, obejmowała pstroczkę za szyję i wypłakiwała wszystkie swoje żale, nabrzmiała w czasie złych dni. A pstrocčka, mrucząc z cicha, ciepłym jęzorkiem lizała ją po policzkach.

Wiele przecierpiała, zanim nadeszła wiosna. Zaszumiały w parowach strumienie, zaszczebiotały jaskółki pod strzechą, w sadach zakwitły jabłonie. Wyszła gospodyni na próg, ręką przysłoniła od słońca oczy, spojrzała po zieleniejących polach i Marysię po cichu zawołała:

— Trawa już na łąkach puściła. Wyprowadź krowę na łąkę. A żeby nie nudziło się ci przy pasieniu, masz tu kądziel. Do wieczora musisz uprać tę wełnę, i to wszystką, aby mi nic nie zostało. Jeżeli nie zrobisz, w świat wygonię w jednej koszuli, a krówka pstrocčka u mnie zostanie.

Patrzy Marysia na kłęb wełny i myśli:

— Ani w trzy dni temu nie poradzę, a tu krowy jeszcze trzeba pilnować. Nie na moje siły taka robotą.

Jednakże nie śmiała się sprzeciwić gospodyni, bała się jej złych oczu i dziwnego głosu, świata szerokiego też się bała, dokąd pójdzie, gdy ją wygonią. Zabrała wełnę i pognęła krowę. Zaszła z nią na łąkę, na skraju lasu pod pierwszym drzewem usiadła, głowę wychudłymi rączkami objęła i zapłakała cichuteńko.

— Nic innego mi nie pozostanie, tylko nazajutrz zabrać się i pójść, gdzie oczy poniosą, w daleki świat, na nieznana dolę.

Marysia prężyć nawet nie próbuje, i tak przecie nie podoła, aż tu przed samym południem dał się słyszeć jakiś szum w lesie, jakieś cienie niby obłoki przesłiznęły się po łące. Słońce zaraz potem jaskrawo zabłysło, żywymi barwami zagrało i zaczęło mocno grzać. Kwiaty rozwinęły się w mgnie-

niu oka, a nad nimi zatrzepotały motyle. Coś dziwnie zaszeleściło w wysokiej trawie, coś tajemniczo wyjrzało zza krzaka i krówka pstrocčka przemówiła ludzkim głosem:

— Nie płacz, Marysiu, daj wełnę, ja ci pomogę.

Złękła się Marysia, aż cała zadrżała, a krówka tak pocziwie spojrzała na nią, że uspokoiła się zaraz. Kłęb wełny wzięła w dwie ręce i do pstroczki podeszła posłusznie, wtedy krówka pochyliła głowę.

— Włóż tę wełnę na moje rogi.

Zaczęła trząść głową, a tu śliczna cieniutka nie siwiuteńko przędała się i nawijała na motowidło, aż lśniła w słońcu. Były to nitki babiego lata, co to je późną jesienią pajęczki po ścierniskach snują. Marysia w obie ręce klasnęła, zerwała się na nogi, objęła krówkę za szyję i w szerokie cienie ucałowała z wielką radością.

— Nic nie mów nikomu, że to ja — zapowiedziała jej pstrocčka.

Gospodyni na widok przędzy zrobiła wielkie oczy, ale o nic nie pytała. Już była pewna, że pozbędzie się Marysi, a dobrą mleczną krowę sobie zatrzyma i za jednym razem dogodzi swoim córeczkom. Tak bez wszelkiej przyczyny nie chciała wyganiać sierotki, żeby sąsiedzi o niej źle nie gadali. Na drugi dzień dwakroć większy kłęb wełny dała Marysi.

— Uprędaś tamto, to uprzedzisz pewnie i to, skoroś taka zawołana przodownica.

Sierotka już się nie złękła, bo ufała swojej krówce. Aż tu gdy mijała wrota, dogoniła ją starsza córka gospodyni, Józia.

— Poczekaj no, idę z tobą. Matka mnie wysyła, żebym na własne oczy zobaczyła, jak ty to przędziesz.

Ścierpła Marysi skóra z okrutnego lęku. Udała wesolutką, a lży dławia ją w gardle. Przysunęła się nieznacznie do swojej krówki, niby po pysku gładzi, a w ucho szepce:

— Co teraz poczniemy, pstroczko?

— Nic się nie bój, w samo południe zaśpiewaj kołysankę, którą ci matka niegdyś nuciła.

Józia nie zrozumiała słów pstroczki. Wydały się jej one zwykłym porykiwaniem krówki. Poszły na pastwisko, a gdy nadeszło znojne południe i świat



zaczął się znowu czarodziejsko odmieniać, przywołała Marysia córkę gospodyni, zajęta zbieraniem kwiatów pod lasem.

— Skwar taki, że aż dech zapiera. Połóżmy się w gęstej trawie i odpocznijmy nieco.

Józi było to w graj, rzuciła się na mięciutką łąkę, ręce pod głowę zaplotła i patrzyła w niebo. Po modrym niebie sunęły białe obłoczki i kołysały się z wolna, a w bujnej trawie rumianki promiennymi główkami kiwały, różowe kulki koniczynek toczyły się po liściach, liliowe dzwoneczki szeleszcząc podzwaniały cichuteńko. Na sąsiednim polu skowronki śpiewały, zapamiętałe wtórowały im wilgi i kosi, drozdy wyciągały nieomal słowiczą nutę, pszczoły i osy brzęczały... brzęczały. Między ptasimi głosami niósł się rzewny ton Marysinej piosenki. Coraz sennie, sennie... Snuły się tęczowe melodie lata. Znurzyły one Józię, zamknęła oczy... Jeszcze jej coś w uszach dzwoniło... lecz coraz ciszej... ciszej... usnęła.

Na to tylko czekała Marysia. Porwała się z miej-

sca, pobiegła do krówki i kłęb wełny zarzuciła na jej rogi. Uprzędko się gładziutko, tak jak poprzednim razem, a kiedy Józia się zbudziła, nici były już na motowidle.

Wieczorem gospodyni zapytała ją:

— No, cóżś widziała?

A Józia jękając się nieskładnie odpowiedziała:

— Gorąco było... Na chwilę tylko się zdrzemnęłam, a gdy otworzyłam oczy, wszystko już było uprzedzione. Nie mam pojęcia, jak ona to zrobiła.

Gospodyni skrzyczała Józię, a nazajutrz wysłała z Marysią drugą córkę, Fruzię.

— Idźże ty na łąkę. A patrz dobrze. Oczy szeroko otwieraj.

Poszła Fruzia, ale i ona nic nie wskórała. Jak ptaki zaczęły śpiewać, owady brzęczeć, dzwonki łąkowe dzwonić na wyścigi, jak im do wtóru zaczęła Marysia nucić swoją kołysankę, Fruzia ani się nie obejrzała, kiedy zasnęła. Skoro się zbudziła, chłodny wietrzyk przeciągał łąką, na zachodzie czerwieniły się zorze, błądy sierp księżyca tkwił w bezchmurnym niebie, a obok Marysi leżał wielki zwój nici, co się prawie na motowidle zmieścił.

Rada nierada, musiała matce wyznać, że i ona spała.

Trzeciego dnia gospodyni powiada:

— Wodziłaś za nos głupie dziewczuchy, teraz basta! Ja z tobą pójdę na pastwisko.

Marysia się zlekła. Myśli sobie:

— Zasnęły twoje córki, zaśniesz i ty. Tobie jeszcze piękniejsze do snu zaśpiewam.

Tego dnia, jak na zawołanie, dopiekał jeszcze większy skwar niż w tamte dni. W południe z trudem można było oddychać. Omdlałym kwiatom zwisły główki, ptaki umilkły, tylko leśne owady bykaniem przecinały powietrze. Jaszczurki śmigały między kamieniami niby zielone błyskawice. Ale choć południe nadeszło i nad światem królowało, tym razem nie odmienił on się czarodziejsko. Nie dopełnił się czar południa, stanęła temu na przeszkodzie złość starej kobiety, złość zatwardziała, zajadła, stokroć bardziej przebiegła niż u młodych dziewczyn. Próżno Marysia śpiewała, jak mogła najładniej. Gospodyni nie usnęła, sen przewrotny udając, głowę wtuliła w miękką trawę,

ręką oczy zakryła, a przez palce śledziła Marysię. Sierotka popatrzyła na nią raz i drugi, nieruchomością złej baby zwiedziona, podeszła do krówki cichutko i na rogi kłęb wełny włożyła. Pstrocza westchnęła krowim westchnieniem. Pełna niepokoju i trwogi, zaczęła rozglądać się dokoła. Na rogi przyjęła wełnę i zabrała się do roboty. Patrzy gospodyni, a tu krowa pstrocza na rogach potrząsa kłębem wełny. Nić wysnuwa się sama i na motowidło nawija.

— Aha — pomyślała gospodyni. — Taka z ciebie robotnica.

Na razie nic nie powiedziała, zlekła się bowiem niezwyklej krowy, tego odmienca.

— W twojej krowie purtk siedzi, nie chcę trzymać takiego odmienca. Jutro rano zarżniemy ją na mięso — rzekła w domu.

Struchlała Marysia, popatrzyła gospodyni w oczy i zrozumiała, że wszelkie prośby na nic się zdadzą. Czarny chleb, co dziewczynie wydzielono, stanął jej kością w gardle, zachłysnęła się kwaśnym mlekiem, nie zdołała wypić. Zaraz po wieczery wśliznęła się do komórki, krówkę swoją objęła za szyję i gorzko zapłakała. A ta jej na to:

— Wiem, co się święci, serce złej kobiety z tego bogactwa skamieniało. Nie wystarczy jej twoja dobroć i twoje prośby, chce cię zgubić. Nienawidzi ciebie dlatego, że wyrządziła ci krzywdę w czasie choroby twojej matki, pod pozorem pomocy podstępnie zagarnęła twoją ojcowiznę. Stąd też umyśliła mnie zabić, zdaje sobie sprawę, że póki żyję, masz zapewnioną opiekę. Nic nie poradzimy, w tej chwili ona mocniejsza od nas, ale bądź spokojna. Złe moce nie panują długo. Nie płacz i słuchaj, co powiem. Kiedy mnie zabiją i poćwiartują, poproś gospodynię, by oddała ci moje rogi. Zgodzi się na pewno, bo nic jej po nich. Wtedy zakop je w ogrodzie pod płotem, tam gdzie słońce rzuca swoje promienie w samo południe, i czekaj cierpliwie, co z tego wyniknie.

Nazajutrz o świtanu Marysia wygnała krowy na pastwisko, pstroczkę gospodyni zatrzymała w zagrodzie i nie pozwoliła sierotce nawet zbliżyć się do niej na ostatnie pożegnanie.

Marysia cały dzień już nie śpiewała, cały dzień

przeplakała, a dookolny świat połączył się z nią w wielkim żalu, kwiaty przybladły, spłowiały, owady ukryły się pod listkami, ptaki zamilkły, tylko czarna wrona, która nie wiadomo skąd przyleciała, usiadła na samotnej sośnie i przeraźliwie krakała.

— Martw się, martw.

Na widnokręgu zebrały się ciemne, sine chmury i trwały tam w pogotowiu, czekając swojej godziny. Wieczorem miedziana zorza płonęła złowrogo i podstępnie nad lasem, porywisty wiatr niósł tumany kurzu, bydło ryczało żałośnie. A ludzie rozglądali się niespokojnie i wróżyli burzę. W zagrodzie skóra krówki pstroczki suszyła się już na płocie. Gospodyni z córkami i służbą wkładała mięso w kadzie. Marysia, tłumiąc łkanie, zbliżyła się i zagarnęła różki do fartuszka.

— Czy mogę je sobie zabrać? — spytała nieśmiało.

— A bierz, jedyna to twoja korzyść z tej krowiny, bo mięsa jej, choćbym ci dała do zjedzenia, pewnie nie zechcesz.

Jeszcze za dnia Marysia wypatrzyła miejsce pod płotem, gdzie słońce w samo południe najmocniej dogrzewa, zaś późną nocą, gdy wszyscy spali, wyszła pochować rogi krówki. Księżyc w pełni srebrzył się na niebie, gwiazdy otoczyły go z daleka świetlistym kołem, cisza zalegała tak wielka, że kołatanie Marysinego serca huczało jak dzwon. Białe ćmy latały koło jej głowy, szare — w locie muskały ją skrzydełkami, a ćmy kolorowe kosmatymi łapkami dotykały jej twarzy. Nietoperze przelatwały zygzakiem tu i tam, a u wrót sowa pohukiwała na wysokiej lipie. Gdzieś na krańcu świata błyskawice rozpały się na ciemnym niebie. Marysia bardzo się bała sowy i nietoperza, i księżycowej nocy, i jej zwodniczych cieni, ale prośbę swojej krówki musiała spełnić. Ostrożnie prześliznęła się między krzakami agrestu do małej szopy, gdzie były złożone ogrodnicze narzędzia. Wyciągnęła łopatę i wykopała pod płotem głęboki dół. Miękką trawą go wysłała, a na niej ułożyła rogi pstroczki, ucałowawszy je w pierw serdecznie. Zasypała dół czarną ziemią i wróciła do chaty.

Rankiem spadł deszcz ciepły i obfity, potem słońce wyjrzało zza chmur i zalało ogród gorącymi

promieniami. Przez trzy dni na zmianę to deszcz padał, to świeciło słońce. A czwartego dnia w samo południe stał się dziw nad dziwy.

Wśród pokrzyw i jaskółczego ziela, z czarnej ziemi pod płotem wychyliła się złota studzienka. Cembrowina lśniła w słońcu, żuraw gorzał wszystkimi kolorami tęczy, mienił się sznur, a na jego końcu wisiało kryształowe wiadro.

Nadbiegła gospodyni, w obie ręce klasnęła ze zdumienia.

— To cud niewidziany, a bogactwo nieprzebrane. Teraz będziemy paniami całą gębą.

Józia z Fruzią wtórowały matce, tańcząc dookoła studzienki. A ludzie, co szli ścieżką, przystawali za płotem, gapili się i czym prędzej z nowiną biegli do wsi.

Podeszła i Marysia, którą tego dnia gospodyni zatrzymała do jakiejś pilnej roboty w obejściu. Spojrzała, a oczy jej się zaśmiały.

— Toż ani chybi, krówka pstrocza po śmierci w ten sposób się objawiła.

— Czego wtykasz nos w nie swoje sprawy. Idź zaraz chlew świński uprzątnąć! — skrzyczała ją gospodyni.

Oburzyła się Marysia srodze, toć ta studzienka z rogów krówki wyrosła i do niej należy, ale nie śmiała tego powiedzieć głośno. Skuliła się pod agrestowym krzakiem, czekając, co będzie dalej. A gospodyni zajrzała do studni i zawołała:

— Nie woda tam, ale szczere wino. Będę je sprzedawać, po dukacie duża czarka, po srebrnym talarze mała czareczka. Migiem posag moim córkom ubieram.

Ludzi za płotem gromadziło się coraz to więcej. Wyciągali szyje, poszturchiwali się łokciami, wymieniając ciche szepty. Gospodyni pod boki się ujęła.

— Hej, ludzie, ludzie, któż chce wina czareczkę, cudowne to wino, od wszelakich słabości leczy, odpędza złe uroki, dobre myśli nawiewa, daje stokrotne siły do pracy. Hej, ludzie, ludzie. Kto da złotego dukata — dużą czarkę dostanie, kto da srebrnego talara, ten otrzyma małą czareczkę. A kto grosz miedziany, temu w studnię zajrzeć pozwolę, niech chociaż odetchnie winnym oparem. Hej, ludzie, ludzie!

Spojrzeli po sobie zebrani za płotem. Złotego dukata nikt nie miał, bo skąd na wsi. Ale srebrnego talara wysupłał najzamożniejszy gospodarz.

— Jeżeli to prawda, że wino siłę ustokratnia, wszelkie słabości leczy, to i zapłacić warto, ano, zobaczymy.

Gospodyni posłała Józję po czarkę, sama sznur tęczyowy oburącz chwyciła, smukłą głowę żurawia pochyliła do studzienki. Ale próżno toń winną goni kryształowym wiadrem. Wsiąkała w ziemię. Rozgniewana kobieta wyciągnęła na wierzch tylko trochę mułu. Śmieją się ludzie.

— To ci wino dopiero.

Inni z kolei talary podają. Ta sama sprawa, wino tylko w cembrowinie połyskiwało, a w wiaderku już go nie ma. Gospodyni ręce się trzęsą, próbuje szczęścia i znów nic. Ludzie zaczynają pogadywać między sobą.

— Nie wyciągnie nasza sąsiadka pełnego wiadra wina. Coć czystego jest na dnie, czyjaś krzywda czy co?

Stał między innymi młodzieniec urodziwszy od innych, Jaśko młynarz to był. Od dawna już Józia i Fruzi wpadł w oko i sam rad na śliczne dziewczyny spogląda, prawdziwego ich charakteru nie znając.

— Hej, ludzie, ludzie, wiecie co, moim zdaniem ta czarodziejska studnia ma inne przeznaczenie, nie bogactwo ze sobą niesie, ale chyba szczęście jest tu komuś sądzone.

Mówiąc to, płot lekko przeskoczył i stanął przy studni. Pani matce, gospodyni, pokłonił się w pas.

— Pani matko, mój młyn huczy nad wodą, moje żarna mielą zboże na białą mąkę, płaczące wierzby nad stawem się kłonią, złote nitki maczając w zielonej tafli. Do boku młyna sad się tuli, gęsi jak rozrzucone chustki na wygonie bieją, krowy ryczą wracając o zachodzie słońca z pastwiska. Ładnie u mnie i dostatnio, ale smutno i samotnie. Szukam żony i tę dziewczynę pojąć umyśliłem, która mnie poczęstuje czarką wina z tego kryształowego wiadra. Pozwólcie spróbować swoim córkom.

Józia uśmiechnęła się wdzięcznie, uśmiechnęła się rozkosznie Fruzia. Jaśko młynarz najpiękniejszym, najweselszym, najrobotniejszym, najzuchwałszym we wsi, a wszystkie dziewczyny marzyły o nim.



— Ściągnę żurawia, a zobaczycie, że nie ucieknie mi wino.

Matka ustąpiła Józi miejsca przy żurawiu. Dziewucha oburącz ciągnie tęczowy sznur do złotej cembrowiny, jednak nadaremnie. Patrzy, a tu po-
złociście lśniące zwierciadło znikło w głębi cembrowiny.

Jasiu wziął się pod boki i roześmiał się.

— Nie ty jesteś mi sądzona — rzekł.

Podbiegła Fruzia, odepchnęła zmartwioną Józję.

— Jak nie mężem ci będzie, to dziewierzem. Teraz ustąp.

Lecz i Fruzi wysiłki okazały się bezowocne.

— Pani matko, nie udało się waszym córkom, pozwólcie spróbować innym dziewczętom. Czuje, że ta, której złota studzienka usłucha, nad inne dobrą i mądrą być musi, z tą będzie dobrze mężowi.

Gospodyni nie była tej prośbie rada, ale nie sprzeciwiła się, bo ludzie za płotem zgodnie wołać zaczęli:

— Pozwólcie innym! Pozwólcie! Na pewno pośród dziewcząt wsiowych znajdzie się godna owego czaru.

Sypnęły się dziewczuchy jak te kwiaty, co z wiosną przez jedną noc rozkwitają. Zamigotało w ogrodzie od roziskrzonych oczu, zafurkotało od warkoczy na wiatr puszczonech, od spódnic fałdzistych, kwiecistych, każda do żurawia przypada, tęczowy sznur oburącz chwyta. Każda ciągnie z całej siły... Żadnej się nie udało. Cóż to za dziw jaki? Na kogo zaczarowana studzienka czeka? A Jaśko już się nie śmieje, już się pod boki nie bierze, ręce mu bezradnie opadły.

— Jak to? Żadnej z was nie chce znać zaczarowanej studzienki?

Uciszyło się za płotem. Ludzie milczą zafrasowani. Dziewczyny jedna za drugą z opuszczonymi głowami wymykają się z ogrodu. A Jaśko pyta:

— Wszystkie już tu były?

Ludzie odpowiadają:

— Wszystkie, wszystkie — i niechętnym okiem patrzą na studzienkę, że ta zawstydziła ich córki.

Jaśko pyta:

— Nie ma już żadnej nigdzie?

Wtem dziad stary, co cały czas stał z boku, dojrzał

skuloną Marysię pod krzakiem agrestu i palcem na nią wskazał. Obejrzała się gospodyni.

— Ten kocmołuch? Ona się nie liczy, to moja pastuszka, nędzarka, z litości przygarnięta, brudas, leniuch, darmożjad, nie jej czerpać wino!

A ludzie głośno krzyczeli:

— Jak wszystkie, to wszystkie! Niech podejdzie sierota! Niech sznur tęczowy weźmie w swoje ręce! Nie wiadomo, co komu sądzone!

Podszedł Jaśko do Marysi, dźwignął na nogi, a przy tym w oczy zajrzał i coś osobliwego snadź w nich zobaczył, bo rozjaśnił się cały, rozpromieniał.

— Chodźże, Marysiu, do studzienki. Ciągnij sznur tęczowy, pochyl żurawia, spuść wiadro kryształowe. Coś mi mówi, że ty wina zaczerpniesz.

Zapłoniona Marysia zbliżyła się do studzienki, a gdy sięgnęła ręką do tęczowego sznura, zakolysał się do niej, żuraw sam się pochylił, kryształowe wiadro w wina toń się zanurzyło i samo uniosło się w górę. Zaczerpnęła dziewczynka pełną czarę i do Jaśka podeszła nieśmiało. On jedną ręką czarę chwycił i do ust podniósł, drugim ramieniem Marysię wpół objął. Wszyscy zgromadzeni zaczęli głośno wiwatować, starsze gospodynie Marysię tuliły i całowały. Gospodarze dłoń Jaśkowi ściskali i cieszyli się, że się łączy taka piękna para i że we wsi znalazła się dziewczyna godna studzienkowego czaru.

Gospodynię Marysiną wzięła złość straszliwa i od razu się w niej rozlała jak płomień, gdy ogarnie suche chwasty. Ze złości piekielnej w mig odmieniła się w czarną wronę, a za nią dwie córki. Wszystkie odleciały na północ. Złota studzienka dostarczyła na weselisko wina w takiej obfitości, że goście pili, ile czyja dusza zapragnęła. A kiedy już wszystko wysączyli do ostatniej kropli, zdarzyło się coś niezwykłego.

— Patrzcie, ludzie, ze studzienki krówka pstrocza wyskoczyła cała i zdrowa.

Podeszła do Marysi i zamruczała radośnie. Dziewczyna objęła krówkę za szyję, wilgotny czarny pysk ucałowała.

— Moja ty, krówko pstroczo, nie rozstaniemy się już nigdy.

Zaraz potem zniknęła studzienka złota i nie zostało po niej ani śladu.

Maryśka z Jaśkiem długo i szczęśliwie żyli, czterech dorodnych synów i cztery piękne córki wychowali na swą pociechę. Młyn przynosił im niezłe dochody, a gospodarstwo jędzy stało pustką. Podwórze jej zarosło złym zieleń, pogniły płoty, dach się zawalił, deszcze i wichry zrujnowały ściany. Trzy czarne wrony przylatywały od czasu do czasu i siadały na drzewie, kracząc żałośnie.

Stary Fryc tonął w cieście

Stary Fryc niczym komtur, ropucha, nazwana tak przez Kaszubów od wodza krzyżackiego, gdy przy jednej chacie go ubito, na drugi dzień przy innej checzy znaleziono żywego. Tak też się stało w Łubkowie, dostał takie lanie, że ledwie się wylizał, a za kilka dni już go widziano w Lasach Darżlubskich na pomorskiej drodze, którą podążał na Oksywską Kępę, bo dowiedział się, że są tam dobre ziemie. Jechał odnowioną landarą, czterema karymi końmi i wziął aż dwóch woźniców po smutnych doświadczeniach odebranych w Strzelnie. Była już późna jesień, nastały krótkie dni, rzeki rozlały, a tu jedną z nich musiał przejechać w bród, gdyż nie było na niej mostu. Frycowi jak zwykle się śpieszyło, kazał więc woźnikom jechać prosto przez bajorko powstałe na skutek wylewu rzeczki. Koła zaryły się tak głęboko, że konie zerwały poprzęgi, a landary nie wyciągnęły z błota. Stary Fryc polecił woźnikom wyrąbać w lesie drągi i na nich wydzwignąć landarę na suchą drogę. Zapadł już wieczór, kiedy nad wijącym się rwącym potokiem zauważył małą chatę drwała. Podeszedł do niej, zapukał do drzwi, po chwili ukazała się w nich młoda, urocza kobieta. Stary Fryc zapytał:

— Czy jesteś gospodynią tego mieszkania?

— Tak — potwierdziła kobieta o cudnej twarzy, piękna jak leśny kwiatusek. — Mój mąż jest drwalem, rąbie drzewo w lesie. Zaraz wróci z siekierą na ramieniu, i to ostrą siekierą. Niechby

kto się dobijał do checzy albo próbował zakłócić mój spokój, mąż go od razu odzwyczai od takich wybryków.

— Ze mną wasz mąż nie będzie mieć kłopotu. Jestem królem potężnego państwa Prus, zwycięzcą kilku wojen, wasz kraj wcieliłem do mojego królestwa i przyjechałem go odwiedzić — wyznał uroczej kobiecie. — Wasz mąż jeszcze długo będzie w lesie?

— W każdej chwili powinien tu być. Powiedz wtedy, jegomościu królu, czego ode mnie chcesz?

— Chciałbym u was przenocować. Jest już wieczór, nigdzie nie dojadę.

— Gość w dom, Bóg w dom. Król pozwoli, jeśli łaska, obejrzeć nasze mieszkanie. Jeżeli będzie się podobać, to proszę bardzo.

Do mrocznej izby wszedł za gospodynią. Swoim bystrym okiem zauważył jakiś podłużny mebel stojący przy ciepłym piecu i zapytał:

— Co to?

— Posłanie — odrzekła kobieta. — Jeżeli jakiś zacny gość przejeżdża przez las i zastanie go noc, to sypia na tym miękkim posłaniu.

Stary Fryc zaraz pogładził białe prześcieradło, którym ów dziwny mebel był przykryty, i rzekł:

— Miętko to tu jest.

Kobieta się uśmiechnęła, a stary Fryc, choć wyglądał na mruka, odwzajemnił się jej.

— Jak jegomość król zechce, to może skorzystać z tego posłania i przespać się do rana.

Poprosiła go na ławkę za piecem, by sobie wygrzał plecy. Rozpaliła ogień w kominku, postawiła trójnog, a na nim garnek z mięsem dzika. Przybysz zagadywał kobietę, bo brała go pokusa, ale ona kaszubskim sposobem się odcinała, tak że tracił języka w gębę. Niebawem wszedł do mieszkania drwał. Stary Fryc wyciągnął róg z tabaką, z którym się nigdy nie rozstawał, nasypał sobie nieco proszku na rękę i poczęstował drwała.

— Jak wam się tu żyje w lesie? — zapytał Kaszub.

— Jegomość królu, żyłoby się tu dobrze, ale w lesie zadomowił się purtek.

— A purtek, to kto? — zdziwił się stary Fryc.

— Purtek to piekielnik, czyli mieszkaniiec piekła,

syn Lucycpera. Szatan piekielny wysłał go do nas, by łowił ludzkie dusze. Toteż stara się on niewinnych ludzi wywieść w moczary leśne i puszcze, by tam zginęli, wówczas może pastwić się nad ich duszami. Tak też tutaj stało się u nas. Zeszłego roku, a było to pod wiosnę, spałem z moją młodą białką w łóżku, naraz poczułem, że mam pod sobą mokro, zrobiło mi się zimno. Stuknąłem białkę łokciem w bok i rzekłem:

„Białko, nadoiłaś w łóżko”.

„To nie ja. Mnie to się jeszcze nigdy nie przydarzyło. Chyba to ty sam”.

Wytknąłem rękę spod pierzyny — ciągnął dalej opowiadanie drwał — poczułem zimną wodę. Wylałem z łóżka i z trudem doszedłem do kominka. Musiałem wejść na ławkę, bo woda była taka zimna, że nogi cierpły na kamień. Rozpaliłem w kominku łuczywo i w jego świetle zauważyłem, że potop jest w izbie. Włożyłem długie buty, wyszedłem na dwór i w świetle księżyca zobaczyłem, że wylała rzeka, a nasza checz stoi w wodzie. Udałem się nieco w dół rzeki i stwierdziłem, że purtki blokami lodu zawałiły całe ujście.

— To nie żaden purtk — rzekł stary Fryc. — Zapewne musiały być tęgie mrozy, rzeczka zamarzała i utworzył się gruby lód. Nawaliło śniegu w lesie i przyszedł raptowny deszcz z odwilżą. Wody ruszyły, niosąc ze sobą zwały lodu i to one zatarasowały ujście rzeczki, dlatego też wylała szeroko.

— To tak prosto nie było — rzekł drwał. — Kilka tygodni przedtem zauważyłem odciski kopyt na śniegu. Ale to nie były końskie, ani kurze pazury, nie były to niczyje inne ślady, tylko purtka. To on zawałił rzeczkę, by woda z niej wystąpiła, chciał nas utopić i pastwić się nad naszymi duszami.

— Człowieku, nie bądź zabobonny, jeżeli to purtk, jak mówisz, to ja jestem duchem, a ja nie potrafiłbym zawałić rzeczki zwałami lodu.

— Nie chciałbym, by jegomość tu miał jakąś sprawę z purtkiem.

Białka drwała tymczasem przygotowała Frycowi posłanie i rzekła:

— Jeśli król nie gardzi naszym skromnym noclegiem, to proszę.

— To nieważne — rzekł król — grunt, że się miękko leży.

Drwał ze swoją żoną również położyli się do snu. Po chwili gospodyni usłyszała, że gość śpi, bo mocno chrapał. Wtedy oboje po cichu wstali, ubrali się, niepostrzeżenie wymknęli się z mieszkania i głęboko zaszyli się w sąsiedniej kniei. Stary Fryc spał rozkoszując się miękkim posłaniem. Dopiero nad samym rankiem zaczęło mu się śnić, że przyszedł do niego rogaty purtk i rzekł:

— Skąd ty, chudzielcu, tu się wziąłeś, mieszkańcy tej ziemi są podobni do ludzi, a ty jesteś chudy jak piskorz. Muszę cię podtuczyć.

Stary Fryc poczuł, jak tyje. Urósł mu podbródek, na brzuchu miał pełno tłuszczu, żeber nie mógł wymacać, nie był w stanie ruszyć ani nogą, ani ręką. Zaniepokoiło go, że może się udusić. Od razu się ocknął.

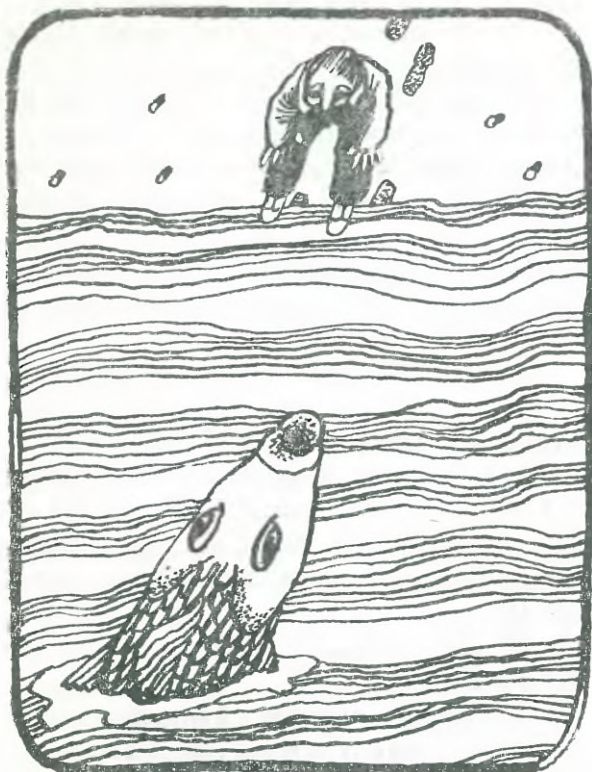
— To tak! — ryknął tak głośno, że usłyszano go chyba w Berlinie.

Usłyszeli go też jego woźnicy, którzy razem z końmi spali w baraku. Przybiegli obaj. Zobaczyli, że ich bóg wojen tonie w cieście, wyciągnęli więc go szybko. Jeden z woźniców pobiegł po pęk słomy, po czym wiechciami zaczęli króla rejbować jak kasztana po maneżu. Władca, rozespany, nie mógł pojąć, co się z nim stało. Ledwo go trochę wytarli i ubrali, kazał woźnicom wsiąść do landary, sam wziął bat i tak podcinał konie, że te gnały, jakby je z całych Darżlubskich Borów purtki goniły. Wieść o kąpieli starego Fryca w cieście rozeszła się lotem błyskawicy po całych Kaszubach.

— Już więcej do nas nie przyjdzie — pocieszali się mieszkańcy północnych Kaszub.

Stary Fryc jako maszop

Był marcowy dzień. Wiał lekki wiaterek z północy, a drobna fala przyklepywała o zioło, jakby o czymś szemrała. Stary Fabisz siedział na burcie łodzi i wsłuchiwał się w te pomruki, raptem rzekł sam do siebie:



— Ławica łosiosia zbliża się pod brzeg. Tak przewidywałem.

Miał słuszość staruszek. Przyniósł uprzednio sieci łosiosowe na brzeg, więc kupa ich leżała obok jego łodzi. Teraz tylko czekał na kogoś, kto by mu pomógł zastawić sieci w morzu. Siedząc tak na burcie łodzi zauważył, że ktoś się do niego zbliża z żakiem węgorzowym na ramieniu.

— Może ten człowiek szuka maszopa?

Nie pomylił się staruszek. Zauważył też od razu, że to ktoś zacny do niego podszedł. Przybysz pierwszy zagadnął.

— Przyszedłem do ciebie jak równy do równego, choć jestem królem Prus, Pomeranii, Brandenburgii, Śląska, Kaszub, Warmii i Klevy. Nastaly dla mnie ciężkie czasy. Świat się uspokoił, wojny nie ma i nie mam gdzie co zdobyć. W Karwi radzili mi zwrócić się do ciebie, bo na tym wybrzeżu jesteś królem łosiosu. Kłaniam ci się nisko i proszę, byś mnie przyjął na maszopa do wspólnych połowów łosiosia. Sieć mam swoją, i to piękną, z nowej przędzy.

— Też mam sieci — odpowiedział Fabisz — Tu, na kupie leżą moje pławnice.

Stary Fryc spojrział na nie i rzekł:

— Moja jest lepsza, bo ma małe oczka, a twoje mają wielkie, wszystkie ryby przez nie uciekną.

Stary Fryc rozciągnął swój węgorzowy żak na plaży, ale zabrakło mu kołków. Fabisz, który jeszcze w zeszłym roku pozostawił pod wydrami całą masę kołków do żaków, pożyczył mu pięć. Władca pruski zeszłej jesieni laził po rozewskim brzegu i dobrze podpatrzył, jak się zastawia żaki, toteż prawidłowo przywiązał kołki.

— Wspaniała rzecz — zdziwił się Fabisz.

— Choć jesteś królem łosiosia, takich żaków chyba nie posiadasz — chwalił się stary Fryc. — Chciałbym ci podsunąć taki układ. Wspólnie będziemy zastawiać nasze sieci, jednak połów weźmiemy każdy swój. Jeżeli ty w swoich brązowych sieciach o wielkich oczkach złowisz więcej niż ja, oddam ci całą ziemię kaszubską i będziesz na niej królować. Jeżeli ja złowię więcej od ciebie, przekażesz mi swoją koronę króla łosiosia na rozewskim wybrzeżu. Spiszemy układ, po pierwszym połowie nabierze on pełnej mocy.

Stary Fabisz przeniknął zamysł spryciarza, że chce on zdobyć jakiś dokument, na mocy którego ziemie te należałyby do niego choć częściowo. Wojkiem je zawładnie, a juryści to potwierdzą.

— Dostyc tych układów — rzekł Fabisz. — Dalej do roboty i szykuj swój żak do zastawiania.

— Nie mam kołków — rzekł stary Fryc, gdy rozciągnął swój żak.

— Tam pod wydram leżą moje, zabierz sobie pięć. Jakoś inaczej się nazywają w waszym języku.

— Słusznie zauważyłeś, to są pole.

Najpierw zastawili przy brzegu żak starego Fryca, prawidłowo, jak się zastawia tę sieć, a przed wieczorem pławnice Fabisza. Gdy wrócili do brzegu, pruski król z dumą oglądał swój żak.

— Ktoś z nas będzie jutro w niebie — wykrzyknął i z pogardą spojrział na Fabisza.

— To się okaże — odrzekł z powagą rybak.

Następnego dnia rano, gdy Fabisz pojawił się na brzegu, stary Fryc stał przy zoloju, woda była przezroczysta jak szkło. Iglę można było dojrzeć na pia-

szczystym dnie morza. Maszop Fabisza wpatrywał się w żak, a że odległość była niewielka, widział, jak coś się w nim ciemniło i ruszało.

— To ryby — zawołał z radością i podskoczył. — Ja król, ja król! — krzyczał tak głośno, że ptactwo zerwało się z nocnego snu.

Nury morskie zaczęły krakać, wyciągając swoje ostre dzioby w kierunku nieproszonego gościa, a stary Fabisz ze spokojem myślał sobie:

— Masz nos spiczasty, ale po chwili zaostrzy ci się jeszcze bardziej.

— Chodź, ściagniemy łódź i popłyniemy do twojego żaka, aby go wyharnasić.

Kiedy zbliżyli się do żaka, Fabisz rzeczywiście zauważył w nim mnóstwo życia, ale z góry wiedział, że to nie są łososi, gdyż tych ryb nie łowi się taką siecią, ani węgorze, bo to nie sezon. Stary rybak wyciągnął kolek, odwiązał żak i z powagą powiedział:

— Żak pełen ryb. Ale nie znam ich.

— Wysp je do łodzi, zaraz ci powiem, co za jedno, bo znam wszystkie.

Kiedy rybak wysypał zawartość żaka do łodzi, stary Fryc krzyknął:

— Co za ryby? To są ropuchy!

— Poznałeś je, to wrzuc te gady z powrotem do wody.

— Tyle ich znalazło do żaka — mruczał stary Fryc.

— Zastawiliśmy tam, gdzie chciałeś — przekomarzał się Fabisz. — A wiesz, jaką te gady mają nazwę? Komtury krzyżackie.

— Ale są też jakieś ryby między nimi.

— Tak — potwierdził Fabisz — to diabły morskie.

— Ale ryby.

— W handlu nie mają żadnej wartości, bo niejadalne.

— Jak ty nic nie będziesz miał w swoich sieciach, to wygrana moja.

— Jeszcze możesz dostać młotem w łeb — rzekł Fabisz. — Masz zaznaczone w układzie, że zwycięzca przegranego zbije młotem.

— Ale ty masz prawo uderzyć mnie tylko raz — zastrzegł się król pruski. — Ja zaś, jak nie będziesz miał nic w sieciach, będę cię walić, aż ujdzie z ciebie twoja rogata dusza.

— Moje jedno uderzenie też starczy, by twoja dusza z ciebie wyszła.

Stary Fryc spojrzał na dłoń szypra i pomyślał sobie:

— Ma dłoń ten król łososi, że nie tylko mnie, ale i słonia by zabił.

Tymczasem dopłynęli do sieci Fabisza. Rybak uchwycił jeden jej koniec i zaraz zabieliło się od łososi, wyciągnął je po kolei wszystkie, jeden był szczególnie okazały.

— Będzie miał pół kopy kilogramów — rzekł Fabisz.

Stary Fryc uchwycił łososa, podniósł go za ogon, a ten się owinął i z taką siłą uderzył go w kark, że niedoszły rybak się przewrócił wprost na swoje rogate diabłki. Broczyła mu krew z dłoni, z pośladka. Wiadomo, że diabła morskiego dla jego barwnych płetw i obronnych różek na kościstym łbie Kaszubi nazywają kurem.

— Widzisz, ty niekarencu — rzekł Fabisz do starego Fryca. — Wszystko stworzenie przed tobą się broni. Jak łośoś lunął cię w kark, to nawet twoje diabłki pokaleczyły ci pośladki i dłonie. Pamiętaj, że ich różki są trujące. Rok czasu będziesz lizał swoje rany.

Gdy dobili do brzegu, stary Fryc czym prędzej wyskoczył z łodzi, bo wiedział, że w myśl układu powinien oberwać ciężkim młotem w łeb. Toteż zwiewał w kierunku zachodnim, aż kurzawa piachu za nim się niosła.

Wybrzeże rozewskie po wszech czasy zamieszkuje polscy rybacy. Prawdaż, pojawiali się obcy przybysze z zachodu od czasu do czasu, przyjeżdżali z takłami czy z sieciami fładrowymi, by na tych żywnych łowiskach uprawiać połowy. Tradycja przekazana przez Fabisza była tak silna, że nikt z tych nieproszonego gości nie zapuścił korzeni na Kaszubach, a duch polski tu czuwał. Były czasy burzliwe i nie do zniesienia, ale fale pędzone przez wiatr zachodni zawsze rozbijały się na rozewskiej głowie. Ród Fabiszów utrzymał się przez trzy wieki, przekazując z pokolenia na pokolenie anegdotki, legendy, tradycje. Toteż ostatnie zwycięstwo ludu kaszubskiego rozpromieniło się na stare słowiańskie grody, jak Kołobrzeg i Szczecin.

Jak piękną rybaczkę porwali fenicjańscy handlarze

Było to w czasach, gdy na polskim wybrzeżu ludzie odziewali się w focze skóry, a mięso tych zwierząt służyło im za pożywienie. Przybrzeżne wody Półwyspu Helskiego i wybrzeża rozewskiego obfitowały wówczas w dorsze, łososie i śledzie. Rybacy rozewscy tworzyli drużyny do trzydziestu chłopów i zrobionym przez nich olbrzymim niewodem łowili ryby. Zdarzało się, że obfite ławice odpływały od brzegu, wówczas rozewianie dzielili się na grupy i po trzech wsiadali na małe łodzie, by wypływać dalej na morze, gdzie łowili flądry i dorsze.

We wsi Rozewie mieszkał pewien rybak z żoną. Mieli oni przepiękną osiemnastoletnią córkę, której dali na imię Szarotka. Do tej młodziutkiej dziewczyny zalecał się miejscowy kawaler, niezwykle energiczny i zdolny rybak, imieniem Wrzos. Był bardzo przystojny, toteż oczy wszystkich kobiet spoczywały na nim, gdy wracał z morza z obfitym połowem. On jednak na żadną nie spoglądał, zachowując całkowitą wierność Szarotce. Ojciec podstrzygał mu włosy, golił brodę, a inni rybacy chodzili półnago, z długimi włosami i brodami, niczym jaskiniowcy.

Pewnego letniego poranku, gdy wiatr z zachodu nieco dmuchał, Wrzos wybrał się ze swoimi kolegami na dalszy połów fląder. Szarotka w tym czasie zwołała inne dziewczęta rybackie i udały się na wydmę. Na rozgrzanym piachu rozścieliły focze skóry i na nich nagusieńkie wystawiły się do słońca. Naraz zauważyły, że od przylądka rozewskiego płynie duża galera z rozwieszonym na maszcie czterokątnym żaglem i z wielką ilością wioślarzy. Dziewczęta wiedząc, że to nie wróży nic dobrego, zaczęły zmykać pod zbocza wzgórz, na których stała osada rozewska. Zamiarem ich było schronić się na wyspy Archipelagu Helskiego, ale i tu przed ich oczami wyrosli mężczyźni w zawojach na głowach, w długich, białych szalawijach. Dziewczęta w mig pojęły, że to Arabowie i że są osaczone z wszystkich stron. Próbowaly jeszcze uciekać w kierunku przylądka rozewskiego. Zaledwie dobiegły do swego legowiska

z foczych skór, tuż przy nich stanęła cała zgraja groźnych Arabów, zagradzając im drogę. Pierwszą pojмали Szarotkę, najpiękniejszą z dziewcząt. Z miejsca wprawnie oszacowali, która z nich posiada największą wartość. Miała prześliczną twarz, małą główkę, okoloną bujnymi, jasnymi włosami, które spadały jej aż do pasa. Duże, morskiego koloru oczy, ocieniały długie rzęsy i pięknie zarysowane brwi. Ciało jej było nieco opalone, miała śliczne kuliste piersiątko, a nogi smukłe, bardzo zgrabne. Toteż Arabowie od razu ją spętali i odstawili na galere, a potem pozostałe dziewczęta wprowadzili do wnętrza statku. Szarotkę porywacze odziali w białe przewiewne szaty. Dziewczyna się domyśliła, że kupiec nie chce, by słońce ją zbyt mocno opaliło, gdyż na południu, dokąd mieli swój towar dostarczyć, gustowano w kobietach o białej cerze.

Podnieśli żagle i galera fenicjańska ruszyła za rozewski przylądek.

W tym czasie wrócił z połowu Wrzos. Z rozpaczrywał włosy z głowy. Rzucił się na brzeg morza i wył z bólu. Wraz z dwoma młodymi rybakami, którym najeżdźcy również porwali dziewczęta, postanowił podjąć pościg. Przygotowali więc żaglówkę o skośnym żaglu i popędzili za Arabami.

Zaledwie jeden dzień ścigali ich po morzu, gdy zauważyli z daleka galere. Lekki wiatr wydymał żagiel rybaków. Lekka ich łódź szybko się posuwała, ale gdy wiatr przybrał na sile, galera znów się oddaliła. Wypłynęli na sąsiednie morze, tu zaczęła ich huścić ogromna fala, lecz odważni żeglarze nieprzerwanie płynęli w kierunku zachodzącego słońca. Gdy następnego dnia wiatr nieco się uspokoił, spostrzegli przed sobą olbrzymią galere. Wiatr dął jej z prawego boku. Sprzyjało to rybakom, bo płaskodenną galere wiatr spychał coraz bardziej w bok, aż w końcu musiała stanąć za jakimś cyplem. Załoga i naganiacze zeszli na ląd. Wrzos domyślił się, że poszli szukać żywności, wobec czego również postanowił wylądować, aby uzupełnić zapasy. Jeszcze tego samego dnia galera ruszyła na zachód, a łódź kilwaterem popłynęła trop w trop za galere.

Nazajutrz zapanowała na morzu całkowita cisza. Rozchodził się tylko plusk wiosel. Kiedy galera

wyprzedzała rybaków, w pewnej chwili najeżdźcy wykręcili statek dziobem ku łodzi.

— Chcą nas gonić — rzekł Wrzos do towarzyszy. — Wiedzą, że płyniemy za nimi trop w trop. Wyprawią nas rybom na pożarcie.

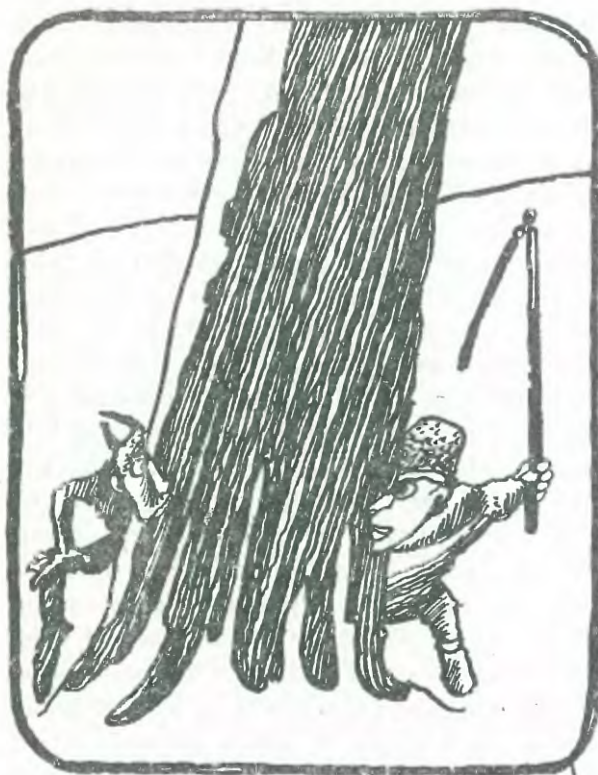
Przez cały dzień, aż do wieczora Arabowie gonili rybaków z rozewskiego przylądka, którzy silnie wiosłując zawsze szczęśliwie zdołali się im wymknąć. Dopiero przed wieczorem z lekka ruszył wiatr i łódź odbiła w prawą stronę. Jednak mając na oku światło galery, płynęli równolegle. Rano zniecka nadszedł gwałtowny sztorm. Wobec wysokiej fali łódź nie miała możliwości obrony, galera również stała bezradnie, bo jedynego sternika zabrała fala za burtę. Rybacy, którzy już podpłynęli blisko Arabów, jeszcze chwilę szukali nieszczęśliwca, ale ich wysiłki okazały się daremne. Wrzos postanowił dobić do galery. Więc na migi dał do zrozumienia jej wodzowi, że jest sternikiem. Arab, który mimo potężnej załogi galery był bezsilny, całkiem zubożętniał na to, że Wrzos go goni, i powierzył mu ster. Nastawił wówczas Wrzos statek dziobem w stronę widocznego z daleka lądu, a po uzgodnieniu z wodzem, wziął kierunek na jedną z zatok, wrzynających się w brzegi Cieśniny Brest. Wódz Arabów dobrze obwąchał białego rybaka i stwierdził, że nie ma on złych zamiarów, że wracając z połowów przypłynął do galery, aby schronić się przed sztormem. W tych trudnych okolicznościach można z całym zaufaniem oddać ster w jego ręce.

— To dzielny rybak — rzekł wódz do swego zastępcy — i bardzo dobrze prowadzi nasz statek do tej wąskiej i cichej zatoki.

Dwa tygodnie stali w zaciszu zatoki, póki nie ustał wiatr. Kiedy wypłynęli w morze, Wrzos zauważył, że jego towarzyszy przykuto do wiosel. Szczęściem on sam został na wolności. Odtąd wiatr im sprzyjał, bo wiał z północnego-wschodu. Szybko przesunęli się przez Zatokę Biskajską, a potem opłynęli Półwysep Pirenejski. Przedostali się przez Słupy Herkulesa i znaleźli się na Morzu Śródziemnym. Tu dostali wiatr zachodni. Fenicjaninowi ten szlak morski był dobrze znany. Płynęli cały czas w takiej odległości od brzegu, że widzieli góry Atlas. Gdy minęli Przylądek Biały, z Zatoki Try-

politańskiej nadszedł sztorm, ale po dwóch dniach uciekł. Byli już niedaleko Knosos, gdy wypłynął wojenny statek króla Minosa i gonił ich przez dwa dni, w końcu jednak zniknął im z horyzontu. Teraz mogli swobodnie żeglować z lekkim wiatrem zachodnim. Fala, która się toczyła w kierunku brzegu syryjskiego, również sprzyjała szybkości. I tak dotarli do portu Ugarid, gdzie jednak nie wyładowali swego towaru przywiezionego znad Bałtyku, ponieważ doszły ich odgłosy zawieruchy wojennej. Jakiś egipski wódz poskramiał króla Ugarid, który sprzeniewierzył się faraonowi Echnatonowi IV. Zarówno w mieście, jak i w porcie sytuacja była napięta, więc wódz fenicjański nie zwlekając wypłynął w morze i skierował się na południe, by swój towar odstawić do jakiegoś innego portu. W tym rejonie Morza Śródziemnego Arabowie czuli się bezpieczni. Wypuścili więc wszystkie dziewczyny na pokład, by nabrały trochę żywszej cery, Szarotce również kazano rozebrać się do naga, trzymano ją jednak w cieniu żagla, by ciało jej nie opaliło się za bardzo w słońcu, natomiast dzięki świeżemu powietrzu miało nabrać nieco żywszego koloru.

Wrzos zjednał sobie wodza galery, w poufalej rozmowie dowiedział się, że uroczą białą kobietę przyrzekł on królowi Byblosu. Otrzyma za nią pół korca złotych monet. Odtąd Wrzos snuł rozmyślenia, jakby się dostać na służbę do króla Byblosu. Znał już trochę mowę arabską, starał się bowiem jak najwięcej rozmawiać z wodzem. Nic natomiast nie udało mu się dowiedzieć o królu Byblosu, czy w ogóle taki istniał. Skoro tylko przycumowali, wódz statku kazał odprowadzić Szarotkę do zamku królewskiego. Wrzos zwolnił się ze służby, również opuścił statek i szedł trop w trop za narzeczoną, aby poznać drogę do pałacu króla Byblosu. Ale zanim tam doszli, rozeszła się wieść, że zamek królewski zajął egipski wódz, Oremhep. Arabowie, żądni złota, jemu oddali piękną Szarotkę. Oremhep tymczasem wsadził ją do swego rydwanu i pomknął w kierunku Tel-al-Amari. Napatrzył się na piękną gwiazdę północy i oddał ją żonie faraona Echnatona IV, który założył sobie siedzibę w tym królestwie, ponieważ jako heretyk musiał uciekać ze



swego kraju. W tym mieście wydarzyła się taka oto historia.

Wrzos po wielu przygodach dotarł do siedziby Echnatona IV, został jednak przychwycony i oddany w ręce faraona, który wkrótce zmarł. Natomiast Szarotka nadal pozostawała w posiadaniu jego małżonki, Nefretete. Po śmierci Echnatona zamek zajął jako następca jego zięć. Jemu to właśnie Nefretete oddała Szarotkę w zamian za Wrzosa. Podczas ceremonii pogrzebowych Echnatona IV, gdy uwagę wszystkich pochłonęły wspaniałe uroczystości, Wrzos wymknął się z pałacu Nefretete i dostał się do swojej narzeczonej. Wieczorem, skoro tylko zapadł zmrok, wziął swą bogdanę i ruszył do Latakiji, gdzie nie spodziewał się pościgu. Tu znalazł łódź z żaglem, niewiele się namyślając wsiedli do niej i puścili się na morze. Płynęli wzdłuż brzegu wyspy Cypr i przez Morze Egejskie dostali się na południowy przylądek Grecji. Wylądowali na wyspie Cuthera, gdzie rozbiło im łódź. Przez rok mieszkali u Achajów. Tu

Szarotka porodziła syna, którego ojcem był Wrzos. Następnej wiosny Wrzos zdobył większą szalupę, którą przez Morze Śródziemne udali się na zachód. Ten doświadczony rybak płynął zawsze wzdłuż brzegów. Po opłynięciu Półwyspu Pirenejskiego, przebrnął przez Biskaje i kanał La Manche, po czym łatwo dostał się na Bałtyk i do przylądka rozewskiego.

*

Tę legendę opowiadali sobie starzy ludzie w Chłapowie, w Tupadłach, Ostrowie, Karwi i na Półwyspie Helskim. Niejedna legenda mówiąca o czasach starożytnych przetrwała do naszych czasów, na przykład przygody Odyseusza były znane na kaszubskim brzegu, zanim jakiegokolwiek opisy o tym dotarły na polskie wybrzeże. Ale czy opowiadanie to raczej jest bajką czy legendą?...

Stary Fryc jako gbur

Z wielu trudnościami borykał się stary Fryc, kiedy podejmował próby osiedlenia Niemców we wsiach zamieszkałych przez rybaków. Na przykład za pomocą swoich huzarów wysiedlił ze Sławoszynka gospodarza o nazwisku Okoń. A że porządek musiał być, za podstawę użył dowodu, że Okoń to ryba i nie może być rolnikiem. Sąsiedzi, widząc krzywdę Okonia, nie chcieli Frycowi udzielić żadnej sąsiedzkiej pomocy.

Miało się już ku świętemu Janowi i czas było kosić łąki. Nie pomogły ani prośby, ani groźby Fryca, nikt nie stawiał się do koszenia łąki. Zmuszony był wyznaczyć wysoką dniówkę, aby ludzie zechcieli przyjść. Umówionego dnia spotkali się kosiarze u starego Fryca na śniadaniu, bo wieść rozniosła się szybko jak błyskawica, że płaci jednego talara i jeszcze daje całodzienne wyżywienie. Warto było się pokusić na tę dniówkę. Stary Fabisz wyciągnął z krzaka kosę, prawdą, stara była, bo wiele lat temu jego dziadek znalazł ją na brzegu

morza. Przypuszczał, że to narzędzie pochodzi gdzieś z nizin gdańskich, zagarnął je wylew Wisły i spłynęło do morza. Uchowala się w spokoju, aż teraz Fabisz pokusił się na ten zarobek, wydobył kosę z ukrycia i udał się na gospodarstwo starego Fryca. Jedli śniadanie, a ich pracodawca stał w czeladni i zachęcał do pracy.

— Obiad wam przywiozę na łakę.

— Ale po co jegomość ma się fatygować na łakę z obiadem. Jegomość nam naleje klusek do bańki i da kilka łyżek, a my sami sobie poradzimy z obiadem.

Stary Fryc, jak wiadomo, ożenił się z piękną wdówką, jeszcze młodą, więc Fabisz doradził mu, by raczej siedział przy swojej żonie w domu.

— Masz śliczną żonę jak kwiatusek na łacie, pilnuj jej, by tobie ktoś go nie zerwał, bo nacwarzyłeś się dość bez żony.

Stary Fryc chętnie posłuchał tej rady. Kosiarze wzięli kosy na ramiona, jeden z nich chwycił bańkę z kluskami, a drugi naczynie z grochem i poszli na łakę. Fabisz w drodze zaczął opowiadać kosiarzom o swych morskich przygodach, o obfitych połowach łososia, a wszyscy z zacięciem słuchali. Maszerowali coraz wolniejszym krokiem. Słońce wytoczyło się wysoko na niebo, gdy doszli na łakę.

— Legniemy, dresze, i trochę odpoczniemy.

Nie musiał dwa razy powtarzać, za radą Fabisza wszyscy położyli się koło niego, a on snuł opowieść o niebywałych przygodach na morzu, i tak pochłonał uwagę wszystkich kosiarzy.

Raptem jeden z nich przerwał:

— Dresze, dziedzic nam dobrze zapłaci, musimy się wziąć do roboty.

Drugi stuknął go łokciem i rzekł:

— Słuchaj, co król łososi opowiada.

Fabisz dalej ciągnął swą opowieść. Słońce doszło do zenitu.

— Dresze, czas na obiad — stwierdził Fabisz.

Skoro posilili się, znów jeden zachęcał do pracy, a Fabisz wyjął z kieszeni róg z tabaką, wszystkich poczęstował i rzekł:

— Chceme le so zażec. A gdy zażyjemy nieco tabaki, wtedy nam się należy poobiednia drzemka.

— Ależ, człowieku, kiedy będziemy kosić?

— Najpierw się prześpimy, potem zażyjemy tabaki, jak weźmiemy się do roboty, to skosimy tę i jeszcze drugą łakę — upewniał Fabisz zaniepokojonych towarzyszy.

Usnęli, pospali sobie dobrze, a gdy się obudzili, Fabisz dopiero teraz zaczął opowiadać najciekawsze przygody i uspokajał tchórzliwych, że jeszcze zdążą skosić łakę.

— Tak róbcie, jak ja, a przekonacie się, że mam słusność.

Rybak jeszcze jakiś czas gadał i gadał, potem wyjaśnił im, po co stary Fryc siedzi na Kaszubach. Naraz spojrział na słońce i rzekł:

— Słońce zbliża się ku zachodowi. Kosy na ramiona i do domu, zanim dojdziemy i zjemy przygotowaną kolację, będzie już ciemno.

Skoro dowlekli się do zagrody, Fabisz zaraz zaczął się domagać wypłacenia należności. Stary Fryc zapytał:

— Skosiliście całą łakę?

— Obydwie, jegomościu dziedzicu.

— Dobrze kosiliście — odrzekł stary Fryc i wypłacił wszystkim ich należność.

— Za jednego talara więcej nie będziemy kosić, musi jegomość dołożyć jeszcze po jednym talarze — domagał się Fabisz.

— Człowieku, czy ty zgłupiałeś. Inni nic nie gadają, to ty buntujesz wszystkich kosiarzy.

— No, żeby Matka Boska dała, aby te łaki wam z powrotem powstały.

Na drugi dzień rano, gdy stary Fryc przyszedł na łakę, stwierdził, że ziściło się zaklęcie rybaka. Strapiony wracał do domu, ledwie stanął na dziedzińcu, jego żona wydierała się na cały głos:

— Gdzie ty łazisz? Mieliliśmy wstawić len do pieca, kiedy się wysuszy? Rozpal ogień, napal porządnie, potem wymieciysz popiół. Ja ci podam snopki lnu, a ty je wstawisz do pieca.

— Jakim sposobem, przecie tam będzie gorąco.

— Jak braliśmy ślub, zgodziłeś się robić to, co robił mój nieboszczyk mąż, i obiecywałeś słuchać mnie we wszystkim.

Stary Fryc jak niepyszny musiał napakować

chrustu do pieca i rozpalić ogień. Tymczasem przyszła jego żona i powiedziała:

— Dosyć, teraz wyczyść piec. Jak wrócę, podam ci snopki.

Po jakimś czasie wróciła i rozkazała mężowi:
— Właz do pieca!

Stary Fryc wetknął swój spiczasty nos w drzwiczki pieca, z którego buchał żar, wykrzywiła się mu jego zbójcka twarz, ale żona już mu podała kilka snopków. Na jednych klęknął, drugimi zasłonił twarz, a jeszcze inne zaczął ustawiać dokoła.

— Tam są jeszcze iskry — skrzyczała go białka — nie wymiotłeś do czysta, jak to robił mój pierwszy mąż.

Białka podawała całe pęki snopków, raptem zaczął walić dym z pieca. Naraz powstał straszny huk i piec rozsadziło w drobne kawałki. A stary Fryc wyleciał z płomieniem w górę, uniósł się wraz z czarnym dymem nad bajorko stojące tuż obok pieca i wpadł do wody. Kiedy stary Fabisz przechodził dróżką, spostrzegł, że coś się przydarzyło osiedleńcowi. Wyciągnął go z bajora, gdzie Fryc zdążył się wykapać, i dowiedział się od niego, że była to eksplozja woreczka z prochem, który miał w kieszeni. Nigdy się nie rozstawał z nim, jak i z pistoletem.

— A, niedołęga kosmata, len gasić! Co za chłopca sobie wzięłam! Nie do wytrzymania z nim.

Stary Fryc poznał, co to jest białka. Toteż poprawił kanciasty kapelusz, spojrzął ku zachodowi i zaczął wiać, jak purtk przed święconą wodą. W tych stronach przez długi czas Kaszubi mieli spokój. Zresztą próbował już wszystkich sposobów, aby osiedlić Niemców, ale wszystko na nic się zdało. Z tych czasów pozostała tylko rodzina Katenbergów w Ostrowie, która się spolszczyła, tyle że zostali ewangelikami. Stary Katenberg chodził z biblią w rękę do polskiego kościoła w Strzelnie. Miał długą białą brodę i przepowiadał jak prorok, że nadejdzie sprawiedliwość, a potomkowie staro Fryca będą musieli wszystkie ziemie polskie aż po Odrę opuścić. Ten stary siwy prorok wraz z Kaszubami doczekał wolności. Mając 98 lat zmarł w swojej checzy na ostrowskim pustkowiu. Był to już prawnuk tamtego Katenberga.

Stary Fryc czarownikiem

Po ostatnim niepowodzeniu w Sławoszyńku stary Fryc już więcej nie odważył się pójść między Kaszubów. Przyjeżdżał, owszem, ale z plutonem huzarów i kwaterował na krokowskim zamku, zamieszkałym przez grafa. Jeździł po okolicach, tępił Polaków, ścinał i mawiał do swoich żołnierzy: „Wir müssen das Polonische Gesindel ausrotten”. — Musimy to polskie plugastwo wytępić.

Pewnej niedzieli jego huzarzy pod dowództwem wachmistrza wyjechali do Widowa, by w morzu wykapać konie. Skoro przybyli do wsi, usłyszeli, że gdzieś grają, śpiewają, że niedaleko jest zabawa. Podjechali więc do karczmy, stanęli pod oknami i patrzyli, jak chłopcy tańczyli z młodymi dziewczętami. Cofnęli się do pobliskiego lasu, uwiązali swoje wierzchowce do pni sosen pokrzywionych od wichrów i poszli na salę taneczną. Z miejsca doszło do bójki między rybakami a wojownikami staro Fryca spod Rossbach. Rybacy musieli jednak ustąpić uzbrojonym po zęby huzarom i wycofali się do lasu. Odwiązali huzarskie konie, zdjęli z nich siodła i popędzili do Krokowy. Jedna z młodych rybaczek, imieniem Józefina, córka Bali, zdobyła serce pięknego huzara. Uprowadził ją w las aż pod Diabelski Kamień, tam rybaczką straciła do reszty rozum i oddała się Prusakowi, który na dodatek ją okłamał, że jest generałem i dowódcą całej grupy huzarów, zakwaterowanych w Krokowie. Nie wiedział wtedy jeszcze o tym, że konie nawiąły im do Krokowa.

— Przyjadę jutro do ciebie — mówił pruski kłameczuch — poproszę rodziców o twoją rękę.

Przyszła „pani generałowa”, bardzo z tego rada, zdawała się już z tą chwilą być w raju. Tak nadszedł dzień następny, Józefina czekała na swojego „generała”, czekała, a on jednak nie przychodził. Udała się więc do lasu, pod Diabelski Kamień, gdzie ją wczoraj pożegnał ów „generał” staro Fryca. Tam ściągnęła z siebie sukienkę, pewna, że każdej chwili on się zjawi. Na próżno jednak wypatrywała kochanka, tylko wrony na nią krakały.

Lecz nie dała za wygraną. Jak ją Bóg stworzył pobięła do Krokowa. Spotkała przechodzącego obok fosy starszego człowieka, nie przypuszczając, że mógł to być stary Fryc, zapytała go:

— Hej, człowieku, czy widziałeś gdzieś mojego kawalera.

— Ja jestem twoim kawalerem. Chodź do mnie, aniele, skryjemy się na trochę w krzaki.

— Z tobą, ty zgrębolały dziadzie, mój kawaler to piękny generał starego Fryca. Wczoraj się ze mną wyspał, dzisiaj miał pokłonić się moim rodzicom i prosić o mą rękę, i nie przyszedł, więc go szukam. Wiedz, że powiem memu generałowi, by ciebie zastrzelił jak psa.

Stary Fryc spojrział na bladą, rozczochraną dziewczynę i zauważył, że jest ciężko chora, że odchodzi prawie od zmysłów. Pałając zemstą wobec Kaszubów, porwał pejcz i zaczął dziewczynę smagać, krzyżąc:

— Ja ci dam generała!

Miała ona jednak jeszcze tyle świadomości, że rzuciła się do ucieczki i pomknęła przez Bielawskie Błota wprost do Widowa. Fryc gonił ją, ile miał sił w nogach, a młoda kobieta długimi susami przesadzała rowy, raz po raz pokonując kanały wykopane przez holenderskich osadników z Karwieńskich Błot. Stary Fryc, robiąc skok, wpadł do jednego z kanałów. Było to już niedaleko Widowa. Przybiegł ojciec nieszczęśliwej córki, przylecieli również holenderscy osadnicy i wyciągnęli z rowu starego Fryca, który już tonął. Wieść o zajściu rozeszła się lotem błyskawicy, Holendrzy mówili:

— Ten stary, prawie że spróchniały, goni kaszubskie dziewczęta po Bielawskich Błotach.

Rodzice nieszczęśliwej byli pewni, że dziad zadał diabła ich córce. Sprawa dotarła aż do Gdańska, który jeszcze był pod płaszcem swej Matki Polski. Sprośne dowcipy opowiadano o Frycu, strojono sobie z niego swawolne żarty. Nie znalazł się generał, który by się przyznał, że uwiódł dziewczynę i wpadł w tarapaty. Fryc objechał jeszcze raz nadmorską krainę, kazał ściąć kilku rybaków, zwłaszcza w Widowie. Osadę, kiedyś zamieszkałą przez piratów będących na służbie dzikiego grafa z Krokowa, puścił z dymem. Dla Józefiny zajęcie ze

starym Frycem było przyczyną strasznej i długiej choroby. Chodziła po lasach, krzycząc nieludzkim głosem. Gdy zasnęła, wzywała „generała”, przeklinała starego Fryca. Jej ojciec zwracał się o pomoc do dalszych i bliższych znachorów. Najtrafniej przepowiadał czarownik z Bojanowa. Jego zdaniem o chorobę przyprowadził ją straszny człowiek, który napadał na spokojne kraje i zabierał ludzi w ciężką niewolę. Doradził kiedyś Bali, żeby do córki sprowadził słynnego znachora, który mieszka w ciemnych borach aż pod Przodkowem. Ojciec wyruszył więc w te strony i łatwo odnalazł go, bo znany był w tej okolicy. Znachor chętnie udał się nad morze, tym bardziej że Bala przyniósł mu w darze okazalego łososia.

Zaledwie znachor wszedł do swej checzy, palcem wskazał w lustrze sprawcę choroby Józefiny. Po chwili ojciec chorej zauważył, że portret winowajcy stoi pod ścianą w tej samej izbie. Bala rozpoznał na tym portrecie owego złoczyńcę, który gonił jego nagą córkę, a przecież własnymi rękami wyciągał go z kanału. Na to znachor stwierdził, że jest to nieomylny znak, że nie jest w błędzie, skoro portret znalazł się w tej chwili w izbie i ojciec może sam się przekonać, kto jest winowajcą. Bala zabrał znachora, przyrzekł mu dość wysoką jak na możliwości rybaka cenę i wręczył mu 50 talarów, cały wiosenny zarobek z łososi. Z wielką ufnością i nadzieją na wyzdrowienie córki zaprowadził go do swojej chaty.

Po przybyciu ojca ze znachorem rozeszła się wieść po całej okolicy, że ten wykrył sprawcę choroby dziewczyny. Ludność rybacka na całym wybrzeżu, od Dębek aż do Rozewia, przeklinała starego Fryca, uznano, że jest wcieleniem diabła w ludzkiej postaci. Znachor jednak postawił warunki. Zażądał dodatkowo jeszcze pewnej ilości pieniędzy. Przyrzekł, że w przeciągu czterech tygodni Józefina odzyska zdrowie. Będzie rozumną kobietą jak wszystkie inne, bo diabeł, którego zadał jej ów przybysz, musi ją opuścić i wyemigrować ze starym Frycem do Berlina. Odtąd znachor codziennie przed wschodem słońca obchodził checz Bali i palił kadzidło, które buchało kłębami straszego dymu, niósł się zapach bursztynu i jakiś piekielny swąd.

Znachor sam się przyznał, że zmieszał bursztyn z wysuszoną skórą czarnego diabła, którego znalazł zdechłego w lesie. Po tych zaklinaniach Józefina musiała codziennie rano iść z nim nago do pobliskiego morza i tam wykąpać się w zimnej wodzie. Tę samą czynność zmuszona była powtórzyć wieczorem. Był to miesiąc maj, a od świętego Józefa wiatr dmuchał od strony wschodu i przyprowadzał na wybrzeże rozewskie, aż het pod Łebę, bardzo niską temperaturę morskiej wody. Skoro w pasiekach pokazał się pierwszy miód, musiała codziennie wypić kubek pszczelego miodu. Leczenie trwało cztery tygodnie i dziewczyna czuła się coraz lepiej. Pewnego dnia znachor powiedział:

— Diabeł opuścił chorą i już nie powróci, bo on oślepił go kadzidłem i tym strasznym śwędem, dlatego nie trafi tu więcej.

Zalecił chorej w dalszym ciągu pić miód i zażywać zimnych kąpiel. Po roku dziewczyna wyszła za mąż, urodziła kilkoro dzieci całkiem normalnych, tylko w niej od czasu do czasu odzywał się straszny diabeł. Rybacy nie darowali Frycowi popełnionej zbrodni przeciwko tej kobiecie. Pozostała o tym pamięć aż do czasu wcielenia ziemi kaszubskiej do Matki Polski.

Jak stary Fryc wprowadzał nowe porządki

Były to owe lata, gdy czarne chmury okryły ziemię kaszubską. Żadnego człeka na tych ziemiach nie ogrzało słońce, a gwiazdziste niebo nie uśmiechało się do nikogo. Jak nie padał deszcz, to snuła się mgła nad polami, lasami, pagórkami, zakrywała liczne kaszubskie jeziora. Nikt nie był pewien ani dnia, ani godziny, bo stary Fryc sam zapowiedział, że „Das Polnische Gesindel mus ausgerotten werden”. Tym mianem „Gesindel” — plugastwo — stary Fryc określał każdego zdrowo myślącego Polaka na ziemi kaszubskiej. Toteż nad lasami rozlegały się jęki mordowanych Kaszubów oraz zwierząt. Jelenie, sarny, dzikie gęsi, z południowych krajów wracające przez Bałtyk na fińskie jeziora,

unikają fryderycjańskiego wojska, które niosło zagładę wszystkiemu, co żyło na tej ziemi.

Stary Fryc wywachał nawet, że ziemia ta kryje skarby bursztynu, postanowił zatem wydrzeć je dla siebie. Jednego dnia pojawił się pod Wejherowem z kilkoma pułkami, które miały zgładzić każdego, kto by stawiał sprzeciw. Ciągnąc do Gdańska Fryc znalazł się na niewielkich wzgórzach koło Chwaszczyna i spojrzał w stronę Oksywia, nagle zauważył, że wzdłuż brzegu w kierunku północnym płyną cztery wspaniałe żaglowce. Każdy z nich miał na dwóch masztach postawionych sześć żagli, które wiatr lekko wydymał z lewej strony. Jak mu się wydawało, żaglowce były obładowane.

— Co też mogą wywozić z kraju, który teraz do mnie należy? — zastanawiał się król pruski i wiódł za nimi oczyma, aż znikły za wysokim brzegiem oksywskim.

— Gdzie też mogą one płynąć? — wciąż się głowił.

Było mu bardzo pilno do Gdańska, chciał bowiem zamknąć bramy, żeby gdańszczanie niczego nie sprowadzali, a także niczego nie wywozili. Umyślił, iż głodem zmusi ich, aby ugięli się przed nim i oddali się pod jego rządy. Nie była to łatwa sprawa, na barierach celnych nie przestrzegano wydanych zarządzeń. Toteż się okopał u wejścia do portu, by nie wpuścić, ani nie wypuścić żadnego statku. Jego huzarzy dniem i nocą patrolowali wsie i lasy dookoła Gdańska i zapuszczali się aż het, na puckie ziemie. Kazał im mieć na oku każdy ruch statków na Zatoce Puckiej. Po kilku dniach przygłupował patrol spod Pucka z meldunkiem, że cztery żaglowce, obładowane, wypłynęły z zatoki. Zanurzone są równo z wodą. Stary Fryc postanowił sam zbadać, co za handel się tam uprawia, i udał się w kierunku Pucka, a potem ruszył w dalszą drogę, do nasady Półwyspu Helskiego. Następnego dnia rano stanął naprzeciwko rowu, który przecinał Archipelag Helski między pierwszą wyspą a stałym lądem. Już podczas penetrowania połowów łososia zauważył, że tym przesmykiem od dawna przepływają statki z Małego Morza na otwarty Bałtyk, a stróż za każdym razem zapisuje ruch statków. Toteż udał się do budki, ale nie zastał tam nikogo.

— Chyba śpi — pomyślał sobie.

A zatem rzecz się miała, jak w owej niemieckiej bajce o pisarzu, którego zadaniem było zapisywać przy bramie wjeżdżające do Poczdamu chłopskie wozy z produktami rolnymi. Musieli oni nieraz długo czekać przed bramą, bo pisarz chrapał w najlepsze. Stary Fryc pewnego poranku wpadł do mieszkania tego pisarza i tak złożył mu skórę, że ten na czworakach zaczął się do bramy.

Teraz, rozwścieczony, chciał tym samym sposobem rozprawić się z pisarzem pilnującym ruchu statków. Ale nie zastał go w budce. Spojrzał w prawo i w lewo, powiódł wzrokiem wzdłuż zoloju i zauważył, że tuż niedaleko w stronie Rozparowca, drugiego kolejnego przesmyku między wyspami helskimi, coś ciemnego, podłużnego leży blisko zoloju.

Chwycił leżący na brzegu kij i ruszył w stronę owego ciemnego przedmiotu, ale w tej właśnie chwili fala z niewiadomych przyczyn wylała na brzeg, nie zdążył więc skoczyć na mniemanego stróża. Ten jakby się ocknął i dał susa do morza. Stary Fryc za nim, wskoczył na jego grzbiet i dopiero teraz zauważył, że to olbrzymia foka, która z nim prula na Małe Morze. Przestraszony, zaczął krzyczeć, ale foka głucha była na jego rozpaczliwe wołanie i nie zdradzała żadnej chęci do powrotu. A gdy już była z dala od brzegu, zaczęła dawać nura w głębinę, aż do dna, chwytając szczupaki i okonie, by nasycić swój poranny głód. Po chwili wypłynęła, bo będąc ssakiem, tak jak i stary Fryc, musiała złapać trochę powietrza. Foka kursowała z nim po Małym Morzu cały dzień. Wieczorem w poszukiwaniu spokoju usiłowała wypłynąć na Wielkie Morze, bowiem tam nie groziłby jej nieproszony jeździec. Zauważył to stary Fryc, więc postanowił w przesmyku zsiąść z wierzchowca. Tymczasem ten wziął taki rozpęd, że mowy nie było, aby Fryc mógł się uwolnić od foki. Zaczął więc krzyczeć:

— Ratunku! Ratunku!

Nagle spostrzegł starszego człowieka wychodzącego z budki, który wyskoczył na drewniany pomost, gdzie miał przygotowaną rzutkę. Człowiek ten nazywał się Żelk. Był on bardzo pobożny. Nikomu jeszcze nie zrobił krzywdy. Miał on dar zobaczenia ducha nawet w białą dzień. Teraz zau-

ważył, że foka, która z człowiekiem na grzbiecie prula przesmykiem na Wielkie Morze, miała olbrzymie skrzydła i ostre pazury jak u nietoperza. Pobożny Żelk błyskawicznie wkręcił swój różaniec w koniec liny i rzucił ją staremu Frycowi, z którym foka skakała niczym koń przez przeszkody. Żelk ściągnął starego Fryca, który zdołał chwycić rzutkę. Foka natomiast runęła z powrotem do wody. Teraz nawet stary Fryc poznał, że nie jechał na focę, tylko na kaszubskim morskim purtku.

Pozbывszy się starego Fryca i ciężaru różańca Żelka, purtek wzbił się w powietrze, a gdy już bezpiecznie krążył nad Wielkim Morzem, rozrechał się i rzekł potężnym głosem, aż ziemia zadrżała:

— Gdybyś, sługo boży, nie zarzucił na mnie swego różańca, z waszym ciemnizykiem byłbym już w piekle. Wtedy byłaby uroczystość!

— I byłby brek — dodał Żelk — byłaby popijawa!

Tymczasem stary Fryc, twardy jak dębowa szcypa, zapytał stróża:

— Gdzie byłeś, gdy ciebie tutaj nie było?

— W domu.

— Tak pilnujesz bramy?

— Bądź rad, że byłem tu, gdy purtek niósł ciebie na swym grzbiecie do piekła. Już byś w tej chwili siedział w piekielnym kotle i smażył się w smole.

— Masz słuszność — odrzekł stary Fryc — ale to ciebie nie zwalnia od należytego pełnienia swego obowiązku. Czy zapisujesz statki, które tym przesmykiem wypływają z zatoki na pełne morze.

— Naturalnie, że zapisuję. Żaden statek bez odnotowania tu nie przejdzie.

— Pokaż mi te zapisy.

Żelk zdjął z półki rejestr i położył na stole przed starym Frycem. Fryc, jadąc palcem po zapisach, rzekł:

— Tu masz zapisane. Żaglowiec „Maria”, port macierzysty Rewa, a dalej „Helena” z tego samego portu pod polską flagą. „Urszula” to samo. Ostatni — „Królowa Jadwiga”, także pod polską banderą. Też port macierzysty Rewa. Ładownie pełne bursztynu, a na pokładzie również po kilka skrzyń bursztynu. Wszystko załadowane w Swarzewie. Patrzcie, patrzcie, tak mnie oszukują, ta ziemia i co pod ziemią, należy do mnie!

Stary Fryc zamknął rejestr i rzucił go na stół.



— Ta ziemia należy do tych, którzy na niej mieszkają i żyją z niej — rzekł Żelk. — A ty zabieraj się tam, gdzie przedtem mieszkałeś, i nie objeżdżaj tu purtków na naszym Małym Morzu.

Żelk otworzył drzwi i wypchnął przez nie starego Fryca, który ani pisał, tylko poczaplał w kierunku Swarzewa. Szedł przez wieś, spodziewając się, że znajdzie tu kopalnię bursztynu. Dróżką dotarł do kaplicy, dawniejszej studzienki, gdzie kiedyś miała się objawić Matka Boska. Teraz liczne rzesze modląc się klęczały pod kaplicą, która stała u stóp pagórka.

— Abyś naszej ojczyźnie wolność dać raczył, prosimy cię, Panie.

— Abyś starego Fryca, wroga kaszubskiej ziemi, pogromić raczył, prosimy cię, Panie. Matko Boska Swarzewska, Królowo polskiego wybrzeża, módl się za nami i wstaw się do twego Syna, aby hordy starego Fryca z naszych ziem przepędzić raczył.

Stary Fryc wsłuchiwał się w ten śpiew modlitewny, po czym ruszył w kierunku Pucka. Zaraz udał

się do starosty, który miał mu wytłumaczyć, co to za modły urządzą sobie Kaszubi w Swarzewie.

— Jegomość królu — rzekł pucki landrat — to lud kaszubski urządza odpust w dzień narodzenia Matki Boskiej. Wierzą, że Matka Boska, na którą mówią Swarzewska, pomoże im odzyskać wolność i złączy Kaszuby z Matką Polską, ich ojczyzną.

Starego Fryca chwyciła duszność, zaczął kaszleć. Landrat sam nie wiedział, czy to ze strachu kaszle, czy z bojaźni, że zatraci te ziemie, skoro lud jest do niego tak wrogo nastawiony. Czaplał dalej, aż do Nowego Portu, bo tam już stały jego regimenty. Tu kazał załadować wozy i wracać do Berlina, bo stąd go porwą purtki w biały dzień i wsadzą do czeluści piekielnych. Wkrótce w Berlinie powstało wielkie poruszenie i rozeszła się wieść, że purtki porwały starego Fryca żywcem do piekła. Tak sobie opowiadali rybacy na rozewskim wybrzeżu.

Jak Kaszubi podziękowali królowi Prus za jego hojne dary

Stary Fryc przekonał się, że nie podporządkuje sobie Kaszubów. Postanowił więc zdobyć ich serca ofiarowaniem jakiegoś daru. Ale nie wiedział, w jakiej postaci. Zagadywał różnych ludzi. Jedni radzili mu, by rozdał między nich tysiąc koni, gdyż Kaszubi są miłośnikami tych zwierząt. Jednakże podsunęta myśl nie trafiła staremu Frycowi do przekonania. Konie owszem, ale wolałyby sprowadzić żelazne pługi i nowoczesne brony. Jeszcze zimą kazał wywieźć na pole obornik. Gdy tylko słońce przygrzało i ptaszęta zaśpiewały, a ziemia obeschła, król pruski wydał polecenie, aby orać i bronować. Ziemia stała się pulchna. Skoro na zboczach znikły resztki śniegu, ostatnie wiosenne roboty przygotowane były już wykonane, stary Fryc przystąpił więc do sadzenia ziemniaków. Odmierzył linie, wzdłuż których kazał gburów kaszubskim robić grzędy. Sprowadził z Brandenburgii dwadzieścia korcy kartofli, z czego zasadzili dziewiętnaście, a ten dwudziesty korzec stary Fryc kazał oskrobać

i ugotować, po czym wyprawił ucztę *Kartoffel Ball*. Chłopi jedli i chwalili smaczne bulwy starego Fryca.

— W ten sposób ich zawojowałem — rechotał z zadowolenia.

Po udanej próbie odjechał do Berlina. Gburzy kaszubscy nie tak szybko zapomnieli smak kartofli. Skoro tylko stary Fryc znikł z okolic, wyszli na pole i zaczęli odkopywać zasadzone ziemniaki. Smażyli je, gotowali i jedli. Niewiele kartofli zostało w ziemi, ale te, które się uchowały, rosły bujnie. Zakwitły pięknymi kwiatuśkami. Pod jesień zaczęły pokazywać się zielone owocki, wielkości śliwki. Gburzy kaszubscy przekonani, że to owe smaczne bulwy, zerwali je i ugotowali. Ale jak zabrali się do jedzenia, z wściekłością krzyknęli:

— Purtk z piekła może jeść te owoce albo stary Fryc. Niech no tu przyjedzie, a zaraz go stąd wy czadzimy. Chce nas otruć!

Dopiero jesienią pomorską drogą przyjechał do Karlikowa.

— Możesz sam żreć owoce od purtka dane. Nie chcemy w tych stronach znać ciebie — oświadczyli Kaszubi.

Stary Fryc spakował się i odjechał do Berlina. Próba się nie powiodła. Następnej wiosny zjawił się znów. Był uparty i nie chciał tak szybko ustąpić. Postanowił zasadzić kartofle w kilku drobnych gospodarstwach. Dobrze wytłumaczył biednym chłopom, jak mają pielęgnować kartofle. Dał im wszystkie wskazówki. A kiedy jesienią znów się pojawił, gburzy pod jego nadzorem wykopali kartofle. W ślad za starym Frycem przyjechały wozy, którymi wywiózł ziemniaki do Brandenburgii. Toteż gburzy wyprowadzili go z Karlikowa gradem kamieni.

Smok w Bielawskich Błotach

Było to bardzo dawno, mieszkańcy Sławoszyńska zauważyli, że w Bielawie, na brzegu rozlanego bajorka leżał olbrzymi smok i wygrzewał się w porannym słońcu.

— Skąd się mógł wziąć — dziwili się mieszkańcy okolicznych wiosek. — Przecież w naszych stronach nigdy nie było smoka.

Ale mądry sołtys wnet sprawę wyjaśnił:

— Z tego bajorka prowadzi podziemny kanał, pod górami i dolinami, aż za szerokie morze, do wielkiej rzeki, gdzie smok ma swoją ojczyznę. A ponieważ panują tam wielkie upały, zabrakło mu wody, więc przyszedł tutaj, a że u nas jest właśnie gorąco, zdecydował się tu pozostać.

Sołtys bardzo ostrożnie podchodził do sprawy. Najpierw ułożył plan, jak mają przepędzić smoka tam, skąd przyszedł. Potem zwołał wyborowych łuczników, najlepszych z całej gminy. Po chwili strzelcy urządzili gęstą strzelaninę, celując w smoka, groty godziły jego brzuch tak olbrzymi, że zmieściłaby się w nim cała gmina wraz z ludźmi, krowami i baranami, którymi się najchętniej żywił. Po tygodniowej strzelaninie smok w swym cielsku miał tyle grotów, ile jeź kolców. Wówczas mieszkańcy Sławoszyńska, aby za bardzo nie zbliżyć się do smoka, przywiązali dwa barany do długich lin i wciągnęli je do owego bajorka. Smok wprawdzie był już ślepy, bo w każdym oku miał po kilka strzał, ale jednakże od tygodnia nic nie jadł, więc za głosem baranów zaczął pełzać w kierunku bajorka. Skoro tylko wszedł do wody, nie ruszył już baranów, natomiast zanurzał się coraz głębiej, aż w końcu na tafli zostały po nim tylko kręgi, a woda w tym miejscu bulgotała do samej zimy, póki nie zamarzło bajoro.

Komornik wpadł w ręce purtka

Pewnego pochmurnego dnia purtk udał się brzegiem morza, by szukać po wsiach ofiary. Napotkał komornika podatkowego.

— Dokąd idziesz? — zapytał go komornik, jak zawsze ciekawy.

— Idę tam, gdzie mi będą dawać — odpowiedział purtk.

Tak szli od wsi do wsi, aż naraz zauważyli, że pewna kobieta chłoszcze różgą swoją córkę.



— Ja ci pokażę, wybrudzić się w tak krótkim czasie.

Ale dziewczynka wyrwała się matce i zaczęła uciekać. Matka, chyba chora na nogi, nie mogła dogonić córeczki.

— Niech ciebie purtk zabierze — huknęła na cały głos za dziewczynką.

— Bierz, jak ci dają — rzekł komornik.

— Nie dają z całego serca — odpowiedział purtk.

Poszli do następnej wsi, usłyszeli, jak kłóciło się pewne małżeństwo. Kobieta wyzywała na swego męża, który był w podeszłym wieku. Białka, wygrazając chłopu, krzyczała:

— Żeby ciebie już nareszcie purtk zabrał, bo niemożliwe wytrzymać z tobą.

— Bierz, jak ci dają — zauważył komornik.

— Ta kobieta nie mówi tego z całego serca. Ona nie chce purtkowi oddać chłopu, tak tylko gada w podnieceniu.

Dotarli do następnej wsi, już byli przy gospodarstwie, do którego właśnie szedł komornik.

— Idzie poborca podatkowy, jeszcze z jednym łażikiem. Żeby jego purtk zabrał, bo nie mamy pieniędzy, żeby mu zapłacić.

— Słyszysz, co mówią? — rzekł purtk do komornika. — Tym razem mówią to z całego serca.

Komornik cały zdrętwiał, zbladł. Ale purtk już pakował go do swego worka i odleciał z nim po górach, dolinach, do miejsca przeznaczenia.

Jak topielec dał nauczkę rybakowi

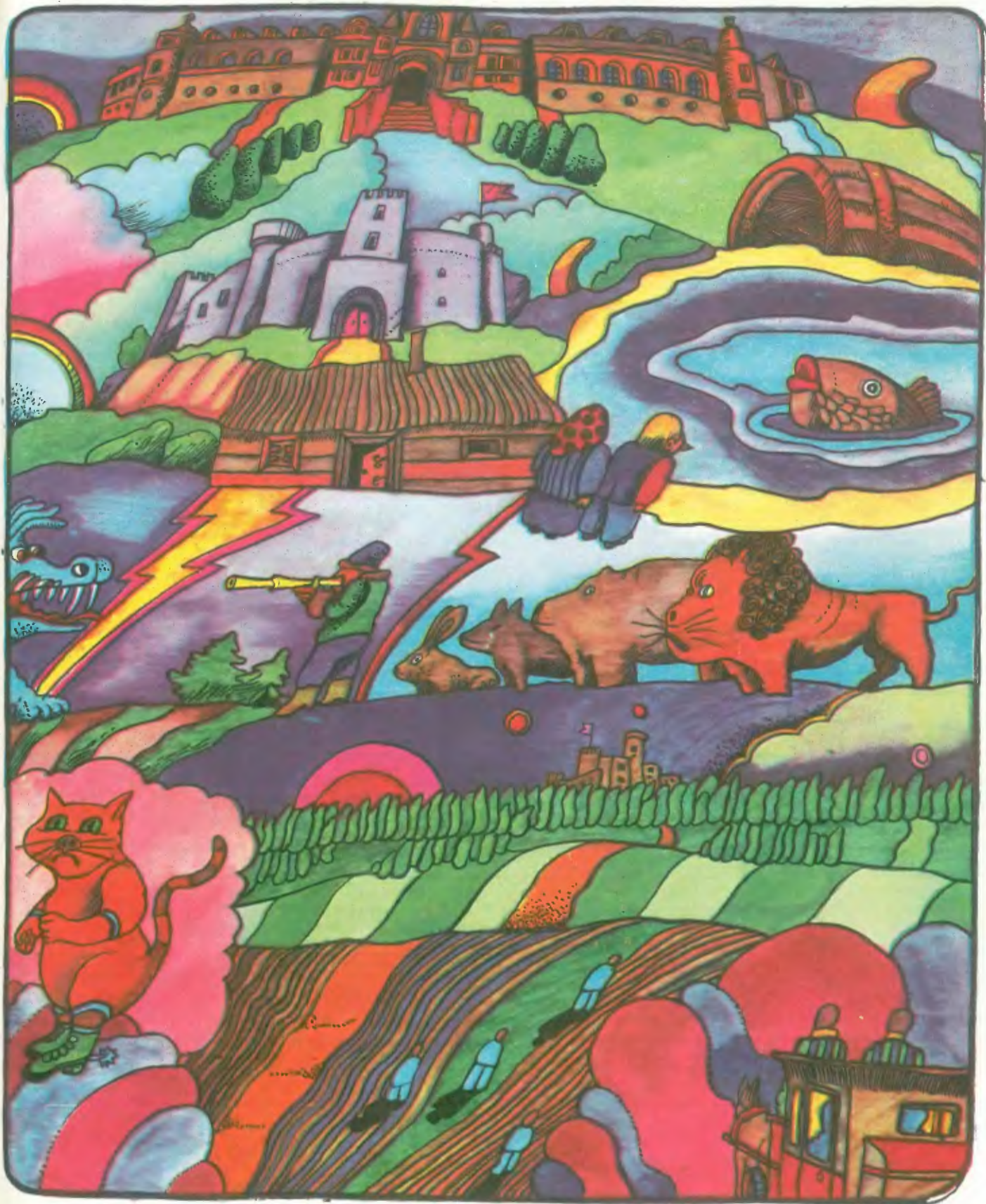
Było to przed wielu laty, gdy jeszcze bieda wciśkała się do każdej checzy na Półwyspie Helskim. Starzy rybacy wczesnym rankiem wychodzili na brzeg morza, wypatrując bitów, raz był to kawałek bursztynu, innym razem drewniany bał, kawałek sieci czy pływak. Zbierali wszystko, co tylko miało jakąkolwiek wartość i można było spieniężyć. Jeżeli biedak nic innego nie znalazł poza morzkulcem, dźwigał go do swej checzy. Taki stary pień, wyrzucony przez morze, rąbał, a gdy szczapy wyschły, służyły na opał. Długi czas miał na czym upitrasić strawę.

Klemens Struk, jak zwykle, rankiem pierwszy był na strądzie. Stary kawaler nie miał obowiązków rodzinnych, a sam z domową pracą szybko się zawsze uporał. Tego poranku wyszedł na strąd i najprzód sprawdził, czy na piaszczystym brzegu koło zolozu nie ma jakichś odcisków stóp. Wilgotny piach, tam gdzie w nocy fale morza wybijały, był gładziusieńki, zatem on przyszedł pierwszy. Toteż ruszył w stronę Władysławowa. Latarnia morska co chwilę rzucała blaski na piasek wyrównany przez nocne fale, które nieraz wyrzucały na brzeg kawałeczki bursztynu, ale zdarzało się, że i coś większego. Nie zdziwiło więc Struka, kiedy raptem zauważył jakiś podłużny ciemny przedmiot.

— Jest coś dobrego — pomyślał.

Podszedł bliżej i stwierdził, że fala przyniosła topielca.

— Morze oddało go ziemi, by tu został pochowa-







ny. Ale jak go zawieźć na jakiś cmentarz — zastanawiał się — w Chałupach nikt nie posiada konia.

Klemens przypuszczał, że w Kuźnicy Bruno Edartów ma keunnico. Nie tylko ma konia, ale jest sołtysiem, i do jego obowiązku należy odwieźć trupa tam, gdzie przykazano. Cóż, kiedy on nie przyjedzie, bo powie, że to nie jego rejon, niech sobie chałupianie sami pochowają topielca, skoro morze wyrzuciło go na ich ziemię.

Klemens miał jednak głowę nie od parady, i to taką głowę, o której sam mówił, że jest bardzo mądra. Toteż wpadł na taki pomysł. Przywiązał sznurek do trupa, i to na sposób rybacki, mógł zatem trałować podczas cichego morza i fala mu w tym wcale nie przeszkadzała. Gdy uwiązał trupa i wsunął go do wody, ruszył w kierunku Kuźnicy. Przy tym przez cały czas odmawiał: „Dobry Jezusku, a nasz Panie, daj mu wieczne spoczywanie”. Beztrosko ciągnął go w stronę Kuźnicy, nie minął jeszcze chałupskiego brzegu, kiedy nagle topielec wszystkimi siłami chwycił go za nogę i ścisnął ją tak, że Klemens upadł i zarył nosem w piach. Jednocześnie tak przeraźliwie ryknął, że wszystkie nocne ptactwo obudził, nie tylko ptactwo, ale i Jana Jekę. Był to rybak rozsądny i mądry, bo ukończył kurs nawigacyjny szkoły morskiej. Ten natychmiast przybył na strąd i znalazł leżącego na piachu Klemensa, który ledwie dyszał.

— Co ci jest? — zapytał się Jan.

— Topielec mnie chwycił za nogę, trzyma i nie chce puścić.

Jeka z miejsca rzecz gruntownie zbadał.

— Zaczepiłeś girą za jakąś łodygę czy korzeń i tak się przestraszyłeś. A topielec beztrosko leży sobie na brzegu.

Klemens wciągnął dwa razy powietrze, poderwał się i siadł, po czym zaczął szczegółowo opowiadać swoje przygody z topielcem.

— To przypadek, że tak się stało — odrzekł Jeka. — Ale dla ciebie jest to wyraźnie nauczka, znak, że nie należy drwić z zaginionych w morzu. Trzeba było topielca nieco odciągnąć od brzegu, wezwać rybaków i pochowalibyśmy go, jak Pan Bóg przykazał, a ty nie najadłbyś się tyle strachu — rzekł mądry Jeka i poszedł do sołtysa.

Ten zwołał wszystkich mieszkańców Chałup, którzy zabrali na wózek topielca i pochowali go w Zielonej Depce. Wzniesli mu krzyż i zaśpiewali „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj mu wieczne spoczywanie”.

— Od tego czasu, ile razy morze oddało na chałupskim brzegu jakiegoś utopionego człowieka, zawsze został on uczciwie pochowany.

Klemens jednak długi czas omijał to miejsce, gdzie spotkała go przygoda z trupem. Po bity chodził w innym kierunku.

Maszoperia Dahla

Było to już bardzo dawno, gdy jeszcze nie pływały parowe statki, a wody Morza Bałtyckiego przemierzały piękne, trzy i czteromasztowe fregaty o białych żaglach, oceaniczne barki o wysokich masztach, brygi i niezliczone bretany.

Na Półwyspie Helskim rybacy w owych czasach biedowali, bo łososie jakoś dziwnie nie podchodziły pod brzeg, a połowy węgorza też zmalały. Helanie nie mieli z czego żyć. Wtedy to szyper Dahl z Jastarni założył szyperską maszoperię. Wiadomo, że na samym cyplu półwyspu stała wysoka wieża, na której paliło się łuczywo ze smołą, a światło płomienia wskazywało żaglowcom drogę do gdańskiego portu. Dahl, niewiele myśląc, zapalił kupę chrustu na wydmach tuż koło Jastarni. Podczas ciemnej nocy płomień, który strzelał wysoko, wskazywał błędne światło okrętom płynącym w stronę Helu. Kapitan płynącego do Gdańska statku, widząc światło, zmienił kurs, kiedy już się skończył Półwyssep Helski.

Szyper Dahl tymczasem obserwował manewr olbrzymiego żaglowca, który wszedł w strąd i stanął na mieliźnie. Kapitan zaczął wzywać pomocy. Dahl natychmiast na łódce podpłynął do statku, który nazywał się „Prince Peter”, i spytał kapitana:

— Potrzeba pomocy?

Wy tłumaczył kapitanowi, że światło, które zauważył, nie jest latarnią morską, to rybacy palili

na wydmach ognisko, oświetlając sobie żaki, bo, jak zauważyli, nadchodzi wiatr.

— Na razie jest jeszcze cicho — tłumaczył Dahl. — Ale w każdej chwili wiatr może się wzmoc.

Po krótkiej rozmowie kapitan holenderskiego statku zgodził się, aby Dahl wraz z maszopami pomogli mu zejść z mielizny za cenę trzystu talarów. Toteż szyper natychmiast podpłynął do wsi, zaalarmował w Jastarni swoich maszopów, aby przystąpili do akcji ratowania zagrożonego statku „Prince Peter”.

Od razu stanęło dwudziestu maszopów, którzy ściągnęli swoje łodzie laskorniowe, zwykle służące do zastawiania sieci na łososie, i pod dowództwem Dahla podpłynęli do statku stojącego na mieliznie.

— Jestem szyperem tego ratownictwa — oświadczył — kapitan musi nam wpięć zapłacić, a dopiero potem przystąpimy do akcji. Każdemu z nas należy się jeden part, a mnie jako przywódcy, dwa party, z tym, że maszopi dostaną po 15 talarów, a ja trzydzieści — rozumiesz, kapitanie?

Kapitan zdumiał się, nie myślał o tak wysokiej zapłacie, ale się zgodził. Trzysta trzydzieści talarów zapłacił Dahlowi, który schował je, a po skończonej pracy sprawiedliwie miał rozdać pieniądze między maszopów.

Tymczasem maszopi podpłynęli do żaglowca i zaczęli szybko wyladowywać do szalup bele sukna i płótna i odwozić je na brzeg. Jeszcze nie świtało, gdy ładownie opróżnili do tego stopnia, że „Prince Peter” zszedł z mielizny. Kiedy żaglowiec rzucił kotwicę na głębszej wodzie, maszopi zaczęli z powrotem załadowywać statek. Do południa przerzucili już cały towar, wówczas kapitan kazał rozwinąć wszystkie żagle i z pięknym przechyłem statek popłynął do Helu. Gdy minął latarnię helską, nadszedł północny sztorm. Kapitan cieszył się, że w czas przeładował towar i zszedł z mielizny, w przeciwnym bądź razie straciłby statek wraz z bardzo cennym ładunkiem holenderskiego sukna i płótna. Zaś załoga Dahla rada była, że nieźle zarobiła, a szyper podwójnie.

Minął prawie rok, kiedy Dahl, idąc brzegiem aż pod Kuźnicę, zauważył, że znów płynie jakiś obładowany statek. Tym razem był to bryg. Oka-

zało się, że kapitan, który kiedyś płynął na żaglowcu „Prince Peter”, musiał zmustrować z niego, bowiem armator uważał, że pod Jastarnią kapitan dał się wprowadzić w błąd. Teraz zaciągnął się on na holenderski bryg „Maria” i też płynął z cennym towarem. Miał w ładowni bele bawełny, skrzynki pomarańczy i wina, które wioził do Gdańska.

Dahl, który dobrze pilnował swego interesu, od razu zauważył bryg o wysokich masztach i dobrym ożaglowaniu, płynący kursem w kierunku Helu. Tym razem wiało trochę z zachodu. Zatem Dahl z wielkim pośpiechem zdążył rozpaść ogień tuż koło Jastarni, a że ściemniło się już całkiem, kapitan „Marii” nie dostrzegł brzegu, natomiast widoczny z dala płomień wziął za helską latarnię. Zmienił więc kurs, by ominąć cypel helski i dostać się do Gdańska. Po chwili ugrzązł na przybrzeżnej mieliznie. Widząc to Dahl szybko ruszył na swej łódce do żaglowca. Kapitan z miejsca poznał, że ten sam człowiek pomógł mu zejść z mielizny przed rokiem, gdy pływał na angielskim statku „Prince Peter”. Od razu wywęszył w tym jakiś podstęp i domyślił się, że ogień, który zobaczył, był błędnym światłem. Dahl, który już stał przy burcie, zapytał:

— Kapitanie, chce pan od maszoperii pomocy?

Kapitan jednak zgodził się, ale zapowiedział, że zapłaci mu dopiero w Gdańsku, u przedstawiciela swego armatora.

Po chwili podpłynęli maszopi Dahla, szybko wyladowali bele bawełny i skrzynki z pomarańczami, które zwieźli na brzeg. Bryg nieco odpłynął na głębsze wody, wtedy kapitan kazał rzucić kotwicę. Teraz maszopi Dahla zaczęli z powrotem zwozić towar ze strądu na żaglowiec, a gdy ładownie były już pełne, kapitan kazał podnieść kotwicę, całą załogę piracką poprosił na pokład, a szalupę wzięto na hol. Popłynęli do Gdańska. Dahl dla pewności przypomniał, że jemu jako komendantowi maszoperii należą się dwa party. Kapitan przyrzekł, że je na pewno otrzyma.

Za cypłem helskim zerwał się huragan, po kilku dniach wiatr ucichł i bryg ruszył w dalszą drogę. Dahl jeszcze raz przypomniał o dwóch partach dla niego. Kapitan mu zaręczył, że te dwa party otrzyma.

Jak przycumowali w Nowym Porcie, kapitan zażądał przez pilota, aby przybyła portowa policja. Dahlowi raptem otworzyły się oczy, poznał, że to ten sam kapitan, którego przed rokiem błędnym ogniem wprowadził w strąd. Z miejsca dał znak swoim chłopakom, aby byli gotowi do ucieczki. Ale portowa policja już wtargnęła na pokład. Kapitan jednak zapewnił maszopów, że idą nie gdzie indziej, lecz tylko do maklera po pieniądze. Dahl jeszcze raz zażądał wypłacenia mu dwóch partów. Wraz ze swoją maszoperią zszedł ze statku i w towarzystwie kapitana oraz policji udali się niby do przedstawiciela armatora. Tak piraci zostali wprowadzeni do gmachu policji. Już było za późno na ucieczkę. Prokurator zaraz przesłuchał Dahla i jego maszopów. Ponieważ nie stwierdził, żeby szajka miała jakiś mord na sumieniu, każdy z nich został skazany tylko na dwadzieścia pięć biczów pejcem. Dahl, który wciąż się dopominał dwóch partów, dostał pięćdziesiąt batów. Wyrok został sprawiedliwie wykonany.

Anegdota ta długo żyła wśród jastarnickich rybaków i jeżeli się trafił jakiś zachłanny i skąpy maszop, wówczas stosowało się do niego takie powiedzonko:

„Ty jak Dahl z dwoma partami” lub „tobie się należą, jak Dahlowi, dwa party”.

Statek w strądzie

Było to przeszło sto lat temu, gdy pewnego poranku listopadowego całą okolicę cetniewską obudziły strzały armatnie od strony morza. Rybacy zerwali się ze snu i pobiegli na cetniewski hak, gdzie zobaczyli statek stojący na mieliźnie. Maszoperia zaraz ściągnęła laskorniovą łódź do brzegu i dziesięciu rybaków usiadło do wiosel. Podpłynęli do barku, wzięli do szalupy rybackiej dwudziestu trzech marynarzy, tylko kapitan odmówił opuszczenia statku. Pozostał z nim jego wierny pies. Maszoperia szczęśliwie dobiła z wyratowanymi do brzegu. Ka-

pitan nadal tkwił na pokładzie, dzieląc niepewny los statku, któremu groziło rozbicie, bowiem wznagał się silny wiatr północny. Ogromna rzesza ludzi zebrała się na cetniewskim haku, czekając, aż fale roztrzaskają statek, a oni będą mogli zdobyć łupy ze sporego wraku.

Na karym koniu przyjechał sztrandvogt, jemu to podlegali wszyscy rozbitkowie morscy. Postanowił zaczekać, aż statek się rozbije. W południowych godzinach wiatr się wzmógł do huraganu. Ogromne fale piętrzyły się coraz bardziej, tocząc się do brzegu. Bark stał w rozrywających się bałwanach jak w wulkanie. Fale niemiłosiernie waliły we wrak i przybijały go coraz bliżej brzegu. W popołudniowych godzinach roztrzaskał się na dwie części. W tej właśnie chwili kapitan z psem znajdował się na dziobie statku i patrzył, jak się zbliża jego koniec. Wyciągnął z kieszeni worek z pieniędzmi, podniósł go w górę, po czym wyjął z niego złote monety, które błyszczały w ostatnich promieniach dnia. Krzyczał przez tubę, że złoto odda temu, kto go wyratuje. Istniała taka możliwość, bo dziób olbrzymiego statku zarył się w mieliznę na sto metrów od brzegu. Toteż rybacy skoczyli do łodzi, aby ściągnąć ją do wody, gdy wtem przygalopował sztrandvogt i zakazał im ratowania kapitana, bowiem grozi im śmierć.

Szyper ratowników, Martink Bolda, zauważył, że Klotzowi o co innego chodzi. Widział woreczek złota, który kapitan statku obiecywał śmiałkom. A że wielkie było niebezpieczeństwo, nikt początkowo nie przeczył Klotzowi. Kapitan schował więc z powrotem pieniądze do wewnętrznej kieszeni munduru. Klotz stanowczo sprzeciwiał się niesieniu pomocy zagrożonemu kapitanowi. Tymczasem fale doszczętnie rozbiły rufę i statek się rozleciał, z wody sterczał jedynie dziób, na którym stał kapitan ze swym wiernym psem. Towary morze wyrzucało na brzeg. Klotz jak upiór latał po wydmach i pilnował, aby najmniejszego przedmiotu ktoś nie zabrał. Wtem przewrócił się fokmaszt i roztrzaskane burty zaczęły odlatywać od wraku. Kapitan widząc, że nadchodzą ostatnie chwile statku, na próbę wyrzucił psa za burtę. Jeżeli wyjdzie on na brzeg, to i jemu jako dobremu pływakowi uda się uratować. Ale pies w rwącym żochu natychmiast zginął mu z oczu.

Jeszcze dwa olbrzymie bałwany uderzyły z całą siłą i dziób rozsypał się w drzazgi. Klotz, który się przyglądał temu, natychmiast strzałami z pistoletu odpędził wszystkich rybaków od miejsca katastrofy. Ściągnął konia, który niespokojnie przebiegał nogami, depcząc w miejscu. Klotz patrzył na morską pianę, czy aby nie ukaże się topielec. Bacznie obserwował go sprytny, młody rybak, Bemka. Sztrandvogtowi zdawało się, że bardzo silny żoch uniósł zwłoki kapitana na wschód, toteż zaciął konia i ruszył w tym kierunku. Robiło się już mroczno. Bemka w tym czasie chyłkiem pod wydrami wyszedł na brzeg morza, nasypał sobie do mieszka płaskich morskich kamyczków i położył się na mokrym piachu, tam, gdzie sięgały wylewy fal. Po chwili przygalopował Klotz.

— *Got sei danke.* Niech Bogu będą dzięki, fale go wyrzuciły.

Prusak zeskoczył z konia, zarzucił sobie uzdę na ramię, nachylił się do wyrzuconego „topielca”, wsunął rękę do jego kieszeni na piersiach i wyciągnął worek z kamyczkami, pewien, że są to złote monety. Zaraz wstawił swój błyszczący but do strzemięcia, a Bemka z małpią zwinnością skoczył na zad konia. Klotz ryknął śmiertelnym głosem, ale koń jego pędził już na poczernickie pola, niosąc na swoim grzbiecie dwóch jeźdźców. Bemka milczał jak zaklęty, skulony siedział na zadzie konia, który wyrwał w kierunku Pucka. Największą troską Klotza było wyzwolić się od ducha. Rozejrzał się dokoła i zauważył, że poczernickie harty goniły zające po polu.

— Tutaj ten mały duch nie zejdzie z konia, boi się, że go harty pożrą — pomyślał i skręcił w stronę lasu.

Gdy wjechał w wysokie krzaki żarnowca, Bemka zeskoczył z konia, ukrył się w zaroślach i krzyknął:

— Stój!

Klotz zauważył, że duch zniknął, i w pierwszej chwili się ucieszył, ale raptem z gęstych krzewów doszedł go głos:

— Złoto, które w tej chwili wyrzuciłeś, zamieni się w kamyczki. Musisz je odnaleźć i wszystkie po kolei połknąć, i to w ciągu trzech dni. Dopiero potem będziesz mógł pójść na brzeg morza, do miejsca, gdzie znajduje się rozbity statek.

Klotz zaraz zawrócił i zaczął szukać worka ze złotem. Bemka tymczasem zaszył się głęboko w lesie. Po chwili Klotz odnalazł woreczek, gdy go rozwiązał, zauważył, że złote monety zamieniły się w kamyczki.

— To już prawdziwy cud — stwierdził — pieniądze przecież wyciągnąłem topielcowi z kieszeni. Kilka sekund temu wyrzuciłem je, aby duch dał mi spokój. A teraz złoto przemieniło się w kamienie. Duch kazał mi je wszystkie połknąć, i to w przeciągu trzech dni. Dobrze, że zapowiedział, iż będę mógł pójść nad morze. Jakbym żył, gdybym nie pilnował rozbitków, a Kaszubi dopiero mieliby żer.

Klotz jeszcze raz obejrzał woreczek, wyjął z niego kilka kamieni, a resztę schował z powrotem do kieszeni. Bemka z bliska go obserwował w krzakach. Po kilku dniach, gdy chłopowanie, wielżanie i mieszkańcy innych okolicznych wsi drzewo i wszystkie towary z rozbitego statku pozносили do swych domów, rozeszła się wieść, że sztrandvogt nie żyje. Lekarz pucki stwierdził, że zmarł na ciężką chorobę żołądka, lecz jaka była tego przyczyna, pozostało tajemnicą. Nie dowiedział się o tym nawet pucki landrat. Woreczek ze złotem znalazł Juliusz Białk z Wielkiej Wsi. W kilka dni później pojechał on do Berlina, do Bismarcka, po dotację pieniężną na budowę nowego kościoła w Swarzewie. Białk, jak wiadomo, musiał wrócić z pustą kieszenią, ale puścił pogłoskę, że otrzymał pełny trzos złota. Z rybaków nawet sam Cejnowa, z przydomkiem Synk, nie wierzył w to. Landrat się uspokoił i nie dociekał, skąd Kaszubi wzięli pieniądze na budowę tak wspaniałego kościoła.

Bemka jednak ulotnił się do Stanów Zjednoczonych i ukrył się nad jeziorem Superior, gdzie był latarnikiem. Miał wiele pracy, ale znalazł czas, żeby tę anegdotkę ułożyć i przekazać ją piszącemu tę książkę.

Księżyc i Słonecznica

Barnow prawie przez całe swoje życie pływał na brygach i wielkich czteromasztowych barkach. Pewnego razu wypłynął z portu Serajapa i zawinął

na jedną z Wysp Kokosowych, gdzie zastał tylko jednego mieszkańca. Obszar tej wyspy miał zaledwie kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych, ale na tym niewielkim obszarze pasły się ogromne stada bydła i baranów. Mieszkaniec miał ponadto konia. Na prośbę kapitana mieszkaniec zezwolił przybyłym zabrać tyle mięsa wołowego i baraniny, ile tylko chcą, i to bez zapłaty. Zamierzali oni zabrać na statek owego człowieka, ale ten twierdził, że jemu tu na osobności żyje się dobrze. Żywności ma pod dostatkiem, a nic więcej mu nie potrzeba.

Statek wypłynął spośród atoli i wziął kurs na zachód, na Wyspy Maskareny. Dobił do jednej z wysp tego archipelagu. I tu przybysze znaleźli wielkie stada bydła. Zamieszkiwała wyspę tylko jedna kobieta, młoda, mająca około osiemnastu lat, bardzo piękna. Mężczyzn zobaczyła po raz pierwszy w swym życiu. Od razu poprosiła kapitana, żeby wraz z załogą zajął tę wyspę, dokuczyła jej bowiem samotność, życie z dala od ludzi. Kapitan z politowaniem patrzył na zgrabną i nagą kobietę, o oliwkowej cerze, w końcu rzekł:

— Zawiozę cię na inną urodzajną wyspę, też bogatą w trzodę, tam mieszka w samotności silny i zdrowy mężczyzna.

Kobieta zauważyła szczerłość kapitana i zgodziła się, by ją odwiózł na bezludną wyspę, gdzie żył tylko jeden człowiek.

— Wystarczy mi jeden mężczyzna, ptaszki też parkami żyją.

Kapitan uzupełnił zapasy żywności i wody i kursem wschodnim popłynął w kierunku Wysp Kokosowych. Gdy przybył, nie znalazł tam ani owego samotnego tubylcy, ani żadnego zwierzęcia. Dziewczyna była bardzo rozczarowana tym zajściem. Znaleźli chatę po owym mieszkańcu i trochę drobnych rzeczy, jak kawę, torebkę z cukrem i wołowinę w garnku. Kapitan z całą załogą głowili się, skąd by ta żywność mogła się tu wziąć. Wszyscy byli zgodni, że pochodzi z Brazylii, przypuszczano też, że znad ujścia rzeki Parany, a może z jakiejś kolonii holenderskiej. W końcu wzięli kurs na południowy przylądek Afryki, a stamtąd na północny-zachód. Po kilku dniach zauważyli samotną łódź, która wiosłowała w przeciwnym kierunku. Kapitan rozkazał

podpłynąć. Nawiązał rozmowę z samotnikiem i wytłumaczył mu, że lepiej będzie, gdy zbierze go na pokład i zawiezie, dokąd zechce, bo tu, na środku oceanu, gdzie rzadko statki się trafiają, może zginąć z głodu. Samotnik chętnie się zgodził. Gdy wszedł na pokład, kapitan statku od razu rozpoznał w nim owego mieszkańca z Wysp Kokosowych, który tak hojnie obdarzył ich w żywność. Wyspiarz przystał na wniosek kapitana, że go zawiezie z powrotem na jego macierzystą wyspę.

Po dwóch tygodniach załoga statku o wschodzie słońca zauważyła w dali kilka wysepek. Samotnik skakał ze wzruszenia, że płynie do swojej ojczyzny. Dwa dni minęły od jego powrotu na wyspę, kiedy spotkał samotną kobietę, którą statek nie tak dawno tu przywiózł. Człowiek z Wysp Kokosowych patrzył na kobietę z Wysp Maskareny. Podziwiał oliwkową barwę jej smukłej postaci, piękną twarz i śliczne kształty. Kapitan zauważył, jak wielką radością płonęły jego oczy, i widział, że ci dwoje już się nie rozstaną. Toteż przekreślił ster, wziął tych dwoje i ruszył do Kapsztadu. W mieście tym udał się do świątyni, gdzie ksiądz przez kilka dni pouczał młodą parę, a potem dał im ślub. Wesele odbyło się na statku. Niebawem wypłynął z Kapsztadu w kierunku wschodnim. Bark posuwał się szybko, toteż po dwóch tygodniach z gniazda bocianiego zameldowano kapitanowi, że z daleka widać jakieś wyspy. Kapitan zaraz zrobił ściśle namiary i stwierdził, że są to Wyspy Kokosowe. Toteż od strony północnej podpłynął do atoli i tu wysadził młodą parę. Mężczyźnie dał na imię Księżyc, a kobiecie Słonecznica.

Kapitan podjął zamiar, aby zamieszkać na tej wyspie jakiś czas. Ponieważ młoda para cierpiała okropną biedę, postanowił podpłynąć do wyspy Sumatry i tam zdobyć dla tego kochającego się małżeństwa kilka kur i gęsi, jak również dwa prosiaki, wieprzka i świnkę. Kiedy kapitan, człowiek o gołęmb sercu, przywiózł to wszystko, młoda małżonka bardzo się ucieszyła, że będą teraz mogli założyć jakąś gospodarkę. Dowódca statku dobrze się rozejrzał i jeszcze raz popłynął na Sumatrę. Tym razem przywiózł zboże i kazał młodemu małżeństwu je zasiać, potem zżąć i wymłócić. Wyszukał odpowiednio płaskie kamienie, z których zrobił



żarna do zmielenia zboża. Dziwnym trafem znaleźli jeszcze dwie zabłąkane krowy, których nie zabrał najeźdźca. Samotnik znał język angielski i mógł wyjaśnić kapitanowi, że z Wysp Kokosowych został wywieziony przez Anglików i to oni zniszczyli cały jego dobytek.

Kapitan stwierdził, że młode małżeństwo ma już załazek gospodarstwa i będzie mogło żyć pod Krzyżem Południa. Postanowił zatem popłynąć na Bałtyk. Pożegnał Księżycę i jego białkę Słonecznicę, która bardzo się zawstydzila, gdyż była ledwie przyodziana. Toń morską pokryła głada, ruszył więc w kierunku swych ojczystych brzegów.

Nowy sztrandvogt

Było to pewnego roku, gdy wiał wiatr z północy i wysokie fale toczyły się po morzu w kierunku brzegu. We Władysławowie pojawił się sztrandvogt,

który ze zbytnej gorliwości nie pozwalał rybakom zabrać z brzegu morza nawet morzkulca. Była już wiosna, słońce przygrzewało, wyjechał więc na koniu i przemierzał brzeg od Chałup do Rozewia. W przezroczystej pogodzie zauważył jasne bale świeżego drzewa.

— Pewnie jakiś statek stracił ładunek pokładowy — pomyślał.

Drzewo powoli zaczynało się zbliżać do brzegu. Toteż najął sobie robotników, którzy to drzewo znosili na kupę i ułożyli je w piękny sztapel.

— Kilka domów by z tego pobudował — powiedział.

Dozorca strądu wysłał swego pomocnika pod Chałupy, miał on przypilnować, aby tam zniesiono drzewo i ustawiono je w sztaple. Po czym sztrandvogt usiadł sobie przy tej olbrzymiej stercie drzewa, naprzeciwko Wielkiej Wsi, i czekał na furmanki. Miały przyjechać i złożyć drzewo w magazynie, który on zamknąłby na klucz.

Wyszło sobie wtenczas nad morze trzech młodych rybaków, rodzonych braci, z których jeden miał na imię Augustyn, drugi Jan, a trzeci Jakub. Postanowili wykraść to drzewo pruskiemu dozorczy.

— Przecież to drzewo nie jest tego Prusaka, ono pochodzi z rozbitego statku, więc stało się darem bożym, a my, jako mieszkańcy wybrzeża, mamy do niego prawo — wyjaśnił Jan Skoczek swoim braciom.

— Ale jak to drzewo mu wykraść? Przecież ten Prusak na nim siedzi.

— Siedzi i drzemie — dodał Jakub. — Fale ukołysały go do snu. Przyniosę sznur na dwieście metrów długi, chociaż nie gruby, ale bardzo mocny, i tak z odległości wyciągniemy te bale.

— Czy to się uda? — powątpiewał Augustyn Skoczek.

— Dlaczego by się nie miało udać? Jeszcze jego wciągniemy do morza i do kołka uwiążemy.

Trzej Kaszubi rozstawili się wzdłuż strądu, Jan Skoczek położył się przy samej kupie drzewa, gdy uwiązał jeden dobry bał, wówczas liną dawał znak dwom braciom, którzy stali przy drugim jej końcu, ci przyciągali bał do siebie. Gdy już przysunęli kawał drzewa i odwiązali, dawali znak

Janowi, że są gotowi, wtedy ten z powrotem podciągał linę, a drugi jej koniec szedł w stronę brata. Aby sprawa poszła szybciej, Jan co kilka metrów przywiązywał bal do liny. Sztrandvogt tymczasem drzemał na drzewie i co chwilę upadał coraz to niżej. Niebawem do braci Skoczaków dołączyli się jeszcze inni rybacy, tak że w krótkim czasie całe drzewo przyciągnięto bliżej cetniewskiego haku. Kilkunastu rybaków wyniosło ten łup w wysokie krzaki żarnowca, pod poczernickie pole. Tam pruski dozorca nie mógł znaleźć. Teraz Jan Skoczek podszedł do śpiącego, solidnie przywiązał go do liny, a bracia na dany znak z taką siłą pociągnęli Prusaka, że ten nie zdążył się ocknąć, kiedy znalazł się w wodzie, a raczej w zatoczce, która się wrzynała głęboko w cetniewski hak. Wszystko było przemyślane. Na obu brzegach zatoki wbili rybacy kołki, uwiązali inspektora tak, żeby nie mógł wyjść z wody. Dopiero rannikiem przyszedł nad morze stary Martink z Wielkiej Wsi i zobaczył, co się stało. Odwiązał zmarzniętego na kość Prusaka, który otrząsnął się kilka razy i poszedł do Pucka na pociąg. W Gdańsku ubłagał swoje władze, by go zwolniły ze służby. Jego miejsce zajął Józef Biały, bo pruska władza doszła do wniosku, że jej ludzie nie dadzą rady z Kaszubami, a Józef Biały jakoś sobie poradzi ze swoimi drechami.

Następnego roku całe Chłapowo postawiła na nogi wiadomość, że pod Rozewiem dwa statki parowe stoją na mieliźnie. Kto żyw, tam leciał, nie zabrakło i mnie. Miałem wtedy dziesięć lat, rzuciłem w kącie książki i pobiegłem nad morze. Skoro znalazłem się na skarpie, zauważyłem na przybrzeżnej mieliźnie stojącą piękną białą jednostkę, wspinałe nadbudówki, białe łodzie ratunkowe. Był to statek pasażerski „Prinz Heinrich”, ale całkiem pusty, bez ładunku. Jak się okazało, utrzymywał on linię pasażerską między Helgolandem i Wyspami Fryzyjskimi, a teraz płynął do stoczni gdańskiej. Zaś drugi statek, czarny, towarowy, służył do przewożenia bydła Renem, a następnie przez kanał La Manche do Anglii, nazywał się „Adler”. Gdy statki podpłynęły pod Bornholm, wybuchł huraganowy wiatr, było to w Wielkim Tygodniu, rybacy na taki sztorm mówili „postny sztorm”. Huragan

trwał prawie cały tydzień i do ładowni zaczęła przeciekać woda. Kapitanowie obu statków postanowili wejść w brzeg. Chłapowscy rybacy, którzy pierwsi przybyli na miejsce katastrofy, pod dowództwem starego Franciszka Gojki ściągnęli łódź do morza i wypłynęli do stojącego na mieliźnie statku „Prinz Heinrich”. Kiedy zdjęli jego załogę, podpłynął kupiecki statek „Adler”.

Stary Gojka wysłał młodych rybaków do Rozewia, by stamtąd dali znać stacji ratunkowej w Wielkiej Wsi, aby przybyła ze sprzętem ratowniczym. Ale ich wysiłki okazały się daremne.

Więc Michali, taki przydomek miał rybak Detlafl z Rozewia, siadł na konia i popędził w stronę Władysławowa. Choć wiatr gwizdał rozmaite melodie, rybak pomknął jak strzała, bo przecież chodziło o życie ludzkie. Wkrótce sześć koni przywiozło łódź ratunkową brzegiem morza. Tymczasem ludzie na „Adlerze”, stojącym na mieliźnie, walczyli z morskim żywiołem ostatnim wysiłkiem. Przeraził ich krzyki i wrzaski rozdzierały powietrze, a tu nagle Józef Biały, który był zarazem sztrandvogtem i ratownikiem, wystrzelił z armatki rakietę, lina przecięła przez pokład „Adlera” i za chwilę pojedynczo, ubrani w kamizelki ratunkowe, rozbitkowie zaczęli opuszczać statek. Była godzina dwunasta, gdy straż ratownicza po ogromnym wysiłku wracała do Wielkiej Wsi. Wieść o katastrofie rozeszła się po całym Wybrzeżu. Z Gdańska przyjechał samochód, który wtenczas rybacy kaszubscy zobaczyli po raz pierwszy, był to rok 1912. Przywiózł on jakiegos inspektora, bo morze ucichło i trzeba było zabezpieczyć statki. Choć „Prinz Heinrich” nie był statkiem oceanicznym, przedstawiał wielką wartość. Natomiast „Adler” miał ładunek żywego bydła oraz pełno innego towaru. W kabinie siedział inspektor ze swoimi pomocnikami i przypatrywał się okazałym krowom holenderskim.

Rybak Jan Mroch, któremu nie brakło konceptu, zbił skrzynię z pięknych desek, nasypał do niej wilgotnego piachu i wypisał na jej wieku dużymi literami: „Achtung, Gold”. — „Uwaga, złoto”. W chwilę potem podniósł się wielki hałas. Oszałeli z żądy krzyczeli, popychali się, jakby skakali sobie do gardła, co rusz wylaływały w powietrze wołania:

— To moje złoto!

Niemcy usłyszeli jakiś zażarty spór, więc odbili szalupą od wraku i wyleźli na brzeg. Inspektor z Gdańska zaczął strzelać do chłopów, ale ci jakby się w ziemię zapadli i już ich nie było, za to znalazł skrzynię złotą. Dał znać do Władysławowa, żeby sztrandvogt Białk Józef przybył w dwa konie i zabrał skrzynkę ze złotem, którą ma dostarczyć do Gdańska.

Furmanka wnet stanęła na brzegu morza. Białk znał dobrze możliwości chłopów i wiedział, że cała ta sprawa to był ich sposób na przepędzenie inspektora i jego pomocników ze statku „Adler”. Mieli oni paść ofiarą chłopowskich rybaków, chociaż bowiem o nich po całej okolicy gadka, że gdy statek wejdzie na mieliznę przy chłopowskim brzegu, sztrandvogt nie znajdzie rano miejsca, gdzie by mógł stanąć.

Białk w rzeczywistości cieszył się, że jego braciom udało się wystawić do wiatru i tego Prusaka.

Inspektor zabezpieczył złoto i skrzynkę wysłał pociągiem z Pucka do Gdańska. Jak wielkie było zdziwienie, jak wielkie zrobił oczy, kiedy po przyjeździe, zamiast złota, znalazł w skrzyni zwyczajny piach.

Wpadł w jeszcze większą wściekłość, gdy po powrocie do Rozewia stwierdził, że w ładowniach „Adlera” nie ma ani jednej krowy, ani jednego byka. Zresztą wskutek uszkodzenia dna statku połowa bydła znalazła swój grób w morzu. A obłupienie drugiego statku na długi czas zapewniło chłopów wygodny wypoczynek w łózkach i pościeli z kabin pierwszej klasy „Prinz Heinricha”.

Katastrofa pomaranki

Nadszedł silny sztorm z północy, morze gwałtownie się wzburzyło. Tego dnia z rana pomaranki wypłynęły na połów i miały wrócić w południe. Tylko jedna, z Ostrowa, dotarła do swych zastawionych sieci, inne z miejsca zawróciły do brzegu, a nim morze się wzburzyło, były już w bezpiecznym zaci-

szu. Pomaranka ostrowian, zaskoczona gwałtownym sztormem, szybko zdjęła sieci pełne ryb, podniosła żagiel i z wiatrem oraz falą gnała co tchu ku brzegowi. Rybaczyło na pomarance dziewięciu maszopów wraz z szyprem, których rodziny, skupione na brzegu morza, z niepokojem oczekiwały ich powrotu.

Fale tymczasem robiły się coraz to większe, a z minuty na minutę wzrastał szum morza. Wszyscy wypatrywali, czy aby nie ukaże się pomaranka. Naraz córka jednego z rybaków oczekiwanych na brzegu zauważyła, że het, daleko na widnokręgu pokazała się łódź z białymi żaglami. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w tę stronę. Łódź co chwilę ginęła w przepaści wysokich fal, ale wyraźnie zbliżała się do brzegu. W takim miocie fal niemożliwością było zjechać na brzeg, toteż rybakom dawano znaki z Rozewia i z wysokich wydmy, by kierowali się na Hel, bowiem za cyplem wylądowaliby bezpiecznie. Miotani wzburzonymi falami, rybacy nie spostrzegli tych ostrzeżeń, toteż na lądzie postanowiono trzymać w pogotowiu inną pomarankę, która w razie czego pośpieszyłaby ginącym na pomoc. Wezwano ze Strzelna księdza Długosza, który żegnał krzyżem świętym wzburzone morze, by choć na chwilę się uspokoiło i pozwoliło tamtym wrócić na brzeg. Żony, dzieci, starzy rodzice, pełni oczekiwania, płakali, wrzeszczeli, na ratunek wzywali Boga. Dzwon we wsi bił nieustannie, z rozewskiej latarni strzelano rakiety ostrzegawcze.

Łódź z wydętym białym żaglem pruća do brzegu. Już zbliżała się ku groźnym rewom, ławice piasku, niesione przez fale, nieustannie rozbijające się na mieliznach, przeraźliwie kotłowały się. Naraz stanęli, zwinęli szybko żagle i położyli maszt. Tak doświadczeni rybacy obeznani byli z żywiołem morskim i wiedzieli, co w takich wypadkach należy robić. Rozłożyli wiosła, a w tym czasie na czekającej w pogotowiu pomarance rybacy poprawiali kamizelki ratownicze, zaś szyper przekazywał każdemu jego zadania. Naraz za łodzią pojawiła się ogromna grzywa, fala, wysoka jak checza, otworzyła gardziel i z rozwartą paszczą czaiła się, aby połknąć znikających w pomarance rybaków. Nagle jeszcze wyżej podniosła paszczę i z wielkim hukiem przewaliła

się na pomarankę. Wiejski dzwon coraz głośniej bił na trwogę, przejmujący płacz, lament i wołanie niosły się coraz to szerzej, a ksiądz wszedł do wody i świętym krzyżem żegnał kipieli morską.

Stojąca w pogotowiu pomaranica odbiła od brzegu. Ośmiu tęgich rybaków ugięło się przy wiosłach. Łódź spieszyła z pomocą, była jedyną nadzieją dla tonących, jak i dla bliskich, czekających na brzegu. Fale, wysokie i groźne, były o dziób, sternik nadawał łodzi kierunek wskazywany mu przez szypa, który stał na rufie i wypatrywał przejścia między falami. Drugi sternik siedział przy sterze na rufie. Sytuacja była bardzo poważna. Naraz dwóch rybaków złożyło wiosła, mieli tyle wody w pomarance, że natychmiast musieli ją wylać. Po czym ratownicy ruszyli w dalszą drogę.

— Są już na miejscu katastrofy — zaczęli głośno krzyczeć oczekujący na brzegu.

Ksiądz cały czas trzymał w górze krzyż, skierowany w stronę, gdzie walka z żywiołem toczyła się na życie i śmierć. Dzwon wiejski bez ustanku bił na alarm. Po krótkiej chwili łódź zaczęła zbliżać się do brzegu. Ośmiu rybaków wyratowano, a dziewiątego nie było. Powstała wielka rozpacz w jego rodzinie. Jeszcze dzwon nie przestał bić, kiedy zaginiony rybak wyszedł z morza na brzeg.

— Jak to się stało, że się wyratowałeś — zapytał go szyper roztrząskanej pomaraniki.

— Szedłem cały czas po dnie morza, tylko od czasu do czasu zaczerpnąłem powietrza i znów opuszczałem się na dno, i tak powoli, śledząc głębokość, zbliżałem się do brzegu.

Narodziny żrebaka

Bernard Bożk wybrał się do Osłonina po kartofle. Jak zwykle, nie miał zbyt wiele pieniędzy. Zaszedł do gospodarza i spostrzegł olbrzymie jajko leżące na szafie.

— Co to jest? — zapytał zaniepokojony Bernard.

— To jest jajko kobyły — odpowiedział żartobliwie gospodarz.

— Co z tego będzie?

— Młody konik się wylęgnie.

— A duży to będzie konik?

— Mój Boże kochany, człowieku, nie wiesz, jaki koń jest duży. Najpierw będzie taki jak dorosła sarenka, a potem podrośnie.

— Co trzeba zrobić z tym jajkiem, żeby z niego wylął się konik?

— Musisz jajko włożyć do łóżka pod pierzynę, a wieczorem, gdy wrócisz z połowu, rozbierzesz się, wleżesz do łóżka, pierzyną się okryjesz i usiądziesz na jajku. Przez miesiąc musisz tak siedzieć, wtedy wylęgnie się konik.

— A ile to jajko ma kosztować?

— Jak ty nigdy konia nie miałeś, to starczy pół talara. Tyle mniej dasz za kartofle.

— To jakby za darmo?

— Nie będzie za darmo, bo wtedy mógłbyś to cisnąć w las, a szkoda byłoby tego małego konika, na którym możesz potem jeździć.

Chłop ubił interes z Bernardem, który zapłacił pół talara, bardzo ostrożnie zaniósł kobyłę jajko do łodzi, potem załadował kartofle. Wreszcie postawił żagiel i z pięknym wiatrem pożegłował do Kuźnicy. Tak jak mistrz kazał, włożył kobyłę jajko do łóżka i z wielkim namaszczeniem usiadł na nie.

— Co to będzie za radość, gdy z tego jajka konik się wylęgnie — myślał w duchu.

Przez trzy tygodnie codziennie wysiadywał i ogrzewał dynię, aż w końcu zaczęła się rozkładać.

— Bernard, twoje jajko się psuje — zauważyła żona. — Ty to weź i wynieś do lasu, bo od zgniłego jajka prześmierdnie cała chałupa. Z tego konika już nie będzie.

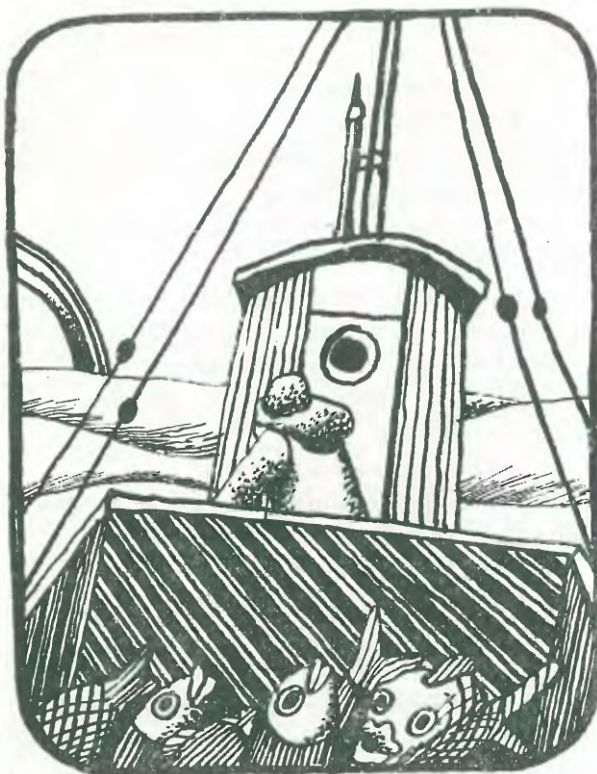
Toteż Bernard posłusznie wziął na ramię dynię, poszedł do bliskiego lasu i cisnął ją w krzaki. W zarosłach drzemał zając. Jak dynia upadła i rozwalila się w drobne kawałki, zając zerwał się ze swego legowiska, wyskoczył zza krzaka i w nogi. Bernard widząc, że coś ucieka, zaczął krzyczeć:

— Iska, iska, zaczekaj jam twój ojciec.

Zając nie miał ochoty przyznać się do takiego ojca, zmiażdżony w kierunku Jastarni, aż za nim szumiąco.

Bernard, smutny, wrócił do checzy.

— Jednak był w jajku konik, ale zwiął, jak cisną-



łem jajo w krzaki i ono się rozwaliło. Żaden pies by go nie dogonił. Gdyby nie trzy grosze nenki, mielibyśmy konika, ciągnąłby wózek i moglibyśmy nim wozić ryby na targ.

Chrzest Bernarda Bożka

Dawniej na całym wybrzeżu rozewskim i helskim był tylko jeden port Hel. Toteż z całego Wybrzeża wszyscy rybacy płynęli do Helu i stamtąd wypuszczali się na połowy szprota. Należał do nich też Józef Gojka ze swoją maszoperią. Z Gojką zaś pozostawał w przyjaźni Bernard Bożk z Kuźnicy. Był z niego wielki leń, miał na utrzymaniu starego ojca i matkę, ale pieniędzy im nie oddawał na życie, bo przegrywał je w karty lub przepijał, a przy tym był bardzo zabobonny.

Pewnego razu w barku maszopa Gojki Bernard

grał w karty. Kilku maszopów przebrało się za purtki, żeby go nastraszyć. Wpadli do jego kabiny, gdy się kładł do snu, spętali go łańcuchami, ale pozwolili mu uciec. Bernard wpadł do łóżka Józefa Gojki krzycząc:

— Ratunku, ratunku!

— Co się stało? — spytał go Gojka.

— Purtki po mnie były, łańcuchem mnie spętały, ale że wzywałem Boga na ratunek, ustąpiły pieczelniki.

— A teraz czego chcesz?

— Chcę, żebyście mnie wzięli w obronę.

— Co my ci pomożemy, jeśli tu wejdzie trzech rogatych purtków albo więcej. Najlepiej ty się sam obronisz. Pacierz odmówiłeś? — zapytał się Gojka.

— Nie odmówiłem, bo zimno.

— Masz — rzekł Gojka — zimno, a w piekle za gorąco. Wracaj do swej kabiny, odmów pacierz, to purtki więcej do ciebie nie przyjdą, a tak będą ci szarpać całą noc.

Bernard jak niepyszny udał się do swojej kabiny.

— Są, są diabły — krzyczał po chwili.

— Gdzie są, Bernard?

— Przecież były, ściągnęły ze mnie pierzynę i szarpały mnie. Chciały zabrać mnie do piekła.

— Chyba ci to się przyśniło, co by diabły robiły z tobą w piekle. Idź i się połóż, a wszystko będzie dobrze.

— Nie, bracie, tak nie można, trzeba mu jakoś pomóc — rzekł Ksawer Gojka, brat Józefa, a syn Franciszka Gojki.

— Jak pomóc?

— Może by się dało co wywróżyć, Jakub Myślisz dobrze stawia karty, wykłada wróżby. Jeżeli będziemy wiedzieć, co na Bernardzie ciąży, będziemy mogli mu pomóc.

— No, zawołajcie Myślisza i poszukajcie kart, niech wróży.

— Myślisz śpi tu obok na pryczy.

Bernard już sam się zajął obudzeniem Myślisza.

— Wuja, wuja Jakub, wstańcie i wróźcie mnie z kart.

Myślisz długo udawał, że trudno mu się ocknąć ze snu, aż naraz wrzasnął na Bernarda.

— Co, ty jeszcze nie śpisz?

— Wstańcie, wstańcie wyłożyć mnie karty, purtki biorą mnie do piekła.

— Co mam ci przepowiedzieć?

— Jakie grzechy na mnie ciąży, aby Józef Gojka mógł mi pomóc.

— Są karty?

— Tylko jedna.

— Co, tylko jedną macie?

— Nie, jedna zaginęła — odezwał się Andrzej Pliński.

— Jakiej brakuje?

— Chlebowy bubek!

— Ej, to jedna z najgłupszych kart, ten i tak nic nie wie. Trzydzieści jeden starczy, jest wśród nich wiele dobrych i mądrych kart, z nich się czegoś dowiemy.

Jakub Myślisz w długiej nocnej koszuli stanął przy stole i patrzył na przybłądłego pijanicy. Potasował karty, po czym kazał Bernardowi przełożyć je prawą ręką na trzy kupki, wziął środkową i zaczął wykladać. Ledwie wyłożył dwie karty, oświadczył:

— Tyś ojca bił gromnicą?

— Jo — od razu przyznał się Bernard — ale to nie moja wina, pospierałismy się w niedzielę, z jakiego kierunku wieje wiatr. Mój stary gadał: ost-nord-ost. — A ja gadał: ost-sud-ost.

— A skąd właściwie wiał wiatr w niedzielę — zapytał Jakub wszystkich.

— Wracałem w niedzielę z Chłapowa do Helu i przechodziłem koło Kuźnicy, to wiem dokładnie, że wiał ost-nord-ost, więc twój stary miał rację.

— Tak dokładnie nie wiem, bo w niedzielę w południe jeszcze nie byłem na dworze — tłumaczył się Bernard.

— Przyjmujemy, że Bernard jest winny, bo tak wskazują karty.

Myślisz wróżył dalej.

— Ty wszystkie pieniądze przepijasz, a nie zważasz na to, że twój ojciec cierpi głód, przegrywasz wszystko w karty, do ostatniego grosza.

— Bernard, co masz na swoje usprawiedliwienie? — zapytał Józef Gojka.

Bernard wybuchł płaczem.

— To prawda?

Bernard na znak potwierdzenia pokiwał głową.

— Tak, Bernardzie, teraz musisz nam przysiąc, że nie będziesz bił ojca i nie będziesz łamać gromnic, będziesz pieniądze oddawać ojcu. A teraz idź do łóżka, bo jest zimno.

— Będę z wami spać, bo w mojej kabinie straszy. Jeszcze purtek mnie weźmie na rogi i pofrunie ze mną do piekła.

Bernard wzbraniał się przed pójściem spać do swego łóżka, ale Gojka pchał go w drzwi mówiąc:

— Idź spać, Bernard, cały drżysz z zimna, będziesz teraz żyć pocziwie, szanuj rodziców i nie przegrywaj pieniędzy.

Ledwie Gojka położył się spać, znów Bernard wpadł do Gojki krzycząc:

— Ratunku, ratunku!

— Co znowu?

— Już były purtki po mnie. Całe szczęście, że miałem krzyżyk na ścianie, bo już bym nie był z wami, lecz w piekle. Ratujcie mnie, odwdzięczę się, wszystkich was zaproszę na moje wesele.

— A jak ci pomóc — zastanawiał się Józef Gojka. — Może nie jesteś prawidłowo ochrzczony.

— A może? — rzekł Bernard.

— Święcona woda jest?

— Jest — odezwał się siedemnastoletni Józef Gojka, syn Józefa.

— To przynieś.

Chłopak przyniósł butelkę lodowatej wody z beczki stojącej pod rynną. Bernard stanął na środku pokoju, gotów do chrztu. A Gojka przystąpił do ceremonii, nalał trochę lodowatej wody Bernardowi na głowę, zimne strużki poleciały mu aż do pięt. Bernard zaczął się kręcić, a Gojka w dalszym ciągu lał wodę krzycząc:

— Bądź spokojny, jakbym takich dwóch głupków ochrzcił, zesłoby do nocy, a w morzu nie starczyłoby wody.

— Bernard, a gdzie twoi chrzestni — odezwał się Michał Pliński, który dotychczas milczał.

— Michał, ty bądź chrzestnym — poprosił Bernard.

A drugim się ofiarował Ksawery Gojka. Po tym wszystkim, gdy już Gojka całą butelkę wody wylał Bernardowi na głowę, cierpienia jego nareszcie się skończyły.

Skarb pod kamieniem

Jest koło Rozewia parów biegnący wprost do samego morza. Tuż u jego gardła stoją dwa bliźniacze buki, równe, proste i czułe na każdy powiew, niczym widełki ślimaka. Nad wądołem i całą okolicą góruje poczerwiałe drewniany domek. Ludzie mówią, że ten dom pobudowano z modrzewia. Zaraz obok dwa wiatraki zgrzytają omszałymi kołami. Piór wiatraków nie widać spoza wysokich krzewów i przydrożnych drzew. Stare legendy podają, że na tym miejscu stał kiedyś wodny młyn. Zachowały się jeszcze widome znaki, że jakaś wypruta z ziemi siła wody napędzała staroświeckie koryta dębane w kłodach. Strumień wody jakby znieruchomiał. I znowu cisza osnuta na różnych rytmach dalekiej wody. W parowie leży ogromny głaz narzutowy, przypomina on starą opowieść, przekazywaną daleko przed moim nadmorskim dzieciństwem. Może od tak dawna, jak woda tutaj od wieków szepce do snu miodownikom po bokach rosnącym. Zawsze, jak tylko pamiętają ludzie, mówiono, że w parowie pod głazem spoczywa ukryty skarb. Przepowiadano, że stanie się on własnością tego, kto w ciemną noc zdoła odwalić kamień. Ludzi marzących o pękatym garnku, pełnym czerwonych dukatów, było niemało. Jednak po obejrzeniu głazu tracili ochotę i wyzbywali się grzesznych myśli.

Pewnego dnia zjawił się w tych stronach nieznany człowiek, o mocnych barach, szerokiej i długiej stopie, nie bał się on ni nocy, ni purtka. Raz poszedł do parowu, potem kiedyś wybrał się po raz drugi, ale zawsze wracał z niczym. Rosło wśród ludzi podniecenie, a tymczasem przybłąda milczał jak zakłęty. Dopiero gdy ktoś napomknął powątpiewając o jego sile, odburknął, że widać pora była nieodpowiednia.

Nastała na koniec noc, którą tutaj nad morzem pamięta paru starych ludzi. Gdzieś daleko w stronie Półwyspu Helskiego straszyla łuna pożaru. Morze szumiało jak opętane, wściekły szkwał spędził z nocnego połowu rybaków. Niektórym porwało sieci,

a dwóch, nadto odważnych, pod zboczem, koło owego głazu, o mały włos nie wypadło z łódki i nie poszło zobaczyć, jak węgorze zimują. Rankiem nie doliczono się jednej łodzi i kilku sadz z rybami, były one przymocowane łańcuchami do pali. U wejścia do parowu leżała strzaskana dorodna, błyszcząca topola. Na skutek tych wydarzeń, które przez kilka dni zaprzętały rybacką miejscinę, stracono z oczu tajemniczego przybysza. Kiedy się znów pokazał, nie był podobny do dawnego zucha, skurczył się, oczy miał zapadłe i niespokojnie błyszczące, niechętnie opowiadał, co się z nim działo.

Jak tylko noc z szumem i rykiem morza przykryła wybrzeże, zapuścił się w wądoł. Wicher huczał w parowie, aż się potężne buki kładły, kotłownisko potężnych bałwanów waliło do wąwozu, potężne fale rozbijały się o głaz, powietrze w swych porywach tłukło się, łamało i uderzało o dno parowu. W pewnym momencie przybysz dostał w głowę bryłą wichury. „Padł przerażony”, jak sam się przyznał. W jaskrawym świetle błyskawicy widział, jak koło jego twarzy śmiesznie trzęsły się najdrobniejsze trawki. To było zadziwiające, jak bały się tego szaleństwa. To go tak rozculiło, a zarazem rozbawiło, że zerwał się i ruszył w stronę głazu. Piaszczystą ścieżką wspinał się na zbocze. Piasek, po wierzchu tylko zmoczony, obsuwał się pod jego olbrzymimi stopami. Szedł z trudem, zastępowały mu drogę rozbujane na wicherze krzaki, jakieś kolczaki, których za dnia nie zauważył, czepiały się jego kolan. Przed nim stała nieprzebyta ciemna ściana wichury. Idącemu w kierunku morza olbrzymowi w każdej chwili groziło zwalenie i porwanie go przez pienistą wodę, która wracała z szumem do morza, tocząc co mniejsze kamienie.

Nie pamiętał, jak dojrzał do owego głazu i jak to się w ogóle stało. Zaledwie umocował stopy, podsadził się barkiem pod kamień, padł piorun jeden, za chwilę drugi. Nagle światło olśniło dolinę, kładąc pośpiesznie różne odcienie fioleto jeden na drugi, zaryczał bałwan, który pieniać się walił do wąwozu. Olbrzym zdążył wejść na wysoki głaz, kiedy pienista woda z parowu, cofając się z trzaskiem i szumem, potoczyła mniejsze głazy do morza.

Po krótkim czasie wichur przestał dąć w parów, wtedy olbrzym zszedł z głazu, oparł na nim stopę, a ten od razu odwrócił się posłusznie. Wówczas osiłka przeniknął strach aż do szpiku kości, uciekł więc do domu.

Mówiono potem, że pod kamieniem siedziała ogromna żaba o zielonych fosforyzujących oczach. Jedni twierdzili, że ropucha rozrechotała się ogromnym śmiechem i rzekła: „Bóg zapłać”. Inni znów byli zdania, że żaba nic nie powiedziała, tylko otworzyła paszczę, a w niej błysnęła biała hostia. Jak było w rzeczywistości, nigdy się nie dowiedziano, ponieważ przybłęda któregoś dnia poszedł w świat, zniknął podobnie, jak się pojawił.

Taka jest historia kamienia, co spoczywa w parowie Łebskiego Żłobu koło Rozewia. Cichy od mchu i senny od miodowników pachnących na zboczach. Musiało to być dawno, bo mchy zdążyły szczelnie ukryć legowisko granitowego olbrzyma, który poruszał próżność i chciwość człowieka. Musiało to być bardzo dawno, kiedy wśród ludzi było więcej olbrzymów i więcej siłaczy, i więcej skarbów na świecie. Czerwone dukaty leżały wówczas pod ładą głazem osobliwym i tylko na śmiałków zdawały się czekać.

Król zwierząt i król puszczy

Minęło już przeszło pięć tysięcy lat, od kiedy na świecie żył stary król stworzeń. Przyszedł do niego jakiś staruszek z długą, siwiutką brodą i rzekł:

— Królu, zwyciężysz takiego mocarza, który nigdy nie widział ludzi, psów, koni i żelaza.

Przepowiednia ta ogromnie zdziwiła starego króla, zażądał, aby ów powiedział mu, co to za jeden jest ten mocarz, który nie widział nigdy ludzi, psów, koni i żelaza. Ale staruszek zniknął, nie powiedziawszy ani słowa więcej. Bezskutecznie szukano go po całym królestwie, nie objawił się nigdy.

Stary król w młodości był ogromnym zuchem, przed niczym się nie ugiął, a wszyscy się go bali. Bogactwa miał ogromne. Przyjaciół całe zastępy.

Latem stale gościli u niego wielcy panowie, rycerze. Jak tylko dowiedział się, że jest na świecie siłacz, zaraz sprowadzał go do siebie i już nie puszczał z domu. Z takim królem nikt nie chciał prowadzić wojny, wołał od razu się poddać, jako że pardonu nie było tam żadnego. Ucztował król z przyjaciółmi wesoło. Często siadali oni na konie, brali ze sobą psy i polowali w borach. Z daleka było widać, jak trzystu i więcej wielkoludów gnało na ogromnych ogierach. Wspinali się oni w górę, jakby chcieli latać powietrze. Chłopi stali na pagórkach i z daleka przyglądali się temu widowisku. Skoro wpadali w bór, jak wichura niosła się za nimi po lasach muzyka, trąbienie rogów. Gnali za zwierzyną, a ich granie przypominało bicie dzwonów. Wypłoszyli każde zwierzę, jakiekolwiek tylko żyło w puszczy. Jednego razu król rzekł do swoich:

— W całej tu okolicy nie ma już dla nas roboty. Musimy puścić się w dalsze ostępy i wyszukać godne nas miejsce do polowania.

— Zgoda — odrzekli wojownicy.

Wsiedli na konie. Jadą. Jadą dzień i noc. Mijają różne bory, gdzie, jak im się zdawało, mogliby polować, ale stary król ciągle powiadał:

— Jeszcze nie tu, marzę o takim polowaniu, jakiego jeszcze nie było, jak świat światem.

Kilka razy słońce zaszło i weszło, zanim narzeczcie przyjechali do jakiejś obcej ziemi, w której król zgodził się zatrzymać. Lasy tam były bujne, bardzo kwieciste polanki i groźnie szumiął bór. Ale nie było w nim śladu ludzkiej stopy, tylko ścieżynki, zapewne wydeptane przez zwierzynę.

Dzicz, straszna nieprzebyta puszcza, staro-drzewie takie, że siekierą w żaden sposób nie można by było im poradzić. Dęby, buki, sosny, jodły, świerki i inne drzewa rosły tam pewnie od stworzenia świata, kiedy je na początku jeszcze sam Pan Bóg posiał. Skoro zapuścili się w ten nieprzebyty las, niejednego obleciał strach, gdy uszu ich doszedł ryk zwierząt.

— To chyba jedna jedyna na całym świecie puszcza, do której nie dotarł jeszcze człowiek — zauważył stary król.

Orły i inne przeróżne ptaki, które są rzadkością, tutaj spokojnie siedziały na drzewach i patrzyły



na ludzi nie okazując najmniejszego lęku. Jedyne dziwiły się ogromnie, co to za stworzenia? Puszcze wypełniał osobliwy śpiew, świergot, gwizdanie, krakania, piski. Gwar taki, że można było uszy zatykać. Małe ptaszki, z czubkami i bez czubków, mieniły się różnokolorowo i fruwały sobie beztrasko, niektóre z nich siadały koniom na łbach, a ryrcerzom na ramionach.

— Tu będziemy używali, wspaniałe miejsce na polowanie — stwierdził król.

Zsiedli z koni, nałamali gałęzi i pobudowali szałas. Napoili konie, sami się pożywili i wypoczęli.

— Dalejże, puszczać ogary — rozkazał król.

Byli i tacy ludzie od tego, więc zaraz pięćdziesiąt ogarów puścili w knieję. Zaczęło się polowanie. Ogary od razu zagrały „tijaфу”, tijaфу”. Trafiły, widać, na jakiegoś grubego zwierza, bo od gonitwy aż się trząsł las. Okazało się, że psy pognały za jeleniem, olbrzymim rogaczem, który sadził przed nimi dużymi susami. Ogary szły za nim niczym rwący strumień, dalej i dalej. W zacieklej gonitwie

zapuściły się do samego środka boru. Potem działy się niesłychane rzeczy. Ogary napotykały gromady wilków, które zobaczyły dopiero po raz pierwszy w życiu. Skoro w puszczy tej noga ludzka nie powstała od stworzenia świata, to i pies nigdy do niej nie dotarł. Ogary się przelekły, zapomniały głosu, wzięły ogony pod siebie i chciały wracać, skąd przyszły, jako że ćma wilków była nieprzeliczona. Ale w tej właśnie chwili wysunął się potężny wilk, ogromna bestia, który zaszedł psom drogę i rzekł zwierzęcą mową:

— Skoro przyszlście do królestwa zwierzęcego, nie ważcie się wracać, tak osobliwie dziwnych zwierząt jak wy jeszcze nikt tu nie widział.

Psy ogarnął jeszcze większy strach, kiedy wilki otoczyły je wielkim kołem i ryknęły:

— Marsz z nami, pójdziecie do króla puszczy. Tam się wytłumaczycie, coście za jedni.

Długo przedzierały się przez chaszcze, zanim dotarły do miejsca, gdzie się wilki zatrzymały. Ogary patrzą, naokoło stoją warty: tu niedźwiedzie, tam jelenie z ogromnymi rogami, dzikie koty, zwane żbikami, ze strasznymi kłami dziki, a pomiędzy nimi uwijały się lisy, borsuki, kuny, jeże i zające. Co które zwierzę podejdzie, zaraz zapytuje wilków:

— Kiej lichu wy znowu prowadzicie?

— Sami nie wiemy, co to takiego — mówią wilki. — Jacyś odmienicy. Pół wilka, pół lisa, jedni czarni, drudzy biali, jeszcze inni żółci, ten bury, ów pstrokaty, pełno czarnokrzyżnych czarowników, zaklinaczy. Niby zwierzęta, a tak poodmieniane. Połapaliśmy to do niewoli na granicy i wiemy przed króla, bo jużci muszą być zwierzętami.

Popędzili je dalej, do jakiegoś miejsca, gdzie rości siedem dębów tak splecionych, że tworzyły jedno grube drzewo. W tym siedmiodębie były drzwi, przy których stał na warcie kudłaty niedźwiedź. Wilki mu wytłumaczyły, o co chodzi. On zaś spojrział ze złością na ogary, podszedł do drzwi i zapukał. Po jakimś czasie wrota otwarły się na oścież i z siedmiodębu, otoczony światą, wyszedł okazały pan, cały w złocie, a oczy miał diamentowe. Na jego ramionach siedziały dwa sokoły. Z tyłu szły za nim cztery duże małpy. Przed nim sześć

pawi z rozpiętymi pióropuszcami, a z każdego boku miał przy sobie lisa. Zaraz osobliwym głosem odezwał się pan:

— Moi kochani wojacy — zwrócił się do wilków. — Widzę, że zwyciężyliście jakiegoś dziwnego nieprzyjaciela. Bardzo dobrze — potem się odwrócił do ogarów i spytał: — Coście za zwierzęta? Jak się nazywacie?

— Jesteśmy ogary z psiarni naszego króla.

— Który z was jest dowódcą?

— Zagraj nam zawsze przoduje, kiedy na polowaniu podczas obławy gonimy zwierzynę.

— Co za zwierzynę? To wy, szelmy, bez mojego zezwolenia płoszycie zwierzęta. Oho, czekajcie, rabusie, my was nauczymy rozumu.

Król puszczy strasznie się rozgniewał. Widząc to ogary spośród siebie wypychały naprzód to jednego, to drugiego, żeby coś przemówił. Wreszcie wystąpił zagraj i rzekł:

— U naszego króla polowanie jest rzeczą zwyczajną, a psy na to on trzyma i karmi, żeby mu napędzały zwierzynę. Dlatego kowal ma kleszcze, żeby sam palcami nie wyciągał z ognia żelaza. My, ogary, nie jesteśmy temu przecież nic winne, że swoje robimy.

— Z tego powiedzenia widać, że zagraj ma dobrze w głowie — pomyślał sobie król puszczy; a potem zapytał swoich zwierząt: — Kogo te łajdaki ścigały?

Wystąpił teraz ogromny jeleni, już dobrze posiwiały ze starości. Skłonił wielkie rogi do samej ziemi i rzekł:

— Mój królu, te dziwne bestie, które się ogarami mianują, właśnie mnie napadły w lesie, chociaż się tego zwiąłem, byłbym niezawodnie zginął, ale na szczęście przyszły mi z pomocą wilki i obstarwiły mnie. Uciekłem za pas graniczny i to mnie uratowało. Założyłbym się, że te ptaszki są wielkimi rozbójnikami.

— Kto z was, moje zwierzęta, żąda ich zguby? — spytał król puszczy.

Wtenczas wyrwał się zając, oddawszy pokłon królowi, tak rzekł:

— My, biedne zajączki, zjadane jesteśmy przez wilki, lisy, orły i jastrzębie, ale to już inna sprawa,

placimy ten podatek. Niech chociaż ktoś nowy nie napada na nas. My, królu, boimy się takich ogarów i prosimy ciebie pokornie, abyś odebrał im życie.

Potem jeden stary wilk odezwał się w te słowa:

— Trzeba tym niewolnikom wpierw zajrzeć do pysków i zobaczyć, jakie mają zęby, a wówczas dopiero osądzimy, czy one mogą żyć wśród nas. Bo jeżeli jedzą trawę, to będziemy mieć z nich pożytek. Rozmnożą się i uzyskamy pożywienie, a jeśli jadają mięso, to muszą zginąć.

Zajrzeli ogarom w pyski i ze wszystkich stron zawołali:

— O, takimi zębami nie będą żuli trawy. Te zęby żrą mięso.

Psy się zarzekały, że nigdy mięsa nie jedzą, co najwyżej kości. Ale nikt im nie uwierzył. W rezultacie jedne zwierzęta były za zgubą ogarów, a inne mówiły, że im wszystko jedno. Wreszcie król puszczy znowu się odezwał:

— Hej, psy, czy jak tam wam, powiedzcie mi, co za cnoty macie. Czy wasz pan dlatego was trzyma i żywi, że możecie nosem tropić moją zwierzynę?

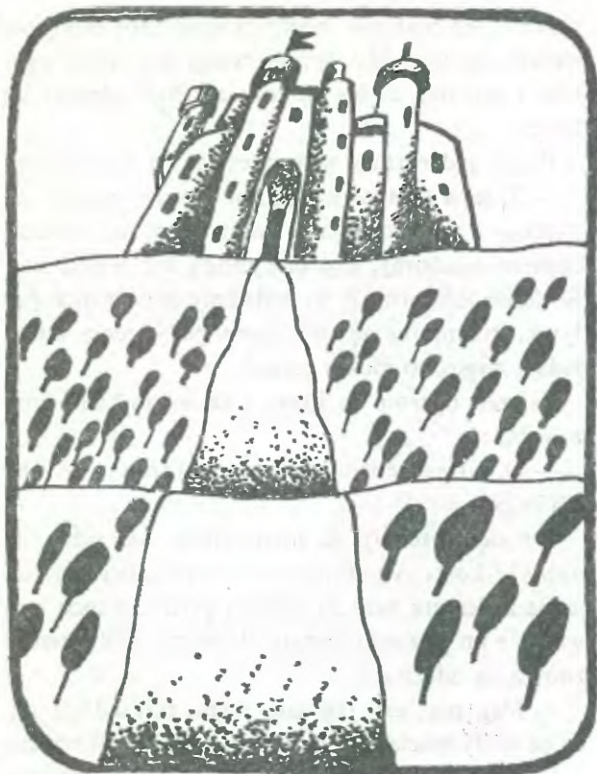
— Nie, królu — zawołał zagraj. — Główna nasza cnota to wierność i posłuszeństwo. Wiernie służymy naszemu panu, z całym oddaniem, gdyby umarł, niejeden z nas gotów też umrzeć. Czasem się zdarzy, że pan w gniewie uderzy swego psa albo mu nie da jeść, ale pies i tak go nigdy nie opuści, liże jego stopy i ręce.

Kiedy to lis usłyszał, odwrócił się i parsknął śmiechem:

— A to dopiero głupie zwierzęta.

Słowa zagraja zastanowiły króla puszczy i tak przemówił do nich:

— Słuchajcie, moi poddani, zatrzymam przy sobie psy, pragnę bowiem przekonać się, na ile wierność jest cnotą, bo prawdę mówiąc, nie mam tu ani jednego zwierzęcia, którego byłbym zupełnie pewien. Słuchają mnie jedynie ze strachu. Ale jak przyjdzie coś zrobić, to niedźwiedź zawsze burczy. Lis mnie na każdym kroku oszukuje. Wilk głównie dba o to, by się nażreć. Zając jest tchórzem podszyty. Dzika świnia nie ma najmniejszego poczu-



cia honoru, a kot jest nieskończonym obłudnikiem.

Król puszczy z tych też względów darował życie ogarom.

Tymczasem król zwierząt widząc, że psy nie wracają, odezwał się do przyjaciół:

— Szkoda mi ogarów, nigdy nie pozwolę na to, żeby miały marnie zginąć. Niech się dzieje, co chce, musicie je odnaleźć.

Wszyscy wojownicy jak jeden mąż siedli na konie i hurmem puścili się w puszcę. Zabrnęli w tak straszne wertepy, że zaledwie dziki zwierz mógł przez nie przejść, a nie człowiek na koniu. Mimo to ruszyli dalej, a tu nagle rozległo się dokoła wycie tysięcy wilków. Ten i ów z wojowników nierad tej wyprawie, rzekł:

— Po co my tutaj bniemy? Licho by wzięło te psy.

Wjechali w nieprzebyte gąszcze. Konie o mało karków nie poskręcały. Później wpadli na moczary i niewiele brakowało, żeby poginęli. Konie rwały

w prawo, w lewo, chrapały, czuły widać niebezpieczeństwo, bo nie chciały iść naprzód. Wojownicy spięli je ostrogami i poszły. Naraz spojrzeli myśliwi, a tu przed nimi ogromna ilość wilków, jak tylko okiem sięgnąć, wilki i wilki. Jedne przysiadły na ogonach i z podziwem patrzyły na konnych jeźdźców, inne przywarowały jak psy. Jeszcze inne wyszczerzyły zęby, a na karkach i grzbietach zjeżyła im się sierść, oczy zaś błyszczały.

— Moi panowie — rzekł król jegomość — tu nie ma co się namyślać, jeno trzeba żwawo działać, te bestie pożarły moje niezawodne psy.

Mówiąc to wydobył szablę, wspiął konia i wpadł między wilki z wielkim zaciętrzewieniem, a za nim pomknęli wszyscy inni. Co się wtedy działo, trudno wyrazić. Konie, kiedy wpadły w wilczą gromadę, wierzgały kopytami, tratowały ją, niektóre zębami porywały wilki za grzbiety i z całą siłą tłukły nimi o ziemię, aż wnętrzności z nich powylażyły. Ludzie znów siekli naokoło mieczami, dzidami przebijali wilkom brzuchy. Inni raz po raz puszczali z łuków strzały. Bitwa była tak zażarta, że nawet między ludźmi rzadko kiedy można taką widzieć. Leżały zwały wilczych trupów, krwawe kałuże stały na każdym kroku. Ale wilki, wprawne w leśnych bójkach, nie próżnowały. Niektóre wpiły swe zębiska koniom do gardeł, wówczas zaduszony koń padał na ziemię wraz z jeźdźcem. Jęki, stękania i krzyki niosły się po puszczy.

Ludzie w końcu wzięli górę, a wilki zmykały z placu boju jak zające. Wówczas dumny leśny król zwierząt schował do pochwy zakrwawioną szablę, wyjął zza pasa róg i zatrąbił na zwycięstwo. Zdawało się, że las stał przed nim otworem, na placu boju zostały bowiem tylko te wilki, co padły albo konały.

Po wygranej bitwie król z wojownikami pojechał dalej. Ale tak jak przedtem, nadal musieli się przedzierać przez gąszcze, przejeżdżać przez jary i bagna. W końcu przybyli do krainy, gdzie było jądro puszczy. Skoro tylko spostrzegł ich niedźwiedź, stojący na warcie przy królewskiej siedzibie, zaraz zaczął ryczeć, podnosząc gwałt i obiema łapami waląc do bramy w domu. Podniósł się wielki popłoch w borze i w powietrzu, a głos leciał echem przez

puszczę. Przeróżne leśne zwierzęta niczym wichry pędziły z szumem, a górą nadciągnęły orły i jastrzębie, trzepocząc skrzydłami, podniosły straszliwy wrzask. Król puszczy wydał komendę i teraz w pierwszym szeregu stanęły niedźwiedzie, wspięły w górę przednie łapy, a na tylnych z okropnym rykiem szły na jezdnych. Król zwierząt i jego rycerze ustawili dzidy i tak trwali w pogotowiu, jedyną ich troską było, aby konie nie ruszyły z miejsca. Zaczęła się bitwa. Rycerze szablami na drzazgi rąbali łby niedźwiedzi, a dzidami przebijali je na wylot. Straszny ryk rannych niedźwiedzi przecinał powietrze. Niektóre broniły się zaciekle. Rycerze byli czerwoni od ich krwi. Powstała ogromna kotłownina. Tu straszny niedźwiedź broczył we krwi, tam inny przytłoczył sobą rycerza i konia, po czym darł z nich w pasy skórę i mięso. Cały bór trząsł się od tej wrzawy. Które zwierzę mniej miało odwagi, zmykało w głębokie ostępy. Król puszczy zgromił tchórzy, narażony był na bardzo ciężką przeprawę, bowiem rzucały się one na niego. Największego niedźwiedzia, wodza niedźwiedzi, dwa razy pchnął dzidą, za trzecim razem dzida się złamała na pół, wówczas zwierzę poderwał się z ziemi i z rykiem uderzył na króla. Młody król, znakomity rycerz, wydobył koncerz, którym świsnął w powietrzu ucinając niedźwiedziowi łeb, aż dziw. Na ryk padającego zwierza otoczyła króla cała chmara potężnych niedźwiedzi. W obliczu zagrożenia wyciągnął on swój róg myśliwski i zatrąbił. Przekonany był, że niedźwiedzie odstąpią, widząc, że wódz ich poległ. A one teraz dopiero wpadły we wściekłość. Przeszył puszcę ryk niedźwiedzi. W tej właśnie chwili wypadły ogary trzymane w niewoli i od razu rzuciły się na niedźwiedzie. Szarpały je zębami. Jedne chwyciły je za pośladki, inne wskoczyły na karki uciekających zwierząt.

Król puszczy mógł się teraz przekonać, że psy są bezbrzeżnie wierne swojemu panu. Ale miał skrupuły, że je straszył powieszeniem. Zdawał sobie sprawę, że stracił najlepsze wojsko, ómę wilków i ogromną moc niedźwiedzi. Nie chciał już wystawiać do bitwy ani dzików, ani jeleni, były one zbyt lękliwe. Załamał ręce i, wodząc wzrokiem po trupach, zawołał żalosnym głosem:

— Nad kim będę teraz panować, przepadło raz na zawsze całe moje królestwo.

Wywiesił białą szmatę na znak, że prosi o pomoc.

— Ja też nic więcej nie potrzebuję — pomyślał król zwierząt — zmachaliśmy się ogromnie i czas odпочać.

Podjechał do złotego króla puszczy, podał mu rękę i rzekł:

— U nas się tak przyjęło, że jak jeden drugiemu poda rękę i zawrze pokój, to trzeci go zdradzi.

Wtenczas król puszczy zapytał:

— Kto wyście tacy, ogromnie bitni i mocni. Ani niedźwiedzie, ani wilki nie mogą wam dać rady.

Roześmiał się król zwierząt i rzekł te słowa:

— Co znowu, nie wiesz, żeśmy ludzie, sam przecież odrobinę jesteś podobny do człowieka.

Król puszczy, kiedy to posłyszał, zakrył oczy rękami i gorzko zapłakał.

— Więc to ludzie, ludzie... Nic dziwnego, że mnie doszczętnie pobili. Ale ja zawsze myślałem, że ludzie mają głowę, dwie ręce i dwie nogi, a nie dwie głowy, tyle nóg i przyprowadzają sobie długie ostre tyki.

— Bo przecież my siedzimy na koniach — zawołał król zwierząt. — Jedna głowa jest zwierzęcia, a druga ludzka, a nogi są końskie, zaś ręce człowieka — mówiąc to zeskoczył z konia. — Przypatrz się, jak ludzie wyglądają. Tylko bez konia nigdy człowiek by się tu nie dostał.

Król puszczy obejrzał ludzi od stóp do głowy, dotykał szabli i pancerzy i nie chciał wierzyć, żeby to wszystko sami zrobili.

— To być nie może — rzekł — musieliście się już z tym urodzić, tak samo jak wilk rodzi się z zębami, a jelen z rogami, a jeź z kołcami.

Po czym król zwierząt zapytał go:

— A coś ty za jeden, że ciebie zwierzęta i ptaszki tak słuchają jak ojca.

— Widzisz, jestem w tej puszczy od stworzenia świata — wyjaśnił król puszczy — byłbym królem puszczy, opiekunem i ojcem zwierząt do końca świata, gdyby nie było przepowiedni, że ludzie całe królestwo zniszczą, skoro się tylko raz tu dostaną.

Teraz dopiero król zwierząt przypomniał sobie, że staruszek z siwiuteńką brodą przepowiedział mu,

że zniszczy takiego króla, który nigdy ludzi, psów, koni i żelaza nie widział.

Król puszczy tak dalej mówił.

— Pójdź, człowieku, zobacz, co jest napisane na moim siedmiodębnie, który istnieje od powstania świata.

Król zwierząt się zbliżył i przeczytał:

— Póty będzie stała stolica zwierząt, póki nie przybędą do niej stworzenia na koniach, z psami i żelazem i nie rozleją krwi.

— Kto mógł napisać tę przepowiednię — zapytał król zwierząt.

— Nikt nie napisał, na początku świata drzewo to wyrosło z ziemi i miało już na sobie ten napis, a im dłużej rosło, tym wyraźniejszy stawał się napis.

Obok drzewa dwaj królowie stali, a na ich oczach siedmiodąb zaczął się chwiać i runął na ziemię z wielkim łomotem.

W tej chwili powstał w puszczy straszny zamęt. Wszystkie zwierzęta zerwały się do ucieczki i gnały, co sił w nogach. Ptaki ogromnymi stadami pofrunknęły w górę, aż się słońce zaćmiło, i co tchu odleciały gdzieś nad dalekie bory.

— Patrz, człowieku — rzekł król puszczy — wszystko boi się ciebie, stroni i ucieka przed tobą i będzie uciekało tak długo, aż będzie koniec świata.

— Pójdź z nami, u mnie, między ludźmi, będzie ci dobrze — zapewniał go król zwierząt.

— O nie, za żadne skarby świata nie pójdę do ludzi!

— A co teraz będziesz robić, kiedy już nie masz żadnego królestwa?

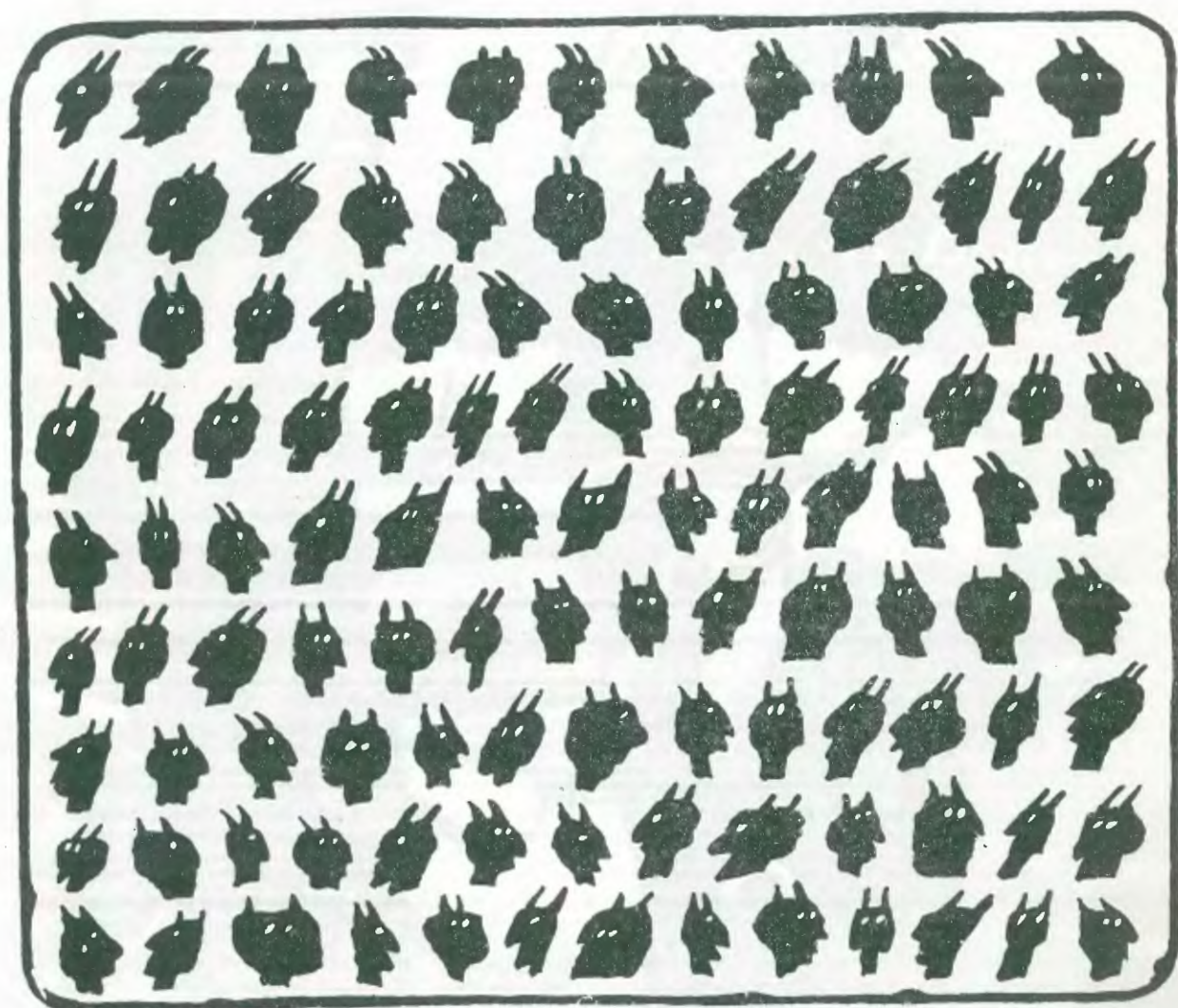
— Będę ludziom dokuczał do końca świata, będę ich topił w wodzie, wodził po lasach, żeby bładzili. Będę sprowadzać na nich nieszczęścia, głód, choroby, wojny, i nawiedzać ich wszelkimi strachami i frasunkami.

Potem się puścił przed siebie i gnał jak wicher, a oni za nim. Wtem wpadł w ogromne bagno, moczary to były tak wielkie, że człowiek, choćby najłżejszy, ani myśleć mógł o ich przebyciu. Bagno wciągnęło króla puszczy na jakieś dziesięć mil w głąb. Na jakieś dziesięć mil wzdłuż i wszerz słychać było straszny rumor, gwar, wrzask. Chórem odzywały się dzikie kaczory, gąsiory, czaple, nury i łabędzie. Kiedy na chwilę zamilkły, zaraz zaczynały rechotać miliony żab i gwizdać krocie żółwi.

— My i to z czasem zdobędziemy — rzekł król zwierząt. — Musimy tutaj jeszcze raz przybyć z ludźmi i spuścić wodę, osuszyć bagna i objąć je we władanie. Zwierzęta zaś nigdy nie będą miały kawałka ziemi, swego królestwa, rozproszone po polach, po lasach i dżunglach uciekać będą przed ludźmi. Król zwierząt opanowuje świat, ale nie sam, jeno przy pomocy ludzi, psów, koni i żelaza.



Komentarze





Słowniczek wyrazów gwarowych i najniezbędniejszych objaśnień rzeczowych

A

arnować, harnować — stwierdzać, czy ryby są w sieci

B

bakla — pałka
bark — statek trzymasztowy
bażan — puzon
beka — kij z żelaznym hakiem, służący do zabijania fok
białka — żona
bita — łup, zdobycz znaleziona nad brzegiem morza
bleczeć — beczeć
bolki — małe dorsze
bot — statek
bracina — brat
brek — popijawa
bretan — żaglowiec
brutka — narzeczona
bryg — mały okręt dwumasztowy
buczka — więcień, kosz z siecią do łowienia ryb

C

chceme le so zażec — chcemy zażyć nieco tabaki
chlebowy bubek — walet karowy
czaplać — iść, człapać

D

do bena — do środka
dobijaki — gatunek rybek używanych na przynętę
do diubla — kaszubskie przekleństwo
dozorca strądu — ten, który pilnuje przedmiotów wyrzuconych przez morze z rozbitych statków
dożdże — poczekaj
drech — towarzysz, druh

dunaj — rzeka
dytki, detki — drobne pieniądze
dziewierz — brat męża, szwagier

F

feszmark — rynek rybny
fiszmajster — nazwa ustanowionego jeszcze w czasach krzyżackich urzędnika do spraw rybackich. W czasach rozbiorów Polski Prusacy ponownie wprowadzili ten urząd celem kontrolowania kaszubskich rybaków
fokmaszt — pierwszy, licząc od dziobu, pionowy maszt na statku o więcej niż dwu masztach

G

galera — dawny statek dwużagłowy lub trójżagłowy, poruszany jednak głównie za pomocą wiosel
gbur — bogaty chłop
giry — nogi
głada — gładka powierzchnia morza, kiedy nie ma bałwanów
grola — organista kościelny
grotmaszt — na statku o trzech masztach drugi maszt pionowy, a na statkach dwumasztowych maszt większy
grubia — zwały lodowe, tworzące się zimą na morzu

H

harnasać — rozrzucać ciężkie rzeczy
harnować — zob. arnować
hak — mały przylądek

J

jadro — sieć w ogóle, także: wklęsłość sieci w środku, matnia
kamlit — kaczka lodówka

kaper — korsarz w XV—XVIII wieku, pozostający pod opieką króla, który nadawał mu prawo łupienia wrogich statków

K

kambuz — kuchnia okrętowa
karznia — kosz do noszenia ryb
kaszor — siatka na kiju, służąca do chwytania i noszenia ryb
keunnico — koń, nazwa przyjęła się głównie w Kuźnicy
kilwater — ślad na powierzchni wody po przepłynięciu statku, pienista smuga powstająca za rufą
klepka — deska burtowa do łodzi
klesztka — igła do robienia sieci
knars — knur
knop — chłopak, młodzieniec
kopa lepra — miara długości, sześćdziesiąt sążni liny rybackiej
kornus — wódka żytnia
krom — wiejska knajpa
krócić się — gnieździć się
kutel sieci — zakończenie sieciowego wora

L

landara — karetka podróżna, powóz kryty
landrat — naczelnik administracyjny obwodu lub powiatu
laskornia — część niewodu łososiowego
latający holender — statek, na którym wyginęła załoga, pędzony wiatrem po wszystkich morzach
læg — las
lis — chmura unosząca się na widnokręgu słońca, zwykle grożąca ulewą i sztormem

Ł

łazebnik — przydomek dawany temu, który mieszka nad strumykiem
łestać — zostać

M

manca — sieć zastawna, używana przez rybaków do połowu śledzi, mance zastawiane są na łowisku szeregiem, pionowo, przy dnie, prostopadle do spodziewanego kierunku podejścia ryby; złowione sztuki tkwią w oczkach mancy, zaczepione skrzelami

maneż — tu tresura
maszop — rybak będący członkiem maszoperii
maszoperia — sezonowy związek rybaków kaszubskich, oparty na zasadzie wspólnego połowu i podziału ryb; o podziale zysków decydował wkład w postaci pracy, sprzętu itp.
miecz — ruchoma deska, opuszczona w wodę przez specjalną szparę w kilu łodzi żaglowej, służąca do powiększenia bocznego oporu wody
milwieta — figle
morzkulc — stary pień, wyrzucony przez morze na brzeg
muca — czapka

N

nacwarzyć się — natrudzić się
naużeni — narzeczony
nenka — matka
niekarenc — nicpoń
niewód — długa sieć rybacka, złożona z podłużnych skrzydeł bocznych i z matni, używana przy pracy na zamrzniętych jeziorach

O

obgdowieć — owdowieć
obtaklować — wyposażać statek w olinowanie, bloki itp.
orłogi — rodzaj dawnych statków wojennych

P

part — część wynagrodzenia otrzymanego do spółki
pieczelnik — mieszkaniak piekła, diabeł
pławnica — sieciowe narzędzie w kształcie wydłużonego prostokąta, służące do połowu śledzi, łososi, swobodnie spławiane z prądem w górnych warstwach toni wodnej
porynk — poranek
pólnie — obiad
prać — dręczyć
presk — przybój, przybrzeżne kotłowisko łamiących się fal
pusta noc — ostatnia noc przed pogrzebem

R

rejbować — trzeć
reling, reląg — poręcz nadburcia
rzutka — lina służąca do zarzucania

S

sadz — skrzynia do przechowywania świeżych ryb, wykonana z dziurkowanych desek
 sążeń — stosowana w żegludze morskiej miara długości, równa ok. 1,80 m.
 sedwina — rogowiec, kolczasty krzak, który obficie występuje pod zboczami wybrzeża rozewskiego
 signie — wystarczy
 skorznie — gumowe buty rybackie, z krótkimi cholewami
 skóra mora pleszcze — skóra, zmora mówi
 solewc — mały worek służący do soli
 stark — dziad tak ze strony ojca, jak i matki
 stąpnica — stępka, wzdlużne środkowe wiązanie szkieletu kadłuba statku
 strąd — wybrzeże morskie
 strądowny — nadzorca brzegu morskiego; także: poborca czynny na strądzie
 stolem — wielkolud, legendarny olbrzym
 strop — oko liny, służące do dźwigania talia
 szalawija — długa odzież Arabów, których stąd również zwane szalawijami
 szauda — zakrycie dna łodzi
 szczirz — pies
 szkot — lina służąca do ściągania lub luzowania żagla
 szkuta — drewniany statek kaszubski żaglowy, o jednym albo dwu masztach
 szlam — miał kry lodowej, pędzony prądem morskim
 szlara — dwumasztowy szkuner
 szlery — pantofle
 szmor — brudas, brzydal
 szpygiel — lustro
 sztapel — stos desek, bali ułożonych warstwami
 sztermować — szarpać, szturmować
 sztraf — kara pieniężna
 sztrandvot — inspektor nabrzeżny, niemiecki urzędnik administracyjny
 sztrop — pętla z postronka służąca do umocowania drążka przy maszcie
 szupo — policja pruska

Ś

ślechole — słuchaj

T

talia — wielokrążek, urządzenie składające się z ruchomych bloków i lin, służące do podnoszenia i przesuwania ciężarów
 takla — rodzaj sznura z hakami, używanego do połowu łososi w morzu
 takt — tatko, ojciec
 toń — głębina morza, wytyczona przez rybaka, na której przewiduje połowy ryb narzędziami ciągnionymi; także obszar wód głębokich lub oddalonych od brzegu
 trałować — ciągnąć sieci po dnie morza

W

wezerać — wypatrywać
 wędrowczyk — dziad zbierający jałmużnę
 wid — światło
 wieszczy — zmarły czyniący wiele złego po śmierci, upiór kaszubski
 winie się prąd — rwie prąd
 witro — jutro
 wszetczego — wszystkiego
 wyczadzić — wypłoszyć, wystraszyć, wykurzyć

Z

zeloj — zob. zoloj
 zdrzetale — patrzcie no!
 zgrębolały — skostniały, zgrabiały ze starości
 zmustrować — ustąpić z załogi okrętowej
 zoloj, zeloj — próg, gwałtowne obniżenie się brzegu, stanowiące właściwą granicę wód morskich

Ż

żak — rodzaj małej sieci rybnej, osadzonej na pałakach, z otworami, przez które ryba wejdzie, ale cofnąć się nie może
 żoch — przybrzeżny prąd, powstały przez przybój wysokich fal na brzeg
 żodnele wida — żadnego światła



Źródła tradycji ustnej

Komentarz zawiera: tytuły bajek, nazwiska bajarzy oraz pochodzenie wątków baśniowych.

Jak wilk uratował psu życie — opowiadał Jan Styn, znany gawędziarz na Kaszubach.

Chytry lis i głupi wilk — bajka opowiadana w każdej checzy na Kaszubach.

Miejskie muzykanty — bajka od dawna znana na całym Wybrzeżu.

Pelen pysk kości, a baran jeszcze stoi — opowiadał Jan Necel, mój ojciec, który żył w latach 1867—1946. Aby uniknąć przymusowej służby w wojsku pruskim, wyemigrował do Ameryki, ale gdy przekroczył wiek poborowy, wrócił na polskie Wybrzeże.

Jak pies wygrał wojnę z lisem — opowiadał Anton Jeka, sąsiad rodziny Necelów.

Jak gęś przechytrzyła lisa — bajka przekazana przez Juliusza Bolde z Cetniewa, siedemdziesięcioletniego Kaszuba.

Nareszcie będą jajka — opowiadał Jan Żelka z Chłapowa.

Stary rybak i foka — opowiadał Leon Necel, mój brat.

Skórka za wyprawkę — przekazał ją mój ojciec, Jan Necel.

Sankami po drzewo — opowiadała moja matka, Franciszka Necel, która zmarła w 1941 roku. Jej sześciu synów w 1939 roku udało się na wojnę, by walczyć z hitlerowskim najeźdźcą. Była szczerą i gorącą patriotką, gdy Polska popadła w niewolę, jej miłujące kraj i naród polski serce nie wytrzymało tego bólu.

Jak głupi rybak stał się królem — opowiadał Marian Konkol z Kuźnicy, który urodził się w 1895 r., zmarł w 1946 r. Był to gorliwy rybak, dobry czło-

wiek, który pozostał na Wybrzeżu postacią zawsze żywą.

Pusta noc — opowiadał Ksawery Licow, który urodził się w 1864 roku i przeżył 95 lat. Całe życie rybaczył na rozewskim wybrzeżu, znał wiele anegdotek i bajek, które ochoczo snuł wieczorami.

Wyprawa na koniec świata — opowiadała Franciszka Necel, matka autora tej książki.

Oto my trzej — przekazał opowieść Józef Żelka z Chłapowa, który żył w latach 1869—1959.

Odważnym szczęście sprzyja — opowiadał Józef Cilka z Gnieźdźewa, był on mistrzem murarskim i zasłyszane bajki i legendy przekazywał swoim współpracownikom.

Dobro nagrodzone, a zło ukarane — opowiadanie znane w kaszubskich wsiach nad morzem.

O szczęśliwym strzelcu — opowiadał Jakub Mucha z Łeby.

Wolny od grzechu — opowiadał Augustyn Jeka, urodzony w 1833 roku, zmarł w 1932. Miał przydomek Skorzenka. Przez całe swoje długie życie snuł opowieści, legendy i bajki nawiązujące do starych czasów.

Nauka nie poszła w las... — opowiadał Augustyn Rytza, wieloletni sołtys Władysławowa.

Jak purtk przegrał z sołtysem — opowiadał Jan Ladach z Minkowic.

Złodzieje na rynku w Wejherowie — opowiadał Jan Lesnow, z Poczernina, dziadek autora tej książki, Augustyna Necla, ze strony matki.

Pacjent w płomieniach — przekazał Józef Zelewski, rybak z wybrzeża rozewskiego. Był to człowiek niebywałego wzrostu, zabobonny, zachwiany w wierze.

Nocne przygody — opowiadał Jakub Bolda z Chłapowa, który urodził się w 1863 roku i żył siedemdziesiąt pięć lat. W młodości brał udział w strajku szkolnym, mającym na celu obronę mowy ojczystej przed naciskiem żywiołu niemieckiego. W okresie germanizacji Kaszub walczył o sprawę polską, podczas niemieckiego spisu ludności wszelkimi siłami dążył do zachowania odrębności Kaszubów.

Wojna stołmów — opowiadał Gucio Ladach z Nadoli. Urodził się w 1870 roku, zmarł w 1953 r. Był wspaniałym gawędziarzem, przekazał mnóstwo anegdotek i opowiadań o Żarnowieckim Jeziorze.

Purtk w pogoni za rybakiem — opowiadał Jan Czapa, który żył w latach 1873—1938. Przez całe życie uprawiał rybołówstwo, miał bardzo dobrą pamięć, tę bajkę sam zasłyszał i przekazał.

Stłuczone lustro — opowiadał Bruno Konkol z Kuźnicy.

Purtki się bawią — opowiadała Józefina Styn, która twierdziła, że jakoby była na tej zabawie. Autor tej książki słyszał tę legendę od wielu innych starych ludzi.

Jak chłop przechytrzył purtkę — bajkę przekazał Franciszek Elward z Tupadeł. Przez całe swoje życie kręcił się nad brzegiem morza, wypatrując jego daru.

Szwedzi pod Puckiem — opowiadał Jan Licow, urodzony w 1842 roku, zmarł w 1933. Był świetnym gawędziarzem, nie znośił bajek i legend, twierdził, że przekazane przez niego historie są prawdziwe.

Bożk z Kuźnicy w noc księżycową na brzegu morza — przekazał Marian Konkol.

Purtk w pudeleczku od zapalek — opowiadała załoga kutra autora tej książki.

Purtk na ulicy Jastarni — opowiadał Jan Konkol, który żył w latach 1903—1954. Twierdził on, że ta bajka jest autentyczną historią.

Jak purtk zagroził drogę pielgrzymom — opowiadał Jan Koziróg, który urodził się w 1885 roku i jeszcze żyje. Wielki komediant, występował na licznych ludowych zabawach. Było o nim przysłowie: „gdzie Koziróg, tam jest wesołość”.

Ostatni smok — bajkę przekazał Józef Glembin z Chłapowa, który żył w latach 1880—1971.

Synowie młynarza — opowiadał Oskar Runo z Kosalina.

Kobieca zachłanność — opowiadkę przekazał Franciszek Elward z Tupadeł, zwany „Franck”.

Kaszuba z wojska starego Fryca — opowiadał Jan Beza z Jedlina.

Łatwe szczęście — przekazał Jan Czapa z Wierchucina.

Złoty ptak — opowiadał Władysław Kur z Dąbek i Ksawery Słomka ze Sławoszyńka.

Biedny rybak i jego uroczą córkę — opowiadał Józef Radka z Ostrowia, urodził się w 1876 roku, zmarł w 1964. Do ostatniej chwili swego życia narzekał na dawniejsze pruskie czasy. Był tym szczęśliwcem, który sam jeden uratował się z tonącej pomaranki.

Rybicka córka — autor tej książki sam przekazywał rybakom tę opowiadkę.

Bajka Słowieńców — opowiadał Andrzej Barnow z Kluk, koło Wicka.

Mały człowieczek — bajkę napisał autor tej książki.

Straszny potwór — opowiadał Eryk Mikołajson z Bornholmu.

Bursztynowa gęś — przekazał Jan Dominik z Dąbek.

Jak chłop przechytrzył diabła — opowiadał stary Maluśki Jan Jeka z Chłapowa.

Rybacy w opalach — opowiadkę przekazał Andrzej Glembin, który żył w latach 1832—1909. Od niego zasłyszałem najstarsze bajki i legendy.

Garnku, gotuj! — bajka powszechnie znana na Wybrzeżu, najczęściej opowiadana przez młodzież.

Sprawiedliwości zawsze stanie się zadość — opowiadał Augustyn Styn z Kartoszyń.

Konkury — przekazał Jan Elward z Kostkowa zaczerpnął te wiadomości od bazarzy z powiatu bytowskiego.

Sto kijów — opowiadał Tadeusz Miętus, świetny gawędziarz spod Starogardu.

Skóra mora pleszcze — opowiadał Augustyn Jeka z Chłapowa, który żył w latach 1900—1972.

Dziwny testament — opowiadał Jan Miętus z Nowego.

Student ze szkoły złodziejskiej — przekazał Józef Glembin z Chłapowa.

Kornus zawsze dopomaga — opowiadała Franciszka Necel, matka autora tej książki.

W piekle białych purtków — bajkę przekazał Juliusz Lesnow, który urodził się w 1861 roku, zmarł w 1952. Był wujem autora tej książki.

Uczony złodziej — opowiadał Jan Styn, był znanym na Wybrzeżu gawędziarzem.

Kradzione nie tuczy... — opowiadała Franciszka Necel.

Zając dał drapaką, a węgorz zawinił — opowiadał Józef Witbrott z Władysławowa, który zmarł w 1964 roku. Był zbieraczem bajek i anegdot.

Wieszcz — przekazał Leon Karcz z Władysławowa, świetny gawędziarz, człowiek odczytany, ale wierzący w zabobony, toteż tę bajkę opowiadał jako prawdziwe wydarzenie.

Przygody chłopca — opowiadał Józef Żelka z Chłapowa, który był gorliwym patriotą i walczył przez całe życie o wyzwolenie Polski.

Motyl w bursztynie — przekazał Jan Fabisz z Rozewia.

Rybacka sierota — opowiadał Jan Fabisz, rybak z Rozewia. Był wielkim patriotą polskim i skarbniką wiadomości o Wybrzeżu.

Trud wdowy — opowiadał Antoni Bizewski z Chłapowa, który żył w latach 1891—1924. Przyniósł moc bajek z frontu wschodniego, gdzie w czasie pierwszej wojny światowej służył w wojsku pruskim.

Stary Fryc tonął w cieście — opowiadała Franciszka Necel, matka autora tej książki.

Stary Fryc jako maszop — przekazał Jan Fabisz, rybak z Rozewia.

Jak piękną rybaczkę porwali fenicjańscy handlarze — opowiadał Józef Glembin z Chłapowa.

Stary Fryc jako gbur — przekazał Józef Lesnow, urodził się i wyrósł w Poczninie, miał osiemdziesiąt lat, gdy zmarł w Celbowie koło Pucka.

Stary Fryc czarownikiem — opowiadał Budnik z Odargowa, który żył w latach 1868—1963. Od najmłodszych lat pracował i poświęcał się dla dobra Polski. Po pierwszej wojnie światowej został odznaczony Orderem Odrodzenia Polski.

Jak stary Fryc wprowadzał nowe porządki — opowiadał Franciszek Gojka, gorliwy patriota i organizator, który umiłował sprawę narodową. Urodził się w 1840 roku, zmarł w 1927. W roku 1893 założył maszoperię kutrową dla połowu łososi.

Jak Kaszubi podziękowali królowi Prus za jego hojne dary — opowiadał Franciszek Kaleta z Karlikowa, który żył w latach 1869—1945. Człowiek bardzo spokojny, ale wiele myślący i działający na Wybrzeżu.

Smok w Bielawskich Błotach — opowiadała Franciszka Necel, matka autora tej książki.

Komornik wpadł w ręce purtka — opowiadała Franciszka Necel.

Jak topielec dał nauczkę rybakowi — opowiadał Klemens Struk z Chałup, który jest autorem tej anegdotki.

Maszoperia Dahla — opowiadał syn starego szypra, Maksymilian Dahl.

Statek w strądzie — przekazał Józef Pliński z Chłapowa, urodzony w 1833 roku. Walczył jawnie z niemieckim nauczycielem o zachowanie języka polskiego w szkole. Zmarł w 1912 roku.

Księżyc i Słonecznica — opowiadał Józef Barnow z Kluk Słowieńskich.

Nowy sztrandvogt — opowiadał Filip Białk.

Katastrofa pomaranki — opowiadał Józef Radka z Ostrowia.

Narodziny żrebaka — autorem tej bajki jest Józef Gojka. Miał 53 lata, gdy zmarł. Zawsze był bardzo chętny do rozmowy i niezwykle dowcipny, przeka-

zywał wiele historii i anegdot. Ponadto był świetnym organizatorem życia polskiego na Kaszubach.

Chrzest Bernarda Bożka — autor niniejszej książki sam był świadkiem tego wydarzenia i rzecz opisał z autopsji.

Skarb pod kamieniem — opowiadał Jan Fabisz, rybak z Rozewia.

Posłowie

Opowiadania Augustyna Necla, zebrane w tym tomie, odznaczają się ogromną różnorodnością, łączy je zaś obszar, z którego pochodzą, a także indywidualność autora. Necel jest rasowym narratorem; wyrosły ze środowiska kaszubskiego i żyły z nim blisko, doskonale zna zasób ludowej prozy, bajkę zwierzęcą i magiczną, anegdoty i lokalne kawały, nadto opowieści marynarskie z dalekich mórz i lądów, Zarazem jednak posiada ambicje literackie, zasłyszane wątki przekształca i łączy, podając je w przekazie nie ustnym, lecz utrwalonym w piśmie. Taka postawa oczywiście rzutuje na jego teksty, które, oderwane od podłoża gwary i od tradycyjnych właściwości słowa mówionego, nabierają nowych cech stylistycznych, niekiedy pod wpływem wzorów literackich, i czasami wprowadzają nowe treści, które umownie nazwać by można erudycyjnymi. Owe przekształcenia stylistyczne widoczne są w niektórych bajkach, jak choćby w znanej u nas dobrze bajce o Kopciuszku („Rybacka sierota”), gdzie autor szeroko rozbudowuje partie opisowe, inkrustowane wiedzą etnograficzną (zabawa wiejska, szczegóły stroju kaszubskiego, tańców), wbrew dawniejszej bajkowej poetyce, lakonicznej i operującej głównie dialogiem. Ten sam tekst jest zarazem przykładem łączenia różnych wątków: tak więc fabułę Kopciuszka autor wzbogacił o pokonanie smoka, za co bohater bajki zażądał pokazania wszystkich bucików miejscowych panien i wdów, zaś jako wstęp do całości posłużyła opowiadanka historyczna oraz na poły realistyczna relacja o śmierci ojca bohaterki podczas sztormu na morzu. Jakkolwiek więc Necel powołuje się tutaj na gawędziarza Jana Fabisza, całość zbudowana pomysłowo z różnych elementów z pewnością jest tworem autora antologii, któremu w tym wypadku przysługują takie same prawa, jak każdemu innemu narratorowi.

Necel bowiem, traktując przedstawiany przez siebie świat ludowej prozy dość swobodnie, równocześnie zaznacza skrupulatnie, od kogo dane opowiadanie słyszał, a swych informatorów, których rola ogranicza się do poddawania wątku, przedstawia czytelnikowi we wstępie i w osobnym wykazie.

Geografia wątków — wedle pochodzenia informatorów — to przede wszystkim rodzinne Władysławowo Necla, skąd pochodzi mniej więcej jedna czwarta całego zbioru, w tym bajki opowiadane przez samego autora i zasłyszane przezeń od rodziców, ojca, Jana, i matki, Franciszki Neclowej, której wyrazisty portrecik nakreślił syn w przedmowie do niniejszej książki. Następna duża grupa to opowieści z pobliskiego Chłapowa (Józef Glembin, Augustyn Jeka, Józef Żelka, Juliusz Lesnow, Jan Styn, Józef Pliński, Jan Czapa, Antoni Bizewski) w sumie około dwudziestu wariantów, i z Rozewia (Jan Fabisz), dalej bajki i anegdoty z Półwyspu Helskiego, z Chałup, Kuźnicy i Jastarni, nadto z okolic Jeziora Żarnowieckiego, z Nadoli, Kartoszyna, Karlikowa, Minkowic, Jeldzina, na południu Kostkowa, oraz z Tupadeł i Dąbek, aż po Łebę i Kluki Słowieńskie.

Wśród opowiadań mamy grupkę bajek zwierzęcych, dość licznych na Pomorzu, z cyklu przygód głupiego wilka i chytrego lisa, o wędrowce zwierząt, o psie i wilku czy o psie i lisie. Na uwagę zasługuje tu bajka tzw. łańcuszkowa o pstrej kokoszcze i lisie („Nareszcie będą jajka”), zapisana dotąd w Polsce jeden raz w okolicach Tarnobrzega, a pospolita w folklorze litewskim i rosyjskim. Bogaty zespół stanowią bajki magiczne (24 teksty), podane zarówno w wersji prostej, jak i bogato zdobionej różnymi amplifikacjami (por. omawiany tekst „Rybacka sierota”), jak np. w opowiadaniu „Kaszuba z wojska Starego Fryca”, gdzie autor wmontował w tradycyjny schemat bajkowy o Palaczu piekielnym fabułę o rekrucie, oddanym przez pana do pruskiej armii.

Bajki to na ogół znane na obszarze całej Polski, reprezentowane przez wiele wariantów, ich osobliwość polega tu nie na lokalnej odrębności samych wątków, ale na sposobie ujęcia. Jest sprawą zupełnie obojętną, czy to sam autor antologii nadał im ów specyficzny charakter, czy też uczynili to jego informatorzy. A oto na czym ta specyficzność polega: istnieje w Polsce częsta, zaświadczona wieloma wariantami opowieść o zakładzie chłopca z głupim diabłem, zakładzie wygrany oczywiście

przez sprytnego chłopca. Wśród prób powtarzają się stereotypowo te same: piwo z wierzchu czy ze spodu, górna czy dolna część krzaczków kartofli, pszenicy, owsa lub buraków. Otóż wariant kaszubski z Chłapowa, podany przez Maluśkiego Jana Jekę („Jak chłop przechrzył diabła”), w opracowaniu Necla wprowadza elementy lokalne. Pierwszy zakład dotyczy wprowadzenia osadu drożdżowego w piwie, ale dwa następne rozgrywają się w scenerii morskiej — rybak przy mrozie, gdy łosose kryją się głębiej, proponuje diabłu to, co na wierzchu, diabeł wyciąga kawałek niesionego falami wraka, chłop natomiast wyciąga z dna obfity połów; przy pogodzie cieplejszej, gdy łosoś wypływa na wierzch, diabeł bierze to, co na spodzie, i zabiera „diabły morskie” uczepione na dnie sieci. Tak więc narrator każe rywalom rozegrać zakład w konwencji rybackiej, a nie poprzestając na tym, wprowadza oryginalne zakończenie. Diabeł usiłuje owe „diabły morskie” sprzedać „na feshmarku” w Gdańsku, a ponieważ nabywcy po ten towar się nie kwapią, wyrzuca go, zaś strażnicy „za zanieczyszczenie rynku wystawili mu mandat stuzłotowy”.

Takie nasycenie fabuły pospolitej w całej Polsce elementami lokalnymi rozstrzyga o artyzmie opowiadań Necla, a przytoczony przykład nie jest jedyń. W tekście „Pusta noc”, opartym na dość rzadkim u nas schemacie „Chrystus i żongler”, część wstępna rozgrywa się nad brzegiem morza, gdzie partnerzy zbierają grudki bursztynu, w bajce „Jak głupi rybak stał się królem” (z Władysława) bohater, zabójca smoka, wraz z ocaloną królową osiedla się na Helu, w fabule „Mały człowieczek” przygody Tomcia Paluszka rozgrywają się na morzu, i tak dalej.

Niezwykle silnie podkreślony koloryt lokalny dochodzi do głosu przede wszystkim w sporej grupie anegdot i kawałów. Występują tu anegdoty tradycyjne, powszechnie u nas i często notowane (np. „Nauka nie poszła w las” i „W piekle białych purtków” o pijaku wyleczonym z nałogu, „Jak purtk przegrał z sołtysem” o turnieju kłamców, „Uczony złodziej”, „Narodziny żrebaka” itd.), ale obok nich świetne opowiadki miejscowe, o „Złodziejach na rynku w Wejherowie”, o podpitym chłopie, który gubi mąkę z rozprutego worka („Kornus zawsze pomaga”), o złodzieju z kradzionym masłem ukrytym pod czapką („Kradzione nie tuczy”), o psie wziętym za diabła i egzorcyzmowanym różańcem („Nocne przygody”), i wiele innych. Osobną grupę stanowią anegdoty typowe dla tego regionu, a więc prześmiewki z głupich sąsiadów, w tym wypadku osławionych mieszkańców Gnieźdźwa („Jak zając dał drapaka, a węgorz zawinił”),

oraz cała seria humorystycznych opowiadań o „Starym Frycu”. Te ostatnie, doskonale znane w całych północnych Niemczech, na Pomorzu przybierają specyficzny charakter narodowy. O ile w zbiorach anegdot z takiej choćby Meklemburgii król pruski traktowany jest z humorem wprawdzie, ale i sympatią, a jego wędrówki w przebraniu wśród poddanych służą wykrywaniu niesprawiedliwości i poddanym tym wychodzą na dobre, to — ze zrozumiałych względów — dla Kaszubów ta sama postać jest wykładnikiem ucisku i prześladowania polskości, symbolem najeźdźców, celem dotkliwych żartów. Warto przypomnieć, iż demonizacja „Starego Fryca”, widoczna w niektórych pomorskich opowiadaniach ludowych (por. gawędę „Stary Fryc czarownikiem”), znalazła swój odpowiednik w polskiej literaturze, by odwołać się do Żeromskiego i Wańkowicza.

Gdy zaś idzie o demonologię ludową, reprezentują ją w tomie głównie opowiadki o diable — purtku, ujęte w konwencji humorystycznej, oparte na schemacie poczytywania spotkanego zwierzęcia za diabła („Purtek w pogoni za rybakim”, „Purtek na ulicy Jastarni”, „Jak purtek zagroził drogę pielgrzymom”, „Purtek w pudełeczku od zapalek”, ta ostatnia związana z nazwiskiem prof. Augusta Denela, znanego zoologa). Znajdujemy jednak również opowieść o diabłach, odwiedzających wiejskie tańce („Purtki się bawią”), o „Wieszczym”, upiorze, wreszcie o olbrzymach, zwanych na Pomorzu stolemami, a charakterystycznych dla tamecznego folkloru, być może nie bez wpływu sąsiednich wierzeń skandynawskich („Wojna stolemów”).

Niezwykle cenną część książki stanowią opowiadania, które trzeba określić mianem folkloru marynarskiego. Waga ich polega na tym, że zapisano ich dotąd niewiele, a przecież mieszkańcy Wybrzeża nie tylko rybaczyli na pobliskich wodach, lecz także od wielu lat, czy nawet od stuleci wypływali w dalekie rejsy do odległych, nieraz egzotycznych krain, przywożąc stamtąd barwne opowieści o fantastycznych przygodach na morzu i lądzie. Obecnie, przy zmienionych warunkach żeglugi, gdy współczesny świat wydaje się mniejszy, bardziej dostępny i przez to traci wiele ze swej egzotyki, dawny folklor marynarski stanowi relikwiarz szacowny i piękny, wart ocalenia od niepamięci.

Necel przytacza garść takich opowiadań, częściowo wspomnieniowych, częściowo zrodzonych w twórczej wyobraźni starych marynarzy, być może opowiadań powtarzanych sobie przez różnojęzyczne załogi podczas długich dni spędzanych na morzu. W tomie autor zamieścił piękną dla swej prostoty przypowieść o tajemniczej wyspie-raju, wynurza-

jącej się niespodzianie gdzieś na dalekich szlakach wodnych („Wyprawa na koniec świata”, z repertuaru Franciszki Neclowej), relacje o rozbitych u wybrzeży Bałtyku okrętach („Katastrofa pomaranki” „Statek w strądzie”, „Nowy sztrandvogt”), niekiedy ujęte z zacięciem humorystycznym („Maszopera Dähla”), wreszcie zagadkową opowieść o pobycie marynarzy u ludożercy, jednookiego pastucha („Rybacy w opałach”).

Zagadkowość jej polega na tym, iż nie wymieniając Polifema, powtarza ona szczegóły przygody Odysa i jego towarzyszy, przy czym sceneria morska, wprowadzając uzupełniona realiami, które w założeniu narratora (opowiadał to rybak-gawędziarz z odwołaniem do relacji swego ojca) miały uprawdopodobnić zdarzenie, potęguje podobieństwo. Sprawa zaś wygląda tak, że mamy tu do czynienia z opowiadaniem ludowym, rozpowszechnionym nie tylko w Europie, ale i w krajach azjatyckich, a nawet w Indiach, obejmującym wiele odgałęzień, wersji, odmian. Międzynarodowa systematyka bajek Aarnego — Thompsona oznaczywszy ten wątek numerem 1137 (*Ogre blinded*, potwór oślepiiony), gromadzi wiadomości o wariantach z Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemiec, z Europy południowej (Rumunia, Węgry, Jugosławia, Grecja) i wschodniej (Rosja). Co w jego rozpowszechnieniu zwraca uwagę, to niezmierna obfitość tych opowiadań w Finlandii (znanych 25 wariantów), Szwecji (19 wariantów), Irlandii (83!) i na Litwie (20 wariantów). Folklorysty zajmujący się zbieżnościami wątku Polifema z *Odysei* przypuszczali, że w eposie greckim doszło do głosu opowiadanie o jednookim potworze znane w kręgu śródziemnomorskim, zaś w rozważaniach nad rozpowszechnieniem go na gruncie europejskim wysuwali hipotezę, że ważną rolę w tym procesie odegrały różne źródła pośrednie, które popularizowały epizod z *Odysei*. Do źródeł tych należało znane dzieło średniowiecznego mnicha, Jana de Alta Silva, zwane *Dolopathos*, powstałe w wieku XII, nadto późniejsze nieco sagi islandzkie ze stuleci XIII, XIV, XV. W polskiej prozie ludowej odnotowano dotąd dwa ujęcia po-

wyższego fabularnego schematu, jedno związane z nim luźno (bajka zapisana w okolicach Iwonicza), drugie bliższe (bajka spod Rzeszowa), prawiące o przygodach żołnierza-dezertera, który dostaje się do chaty potwora, oślepia go i ucieka; zgodnie z wyobrażeniami ludowymi, charakterystycznymi dla terenów narażonych na najazdy tatarskie i tureckie, bazarz nazwał tego potwora Tatarem. Opowiadanie zamieszczone przez Necla jest wierne prototypowi, znanemu z *Odysei*, odznacza się walorami narracyjnymi, o pochodzeniu jego trudno jednak wyrokować. Najbliższe prawdy wydaje się przypuszczenie, iż opowieść przeniknęła ze Skandynawii, gdzie — jak widzieliśmy — należy do spotykanych stosunkowo często, a związki folkloru pomorskiego ze skandynawskim nie ulegają wątpliwości. Nie wykluczone jednak, że stanowi ona produkt lektur szkolnych, nie samego informatora oczywiście, lecz kogoś z otoczenia jego ojca, a przecież wśród załóg okrętowych zdarzali się ludzie bardzo różni, zagnani na morze chęcią przygód lub przypadkiem.

Z innych opowiadań o genezie wyraźnie literackiej, ale nietrudnej do ustalenia, warto wspomnieć historyjkę „Przygody chłopca”, zaczerpniętą z repertuaru Józefa Żelka (Chłapowo), związaną z *Robinsonem* i konsekwentnie utrzymaną w stylu robinsonady. Bardziej kłopotliwe natomiast byłoby wykrycie źródeł powiastki „Jak piękną rybaczkę o imieniu Szarotka porwali feniccy handlarze”, w której z jednej strony przewijają się koncepty fabularne podobne tym, jakimi posłużył się np. M. Słomczyński w swych *Czarnych okrętach*, z drugiej — treści natury encyklopedycznej z zakresu geografii i starożytnej historii. W świetle takiego spojrzenia na powiastkę końcowe stwierdzenie Necla, iż „Tę legendę opowiadali sobie starzy ludzie... itd.” posiada wartość raczej problematyczną. Na szczęście podobne wypadki w tomie należą do rzadkich, tak że całość jego tchnie bliskimi, prawdziwymi związkami z folklorem.

Helena Kapeliś

Spis Rzeczy

Przedmowa 5

Jak wilk uratował psu życie 13
Chytry lis i głupi wilk 14
Miejskie muzykanty 16
Pełen pysk kości, a baran jeszcze stoi 18
Jak pies wygrał wojnę z lisem 18
Jak gęś przechytrzyła lisa 19
Nareszcie będą jajka 20
Stary rybak i foka 21
Skórka za wyprawę... 26
Sankami po drzewo 27
Jak głupi rybak stał się królem 29
Pusta noc 32
Wyprawa na koniec świata 36
Oto my trzej 37
Odważnym szczęście sprzyja 38
Dobro nagrodzone, a zło ukarane 39
O szczęśliwym strzelcu 41
Wolny od grzechu 49
Nauka nie poszła w las... 50
Jak purtk przegrał z sołtysem 50
Złodzieje na rynku w Wejherowie 51
Pacjent w płomieniach 52
Nocne przygody 54
Wojna stołmów 56
Purtk w pogoni za rybakim 56
Stłuczone lustro 58
Purtki się bawią 59
Jak chłop przechytrzył purtka 60
Szwedzi pod Puckiem 63
Bożk z Kuźnicy w noc księżycową na brzegu morza 64
Purtk w pudełeczku od zapalek 65
Purtk na ulicy Jastarni 66
Jak purtk zagroził drogę pielgrzymom 66
Ostatni smok 67

Synowie młynarza 69
Kobieca zachłanność 72
Kaszuba z wojska starego Fryca 75
Łatwe szczęście 78
Złoty ptak 80
Biedny rybak i jego uroczą córkę 84
Rybacka córka 86
Bajka Słowienców 88
Mały człowieczek 90
Straszny potwór 93
Bursztynowa gęś 97
Jak chłop przechytrzył diabła 100
Rybacy w opałach 103
Garnku, gotuj! 104
Sprawiedliwości zawsze stanie się zadość 105
Konkury 107
Sto kijów 109
Skóra mora pleszcze 111
Dziwny testament 112
Student ze szkoły złodziejskiej 113
Kornus zawsze dopomaga 114
W piekle białych purtków 115
Uczony złodziej 116
Kradzione nie tuczy 120
Jak zając dał drapaka, a węgorz zawinił 120
Wieszczy 123
Przygody chłopca 124
Motyl w bursztynie 127
Rybacka sierota 130
Trud wdowy 140
Stary Fryc tonął w cieście 146
Stary Fryc jako maszop 147
Jak piękną rybaczkę porwali fenicjańscy handlarze 150
Stary Fryc jako gbur 152
Stary Fryc czarownikiem 154
Jak stary Fryc wprowadzał nowe porządki 156

Jak Kaszubi podziękowali królowi Prus za jego
hojne dary 158
Smok w Bielawskich Błotach 159
Komornik wpadł w ręce purtka 159
Jak topielec dał nauczkę rybakowi 160
Maszoperia Dahla 161
Statek w strądzie 163
Księżyc i Słonecznica 164
Nowy sztrandvogt 166
Katastrofa „Pomaranki” 168

Narodziny żrebaka 169
Chrzest Bernarda Bożka 170
Skarb pod kamieniem 172
Król zwierząt i król puszczy 173

KOMENTARZE

Słowniczek wyrazów gwarowych i najniezbędniejszych objaśnień rzeczowych 181
Źródła tradycji ustnej 185
Posłowie — *Helena Kapelańska* 189

*Dwa tysiące pięćset pięćdziesiąta siódma
publikacja LSW*

Wydanie I. Nakład 10 000 + 305 egz.
Pap. druk. mat. kl. III, 80 g, 82 × 104 cm.
Oddano do składania 23 II 1974 r.
Podpisano do druku w styczniu 1975 r.
Druk ukończono w lutym 1975 r.
Ark. druk. 24,5 + 4 ark. ilustr.
Ark. wyd. 20 + 2 ark. ilustr.
Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Warszawa ul. Miedziana 11
Zam. nr 1713. W-110
Cena zł 85,—

